

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



ZYGMUNT KACZKOWSKI

**OLBRACHTOWI
RYCERZE**

POWIEŚĆ

TOM I

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Sie horen nicht die folgenden Gesange,
Die Seelen, denen ich die ersten sang;
Zerstoben ist das freundliche Gedrange,
Verklungen, ach! der erste Wiederklang.
Mein Lied ertont der unbekanntnen Menge,
Ihr Beifall selbst macht meinem Herzen bang;
Und was sich sonst an meinem Lied erfreuet,
Wenn es noch lebt, irrt in der Welt zerstreuet.

GOETHE

„Wy, którym pierwsze wyśpiewałem pieśni,
O duchy dobre, dalszych nie słyszycie;
Kędyż jesteście bracia i rówieśni?
W echu pobrzmiewa zapomniane życie.
Cierpienie moje już się nie rozwieśni,
Czymże nieznani? cóż po ich zachwycie?
Kogóż śpiew skrzepi? jakich mam słuchaczy?
Zmarłych jedynie, jedynie tułaczy”.

FAUST (DEDYKACJA), PRZEKŁ. E. ZEGADŁOWICZA,
WADOWICE 1926, S. 8.

WSTĘP

Pomiędzy rzekami Stryjem a Dniestrem, w kraju dziś sławnym nieprzebranymi bogactwy olejów skalnych, o trzy mile na przestrzał od staroruskiego miasta Drohobycza, a o sześć mil od szczytu Bieszczadów, w dolinie zakłęślej a rozramienionej pomiędzy grzbietami gór, sterczą szeroko porozrzucane olbrzymie skaliska, które od wieków są dziwowiskiem podróżnych a zarazem siedzibą potwornych podań ludowych.

Skaliska te, znane powszechnie pod nazwiskiem „Kamienia w Uryczu”, dzielą się na dwie odrębne gromady, nie zdradzając na pozór żadnego związku z sobą.

Jedna z nich, leżąca po drugiej stronie doliny, składa się też w istocie z kilkudziesięciu większych i mniejszych kamiennych brył, poprzerastanych czarnym jodłowym lasem, leszczyną i jałowcami: było ich przed wiekami zapewne więcej, ale z czasem przykryły je ziemia, mchy i dzikie krzewiny. W tej gromadzie widać nieład natury, jakoby pobojowisko po jakiejś gwałtownej rewolucji żywiołów: ręka ludzka nie zostawiła tam żadnego śladu po sobie.

Natomiast druga gromada, więcej skupiona a stercząca ze stoku góry nad bezdenną przepaścią od północnego wschodu, uderza na pierwszy rzut oka widokiem jakby ruin ogromnego i bardzo starożytnego zamczyska.

Skalisty ten potwór, piętrzący się w chmury swymi pozostałymi basztami, a z jednej strony jakby nad samą paszczą piekielną zawieszony, w którejkolwiek dnia dobie widziany, przejawia podziwem i grozą. Tu bowiem obok olbrzymich tworów natury, pnących się w niebo z zuchwałstwem niczym nie okiełznanych żywiołów a zarazem głęboko wbitych w wnętrze ziemi, widoczne są ślady, że tutaj niegdyś mieszkali ludzie.

Dość rzucić okiem na te skaliska, ażeby dostrzec, że kiedyś, zapewne jeszcze w wiekach zamierzchłych, człowiek opanował tę w puszczech leśnych zatopioną dzikach zwierząt siedzibę i pracą wielu lat i wielu tysięcy rąk ludzkich zamienił w zamek obronny. Albowiem na najwyższych szczytach tych skał widać izby wewnątrz wykute i wschody do nich wiodące a opatrzone kamiennymi gankami; gdzie indziej zaś wyglądają spod mchów i krzewin sążniste mury z cegły i wapna, które z wiekami także zlały się w kamień.

Z tych skał ogromnych, które się zwyczajem oparły zniszczeniu wieków, a wyglądają jak baszty lub wieże w gruz zapadłego zamczyska, dzisiaj jeszcze jest cztery. Dwie mniejsze, sterczące od północy w odległości kilkunastu stóp jedna od drugiej, stały widocznie swojego czasu na straży głównego wjazdu i obejmowały pomiędzy sobą bramę zamkową. Pomiędzy nie wchodzi się w obszerny dziedziniec, dziś trawa i chwastem zarosły, lecz bez wątplenia naturalną i jednolitą płytą kamienną nakryty. Pod dziedzińcem musi być próżnia, zapewne ludzkimi rękami wykuta, nawet prawdopodobnie do dalszych prowadząca podziemi, bo za uderzeniem w posadzkę głuche odzywa się echo, powtarza się kilkakrotnie w oddali i dopiero po chwili ucicha. W jednym rogu dziedzińca jest studnia w skale wykuta, dziś zasypana gruzami. Po lewej ręce ciągnie się mur skalisty, którego posady wszakże dojrzeć nie można, zwiesza się bowiem nad bezdenną przepaścią, która tak jest głęboką, że rosnące po jej brzegach wiekowe jodły szczytami swymi zaledwie dosięgają poziomu dziedzińca. Przepaści tej, na której dnie leżą trupy drzew przedwiekowych i olbrzymie kawały skał, a na nich znowu pnie zmurszałych jodeł, jeszcze nigdy promień słońca nie przedarł i nigdy stopa ludzka nie dotknęła. Nad nią, w rogu dziedzińca, wznosi się najwyższa baszta zamkowa.

Jest to wieża skalista, mierząca sto kilkadziesiąt stóp wysokości, rozdwojona u szczytu i piętrząca się dwiema iglicami ku niebu. O kilkanaście stóp poniżej iglic znajduje się izba w skale wykuta, opatrzona resztkami krużganku. Z tego krużganku, na który jeszcze niedawno wejść było można po kamiennych, chociaż już bardzo oślizganych progach, również w skale wykutych, przepyszy nawet gołemu oku przedstawiał się widok. Obejmował on bowiem kilkadziesiąt mil kraju, bogatego jak róg obfitości we wszystkie dary natury, płynącego od wieków mlekiem i miodem, a przerniętego srebrnymi wstęgami Tyśmienicy i Stryja, Świcy i Dniestru, i wielu innych rzek mniejszych, wijących się między tłustymi łąkami i cienistymi dąbrowy. Po prawej ręce widziałeś miasto Stryj, śpiące spokojnie na rozległej dolinie; przed tobą roił się handlowy gród starej Rusi Drohobycz, cokolwiek dalej na lewo gubił się w sinawej mgle Sambor z wspaniałymi wieżami swoich kościołów i cerkwi, z białymi jak śnieg ulicami, otoczony dokoła pysznymi sadami drzew owocowych i złotymi łąkami pszenicy, a siedzący na brzegu uciekającej przed twoim okiem równiny, która jest niby pierwszym kołbiercem stepów podolskich, ścielącym się pod nogi apostołom ludzkości i oświaty, przybierającym z zachodu...

Czwarta na koniec baszta, cokolwiek niższa od poprzedzającej a stojąca w rogu zachodnim, lecz także niegdyś mieszkalna, dzisiaj zaś w różnych miejscach poprzerwana u szczytu, w dziwnych przedstawia się kształtach, które zdają się być jakoby ruchome i w wyobraźni przybierają rysunek ludzkich postaci.

Tak z jednej strony, gdzie skała chyli się ku wschodowi, widzisz jakoby stojącego na jej szczycie rycerza, który na hełm i zbroję kaptur mnisi zarzucił i stoi tak nad przepaścią, jak gdyby się w nią chciał rzucić, a przed śmiercią ostatnim dumnym spojrzeniem grozi pogardzonemu przez siebie światu. Z drugiej strony, gdzie skała się zwiesza ku dziedzińcowi, widzisz jakoby dziewicę z załamanymi z rozpaczony rękami, która chciałaby z miejsca się ruszyć i zstąpić w dziedzińiec – a nie może, bo jest skamieniałą.

Kiedy warstwa mgły białej położy się na tych ruinach, co się często zdarza w tych górach, tak że tylko wierzchołki tych skał nad nią się wznoszą i zdają się wisieć w powietrzu, wtedy postacie te rysują się daleko wyraźniej: natenczas i dumnie w przepaść spoglądającego rycerza, i skamieniałą w swym ruchu dziewicę widać jakoby żywe – i jest to widowisko wspaniałe i groźne, przed którym oczy twoje się otwierają szeroko i oddech zapiera się w piersi. Widok ten wszakże staje się strasznym i przejmującym wśród jasnej nocy; natenczas bowiem postacie te malują się czarno na niebios błękitach, duch w nie wstępuje, zdaje się ruszać na swoich kamiennych podstawach – a kiedy wyobraźnia usiłuje przeczuwać ich myśli i czyny z tych czasów, kiedy żyły na ziemi, w piwnicach zamku głucho odzywają się echa, w głębiach zaś tej przepaści, gdzie stare pnie leżą przysypane drzazgami skał, słychać szumy i jęki przytłumione, niktne w dali, ale tak przeraźliwe i takie nieziemskie, że ktokolwiek je słyszał, uczył drzenie w głębi swej duszy i uwierzył powieści ludowej, że tam mieszkają duchy pokutujące. Toż jeszcze nikt tam nocy nie przespał w tych strasznych ruinach, a kto przypadkiem o zmroku się zabłąka, żegna się krzyżem świętym, popędza konie i mija je jak najprędzej...

Pomiędzy ludem okolicznym krążą wielorakie, lecz dziwnie zamglono i poplątane ze sobą podania o tym starym zamczysku. Najdawniejsze z nich sięgają tego pomroku dziejów, z którego na podstawie jakiejś ustnej lub pisanej wieści o jakimś chanie lub carzyku, o niezliczonych hordach, którym hetmanił, o wielu zamkach, które posiadał, o złotych skarbach, które zakopał, tak samo bazarze gminni, jak i piśmienni, wysnuwają mniej albo więcej potworna baśnie, nie mające żadnego wiarogodnego świadectwa za sobą. Podania te, krążące po chatkach sąsiednich bojków, a uporządkowane cokolwiek przez ludzi piśmiennych, mówią, co następuje:

Przed tyłu a tyłu wiekami, kiedy jeszcze Rusi nie było, a góry te były zamieszkałe przez szczerp słowiański Weletów, zwanych się także Wilkami, jeden wielki żupan Weletów, który

sam się Wilkiem nazywał, mając duchy nieczyste na swoje usługi, zmurował z tych skalisk odwieczny zamek obronny i kazał pod nim wykuć obszerne piwnice, w których chował swe skarby, a które podziemnym kanałem, idącym popod rzekę i staw, łączyły się z ową drugą gromadą skał, leżącą po tamtej stronie doliny. Weletowie, szczep milionowy i bardzo waleczny, pociągnęli dalej ku północnemu zachodowi, zalewając sobą wszystkie kraje, opierające się o morza północne, i sięgając nawet do wysp za tymi morzami leżących. Wilk wszakże tutaj pozostał, żyjąc z swą młodą żoną na swoim zamku w szczęściu i dostatku, które za pomocą duchów nieczystych ustawicznie pomnażał. Biesiady, muzyka i tańce trwały po całych nocach na jego zamku aż do świtania: wszakże kiedy jednego zarania, nie dosłyszawszy piania kurów, złamał zawartą z duchami umowę, duchy zburzyły zamek i zamieniły jego i jego żonę w owe poprzerywane skały, które jeszcze dziś stoją na ruinach zamkowych. Jaka to była umowa, podanie nie wie, lecz opowiada dalej:

W wiele lat potem Tatarzy zaleli powstałe tymczasem księstwo halickie, a na ich czele szedł ich chan ówczesny, Szeludywy Buniak, półczłowiek, półdemon, z czupryną wichrowatą jak strzecha, z brodą sięgającą do ziemi, która jego czeladź na rozkaz podnosiła złotymi widłami, z brzuchem otwartym i koszlawymi nogami, i podstąpił pod miasto Bycz, zbudowane nad rzeką Tyśmienicą, gdzie dzisiaj leży wieś Tustanowice. Mieszczanie byccy, ufając wałom i częstokołom, którymi było otoczone ich miasto, mając przy tym dostatek broni, zawarli się w mieście i postanowili stawić opór Tatarom. Buniak oblegał ich długo daremnie, aż wreszcie użył fortelu. Wyprawił posły do miasta z zapewnieniem, że od oblężenia odstąpi, a przyjmie okup i żąda niewiele: z każdego dymu tylko jednego gołębia. Byczanie zaraz na tę umowę przystali i posłali mu po jednym gołębiu z każdego dymu. Lecz chytry Buniak poprzączepiał każdemu gołębiowi zatloną hubkę pod skrzydła i puścił je wolno. Gołębie wróciły każdy do swego dymu pod strzechę, a w chwili potem całe miasto stanęło w płomieniach. Tatarzy skorzystali z pożaru, napadli na miasto, złupili je i zniszczyli tak, że kamień na kamieniu nie został, mieszkańców zaś w części wymordowali, a w części wzięli w niewolę. Tymi niewolnikami Buniak założył nowe miasto, drugi Bycz, dzisiejszy Drohobycz. Sam zaś z swym dworem osiadł na zamku uryckim, który na nowo odbudował, basztami i strzelnicami opatrzył i nappełnił nieprzebranymi skarbami. Podanie dodaje z naciskiem, iż w osadach zamkowi podległych pozakładał warsztaty tkackie, na których wyrabiano parczowe jedwabie¹ i sędy ze złota i srebra, tkając z nich przepyszne kamchy², aksamity i złotogłowa, które sprzedawał w mieście Tustaniu, w Drohobyczy i we Lwowie. Tym trybem nagromadził wielkie bogactwa, które chował w piwnicach. Przy nich żył hucznie i szumnie, wśród biesiad i tańców, ale bez muzyki, bo nie miał grajków pomiędzy swoimi Tatary. Była wieść głucha, że diabeł, z którym był w zмовie, zakazał mu grania na zamku, tylko mu śpiewać pozwoił. Aż jednego dnia przyszli muzykanci pod zamek, przyszli wierzchem Starego-horbu, wracając z wesela ze Schodnicy, a była ich cała sotnia albo i więcej. Tatarski burgrabia dał o tym znać swemu panu, a Buniak ich przyjął z ochotą. I kazał zwołać cały swój dwór i wyprawił wielką biesiadę z tańcami, przy której wina i miody lały się strugami. Ale muzykanci tylko udawali, że piją, w rzeczy zaś leli wino w zanadrze; toż kiedy Buniak tak się upił z swym dworem, że wszyscy leżeli bez duszy, muzykanci się spuścili do piwnic, zabrali skarbów, co mogli, a wychodząc obładowani, pozostawili zatłone wióry przy beczkach prochu, przechowywanych w piwnicy. Kiedy już wszyscy wyszli szczęśliwie poza ostatnie okopy zamku, straszliwy huk dał się słyszeć, prochy się zapaliły i zamek wyleciał w powietrze... Szeludywy Buniak, ile że sam był czarnoksiężnikiem, oszukał diabła i ocalał – a wsiaǳszy na złotą koleśnicę³, do której zaprzął skrzydlate konie, ujechał do Węgier. Ale diabeł dopędził go na szczycie Bieszczadu, zrzucił woźnicę z kozła, sam wziął lejce do ręki i koleśnicę w jar głęboki wywrócił, gdzie się

¹ parczowe jedwabie – materia jedwabna tkana złotem i srebrem

² k a m c h a – gruba wzorzysta tkanina jedwabna; adamaszek

³ koleśnica – kareta, wóz

razem z Buniakiem zapadła pod ziemię. Wszelako i muzykanci nie uszli bezkarnie, bo starszy murza Buniaka, którego podanie także zwie Wilkiem, zebrał Tatarów, leżących po wsiach obozem, zgonił ich, skarby odebrał i uszy im poobcinał: potomkowie ich żyją do dziś dnia we wsi Kruszelnicy, nazywają się Czulewicze i noszą imionisko Bezuszków.

Są jeszcze inne podania z cokolwiek późniejszych czasów, w których na miejscu chana carzyk panuje na zamku, zabiera drugiemu carzykowi żonę i na zamek przywozi; zaś jego rywal, przyzwawszy diabła na pomoc, zdobywa zamek i carzyka zwodziciela zabija, a diabeł burzy zamek za pomocą ogniów piekielnych.

Jednak w tych wszystkich podaniach występuje ktoś zwany Wilkiem i powtarza się z rozmaitymi zmianami powieść o diable, o muzyce i o zburzeniu zamku nadnaturalnymi siłami. Gdzie we wszystkich podaniach, zmieniających swe formy z wiekami, lecz przywiązanych do jednego miejsca, pewna treść stała się ciągle powtarza, tam w tej treści bywa zazwyczaj cokolwiek prawdy.

Dlatego, napatrzwszy się do syta tym olbrzymim skaliskom i zagadkowym ruinom i wysłuchawszy wszystkich powieści o carzykach i chanach, którzy w wyobraźni ludowej w nich niegdyś mieszkali, ciekawy podróżny wchodzi jeszcze raz na dziedziniec i szuka bądź śladów architektury, bądź jakichkolwiek napisów, z których by mógł jakieś pewniejsze zbudować wnioski, tak o epoce, w której ten zamek był zaludniony, jak i o jego mieszkańcach.

Ale z architektury owego czasu nie masz dziś prawie żadnego śladu: ani jednego filaru, ani jednego odłamku sklepieni, ani jednego gzymsu nie można się doszukać w nastroszonych w dziedzińcu drzazgach tej starożytnej budowy. Widać tylko resztki sążnistych murów z cegły i wapna – a mury takie mogą pochodzić z każdego wieku. Powykuwane w naturalnych skałach izby, krużganki, wschody, nieprzemierzone pod dziedzińcem piwnice i dla gęstego powietrza dziś całkiem niedostępne pieczary, każą się tylko domniemywać, że są to roboty z czasów przedhistorycznych, z czasów takich, gdzie praca ludzka nie miała wartości, bo ją można było wygwałcić, ale epoki ich nikt nie oznaczy. Znajdowane różnymi czasy w tutejszych dziuplach okruchy kamiennych posągów dziwotwornej postaci i kształtów, rozmaite kruszcowe i kamienne narzędzia, których użytku już nie można odgadnąć, wygrzebywane wreszcie kociołki z pieniędzmi, o których wieść niesie, pozwalają przypuszczać, że dziwne te schowki i pieczary służyły niegdyś poganom jako świątynie i że może niejednokrotnie przechowywali się tutaj opryski, których w tych górach po wszystkie wieki nie brakło. Na tym się kończą wszystkie ślady widoczne z tych czasów, które następne wieki przykryły swym pyłem.

Są wszelako napisy na ścianach skalistych. Przed laty blisko czterdziestu, kiedyśmy te ruiny po kilkakrotnie zwiedzali, było takich napisów, jakkolwiek już wtedy mocno zniszczonych i trudnych do odczytania, jeszcze bardzo wiele. Mianowicie na owej olbrzymiej skale, u której szczytu znajdowała się izba z krużgankiem, była jedna ściana, bardzo obszerna i dosyć gładka, która niemal cała była zasiana napisami, nawet w takiej wysokości, że ci, którzy po niej ryli żelaznym narzędziem, musieli używać drabiny. Powyżej tej ściany znajdowała się głęboka szczelina z progiem tak szerokim, że na nim nadzwyczaj gęsto powyrastały krzewiny. Pomiedzy nimi bujały przede wszystkim dzikie róże i powoje, których krzaczyste gałęzie zwieszały się na dół i zakrywały wyższą część ściany. Krzewy te utrzymywały cień i wilgoć przy ścianie, skąd poszło, że nawet dosyć głęboko wryte litery zarastały mchem i ulegały zniszczeniu.

Nowsze napisy, których zresztą i po innych miejscach była mnogość niemała, nie mogą nikogo zajmować. Z najdawniejszych można było jeszcze wyczytać: *Ewar... Kuropat...* zapewne Ewaryst Kuropatnicki, znany jeograf i zbieracz z końca XVIII wieku. *Zaklika Tarto*. 1512. *Herburth, z Fulsztyna...* 1585. Byli to bez wątpienia ciekawi podróżni z bliższych okolic. W innym miejscu widać było bardzo wiele myśli nasuwający napis w tych słowach: *Veni et vidi, nunc credo. J. F. Comes de Kergor...*⁴ trzy albo cztery litery nieczytelne, a dalej rok:

⁴ *Veni et...* (łac.) – Przybyłem i zobaczyłem, teraz wierzę. I. F. hrabia de Kergor...

1500. Tuż zaraz pod nim napis już wcale zagadkowy: *Pax tibi, amice. Auctus*⁵. Obok tych dwóch inny równie niejasny: *Na pohybel...* potem kilka słów całkiem zatartych, a pod nimi podpis bardzo trudny do wyczytania: *Biołowus Kniaż*.

Wszelako jedna część tej ściany była nakryta obszernym napisem, który, lubo najwięcej zniszczony, był jednak najwięcej zajmującym. Wyglądał on jakby nagrobek albo też napis na nagłówku kościoła, z czego powszechnie wnoszono, że w tym miejscu, we wnętrzu skały, znajdowała się kaplica, a pod nią zapewne groby rodzinne. U góry bowiem, na parę sążni wysokości, widać było wyryte trzy wielkie litery: D. O. M., ponad którymi wyłobiony był krzyż prawie pół sążnia wysoki. Pod literami były wyryte dwa wiersze łacińskie, ale tak zniszczone, że tylko z wielką trudnością można się było domyśleć tych słów: *Piae memoriae... illustris... Dominae... ex stirpe Kmytharum*.⁶ Pod tymi słowami znowu krzyż mniejszy, a pod nim cztery Wiersze polskie. Wiersze te były niegdyś bardzo starannie i dosyć głęboko wyłobione w piaskowcu, a nawet, o ile się zdaje, zapuszczone jakąś smolą, zapewne w celu zachowania ich od zniszczenia; mimo to jednak niszczyły więcej niż inne, prawdopodobnie skutkiem pęknięcia skały w tym miejscu od prawej ręki u góry ku lewej na dole, przez co się utworzyła zakłęśłość, ściągająca wilgoć ku sobie. Wiersze te były jeszcze dlatego bardzo trudne do odczytania, ile że ten, który je rył, pomieszał litery gockie z łacińskimi, jak to niejednokrotnie w rękopismach owego czasu widzimy, tak że pozostałe fragmenty, zwłaszcza przy tamtoczesnej, całkiem dowolnej pisowni, stały się prawdziwymi hieroglifami. Toż z tego czterowierszowego hieroglifu można było jakkolwiek wyczytać tylko te słowa:

Duscha moya
Zyemsską ssthrza róža
Nath zytsyem Panye,
Day

Pod tymi wierszami był rok, z którego wszakże tylko trzy pierwsze cyfry zostały M D C, dalsze nieczytelne.

Z tych kilku napisów, chociaż tylko w maleńkiej części zdecydowanych, zwłaszcza jeśli je porównamy z podaniami krążącymi pomiędzy ludem, w których koniecznie musiało być jakieś ziarno prawdy, zdaje się niewątpliwie wynikać, że zamek ten, chociaż jego początki giną może w czasach zamierchłych, istniał i był zamieszkanym jeszcze w wieku XV. Jeszcze natenczas mieszkali tu jacyś ludzie rycerscy, wrzały tu jakieś wielkie namiętności, odgrywały się jakieś sceny gwałtowne i zapewne tragiczne, po których nastąpiły w sposób niezwykle a silnie działający na wyobraźnię zniszczenie zamku i śmierć jego mieszkańców. Zaś po ich śmierci zostali ludzie, którzy, wiedzeni ciekawością, wiarą i niewiarą, miłością i nienawiścią, odprawiali tutaj pielgrzymki i zostawiali po sobie napisy.

Jakież to był ten zamek, którego okrucy, toczony rdzą tylu wieków i roznoszone wichrami, mają jeszcze dziś tak ogromne rozmiary? Jacy to byli ci ludzie, którzy takich olbrzymich skalisk potrzebowali na swoje mieszkanie? Jakże to były te wrzące namiętności, te wielkie cnoty lub zbrodnie, co spowodowały gwałtowne zniszczenie zamku, a może i ludzi, wtenczas się tam znajdujących? Jakaż to wreszcie była ta nadludzka potęga, która z takich olbrzymich skał zbudowane zamczysko rozbiła w gruzy, a jego szczątki porozrzuciła po całej dolinie?

Za tym niejeden uczone grzebał cierpliwie po zapleśniałych pergaminach i księgach i nic nie wygrzebał. Nad tym niejeden zbieracz starych pamiątek, badając słowo za słowem wszystkie podania i składając głoskę do głoski ze wszystkich napisów, bardzo mozolnie rozmyślał – i nic nie wymyślił. Tu, pod tą olbrzymią skałą, która swoimi niebotycznymi iglicami

⁵ *Pax tibi...* (łac.) – Pokój ci, przyjacielu. *Auctus*.

⁶ *Piae memoriae ... illustris ... Dominae ex stirpe Kmytharum* – Świętej pamięci ... dostojnej ... Pani ... z rodu Kmitów.

porze przelatujące chmury, wśród uroczystej ciszy tego cmentarza wspomnień dziejowych, niejeden młodzieniec, rozmiłowany w narodowej przeszłości, długie godziny przemarzył – i nic nie wymarzył.

Ale jest człowiek, który to wie, i tobie opowie, twoim polskim językiem, prostym a przezroczystym, ażeby ci się rozjaśniła ta przeszłość, szarą mgłą zapomnienia nakryta, i ażeby ci się zdawało, żeś sam żył wtedy i wszystko to widział własnymi oczyma, jak to wyczytasz poniżej.

I

ZAMEK TUSTAŃ

Ruiny zamku, które dziś się nazywają „Kamieniem w Uryczu”, w dawniejszych wiekach nie nosiły tego nazwiska. Wieś Urycz, leżąca nad Zgniłą Lipą, została założoną dopiero przed dwustu kilkudziesięcią laty, a dawniej nie było tu żadnej osady, noszącej podobną nazwę. Zamek, tutaj stojący od najdawniejszych czasów, nazywał się Tustań. Nawet te skały, nim jeszcze je zamieniono na mieszkanie dla ludzi, a raczej cała tutejsza okolica, nosiły prawdopodobnie to samo nazwisko, o czym są także głuche wieści w podaniach ludowych.

Skały te w owej przedhistorycznej dobie, kiedy ludność tutejsza nie знаła jeszcze chrześcijańskiej nauki, służyły za świątynię poganom, w której bałwochwalcze odprawiały się nabożeństwa; nawet i później, kiedy tutejsze bójki, szczep mieszańców krwi słowiańskiej i wołoskiej, co jeszcze dziś widać po ich budowie i rysach twarzy, przyjęli chrzest pod naciskiem swych książąt, a w gruncie serca hołdowali jeszcze pogaństwu, w tutejszych głębokich pieczarach kryli się ich kapłani i odbywały się bałwochwalcze ofiary. Owe okruchy bożków kamiennych i rozmaitych narzędzi nie znanego dzisiaj użytku, które jeszcze niedawno tu znajdowano, z tamtych pochodzą czasów.

W XIII wieku, kiedy Tatarzy pod wodzą Batu-chana po raz pierwszy rozpuścili swoje zagony w Ruś owoczesną, pędząc jak burza piekielna wzdłuż Wisły w kraje polskie na Kraków, na Szląsk i do Węgier, zrabowawszy Ruś całą do szczętu, pozostawiali za sobą załogi, które pilnowały skarbów zabranych. Ruś była wtedy jednym z najbogatszych krajów południowo-wschodnich; prowadząc nadzwyczajnie ruchliwy handel z Grecją, z całym Wschodem, a nawet lądową drogą z Indiami, nagromadziła bogactw wszelkiego rodzaju bez miary; liczni jej wówczas mieszkańcy, nie tylko po miastach i grodach, ale i po wsiach opływali w złoto, srebro i najpyszniejsze tkaniny wschodnie: dla przechowania tych cennych łupów, nimby mogły być przewiezione w kraje tatarskie, potrzeba było schowków obszernych i jakkolwiek obronnych. Owo więc wówczas Tatarzy, osadzając swoimi ludźmi co bezpieczniejsze zamki po kraju, opanowali tamże te skały tustańskie i zmurowali tu zamek swym obyczajem, który tym pewniej mógł stawić czoło jakimkolwiek napadom, ile że broniły go już od natury wzniesione, niedostępne skaliska. Wtedy też niewolnikami, których w kraju zniszczonym i zupełnie bezbronnym mogli mieć tysiącami, powykuwali te izby obszerne w skałach, porozszerzali dawniejsze pod skałami pieczary i przekopali kanał podziemny, wiodący popod rzekę i staw aż do owej drugiej gromady skał, którą jeszcze dziś widać po tamtej stronie doliny, a gdzie zbudowali drugie, również obronne schronisko.

Tatarzy ci jednak, którzy tutaj osiedli, zdaje się, że jeszcze po ustąpieniu Batu-chana z Węgier w swe stepy zapadłe, przez długie lata tutaj siedzieli, albowiem wtedy opodal od zamku powstało ludne i bardzo ruchliwe miasteczko, które także nazywało się Tustań. Miasteczko to, którego ludność była mieszana ze skłonnych do handlu Tatarów i równie przemysłnych bojków, bardzo szybko się rozwinęło i przyszło do pewnego znaczenia. Mieszkańcy jego trudnili się głównie tkactwem, wyrabiając płótna z lnu i konopi, które wysyłali na Wschód, sprowadzając natomiast stamtąd bogate tkaniny wschodnie i skóry barwione. Czy

miasteczko to jeszcze wtedy nazywali Rusini Bycz, jak utrzymuje podanie ludowe, czy była tu przedtem osada pod nazwą Chorostków, jak chcą kronikarze, tego dziś dociec nie można; wiemy tylko, iż z końcem owego wieku było ono otoczone obronnymi murami i było bogatszym niżeli Stryj i Drohobycz, a jego składy towarów były sławne na całej Rusi. W tym czasie nie było już wszakże Tatarów ani w mieście, ani na zamku. Bogaci mieszczenie zapewne ich w części strawili pomiędzy sobą i przerobili w Rusinów, a zresztą wykurzyli z zamku za pomocą swych książąt. Wtedy też zamek spustoszał, a tylko miasteczko zostało.

Pod owe czasy zagnieździli się w zamku czarnoksiężnicy, którzy rozmaitymi gusłami ściągali do siebie lud okoliczny. Widywano tam wtenczas duchy, błądzące po nocy pomiędzy murami; czasem na najwyższych szczytach zamkowych baszt zjawiały się nieludzkie postacie, ziejące ogniem około siebie, a wtedy i z okien zamku wyskakiwały płomienne języki i czarne dymy z iskrami, które zapach siarki ścieliły po całej dolinie; innym razem słychać było huk głośny w zamkowych podziemiach, jak gdyby kucie młotów w hamerni.⁷ Byli to zapewne potomkowie Tatarów albo może Opryszki, którzy w dzień się zabawiali gusłami, aby odwrócić uwagę od swego rzemiosła, a w nocy przekuwali złoto i srebro, zrabowane pomiędzy ludźmi. Wielu ludzi rozumnych, których i wtedy nie brakło, było tego mniemania: wszelako żaden z książąt ruskich ani wołoskich o ten zaczarowany zamek się nie pokusił – i zamek dalej pustoszał.

Dopiero Kazimierz Wielki, zabrawszy Czerwoną Ruś, zwrócił nań swoją uwagę, jako na budowę z natury i z położenia silnie obronną, tak przeciw Węgrom albo Wołochom, jak przeciw nawale tatarskiej; nie bojąc się zaś ani duchów, ani czarnoksiężników, kazał go na nowo oprawić. Tak w owym czasie, kiedy za mądrą radą tego niespracowanego króla-murarza wzniesiono z gruntu albo poodnawiano zamki we Lwowie, w Sanoku, w Przemyślu, w Lubaczowie, w Trembowli, w Haliczu i Włodzimierzu, odmurowano także zamek w Tustaniu i postawiono go w stanie doskonałej obrony.

Wówczas, gdzie dzisiaj stoją ostatki dwóch baszt od północy, stała ogromna brama żelazna, obracająca się na żelaznych wrzeciędzach; nad nią zaś między dwiema basztami wznosiła się obszerna strażnica, opatrzona zewnątrz i wewnątrz kamiennym krużgankiem. Naokoło obszernego dziedzińca wznosiły się zabudowania zamkowe z muru grubego na sążęń, a na dwa piętra wysokie. Na dole znajdowały się stajnie, wozownie, lamusy, kordegarda⁸ i inne izby dla sług i żołnierzy, na pierwszym piętrze wysokie komnaty mieszkalne, na drugim zaś mnóstwo izb mniejszych dla fraucymeru i gości. Kilka schodów kamiennych prowadziło do komnat, z których główne, znajdujące się przeciw bramy wjazdnej, były szerokie na kilka sążni i zaczynały się już na dziedzińcu, gdzie były opatrzone podwójną balustradą kamienną i ogromnymi kolumnami, na których spoczywał szeroki krużganek pierwszego piętra. Na tych schodach czekali zwykle żołnierze i goście postronni co pośledniejsi, nim zostali wpuszczeni do pańskich pokojów. Z tych schodów także pan zamku miewał przemowy i wydawał rozkazy zgromadzonym w dziedzińcu żołnierzom, mieszczenom lub chłopom.

Dwie baszty narożne, z których pozostały jeszcze do dziś dnia takie olbrzymie szkielety, były podówczas jeszcze daleko grubsze i wyższe, obydwie zaś opatrzone strzelnicami. W czasach późniejszych uzbrojono je w śmigownice, których było po cztery na każdej, zaraz powyżej zębatach dachów zamkowych. Najwyższa zaś baszta skalista, w której jest izba wykuta, była opatrzona szerokim kamiennym krużgankiem, na którym można było siedzieć wygodnie i cieszyć się owym wspaniałym widokiem na okoliczne miasta i kraje. Ten krużganek basztowy, jak go też nazywano, był tak wysoki i tak górował wszystkie inne baszty i mury, że można było zeń widzieć jakby na dłoni, kto wchodził lub wjeżdżał w główną bramę zamkową. Natomiast nie można było patrzeć na dół pod basztę na zewnątrz, tam bowiem znajdowała się owa przepaść, dzisiaj drzazgami skał i zmurszałymi drzewy zasypana, a przepaść ta

⁷ h a m e r n i a (niem.) – kuźnia

⁸ kordegarda (fr.) – izba żołnierska na odwachu

tak wtedy była głęboką, że nikt w niej nie mógł zapuścić wzroku, każdy dostawał zawrotu głowy i musiał się zaraz oprzeć o poręcz i oczy odwrócić. W tej baszcie, na równi z poziomem zamku, znajdowała się kaplica, a pod nią groby, ale próżne po wszystkie czasy, bo panowie tutejsi, chociaż mieszkali za życia, nie chcieli się chować w tym zamku. Chowali się wszyscy w Drohobyczy pod cerkwią, za Władysława Jagiełły zamienioną na kościół. Obok wchodu do grobów zaczynał się kamień podziemny, wtedy wycembrowany na nowo a wychodzący na powierzchnię ziemia w tym miejscu, gdzie dzisiaj widać drugą gromadę skał lasem jodłowym zarosłych. Wówczas znajdował się tam folwark zamkowy, zwany Posadą, w którym mało zajmowano się gospodarstwem rolnym, natomiast wszakże w bardzo obszer-nych stajniach i szopach chowano konie, bardzo piękne, silne i rosłe, które też na bujnych i tłustych pastwiskach leśnych tak dobrze się udawały, że w niczym nie ustępowały sławnym naówczas koniom stada Buczackich.

Zamek razem z miasteczkiem i bardzo wielkim obszarem łąk, pastwisk i lasów dokoła, na którym jednak wtedy jeszcze niewiele było osad i wiosek, był własnością królewską – a że zbudowany był na to, ażeby stanowił ogniwo całego łańcucha zamków obronnych od granicy węgierskiej, więc nigdy nie został zamieniony w starostwo, a siedział na nim po wszystkie czasy rotmistrz, mianowany przez króla, należący do wojskowego dworu królewskiego i mający pod sobą załogę, złożoną z żołnierzy utrzymywanych sumptem⁹ królewskim. Był też zawsze zależnym tylko od króla i własną miał jurysdykcją.¹⁰ Starostowie grodowi bliższych okolic, stryjscy, żydaczowscy, przemyscy, wodząc się ustawicznie za łby ze sobą o granice swych jurysdykcji, niejednokrotnie wyciągali rękę po zwierzchnictwo nad zamkiem tustańskim. Ale tutejsi rotmistrze zawsze im się umieli obronić – a w razie potrzeby król stawał w obronie ich niezawisłości, bo każdemu królowi, zwłaszcza od czasu kiedy rozzuchwalona szlachta w imię powszechnej wolności zaczęła władzę królewską coraz bardziej ukrócać, niemało zależało na tym, aby miał zbrojnych ludzi rozsianych po całym kraju, na których by w każdym wypadku mógł liczyć. Toteż bywały niejednokrotnie tarcia pomiędzy tymi rotmistrzami a szlachtą, urzędnicy ziemscy i wojewódzcy ich nie lubili; a chociaż im się należał tytuł starostów, bo w urzędowych aktach tytułowano ich *capitaneus*, przecież zwykle nazywali ich rotmistrzami.

Kazimierz Wielki miał obok siebie powiernika i przyjaciela, który się zwał Jan Suchywilk ze Strzelec, herbu Grzymała, a był najprzód dziekanem krakowskim, potem kanclerzem koronnym, aż go w końcu król przy śmierci mianował egzekutorem swego testamentu. Kiedy król zabrał Czerwoną Ruś, Suchywilk był niejako jego zastępcą do wszelkich spraw tych krajów zabranych i dlatego powszechnie dawano mu tytuł kanclerza dla ziem ruskich. Korzystając ze swego owoczesnego wpływu, jako to zawsze rad pomaga swój swemu, ksiądz kanclerz za łaską królewską osadził swojego brata na zamku tustańskim. Brat ten się pisał czasem Mikołaj, a czasem Nyczko de Strzelcze et de Baranów Suchywilk Grzymalita. Grzymałowicze, zarówno z Nałęczami, byli od dawna jednym z najpotężniejszych rodów w Wielkiej Polsce – wszakżeż niebawem potem prowadzili wojny ze sobą, które sam król Jagiełło musiał rozimać – ale byli też bardzo rozrodzeni i nie wszystkim wystarczało na suty kawałek chleba.

Mikołaj pochodził tylko ze Strzelec, ale ich nie miał; miał wprawdzie Baranów, w tłustych ziemiach leżący nad Wisłą, ale go musiał zastawić, bo bijąc się przez cały wiek młody po cudzych krajach, narobił długów, z których się nie mógł inaczej wydobyć: toż to starostwo w Tustaniu było dla niego prawdziwym darem Opatrzności, który należało szanować i ile możności utrzymać. Jakoż stało się to niejako tradycyjnym przykazaniem w jego rodzinie: trzymać się Tustania, a Baranów wykupić. Potomkowie jego, chociaż niektórzy z nich byli już bliscy tego upragnionego celu, przecież Baranowa nie wykupili, bo zawsze, kiedy już grosz

⁹ sumpt – koszt, nakład

¹⁰ jurysdykcja (łac.) – prawo wymiaru sprawiedliwości w pewnym okręgu sądowym

był uzbierany i mało co brakowało, to albo wojna wybuchła i dużo grosza napsuła, albo syna trzeba było w cudze kraje wyprawić, albo też córkom wypłacać posagi. Było też proroctwo w ich domu, które jakiś wędrowny rybałt im zostawił, napisawszy na szkaplerzu przyniesionym ze Ziemi Świętej te słowa: „Który z was Baranów wykupi, będzie ostatnim z rodu”. Tak ten i ów może by był mógł ten majątek wykupić, ale bał się proroctwa. Natomiast wszakże wszyscy trzymali się rękami i nogami Tustania – i stała się ta rzecz, dosyć dziwna pod owe czasy, że go przez króle węgierskie i książęta opolskie i przeróżne matactwa duchowne i świeckie za Kazimierza Jagiellończyka przetrzymali, przez sto pięćdziesiąt lat blisko nie wypuścili z ręki i do dziś dnia na nim siedzieli. Tak skalistą i niepożyłą była naówczas ta prześwietna krew wielkopolska, natchniona duchem świętym miłości ziemi przez Bolesława Chrobrego, a zaprawiona nieustającą walką z Niemcami. Ale też ci Grzymalicy Wilkowie, jak ich powszechnie nazywano w tym kraju, a do którego to nazwiska i podanie ludowe się przyczepiło, byli to ludzie twardzi, wytrwali i trzymający się ściśle swoich rodowych przykazań. Każdy z nich już z dziecka przykładał się do rycerskiego rzemiosła na zamku ojcowskim, wyrostkiem szedł na służbę do najprzedniejszych rycerzy w ojczyźnie, młodzieńcem zaś wyprawiał się w cudze kraje, kędy właśnie wojny bywały, i tam się bijał z Maury, Murzyny i Saraceny, aż póki nie wrócił z zaszczytnymi świadectwy od królów postronnych na zamek krakowski. Wtedy żaden król nie śmiał jemu odmówić sukcesji po ojcu – a kiedy ten zamek odzierał, podobno już nikomu i na myśl nie przyszło mu go odbierać, bo tych skalisk tutejszych nikt by i zębami nie ugryzł.

Za króla Olbrachta siedział na tym zamku Lenard Suchywilk Grzymalita, piszący się zawsze de Strzelcze et de Baranów, *Rothmagister Serenissimi Regis, Capitaneus in Castro Tustan*.¹¹ Był to wtedy człek jeszcze młody, miał lat dwadzieścia sześć albo mało co więcej, pięknego był wzrostu, ale nie nadto wysoki, a suchej kompleksji, jak wszyscy jego przodkowie, z czego też i przezwisko Suchywilk jeszcze jego praszczurowi, owemu kanclerzowi ziem ruskich, przyrosło. Mimo to jednak kość miał potężną, muszkuły silne, a taką sprawność w całej postaci, że w pełnym rynsztunku wskoczył na konia bez strzemion albo się wdrapać na najwyższy cypel wieży było mu prawie zabawką, do czego zresztą się przede wszystkim wprawiało całe owoczesne rycerstwo. Twarz także miał chudą, cerę z lekka smagłąwą, lecz zdrową, nos chrząstkowaty i równy, oczy wyraziste i zwykle bardzo łagodne, lecz czasem dziko błyszczące, wąs niewielki i bródkę przystrzyżoną spiczasto; zaś swój włos ciemny, bogaty nosił w kędziorach spadających na plecy, tylko nad czołem go krótko przystrzygał, ażeby w bitwie, gdzie często pierś o pierś trzeba się zetrzeć, jakiś wróg zapalczywy nie mógł go wziąć za czuprynę, co już dla knechta byłoby rzeczą bardzo szpetną, a dla rycerza wcale haniebną. Kiedy sam bywał w domu, ubierał się w kaftan łosiowy brunatny, a przepasywał się pasem skórzanym, nosił buty wysokie powyżej kolan, pod kolanami rzemykiem spięte i opatrzone w srebrne ostrogi, a na głowie kapelusz pilśniowy z szeroką krezą i strusimi piórami. Głowę nosił wedle humoru, który od chwili do chwili się zmieniał u niego. Czasem był cichy, spokojny i zamyślony, a ludzie jego zauważali, że wtedy z duchami rozmawia. W takie dni często wieczorami wykradał się z zamku i nikt nigdy nie wiedział, gdzie bywał... Lecz często głowę nosił wysoko, męczył swoich żołnierzy musztrami konno i pieszo, kazał występować załozde w miasteczku, opatrywał mury i baszty, burczał wszystkich, tego i owego kazał wrzucić do turmy – a wtedy, choćby kto był kasztelanem lub wojewodą, musiał mu zmilczeć, zwłaszcza na jego terytorium, gdzie też miał jurysdykcję. Toteż w całej okolicy mówiono sobie, że to pan wielki, czuje króla i kardynała za sobą i kiedyś przyjdzie do wielkich dostojestw.

Wszelako mimo tych zmiennych humorów, czy pogoda, czy słońce, ba, nawet po mrozie trzaskającym, codziennie rano wsiadał na koń i jechał na folwark, gdzie w obszernych dziedzińcach konie ujeżdżał albo swoim pacholikom kazał je musztrować przed sobą. Albowiem

¹¹ *Rothmagister...* – Rotmistrz najjaśniejszego króla, kapitan w grodzie Tustan

zawsze miał kilku, a czasem i kilkunastu młodzieży przy sobie, którzy się u niego uczyli rycerskiego rzemiosła. Byli to synowie drobniejszej szlachty, bogatych kmieci albo i mieszczan z bliższych okolic, którzy szli chętnie na służbę do niego, bo w swojej szkole umiejętniej a twardej bardzo prędko ich wyuczał na knechtów, zaczem w czasie wojny mogli się tym łatwiej odznaczyć i pasowani być na rycerzy. Toż szkoła jego, chociaż dopiero od lat kilku tu mieszkał, była sławną na całej Rusi, lecz jeszcze sławniejszym jego stado, prowadzone przez jego ojców od blisko półtora wieku z wielką skrzętnością i znanstwem. Od najdawniejszych czasów dwa gatunki chowano w tym stadzie: jedne ogromne, niezmiernie silne i bardzo wyniosłe, które nosiły na sobie zbroję żelazną i których rycerz zażywał do bitwy – a drugie mniejsze, równie silne, lecz szybsze do biegu, a przeto dogodniejsze do podróży i pod pacholików. Tamte zwane *dextrarius*¹² – i były to konie bardzo rozumne, przytomne, waleczne, rozumiejące się z jeźdźcem, a często z nim razem walczące zębami i kopytami. Konie tej rasy, w Polsce chowane, były często już z urodzenia całkiem białej sierści i były znane i bardzo cenione w całych Niemczech i we Francji, o czym niemało jest wspomnień w ówczesnych pamiątkach tych obydwóch narodów. Suchywilk miał zawsze kilka takich ogierów (na klacze żaden rycerz owego czasu nie siadał), często całe dni z nimi trawił i wyuczał je takich sztuk rozmaitych, że wszystkich nimi zadziwiał. Toteż lud okoliczny opowiadał sobie o nim, że się mowy końskiej nauczył i z koniem tak samo rozmawiał, jak z człekiem.

Młody Lenard ówczesnym zwyczajem rycerskim do siedmiu lat chował się w domu pod opieką matki, potem siedem lat strawił na dworze Kmitów na Sobniu, gdzie był bardzo kochany i jeszcze później czasem powracał, stamtąd się dostał na dwór królewski na pazia, ale niebawem przeniósł się do dworu królewicza Fryderyka, gdzie przepędził lat kilka. Jednak już w dwudziestym roku życia poszedł w cudze kraje, gdzie w Niemczech, we Francji i Hiszpanii u rozmaitych książąt trzy lata przesłużył, i dopiero w roku wstąpienia na tron króla Olbrachta do Polski powrócił. Wtedy, zyskawszy łaskę królewską, a zresztą za przyczyną królewskiego brata, który tymczasem został biskupem krakowskim, wszedł w komput¹³ armii królewskiej i jest mianowany rotmistrzem. W tej służbie przepędził jakie pół roku – a kiedy właśnie jego ojciec, umiera (matka już od lat kilku nie żyła), król mu oddaje Tustań po ojcu. Natenczas Wilczek – bo tak go nazywano jeszcze u Kmitów i to przezwisko mu na zawsze zostało – osiadł na zamku ojcowskim, objął komendę nad zamkiem i załogami, ale mało co zmienił w urządzeniach ojcowskich.

Załogi te w czasie pokoju były bardzo nieliczne. Na zamku było tylko czterdziestu czeladzi konnej, razem z starszyzną, których z niemiecka nazywano knechtami. Każdy z nich miał na sobie kaftan łosiowy, lekki pancerz na piersi z półplacem na plecach, łapki żelazne na rękach i hełmik bez piór; uzbrojony zaś był tylko w miecz krótki, w toporek i tarczę w blachę okutą. Pióra na hełmie nosił tylko namiestnik, zaś obok niego tylko ci żołnierze, co pochodzili z rodzin szlacheckich.

Nad nimi miał komendę pan Ramułt, który był zarazem burgrabią na zamku i rządcą całego obszaru i wszystkich włości, które należały do zamku. Był to szlachcic herbowny i mający własną posiadłość pod Drohobyczem (nagrobki jego potomków można jeszcze dziś widzieć w drohobyckim kościele), człowiek lat pięćdziesięciu, z pięknym wąsem szpakowatym i krótko podstrzyżoną czupryną, barczysty i słuszny, żołnierz doświadczony, lecz przy tym gospodarz wyborny, umiejący łączyć zapobiegliwość z nieposzlakowaną zacnością. Bywał on zwykle milczący i chmurny, ale pod tymi chmurami złote kryło się serce. Zamożny był z dawna, ale ponieważ jego przodkowie bywali burgrabiami na zamku i namiestnikami tamtejszych rotmistrzów, więc i on został w tej służbie. Wielce był niegdyś przywiązany do ojca Lenarda, więc czuwał także z miłością nad synem, chociaż nie zawsze był z niego zadowolony. Był żonaty i dużo miał dzieci; żona jego zawiadywała gospodarstwem kobiecym na zam-

¹² *dextrarius* (łac.) – idący z prawej strony rycerza koń bojowy, którego rycerz dosiadał w czasie bitwy

¹³ komput (łac.) – poczet, etat

ku i często tu przebywała, ale daleko chętniej zdawała ten urząd na starą klucznicę, a sama się wymykała do swego dworku; wyjeżdżając zaś, zwykle mówiła na ucho swemu mężowi:

– A piłuj tam naszego pana, aby się kędyś ożenił, bo tak niedobrze.

Załoga w mieście powinna była wynosić sto ludzi, a między nimi dwudziestu łuczników konnych, reszta zaś kopijników pieszych, uzbrojonych włóczniami i toporami. Utrzymanie tych ludzi było właściwie obowiązkiem starosty rezydującego na zamku, ale od czasu jak miasto zaczęło się podnosić i urosło w bogactwa, wtłoczono ten ciężar na mieszczan, którzy wprawdzie mieli swojego burmistrza i radnych, ale magdeburgii nie mieli i byli podlegli tu- stańskiemu staroście. Starosta miał pewne powody nie obciążać mieszczan, a patrzeć na stan tej załogi przez szpary: toż zamiast ośmdziesięciu kopijników, chociaż wszyscy byli spisani i broń dla nich była w cekhauzie¹⁴, błąkało się tam ledwie kilkunastu halabardników, których cała służba ograniczała się na chwytaniu złodziejów i stróży nocnej. Natomiast wszakże musieli utrzymywać, wprawdzie także nie dwudziestu, ale dziesięciu łuczników konnych, bo nad tą miejską załogą miał komendę Biłowus, człek uparty i nieużyty. O piechotę nie dbał, ale tych konnych mieć musiał: proszony i podarunkami obsypywany przez mieszczan, z dwudziestu spuścił na dziesięciu, ale ci dziesięciu musieli koniecznie i zawsze mieć konie i całe uzbrojenie w porządku. Szczęściem, że z poszanowania dla dawnych tradycji nie bronił zwierzchności miejskiej używać ich na posyłki i do innych służb miejskich, zwłaszcza podczas jarmarków – a tak ten wielki wydatek, choć w małej części, opłacał się miastu.

Wilczek, objąwszy rządy, zrazu był się zamachnął, aby Biłowusowi tę komendę odebrać. Nie chodziło mu o tę dziesiątkę łuczników, lecz o to, że w obrębie swego starostwa nie chciał cierpieć urzędu i urzędnika nie mianowanych przez niego samego. Prócz tego Biłowus sprawował urząd poborcy podatków we wszystkich osadach należących do zamku – a ile razy się dowiedział, że Wilczek wyprawił którego z swych knechtów z listami, zawsze się zjawiał u niego i natarczywie upominał się o to, ażeby tylko jego wyprawiano z wszelkimi poselstwami, bo mu się to z dawnego prawa należy. Toż Wilczek przez blisko dwa lata ponawiał kilkakrotnie swoje przeciwko niemu zamachy, a mianowicie za każdym razem, kiedy po kilkumiesięcznym pobycie w Krakowie albo we Lwowie powracał na zamek. Ale Biłowus nigdy nie dał się przemóc – a jak mu tylko o ustąpieniu wspomniano, skakał w oczy jak gadzina choćby samemu panu, a potem jeszcze i groził.

Rusin ten bowiem pochodził z bojarów putnych – a to bywali ludzie twardzi jak krzemień. Dawnymi czasy, za książąt ruskich, niektórzy z nich byli prawdziwymi bojarami dumnymi, miewali znaczne posiadłości i własne drużyny, ale z czasem zmaleli; niektórzy dlatego, że zagony tatarskie zniszczyły ich mienie do szczętu, inni zaś z tego powodu, iż wobec zalewających te kraje Węgrów i Polaków nie umieli im kroku dotrzymać ani w sprawach rycerskich, ani w utrzymywaniu swoich majątków, ani w obronie praw swoich. Tak wielu z nich zeszło na bojarów putnych, którzy się utrzymywali tylko przy swoich małych osadach, a których panowie używali zazwyczaj do poboru podatków i ważniejszych posyłek z publicznymi pi-smami, za co im dawali jurgielty¹⁵ i podarunki.

O przodkach Biłowusa była wieść, że byli niegdyś bojarami dumnymi i posiadali w okolicach zamku wielkie obszary ziemi, na których ludne znajdowały się osady, lecz z czasem także podupadli, tak że dzisiejszy Biłowus miał już tylko dwa łany ziemi, a na nich bardzo skromne budynki i małą forteczkę, i był tylko wójtem we wsi należącej do zamku. Wójtów we wsiach ruskich nazywano kniaziami, dlatego i on nosił ten tytuł. Został mu także urząd poborcy podatków, nie przynoszący wprawdzie miłości u ludu, ale cokolwiek dochodu, prawo rozwożenia listów starosty, które mu odebrano, i komenda nad miejską załogą, jak się już wyżej wspomniało, nadzwyczajnie zmalała. Teraz młody starosta chciał mu i to jeszcze odebrać; Biłowus się bronił pazurami i kłami i wtedy nieraz okrutnie wykrzykiwał po dzie-

¹⁴ cekhauz (niem.) – zbrojownia

¹⁵ jurgelty (niem.) – żołd

dzińcu zanikowym: – A szczo to! – wołał językiem mieszanym, ale tak głośno, że szyby w oknach brzęczały – z bojara mnie zgnetli na kniazia, z sotnyka na dziesiatnyka, z poborcy na draba, bo biedni ludzie nie mają czym płacić i trzeba ich grabić – a i to jeszcze chcą mi odbierać?! Ej! ty panie starosto! nie graj ty ze mną, bo ja chłopom podatki daruję i zburzę czerniawę – a wtedy patrz! abyś się ty na swoim zamku odzierzył. Ale nie zdierzysz, powiadam tobie, nie zdierzysz! – A tak hałasując, wykrzykiwania swoje i groźby powtarzał jeszcze zza bramy. Tak trwały te swary przez blisko dwa lata – a wtedy załoga zamkowa pomiędzy sobą mówiła, że wszystko to się na nic nie zdało, ile że starosta jest twardszy od Biłowusa, znosi mu jego opór do czasu, bo pewnie nie chce, aby mu kniaź chłopów poburzył; ale któregoś dnia, jak go gniew porwie, nie tylko z miejskiej komendy, ale z jego fortecy tak go wyrzuci, jak by kto jabłko strącił z jabłoni. Tak to starosta sam nieraz powiadał knechtom, kiedy z nimi po pracy na folwarku spoczywał...

Tymczasem, temu rok jakoś albo mało co więcej, starosta nagle dla Biłowusa się zmienił, ale tak nagle, jak gdyby czarownica rzuciła na niego urok. Już odtąd nigdy ani jednego złego słowa nie wyrzekł o nim, owszem, nieraz go chwalił przed służbą, mówiąc: – Staroświecki to żołnierz, ale waleczny i może bardzo być pożytecznym. Trzeba owych sto ludzi nazad postawić na nogi w mieście i oddać mu nad nimi komendę. – Jakoż i w rzeczy kazał miastu z jakich trzydziestu kopijników uzbroić, a Biłowusa wciąż pilił, aby ich dobrze służby nauczył. Wtedy też niemal co dwa tygodnie go wyprawiał z listami do Sambora, do Przemyśla, a nawet do Lwowa, tam zaś nie zaraz go odprawiano, tak że czasem i cały miesiąc był w drodze. Zaczem szły zawsze sowite jurgiety od starosty na drogę, traktamenty od panów, do których jeździł z listami, a po powrocie znów podarunki, że się dobrze sprawił z poselstwem. Ludzie zamkowi bardzo się dziwowali tej szczodroblewości, mówiąc: – Ot! jako to łaska pańska na pstrym koniu jeździ, a nigdy nie wiedzieć, kiedy przyjedzie, a kiedy odjedzie.

Tylko pomiędzy babami, że to są zawsze ciekawsze od mężczyzn, rozmaite chodziły plotki. Tam, przy studni i przy kądzieli, opowiadano sobie, że Biłowus ma córkę, bardzo piękną dziewczynę, której strzeże jak oka w głowie, bo ją chce wydać za jakiego bojara, któremu by mógł spuścić swoje majątki i swoje urzędy. Dziewka tak jest przezeń strzeżoną, że nawet do cerkwi sam ją prowadzi i sam odprowadza do domu. Ale jest przy niej jakieś stare babsko, którą powiadają jej ciotką, a której bardzo źle patrzy z oczu. A że to baba i diabła oszuka, więc kto tam wie, co się tam dzieje...

Baba ta, tak to sobie opowiadano, ma kędyś pod Wisznią, niedaleko od jakiegoś cudotwórczego klasztoru, swoją własną osadę, gdzie też po wszystkie czasy mieszkała. Ludzie, którzy chodzili do klasztoru, prosząc księży o pomoc, kiedy księża im nie pomogli, szli oni do niej po radę – iż tym jej bardzo dobrze się działo. A przecież porzuciła własne obejście i przyszła do Biłowusa, gdzie z pani stała się służką, swjej woli nie ma, a często jeszcze od tego starego niedźwiedzia może szturchańca oberwie. Niechże to kto wytłumaczy. Nareszcie co świegotliwsze kobiety jeszcze i to dodawały, że wcale nie wiedzieć, kędy się wieczorami wymyka starosta, że go widziano, jak przy płocie z tą starą babą rozmawiał, że nawet jednego wieczora zauważono, jako wszedł do Biłowusa chałupy i zniknął. Ta stara baba nazywała się Marucha, dziewczce zaś Białowusowej było na imię Ofka – i takie to powieści o nich noszono po kątach zamkowych, z uszczerbkiem dobrej sławy może cale niewinnej dziewczyny i takiego możnego pana, jakim był młody starosta.

Powieści te nie dochodziły do uszu knechtów zamkowych, bo ci po całych dniach byli w pracy, a kiedy mieli jaką godzinę wolną, to się wymykali do miasta, gdzie między pięknymi mieszczkami każdy znalazł sobie lepszą rozrywkę niżeli plotki o cudzych amatorach. Ale był między nimi jeden pacholik, nazywał się Włostek i był synem zamożnego kniazia ze Synowódzka, który wielki handel prowadził suszonymi śliwkami, solą i winem, dorobił się grzecznej fortuny i chciał swego syna wyforytować na szlachcica albo i na rycerza. Włostek miał wtenczas lat prawie dwadzieścia, a że szedł z bojków, więc był nabity, włosy miał kru-

cze, oczy czarne jak węgiel, nos orli i cerę mocno smagłąwą. Nie umiał ani czytać, ani pisać, co jednak wtedy i wielkim panom się wydarzało; ale mimo to był to chłopak setny, serdeczny i śmiały, a do tego rozumny, bo grał na teorbanie i takie piękne piosnki śpiewał, że inni pacholikowie nie mogli się ich odsłuchać, a dziewczki płakały.

Otóż ten Włostek, mając łatwiejszy przystęp do babskiej załogi, niż wszyscy inni, pierwszy dosłyszał owych pokątnych powieści, zaczem uszu naszczurzył – a kiedy jednego dnia baby przy studni podsłuchał, jako je powtarzały, okrutnie je zjeździł, mówiąc z zaciśniętymi pięściami: – Niechże u was raz jeszcze takie klekotanie posłyszę o pannie Biłowusowej, to was strzaskam jak stare garnki, a wasze czerepy rozrzucę po całym dziedzińcu! A potem sam powiem staroście, niech mnie każe powiesić; ale podobno starosta każe jeszcze wasze bebechy pozbierać i rzucić psom na pożarcie, bo też psia to jest robota! – Zaczem plotki cokolwiek przycichły.

A tymczasem Biłowus był kontent z siebie i ze swego starosty. Do swoich dziesięciu konnych dostał trzydziestu piechoty, mieszczanie go respektowali i kłaniali mu się niżej niż kiedykolwiek, aby nie naglił o uzbrojenie reszty, pieczone i warzone posyłano mu z miasta, ocierał się o burmistrzów, komendantów i panów, kiedy jeździł z listami, pomiędzy szerokie grosze praskie zabłąkał się teraz nierzadko i złoty węgierski, a prócz tego miał już szeroką drogę otwartą do odzyskania dawnego znaczenia swych ojców: czegóż mu więcej było potrzeba?

Toteż teraz często przychodził na zamek, szeroko się rozsiadał w kordegardzie zamkowej, w ożywionej rozmowie wyciął tego i owego knechta po ramieniu, niejednego pacholika nogą potrafił, a nawet i samemu namiestnikowi śmiało zajrzał w oczy, swojego skórzanego hełmu przed nim nie uchylił i często mu co takiego powiedział, za co by Ramułt nawet najstarszego knechta szlachcica był wsadził co najmniej na trzy dni do turmy. Jemu zmilczał, a jeno wzruszywszy ramionami, odchodził. Tylko raz jeden – a miało się już wtedy ku wiośnie – kiedy go zastał znów w kordegardzie przechwalającego się bez żadnej miary swoimi u starosty łaskami i kiedy rozzuchwalony Biłowus jemu samemu bryzgnął w oczy rzekomym wpływem, jaki miał na starostę, Ramułt przegiął się nad nim, uśmiechnął się prawie szydersko, splunął na ziemię i rzekł:

– Jakom żyw, jeszczem takiego durnia nie widział!

Śmiech głośny, chóralny wszystkich żołnierzy i pacholików, jak gdyby kto z kilkunastu muszkietów od razu wystrzelił, zawtórzył tym słowom Ramułta – a wtedy i Biłowusowi jakoś się twarz przeciągnęła, a język mu zdrewniał. Jakoż pobawił jeszcze tylko mrugnięcie oka w kordegardzie, zaczem wyszedł milczący i zamyślony w dziedziniec i zniknął za bramą.

I dziwna rzecz, albowiem od tego czasu przez kilkanaście dni się nie pokazał na zamku.

A przez ten czas nowe plotki zaczęły chodzić po kuchniach i izbach kobiecych. Powiadało, że Biłowusa bies napadł. Szeptano sobie, że bił Maruchę i Ofkę i powytłukał wszystkie błony w chałupie. Inni mówili, że chciał je obydwie wypędzić i już ich szmaty powyrzuczał na drogę, ale go jakoś Marucha udobruchała. Szła także wieść, że kazał obydwom kobietom iść do starosty na zamek, ale Marucha i to mu wybiła z głowy.

Opowiadano sobie nareszcie, że te gniewy stąd poszły, że Biłowus się niespodziewanie dowiedział, jakoby starosta wieczorami do chałupy przychodził i usiłował bałamucić dziewczynę, ale nic więcej – i dlatego nie tylko żołnierze, ale i baby srodze potępiały tego starego niedźwiedzia, że takie gwałty wyprawia za taką rzecz marną...

Potem się jakoś uspokoiło w chałupie. Nazajutrz zaś Biłowus wsiadł na koń i w góry pojechał. Jest wielkie podobieństwo, że jeździł w głębokie Bieszczady i tam się radził czarownic, które w niedostępnych jarugach¹⁶ pomiędzy skałami mieszkają i umieją radzić na wszystko. I zdaje się, że czarownice dały mu dobrą radę i dobrą przyszłość mu wywróżyły, bo kiedy po kilku dniach wrócił, to był wcale uspokojny i tylko czasami jeszcze wykrzykiwał z zaciśnię-

¹⁶ jaruga – głęboki jar

tymi pięściami, mówiąc: – Ale jak jej nie weźmie, to was obydwie zbiję na proch i wyrzucę z chałupy!

Naówczas widywano także popa z miasteczka, jako kilka razy wchodził do jego zagrody i długie godziny tam bawił. Biłowus zapewne także i jego się radził, bo był to człek mądry. W budne dni¹⁷ szewstwem się bawił i szył buty tak piękne, że mu za nie bardzo drogo płacono, po trzy grosze za parę, a za trzewiki dwa grosze; zaś w niedzielę i święta, zwłaszcza gdy podpił, miewał takie kazania, że go się ludzie odsłuchać nie mogli. Ale i na tygodniu służył ludziom, gdy było potrzeba, a zawsze bardzo skutecznie, bo i chorobę zażegnał, i diabła wypędził z człowieka, a jeszcze i mądrą dał radę. Co jednak Biłowusowi poradził, tego się nie można było dowiedzieć.

Włostek co wieczór wymykał się z zamku i biegał do Biłowusowej zagrody; do chałupy nie wchodził, bo Biłowus żadnego żołnierza do siebie nie wpuszczał, ale zapewne się pod chałupę podkradał i podsłuchiwał. Raz nawet knechtowie, powracający z miasta, widzieli go rozmawiającego z Maruchą, ale nie mogli dosłyszeć ich całej rozmowy, bo też i nie godziło się podsłuchiwać ludziom rycerskim. Dosłyszeli tylko, przechodząc z wolna, jak Włostek mówił do Maruchy głosem zalanym łzami: – Wiedzcież, Marucho, że nie masz rzeczy, której bym ja nie zrobił dla Ofki, choćby mnie ludzie wysmiali. – A Maruchą na to: – Nie gadaj tak, bo ty nie wiesz wszystkiego. Bądź, jakiś był, a tylko mnie jednej się zwierzaj, bo Ofka cię nie chce, a Biłowus by ci kości połamał, gdybyś tu przyszedł z swatami. Niechaj no się stary rozmówi z starostą, a potem jaki czas minie, to wtedy ja tobie pomogę... – Kiedy Włostek wracał do zamku, ten i ów trącał go łokciem i rozmaite zadawał pytania. Ale on nikomu nie odpowiadał i słowa. Zasiadał ze wszystkimi do wieczery, ale nie jadł i nie pił, zaś po wieczery zasuwiał się w kąt – a kiedy inni hałaśliwie gwarzyli ze sobą, on ciężko wzdychał i milczał.

Tak minęło tych dni kilkanaście.

Tymczasem po zimie, która w tym roku 1496 była bardzo łagodną i prawie bez śniegu, bardzo szybko zazieleniła się wiosna. Były to dopiero ostatnie dni kwietnia, a lasy już wcale bujną się okryły zielenią, długie klucze żurawi było widać ciągnące ku Polsce, stada dzikich gęsi padały na stawy, bocian przechadzał się z wyciągniętym dziobem po rozległych moczarach, jaskółki budowały swe gniazda przy gzymsach zamkowych, jabłonie i grusze okryły się białymi kwiatami, bzy napełniły swoją ożywiającą wonią powietrze, a chaty w liściastych zanurzyły się sadach jak w lasach. Ciepło też było jak w lecie i od dni kilku jasna, tej pełną wiosną oddychającej ziemi, przyświecała pogoda.

Wilczek w te czasy wstawał o świcie, o wschodzie słońca już był na Posadzie i tam do samego południa zabawiał się końmi, każąc je ostrzygać, podkuwać i przejeżdżać przed sobą. Rycerz ówczesny dbał bardzo o swoje konie i strzegł ich w domu i w polu jak oka w głowie, trzymając się hiszpańskiego, lecz między rycerstwem wszech krajów upowszechnionego przysłowia: *Muerto el caballo, perdido el caballero*¹⁸. Rycerz spieszony, mawiano u nas naówczas w Polsce, to posąg strącony. Toż pielęgnowano naówczas konie z nie znaną dziś starannością i uczono je z daleko większą cierpliwością niż dzieci, bo szła spadkiem od wieków w zamkach rycerskich nauka: że człowiek sam się może wyuczyć, a koń potrzebuje nauczyciela. Wszelako Wilczek i godziny popołudniowe trawił na Posadzie, bo kazał rzemienie, kułbaki, wędzidla i wszelkie wojenne przybory opatrywać, czyścić i w razie potrzeby naprawiać, ażeby wszystko było na zawołanie gotowe. Roboty te zwykle się odbywały z zaraniem wiosny, bo Tatarzy często już z bocianami zalewali te kraje i trzeba było być zawczasu przygotowanym na ich przyjęcie. Zaś wczas przed zachodem słońca wracał na zamek, bo i tutaj pacholikowie siedzieli w rynsztunkowej sali po całych dniach nad czyszczeniem i naprawia-

¹⁷ budny dzień – powszedni dzień

¹⁸ *Muerto el...* (hisz.) – dosł.: Kiedy umiera koń, ginie jeździec

niem hełmów, misiurek i wszelkiej broni – a pilnowali ich starsi żołnierze, którzy wszyscy pod owe czasy znali się na płatnerstwie i rusznikarstwie.

Włostek pomiędzy nimi celował, zwłaszcza w polerowaniu stali, i bardzo był rad, że miał zajęcie przez cały dzień, bo robota odpędzała odeń czarne myśli, które mu się wciąż naciskały. Toż był prawie wesół z innymi, tylko czasem zaklął na Biłowusa, nie wiadomo dlaczego, ale zapewne z tego powodu, że pobił Ofkę, o czym on się dopiero przed kilką dniami dowiedział.

Tego dnia Wilczek wrócił po południu jak zwykle, pobawił jakiś czas w zbrojowni, gdzie Ramuł pilnował roboty, a potem z nim razem przeszedł do przyległej komnaty, pierwszej od wejścia, gdzie najchętniej siadywał.

Komnata ta była duża, o bardzo wysokim pułapie, z wąskimi a wysokimi oknami, bardzo poważna, ale bez żadnych ozdób: ściany jej były drzewem wyłożone, niegdyś pięknie rzeźbione, ale dzisiaj już w wielu miejscach zmurszałe, sprzęty w niej grube, drewniane i bardzo niezgrabne, kilka poręczowych stołków stało przy stole, które niegdyś były skórą złoconą nakryte, ale dzisiaj złocenie było już starte, jakieś dwie malatury wisiały na ścianie w czarnych ramach drewnianych, zapewne i dawniej nie bardzo do ludzi podobne, dzisiaj już wcale nie do rozeznania. Daleko wspanialsze, chociaż cokolwiek niższe izby się znajdowały na drugim piętrze; były tam sprzęty złocone i adamaszki albo makaty na ścianach, ale tam Wilczek nigdy nie mieszkał.

Teraz siadł na stołku drewnianym przy stole pod ścianą, a przy nim stanął Ramuł i patrzył mu w twarz z ciekawością albo też z niepokojem, jak gdyby się chciał od niego dowiedzieć, albo jak gdyby mu chciał coś ważnego powiedzieć i badał, azali chwila po temu sposobna. Tymczasem Wilczek poprawił kapelusza, odetchnął z głębi piersi i rzekł:

– Jużem się też dzisiaj spracował jak wół, bo mi Wrony nie chciał statkować. Koń to silny jak niedźwiedź, mimo swego ciężaru szybki jak sarna, a rozumniejszy od niektórego chłopca, ale niekiedy ma swoje fochy, nie chce człowieka zrozumieć, zróbże z nim wtedy, co chcesz.

– Nie bardzo ja trzymam za Wronym – rzekł na to Ramuł – niechby się tam kto inny nim bawił.

– Cóżes sobie do niego upatrzył? – zapytał Wilczek – przecież i sam mi nieraz mówileś, że to najlepszy koń w całej stajni.

– Ale wrony – powiedział Ramuł – a taki koń szczęścia nie niesie.

– To prawda – odpowie Wilczek – ale ma wielką łysinę i wszystkie cztery nogi białe po same kolana, więc raczej srokacz jest niżeli wrony.

Ramuł pomyślał nad tym cokolwiek, a potem rzekł wesoło:

– Jużci i to prawda. Kiedyż wasza miłość myśli wyjeżdżać? na podróż do Lwowa i do Krakowa jeszcze podobno za wczesnie.

– Ja też jeszcze o podróży wcale nie myślę – odpowiedział mu Wilczek. – W mojej skrzyni pusto jak na tej wieży, gdzie puchacze mieszkają, a Kijas teraz pieniędzy nam nie da, chyba aż po jarmarku, jak zwykle, a do jarmarku jeszcze dwa tygodnie z okładem. Jeszcze i towarów nie zabrał z Tustania, więc nawet nie wiedzieć, ile nam się będzie od niego należeć. A potem, choćby i nie dał, to także by mi nie było dziwno, bom się już tak u niego zadłużył, że i sam bym nie doszedł rachunku.

Ale na to się Ramuł uśmiechnął i rzekł:

– Nie wiem, co on tam waszej miłości o tych długach powiada, ale ja prowadzę dokładny rachunek. Pilnuje on się w swym handlu, ale i ja jego pilnuję. Ot! i teraz od dwóch tygodni z okładem, odkąd drogi cokolwiek podeschły, dzień w dzień idą towary z Tustania do Lwowa, a u mnie i każda bryka jest zakarbowana, i to, co było na bryce. Jak przyjdzie kiedyś dzień sądny, to się okaże, że nie jegomość jemu co winien, ale raczej on nam co jeszcze dopłaci. O pieniądze jegomość się nie potrzebuje turbować...

– Prawdęż to mówisz, mój stary? – zapytał go Wilczek śmiejącymi oczyma.

– Jakem wierny sługa waszej miłości.

– Kiedy tak, to i lepiej. Bo wiesz, że ja w rachunkach nie mocen, nawet i wstręt mnie bierze mówić o pieniądzach, bo to rzecz nie rycerska. Jużem też nieraz rozumiał, że Kijas za łeb mnie trzyma długami. Wierzę tobie, boś mnie nigdy nie okłamał: jeno tak nie mów, jakieś dopiero powiedział, bo między mną a Kijasem dnia sądnego nigdy nie będzie. Jam wdzięczność powinien temu zacnemu Ormianinowi i nigdy się z nim nie pokłócę, a zwłaszcza też o pieniądze. Wiesz przecie, jakie on położył zasługi około naszego domu. Jeżeli nasze miasteczko jest dziś tak bogate i takie znaczne nam przynosi intraty, toż to jego robota. Już i dla mego ojca jego worek był zawsze otwarty, a cóż dopiero dla mnie? Małoż on mi pieniędzy dosyłał, kiedym służywał po wielkich dworach? Małoż mi on pomagał, kiedym wojował po Niemczech i Francji? Małoż to długów za mnie popłacił w Krakowie – a czyż i tutaj nie jest on moim nieomylnym podskarbinem? Słuchaj mnie, Ramułt, kiedy by mi przyszło tego człowieka piersią moją zastawić, to bym chętnie to zrobił – a kiedy by mi przyszło zginąć za niego, to jeszcze by to była śmierć nie najgorsza, bo też i on mnie kocha jak syna i także by mnie bronił przed każdą napaścią. A ty? zaliż ty się możesz skarżyć na niego?

– Chowaj mnie Boże – rzekł Ramułt z pośpiechem sługi, który wchodzi w myśl swego pana – owszem, nie miałem z nim nigdy żadnego sporu.

– Więc czegoż mówisz o jakimś dniu sądnym?

– Takem to wspomniał – odpowie Ramułt trochę zakłopotany – bo mi się widzi, że na naszych mieszczanach i chłopach wielkie zbiera bogactwa i mógłby nam jeszcze daniny postąpić.

– Dajże mu pokój – zawołał Wilczek – na to kurka grzebie, aby co wygrzebała. Niechże sobie zbiera bogactwa, tym lepiej dla nas, bo tym pewniej się znajdzie pomoc u niego w potrzebie! Ot! i tak mi już parę razy wspominał, że co roku coś tam odkłada na wykupienie Baranowa, a nawet podobno już dał jakiś zadatek.

– Coś i ja o tym słyszałem – rzekł Ramułt – ale nie pora dziś o tym mówić. Pomówimy o tym kiedyś, jak się wasza miłość ożeni. A na to pora i wielka, bo dziwnie tu pusto w tym zamku, nigdy tu tak nie bywało. Ojcowie waszej miłości żenili się młodo, zawczasu postanawiali swe dzieci i dobrze z tym było.

– Jużci i mnie teraz smutno samemu – rzekł Wilczek. – Z wychowanicą Kijasa chętnie bym się był ożenił. Nie burzyła mi się krew na jej widok, ale cudnie wdzięczna była to dziewczka, poczciwa, dobra, a nawet uczona, zaś przy tym wszystkim wyniosłego umysłu, zgoła tak, jak przystało na żonę rycerza: byłbym mógł całe życie przeżyć z nią w niezamąconej przyjaźni, którą też i bez tego dla niej zachowam na zawsze. Ale cóż, kiedy Kijasowi się uroiło z nią swego syna ożenić. Para to taka dobrana, właśnie jak gdyby kto podłego kota zaprzągnął do jednego wozu z szlachetną lwicą; nie wiem też, jak jej tam do smaku z tym mężem, chociaż to jarzmo znosi cierpliwie i z wielką godnością. Mogłem ja potrzaskać te swaty, nawet już jednej nocy prawie to był postanowił. Ale nad ranem ta myśl mnie odeszła: widać, że mnie serce nie pociągnęło w tę stronę. A dziś sobie powiadam, że tak lepiej się stało, bo przecie by mi było wstrętne wodzić się za łby o dziewczkę ze starym Kijasem, który mi prawie jest drugim ojcem.

– Szkoda to wielka – powiedział Ramułt – bo to panna wielkiego rodu i znaczne szły za nią w podolskiej ziemi puścizny. Ale Bóg nie chciał, więc trudno się skarżyć. Godzi się raczej kędy indziej obejrzeć...

A kiedy zacny namiestnik to mówił, wszedł pacholik służbowy i rzekł:

– Książ Biłowus przyszedł i prosi, aby się mógł jegomości pokłonić.

– Biłowus? – rzekł Wilczek i trochę się zmienił, ale i Ramułt się zmienił i powiedział prędko:

– A ja właśnie chciałem waszej miłości napomknąć, że z tym człowiekiem trzeba by rozumnie pogadać.

– Już ja z nim pogadam – rzekł Wilczek – niech wejdzie.

W małą chwilę potem wszedł do komnaty Biłowus.

Był to człowiek mający wówczas już pięćdziesiąt lat z górą, nie bardzo wielki wzrostem, przynajmniej tak się wydawał, bo miał plecy bardzo wypukłe, ale niezmiernie barczysty, ramiona tam były u niego jak u innych uda, a ręce i nogi jak u niedźwiedzia. Twarz miał szeroką, czuprynę i brodę kłaczyste i już siwiejące, a oczy siwe, okrągłe jak gałki. Był dzisiaj w wielkiej paradzie: miał na sobie cały pancerz z nagolennikami, ale wszystkie jego części z grubej bawolej skóry, krótki miecz w pochwie skórzanej u boku i hełm także skórzany, który jednakże zostawił w sieni. Rękawic także dzisiaj nie włożył, a swoje łapy brunatne niósł gołe przed sobą. Tak wszedł i kilkakrotnie się Wilczkowi pokłonił, uśmiechając się wdzięcznie.

W Wilczka, jak go tylko obaczył, całkiem inny duch wstąpił. Dotąd łagodny jak dziecko i prawie tkliwy, wstał, naprężył się, głowę podniósł wysoko, twarz okrył surową powagą i oparł się o stół stojący pod oknem, rzekł jednak spokojnie:

– Co mi tam powiesz, Biłowus?

Na to Biłowus rozszerzył najprzód ramiona, potem klasnął z lekka w swoje szerokie dłonie, uśmiechnął się jeszcze raz i powiedział, rzucając wzrokiem na Ramułta:

– Chciałem waszej miłości co powiedzieć na osobności.

– Mów śmiało – rzecze mu Wilczek – ja przed Ramułtem nie mam sekretów, a ty masz w nim przyjaciela.

– Tak i powiem – powiedział Biłowus, a klaskając od czasu do czasu w swe dłonie i uśmiechając się ciągle, tak mówił dalej z ruska po polsku: – U nas tutaj na Rusi jest zwyczaj, że dziewczki same posyłają swych swatów do pana młodego, którego z wolą rodziców sobie upatrzą. Owoż moja Ofka upatrzyła sobie waszą miłość, naszego starostę – a ja na to zezwoliłem. Ale żeby w to cudzych ludzi nie mieszać i że ja sam jestem w łasce u wielmożnego starosty, bo to nasze familie żyją z sobą w zgodzie od wieków, więc ja sam przyszedłem zaswatać moją dziewczkę waszej miłości.

To rzekłszy, widocznie kontent był z siebie, bo jeszcze raz klasnął w dłonie i bardzo się wdzięcznie uśmiechnął.

Jakoż istotnie propozycja ta musiała być śmieszna, bo i Wilczek się także uśmiechnął i spojrzał śmiejącymi oczyma na Ramułta; ale Ramułt się nie śmiał, tylko patrzył bardzo groźnym wzrokiem na Biłowusa. Wszelako putny bojar wcale na to nie zważał, natomiast zaś prawie jak gdyby pewnym był swego, znów klasnął w dłonie i tak mówił dalej:

– Wiem ja dobrze, że panu staroście lackim zwyczajem ludzie będą raić jaką kasztelanę, ale moja familia idzie z bojarów dumnych, a nasz bojar prawdziwy dotrzyma rodem niejednemu lackiemu kasztelanowi, co tam na swoich piaskach mazurskich może sam chodził za pługiem, a tutaj zrobiono go senatorem. A fortuna kołem się toczy; jak Pan Bóg pobłogosławi, to prędko będzie bogacz z żebraka. A u Pana Boga ani pan lepszy, ani chłop lepszy, bo On błogosławi tylko ludziom uczciwym. Ot! tak, panie starosto, weźcie Ofkę do zamku, a ja wam pobłogosławię i będziemy sobie razem...

Tu wszakże Wilczek stracił cierpliwość i rzekł do niego już gniewnie, ale jeszcze się powstrzymując:

– Tobie, jak widzę – przewróciło się we łbie. Myślałem zrazu, że jakieś żarty chcesz stroić, ale jeżeliś z tym przyszedł naprawdę, to bądź kontent, jeżeli cię puszczyć całego, a idź sobie do tysięcy diabłów!

A wtedy i Biłowus twarz swoją nasrożył, nie klaskał już w dłonie, tylko powiedział surowo:

– Nie tak, nie tak, panie starosto! – ja z tym nie pójdę...

– Nie pójdziesz?! – zawołał Wilczek gwałtownie, a wtedy żyły mu zaczęły nabiegać na twarzy i dłonie mu się zacisnęły.

– Nie pójdę! – zawołał Biłowus – bom jest ukrzywdzony na mojej sławie i plotki już chodzą o mojej dziewczynie.

– Któż ciebie ukrzywdził? – rzekł Wilczek, jeszcze panując nad sobą.

– Wy! panie starosto! – zawołał Biłowus głosem chrypliwym i jakby łzami zalany – bo po cóż wy się zakradacie do mojej chałupy? Po cóż wy bałamucicie moją niewinną gołąbkę...

A wtedy Wilczek już nie mógł się opanować. Wszystka krew mu skoczyła do twarzy, z oczu posypały się iskry, wargi mu konwulsyjnie zadrżały i krzyknął:

– Ty!... mnie!... paszoł, chłopie!...

I rzucił się jak lew rozjuszony na niego, a porwawszy go swymi żelaznymi rękami, jak gdyby taranem wybił nim drzwi i wyrzucił do sieni. Zaczem z progu zawołał:

– Hej, chłopcy! a doprawcie tam temu buntownikowi i wyjedźcie na nim za bramę... i żeby mi tu ślad po nim zaginał!

Ramułt krok w krok biegł za swym panem, trzymając w pogotowiu swe pięście, a żeby w razie potrzeby mógł mu dopomóc.

Tymczasem chłopcy, pracujący w zbrojowni, wylecieli do sieni, jak gdyby kto groch z worka wysypał. A jak tylko spostrzegli, o co chodzi, wszyscy na Biłowusa zawzięci, a Włostek najbardziej, w kilkunastu rzucili się na niego i wałąc go w łeb, w kark i gdzie go który mógł dorwać, a krzycząc przy tym: – Paszoł! won! paszoł! – prawie na rękach przez dziedziniec przenieśli i jakby snop zboża wyrzucili za bramę.

Zaczem, wesoło gwarząc, wrócili z tryumfem w dziedziniec.

Wilczek, u którego gniew i wesołość jak błyskawice występowały po sobie, stał już wtedy na ganku wychodzącym w dziedziniec i śmiał się, i rzekł do Ramułta, który stał za nim:

– Ot i pierchnął pan teść, jak by świecę kto zdmuchnął. Każde im beczkę piwa do wieczery wytoczyć, a żeby się poweselili za tę fatygę.

A potem wrócił do swojej komnaty.

Czy pop, czy czarownice dały Biłowusowi tę radę, aby starostę ze swoją córką zaswatał, o tym trudno się było dowiedzieć. Ale rada była dobra: bo Biłowus, zmłócony jak snop zboża na toku, ledwie się dowlókl do swojej chałupy – a kiedy się dowlókl nareszcie, Marucha musiała mu warzyć gorzałkę z miodem, leżąc po drabinie do jego fortecy, smarować go całego olejem i nakryć go jak babę swoją pierzyną, aby się przez noc z tych opałów obaczył.

II

RUSINI

Zagroda Biłowusa, chociaż to był człek stosunkowo zamożny, wyglądała na pozór bardzo ubogo. O kilkanaście kroków od drogi na lewo, a ledwie o jedno stajanie od zamku, stała tam chata, dosyć obszerna, ale z nieociosanych kłoców jodłowych bardzo niezgrabnie zbudowana. W szpary pomiędzy tymi kłocami nabito gliny z mchem pomieszanej i przybito tę masę drewnianymi kołkami, ażeby w zimie ciepło nie uciekało z chałupy. Kołki sterczały ze ścian, a końce z kłoców z każdego węgła; wzdłuż ściany frontowej biegła przyzba z gliny ulepiona i niskim płotem podparta, ale także bardzo zaniedbana. Chata ta była nakryta strzechą, niegdyś z całych snopów żytniej słomy dosyć starannie utkaną, ale dzisiaj wichry ją rozczesały i rozburzyły, łączem tu i ówdzie przykryto ją dranicami, a przy nich pokładzono bryły kamieni, ażeby ją ochronić od wichrów. W chacie okna były małe i zakopconymi błonami nakryte, tylko w świetlicy i przyległej komorze były okna szklane, dosyć jasno umyte. W jednym trakcie z chatą szły obora i stajnia na konie, do której były przybudowane chlewy i kurnik. Za chatą stała jeszcze stara szopa na wpół otwarta, w której chowano koleśnice i trochę sprzętów gospodarskich drewnianych, ledwie tu i ówdzie żelazem okutych, lecz dalej żadnych zabudowań nie było: zboże i siano chowano w brogach. Zgoła widać było na pierwszy rzut oka, że Biłowus nie dbał o gospodarstwo, chociaż jego przodkowie musieli dbać o nie inaczej, bo cała ta dziś tak uboga zagroda tonęła w sadach bardzo bogatych i bujnych, gdzie ogromne jabłonie i grusze stały tak gęsto przy sobie, że ich gałęzie splatały się w dach nieprzebity, zwieszający się nad tym całym ogromnym sadem – a przed chatą od drogi, gdzie niegdyś zapewne był wał częstokołem zjeżony, łączyły się w taką samą gąszcz ze sobą ogromne bzy liliowe i białe, berberysy, dzikie róże krzaczyste, winograd i głogi. U wchodu była szeroka furta drewniana, zawsze stojąca otworem – a cokolwiek wyżej między krzakami stał krzyż wysoki, trzymający pomiędzy swymi ramionami znamiona Męki Pańskiej, a obwieszony tu i ówdzie strzępami szmat, które ubodzy ludzie jako pobożne ofiary tam zawieszali.

Biłowus rzeczywiście niewiele dbał o swoje zagrodę i chatę. Było to według niego babskie mieszkanie, niewarte większego zachodu, bo żony nie miał, był wdowcem już od lat kilku, a córkę i tak ktoś weźmie i zaprowadzi do swojej zagrody. Dla siebie zaś nie potrzebował chałupy, bo jako żołnierz z dziada z pradziada miał swoje fortecę.

O paręset kroków od zagrody, bliżej zamku niżeli miasteczka, stał dąb starożytny, istny potwór w rodzinie drzew, jakiego długo trzeba było szukać nawet w lasach ówczesnych, chociaż w nich tego rodzaju olbrzymów wcale nie brakowało. Dębowi temu liczono lat tysiąc albo może i więcej, bo szła wieść między ludem, że ma tyle set lat, ile głównych konarów, a tych miał więcej niż dziesięć. Cóżkolwiek bądź, był to dąb tak olbrzymi, że jego pień mierzył objętości około czterdziestu łokci kupieckich. A musiał być bardzo stary, bo był wypróchniały i zaraz u dołu znajdowała się w nim izba tak wielka, że Biłowus z niej zrobił stajnię. Chował też w niej swego konia przy drabinie i żłobie, a obok konia jeszcze dosyć miał miejsca na wszystkie kułbaki, łąki, munsztuki, czapraki i inne narzędzia, których miał z dawnych lat bardzo znaczne zapasy, a które w wielkim porządku były porozwieszane po ścianach tej staj-

ni. A i koń jego potrzebował także немало miejsca, był to bowiem kałmuk prawdziwy, nie ta wielki jak konie zbrojne rycerskie, ale duży, a tak niezmiernie szeroki w piersiach i krzyżu, że swoją budową był wcale do swego pana podobny.

Ogier ten (bo i Biłowus także na klacze nie siadał) miał łeb kwadratowy z chrapą rozdartą, oczy ogromne i dzikie jak u morskiego potworu, grzywę kołtunowatą i długą, a ogon także rozczochrany i niezmiernej grubości, maści zaś był tak nie pewnej, że trudno dla niej znaleźć nazwę. Był bowiem właściwie żółtawopłowy, ale na grzbiecie i nogach czarną okryty szerścią, a do tego jeszcze tu i ówdzie miał cętki ciemnego koloru. Był to koń tak niesamowity, że nikt do niego nie mógł przystąpić, bo kąsał i bił nie tylko zadem, ale i przednimi nogami jak niedźwiedź, toż i paść go nie było można swobodnie, tylko na linie albo w oparkowanej zagrodzie. Ale Biłowus był z nim jak z bratem; pokazywał nawet nieraz zdziwionym mieszczanom na rynku, jaki to koń spokojny i posłuszny jak dziecko i jak niesprawiedliwie go oczerniano: wtedy podłaził mu pod brzuch, podnosił każdą jego nogę z osobna, całował go w mordę, a kiedy mu to na rozum powiedział, to konisko stał sam przed domem albo gospodą, kędy jego pan bawił, i z miejsca nie ruszył, choćby miał całą noc czekać na niego. Biłowus go dostał od panów braci z Paniowa, ówczesnych starostów na Stryju i Żydaczowie, którzy mało co przedtem siła takich koni na Tatarach zdobyli i rozplodzili z nich całe stado u siebie. Dostawszy go zaś źrebem dwuletnim, sam go wychował i tak się z czasem do niego przywiązał, że gdyby już miał co stracić koniecznie, to prędzej by swoją zagrodę i wszystkie swoje urzędy, a może nawet i swoją córkę przebolał, niżeli swego kałmuka.

Pień tego tak niesłychanie grubego dębu był tak wysoki, że nad stajnią jeszcze druga tak samo obszerna znajdowała się izba, w której Biłowus sam mieszkał. W izbie tej miał wąski tapczan jelenimi i niedźwiedzimi skórąmi nakryty, około tapczana stał stół, na którym leżały rozmaite rusznikarskie narzędzia, popod ścianami na ławach leżały sajdaki¹⁹ łuki, strzały, miecze i noże w pochwach skórzanych, a na ścianach wisały tarcze, hełmy i siatki druciane, których sobie z czasem także немало uzbierał. Znał on bowiem wszystkie rodzaje broni, których wówczas była moc niezliczona, i umiał z nich każdą narabiać jak którykolwiek z rycerzy, ale prócz łuku, który miał zawsze w poszanowaniu, niewiele do nich przywiązywał wartości: jego ulubioną bronią była pałka i topór, pałka z samorodnego dębczaka, starannie wystrugana i główkami graniastych gwoździ nabita, i topór krótki, ale szeroki, opatrzony z jednej strony w młot, a z drugiej w siekiere, mającą kształt półksiężycy. Kiedy ciągnął na wojnę, a nawet w dalszych podróżach w czasie spokoju, wsiadając na koń, brał pałkę na temlak,²⁰ topór przywiązywał rzemieniem do kulbaki pod lewym kolaniem, na plecach zaś zawieszał łuk ze sajdakiem, a tak uzbrojony, wedle zwyczaju swych przodków, bywał strasznym żołnierzem.

W jednym rogu swej izby pod ścianą miał skrzynię dębową mocno żelazem okutą, w której chował szerokie grosze praskie, półgroszki i skojce²¹, zaś w osobnej mecherzynie²² złote floreny węgierskie – a jeżeli się tam czasem pomiędzy grosze prawdziwe, zwłaszcza przy poborze podatków, jaki „piorunek”²³ zabłąkał, to także go schował, bo przy sposobności dawał go Żydom, którzy puścili go w obieg. Nad skrzynią wisały w pękach starannie związane skóry kun, tchórzów, lisie i rysie, które także stanowiły majątek, bo nimi wówczas tak jak pieniędzmi płacono. Tak była ta izba jego sypialnią, zbrojownią i skarbcem – a były do niej trzy wchody: jeden po zwykłej drewnianej drabinie, która stała wewnątrz, a którą Biłowus tylko na noc w górę wyciągał, drugi również zewnątrz po sękach dębu, które stanowiły

¹⁹ sajdak – futerał, w którym mieścił się łuk z cięciwą i kołczan ze strzałami

²⁰ temlak – pas u rękojeści szabli, za który można ją zawiesić na ręce

²¹ skojec – dwugroszowa moneta w dawnej Polsce

²² mecherzyna właśc. macherzyna – worek

²³ „piorunek” – w dawnej Polsce fałszowany półgroszek; pieniądze te były robione z miedzi i posrebrzane przez Pioruna z Kurozwek – stąd zwane „piorunkami”

jakoby schody, a trzeci ze stajni po drabinie splecionej z wici, a która prowadziła do kryjomego wylomu wewnątrz, łączącego wyższą izbę ze stajnią.

Nad izbą mieszkalną, pomiędzy licznymi konarami, z których każdy był jeszcze ogromnej grubości, znajdowała się jakoby platforma splecioną drobniejszych gałęzi nakryta. Z tej platformy odkrywał się widok daleki na wszystkie strony, na miasteczko, na zamek, na nieprzebyte puszcze leśne ciągnące się ku zachodowi i na całą dolinę ku południowi, poprzeryzaną kosmykami lasów i chaszczów. Tam Biłowus w pogodne dni, nawet zimowe, chętnie siadywał i bawił się polowaniem, posyłając ze swego łuku śmiertelne strzały sarnom, lisom i wilkom, kiedy który z nich się na pole wychylił, a nieraz i niedźwiedzia położył, który rad z lasu wychodził na owies albo na miodową ucztę do pasiek przyległych. Chłopcy ze wsi, w której Biłowus był wójtem, chociaż była odległą, bo dopiero na pół stajania od jego zagrody stały pierwsze jej chaty, wychodzili kupkami patrzeć czy Biłowus siedzi ze swoim łukiem na wierzchu dębu. Wtedy czatowali cierpliwie, dopóki jego strzała nie świsnie, kiedy zaś dostrzegli, że zwierza położył, przybiegali z krzykiem ku niemu i dobijali go pałkami. Tak chłopcy wiejscy mieli ucziwą zabawkę – a Biłowus swój dwór myśliwski, który go nic nie kosztował.

Biłowus miał syna, któremu wtedy było już lat dwadzieścia z okładem, a nazywał się Tymko, ale go nie trzymał przy sobie. Już siedmioletnim chłopięciem oddał go do młodych Kierdejowiczów, panów ruskich, którzy wtenczas odziedziczyli po ojcu starostwa na Trembowli i Pomorzanach, na służbę i na naukę, bo chciał z niego zrobić rycerza. Młody Biłowus wcale nie był kontent z tej nauki na zamku trembowelskim, bo Kierdejowicze, bez względu na jakieś tam pokrewieństwa z Biłowusami, dali jego do diaka, a diak kazał mu gęsi paść tymczasem, nim do nauki podrośnie. Zdarzało się to wprawdzie wtenczas i synom rycerskim: ale młodemu Biłowusowi, któremu ojciec tym nabił głowę, że jest potomkiem bojarów, było to przykro, zwłaszcza że ta niepoczesna nauka trwała lat parę, więc uciekł z Trembowli i wrócił o zebranych chlebie do ojca. Wszelako ojciec go przyjął bardzo niegrzecznie, bo go obił dębczakiem, a wsiadłszy na koń, odprowadził pieszo przy koniu nazad do Trembowli, powtarzając mu ciągle przez drogę: – Znaj, pesi synu, zem ja pasł świnię za młodu u Lachów, możesz ty popaść gęsi czas jaki u naszych ruskich starostów. – Zaczem Tymko, chociaż się skruszył przed ojcem, poszedł do głowy po rozum, diakowi gęsi jedna po drugiej wydusił udając zmyślnie przed diakiem, że przyszedł na nie pomorek – a kiedy już nie miał co paść, diak go wyuczył naprędce cokolwiek azbuki²⁴ i jako już wyuczonego parobka oddał na powrót na zamek.

Tam Tymko musiał jeszcze ciężkie przebywać terminy, będąc przez kilka lat poturnakiem zamkowych żołnierzy, ale trwał stale w tej służbie, poduczył się rycerskiego rzemiosła, dostał z czasem sam ubiór i zbroję, aż w końcu się wkręcił na służbę do pana Olizara Kierdejowicza, sławnego w tym czasie ruskiego rycerza, co wodził sto koni pod sobą, zwykle u króla polskiego, a czasem u ruskich książąt służywał, kiedy zaś u nich wojny nie było, robił wyprawy na własną rękę na Tatary, na Wołochy i Turki albo też i na dwory panów ruskich i polskich, kiedy się z nimi pokłócił. Wtedy Tymkowi już dobrze się działo, jakoż nieraz na jakie dni kilka wymykał się do ojca, przyjeżdżał na dobrym koniu ze swoim sługą, ubrany w pakłaki²⁵ i uzbrojony dostatnio, miewał szerokie grosze w kalecie, a czerwone złote w pochwie od miecza, traktował mieszczan tustańskich w ojcowskiej chałupie, a ojcu się grzecznie przymawiał, że chciałby przy nim pozostać na jego zagrodzie. Ale ojciec go słuchał tylko półuchem i odpowiadał zazwyczaj: – Juźci ja zagrody ze sobą nie wezmę, kiedy mnie Pan Bóg powoła do siebie, abym mu niebo oganiał od diabłów. Dziewce dam garniec szerokich groszy i sorok²⁶ skór do wyboru – a tobie się dostaną dąb, cała zagroda i wszystkie moje urzędy; ale to jeszcze

²⁴ azbuka – abecadło starosłowiańskie

²⁵ pakłak (niem.) – grube proste sukno

²⁶ sorok (ros.) – czterdzieści

czas na to. – Po czym zawsze palnął go w papę i dodał: – A służ wiernie twojemu panu, i znaj, pesi synu, że jak przyjdą skargi na ciebie, to i zagrody ci nie dam, jeno sto buków i napędzę do trzysta diabłów, a na moich urządach będzie zięć–po mnie dziedziczył. – Więc Tymko i z tego był kontent, bo policzek to furda, chociaż Biłowus niedźwiedzie miał łapy, a wiele warta była mu pewność, że będzie dziedziczył po ojcu.

Tymko kochał swoją siostrę serdecznie i zawsze przywoził jej podarunki: raz sznurek koralu i trzęsidla z szczerego złota, to znowu sztukę aksamitu i kamchy jedwabnej, a wreszcie poczwórny dukat węgierski i po trzy mniejsze po każdej stronie, a wszystko to nanizane na sznurek jedwabny do noszenia na szyi. Podarunki te mogły pewne podejrzenia obudzać, bo skąd żołnierz ubogi miał brać takie klejnoty? Ale na wojnach ówczesnych nietrudno było o łupy, więc była ekskuz²⁷ – a zresztą Ofka była to dziewczyna tak dobra i wdzięczna, że nawet i cudzy młodzieniec byłby zbrodnię popełnił, aby się jej przypodobać.

Toż w mieście Tustaniu nie było dostatniejszego parobka, któremu by się nie śniła po nocach, niektórzy z nich podkradali się wieczorami pod chatę i wieńce zielone zawieszali na furcie, a byli i tacy odważni, co nawet i swatów posyłali do ojca. Natenczas zanieścionym z Polski zwyczajem szlacheckim, którym chcieli zapewne Biłowusowi pochlebić, przyjeżdżało trzech zacnych mieszczan konno przed chatę, na ich czele zazwyczaj poważny starosta w bogatej opończy; ten zsiadał z konia i pukał w okno świetlicy, wołając: – Hej! kniaziu Biłowus! podobno tam macie dziewczkę w swjej chacie, której czas za mąż. My zaś mamy młodzieńca, który by się chciał postanowić i rad by waszej dziewce posłużyć. Jeżeli wasza wola po temu, otwórzcie wrota, abyśmy się wam pokłonili i mogli z wami pomówić. – Ale Biłowus zawsze im odpowiadał, otworzywszy okienko: – Nie masz tu dziewczki w tej chacie, jedźcie z Bogiem. – A kiedy kilku odprawił tak stanowczą odmową, już potem nikt się nie zgłaszał, a w mieście powiadano sobie na ucho: – Obaczymy, jaki to rycerz albo starosta zapuka kiedyś o Ofkę.

Ofka miała wtedy lat ośmnaście, włos lniiany, oczy duże błękitne, usta jak wiśnie, zęby białe jakby z kości słoniowej, a chociaż mieszkała w zadymionej chałupie, cerę miała tak jasną i przezroczystą, jak gdyby się w pańskich chowała komnatach. Do niedawna jeszcze bardzo żywe miała rumieńce, ale od niejakiego czasu cokolwiek przybladła, co byłoby wcale nie czyniło ujmy jej nadzwyczajnej piękności, gdyby nie to, że mimo bladości na twarzy miała postać zanadto okrągłą i jakoby ociężałą, co wcale nie licowało z jej ranną młodością. Osobliwie też od czasu, kiedy ojciec ją pobił, stała się bardzo smutną, osowiałą, milczącą, a po jej oczach widział kto nie chciał, że bardzo często płakała.

Stara Marucha była to baba niegdyś zapewne budowy potężnej, ale musiała już bardzo być stara, bo była chuda jak szczypa, plecy miała zgarbione, twarz pooraną zmarszczkami i włosy mocno już posiwiałe; tylko spomiędzy jej ust przybladłych wyglądały zęby zdrowe i całe, a zielone jej oczy świeciły jak ślepie u kota. Pomimo starości ubierała się schludnie: miała zazwyczaj na głowie czerwonokwiecistą chustkę zawiązaną z turecka i kaftan sukienny, szeroki, ze świecącymi guzami, że wyglądała zgoła jak mieszcza. Najczęściej bywała wesoła i gadatliwa, że się jej nie można było odsłuchać, toż ludzie słuchali jej z ciekawością i byliby nieraz przy jej powieściach, jak ów Buniak przy uczcie, przesłyszeli pianie koguta; ale kiedy nocą wracali do domu, to ich lęk brał po drodze, bo było w niej coś takiego, czego się nie widuje u innych ludzi. Rzeczy te bowiem, które opowiadała, działy się zawsze w krajach takich, jakich żaden człowiek, żyjący na tej ziemi, nie zaznał; nawet pątnicy, wracający ze Ziemi świętej, co tak okrutnie łgali, że im ledwie kto wierzył, takich krajów czarownych i takich duchów straszliwych nie umieli wymyśleć. Czasem zaś mówić wcale nie chciała, jeno zasuwiała się w ką i wpadała w takie zamyślenie, że żaden hałas jej nie mógł obudzić – a kiedy się przebudziła, przyznawała się sama, że rozmawiała z duchami, którzy ją nawiedzili. Kiedy indziej szła w las i dopiero z północy, a nieraz aż nad ranem wracała, i nikt nie wiedział, czego tam w puszczy szukała. Domyślano się tylko, że zbierała zioła lekarskie, które trzeba rwać po półno-

²⁷ ekskuz (fr.) – wymówka, tłumaczenie się

cy, aby były skuteczne, bo była zawołaną lekarką. Jednak leczyła chorych nie tylko ziołami, bo czasem chłop przyszedł i skarżył się, że go tłucze zimnica, ona mu tylko w oczy spojrzała i rzekła: – Głupiś! ty nie masz zimnicy, jeno ci się przywidziało, idź sobie; – i chłop poszedł, a zimnica go opuściła. Innym przykładła rękę w to miejsce, gdzie gościec go trafił albo kolka kłuła – i ból ustępywał. Ale wszyscy opowiadali, że jej ręka ich piekła jak ogień – a byli i tacy, co pokazywali pięć palców jej ręki, wypieczonych na ich ciele: ten i ów był przekonany, że palce te widział, a kto nie widział, ten wierzył i skutek był jednakowy u wszystkich. Ofka zdawała się być mocno przywiązana do tej dziwnej kobiety, ale może tak tylko, jak tonący się trzyma ostatniej deski, która z jego czołna została. Toteż ten i ów się domyślał, że ta młoda dziewczyna, jak mało która do szczęścia stworzona, pomiędzy takim niedźwiedziowatym ojcem a taką niesamowitą babą, nie musi być bardzo szczęśliwą.

Biłowus, wysmarowany olejem po guzach wczorajszych i pierzynami nakryty, przespał noc całą jak kłoda, a kiedy rano się zbudził i po całym ciele obmacał, to spostrzegł, że czuł daleko boleśniej obrazę honoru niż guzy. Jakoż mocno się nad tym zamyślił i długo nie wychodził ze swej fortecy. Ale myśli jakoś nie szły mu ładem, bo często swoją kudłatą głową potrzasał, ręce zaciskał i mruczał pod nosem:

– Pan, bo pan... a ty sługa: cóż jemu zrobisz? Z nim wszystkie pany trzymają, a za tobą i pies nie zaszczeka. Ej! gdybym ja ciebie gdzie zeszedł we cztery oczy... jeszcze bym ja tobie pokazał, że moja chłopska ręka mocniejsza niżeli twoja, choć pańska. Ale ty zawsze otoczony twoimi drabami. Chybaby strzałę wypuścić na ciebie...

Jednak i to mu jakoś się nie zdawało, bo myślał jeszcze długo i bardzo mozolnie, aż wreszcie rzekł:

– Niech radzi Marucha.

Zaczem spuścił drabinę, zlął po niej na ziemię i poszedł wolnym krokiem do chaty.

W chacie Marucha siedziała przy oknie, a Ofka za piecem, bo też od niejakiemu czasu rzadko się pokazywała przy świetle, obydwie zaś były mocno zasumowane. Zdaje się, że od rana rozmawiały ze sobą, a kiedy już sobie wszystko powiedziały, umilkły. Zaczem znów po niejakiemu namyśle rzekła Marucha:

– Cóż! kiedy nie ma rady, to nie ma. Ale i tak nie zginiemy. Trzeba się rzucić do nóg starości, aby się nad tobą zlitował i obmyślił ci jakie schowanie. Może się tego pan Ramułt podejmie, ja się zakradnę do niego. A jeśli starosta się nie zlituje, to musimy uciekać, bo ten bisnowaty Biłowus nas pozabija. Wymkniemy się nocą, a ja cię przechowam u siebie. Przeczą mi księża mojej zagrody, ale dopóki mój stary żyje, przecie mnie nie wyrzucą.

Na to zaś rzekła Ofka:

– On dobry, on się zlituje.

A wtedy wszedł Biłowus do chaty. Na Ofkę ani nie spojrzał, jeno stanął jak pień przed Maruchą i mówił chmurno:

– Świaszczennik i czarownice dobrą dali mi radę. Ja świaszczennikowi dębczakiem skórę wymłóczę, a za grzech dam dwie woskowe świece do cerkwi. Czarownice z łuku wystrzelam jak borsuki, a w ich jamy ognia nałożę. A ty, Marucho, radź teraz, bo jak nie poradzisz, to was obydwie wytlukę jak gadziny i chałupę po was wykurzę. Ja za twoją radą od dziewczki wszystkich swatów poodganiał, któż teraz ją weźmie, kiedy wszyscy już wiedzą, że do niej pan chodził? Chociażbym przysiągł przed carskimi wrotami, że jest niewinna, kto temu uwierzy? Hańby tej nikt z niej nie zdejmie – a to ty temu winna, Marucho!

A na to powiedziała Marucha:

– Jam niczemu nie winna, ano tyś winien. Czemuż ty jak bocian mieszkasz na dębie, a nie jak ojciec przy córce? Czemuż ty twojej dziewczce z dziecka nabił tym głowę, że ją wydasz za jakiego rycerza? Gdybyś ty był siedział w chałupie, a ludzi gościł u siebie jak inni, gdybyś był twoje dziewczkę wodził w gościnę do miasta, do burmistrza, do panów ławników, do kupców, i tam szukał zięcia, a nie po zamkach rycerskich, to Ofka byłaby już dawno wydana i nie

byłoby tego wszystkiego. A potem co? Pan tu był dwa albo trzy razy wszystkiego i gadał z Ofka przy furcie – a tobie zaraz ludzie łeb przewrócili plotkami. Siedź jeno cicho, ludzie jeszcze jaki czas pogadają, a potem zapomną.

Tak Marucha bardzo rozumnie starała się go uspokoić. I Biłowus zdawał się zrazu nad tym namyślać, jak gdyby się istotnie poczuwał do winy, ale w lot znowu się ocknął i rzekł gwałtownie:

– A ja tobie powiadam, radź, a z radą nie czekaj, bo starosta zawsze w drogę jedzie na wiosnę, a jak wyjedzie, to będziesz go szukać jak wiatru na stepie.

Natenczas zaś Marucha głośnym parsknęła śmiechem i zawołała:

– Jużes ty, jak widzę, całkiem pozbył rozumu, Biłowus! Potrzeba, aby ci starościńscy żołnierze wsypali jeszcze dwa razy tyle kułaków, abyś choć trochę otrzeźwiał. Czy ty wciąż jeszcze rozumiesz, że starosta się z Ofka ożeni?

Zaczem Biłowus znacznie złagodniał i rzekł, przymilając się babie:

– A czary od czego?

Marucha na to machnęła ręką, ale się prędko spostrzegła i dodała:

– Jeszcze czas na to.

Biłowus z tym wyszedł, a Marucha rzekła do Ofki:

– Z tym człowiekiem się nie dogadasz, do tygodnia nas tu nie będzie.

Wilczek, naśmiawszy się wczoraj z Biłowusa do syta, zaprosił sobie kilku swoich pancernych do wieczerzy, kazał wina nanosić, bawił się z nimi wesoło przez cały wieczór, a potem najlepszej myśli spać się położył. Ale nie przespał całej nocy tak twardo, jak Biłowus. Zrazu zasnął jak zwykle, ale już w jaką godzinę się zbudził, a potem już przez całą noc tylko się z boku na bok przewracał. Widać go jakieś niepokojące myśli trapiły, o których sam tylko wiedział. Jakoż zaledwie pierwszy brzask w okna uderzył, zerwał się z łoża, ubrał się w lot, jak gdyby się pod nim paliło, i zaraz kazał Ramułta wołać do siebie.

– Ramułt – rzecze do niego – namyśliłem się w nocy. Jeszcze dziś w drogę ruszymy, nągotuj wszystko, abyśmy zaraz z południa mogli wyjechać.

Ramułt jak gdyby spadł z nieba, ale wiedząc dobrze, że temu młodemu panu w niczym się nie można sprzeciwiać, zapytał tylko:

– Dokądże wasza miłość wyrusza i na jak długo, bo według tego trzeba poczet zgotować.

– Najprzód pojedziem do Lwowa – rzekł Wilczek – tam zabawimy mało niewiele, wedle potrzeby i okoliczności, a stamtąd ruszymy do Krakowa. Król pono teraz w Poznaniu, stamtąd ma jechać w Mazowsze, ale nim dojedziemy, będzie z powrotem. Opatrz poczet tak, jakbyśmy mieli zabawić w podróży trzy albo cztery miesiące. Takie też chorążemu daj dyspozycje.

Ramułt się jakoś bardzo zamyślił; widać, że podróż ta wcale mu nie była na rękę, jakoż prawie w roztargnieniu zapytał:

– Ileż ludzi weźmiemy ze sobą?

– Sześciu towarzyszy pancernych wraz z tobą, dwóch trębaczy i czterech żołnierzy, jeden wóz, a cztery konie juczne, to dosyć.

Ramułt z tym wyszedł i zaraz całą załogę zamkową pobudził, Wilczek zaś wsiadł na koń i z kilką żołnierzy na folwark pojechał, ażeby wybrać konie do tej podróży.

Odtąd zawrzało na folwarku i w zamku jak w kotle: wyprowadzano konie, czyszczono je, myto i podkuwano, wynoszono ze zbrojowni broń, zbroje i inne wojenne przybory, z lamusów kułbaki, wojłoki, troki i rozmaite rzemienie; kowale, ślusarze, szewcy nie mogli nastarczyć roboty; zgoła hałas i tartas, i wrzawa, jak gdyby przyszła wieść o Tatarach, bo pan surowy i prędko gotów zabić za zwłokę, a zaraz z południa ma być wszystko gotowe.

Pomiędzy tymi żołnierzami i pachółkami, którzy się w takim pośpiechu po dziedzińcu kręcili, a do których z końmi i rozmaitym wojennym narzędziem wciąż przybywali nowi z fol-

warku, przechadzał się wolnym krokiem, ale z swym bystrym okiem, stary chorąży, prawdziwa Opatrzność Boża nad żołnierzami, bo się znał na statku wojennym jak nikt w całym zamku i gdzie spojrzał, tam niezawodnie mądrą dał radę, a gdzie ręką się dotknął, tam zaraz szła robota jak z płatka.

Chorąży był to najstarszy żołnierz na zamku, ba, nawet może na całej Czerwonej Rusi, bo mu lat osmdziesiąt liczono, a jeszcze Jagiełłowe czasy pamiętał. Nazywał się Kukuć, niewielki był wzrostem, ale szeroki, a na starość się roztył; czuprynę miał gęstą jak szczotka, twarz rumianą, brodę z wąsami białą jak mleko, oczy błękitne, bystre jak u żbika, a nos ogórkowaty miedzianego koloru, bo lubiał na dno garnca zaglądać. Ale mimo to pamięć miał czerstwą i co kiedykolwiek widział w swym życiu, to doskonale pamiętał. A widział wiele, bo jeszcze za Warneńczyka stanął na służbę jako pacholik u pana Przedbora Koniecpolskiego, naówczas przemyskiego starosty, a w chorągwi jego syna pierwsze swe żołdy czynił przeciwko Turkom po Węgrzech. Potem przeniósł się w służbę do dziada dzisiejszego swojego pana na zamek tustański i tak z nim, jak z jego synem, daleko więcej bitew odprawił, niżeli miał włosów na głowie. Był obecnym na koronacji Kazimierza Jagiellończyka, gdzie księżęta opawscy, raciborscy, cieszyńscy hołd składali polskiemu królowi; w parę lat potem bił Tatarów pod Beżem i Łuckiem, Krzyżaków pod Friedlandem i uganiał się za bandami krzyżackich palaczy po Szląsku; później oblegał Wrocław z pospolitym ruszeniem; i znów się borykał z Tatary około Zbaraża, aż w końcu, lat temu dopiero dwanaście, nie więcej, niósł swoje chorągiew w Multany, kiedy tamtejszego wojewodę Stefana Turcy ścisnęli, a Polacy z woli króla szli mu na pomoc. Był jeszcze z dzisiejszym królem, a wówczas królewiczem Olbrachtem, na Węgrzech, ale już to była jego wyprawa ostatnia. Toż przez ten czas całą Polskę, ba, i wiele krajów postronnych własnymi stopami przemierzył. A przez te lat kilkadziesiąt bywał na sejmach i wszelakiego rodzaju konwokacjach rycerskich, asystował przy uroczystych wjazdach biskupów i książąt, prowadzał jeńców tatarskich, tureckich, węgierskich, szląskich, krzyżackich, mieszkawał po miastach, po wsiach, po klasztorach, po fortecach, po zamkach, napatrzył się ludzi najrozmaitszych nacyj postronnych, nasłuchiwał się ich niemieckich języków, nadziwował się ich obyczajom: szkoda, że pisać nie umiał, bo byłby wszystkich ówczesnych kronikarzy przepisał, którzy jeden za drugim powtarzają powszechnie znane wypadki, a od których ani rusz się dowiedzieć, jak wyglądał świat ówczesny i jak wyglądali ci ludzie, co na nim mieszkali.

Jednakże Kukuć umiał powiadać. Toż kiedy czasem zasiadł w kordegardzie pomiędzy młodzieżą i jął opowiadać swe czasy, jeno dzban było przed nim postawić, to i kury zapiały do jego powieści, jakoż i sam starosta nieraz wieczorem kazał go wołać do siebie i słuchał go z ciekawością, aż póki mu oczu sen nie zakleił. Tak wtedy uczono się dziejów narodu. I była to daleko lepsza nauka, niż ową na akademiach i z książek, bo żywe słowo takiego nauczyciela, który sam widział to, co opowiada, całe inaczej się chwyta pamięci i idzie prosto do serca. Z nim, jako krew ciepła przelewa się z ojca na syna, przepływają z pokoleń na pokolenia wszystkie myśli przewodnie narodu, które go zrobiły wielkim i sławnym, przepływa jego duch bohaterski, uwielbienie dla cnót pradiadowskich i owa gorąca miłość, nie tylko tej ziemi, która rodzi pszenicę, ale tej wzniosłej duchowej ojczyzny, w której jak w skarbcu, zagospodarowanym starannie i skrzętnie, przechowuje się nieprzerwanymi warstwami cały duchowy majątek wszystkich poprzednich pokoleń. Majątek ten jest jako strumień, płynący wspaniale pomiędzy swymi brzegami – a utrzymać go może w jego korycie tylko żywe słowo, przekazywane w rodzinie z ojca na syna, a z dziada na wnuka. Biada narodom, które ten strumień żywego słowa przerwały; czeka je śmierć, chociaż powolna, lecz nieochybna: wtedy tylko wielki człowiek, który sam stanie za naród, może jeszcze go zbawić – a takich ludzi nie tworzą książki i akademie.

Jakkolwiek Ramuł krzątał się skrzętnie od świtu, a Kukuć do każdej roboty sam rękę przykładał, przecież ubiegło ze cztery godzin z południa, nim cały poczet stanął pogotowiu w

dzieńcu. Wtedy Wilczek zbiegł szybkim krokiem ze schodów, sam jeszcze każdego jeźdźca i każdego konia obejrzał, zaczem wsiadł na koń; lecz kiedy już siedział na Wronym, jeszcze raz się ku żołnierzom pozostającym na zamku obrócił i zapytał:

– Gdzie Kukuć?

A Kukuć, z odkrytą głową, w pakłakowym kubraczku, w pasie skórzanym i ciężkich butach z cholewami powyżej kolan, stał o dwa kroki od niego i rzekł:

– Sługa waszej miłości.

– Słuchaj, Kukuć – powiedział wtedy Wilczek łaskawie – wyjeżdżam na trzy albo cztery miesiące i zostawiam tu wszystko na twojej opiece. Patrzajże, aby się żołnierze nie rozpuścili, a co dzień musztrowali – a jeśliby który co zbroił, to wiesz, co z nim robić.

A na to Kukuć.

– Jak bywało po wszystkie czasy, kiedy miał w zamku komendę, tak będzie i teraz. Żołnierze nie zapomną niczego, chyba że się jeszcze czego nauczą, jak namiestnika nie będzie.

Tu Kukuć rzucił śmiejącym się okiem na Ramułta, ale Ramułt się nie zachmurzył na niego, bo wiedział, że stary lubiał żartować. Toż i Wilczek się także uśmiechnął i rzekł:

– Ja wiem, że Ramułt psuje żołnierzy, bo nie wie, jak to dawniej bywało. Trzymajże ich w ryzach jak dawniej. Ale przy tym czuj duch naokoło, bo wiesz, że to wiosna. Lada dzień mogą się zjawić Tatarzy, żeby więc brama była nawcięż zamknięta, a straż dniem i nocą na bramie i na baszcie zamkowej.

– Szkoda mówić, miłościwy paniczu – odpowiedział mu Kukuć – jak się Tatarzy na strzał pokażą, to się ich siekańcami ze śmigownic poparzy, a kiedy by sobie chcieli zęby połamać na skałach zamkowych, to będziemy się im przypatrywać z galerii. Damy też znać zawczasu przez folwark do miasta.

– Pamiętajże więc o wszystkim – dodał jeszcze starosta – a miej też Biłowusa na oku. Dobrze by też wiedzieć, co on tam będzie gadał swoim żołnierzom w mieście.

– Biłowus, miłościwy paniczu – odpowiedział mu na to chorąży – nieprędko się z tych guzów wylize, co mu chłopcy wczoraj wsypali. A jak się wylize, to będzie słuchał jak pies trąby, jak też zawsze bywało. Jeżeliby zaś raz nie posłuchał, to go wsadzę do turmy, aż do powrotu waszej miłości. A kiedy bym dostrzegł, że knuje jakie perfidie z daleka, to mu strzaskam jego dąb ze śmigownic, a nad żołnierzem w mieście innego komendanta posadzę. Szkoda mówić, paniczu; Kukuć nie potrzebuje rady wojennej, ażeby wiedzieć, jak ma sobie poczynać.

– Bywajże zdrów, a miej nas wszystkich w dobrej pamięci – rzekł Wilczek, odwrócił konia i z całym pocztem wyjechał za bramę.

Poczet ten, chociaż mały, wyglądał wcale wojennie, bo tak pod owe czasy jeżdżono; Wilczek zaś, że to był czasem lekceważony przez sąsiednich starostów, bogatych z rodu i mających intratne starostwa, lubił pokazywać się światu z pewną okazałością. I miał w tym słuszność, albowiem wówczas, daleko więcej niżeli w czasach późniejszych, powodowali się ludzie przysłowiem: jak cię widzą, tak cię piszą. Całym światem ówczesnym, chociaż tu i ówdzie już się zaczęły pojawiać pierwsze blaski myśli ludzkiej i siły duchowej, rządziła jeszcze przeważnie siła fizyczna. Piękność i okazałość zewnętrzna, potęga muskułów i kości, zręczność w robieniu wszelkiego rodzaju bronią, wytrwałość w trudach i odwaga w bitwach zbiorowych lub pojedynkach, imponowały ludziom ówczesnym, dawały znaczenie i torowały drogę do najwyższych urzędów; toż z tym wszystkim musiały iść w parze świetność ubioru, wystawność w podróży i w domu, i hojność we wszystkich takich wydatkach, gdzie o to chodziło, ażeby podnieść blask zewnętrzny osoby i rodu. Wilczek wydawał daleko więcej na okazałość, niżeli na to pozwalały jego stałe dochody. Toż i teraz, chociaż w podróży, i sam był w pancerzu i hełmie z piórami, i jego jezdni byli w pancerzach. Lekkie to były pancerze, tylko z naramiennikami, a bez łapek, na których miejscu mieli wszyscy piękne rękawice łosiowe; nie mieli także nagolenników ni butów żelaznych, tylko spodnie i buty skórzane z

wielkimi ostrogami, jak była moda natenczas. Ale ich pancerze i hełmy lśniły się jak kryształ do słońca – a Wilczek miał swoje Grzymałę na piersiach pancerza i srebrne ostrogi. Broń także lekką mieli przy sobie, miecz krótki u boku w pochwie okutej żelazem i jeszcze krótszy nóż albo sztylet, który nazywano z francuska *la miséricorde*, bo nim dobijano rannych, którzy skonać nie mogli. Reszta zbroi i broni była na wozie. Żołnierze zaś mieli tylko półpancerze na piersiach, ale natomiast prócz mieczów uzbrojeni byli w topory i halabardy, bardzo przydatne na wypadek napaści. Muszkietów jeszcze mało używano natenczas, chyba tylko na wojnie, a nikt ich nie woził z sobą w podróży.

Tak jechał Wilczek na czele swego dworu, a Ramułt jechał tuż obok niego, trzymając się jednak za nim o pół konia. Wilczek był milczący i zamyślony; rad był temu, że z domu wyjechał, ale może by mu jeszcze lżej było na sercu, gdyby już miał całe swoje starostwo za swymi plecyma, a wieże drohobyckich kościołów obaczył. Ale jechali stępem – a tak po lewej ręce pokazała im się dopiero Biłowusowa zagroda. Minęli dąb, który stał opodal od drogi, i już minęli furtkę zagrody, która stała przy samej drodze, kiedy koń Wilczka przystrzygł uszyna, zzachnął się i skoczył cokolwiek na bok. Wilczek rzucił okiem w tę stronę – a wtedy całkiem niespodziewane pokazało mu się widowisko.

Pomiędzy owymi gęstymi krzakami bzów właśnie kwitnących, dzikich róż i powojów, które odgradzały zagrodę od drogi, przy owym krzyżu z Męką Pańską, pomiędzy swymi ramionami, klęczała Ofka, zwrócona twarzą ku jeźdźcom. Była w tej chwili niezmiernie blada, bogate swe włosy miała rozpuszczone i jakby w nieładzie, oczy szeroko otwarte, lecz pełne łez, które jej strumieniami spływały po twarzy: złożyła ręce przed sobą jak do modlitwy i tak patrzyła prosto w twarz Wilczka. Był to zapewne ostatni, rozpaczliwy krok tej nieszczęśliwej dziewczyny, ażeby obudzić nad sobą litość w sercu tego młodzieńca, którego pewnie jak drugiego Boga kochała.

Wilczek, przyciągnąwszy cugli koniowi, spojrział na Ofkę, objął cały ten obraz jednym rzutem oka od razu i przez jedno oka mgnienie stał w miejscu; ale w ten moment dał koniowi ostrogę i ruszył naprzód krótkim galopem, a jego poczet posunął za nim. Ujechałszy tak kilkanaście kroków, znowu osadził konia i jechał dalej stępem jak pierwej, nie przemówiwszy do nikogo ani słowa.

Jednak kiedy ujechali drugich kilkanaście kroków, od zagrody dały się im słyszeć krzyki tak rozgłośne, jak gdyby tam kogo żywcem rzezano, krzyki dwóch kobiet, a przy nich gwałtowne wybuchy głosów męskich, które były tak przeraźliwe, jako wycie psów albo ryk zranionego niedźwiedzia.

Wilczek może głosów tych nie dosłyszał: ale dosłyszał je Włostek, który był między żołnierzami jadącymi za pocztem, i zaraz spiął konia, a przyskoczywszy do Ramułta, rzekł głosem strwożonym:

– Ten niedźwiedź Biłowus morduje Ofkę! Niech mi pan namiestnik pozwoli, abym skoczył ku jej obronie.

Ale Ramułt był chmurny, jak gdyby jego samego spotkało jakie nieszczęście, i odpowiedział mu groźnie:

– Paszoł! won do szeregu! nie mieszaj się w rzeczy, co nie należą do ciebie.

Włostek z spuszczoną głową wrócił do szeregu; Wilczek, choć musiał słyszeć, o co Włostek prosił Ramułta, udał, że nie słyszy – i jechali tak dalej w milczeniu.

Nareszcie przyjechali do miasta Tustania, kiedy się już słońce zniżało. Wilczek, jadąc dotychczas także z głową spuszczoną, wyprostował się, kiedy wjechali w ulicę, i rzekł do Ramułta:

– Trzeba zajechać na rynek i obaczyć, co się dzieje w mieście, a wydać rozkazy.

Miasteczko to było obwarowane wałami i częstokołem, miało ulic kilkanaście dobrze zabudowanych, a rynek dosyć obszerny, otoczony dokoła dostatnimi domami, drewnianymi i murowanymi, pomiędzy którymi znajdowały się także piętrowe z wielkimi wjezdnymi bra-

mami i krużgankami u piąter. Przy jednej połaci stał ratusz, okazała budowa z podsieniem, chociaż bardzo nieregularna; przed nim stał pręgierz, od niepamięci bezużyteczny, bo ludzie żyli tu po bożemu, a występki nigdy się nie zdarzały, ale jako godło sprawiedliwości konieczne potrzebny. Jakoż na pierwszy rzut oka było widać, że miasteczko to jest przybytkiem pracy i ładu, że jest zamożne, a jego mieszkańcy bogaci, bo wszystkie domy były czysto wybielone albo pomalowane w rozmaite kolory, drzwi do nich opatrzone w zamki żelazne, okna ze szkła, a w nich firanki, zaś wszyscy ludzie ubrani dostatnio.

W tej chwili większa połowa rynku była zawałona wozami bez koni, które nakrywano dziegiem nasyconymi płótnami, na inne zaś ładowano jeszcze towary, które przynoszono ze składów. Zgoła ruch skrzętny jak gdyby w czasie jarmarku.

Kiedy Wilczek stanął przed ratuszem na czele swojego pocztu, zaraz rozmaici ludzie go otoczyli i nisko mu się kłaniali, bo wszyscy znali swego starostę. I Wilczek znał także z nich wielu, jakoż poznawszy jednego, krzyknął ku niemu:

– Hej! skocz no prędko i zawołaj mi tu burmistrza.

Chłop skoczył – a Wilczek czekał cierpliwie, rozpatrując się tymczasem ciekawie po rynku. Ale burmistrz nieprędko się zjawił, bo był właśnie mocno zajęty.

Miasteczko to, jak się już rzekło, magdeburgii²⁸ za przywilejem królewskim nie miało, ale mimo to rządziło się prawem magdeburskim z przywileju i w imieniu swojego dziedzica, którym był zawsze każdoczesny starosta tustański. Owocześni panowie dozwolali chętnie swoim mieszkańcom zaprowadzenia magdeburgii, prawo to bowiem utrzymując porządek, podnosiło zarazem znaczenie miasteczka i przyczyniało się do jego rozwoju i wzrostu; jednakże zawsze, ażeby stąd nie wyrosły pretensje do niepodległości, zastrzegali sobie prawo mianowania urzędników i sankcją wszelkich wyroków i rozporządzeń. Miasteczko to miało zatem swego burmistrza, swoich rajców i ławników, ale wszyscy byli mianowani przez Wilczka, a sądy miejskie wydawały wyroki w jego imieniu. Tutejszy burmistrz miał zatem wcale niełatwe zadanie przed sobą, do którego spełnienia potrzeba było nawet bardzo wiele rozumu; bo rządząc miastem, musiał nie tylko zadość uczynić wszelkim potrzebom jego mieszkańców, ale zarazem dogodzić woli, a nieraz i kaprysom swojego starosty.

Lecz oprócz tego miał on jeszcze daleko trudniejsze zajęcie. Albowiem miasteczko zajmowało się bardzo skrzętnym przemysłem i prowadziło handel rozległy: wszyscy tutejsi mieszczanie bez żadnego wyjątku trudnili się tkactwem, a ich żony i córki hafciarstwem. Wyrabiali oni przede wszystkim płótna żaglowe, które szły Dniestrem do Kaffy²⁹ i Carogrodu³⁰, dalej płótna konopne i lniane, które przez Lwów rozchodziły się po całym kraju, a wreszcie stołową bieliznę w różne desenie i kwiaty, prawie tak piękną, jak kamchy jedwabne, a bardzo poszukiwaną na całej Rusi. Prócz tego wyrabiali także i sukna, pakłaki i samodziały, za które dobrze płacono na całym Wschodzie, kobiety zaś na misternych warsztatach, z jedwabiów sprowadzanych ze Wschodu i złotych nici, które przywożono z Wenecji, tkwały dość piękne, kwieciste materie, nie mające wprawdzie odbytu za granicą, ale znajdujące kupców na krajowych jarmarkach. Otóż do tych wyrobów potrzeba było wielkich ilości konopi, lnu, wełny, jedwabiów i innych materiałów surowych – i gdyby każdy mieszczanin był zakupywał te materiały na własną rękę, to byłoby się podkupywali wzajemnie z wielką szkodą dla wszystkich: dlatego od dawna taki zaprowadzili pomiędzy sobą porządek, że nikomu nie było wolno kupować surowych towarów dla siebie, tylko burmistrz zakupywał wszelkie zapasy dla wszystkich i wedle potrzeby pomiędzy nich dzielił. Na to potrzeba było magazynów i kasy wspólnej i prowadzenia bardzo drobnostkowych rachunków – a że wtedy mało kto umiał pisać i wszystko trzeba było karbować, więc była to praca bardzo żmudna i wymagająca wielkiej pilności i sumienności. Jednak i wtedy rozumni ludzie umieli sobie radzić na wszystko:

²⁸ magdeburgia – prawo miasta Magdeburga, którym rządziło się wiele miast w Polsce

²⁹ Kafta – miasto portowe na Krymie

³⁰ Carogród – słowiańska nazwa Konstantynopola

ażeby sobie tę pracę ułatwić, wyznaczono na to wielką komnatę w ratuszu, u której stropu wisiało na sznurkach tyle kijów laskowych, ilu było uczestników w tych wspólnych rachunkach. Po jednej stronie kija karbowano pieniężną wartość materiałów wydanych na kredyt, po drugiej sumy na ten dług uiszczone, a u końca kija wisiała kartka, na której było wypisane nazwisko klienta. Taka to była ówczesna ksiązkowość kupiecka, praktykowana w całej Europie przez wiele wieków, a z której się później wywiązała buchhalteria podwójna, używana dzisiaj powszechnie. Lecz była ona na swoje czasy dostateczną: jakoż chociaż ludność miasteczka była bardzo mieszana, bo się składała z Rusinów, Tatarów, Wołochów i Ormian, nigdy żadnych sporów nie było, bo każdy miał swój kij jakoby konto osobne, karbowano zawsze tylko w jego obecności, kto był przezorny, ten miał drugi kij z takimi samymi karbami u siebie, a kto miał jaką wątpliwość, dla tego buchhalteria laskowa na ratuszu stała zawsze otworem.

Taką samą wspólność, jak w sprawach kupna, zachowywano także co do sprzedaży. Tylko sprzedaż nie przynosiła ze sobą tak wiele drobnostkowego zachodu, bo stary Kijas, najbogatszy naówczas kupiec we Lwowie, zakupywał wszystkie towary po cenach jednakowych dla wszystkich, które umawiał corocznie z burmistrzem i ławnikami, a nawet miał i kontrakt pisemny z miastem, że nikt nie miał prawa sprzedać komukolwiek innemu ani jednej sztuki towaru, chyba żeby on ją wybrakował. Jego zaś ludzie przyjeżdżali do Tustania tylko dwa razy do roku, o wiosnie i na jesieni, i odbierali towary, płacąc za nie natychmiast gotówką i wysyłając najętymi brykami, jedne do Dniestru, a drugie do Lwowa.

Toż i teraz właśnie przyjechał jego wódarz, pan Kundrat, ze skarbnikiem ze Lwowa i zasiadłszy na rynku, odbierał towary i kazał je zaraz przy sobie pakować na bryki. Kundrat siedział za wielkim stołem, a przy nim stał burmistrz ze swym karbownikiem, każdy tkacz rozłożył i przemierzył swój towar na stole, Kundrat w pamięci należytość obliczył, napisał cyfrę tkaczowi kredą na plecach i odsyłał go po pieniądze.

Zaczem tkacz szedł do gospody, gdzie w dziedzińcu znów skarbnik siedział za stołem z worami pieniędzy przed sobą, ten tkaczowi napisaną sumę wypłacił, po czym mu gąbką przejechał po plecach i to był kwit owoczesny.

Przy tej robocie burmistrz musiał w własnej osobie stać nieodstępnie, bo ludzie są ludźmi, a gdzie idzie o grosz, każdy by go rad ująć drugiemu, a przyciągnąć ku sobie; tym trybem przecież się robią wszystkie majątki, że co kto schował do skrzyni u siebie, to wziął komuś drugiemu. Toż i w tym razie Kundrat jakiego łokcia nie dorachował, to znowu tkacz łokcia nie domierzył; były więc spory, które tylko sam burmistrz mógł swoją powagą rozstrzygnąć, a rozstrzygał je zawsze i nikt mu się nie przeciwiał, bo zacny był człowiek i oprócz powagi miał zaufanie. Z tego też powodu nie mógł się od tej roboty oderwać i biec natychmiast na zawołanie starosty.

Tymczasem Wilczek czekał cierpliwie jedne chwilę i drugą, aż nareszcie się znecierpliwiał, bo już i słońce się schowało za lasy, i dzień znacznie poszarzał. Jakoż rzekł do Ramuła:

– Kiego diabła ci ludzie tam jeszcze siedzą za stołem? Rozumiem dobrze, że początej roboty przerwać nie mogą, ale przecież o zmroku nikt nie odbiera towarów. Pchnij no tam jeszcze kogo, ażeby Daszkiewicz tu zaraz się stawił.

Ramuł pchnął zaraz drugiego chłopca w tamtą stronę rynku i jeszcze tak chwilę czekali, aż wreszcie Ramuł rzekł:

– Owo już idą.

A wtedy widać było, jak burmistrz się z owego ścisku wozów i ludzi wydobył i szedł spiesznym krokiem ku ratuszowi. Była to postać bardzo poważna: człek wielki wzrostem i stary, ale rzeźwy jak młodzian. Twarz miał rumianą różowego koloru, nos orli, a oko sokole, wąs biały, przystrzyżony nad wargą, i włosy białe mu się wydobywały spod czapki. Czapkę miał bardzo wysoką na zawiasach z pięknego siwego baranka (siwe czapki tylko mieszczanie nosili, chłopcy musieli przestawać na czarnych), długą opończę sukieną sinawobłękitną, obło-

żoną takimże samym barankiem, pod nią krótki żupan słomianego koloru, a na nim pas skórzany na pół łokcia szeroki, hajdawery w butach, a buty wysokie ze skóry surowcowej tatarskiej. Kolory siwoniebieskie i żółtawosłomiany były już wtedy ulubione na Rusi. Podpierając się długą trzcina z gałką złoconą, szedł krokiem tak prędkim, że poły opończy rozwiewały się za nim i czapka mu się na głowie kiwała. Tak zbliżył się do starosty, a kiedy zdjął czapkę, pokazała się jego ogromna łysina, gładka jak dłoń, a także rumiana, która jednak wcale nie ujmowała jego imponującej postaci, owszem, jeszcze mu wiele przyczyniała powagi.

Mąż ten nazywał się Jursza Daszkiewicz, pochodził ze staroruskiej rodziny mieszczańskiej, miał własną wioskę z dworem szlacheckim pod Stryjem, mógł być każdego czasu zająć poczesne miejsce na szarym końcu pomiędzy szlachtą, ale jako człowiek rozumny, wolał być pierwszym pomiędzy mieszczany, gdzie też był najbogatszym, a wójtem, czyli burmistrzem od lat przeszło trzydziestu. Nie przeszkadzało mu to wcale przyjmować szlachtę w swym domu, bo wtedy jeszcze się stany tak nie oddzielały od siebie, jak się to dzieć poczęło w wieku następnym: toż okoliczni szlachcice często przyjeżdżali do niego, najedli się, napili, a jeszcze i worka mu uskubnęli na drogę, ale Daszkiewicz, chociaż umiarkowanie, jednak chętnie im pożyczał pieniędzy, bo wiedział, że na wszelkie wypadki dobrze mieć ludzi zbrojnych po swojej stronie.

– Daszkiewicz! – rzecze Wilczek do niego – już by twój pop był cały parastas³¹ odprawił za ten czas, co tu czekam na ciebie. Myślałem, że jeszcze dziś, choćby nocą, do Komarna dociągnę, a przez ciebie przyjdzie mi w Drohobycy nocować.

– Rad bym był skoczyć zaraz na rozkaz waszej miłości – odpowie mu burmistrz – ale trudno mi było tkaczów zostawić samych z panem Kundratem...

– Wiem ja dobrze – rzekł przerywając mu Wilczek – że łokieć Kundrata nie zawsze się zgadza z łokciem tkackim i że tylko ty umiesz obydwą wyrównać; ale mnie pilno. Słuchajże, Daszkiewicz, ja jadę w drogę, może i kilka miesięcy zabawię, a chciałbym, żeby się tu tymczasem jakie nieporządki nie wkradły. Kukuć będzie pilnować zamku, a twoja rzecz utrzymać ład w mieście. Trzymajże się za rękę z Kukuciem, w razie potrzeby niechaj ci da do pomocy żołnierzy, a gdyby zaszło co ważnego, pchnij zaraz konnego do Lwowa. A na Biłowusa także miej oko. Kazałem go wczoraj z zamku wyrzucić; żeby się więc do jakiej pomsty nie porwał. W jego zwyczajnych funkcjach mu nie przeszkadzaj, ale jeżeliby chciał nowych ludzi ubrać albo knuć jakie zmywy, rozumiesz?

– Trzeba mi na to tylko rozkazu pana starosty, bo to i tak w ostatnich czasach zanadto mu się dawało wolności – odpowiedział Daszkiewicz – i chciał dalej swe skargi wywodzić, kiedy w tej chwili zbliżył się Kundrat i zdjawszy z głowy swój biret niemiecki, pokłonił się Wilczkowi bardzo grzecznie, ale z uśmiechem i pewną poufałością.

Kundrat był to człek koło czterdziestu lat wieku, średniego wzrostu, ale okrągły i dobrze żywiony, twarz miał ogoloną zupełnie, nos długi ciekawy, a oczy zielone, bardzo spokojne, ale wciąż uśmiechnione. Uśmiech igrał także około jego ust smacznych, a wtórowały mu dwa dołki po każdej stronie rumianej twarzy. Na pierwszy rzut oka widać było człowieka, któremu się dobrze powodzi i kontent jest z siebie. Ubrany był z niemiecka, w kaftan krótki z buchatymi rękawami, pludry krótkie, ale szerokie, wełniane pończochy i grube trzewiki; tak siedział przy robocie za stołem, ale idąc na powitanie starosty, zarzucił krótką opończę na siebie z szerokimi rękawami.

Kundrat był dzieckiem mieszczańskim ze Lwowa i miał tam kram własny, z dziada pradiada; za miodu wysłano go do Krakowa, gdzie się dobrze wyćwiczył we wszelkich naukach i kunsztach i promowany jest doktorem obojga prawa; miał zamiar promować się jeszcze na doktora teologii i zostać kapłanem, lecz przyjechawszy na krótki czas dla wytechnienia do Lwowa, poczuł w sobie wokację³² do ojcowskiego rzemiosła, do przemysłu i handlu i zasiadł

³¹ parastas (gr.) – modlitwa za nieboszczyka, czytana w cerkwi

³² wokacja (łac.) – powołanie

zaraz sam za swoim kramem. Jednakże wkrótce namówił się ze starym Kijasem i został u niego pierwszym włodarzem, gdzie, zawiadując pod jego mądrym kierunkiem niezliczonymi przedsiębiorstwami, mógł spożytkować swoje rozległe i gruntowne nauki, a zarazem daleko znaczniejsze zbierać dochody, niżeli jego ubogi kram mógł mu przynosić, chociaż dlatego wcale go nie porzucił. Kundrat miał dom własny we Lwowie i był notariuszem lonherii³³, więc go ludzie respektowali, a to tym więcej, ile że i worek czuli u niego; ale Wilczek traktował go z lekka i zawsze rad z nim żartował.

– Mości panie doktorze – rzekł teraz do niego – widzę po twojej twarzy, żeś moich tkaczy porządnie ogolił, jeżeliś i mnie także podgolił, to się pobijemy ze sobą...

A na to Kundrat:

– Mości panie starosto, w handlu jest jak na wojnie: kiedy można kogo pobić w otwartym polu, to się go bije w otwartym polu, a kiedy nie można, to sztuką kozły tłuką. Na tym świat stoi, tak w rycerstwie, jak i w mieszczaństwie. Ale nasz dom wojuje uczciwie.

– Już to przyznaj się między nami – odpowie mu Wilczek – że twój katechizm nie bardzo czytelnymi literami pisany; boć my to wiemy, że ty jak czerwony złoty obaczysz, to póty nie śpisz, póki go nie dostaniesz. A potem, jeśli nie w katechizmie, to w jakim statucie znajdziesz na to ekskuzę. Szłoby to wcale inaczej, gdyby cię Kijas na wędzidle nie trzymał.

Więc Kundrat śmiał się i rzekł:

– Tutaj w Tustaniu nie trzeba wcale Kijasa, bo tu pan Daszkiewicz ma jeszcze twardsze wędzidło.

Słyszac to Daszkiewicz, podniósł głowę dumnie do góry, ale rzekł skromnie:

– Na diabła się tam zda moje wędzidło na takiego czarnoksiężnika. Bo i nie wiedzieć zaprawdę, jak on to robi. Towar mierzy niby rzetelnie i płaci niby rzetelnie, ale jak sobie odjedzie, a ludzie mają czas dobrze się z sobą obliczyć, to i jednego takiego nie znajdzie, co by mu czegoś nie brakowało.

A wtedy Kundrat prędko poderwał się i rzekł:

– A tak i miasto upada, i ludzie mrą z głodu, a niebawem i burmistrzowi na opończę nie stanie.

Więc wszyscy się śmieli, bo im się wszystkim dobrze działało, a Wilczek dodał:

– Już to żeście się obydwu z Kijasem zawzięli na to miasteczko i wkrótce go puścicie z torbami, o tym na całej Rusi wiadomo. No, a co tam we Lwowie? Jak się ma Kijas? a Tigranes, a pani Formoza?

– Wszyscy zdrowi jak jagody, tęsknią za panem starostą.

– A pani Pachna? kiedyż wesele? bo Daszkiewicz chciałby się choć raz napić twojej małmazji a potańcować u ciebie, ale się jakoś doczekać nie może.

– Jeszcze się o tym nie myśli – rzekł na to Kundrat z uśmiechem – jeszcze u pani Pachny ze wysokie progi dla kupca.

– Ba! – rzecze Wilczek – ale tymczasem płacisz podatek nałożony na celibatorów. A to podobno cztery kopy groszy co roku. Powiedz prawdę, Kundrat, jak przyjdzie płacić, diable się musisz skrobać po głowie.

Kundrat chciał coś odpowiedzieć, ale wtem łuna uderzyła na niebo i to tak nagle, jak gdyby kędyś, niedaleko od miasta, cała wieś stanęła od razu w płomieniach. Rycerze się obrócili w tę stronę, popłoch się rozniósł po całym rynku, a Daszkiewicz się rzucił ku ratuszowi i posłał zaraz halabardnika na dach ratusza, aby obaczył, kędy się pali.

Tymczasem rozmawiający zgadywali, gdzie by to było. Jednakże wkrótce halabardnik zawołał wielkim głosem z dachu:

– Biłowusa zagroda się pali!

Na to Wilczek spojrział niespokojnymi oczyma przed siebie i rzekł:

– Nie zdaje mi się, aby to była Biłowusowa zagroda, to kędyś dalej. Ale jedźmy, bo późno.

³³ lonheria (niem.) – w dawnej Polsce urząd skarbowy, zajmujący się administracją i finansami miasta

I zaraz ruszył ku bramie północnej, a jego poczet ruszył za nim.

A wtedy Włostek przyskoczył na koniu, już nie do Ramułta, tylko do samego Wilczka i rzekł głosem głęboko wzruszonym:

– Proszę pana starosty pozwolić mi, abym skoczył obaczyć, gdzie się to pali, ja pana starostę dogonię.

Wilczek przez oka mgnienie się zastanowił, ale niebawem rzekł:

– Ty ognia nie zgasisz. Ale jedź... a wracaj prędko do Drohobyczy, gdzie będziemy nocować.

Tymczasem tłum wielki się zgromadził na rynku, a wszyscy patrzyli ciekawie ku południowi, bo już się ciemno zrobiło. Łuna im przyświecała czerwonym płomieniem, a na niebie widać było snopy iskier, które wyskakiwały w górę, a wiatr je unosił ku zachodowi. Daszkiewicz zwołał wszystkich halabardników i kazał miasta pilnować. Niektórzy ludzie wyłazili na wozy, na drzewa i dachy, ażeby pożar lepiej obaczyć. Inni, co śmielsi, chociaż nie mieli sikawek, wybiegli z miasta z hakami, nie tyle, aby ratować, lecz raczej, ażeby się cudzemu nieszczęściu nadziwić, i tłumem pędzili na miejsce pożaru.

A daleko przed nimi słychać było tętent konia, pędzącego cwałem w tę samą stronę, a ilekroć ziemia przed nim się podnosiła, tyle razy widzieli na tle łuny czerwonej czarny cień jeźdźca, który, naprzód schylony, okładał harapem boki koniowi i znowu znikał w nizinach: był to Włostek. Pędził on na złamanie karku jak szatan Ofce na ratunek; oczy jego, prócz ognia w oddali, nic nie widziały przed sobą, serce mu biło tak gwałtownie, jak gdyby mu chciało żebra rozeprzeć i pewnie dałby za to resztę swojego życia, gdyby już był na miejscu i widział, że się Ofce nic złego nie stało.

Wszelako Wilczek jechał spokojnie stępą ku Drohobyczy, obok niego Ramułt, a za nimi żołnierze cokolwiek w oddali, ażeby mogli ze sobą swobodnie pogwarzyć o Biłowusie i o jego zagrodzie. Wilczek, dopiero co taki wesoły, teraz był znowu milczący i zasepiony. Jechał tak kilka stajań, nie przemówiwszy ani słowa, aż przecie nareszcie rzekł do Ramułta.

– Jakże rozumiesz, kto tam mógł podpalić Biłowusową zagrodę?

– Męczę się nad tym jak pies, co wpadł w wodę, a pływać nie umie – odpowie mu Ramułt – ale niczego nie mogę wymyśleć. Bodajby jeno Biłowus sam nie zażegnał swojej chałupy. Nie poszło mu po jego myśli anielskiej, więc się chwycił myśli diabelskiej.

Na to Wilczek znów umilkł; zdało się, jakoby wcale nie chciał mówić o tej sprawie, która mu była przykrą, może nawet nieznośną, ale na którą nie widział ratunku. Jednakże Ramułt innego był zdania, bo rzekł po chwili:

– Nie moja rzecz dawać rady waszej miłości, ale gdyby tak na mnie, to wolałbym to załagodzić.

Lecz Wilczek, rozumiejąc zapewne, że Ramułt nie wie wszystkiego, parsknął głośno od śmiechu i zawołał:

– Radźże, jeżeli umiesz. Powstrzymasz ty jabłoń, ażeby nie wydała owocu, kiedy ją lato rozgrzeje? Już kiedy Marucha nie umiała poradzić, to i ty nie potrafisz, chyba żeś lepszy czarownik niż ona.

– Na to wcale czarów nie trzeba – rzekł Ramułt. – Naszego czasu zdarzają się takie wypadki po wielkich dworach i po panińskich klasztorach, a przecie je ludzie jakoś łagodzą. Biłowus człek dziki, z nim nie masz rozmowy, ale kiedy by na to przyszło, to można było Ofkę albo i jego samego kędy na jakie pół roku wyprawić.

Wilczek, jeżdżący zawsze wielkim gościńcem, a nie znający wcale ubocznych przesmyków i ścieżek, pomyślał nad tym cokolwiek, lecz rzekł:

– Pogadamy o tym we Lwowie.

Tak dojechali już późno w nocy do Drohobyczy i stanęli przed gospodą na rynku, a jeden z żołnierzy, zsiadłszy z konia, zaczął kołatać do bramy, aby ją otworzono.

A wtedy dał się słyszeć tętent kopyt końskich w ulicy i w małej chwili Włostek stanął przed Wilczkiem, a zeskoczywszy także z kułbaki, kłaniał mu się, ocierając pot z czoła, ale nie mogąc jeszcze ani słowa przemówić.

– Cóż tam widział? – zapytał Wilczek.

– Panie starosto – odpowiedział mu Włostek przerywanymi słowy – Biłowus sam spalił swoją chałupę.

– Sam spalił? a to dlaczego?

– Bo proszę jegomości, napadł na obydwie kobiety pod krzyżem i chciał je mordować, a one schroniły się do chałupy i zatarasowały drzwi, a Marucha czary rzuciła na niego przez okna. Więc on strzechę podpalił, aby je stamtąd wykurzyć. A potem wylazł na swój dąb i patrzył stamtąd, jak jego budynki gorzały i śmiał się śmiechem końskim, bo rżał właśnie jak koń. Tak mi opowiadał jego parobek.

– I wykurzył kobiety? – zapytał Wilczek.

– Jużci wykurzył – rzekł Włostek. – Jeno jak się strzecha zapadła, Marucha wzięła Ofkę pod ramię i wśród dymu i iskier wyleciała z nią w powietrze.

– Ot, gadasz – rzekła na to starosta.

– Przysięgam Bogu – zawołał Włostek – żem je sam widział, jak ulatywały w powietrze. Jak tylko się strzecha z wielkim trzaskiem zapadła i wybuchnęły z niej płomienie, dymy i iskry, właśnie jak gdyby kto fortecę prochami wysadził w powietrze, wszyscy ludzie zaraz krzyknęli: owo Marucha z Ofką lecą do góry. Ja sam widziałem jakby na dłoni, jak Marucha Ofkę trzymała pod pachy, a ich spódnice wydymały się jak kłęby, aż póki w górze nie znikły. Wszyscy ludzie tustańscy na to patrzali i gotowi są przysiąc, choćby i na ratuszu przed burmistrzem i panami rajcami. I Biłowus to widział ze swego dębu, i jeszcze raz zarżał, że rzenie jego się rozległo po lasach, a po wszystkich ludziach mróz poszedł. A wtedy jaki taki się przeżegnał i wrócił do miasta, a jam wrócił do mego pana.

Na to Wilczek i Ramuł także się przeżegnali, a tymczasem otworzono bramę i zapalono światła w gospodzie. Więc cały poczet wjechał do gospody. Wilczek położył się spać w komorze, a jego żołnierze jeszcze długo w noc słuchali powieści Włostka w szynkowni. Naza-jutrz zaś rano Wilczek wyruszył do Lwowa.

III

DWAJ RYCERZE

W tydzień potem albo mało co więcej Wilczek, załatwiwszy pomyślnie swoje sprawy we Lwowie, wyjechał o wschodzie słońca z całym swym pocztem z miasta przez Bramę Krakowską, którą zwano także *Porta Tartarica*³⁴, i puścił się wielkim gościńcem na Gródek i Wisznię ku zachodowi; ale sam jeszcze nie wiedział, dokąd właściwie zmierza. Celem jego podróży był Kraków, gdzie jako rotmistrz, należący do królewskiego dworu, po starym zwyczajowi musiał pełnić służbę przez parę miesięcy co roku; ale nie było mu pilno, bo wiedział, że króla nie było w Krakowie. Myślał zatem najprzód wstąpić do Koniczypolskich, swoich przyjaciół, a ówczesnych starostów w Przemyślu, gdzie by mu zeszło wesoło jakich parę tygodni, a potem się przebrać przez góry na zamek sobieński do Kmitów, gdzie strawił swoje lata pacholące, gdzie go miłowano tak szczerze, a gdzie tak dawno już nie był. Tam mógłby znowu jaki czas się poweselić przy sercach pocziwych, przy tłustej kuchni i bogatej piwnicy, przy muzyce, tańcach a turniejach i tak by mu zeszedł cały ten czas, aż póki król nie powróci z Mazowsza. Więc jechał wolno, rozpatrując się po okolicy płaskiej i równej, a tak niepodobnej do tych gór, między którymi leżał zamek tustański.

Ale i ten kraj płaski wcale inaczej wyglądał pod owe czasy niż dzisiaj. Wsie były rzadkie naówczas, dwory nieliczne, a przy nich, daleko porozrzucane od siebie, kmiecie zagrody. Dziedzice i tenentariusze³⁵ tych rozległych przestrzeni na próżno wystawiali wysokie pale przy drodze, opatrzone w tyle ramion przedziurawionych, ile zagród było we wsi do obsadzenia; dość było kółek zabić w jedno z tych ramion, ażeby otrzymać spory szmat gruntu, często z chałupą, a zawsze jeszcze wcale nie ciężkimi obarczonyi powinnościami. Ale rzadki to był osadnik, który zagrody zapragnął – a i ci nawet, którzy już osiedli, po jednym roku albo po kilku, zazwyczaj po pierwszym zagonie Tatarów, wynosili się w góry, gdzie mieli chudy, ale daleko spokojniejszy kawałek chleba.

Natomiast lasy okrywały nieprzejrzanym okiem przestrzenie, lasy częstokroć wcale nie tknięte, nabite jak puszcze odwiecznymi dębami, jaworami i olbrzymami drzew szpilkowych, a zaludnione całymi stadami dzikiego zwierza, pomiędzy którymi często było można dosłyszeć donośny ryk żubra i trzask łamiącego przed sobą gałęzie niedźwiedzia. Pomiedzy tymi lasami szerokie rozlewały się wody, zwłaszcza w tym kraju, gdzie od Komarna aż po Krakowiec i dalej nieprzerwane a gęstymi trzcinami pozarastałe ciągnęły się stawy. Na tych stawach mieszkwały nieprzeliczone roje dzikiego ptastwa, które niejednokrotnie tak przeraźliwym krzykiem napełniały powietrze, że przejeżdżający koło nich podróżni nie mogli własnej rozmowy dosłyszeć. Około stawów, często na bardzo dalekie przestrzenie, grząskie błyszczały moczary, których latem noga ludzka nie mogła przebrodzić – a w nich gnieździły się całe roje potwornych gadów i płazów, których ród dzisiaj zaginał.

³⁴ *Porta Tartarica* (łac.) – Brama Tatarska

³⁵ tenentariusz (wł.) – dzierżawca

Gościniec, wiedący tym krajem od Lwowa ku Przemyślowi, był wprawdzie bardzo szeroki, bo każdy jechał kędy mu było składniej, ale ręka ludzka nigdy go nie dotknęła; strumienie i rzeki w bród trzeba było przebywać, tylko w niektórych miejscach moczarnych walono kłocce drzew jeden przy drugim, ażeby je jakokolwiek wymościć. Na tym gościńcu rzadko też zjawiał się jaki podróżny, chyba chłop albo szlachcic, bo kupcy ze swymi brykami radzi omijali wielkie gościńce, obawiając się spotkania z jakim podróżnym rycerzem, co zwykle się obyć nie mogło bez jakiegoś wykupu. Rzadki to był człek zbrojny naówczas, który ze spotkania się z kupcem nie skorzystał dla siebie – a broń Boże spotkać się z takim, co jechał z daleka, nie był tu znanym i tutejszych jurysdykcji się nie obawiał, bo w takim razie kupiec się musiał pożegnać ze swoim towarem, a jego bryka próżno wracała do domu. Nawet sami rycerze mieli się na baczności w podróży, bo mogli się spotkać z drugim mocniejszym od siebie... a chociaż takiego prawa nie było, to był jeszcze stary obyczaj, że jeśli jeden rycerz zwyciężył drugiego, to nie licząc ran, które mu zadał, zabierał mu prawem zwycięzcy cały jego dobytek. Owóż niejedyn rycerz miał tylko to, co wodził ze sobą... a któż mógł być pewnym, że się nie spotka z mocniejszym od siebie? Bardzo piękne to były te wieki rycerskie, pełne uczuć wzniosłych, bohaterskich poświęceń i cudownego uroku, ale dla kieszeni i skóry niezupełnie bezpieczne.

Jakoż i Wilczek, jeżeli się tak ciekawie rozpatrywał po kraju, to nie tylko aby podziwiać wspaniałość i dzięką naturę, ale także i z ostrożności, ażeby go jakiś zacny kolega zniemacka nie napadł. Jednak jechał od rana, popasał w Bartatowie, przy karczmie w Gródku spoczywał jakie trzy godziny, a teraz już się zbliżał do Wiszni i dotąd nikogo nie spotkał prócz kilku kmieci na furkach i dwie czy trzy kupki wielkopolskich szlachciców, którzy na chudych szkapach przy wózkach bardzo ubogich ciągnęli w Bełskie, gdzie się chcieli osiedlić. Dopiero o jakie pół mili od Wiszni zdało mu się, że dojrzał przed sobą tłum ludzi konnych, jadących z wolna ku Lwowu.

Dzień był majowy, pogodny, powietrze choć trochę wilgotne, lecz czyste, wzrok niósł bardzo daleko, jakoż widać było wyraźnie, że był to poczet ludzi konnych i zbrojnych, za którymi ciągnęły wozy. Ale było to dziwne widowisko.

Albowiem na czele pocztu szedł wolnym krokiem koń biały, ogromny jak słoń i nadzwyczajnie wyniosły, ale nie było na nim widać rycerza. Wprawdzie około jego łba kiwały się pióra, ale tak nisko, że trudno było przypuścić, aby to były pióra u hełmu rycerza, a zdało się, jakoby raczej łeb koński w pióra był przystrojony. Coś się tam przy kułbace czerniło, ale nie można było rozeznac, czy to były nogi ludzkie, czy też czapraki. Natomiast za nimi widać było dobrze ośmiu albo dziesięciu żołnierzy w pancerzach i hełmach albo misiurkach, dalej trzy albo cztery powózki, ale także jakieś dziwaczne, bo bardzo wysokie i płótnem nakryte, a w każdej z nich tylko jeden ogromny koń uprzężony, idący w kabłąku i wielkim spiczastym chomacie. Więcej dojrzeć nie było można, bo słońce się już ku zachodowi zniżało i świeciło temu pocztowi w plecy, więc oko blasku wytrzymać nie mogło, a do tego jeszcze promienie, odbijające się od polerowanych pancerzy i hełmów, ile że poczet był w ruchu, jego widok nadzwyczajnie mąciły.

– Jaki to diabeł być może, co się tam wlecze gościńcem? – zapytał Wilczek Ramuła, który także wzrok wyteżył w tę stronę – możesz rozeznac?

– Zda mi się, że baba tam siedzi na tym białym ogierze – rzekł Ramuła – inaczej byłoby widać hełm nad łbem konia, choćby też jak był wyniosły.

A Wilczek na to:

– Diabli go wiedzą, słońce mi oczy zaślepią. Może i baba, ale to chyba która księżna, bo orszak nie lada. Jednak co bądź, każ no zagrać trębaczom, aby i oni wiedzieli, z kim się tu spotykają.

Na rozkaz Ramułta obydwaj trębacze zagrali zaraz hasło królewskie, które grać było wolno tylko rotmistrzom, należącym do dworu króla. Jednak zaledwie trębacze hasło odegrali, w zbliżającym się poczcie odezwały się także dwie trąby i odegrały odzew królewski.

– Baba konwojona przez wojsko królewskie? – zawołał Wilczek – cóż to być może? Ramułt! spraw no żołnierzy, bo mi to rzecz podejrzana.

Ramułt sprawił żołnierzy, miecze do ręki, obuchy spod kolan, a tymczasem obydwaj poczty już się zbliżyły o kilkanaście kroków ku sobie. Tamci także błysnęli mieczami. Wilczek wytężył wzrok i wszystko tak znalazł, jak widział z daleka, tylko baby nie było, a na koniu siedział rycerz w lekkim pancerzu i hełmie z bogatymi piórami, jeno miał tułów tak krótki, że wszystkimi swymi piórami ledwie uszu końskich dosięgał. Wilczek się przeginał na prawo i na lewo, ażeby twarz jego obaczyć, ale dopiero kiedy się ich konie zrównały ze sobą, zawołał z głośnym śmiechem:

– Kergolaj! niechże cię wszyscy diabli wezmą! Prędzej bym się śmierci spodziewał, niżeli ciebie widzieć na Rusi. Cóż ty tu robisz?

A tamten wołał spokojniej:

– Wilczek! Wilczek! Otóż mi spotkanie! Myślałem zawadzić o ciebie, ale mi powiedziano, że do twego zamku nawet nie dojechać na koniu.

Tak więc się zaraz zbliżyli do siebie, kolano do kolana, podali sobie ręce raz, drugi i trzeci i zaczęli ze sobą gawędzić, a ich żołnierze stali opodal z respektem, jaki się od nich ich panom należał.

Rycerz, co siedział na białym koniu, miał rzeczywiście tułów tak krótki, że zdawał się prawie garbatym, bo też i nogi miał cokolwiek przydługie; może nawet był niegdyś garbatym za młodu, ale przez usilne gimnastyczne ćwiczenia ułomność ta znikła, a zostały z niej tylko piersi bardzo wypukłe, barki szerokie i silne i głowa cokolwiek wgnieciona pomiędzy ramionami. Był to zresztą człek wcale przystojny, twarz miał białą i gładką, nos długi, ale foremny, oczy piwne, spokojne, wesole, ale bardzo ciekawe, wąs ciemny, obfity i włosy czarne, bogate, spadające w pięknych kędziarach na szyję. Miał wtedy lat może już blisko czterdziestu, lecz widać było po nim, że pielęgnował starannie swe zdrowie i dbał o swą powierzchowność. Nazywał się Jan Felix Batard de Kergolay, pochodził z jednej z najznakomitszych rodzin francuskich, nosił jej herb z dewizą: *Ayde toy Kergolay et Dieu t'aydera*³⁶ i był właściwie z pochodzenia Francuzem, ale że się rodził z matki Polki, więc naturalnie stał się Polakiem.

Urodzenie Kergolaja (tak bowiem powszechnie nazywano go w Polsce) było cokolwiek zachmurzone rozmaitymi powieściami, które już wtenczas nie bardzo były jasne, a których dziś już wcale niepodobna rozwikłać. Żona Mikołaja Kmity, pana na Wiśniczu, Dubiecku i Sobniu, który zmarł kasztelanem lwowskim, zdaje się z domu Lanckorońska z Brzezia, powiwszy swemu mężowi czterech synów i owdowiawszy, weszła w ponowne śluby z panem de Kergolay, kawalerem francuskim, który się był zabłąkał na dwór Kazimierza Jagiellończyka i w jego wojsku wodził chorągwie. Z nim miała syna, któremu dano na imię Jean Felix, ale ponieważ, jak powiadano, przy tym ślubie nie było wody święconej, więc rodzina jego ojca odmówiła mu prawa noszenia jej miana, a dopiero król francuski Ludwik XI powrócił mu ojcowskie nazwisko, jednak z nie ubliżającym zresztą podówczas przydatkiem *Bâtard*³⁷. Być może wszakże, że i woda święcona była przy ślubie, tylko zazdrośni krewni uknuli przeciwko niemu kabałę, ażeby go pozbawić majątku: albowiem Kmitowie, jego bracia przyrodni, nie zaparli się go wcale; owszem, za wolą matki dali mu wieś Niewistkę, a nawet pomagali mu pieniędzmi. Czytamy bowiem jeszcze dziś w aktach grodzkich sanockich, jako *generosus Johannes Kmytha nobili Felici alias Johanni fratri suo de Niewijastka quinquaginta marcas... debet*³⁸. Jakoż zawsze go uważali za brata i po bratersku się z nim obchodzili.

³⁶ *Ayde toy...* (starofrancuskie) – Pomagaj sobie Kergolaju, a Bóg ci dopomoże

³⁷ *Bâtard* – po francusku: bękart

³⁸ *generosus Johannes...* (łac.) – dobrze urodzony Jan Kmita winien jest szlachetnemu Feliksowi, inaczej Ja-

Matka, jak się to dzieje zazwyczaj z dziećmi upośledzonymi, kochała go więcej niżeli innych swych synów i wychowywała go zrazu przy sobie na Wiśniczu, gdzie się dobrze nauczył po polsku; dopiero później dla dalszych nauk wyjechała z nim do Francji, gdzie znowu swój język polski trochę skałeczył, ale mówił nim wybornie i tylko niektóre głoski wymawiał z francuska. Po śmierci matki dostał się na dwór książąt sabaudzkich, którzy podówczas utrzymywali u siebie prawie najwyborniejszą szkołę rycerską i gdzie właśnie pod owe czasy najślawniejszy rycerz francuski, *le gentil seigneur de Bayard, le bon chevalier sans peur et sans reproche*³⁹, czynił pierwsze swe służby. Później się dostał na dwór króla Karola VIII, ostatniego ze starszej linii Walezyców – a odznaczywszy się w wielu bitwach odwagą, męstwem i wszelkimi innymi kawalerskimi przymioty, już bardzo młodo pasowany jest na rycerza i otrzymuje złote ostrogi.

Śród tego czasu, ile razy we Francji wojny nie było, zawsze przybywał do Polski i bawił na dworze królewskim, gdzie mianowany jest raz na zawsze rotmistrzem króla, chociaż nie miał własnej chorągwi. Tam poznał się z Wilczkiem i bardzo się z nim zaprzyjaźnił. W ostatnich latach służył znów w wojsku Karola VIII. Przed dwoma laty przeszedł z nim Alpy, wszedł w grudniu do Rzymu, a przeszłego roku był pomiędzy zdobywcami całego neapolitańskiego królestwa. Wkrótce potem zjawił się nagle na dworze królewskim w Krakowie; powiadano o nim, jakoby miał misję od króla Karola VIII, aby namówił króla Olbrachta do wspólnej wojny przeciwko Turkom. Bawił wtedy także czas mały w Niewistce i na zamku sobieńskim, lecz znowu zniknął. Teraz znów się pojawił i ciągnie na Ruś: bardzo to Wilczka zdziwiło i rad by był wiedzieć co prędzej, dokąd Pan Bóg tego kawalera prowadzi i po co.

– Powiedzże, Kergolaj – rzecze do niego Wilczek zaraz po przywitaniu – skądże ty jedziesz i dokąd, bom bardzo tego ciekawy.

Kergolaj miał głos bardzo dziwny, prawie jak klarnet, chociaż tego instrumentu jeszcze wtedy nie znano, i obejmował nim wszystkie trzy oktawy, a że do tego miał oczy śmiejące, więc nigdy nie można było wiedzieć, czy mówi prawdę, czy też drwi sobie z pocziwego człowieka.

– Ja jadę daleko – odpowie mu Kergolaj. – Znudziło mi się we Włoszech, a zatęskniło do Polski; ale i w Polsce cicho jak mak siał i nie ma co robić. Byłem w zimie u króla, przyjął mnie łaskawie, ale chorągwi mi nie dał, obiecując ją dać, kiedy by wojna wybuchła. Byłem w Niewistce, ale znalazłem skrzynie puste; ledwie że kilka koni mi wychowano, które mi się przydały. Byłem u Kmita na Sobniu, tamem się trochę rozerwał, ale tam przyszły mi różne myśli do głowy, które chcę teraz wykonać.

– Skarżysz się – rzecze mu Wilczek – a bez racji, bo w rzeczy chyba tylko na to skarżyć się możesz, że ci się zanadto dobrze powodzi. Nie rozumiem, jak taki *cavaliere di gran grido*⁴⁰, jak ty, mógł się nudzić we Włoszech, zwłaszcza żeście tam zwyciężyli. Toż to tam podwoki musiały cię nosić na rękach, chyba żeś co u której przeszkrobał. Król w tobie się kocha, wiem o tym pewnie i chorągwi ci nie zaprzeczy, jak będzie wojna. Niewistka nieszpeta to wieś, zwłaszcza że podobno należy do niej kilka folwarków nad Sanem. A jeśli ci czasem grzywien⁴¹ potrzeba, to Kmita pewnie ci ich nie odmówi.

– Ba! – zaśmiał się Kergolaj – kiedy *generosus* Kmita zawsze *marcas debet*.

– A więc ty tymczasem – rzekł Wilczek żartując – wybrałeś się na Ruś, może Pan Bóg da szczęście. Ale tutaj gościńce puste...

A Kergolaj śmiał się i mówił:

– Masz racją. Zdechłby tu z głodu, kto by się musiał żywić na gościńcach. Ale ja o tym nie myślę. We Francji to dawno wyszło z mody, jeno jeszcze w Niemczech rycerze łuszczą kup-

nowi, bratu swemu z Niewistki, 50 grzywien

³⁹ *le gentil...* (fr.) – szlachcic Bayard, rycerz bez trwogi i skazy

⁴⁰ *cavaliere di gran grido* (wł.) – kawaler wielkiej sławy

⁴¹ grzywna – w dawnej Polsce moneta obrachunkowa, liczyła 48 groszy

ców po drogach. Ja zresztą nigdy nie dotknąłbym chrześcijan, tylko jeżeliby mi Żyd jaki zaplątał się między nogi, to bym mu nie darował, bo u Żyda zawsze się jakkolwiek obłowisz, a i Matka Najświętsza ci to wynagrodzi.

A na to Wilczek:

– Niewiele tu Żydów w tym kraju. Jest ich kupa we Lwowie, ale ja bym ci i tam nie radził ich łuszczyć, bo najprzód Żydzi – to oko w głowie u tamtejszego starosty, on sam ich łuszczy i nie pozwala, aby mu kto lazył w jego kapustę; a potem jest tam dwa sądy, miejski i starościński, które się wiecznie swarzą pomiędzy sobą, więc jak kogo pochwyca, to jeden drze go za łeb, a drugi za nogi, aż póki go nie rozedrą.

To mówiąc Wilczek rzucił okiem na jego szyję i lewe ramię i tam swój wzrok zatrzymał na chwilę. A było na czym, bo Kergolaj miał łańcuch żelazny obwinięty około szyi, a jego koniec przykuty do naramiennika na lewym ramieniu, zaś przy tym końcu był przyczepiony kłęb wstążek niebieskich i białych, ułożony w kokardę, a końce tych wstążek powiewały w powietrzu.

– Ej! – spostrzegłszy tę kokardę, zawoła Wilczek – to te wstążki gdzieś ciebie prowadzą! Jużes pewnie stanął u jakiej damy na służbę i jedziesz gdzieś w świat, aby jakiegoś ślubu dopełnić.

Kergolaj uśmiechnął się na to z zadowoleniem i rzekł z dobrego serca:

– Tobie powiem, jako przyjacielowi. Zastałem u Kmity jego siostrzenicę, pannę Jagienkę, co się chowała u panien klarysek na Starym Sączu, a teraz ją pani Kmicina wzięła do siebie na zamek i u niej służbę przyjąłem. Słuchaj Wilczek, znasz ty się także na kobietach, ale pozwalam tobie łeb mi rozszczypać toporem, jeżeli mi powiesz, żeś widział piękniejszą.

– Jaka to jest Jagienka? – zapytał Wilczek, szukając w swojej pamięci – przecie ja lata strawiłem na zamku sobieńskim, a nigdy o niej nic nie słyszałem.

– Nie powiadano ci o niej – zaśpiewał swoim klarynetowym tonem Kergolaj – bo znając gorącą krew Wilczków tustańskich, pewnie się obawiano, ażebyś jej zaraz nie porwał.

– Ale któż ona jest?

– Córnica Michała Kmity, stryjecznego sobieńskich, który jest zabity na Węgrzech. Chowala się, jak ci powiadam, w klasztorze, a teraz ją wzięli na zamek, bo idą na nią wielkie majątki na Szląsku i w Węgrzech i chcieliby ją dać za mąż wedle jej stanu.

– O Michale Kmicie, co go zwano węgierskim i był zabity na Węgrzech, nieraz słyszałem, alem nie wiedział, że córkę zostawił. A więc tyś u niej stanął na służbę i jedziesz...

– Jadę do Ziemi Świętej, bom jej obiecał przywieźć różę z Jerycho, a i Kmicie przyrzekłem, że mu przywiozę cierń z korony Chrystusa Pana, aby już odpokutował tych chłopów, co ich pozabijał.

A na to Wilczek całkiem poważnie:

– Różę w Jerycho dostaniesz, bo ten kwiat bujno się krzewi po tamtych krajach, ale o cierń z korony Chrystusa Pana to już chyba będziesz się musiał bić z tymi, co go mają, bo go nie znajdziesz na drodze.

– A co mi tam na tym, że trochę Żydów natłukę!

– Ba! – rzecze Wilczek bardzo rozumnie – kiedy bo to nie Żydy chowają te ciernie, jeno jeżeli jaki odpytasz, to chyba u chrześcijan.

– Wiec się bić będę z chrześcijany.

– Jaka to szkoda – rzekł Wilczek, zamyślając się nad tą ważną sprawą – że ja jestem przykuty i do mego starostwa, i do służby królewskiej właśnie jak pies na podwójnym łańcuchu, inaczej, zaraz bym się z tobą namówił i obrócił dyszel na Jeruzalem. Jam wprawdzie chłopów nie zabijał, ale i u mnie znajdują się grzechy, więc dobrze by było uderzyć czołem o grób Zbawiciela – a oprócz tego rad bym też i ja widzieć te święte kraje, które Chrystus Pan deptał swoimi stopami, o których tyle pięknych rzeczy mi powiadano, gdzie tylu chrześcijańskich rycerzy swoją krew przelewało – a tylko ja tam nie byłem...

Tu Wilczek głęboko się zamyślił, widać było, że jego bujna wyobraźnia zaczęła grać w jego głowie i przedstawiać mu czarujące obrazy.

Kergolaj patrzył przez chwilę na niego, a potem powiedział:

– To nawróć.

– Ba! – rzecze Wilczek głosem prawie żalonym – kiedy mi się nie składa. Jestem podwójnym urzędnikiem królewskim, rotmistrzem u jego dworu i starostą na zamku tustańskim i bez jego pozwolenia w tak daleką podróż mi się jechać nie godzi.

– To słuchaj – powie mu Kergolaj – to nawróć ze mną przynajmniej do Lwowa, bo ja i tam mam wypełnić jedną prośbę Jagienki, przy czym mógłbyś mi być bardzo pomocnym. Byłem u Koniecpolskich w Przemyślu, chcąc ich się poradzić, ale tam tak mnie poili przez cały tydzień, że dopiero w Medyce wytrzeźwiłem, gdzie wczoraj nocowałem. Więc i trudno mi było z nimi się rozmówić...

– Cóż to za prośba?

A wtedy Kergolaj taką mu rzecz opowiedział:

– Wiesz o tym zapewne, że Michał Kmita węgierski miał siostrę, która wyszła za Murysona, szlachcica herbu Mora, co był wojskim trembowelskim, a na czas nawet podobno starostą. Muryson miał koło Trembowli rozległe majątki w ziemi podolskiej, a do tego jedyną dziewczeczkę, którą nazywano Formoza. Otóż kilka lat temu albo może i więcej Tatarzy napadli na dwór Murysona, jego samego jego żonę i wszystkich jego ludzi wymordowali, a tylko dziewczeczka uciekła i zabłąkała się na stepie. Na to nadjechał pewien lwowski Ormianin, dziewczeczkę znalazł, zabrał ze sobą, podchował u siebie i dotąd ją trzyma w swoim haremie. A potem i dobra jej zabrał, przepisał w ziemstwie na siebie i także je trzyma. Formoza jest siostrą cioteczną Jagienki, więc Jagienka się nad nią szczerze lituje; widziałem ją nieraz, jak nad jej losem rzewnymi zalewała się łzami, więc to mnie wzruszyło i przysięgłem jej, że tego Ormianina odszukam i wezmę w moje objęcia – a jeżeli się nie upokorzy, to go na kielbasę posiekam, a Formozę odbiorę razem z jej majątkami.

Wilczek bardzo się kręcił w kulbace, słuchając tej powieści, a kiedy wysłuchał, pogodną twarz swoją nie dla żartu nasrożył, ale zapytał spokojnie i prawie szyderczo:

– Któż to cię naszpikował takimi bajkami?

– Jak to bajkami? – zawołał Kergolaj, któremu ten wyraz wcale się nie podobał – przecie o tym wiedzą wszyscy Kmitowie, a Jagienka nawet listy odbiera od Formozy.

– To Kmitowie są głupi – rzekł Wilczek surowo – a twoja Jagienka czytać nie umie, bo w tym wszystkim nie masz krzty prawdy. Formoza Murysonówna po tatarskim zagonie została znaleziona na stepie, to prawda, ale poszła za męża za Ormianina, bardzo zacnego człowieka, sam byłem na ślubie.

– Piękny to musiał być ślub obyczajem ormiańskim albo też bisurmańskim! – zawołał Kergolaj jadowniczo – nie wiem, co tam mógł robić na takim ślubie, gdzie chyba tylko rzezańców biorą na świadków.

– Dajże pokój! – zawołał na to Wilczek, a twarz mu się zaczerwieniła i oczy już błyskać zaczęły iskrami – daj pokój, bo ja takich rzeczy nie znoszę! Wiedz zasie o tym, że to rzecz nie rycerska czernić uczciwą kobietę... a choćbym był nawet rzezańcem, to jeszcze bym łeb temu rozplatał, który to robi. Zresztą – krzyknął Wilczek, zapalając się coraz więcej swymi własnymi słowami – zresztą, i o tym wiedz także, że jeżeliś po to się wybrał, to nie pojedziesz do Lwowa.

– Ja nie pojedę do Lwowa? – zawołał Kergolaj, biorąc się obydwiema rękami pod boki – może ty mi zabronisz?!

– Zabronię! – wrzasnął Wilczek, pieniając się już od złości – ja tobie zabronię! i zaraz cię tutaj na gościńcu położę!

Po czym z głębi piersi odetchnął, a zmarszczywszy czoło jak Jowisz, rzekł surowo:

– Na koniu czy pieszo?

– Jak wola – rzekł Kergolaj, rzucając piorunowym wzrokiem na niego i chwytając prawą ręką za rękojeść swojego miecza.

– To pieszo – odpowiedział mu Wilczek – bo szkoda tego białego ogiera, chciałbym go też bez szwanku odziedziczyć po tobie.

I zaraz obydwu zeskoczyli z koni, jak gdyby się pod nimi paliło, a Wilczek krzyknął ku swoim ludziom:

– Hej! Ramułt! odmierz no pole na bitwę pieszą, a prędko, bo słońce zachodzi, a pilno mi widzieć, jak wyglądają jelita tego francuskiego pamfila!⁴²

Jednocześnie zaś Kergolaj wołał także do swoich ludzi, ale wołał po francusku, że trudno go było zrozumieć, można się tylko było domyśleć, że jednemu z nich, pewno swemu namiestnikowi, każe mierzyć grunt razem z Ramułtem.

A kiedy obydwu namiestnicy deptali ziemię koło gościńca, aby wynaleźć grunt gładki a twardy, zaś dwaj żołnierze wzięli konie swych panów za cugle, aby je odprowadzić na stronę, obydwu rycerze skakali jak jaszczurki do siebie, łechcąc się wzajem tą i ową grzeczności.

– Ty weźmiesz mojego białego ogiera? – wołał Kergolaj – pierwej ja tobie łeb rozplątam, a kiedy cię kruki będą pożerać, wezmę twojego srokacza, chociaż niewart trzech groszy.

– Ty pojedziesz do Lwowa? – odpowiadał mu Wilczek – aby tam na pocziwych ludzi napaść i bezcześcić kobiety? Śmiać mi się chce z takiego zbawcy sierot szlacheckich! Otóż wiedz o tym, że Formoży dotknąć ci nie dam i jeszcze ci wezmę Jagienkę!

To mówiąc Wilczek, zapырzony i czerwony jak indyk, z ustami drgającymi jak w febrze, z oczyma gorejącymi jak dwie świece jarzące, uderzył ręką po mieczu i już go do połowy wyciągnął: tego zaś Kergolaj już prawie nie mógł wytrzymać i jako to miał krew gorącą francuską, chociaż nieraz umiał wybornie nad nią panować, w tej chwili się uniósł, jak kot od Wilczka odskoczył, cały miecz z pochwy wyciągnął i stanął w rycerskiej paradzie. Jeszcze jedno oka mgnienie, jeszcze jedno słowo dotkliwe, jeszcze jeden ruch z której bądź strony – a już by byli uderzyli na siebie, gdzie stali, nie czekając wcale, aż póki im ich namiestnicy po rycersku gruntu nie wymierzają.

Ale w tej właśnie chwili odezwał się dzwonek gdzieś z głębi lasów na prawo. Dzwonek doniosły, przeciągły, drgający w powietrzu jak arfa anielska, dzwonek wołający pobożnych ludzi na Anioł Pański.

W tym dzwonku wieczornym, odzywającym się tonem żalnym wśród wiejskiej ciszy i skłaniającej się do snu dzienną pracą zmęczoną natury, jest coś czarującego, jest moc jakaś nadziejska, przenikająca serce człowieka do głębi i pochylająca jego głowę w pokorę: zdaje się, jakoby z jego żalnymi tonami Anioł Pański szedł ziemią w swojej własnej osobie i mówił do całej przyrody: Dzień Boży się skończył, idźcie w spokoju do domu. Tylko w Polsce dzwonek na Anioł Pański ma taką władzę anielską nad ludźmi: zgadzają się na to wszyscy podróżni i jeszcze żaden z nich się nie oparł temu wrażeniu.

Na odgłos dzwonka obydwu rycerze uklękli i zaczęli mówić *Ave Maria* według zwyczaju – a wtedy już wszyscy ich żołnierze także klęczeli i odmawiali pacierze, nawet i obydwu namiestnicy uklękli na gruncie, który do bitwy obrali, zdjęli swe hełmy i ręce do modlitwy złożyli. A kto by był miał wzrok przeszywający lasy, trzciny rosnące na stawach i sady otaczające zagrody, ten byłby widział, że jak daleko głos dzwonka dochodził, wszędzie w tej chwili klęczał z odkrytą głową lud Boży i z pokorą w sercu za własne grzechy, a z przebaczeniem win swoim bliźnim, gorące do nieba posyłał modlitwy.

Kergolaj pierwszy, jako to Francuzi krótko się modlą, wstał z kolan i unikając wzroku swego przeciwnika, spojrział na klęczących żołnierzy. A wtedy jego twarz się uspokoiła, chwilę jeszcze nie wiedział, co mówić, lecz kiedy Wilczek wstał także z klęczek, rzekł do niego spokojnie:

– Niedobra to pora do bitwy.

⁴² pamfil (gr.) – zalotnik

A Wilczek na to:

– To dajmy pokój na teraz. Bóg nie chce.

Tak jeszcze przez oka mgnienie stali w milczeniu, zaczem Francuz rzecze:

– Gdzieś tu musi być jakiś kościół w tych lasach.

– Nie kościół – odpowie mu Wilczek – jeno franciszkański klasztor, a teraz to także kmitowska siedziba.

– Tych Kmitów, gdzie nie posiejesz, to zejda – rzecze Kergolaj – a gdzie się potkniesz, to potrącis o Kmitę. Jeżeli i dalej tak rodzić się będą, jak dotąd, to niebawem w całej Polsce, co jaki szlachcic znaczniejszy, to będzie Kmita, a jeśli jaki inny się między nimi zabłąka, to będzie pewnie Tarnowski. Jakiż to Kmita siedzi w tych lasach?

Wilczek, ile że twardszy był od Francuza, jeszcze się całkiem nie wypogodził. Żal mu było zapewne, że mu się taka wyborna sposobność do bitwy zdarzyła z kawalerem tak zacnym i tak dobrze okrytym i właśnie dzwonek zadzwonił. Mówił więc jeszcze cokolwiek cierpko:

– Niby to wiesz wszystko, a przecie są rzeczy, o których ci trzeba powiadać. Ów Michał Kmita węgierski, którego dziewczka Jagienka ten łańcuch z wstążkami ci przyczepiła do lewego ramienia, a jak widzę, i łeb przewróciła z kretelem, miał starszego brata, co się urodził z Tęczyńskiej. Jan Chryzostom mu było na imię i był to rycerz znany po wszystkim świecie swojego czasu, bił się bowiem z wielką chwałą dla swego oręza we Francji, w Hiszpanii, we Włoszech, a nawet po rozmaitych ziemiach murzyńskich: był wtedy także w Ziemi Świętej i tak jak ty nosił na sobie wstążki jakiejś damy, u której przyjął był służbę na całe życie. Ale u damy mu się nie powiodło, bo jej nie dostał; aż kiedy już był zmęczony wojnami i ową służbą, miał Boże natchnienie, ażeby wojnie i miłości dał pokój, a raczej się służbie Bożej poświęcił. Natenczas pancerz i miecz rzucił o ziemię, odprawił jeszcze raz pielgrzymkę do grobu Chrystusa Pana, ale tym razem już nie konno i zbrojne dla bitwy, tylko pieszo dla pokory i dla pokuty, powróciwszy zaś, wstąpił do zakonu franciszkanów w Rzymie, u nich teologii wysłuchał i przyjął święcenia kapłańskie. Zaczem tu wrócił, osiadł w tej puszczy i tutaj zbudował sobie klasztor.

– Dawno to być musiało – rzecze Kergolaj – bom nic o nim nie słyszał. A ta puszcza, kmitowska to własność? co by mnie wcale nie dziwiło, bo Stanisław, jak zacznie prawić o swoich majątkach, to utrzymuje, że i na księżycu ma posiadłości.

A Wilczek na to:

– Nie, ta puszcza nie należy do Kmitów. Dawnymi czasy była to królewszczyzna, aż dopiero Władysław Jagiełło, hojny pan na klasztory, nadał ją franciszkanom. Franciszkanie nie umieli z niej nic zrobić, jakoż przez lat kilkadziesiąt leżała odłogiem, a kto chciał, budował sobie w niej zagrodę, płacąc franciszkanom czynsz lada jaki. Dlatego Chryzostom ją łatwo otrzymał i tutaj się pobudował. I ten z niej coś robi, chociaż Panu Bogu oddany i sam żyje o chlebie i wodzie, nie zapomina przecież o dobrach doczesnych; jakoż za tą puszcza, co ją tu widzisz, a nad stawami, co za nią się ciągną, znaczne już pobudował folwarki, a osadnicy ciągną do niego jak muchy na lep, bo znajdują tu ziemię tłustą za życia i zbawienie duszy po śmierci.

– Och! nie byłby Kmitą, gdyby nie umiał pomnażać majątku – zawołał Kergolaj, śmiejąc się głośno. Zaraz zaś dodał: – Jedźmy chyba do niego, bo i tak trzeba kędyś nocować.

Na to Wilczek rozejrzał się po niebie i ziemi, a widząc, że się już dobrze zmierzchało, rzekł głosem niepewnym;

– Juźci gdzieś trzeba nocować, do Wiszni jeszcze daleko, a do klasztoru ledwie jedno stajanie. Ale lada jaki będziemy tam mieć nocleg, o chlebie i wodzie; jeśli nam dadzą tapczany, to i te będziemy musieli sobie wyprosić, a ludzie nasi będą musieli koczować pod gołym niebem. A nadto jeszcze nie wiem, czy się duchów nie boisz, bo Chryzostom mieszka z duchami.

Więc Kergolaj się zastanowił, a potem rzekł:

– Prawdę mówiąc, ja duchów nie lubię. Już mi się nieraz zdarzyło spotkać z nimi i zawsze mi to wyszło na szkodę. Niedawno temu położyłem się spać w starym zamczysku Girgenti-Bela i tam mnie koło północy takie straszliwe duchy opadły, żem ledwie żyw uciekł w koszuli. Trzebaż było jeszcze, żem nie znał tego zamczyska, któregom we dnie nigdy nie widział, więc uciekając wśród ciemnej nocy, choć oko wykol, spadłem z muru w głęboką fosę, w której rosły same pokrzywy i głogi, i takim się tam poparzył i pokłuł, jak gdyby mnie kat wziął na tortury. Szczęściem, żem się przecież jakiegoś kamienia domacał, na którym też resztę nocy przesiedziałem do rana. A co rzecz najdziwniejsza, to, że moi ludzie spali obok mnie w sali rycerskiej i żaden z nich duchów nie widział; ale też i to prawda, że spali jak kamień, i chociaż na nich krzyczałem, jak gdyby mnie kto rzezał po gardle, żadnego z nich nie mogłem obudzić. Rozumiem tedy, że ich duchy uśpiły, aby mnie samego mogły męczyć spokojnie. Jakież to duchy są, co z Chryzostomem mieszkają?

Ale Wilczek się śmiał i mówił:

– A wiesz ty, jakie to duchy cię tak męczyły? Oto pewnie znalazłeś w piwnicach tego zamczyska jaki antałek *lacrimae Christi*⁴³ i naląłeś go sobie w gardło po same dziurki, a wtedy duchy ci się pokazały. Toż widzi mi się, że i ów zamek zwie się raczej Girgenti, gdzie i ja byłem, a dopiero po tobie nazwano go Bela, kiedyś się w nim spił jak Bela⁴⁴ i upadł w pokrzywy.

– Juźci prawda – odpowie Kergolaj – że się tam dobre wina znalazły w piwnicy, ale i moi ludzie pili, co szyja strzymała, a przecież żaden z nich duchów nie poczuł na sobie.

– Bo twoi ludzie spali na marmurach, a ty, jako cię znam, pewnieś wlaź w bety, więc wino w tobie się zapaliło.

– Może i tak. Ale żem duchy widział, a nawet i czuł, jako mi siadały na piersiach i za łeb mnie brały, na to zaraz przysięgnę. Chyba że w duchy nie wierzysz?

– Widziałem i ja te nieboże stworzenia, a nawet i u mnie niektóre mieszkają na zamku, ale mi nigdy nie czynią nic złego. Gadają ze mną przystojnie, czasem o co mnie proszą, a nieraz dobrą dadzą mi radę, ale kiedy im powiem, aby mnie zostawiły w spokoju, to zaraz znikają.

Kergolaj patrzył na niego z wielką uwagą, a potem rzekł:

– Słysz, Wilczek, może ty masz komitywę z duchami? Toż zdaje mi się, że Pan Bóg okazał łaskę swoją nade mną, kazawszy w samą porę na Anioł Pański zadzwonić, inaczej, byłbyś mnie pewnie tu na gościńcu położył, bo mnie z tobą aniby na myśl było nie przyszło kazać ci się odprzysięć, że twój miecz nie jest zaczarowany.

Ale tu trudno było rozpoznać, azali Francuz mówi z szczerego serca, czy też sobie dworuje, jakoż Wilczek spojrział na niego z ukosa; ale zaraz mu odpowiedział:

– Ot, co tam! ja się nigdy nie każę odprzysięgać nikomu, bo tak sobie mówię: jeżeli, ja jego zmacam mym mieczem, to choćby miał diabła przy sobie, przecie go przetnę na dwoje.

– Masz racją – rzecze mu Francuz – każdy rycerz ma swoje cięcie albo swój sztych, który chowa dla siebie i nawet go duchom nie powie. Ale cóż! jedziemy do klasztoru czy nie?

– A duchy? – zapytał Wilczek.

– Więc jakież to duchy tam mieszkają?

– Alboż ja wiem? – Tego nikt ci nie powie, bo tu nawet nie wiedzieć, azali sam Chryzostom dawno nie zginął, jak mi to powiadano, a jeno duch jego tu pokutuje. Zawsze to pewna, że go ludzie w najrozmaitszych postaciach widują. Kiedy mszę prawi, to światło bije od niego; kiedy każe z ambony, to rzuca błyskawicami, że ludzie, jakby piorunem rażeni, na ziemię padają – a kiedy kogo spowiada, to go bierze jak gdyby w rozpalone obcegi i poty ciśnie i piecze, aż póki wszystkich grzechów zeń nie wydusi. Czasami zaś, w dnie pogodne, kiedy spoczywa, to rośnie w olbrzyma i głowę swoją wystawia ponad najwyższe drzewa i rozgląda

⁴³ *lacrimae Christi* (łac.) – gatunek wina z okolic Wezuwiusza, dosł.: łzy Chrystusa

⁴⁴ spił się jak Bela – zwrot ten łączono z imieniem króla węgierskiego Beli II (panował w latach 1131-1141), który uchodził za wielkiego pijaka

się naokoło po kraju i patrzy, gdzie który człek grzeszy: już tu niejeden podróżny widział jego głowę sterczącą ponad lasami. Ten i ów jej nie dostrzeże od razu, ale jak jeden obaczy, to zaraz wszyscy ją widzą.

Kergolaj może tak bardzo duchów się nie bał, jak sam powiadał, chociaż pod owe czasy wszyscy duchów się bali, bo też je widywali; ale teraz pomimo woli się przysunął do Wilczka i spojrzął w górę ponad lasy.

Nie opodal koło gościńca po prawej ręce zaczynała się puszcza. Był to las gęsty prawie jak mur, u spodu nieprzebranymi chaszczami podszyty, a z tej gęstwiny wydobywały się olbrzymie drzewa, dęby, sosny, jawory i buki, także gęsto ze sobą splecione – zaś między nimi noc czarna jak węgiel. Niebo było pogodne, ale prawie bez gwiazd, natomiast zaś na północnym wschodzie przesunęły się gęste chmury, większe i mniejsze, czarne we środku, jaśniejsze po brzegach, spomiędzy których od czasu do czasu wypływał księżyc sierpem na niebo i białawe, lecz martwe światło rzucał na lasy i pola. W dali, w tej samej stronie, kędyś około Gródka, błyszczały szerokie płyty wody stojącej, a wysokimi trzcinami zasianej; w zwierciadłach tych wód księżyc chwilowo swe blade światło odbijał, które niebawem znikowało – a wtedy szum się dawał słyszeć w tej stronie i przejmujący chłód stamtąd zawiewał. Zresztą cisza była w powietrzu: ale właśnie ta cisza budziła w duszy pewien niepokój.

Niewielki wzrostem Kergolaj tak się do słusniejszego od niego Wilczka przybliżył, że się prawie oparł ramieniem o niego, a przy tym wyteżonym wzrokiem wciąż patrzył na najwyższy wierzch lasów.

– Widzisz co? – rzecze Wilczek.

– Zdaje mi się – odpowie Francuz – że się jakaś głowa spomiędzy wierzchołków lasu wychyla.

– I ja coś widzę – rzekł Wilczek i obydwaj jeszcze mocniej swój wzrok wyteżyli.

A wtedy już wszyscy żołnierze, wyrozumiawszy łatwo, że ich panowie się pogodzili i bić się nie będą, zgromadzili się za ich plecyma i także na lasy patrzali. Nawet woźnice pozłazili z wozów i wsunawszy się między żołnierzy, także się zagapili w tę stronę. Ten i ów, równie jak Kergolaj, dojrzał coś nad lasami, a parobek, którego Kergolaj najał w Medyce za przewodnika, opowiadał im szeptem o różnych cudach, jakie się dzieją w tej puszczy.

– Cóż widzisz teraz? – zapytał znów Wilczek.

– Okrutny łeb kudłaty wychyla się z lasu ponad wierzchołki drzew – odpowiedział mu Kergolaj tajemniczym głosem – już i brody widać cokolwiek. Patrzy prosto na nas i gębę rozdziawia. Gdybym miał łuk przy sobie, zaraz bym go dzióbnał strzałą w sam nos, ciekawym, co by na to powiedział.

– Otóż to rzecz – powiedział Wilczek roztropnie, biorąc go lekko za rękę – nigdy z takimi widziadłami bić się nie trzeba, bo strzała idzie przez nie jak przez powietrze, a choć ich nie boli, przecie się za to mszczą na człowieku. Kiedy zaś grzecznie się z nimi obchodzisz, to i one są grzeczne, jeszcze ci czasem pomogą.

– Patrz! – rzecze Kergolaj – już całą brodę mu widać, białą jak mleko, a kłaczystą jak wełna, już pomału wylażą ramiona...

A kiedy tak z drżeniem serca i w uroczystym milczeniu patrzą na ducha wykluwającego się z lasu, nagle zaszumiał ruch między żołnierzami za ich plecyma, wszyscy się między konie i wozy rozbiegli i słychać było głosy: Bij, łapaj, hej! na koń! w pogoń za nimi!

Kergolaj i Wilczek skoczyli zaraz na środek gościńca pomiędzy konie i fury: – A co to? – Ale w pierwszej chwili nie mogli się niczego dopytać, bo popłoch był między tym ludem, ten biegał tam i sam pieszo, inny konia dosiadał, a ci i owi biegli do wozów. Tylko Ramuł stał po lewej stronie gościńca na koniu i krzyczał wielkim głosem w pole: – Bierz! łapaj! tam, na prawo! hej! tu, między krzakami!

Po lewej stronie gościńca szerokie rozlegało się pole, tu i ówdzie zasiane niskimi kosmykami łożyny, pomiędzy którymi jednak woda błyszczała miejscami. Po tym polu przelatowały

ku lasom jakieś czarne postacie, zwierzęta czy ludzie, czy duchy, trudno było rozeznaczyć, widać tylko było, iż wszystkie uciekały do lasu. Za nimi w pogoń puściło się kilku żołnierzy na koniach, ale były to grunta moczarne, więc najprzód pod jednym, a potem pod drugim koń się związał i dał sobą o ziemię, a nareszcie trzeci i czwarty tak samo się z koniem przewrócił. Kiedy zaś żołnierze wraz z końmi mozolnie wydobywali się z błota, owe zwierzęta czy ludzie, znając zapewne wszystkie przesmyki i ścieżki na tym moczarze, przebiegły jak cienie całe to pole i zniknęły w lasach.

– Ramułt! – zawołał Wilczek – co tam za diabeł was napadł, żeście się tak popłoszyli?

– Ot, co! – rzecze Ramułt, gniewny na swoich żołnierzy – kiedyśmy się zapatrzyli na tego ducha, co z lasu wyłazi, Cyganie się zakradli pomiędzy wozy, zdarli płótno z jednego wozu tego pana Francuza i cały wóz mu złupili. I jeszcze to szelmstwo drapnęło z łupem właśnie przez te moczary, że i nie można ich zgonić.

Więc Kergolaj, kiedy się o tym dowiedział, okrutnie się zgniewał, zaraz skoczył do swoich wozów, wołając po drodze:

– Zaraz zetnę tego szelmę żołnierza, co powinien był tego wozu pilnować. Gdzie on jest? który to wóz?

Tak przybiegli do tego wozu, który im zaraz wskazano. Był to właśnie wóz z wiktuałami: dopiero co był napełniony najprzedniejszymi winami, wyborową wędliną i rozmaitymi innymi specjalami, a teraz stał wypatroszony jak zając, z którego właśnie psom dano odprawę.

Na ten fatalny widok, który każdego owoczesnego rycerza musiał jakby kleszczami chwycić za serce, Kergolaj mało się nie wściekł ze złości i rzucił się jak tygrys ku żołnierzowi, co stał właśnie przy wozie. Kergolaj już miecz z pochwy wyciągnął, aby go ściąć własnoręcznie, co by było jego rozjątrzonemu sercu znaczną ulgę przyniosło. Ale żołnierz trzymał za kark Cyganiątko, które dopiero co spod wozu wyciągnął. Chłopczysko to było lat kilkunastu, ledwie na pół łachmanami okryte, o ciemnobrązowych rysach twarzy egipskich, trzęsło się ze strachu, jakby go tłukła zimnica, ale zdaje się, że mimo to przytomności nie straciło, bo miało oczy czarne szeroko otwarte i nimi spode łba na wszystkie strony rzucało.

– Ot, złodziej! – zawołał żołnierz, zasłaniając się nim przed swoim panem – to ten płótno zerwał z wozu, zwinął je w trąbę i jeszcze chciał z nim uciekać.

– A! szelmo! – zawołał Kergolaj – małmazji wam się zachciało i moich konfektów?⁴⁵ Zetnij go zaraz.

Żołnierz przerzucił Cygana w lewą rękę, a prawą sięgnął po miecz; ale Cygan, jak tylko ten wyrok Kergolaja usłyszał, zwinął się jak wąż i żołnierza w rękę ukąsił. Żołnierz krzyknął, jak gdyby go kto był żarem posypał, i puścił – a Cygan skoczył na bok jak kot i uciekł w moczary. Przez chwilę widać było, jak jego cień, to się przesuwiał jak błyskawica, to znikał między łożami, ale nikt się za nim w pogoń nie puścił, bo już wiedziano, że koń tych moczarów nie uchwyci kopytem – a zresztą, kto mógł wiedzieć, co tam siedziało w tym Cyganie.

Więc Kergolaj, bardzo niekontet, spojrzął na Wilczka i rzekł:

– Piękny kraj, ta wasza Ruś! nie ma co mówić. Z jednej strony rycerz zastępuje ci drogę i nie pozwala jechać choćby nawet do Ziemi Świętej, z drugiej olbrzymie duchy się nad tobą wieszają, co nawet takich w całej Europie nie widać, a z tyłu cię łuszcza Cyganie. A nawet i nie wiedzieć, jaki to gatunek Cyganów się chowa pomiędzy wami, co w jednym mgnieniu oka i pośród tylu żołnierzy cały wóz złupili, tyle towaru unieśli i zniknęli właśnie jak mara.

Tedy Wilczek się śmiał i mówił:

– Kiedy się chcesz zabawić na Rusi, to masz o tym wiedzieć, że to nie Francja, nie Włochy, jeno wszystko inaczej. Nie dość tu na tych Cyganach i duchach, ale i człek tutejszy jest kuty a bity, i kiedy nie umiesz go zażyć, to i uszu twoich stąd nie wyniesiesz, jako to widzisz, bo jeszcześ ledwie próg Rusi przestąpił, a już ci diabli wzięli twoje małmazję z wszystkimi konfektami.

⁴⁵ konfekty (łac.) – owoce smażone w cukrze

Wszakże i Kergolaj, człek lekki, a cudzych krajów bardzo ciekawy, był dobrej myśli i rzekł:

– Małmazji mi żal, bo takiej drugiej nieprędko dostanę. I konfektów mi żal, bo sama Jagienka pakowała je w pudła. Ale kraj mi się podoba, bo inny jak drugie, i przecie tu człek się może trochę rozerwać. W Przemyślu tak piją, że nawet katedralnej wieży nie widział, chociażem cały tydzień tam bawił. W Medyce mi konia ukradli, niechże im będzie na zdrowie! Chciałem im za to wieś spalić, ale się wyprosili i przysięgli, że jak powrócę, to mi konia oddadzą. Tu mnie złupili Cyganie, niechże i im będzie na zdrowie. Za to znalazłem jeszcze jednego Kmitę, może się to na co przyda. Bo jeżeli się jakiej sukcesji dopytam u niego, to mnie swymi duchami od niej odstraszy. Jedźmyż do niego, ale pierwej obaczmy, czy jeszcze łeb z lasu wystawia.

Więc szli obydwaj na to samo miejsce, gdzie przedtem stali, ale teraz nic nie widzieli.

Szli wszakże, ażeby inne cuda obaczyć, bo szukanie rzeczy nadprzyrodzonych, chociażby z narażeniem zdrowia i życia, było nieugaszoną namiętnością wszelakich ludzi ówczesnych, a niejako rzemiosłem i powołaniem owoczesnego rycerstwa.

– Chryzostom już pewnie spać się położył – rzecze Kergolaj do Wilczka – kiedy jego głowy nie widać nad lasem. Spieszmy się, bo inaczej się nie dopukamy do niego. Ale jakże? czy wsiądziem na konie, czy pójdziem do apostoła *per pedes apostolorum*?⁴⁶

– Jest tu dosyć wygodna drożyna – odpowie mu Wilczek – którą można jechać konno i wozem, ale że ciemno w tej puszczy jak w kominie, więc trzeba by zapalić łuczywa.

Więc zapalono łuczywa, które podówczas zawsze ze sobą wożono, dwóch żołnierzy szło pieszo przed nimi i oświecało im drogę, rycerze zaś na koniach jechali za nimi, ze swymi żołnierzami i wozami.

Tak w puszcę wjechali. Jednak niedługo jechali puszcza, albowiem niebawem pokazał im się staw po prawej ręce, który tutaj jeszcze był wąski, tylko gęsto zarośnięty szuwarem i wysokimi trzcinami, zaś po jego prawym brzegu widać było las przerzedzony. W tym lesie stały ogromne, lecz rzadkie drzewa, a za nimi rozlegały się golizny okryte chaszczami i dalsze lasy za nimi. Rycerze jechali po lewym brzegu i widzieli przed sobą staw coraz bardziej rozszerzający swe brzegi, a w dali jego wody łączyły się z widnokretem jak morze. Na widok zapalonego łuczywa i na odgłos prychających koni, i chrzęstu zbroi dzikie ptactwo zrywało się pomiędzy trzcin i z przeraźliwym wrzaskiem ulatywało w powietrze, a szum jego skrzydeł roznosił się nad ich głowami. Czasem kruk zerwał się z drzewa i przeleciał nad nimi, krakając przeraźliwie, jak gdyby żer wietrzył. Gdzie indziej puszczyk czy sowa, trzepocząc skrzydłami na drzewie, śmiała się śmiechem diabelskim. A kiedy księżyc wychylił się z chmur, to jego światło płynęło jak fala wzdłuż stawu, po czym tonęło w puszczy – a wtedy płomień łuczywa zdawał się jeszcze czerwiejszym i przedstawiał cały ten ostep jakoby w blasku piekielnym. Nieprzyjemna była to podróż, a chwilami przerażająca. Ale Kergolaj był dobrej myśli jak zawsze i mówił do swego towarzysza:

– Trzeba być istnym wariatem, ażeby klasztor zakładać w takiej dzikiej pustyni. Nie wiem nawet, kogo on tutaj spowiada i komu każe, chyba że dzikim gęsiom i krukom.

Na to zaś Wilczek, który był smutny i coraz się więcej zamyślał:

– A przecież bywa tu wielki tłum ludu w niedziele i święta, nawet i we dnie powszednie ojciec Chryzostom rzadko bywa bez gości, bo jedni przychodzą po radę do niego, drudzy na pokutę, a ten i ów z jaką chorobą. Masz bowiem wiedzieć, że on leczy wszystkie choroby, zamawiając je czasem modlitwą, albo też przykładając choremu rękę w miejsce bolące – a tak czy tak, chorobę zawsze wyleczy.

– Chwała Bogu, że zdrow – odpowie mu Kergolaj – bo nie chciałbym tutaj chorować, choćby pod jego opieką.

⁴⁶ *per pedes apostolorum* (łac.) – pieszo, na wzór apostołów

– On leczy także i takich, co ich diabeł opętał, poznaje drugich, co są opętani, a sami o tym nie wiedzą, a jeśli kto ma taki frasunek, że już sam nie wie, co ma począć ze sobą, to i takiemu poradzi.

– Niechże by mi poradził, żebym dostał Jagienkę – rzecz Kergolaj na to – to bym się zobowiązał odmówić sto tysięcy pacierzy i jeszcze bym mu co darował na klasztor.

– Powiedz mu, może ci poradzi.

Zaczem Kergolaj się trochę zamyślił, a potem zawołał:

– Słysz, Wilczek! bywają dziwne zrządenia Boże. Może Pan Bóg w swej łasce dla mnie umyślnie tak zrządził, że cię spotkał właśnie obok tego klasztoru. Może mnie ojciec Chryzostom poradzi...

– I ja także rad temu – odpowie mu jego towarzysz, po chwili zaś dodał z głębokim westchnieniem i jak by sam mówił do siebie: – Głupstwo to wielkie, bo też i każdemu kawalero wi się zdarza... ale mi przecież ciężko na sercu.

Zdaje się, że w tej chwili Ofka przyszła mu na myśl, z której się otrząsł z rycerską energią, ale której los przyszły przecież niepokoił jego sumienie.

A wtedy już przed nimi się otworzyła niewielka polana, a na niej dojrzeli kościół i klasztor.

Ale bardzo to biedne były te Bogu poświęcone domostwa. Kościółek zbudowany był z kłoców nie ociosanych i lada jako ze sobą spojonych, nad nim dach z dranic, a przy nim tak samo zbudowana dzwonnica, na której jednak sterczał krzyż pozłacany. Ten krzyż błyszczał promiennie we dnie i w nocy na tle czarnych lasów i sprawiał przejmujące wrażenie; przenosząc swoimi ramionami najwyższe drzewa, był jako owa gwiazda biblijna, co prowadziła trzech króli do kolebki Chrystusa Pana. Do samego kościółka przypierał z boku tak samo ubogi, chociaż dosyć obszerny budynek, a to był klasztor. Dalej, o jakie sto kroków, było widać jeszcze jakieś zabudowania, zapewne folwark, ale może tylko sad i pasiekę, bo zagrodę tę otaczały olbrzymie płoty, z jodłowych gałęzi splecione, przez które nie można było przejść do środka, zwłaszcza wśród nocy.

Kiedy płomienie łuczywa uderzyły w wąskie a długie okna klasztoru, wybiegł przeciwko tym niespodziewanym podróżnym braciszek, ubrany w siermięgę krojem habitu uszytą – a poznawszy Wilczka, oddał mu pokłon głęboki, jaki się tak wielkiemu panu od ubożego zakonnika należał. Wilczek go spytał o przełożonego, a kiedy braciszek mu odpowiedział, że ojciec Chryzostom jest jeszcze na pacierzach w kościele, obydwaj rycerze zsiadli z koni i szli ku wrotom kościoła. Ale ojciec Chryzostom właśnie skończył pacierze i stał już na progu kościoła, patrząc na nich okiem badawczym, ale z uśmiechem na twarzy.

Ksiądz Chryzostom, światowym niegdyś nazwiskiem zwany Kmita węgierski, był to człowiek lat sześćdziesięciu kilku, wysoki wzrostem, niezmiernie kościsty, ale zarazem niezmiernie chudy, co widać było po jego franciszkańskim habicie, który na nim wisiał jak worek, nie mogąc znaleźć nigdzie oparcia. Głowę miał całkiem łysą, na niej dwa szramy głębokie, z których jeden prawie całe czoło przecinał, twarz bardzo chudą ze sterczącymi kośćmi, nos krótki, oczy czarne i duże, całkiem kmitowskie, a do tego siwą brodę, spływającą na pierś. Trzymał się prosto i prawie sztywnie jak żołnierz; wąs przycięty równo z wierzchnią wargą przy siwej brodzie i tej sztywnej postaci dawał mu pozór pewnej surowości, ale głowa w tej chwili naprzód pochylona i uprzejmy uśmiech na twarzy, łagodziły to wrażenie i obudzały sympatią dla jego poważnej osoby.

Obydwaj rycerze, a za nimi i ich wszyscy żołnierze, choć ci ostatni siedzieli jeszcze na koniach, zdjęli hełmy i pokłonili przed nim swe głowy; on zaś, przypatrzawszy się im bliżej swoim okiem szeroko otwartym, rzekł do nich łagodnie:

– Wilczek, tak zbrojnie w nocy? cóż cię do mnie sprowadza? czy nie wypłoszyli was z gościńca Tatarzy?

– Nie – rzecze Wilczek – samiśmy się przepłoszyli nawzajem, a pogodziwszy się, szukamy spokojnego noclegu u waszej wielbności, a na czas i błogosławieństwa na dalszą drogę.

A na to Chryzostom:

– Któż jest ten grzeczny kawaler, co ci drogę zastąpił, a którego mi przyprowadzasz? Wilczek powiedział.

– Jan Felix Kergolaj – rzekł wtedy Chryzostom – przyrodni brat Kmitów sobieńskich, jak nigdy słyszałem, *eques auratus*⁴⁷, a podobno i żołnierz waleczny i sławny.

A to rzekłszy, zaraz do Kergolaja coś z francuska przemówił.

Kergolaj stał dotąd z głową nisko schyloną, jak gdyby pod jakimś głębokim wrażeniem, dopiero dźwięk jego mowy ojczyściej go ośmielił, że głowę podniósł i śmiało Chryzostomowi odpowiedział, raz, drugi i trzeci. Po czym spostrzegłszy, że Wilczek stoi jak na niemieckim kazaniu, rzekł do nich obydwóch po polsku:

– Chodźcież, przyjmę was wedle mojej możności. Ja wprawdzie żyję chlebem, jarzyną i mlekiem, ale mój kanafarz⁴⁸ ma piwo i mięso dla gości. Wasi ludzie mogą się położyć obozem, a wam dam celę na nocleg.

To mówiąc dał im znak, aby szli przed nim do drzwi klasztoru, ale obydwaj rycerze, jako ludzie pobożni i mający się za zbrojnych kapłanów tego samego Kościoła, na żaden sposób nie chcieli iść przed nim. Więc ojciec Chryzostom po kilku wzajemnych ukłonach poszedł naprzód, a oni za nim. A w tej krótkiej chwili Kergolaj, jako to Francuzi zawsze są gadatliwi, trącił Wilczka swoim łokciem pancernym i rzekł półgłosem:

– Ale to wcale nie ta głowa, którą dopiero co wyścibił był z lasu.

A Wilczek na to:

– Bo on się umie przerzucać i zawsze taką postać przybiera, jakiej mu właśnie potrzeba.

Kergolaj rzucił na Wilczka wzrokiem, w którym przede wszystkim przebijała ciekawość, nie musiał jednak być bez pewnej obawy, bo mruknął pod nosem:

– Nie wiem, azali to jest rzecz katolicka... Wolałbym tu nie nocować.

I z tym weszli do celi ojca Chryzostoma.

Była to izba dosyć obszerna, o dwóch wąskich oknach kształtem gotyckim, ściany jej nie były ani wybielone, ani wytynkowane, ledwie że gliną wylepione. W jednym kącie stał tapczan drewniany bez siennika, a tylko kocem nakryty, pod oknem stół prosty, na którym krucyfiks i duża książka w drewnianych kompaturkach⁴⁹ na żelazne kłamry zamknięta, około stołu cztery stołki, pod ścianą ława, a nad nią kilka półek i to było całe umeblowanie. Wszelako na drugiej ścianie wisiał hełm, pancerz z całym przyborem, jeden miecz długi, wężykowaty, a drugi krótki, topór, rotmistrzowska buława, a około niej kułbaka i inne rzemienie. Kergolaj najprzód rzucił okiem na te wojenne narzędzia i przypatrywał im się ciekawie, o ile je mógł obejrzeć przy świetle dymiącego kagańca, który zastali na stole. Chryzostom spojrzął na Kergolaja i rzekł:

– To mój nagrobek, który mi przypomina, czym byłem za życia.

Zaczem prosił ich siedzieć i sam siadł, i spytał Francuza, co go zawiodło w te strony. Kergolaj mu powiedział. Wtedy mnich się łaskawie uśmiechnął i rzekł:

– Jedziesz do Ziemi Świętej, abyś się umył z twych grzechów, a tymczasem ludzi napadasz po drogach.

Więc Kergolaj się protestował, koloryzując rzecz, bo nie chciał winy zwałać na Wilczka. Ale Chryzostom przerwał mu mówiąc:

– Mnie nie okłamiesz. Widziałem was, jakoście miecze wyciągnęli ku sobie. Wtedy kazałem na Anioł Pański zadzwonić, aby was rozbroić.

⁴⁷ *eques auratus* (łac.) – rycerz pasowany; w pojęciu autora rycerz posiadający ponadto złote ostrogi

⁴⁸ kanafarz (łac.) – piwniczy i szafarz klasztorny

⁴⁹ kompaturka – okładka

Tu Kergolaj bardzo zdziwionym okiem rzucił na Wilczka, a tymczasem mnich mówił dalej:

– Usłuchaliście dzwonka, to dobrze, ale obydwaście winni, godziłaby się za to pokuta.

Na to słowo: pokuta, Kergolaj się skreślił jak wąż na swoim siedzeniu, a chcąc rozmowę odwrócić do innego przedmiotu, zapytał:

– Wasza wielbność już dawno w tym klasztorze? Kraj zdaje mi się tutaj dosyć dziki, a ta posiadłość niewiele musi przynosić intraty?

Więc Chryzostom się na to znowu uśmiechnął i rzekł:

– Franciszkanie nie żyją z intraty, tylko z jałmużny. Albowiem kiedy stanowiono zakony, dostały się lasy eremitom, góry benedyktynom, doliny cystersom, pola i łąki norbertanom, św. Franciszek zaś przyszedł, kiedy już wszystko było rozdane, więc kazano mu zebrać. My zatem żyjemy z jałmużny, a nabywanie dóbr doczesnych zostawiamy duchowieństwu świeckiemu i tym zakonom, którym wolno ziemię posiadać. Ale życzymy im z serca, ażeby z czasem wszystkie ziemie posiadli, bo wtedy dopiero nastąpiłoby królestwo Boże na ziemi, którego wszyscy z takim upragnieniem oczekujemy.

Na to Kergolaj cofnął się w tył na swoim krześle, bo zapewne sobie pomyślał, że nie bardzo by pragnął żyć w tym królestwie, co też bystry mnich zaraz spostrzegł, bo rzekł:

– Ja ciebie nie znam, ale cię widzę na wskroś. Ty jesteś rycerzem świeckim, nie takim, jakimi myśmy niegdyś bywali, cośmy księżętom i królom, lecz przede wszystkim Kościołowi służyli. Ty służysz twojemu ciału. Ty jesteś *un valereux et courtois chevalier, mais grand trompeur des dames*⁵⁰. Umiesz ty po niemiecku?

– Rozumiem.

*Ein Kuss vom rothen Munde,
Der freut aus Herzensgrunde,
Dazu ein Umbevang,
Von zwei schönen Armen blank*⁵¹

oto jest, za czym ty gonisz po świecie. Widzę ja po tym łańcuchu, co go nosisz na szyi, i po tych wstążkach, co ci je jakaś dziewczka przyczepiła do lewego ramienia. Ty gubisz duszę. Tobie potrzeba pokuty.

Kergolaj zrazu się wdzięcznie uśmiechał, bo mu te podejrzenia schlebiały, lecz widząc, że mnich się bierze nie żartem do niego, zaczął się przed nim usprawiedliwiać. Więc opowiedział mu, jako przez całe życie służy wiernie królom i Kościołowi i nigdy nie pamięta o sobie, jako zawsze klasztory, zakony i ludzie ubogie swoimi piersiami zasłania, jako dziś jedzie do Ziemi Świętej li z nabożeństwa i z gorącego pragnienia krwi pogańskiej, której jak najwięcej chciałby utoczyć dla chwały Chrystusa Pana, że chociaż wreszcie to prawda, iż przyjął służbę u panny Jagienki i obiecał jej przywieźć różę z Jerycho, ależ to przecie rzecz ludzka i pozwolona, ażeby rycerz przyjął służbę u jakiej damy zacnego rodu, a dosłużywszy się jej łaski, wszedł z nią w śluby małżeńskie.

Ale Chryzostomowi jakoś to wszystko nie przemawiało do przekonania, bo wysłuchawszy go, machnął ręką i rzekł:

– *Vanitas vanitatum et omnia sunt vana!*⁵² Byłem i ja niegdyś takim głupim, żem przyjął służbę u pewnej damy. Siedem lat jej służyłem, nosząc wciąż jej kolory; biłem się po wszystkich ziemiach całego świata za jej honor i sławę – a kiedym się jej łaski nie mógł dosłużyć, na drugie siedem lat stanąłem u niej na służbę. Bardzo grzeszne było to moje życie natenczas. I

⁵⁰ *un valereux...* (fr.) – waleczny i wytworny kawaler, ale wielki bałamut kobiet

⁵¹ *Ein Kuss...* (niem.) – dosł.: Pocałunek czerwonych ust, który cieszy z głębi serca, do tego uścisk pięknych nagich ramion.

⁵² *Vanitas vanitatum...* (łac.) – marność nad marnościami i wszystko marność!

musiałem być wtedy przeklęty od Boga, bo przez wszystkie te lata żaden święty mi się nie zjawił, natomiast zaś diabeł mnie nawiedzał w nocy, kopał mnie kopytami, targał za brodę i bił mnie po pyskach, jak swego sługę, a nawet raz tak się rozzuchwalił, że się zamachnął, aby mnie nawrócić na wiarę żydowską. Baba więc w dzień swoją miłością, a diabeł w nocy swoimi piekielnymi kunsztami już mnie tak umęczyli, że nie wiedział, co począć ze sobą i tylko się modlił mojemu Bogu, aby mi dał zginąć w najpierwszej bitwie, jaka się zdarzy. I Pan Bóg się nade mną zlitował do połowy, bo w nocy przed bitwą, kiedy męczony przez szatana otworzyłem gębę, ażeby głębiej westchnąć do Boga, spadła mi z nieba hostia pomiędzy wargi – i to pokrzepiło me siły. Z bitwy jutrzejszej wyszedłem cało – a od tego dnia postanowiłem sobie odmawiać co dzień po sto pięćdziesiąt *Salve Regina*⁵³. Przez długi czas moje pacierze żadnego skutku nie odnosiły: ale jednej nocy Matka Najświętsza zjawiła się nade mną i zaprosiła mnie do siebie na obiad. Na tej uczcie zastałem cały tłum aniołów i świętych, a sama Matka Najświętsza przysłała w złocistych sukniach i tak wspaniałą promieniejącą pięknnością, że padłem na kolana, jej widokiem olśniony, i nie mogłem ani słowa wymówić. A wtedy Matka Najświętsza rzekła do mnie z anielskim uśmiechem na twarzy: – Patrz na mnie i powiedz, azali nie jestem piękniejszą od tej, której ty służysz. Masz zatem wybór: jeśli się do mnie nawrócisz, to porzuć tamtą, a stań u mnie na służbę. – Ja na to wstrząsnąłem się od grozy i wstrętu przed samym sobą; spostrzegłem zaraz moje zaślepienie i nawet pojąć nie mogłem, jakim sposobem się stało, że przyjąłem służbę u pospolitej a grzesznej kobiety, mogąc służyć Pani niebieskiej. I już mnie odtąd piekielny pancerz jakoby był rozpalony i miecz mój się ostrzem ku mnie obracał i serce mi krwawił. Toż rzuciłem to wszystko w Rzymie, poszedłem do mądrych ludzi na naukę, odprawiłem pielgrzymkę do Ziemi Świętej, a otrzymawszy święcenia, nareszcie tutaj założyłem sobie klasztor. I tutaj już mi się nigdy nie zjawia ten bezczelny *infamis*⁵⁴, który mnie przez tyle lat męczył po nocach. Tu moje ciało się upokarza cierpieniem, a dusza się czyści modlitwą. Tu, służąc ludziom, służę Bogu, bo nikt sługą Bożym nie będzie, kto ludziom nie służy. Nie wiem ja, ile moje służby ważą u Boga, ale rozumiem, że ich nie odpycha od Siebie, bo Go widuję w rozmaitych postaciach i otrzymuję od Niego rozkazy. I powiadam wam także: Zrzućcie ze siebie pancerze i hełmy, bo w nich siedzą diabelskie pokusy. Wy jesteście najniezwyklejsi z ludzi, chociaż sami o tym nie wiecie. Wy jesteście sługami szatana, choć wam się zdaje, że Bogu i uciśnionym ludziom służycie. Wy coraz głębiej brniecie w trzęsawisko ziemskiego grzechu – i powiadam wam, że ten dzień niedaleki, gdzie wrota się zamkną przed wami, a wtedy nie będziecie mogli powrócić na drogę prawdy i cnoty.

Kergolaj kręcił się coraz niecierpliwiej na stołku i prawie już tak wyglądał jak mysz, która wpadła w pułapkę i rzuca niecierpliwymi oczyma dokoła, kędy by mogła się wyśliznąć z tej klatki. Ale Wilczek zdawał się być skruszony i zbudowany, bo spytał:

– Chcielibyśmy z całego serca zasłużyć się Bogu, ale cóż mamy robić, mój ojciec? Kto wziął pancerz i miecz po swoim ojcu, a przy tym i urząd w swoim królestwie, ten bez obrazy Boga i swego honoru nie może go rzucić.

A na to mnich:

– Toż nie powiadam wam, ażebyście zaraz dziś do zakonu wstąpili. Anibyście w to potrafili, gdybyście chcieli, bo się to czyni nie z musu, jeno z natchnienia, a natchnienie nie przyjdzie bez łaski Bożej. Ale powinniście o tym pamiętać, że łaska Boża przyjść może i przygotować się na jej przyjęcie. A do tego ja wam pomogę. Ciałom waszym pomogę umartwieniem, a duszom modlitwą. Zostańcie tutaj przez tydzień; modlitwy ja sam dla was urządzę, a o dyscyplinę się postara braciszek.

Na to Kergolaj rzucił niezmiernie zdziwionymi oczyma na Wilczka, uśmiechnął się i rzekł: – Dyscypliny? – i chciał dalej coś mówić, ale tymczasem ojciec Chryzostom wpatrzył się w

⁵³ *Salve Regina* (łac.) – Witaj Królowo

⁵⁴ *infamis* (łac.) – człowiek bez czci, łajdak

słup obróconymi oczyma w kąt celi, wyciągnął szyję, wyteżył uszy, wstał prędko ze swego stołka i rzekł:

– Pan Jezus mnie woła. Idźcie do waszej celi, posilcie się, braciszek wam reszty dopowie. I wyszedł zaraz z pośpiechem, drzwi zostawiając otworem.

Zaczem Kergolaj spojrział śmiejącymi się oczyma na Wilczka i rzekł:

– Cóż, panie Wilczek? wpadliśmy tutaj, jak w jamę zielonymi gałęziami nakrytą: na wierzchu kościół i krzyż wyzłocony, a pod spodem pacierze i dyscypliny. Gdyby nam przynajmniej dali co jeść, bo mnie już kiszki skrzypią z głodu i pragnienia.

Ale Wilczek, człowiek niezmiernie wrażliwy, był jakby bezprzytomny, wszelako odpowiedział mu z przekonania:

– Człowiek to święty. Znam jego od dawna i mam łaskę u niego jeszcze z tych czasów, kiedy byłem na Sobniu. Widywałem go i później u księcia kardynała, gdzie jego rozum bardzo respektowano. Kto jego rady posłucha, ten źle na niej nie wyjdzie.

A na to Kergolaj:

– Ja jemu nie odmawiam rozumu. Ale to mnich fanatyk – a tacy ludzie, kiedy im się odwasz w opiekę i ciało zepsują, i duszy nie zbawią. Ziemię ci wezmą, a nieba nie dadzą. Chodźmy do naszej celi.

To rzekłszy, poszli do celi dla nich przygotowanej, która się znajdowała w drugim rogu klasztoru, skąd wychodziła druga furtka, prowadząca ku folwarkowi. Cella ta była równie dosyć obszerna, ale oświetlona tylko jednym małym okienkiem zakratowanym, wyciętym u stropu, że prawie wyglądała jak więzienie. W tej chwili była oświetlona kagankiem. Stało w niej dwa tapczany, kilka stołków i stół, a na stole, na misie drewnianej, kawałek wędliny, bochenek chleba, a obok niego dzban wody i dwa kubki gliniane. Kergolaj rzucił się jak wilk na chleb i wędlinę, ale na żaden sposób ugryźć ich nie potrafił: wędlina była jak drzewo, a chleb jak kamień. Francuz się nie posiadał z niecierpliwości.

– Nie chcę powiedzieć – rzekł z gniewem – co o nim rozumiem; ale czy to jest rzecz, dawać komuś takie potrawy do jedzenia? Pies by tego nie ugryzł. Bodajby ich wszyscy diabli wzięli, tych Cyganów! Teraz spać trzeba będzie o głodzie.

To mówiąc, zaczął się wielkim krokiem przechadzać po celi. Lecz nagle stanął, a wpatrzywszy się w kąt, zawołał:

– A co to?

W tym kącie stało narzędzie, całkiem do pręgierza podobne. Gruby słup wbity w ziemię, a przed nim jakoby schód do klęczenia. W ten słup były wbite dwa haki i dwa kółka żelazne, przy których wisały rzemienie opatrzone sprzączkami, na hakach zaś dwie dyscypliny. Na schodzie było widać plamy czerwone, a na skórzanych prętach dyscyplin krew skrzepłą.

Na ten widok Kergolaj się wzdrygnął i zawołał:

– Wilczek! czy widzisz, co tu stoi w tym kącie?

– Cóż? – rzecze Wilczek spokojnie – pręgierz do biczowania.

Kergolaj patrzył przez chwilę na ten instrument pokuty, a potem rzekł:

– Otóż to mi sypialnia! Jeśli tu kogo diabeł bije w nocy po pyskach albo mu się śnią inne widziadła, to mi wcale nie dziwno.

A wtem wszedł braciszek i stanąwszy w progu, pokłonił się nisko obydwom rycerzom. Kergolajowi nie bardzo miłe były te odwiedziny, jakoż spytał:

– Czym mam służyć waszmości?

– Przychodzę z rozkazu jego wielbności, ażeby z ichnnościami pacierze odmówić, a po pacierzach odprawić pokutę.

To mówiąc, braciszek wziął do ręki książkę, która w kształcie worka w płótno oprawna wisała mu obok różańca u pasa, otworzył ją i zaczął szukać modlitwy.

– Słysz, panie bracie – odpowiedział mu Kergolaj przytomnie – ja z tobą modlitwy odmawiać nie mogę, bo ja się modlę po francusku, a ty nie znasz tego języka.

– Jak wola waszej miłości. Więc proszę mnie po modlitwach zawołać.
– A po co? do rozbierania ja mego sługę zawołam.
– Nie – rzecze braciszek – ja też do rozbierania nie jestem. Ale na dyscypliny.
– Na dyscypliny? – zapytał Kergolaj, mocno zdziwiony.
– Tak – rzecze braciszek – jego wielebność zezwolił w swej łasce, ażebym jegomości usłużył pięćdziesięcią dyscyplinami na gołe plecy.

Kergolaj miał zrazu wielką ochotę puknąć od śmiechu, lecz kiedy spojrzął na Wilczka i spostrzegł, że jego towarzysz siedzi wciąż zamyślony i na łokciu oparty przy stole, wstrzymał się i rzekł sztucznie:

– Słysz, panie bracie, jam dzisiaj upalił mil kilkanaście na koniu i jestem niesłychanie zmęczony. Podziękuj zatem jego wielebności za łaskę, którą sobie bardzo wysoko cenię, i powiedz mu, że od jutra będę gotów na jego usługi.

– Szkoda dnia – rzecze braciszek – ale jak wola. Wtedy Kergolaj jeszcze raz rzucił okiem poza siebie, lecz widząc, że Wilczek siedzi wciąż nieruchomy, wyprowadził wychodzącego braciszka z wielkimi komplementami w kurytarz i spytał go po drodze:

– A gdzie jest ojciec Chryzostom?
– Jego wielebność leży krzyżem przed wielkim ołtarzem w kościele.
– Kiedyż powróci?
– To trudno wiedzieć, ale zapewne niebawem, bo o świcie idzie znów do kościoła na jutrznię.

– To ja się z nim rozmówię, jak wróci, bo chciałbym mu osobiście podziękować za łaskę.
– Jegomość dzisiaj w to nie potrafiisz – odpowiedział mu nauczające braciszek – bo kiedy jego wielebność ma święte widzenia, to do następnego dnia z nikim nie mówi.

– Tak – rzecze Kergolaj – pokaże mi w swej łasce, kędy bym mógł wyjść do moich ludzi i koni, aby obaczyć, jak się ulokowali.

Braciszek wskazał mu owe boczną furtę w rogu kurytarza, a Kergolaj mu się grzecznie pokłonił i rzekł:

– A więc do jutra. Jutro zaś rano odmówię z tobą nawet łacińskie pacierze, a potem spróbujemy się z dyscyplinami.

Po wyjściu Kergolaja Wilczek siedział jeszcze w zamyśleniu przez chwilę, lecz nie mogąc go się doczekać, złożył swój pancerz na ziemi i położył się na tapczanie.

Z początku widział tylko ojca Chryzostoma w jego całej świątobliwości; sam się nie czuł godnym tak wielkiej łaski, ale myślał sobie, że ten cudotwórca, gdyby tylko chciał, mógłby go zrobić jakim potężnym wojewodą w królestwie, a wtedy mógłby się dobrze zasłużyć Panu Bogu i ludziom. Syt zasług i sławy, mógłby także na stare lata wstąpić do jakiego zakonu i stać się świętym człowiekiem. Potem przyśniła mu się Formoza i stary Kijas, jako są obłożeni przez jakiś poczet rycerski, bronią się mężnie, ale nie mogą zdzierżyć. Wilczek rzucał się we śnie, ale czuł Kergolaja, siedzącego na jego piersi, i nie mógł się zerwać z tapczanu. Nareszcie zawiesiły się nad nim dwie kobiece postacie, Ofka i Jagienka: Ofka, jak ją Marucha unosi powietrzem z gorejącej zagrody, i Jagienka, królująca na zamku sobieńskim w takich samych złocistych szatach, w jakich Chryzostomowi pokazała się Matka Najświętsza. Tak sny i widzenia w nocy i we dnie wieszają się nad rozżarzoną umysłem człowieka – a tymczasem świat rzeczywisty się toczy swym torem.

Kiedy Wilczek się zbudził nazajutrz i rzucił okiem na drugi tapczan, niepomału się zdziwił, gdy spostrzegł, że Kergolaja na nim nie było. Ubrał się prędko i pobiegł na folwark i zastał swoich żołnierzy, ale po Kergolaju i jego ludziach już i miejsce zastygło. Francuz dyscyplin nie lubiał, a nawet nie bardzo w nie wierzył – i czmychnął w nocy z klasztoru.

Ucieczka ta dotknęła go bardzo niemile, bo mogła ojca Chryzostoma obrazić, ale go także zaniepokoiła, bo ten lekkoduch mógł jakiej jajecznicy nawarzyć we Lwowie. Chciałby był zaraz za nim pojechać: ale był zanadto skruszony napomnieniami ojca Chryzostoma, poczuł

niektóre grzechy na swoim sumieniu i chciał się ich pozbyć; powiedział więc sobie: pierwsza koszula ciała – i został.

Jakoż poszedł zaraz do kościoła, spowiadał się, leżał krzyżem przez całą mszę świętą, a potem przyjął ciało i krew Pańską z taką przykładnością i skruchą, że nią wszystkich mnichów zbudował. Jakoż ojciec Chryzostom rzekł mu po mszy we cztery oczy:

– Za ten grzech ciężki, co wiesz, powinien bym ci cale inną wyznaczyć pokutę, ale mam wzgląd na to, że się śpieszysz, ażeby stanąć w obronie niewinnych ludzi przed napastnikiem. Wszelako zostań jeszcze u mnie przez dzień dzisiejszy, będziesz na nieszpórach, jutro zaś o świcie odprawię dla ciebie mszę świętą – a tak może ci Pan Bóg za moim wstawieniem się grzech ten odpuści.

Zaczem Wilczek został w klasztorze, a przed wieczorem miał z ojcem Chryzostomem długą rozmowę. Wśród tej rozmowy rozumny ten mnich dawał mu rozmaite nauki.

– Do służby Bożej nie masz wokacji – powiedział mu Chryzostom między innymi – widzę to dobrze po tobie, ale ja się temu nie dziwię, boś jeszcze młody. Mając wzgląd na krew twoją, daję ci radę, ażebyś się jak najprędzej ożenił. Dziewek dobrego rodu w naszym kraju nie braknie, jest między czym wybrać i łatwo znaleźć pannę stateczną i urodziwą. Zajedź też także na zamek sobieński i obacz Jagienkę: moja to synowica, jestem jej opiekunem, a także coś znaczę u Kmitów, więc gdyby były jakie trudności, mogę ci pomóc. A o tego Francuza wcale się nie troszcz. To pędziwiater, nie masz tam krwi kmitowskiej w jego żyłach, nie masz i statku. Jakoż mi się tak widzi, że do trzech dni łańcuch ten zrzuci ze szyi, a za inną pogoni. Bądź zdrow, bo nie wiem, czy jutro po mszy będę się mógł z tobą pożegnać.

Nazajutrz o świcie Wilczek wysłuchał mszy świętej i z lekkim sercem a dobrej myśli i prawie jak odrodzony wyruszył spiesźnie do Lwowa.

IV

DOM KUPIECKI

Lwów liczy daleko więcej wieków istnienia, niżeli mu ich zazwyczaj przyznają jego kronikarze. Istniał on bez wątpienia już jako miasto w owych wiekach, dziś całkiem zamierzchłych, kiedy właściwa Ruś, rozciągająca się od Sanu wzdłuż Dniestru, po brzegi morza, zwanego Gościnnym, a teraz Czarnym, liczyła się do najżyźniejszych i najbogatszych krajów całej Europy. W owych wiekach, skutkiem bądź wojen bratnich pomiędzy ruskimi książętami, bądź powstań bojarów, zrywających się od czasu do czasu do wybicia się spod władzy swych panów, przechodził on kolejno rozmaite epoki upadku i wzrostu, aż wreszcie, od chwili rozpoczynających się w wieku XIII zagonów tatarskich, wystawiony na ich ustawiczne napady trzema szlakami: czarnym, kuczmańskim i wołoskim, żyjący wtedy jak gdyby pod trzema strzałami, wymierzonymi w jego serce, popadł na dłuższe czasy w nieznane dotąd ubóstwo. Ów mniemany jego założyciel, książę Lew, syn króla Daniela, był tylko jego odnowicielem, podniósłszy go z gruzów, w które go trzynaście lat przedtem napad tatarski był rzucił. Odnowiciel jednak i jego następcy nie potrafili mu zapewnić spokojnego istnienia i powrotu do dawnej świetności; dopiero Kazimierz Wielki, zagarnąwszy go wraz z przyległymi krajami pod swe panowanie, przyniósł mu stałą opiekę i możność spokojnego rozwoju. Obwarowano go wtenczas nowymi murami i opatrzone we wszelkie środki obrony – a miasto to stało się, jak było dawniej, jednym z najgłówniejszych i najbogatszych targów kupieckich, pośredniczących pomiędzy Wschodem a Europą Środkową. W wieku XV Lwów był miastem rządonym nadzwyczaj porządnie i regularnie, w swojej kupieckiej skrzętności był nadzwyczajnie ruchliwym, obejmował niezmiernie bogate składy towarów, utrzymywał stosunki handlowe ze wszystkimi zagranicznymi targami, od Carogrodu do Gdańska, od Kaffy aż do Wenecji, a przeto i obfitował we wszystkie potrzebne, a nawet i zbytckowne dostatki w swych murach.

Rynek i niemal wszystkie ulice były te same, co dzisiaj, lecz samo miasto, obwiedzione murami i opatrzone basztami, było o wiele ciaśniejszym, rozlegało się bowiem w kształcie podłużnym a wąskim tylko od szkarp dzisiejszych po Pełtew. W murach ówczesnych znajdowały się tylko dwie bramy, Krakowska u północnego zachodu i Halicka na południowym wschodzie, których na czele miejskich halabardników pilnował *proconsul nocturnus*⁵⁵. Baszty i mury były opatrzone armatą, a miejski arsenał był zawsze dobrze wyładowany wszelkiego rodzaju bronią i amunicją. Miasto miało swą ludwisarnię, swoich płatnerzy i rusznikarzy. Ulice były wybrukowane, chodniki kamienne, kamienice po największej części murowane, z krużgankami u piąter, niektóre nawet obronne. W środku rynku stał ratusz murowany z wieżami i był otoczony z trzech stron kramami, które miasto wynajmowało na wieczne czasy swoim własnym rodzinom mieszczańskim, a które przeto ciż mieszczenie nazywali swoją własnością. Na ratuszu mieściła się lonheria miasta, wszystkie urzędy i sądy, tam się odbywały wybory rajców i ławników, tam także miasto przyjmowało znamienitszych gości i wyprawiało dla nich festyny i widowiska publiczne. W mieście, w rogu zachodnio-północnym,

⁵⁵ *proconsul nocturnus* (łac.) – tytuł naczelnika straży nocnej, mającego obowiązek czuwać nad bezpieczeństwem mieszkańców

stał częścią z kamienia, a częścią z drzewa wybudowany tak zwany Niski Zamek, mieszczący w sobie obszerne komnaty mieszkalne i także mocno obwarowany. W tym zamku mieszkali królowie, kiedy zjeżdżali do Lwowa.

Poza murami miasta rozciągały się obszerne przedmieścia na gruntach miejskich, które otaczały miasto na całą milę dokoła, a na których widać było porozsiewane wsie i folwarki. Na przedmieściach stały rozmaite kościoły i cerkwie, pomiędzy którymi wznosiła się na wzgórzu wspaniała i swymi bizantyńskimi kopułami imponująca cerkiew św. Jura. Nad tym zaś wszystkim panował z wyniosłej piaskowej góry Zamek, zwany Wysokim, silny sam w sobie i srogimi otoczony murami, a jak wieść niosła, nigdy jeszcze nie wzięty.

Na Niskim Zamku siedział kasztelan, który był zarazem starostą, lecz w tym ostatnim urzędzie wyręczał się głównie podstarostą, mianowanym także przez króla. Dawnymi czasy, kiedy potężni Odrowążowie, protoplastowie Pieniżków i panowie z Chodcza, których ród prędko wyginał, zrazu jako wojewodowie przemyscy, a potem ruscy, wodzili rej po tych krajach, kasztelani lwowscy byli im całkiem podlegli i nie mieli prawie żadnego znaczenia. W tych czasach widzimy kasztelanami potomków familij ruskich. Lecz później potrafiliby się usamowolnić i władzę swoje, a zarazem i swe znaczenie dokładniej określić. Jednak i wtedy reprezentowali tylko osobę króla, mieli obronę obydwóch zamków na pieczy, stawali na czele chorągwi pospolitego ruszenia, przewodniczyli przez swoich Starostów wyborom miejskim, mianowali jednego burmistrza, w niektórych wypadkach powstrzymywali wykonywanie wyroków – i na tym kończyła się ich cała powaga nad miastem.

Miasto rządziło się samo przez dwunastu rajców, którzy rozstrzygali zarazem spory cywilne, a sądziło swe sprawy kryminalne przez dwunastu ławników, i jednych, i drugich własnego wyboru. Rządowi miasta przewodniczyło trzech burmistrzów, jeden potwierdzony w imieniu króla i noszący tytuł *proconsul regius*⁵⁶, zaś dwaj drudzy nazywali się *proconsul communitatis*⁵⁷ i *proconsul dominorum consulum*⁵⁸, sprawowali zaś swój urząd, zmieniając się kolejno co miesiąc. Nad ławnikami stał wójt. Urzędy rajców i ławników były dożywotne, lecz wolno było zrzec się urzędu. Rajców nazywano powszechnie panami – i byli to rzeczywiście ludzie bardzo bogaci, posiadający nieruchome własności, a wyciągający nieprzeliczone dochody ze swoich kramów, z szynkowni, miodosytni i woskobojni, ze stęp⁵⁹, blichów⁶⁰ i łaźni, i z rozmaitych opłat od wyroków w procesach, miewali częstokroć majątki ziemskie, folwarki, wypasy i własne statki na Dniestrze, ale też za to dbali starannie o dobro wszystkich mieszkańców i utrzymywali w mieście wzorowy porządek.

Lwów był w wiekach dawniejszych zamieszkały zapewne przez samych Rusinów, chociaż tak tutaj, jak i po innych miastach ruskich, widzimy już w bardzo dawnych czasach osiadłych Niemców, a mamy także i akta publiczne książąt ruskich, pisane w języku niemieckim. Jakoż nie masz wątpienia, że nie dopiero Kazimierz Wielki sprowadził za sobą Niemców do Lwowa, tylko równie pewną jest rzeczą, że wówczas napłynęli oni tutaj gromadniej, i odtąd kiedy miasto uczuło nad sobą potężną opiekę, zaczęli przypyływać Ormianie, później Tatarzy, a wreszcie Żydzi, Serbowie, Włosi i Grecy. Z Kazimierzem Wielkim przybyli także Polacy; z początku mało ich było, za Ludwika Węgierskiego i Władysława Opolczyka liczba ich się nie pomnożyła, lecz za to gęstą ściana nawała za królową Jadwigą. Od tego też czasu, choć w samym mieście niewiele ich było, prędko zyskali przewagę, a z czasem swoją energią, wyższą oświatą i towarzyskim polorem tak wzięli górę nad wszystkimi innymi narodowościami, że język ich we wszystkich warstwach się upowszechnił – a kto chciał uchodzić za grzecznego człowieka, ten mówił, a przynajmniej usiłował mówić po polsku. Pod koniec XV wieku

⁵⁶ *proconsul reglus* (łac.) – burmistrz królewski

⁵⁷ *proconsul communitatis* (łac.) – burmistrz pospółstwa

⁵⁸ *proconsul dominorum consulum* (łac.) – burmistrz panów rady

⁵⁹ stępa – koryto drewniane, w którym parzono i ubijano sukno

⁶⁰ blich – bielnik, miejsce do bielienia płótna

język ten był panującym we Lwowie, jednak obok niego utrzymywał się także język niemiecki, dawniej górujący, toż cały świat kupiecki umiał po niemiecku. Obok tych dwóch języków mówiono po rusku, co wszakże nie było już w modzie, po ormiańsku, po włosku, po tatarsku, po serbsku, a nawet po grecku, zaś w czasie jarmarków można było słyszeć na rynku kilkanaście języków obcych, do których miasto dla ułatwienia handlu utrzymywało stałych tłumaczy.

Pomimo takiej mieszaniny ras, języków i wyznań – Polacy i Niemcy wyznawali katolicką religią, Rusini i Ormianie byli prawosławni, a obok nich mieszkali jeszcze muzułmańscy Tatarzy i Żydzi – pomiędzy mieszkańcami panowała wzorowa zgoda. Sporów religijnych nie było, bo fanatycznej propagandy nie było; każdy się modlił swojemu Bogu, jak chciał, a nikt drugi się w sprawy jego sumienia nie mieszał. I sporów politycznych także nie było, bo wszyscy się czuli członkami jednej gminy, a gmina, rządząc się sama i troszcząc się tylko o swoje własne dobro moralne i materialne, zawiadywanie publicznymi sprawami pozostawiała królowi i jego pełnomocnikom. Nawet zbrodni wówczas nie było: kary wymierzane za występki przeciwko własności i publicznemu spokojowi są bardzo rzadkie, wyroków za wykroczenia przeciwko wierze wcale nie znajdujemy – krwawe sądy w sprawach sumienia zaczynają się dopiero w wieku szesnastym. Natomiast widzimy niepoliczoną ilość bractw, stowarzyszeń i innych zakładów publicznych w celu niesienia pomocy ubogim, chorym albo potrzebującym zarobku; nad stosunkami panów do sług, czeladników do majstrów, a nawet nad zapłatą należącą się robotnikowi, czuwają bardzo sumiennie i pilnie władze miejskie; urząd publiczny może sprawować ten tylko, kto ma w mieście posiadłości, od wydatków zbytkowych strzeże *lex sumptuaria*⁶¹, utrzymaniu stosunków rodzinnych pomaga ciężki podatek nałożony na bezżennych, nad moralnością publiczną czuwa powaga starszyny i kierowana przez nią opinia publiczna – co wszystko wydaje miłosierdziu, ludzkości i rozumowi, jakie podówczas panowały w tym mieście, bardzo wymowne i piękne świadectwo.

W mieście wodzili rej mieszczenie osiadli, a mieli oni podówczas poważne znaczenie nie tylko w obrębie swej gminy, ale także i w kraju, albowiem posiadali niemało majątków wiejskich i byli panami całego przemysłu, handlu i pieniężnego obrotu. Bił na nich jeszcze, lubo już bledniejącymi promieniami, blask owej wielkiej i świetnej potęgi, jaką przez tyle wieków błyszczały rzeczypospolite włoskie i północne miasta hanzeatyckie⁶² – a chociaż dawne prawa miast polskich znacznie już wówczas podkopała wciąż wzrastająca przewaga szlachty, chociaż przywileje nieszawskie już bardzo silny cios zadały mieszczanom, ścieląc ich nisko pod stopy rycerstwa i zabraniając im nawet przystępu do wyższych dygnitarstw kościelnych: Statutów piotrkowskich, rozszerzających przywileje nieszawskie, jeszcze wtedy nie było, zaczęli mieszczenie czuli się jeszcze w swoim dawnym znaczeniu i używali go z roztropnością i miarą, ale zarazem ze świadomością praw, które im przysługiwały. Znaczenie mieszczan było wtedy tak wielkie, że nawet zamożna szlachta garnęła się chętnie do Lwowa, ale szlachcic musiał przyjąć prawo miejskie i poddać się magdeburgii, ażeby mu pozwolono własność miejską zakupić.

Jednak tych samych swobód używali i Żydzi, a nawet wolno im było dobra ziemskie posiadać, jakoż żyły wówczas żydowskie rodziny Szachnów, Szmuchłów, Notków, Jordanów i Wołczków, które posiadały bardzo obszerne majątki po całej Rusi. Było ich także cokolwiek w mieście, ale przeważnie gnieździli się za murami, na gruntach należących do zamku, gdzie trzymali gospody i szynki, trudnili się rozmaitym handlem, a głównie pośrednictwem w obiegu pieniędzy, i gdzie od starostów daleko łatwiej otrzymywali rozmaite dzierżawy i przywileje niżeli od rajców miejskich. Jakkolwiek ich lichwa dawała się temu i owemu ciężko uczuwać, jak dzisiaj, a ich przekupstwo, którym wtedy walczyli, przynosiło uszczerbek inte-

⁶¹ *lex sumptuaria* (łac.) – ustawa przeciwko zbytkom

⁶² miasta hanzeatyckie – miasta należące do Hanzy – średniowiecznego związku kupców niemieckich. Założywszy szereg filii za granicą, Hanza stanowiła potęgę polityczną i gospodarczą.

resom przedmieszczan i moralności publicznej, nie miano ich jednak jeszcze podówczas w takiej pogardzie jak później, albowiem chociaż chciwość pieniędzy była powszechna, nie było zazdrości, bo konkurencja była łatwiejszą. Ziemi było pod dostatkiem dla wszystkich, przystęp do wszelkiego rodzaju przemysłu i handlu dla każdego otwarty; kto chciał pracować i zapobiegać, ten bardzo łatwo i prędko dorabiał się znacznego majątku i nie potrzebował go zawidzieć innym. Była więc i pod tym względem bardzo szeroka wolnomyślność w pojęciach i w postępowaniu.

Wszelako pomimo tak wielkiej tolerancji we wszystkich kierunkach, nikt nie był obojętnym dla swej wiary, owszem, każda z nich cieszyła się głęboką czcią swoich wiernych a zarazem bogatym uposażeniem. Lwów był już wtenczas stolicą trzech katedr: był arcybiskup łaciński, Jędrzej Boryszewski, którego stolica, zwłaszcza od czasu mądrego i zapobiegliwego Grzegorza z Sanoka, jaśniała wielką powagą i posiadała obszerne majątki w ziemiach halińskiej i lwowskiej a zarazem własną chorągiew zbrojną; był arcybiskup ormiański, Kilian, posiadający tę samą katedrę, co dzisiaj, a jego władza obejmowała całą Ruś, całe Podole i Wołoszczyznę; był wreszcie władca ruski, podlegający metropolii kijowskiej. Były także zakony franciszkanów, dominikanów i bernardynów; Rusini mieli ośm cerkwi w samym mieście, nie licząc tych, które posiadali na przedmieściach. Katolicy zaś dwa razy tyle kościołów. Były seminaria, bursy i konfraternie⁶³, szkoły dla organistów, diaków i rozmaitych śpiewaków, pomiędzy którymi pierwsze trzymała miejsce konfraternia rybałów. Tak ta ludność niezmiernie mieszana, uderzająca oko najdziwaczniejszą pstrocizną strojów, a ucho babilońskim rozgwarem rozmaitych języków, była jeszcze gęsto przesiana niepomierną ilością księży świeckich i mnichów, obok których snuły się różnorodne postacie pielgrzymów w kapeluszach z szerokimi kresami i długich sukniach, obszytych zamorskimi muszlami, którzy szli albo wracali ze Ziemi Świętej, albo też z innych dalekich krajów, i napełniali miasto fantastycznymi powieściami o wielkoludach i dziwotworach, wszędzie ciekawie słuchani.

W tym mieście, tak ciasnym, lecz zarazem tak tłumnym i pełnym tak różnorodnego rozgwaru, w rogu wschodniej połączy rynku, obok cokolwiek później zbudowanego arcybiskupiego pałacu, stała kamienica o sześciu oknach wychodzących na rynek, ale ciągnąca się wzdłuż ulicy wiodącej ku cerkwi wołoskiej aż ku ulicy Ruskiej. Był to podówczas największy i najpokaźniejszy dom w mieście, o dwóch piątrach, murowany u dołu z ciosowego kamienia, wyżej z czerwonej cegły, opatrzony kamiennymi krużgankami, a nakryty wysokim dachem z dachówki, który był obwiedziony zębatym murem, prawie jak forteca, a nad którym sterczały olbrzymie kominy, prawie jak baszty obronne. Wszystkie ówczesne domy mogły mieć tylko trzy okna od frontu, bo tak chciało prawo, ale właściciele tej kamienicy dzięki swojemu bogactwu i wpływowi potrafili sobie wyrobić sześć okien, za co się wszakże zobowiązali zmurować ją obronnie i w danych wypadkach przechowywać w niej skarby, jakie by im do schowania oddano. Toż był ten dom istną fortecą. Prowadziła doń od rynku brama wjazdna żelazna, wszystkie okna w przyziemiach były zakratowane i zamykały się na okienice żelazne. Tutaj od frontu znajdował się kram otwarty, zamykany także na drzwi żelazne, w którym sprzedawano bakalie i rozmaite inne towary do codziennego użytku. Obok kramu był kantor, w którym wymieniano pieniądze i załatwiano wszelkie inne sprawy pieniężne. Dalej szły składy drogich tkanin tureckich, perskich, indyjskich, a z tyłu znajdowały się magazyny napełnione wełną, skórami, sukniami, płótnem i inną tkaniną pospolitego gatunku. Wewnątrz był wąski a długi dziedziniec, tak że weń mogły zajeżdżać wozy, a wyjeżdżały tylną bramą, już nie tak bardzo fortemną.

W tych przyziemiach trwał ruch bezustanny od rana do późnego wieczora, tak że do otwartych drzwi kramu czasem trudno się było przecisnąć, zaś bramą otwartą wchodził tylko ci ludzie, którzy na górne szli piętra. Z tego wjazdu prowadziły szerokie, paradne schody, opatrzone rzeźbionym z dębowego drzewa poręczem, na pierwsze piętro, gdzie się znajdo-

⁶³ konfraternia (łac.) – bractwo, stowarzyszenie

wały bardzo obszerne i bardzo bogato przyozdobione komnaty, z których największa część była przeznaczona na przyjmowanie gości, inne na mieszkanie rodziny. Pierwsze z tych komnat były napełnione pysznymi sprzętami z rzeźbionego drzewa i ozdobione makatami porozwieszanymi po ścianach, nad kominami błyszcząły w misternych ramach wspaniałe weneckie zwierciadła, u stropu pająki brązowe, rzeźbione przez znakomitych sztukmistrzów włoskich, przy ścianach stały tu i ówdzie szafy oszklone gdańskie, nasiekiwane na czarnym drzewie perłową macią, i inne niemieckie, składane z drzewa najrozmaitszych kolorów, a wszystkie napełnione cennymi naczyniami ze srebra, porcelany i brązu. Zgoła komnaty te zadziwiała swoim bogactwem: ale bywali już tutaj królowie, biskupi, posłowie papiescy i rozmaitych innych mocarzy i także nie mogli im się nadziwić. Na drugim piętrze znajdowało się jeszcze więcej komnat, bo były mniejsze, ale wszystkie dostatnio w wszelaki sprzęt opatrzone, tak te, w których mieszkała rodzina, jak i owe, co w nich czasem mieszczono gości.

Właścicielem tej kamienicy był wówczas najbogatszy kupiec ormiański. Nazywał się Epaminondas Arzebek Chiaao, ale że nie każdy mógł łatwo jego nazwisko wymówić, więc go powszechnie nazywano Kijasem. O jego pochodzeniu różne chodziły wieści, o które on się jednak wcale nie troszczył. Jedni mówili, jakoby szedł z wyspy Chios i stąd wziął nazwisko, a ci powiadali go Grekiem z przodków ormiańskich, inni mienili go być potomkiem książąt ormiańskich, dlatego też kładł miano Arzebek przed swoim nazwiskiem. Wszelako od starych Ormian, zresztą może cokolwiek zazdrosnych, chociaż zazwyczaj tej wady nie mają, szła także powieść, jakoby jego pradziad przyszedł tutaj piechotą z Jazłowca, z początku handlował koziną, potem bakalią, a wreszcie towarem cenniejszym, czym się dorobił majątku dla siebie i swoich potomków, którzy go wszakże wciąż pomnażali, aż wreszcie przyszli do takiego bogactwa, że im równego nie było ani tu, ani w Kamieńcu, ani w Suczawie, a na ich słowo dawano krocie w Kaffie i Carogrodzie, w Wenecji i w Gdańsku. Kijas jednak o tym wszystkim nawet i nie wspomniał, bo był to człowiek rozumny i wiedział, że kmieć, mieszczanin czy szlachcic tylko tym stać powinien pomiędzy ludźmi, co sam zaważy, a nie tym, co tam kiedyś ważyli jego przodkowie.

Kijas miał wówczas lat sześćdziesiąt z okładem, duży był wzrostem, kościsty i silny, twarz także miał dużą, całkiem ogoloną, nos mocno garbaty, ormiański, oczy duże, siwe, krzaczystymi brwiami nakryte, i siwą czuprynę, dosyć bogatą, ale zazwyczaj trochę w nieładzie. Na jego twarzy malowała się bardzo wydatnie przytomność i świadomość siebie samego, dość było spojrzeć na niego, ażeby widzieć, że temu człowiekowi nie można pleść lada czego, bo niełatwo uwierzy; ale na tej trzeźwej twarzy odbijał się także spokój właściwy wszystkim ludziom wytrawnym, dobroć serca i łagodność umysłu. Toż ten uprzejmy wyraz jego twarzy zniewalał wszystkich do tego stopnia, że kto go poznał, zaraz miał zaufanie do niego, a chociaż po raz pierwszy z nim mówił, był z nim, jak gdyby go znał od lat niepamiętnych.

Kijas był człowiekiem niezwykajnego rozumu, który zresztą pod owe czasy, jeśli nie wyłącznie, to przynajmniej przeważnie znajdował się w stanie mieszczańskim, bo ten właśnie stan pielęgnował starannie wszelkie nauki i zawiadywał sprawami ekonomicznymi całego świata. Był on jednakże nie tylko ukształconym, ale także uczonym. Mówił pięciu językami poprawnie i płynnie, znał jeografią całej Europy na palcach, znał wszystkie targi europejskie pod względem ich znaczenia, ich towarów, kredytu i obyczajów, znał się sam na wszelkiego gatunku towarach, od żaglowego płótna do najpyszniejszych tkanin indyjskich, od żelaza i miedzi do złota i drogich kamieni, był namiętnym zbieraczem wszelkiego rodzaju osobliwości – a oprócz tego kochał się w pergaminach i książkach, których miał całą szafę, na bardzo misterny zamek zamkniętą.

W tej szafie znajdowały się rękopisma bardzo cennej wartości, pomiędzy którymi *Flores legum*⁶⁴ kosztujące szesnaście grzywien, przepyszne kopie Wirgiliusza i Horacego, a obok nich kilka pieśni *Komedii boskiej* Dantego, pisane na pergaminie inkaustami rozmaitego ko-

⁶⁴ *Flores legum* (łac.) – Zbiór praw; dosł.: Kwiaty praw

loru, z inicjałami przedstawiającymi te figury, których opis znajduje się w tekście, i z marginesami pokrytymi złożonym rysunkiem. Za cenę tych pergaminów można było dobrą wieś kupić; ale na tym nie dosyć. Albowiem obok tych rękopismów leżały ustawione ze zwaństwem wszystkie najnowsze druki polskie, które dopiero niedawno zaczęły się zjawiać, jak *Diurnale secundum usum Eccle-siae Cracoviensis*⁶⁵, wydane dopiero przed dwoma laty, jak *Mszał wrocławski*, *Mszał krakowski*, drukowany w Moguncji w roku 1487, i dwa *Mszały norymberskie* Hallera. Kijas był o te książki, a zwłaszcza o pergaminy, tak zazdrosnym, że wprawdzie każdemu je pokazywał, czytał sam i tłumaczył, ale nikomu do ręki nie dawał z obawy, aby mu ich nie zabrukał. Równą słabość miał także do drogich kamieni, które namiętnie skupywał, ale je z zyskiem sprzedawał.

Wszelako jego wielki rozum objawił się głównie w administracji jego niezmiernie rozgałęzionego handlu, a obejmującego niemal wszystkie znane towary i rozpostartego na przestrzeni połowy Europy. Tu trzeba było głowy nadzwyczaj zdrowej, aby tym wszystkim zarządzać. Kijas miał bowiem zmonopolizowane dla siebie fabryki, jak w Tustaniu i wielu innych miasteczkach, miał własne statki na Dniestrze, na Sanie i Wiśle, miał własne kramy i składy w Przemysłu, Łańcucie, Kamieńcu i Suczawie, miał własne kantory w Gdańsku, Wenecji, w Kaffie i Carogrodzie, a do tego mnóstwo rozmaitych przedsiębiorstw w samym Lwowie i po przedmieściach – a przecie ta cała administracja była jak zegarek, nie zdarzały mu się nigdy znaczniejsze szkody ani nieprzewidziane wypadki, a majątek się ciągle pomnażał. Kijas miał także w swym zawiadownictwie bardzo znaczny majątek ziemski koło Trembowli, należący do jego synowej; sam większych posiadłości szlacheckich nie łąknął, kupił tylko przed kilku laty wieś Skniłów pod Lwowem i dał za nią sześćdziesiąt grzywien, rycerskiego konia, sobolową czapkę i parę butów ormiańskich; ale kupił ją tylko dlatego, że jego syn, mający ambicje szlacheckie i zamiłowanie w koniach, napał się jej koniecznie.

Natomiast wszakże, idąc za śladem swych ojców, dbał o to, aby miał w mieście znaczenie – i miał je, bo był już proconsulem wiele razy, od kilku lat był już w odstawce i nosił tytuł *consul antiquus*⁶⁶, ale mimo to tak był respektowany, jak gdyby był arcykonsulem czynnym, i żadna ważniejsza sprawa nie odbyła się w mieście bez jego rady. Pomiedzy miejską starszyzną miał zazdrosnych jak każdy, co głową przenosi innych, ale natomiast wszystkie niższe warstwy były mu całym sercem oddane, bo był uczynnym i miłosiernym: nikomu nigdy nie odmówił pomocy, często nawet sam się z pożyczką lub datkiem narzucił – a zawsze to robił po chrześcijańsku, że lewa ręka nigdy nie wiedziała o tym, co prawa wydaje. Lubił także robić basztangi osobom zamożnym (tak Ormianie nazywali podarunki), więc temu dywan dywdykowy⁶⁷, drugiemu bursztynowy różaniec, trzeciemu chustkę indyjską dla jego małżonki, ale wtedy już jego głowa wiedziała, dlaczego to robi.

Epam nondas Arzebek Chiaao nosił zwykle na głowie biret niemiecki, na sobie suknię długą z czarnego sukna lub aksamitu, na nogach zaś buty żółte albo czerwone, i tak go można było widywać siedzącego we drzwiach otwartych swojego kramu na worku pieprzu, witającego uprzejmie przechodniów i rozpytującego ich o codzienne nowiny lub plotki, obiegające po mieście. Pilnował przy tym swojego kramu, który mu wprawdzie nie przynosił ani dziesiątej części jego dochodów, ale o którym sam mawiał, że to jego chleb powszedni.

Dziś wszakże o popołudniowych godzinach siedział w swej pierwszej komnacie za wielkim stołem, misternie z czarnego drzewa rzeźbionym, na którym leżała płaska szkatułka, dwie małe paczki, związane szpagatem, i rozmaite lupy w mosiądz oprawne.

⁶⁵ *Diurnale...* (łac.) – Diurnalik dla użytku krakowskiego kościoła; (diurnalik – częściowy brewiarz, zawierający tylko godziny kanoniczne dnia)

⁶⁶ *consul antiquus* (łac.) – rajca dawny. Od XIII w. miasta w Polsce mają radę (*consilium civitatis*). Wszędzie obok rady nowej, rządzącej (*consules moderni*), odgrywali pewną rolę rajcy dawniejsi (*consules antiqui*), służąc nowej radzie swym doświadczeniem. Stanowili oni radę przyboczną.

⁶⁷ dywdyk – tkanina wełniana lub jedwabna

Naprzeciw niego na wskos pod oknem siedział Kundrat, który właśnie z Tustania powrócił i trzymając przed sobą książkę rachunkową wąską a długą, zdawał mu sprawę z towarów odebranych w tym mieście i wyprawionych do Dniestru.

Zaś obok niego, ale cokolwiek opodal, w poręczowym krześle, turecką tkaniną wybitym, siedziała pani Formoza, jego najukochańsza synowa, słuchając obojętnie tustańskich rachunków, a rzucając ciekawym okiem na paczki leżące obok szkatułki.

Formoza była kobietą tak wspaniałą i piękną, jakie się nie codziennie spotyka nawet na dworach królewskich. Miała lat dziewiętnaście i była wzrostem tak słuszną, że przносиła głową o kilka cali starego Kijasa, formy miała okrągłe i pulchne, a w każdym ruchu tak wiele wdzięku i wspaniałej powagi, że zdawała się być na to zrodzoną, ażeby z królewskich kruzganków ścielić do swoich stóp wszystkich kruszących ze sobą kopie rycerzy. Szatynka była, włos miała ciemny, ale błyszczący złotem do światła, oko piwne, pełne świetnego blasku, ale w promieniach łagodnych, rzęsy przepyszne, a cerę białą i przezroczystą, a okraszoną świeżym jak wiosna i wcale dziewiczym rumieńcem. Ubrana była skromnie jak na te czasy, tak pełne wystawności i zbytków: na głowie miała małą, złotem haftowaną duchenkę, okrągłą i wydatną jej kibić okrywała przypadająca do jej smukłego stanu katanka i pas miała na sobie, składający się ze złotych emaliowanych sprzążek, którego jeden koniec jej spadał do kolan. Ubiór ten nie mógł podnosić ni jej powagi, ni wdzięków: a przecież i w tym ubiorze była tak świetną, tak wspaniałą i tak imponującą, że kto ją pierwszy raz widział, musiał się nią zachwycić, a nawet ci, co ją znali od dawna, obchodzili się z nią jak z królową, której życzenia każdy usiłuje odgadnąć, a nikt im się nie śmie sprzeciwić.

Jakimże niepojętym wypadkiem taka królowa niewieściej powagi i wdzięków dostała się w rodzinę kupiecką? Wilczek już to powiedział Kergolajowi. Córeczkę zamożnej i znakomitej rodziny szlacheckiej, wymordowanej przez Tatarów, Kijas znalazł zbłąkaną na stepie i w swoim domu przytulił. Spostrzegłszy u niej już wtedy niezwyčajne zalety umysłu i serca, przywiązał się do niej i dał jej wychowanie nadzwyczajnie staranne. Formoza korzystała pilnie z tych nauk, i kiedy na pannę wyrosła, stanęła w rządzie najuczeńszych kobiet stolicy, a może nawet wszystkich ziem ruskich. Umiała doskonale po polsku, po rusku, po łacinie, po włosku i po niemiecku, a nawet poduczyła się dosyć dobrze prowansalskiego języka, ażeby najpiękniejsze ówczesne pieśni rycerskie i miłosne mogła czytać w oryginale. Toż umiała wiele takich pieśni na pamięć, które śpiewano jeszcze na dworze Berengarów w Tuluzie, umiała także niektóre pieśni Minnesaengerów niemieckich, które przy lutni albo przy gitarze śpiewała, ale zawsze tylko dla siebie, nigdy dla gości. Jednak najulubieńszym jej zajęciem było czytanie poetów łacińskich – i bodaj czy nie czytywała także ukradkiem Owidiusza *Remedia amoris*, które w bardzo pięknym odpisie znajdowały się w księgozbiornie jej teścia. Wszelako nigdy się nie popisywała ze swoją nauką, a tylko sam Kijas wiedział, jakie skarby rozumu i wiadomości się znajdowały w tej głowie kobiecej, jakoż już za to samo, nie tylko ją kochał i wielbił, ale obchodził się z nią z taką delikatnością pełną uszanowania, jak gdyby świętą miał w swoim domu.

Wszelako i zacny Kijas był takim samolubnym człowiekiem, jak inni: bez wątpienia nie z łakomstwa na jej majątek, którego sam miał dostatkiem, ale dlatego, ażeby tej ukochanej istoty nie wypuścić ze swego domu, ożenił z nią swego syna. Stało się to przed rokiem. Formoza, młodziutka wówczas dziewczyna, wychowana z daleka od rycerskiego świata, do którego należała z rodu i pokrewieństwa, znająca wprawdzie bardzo wielu ludzi, ale nikogo z bliska, przywiązana jak siostra do swego przyszłego męża, z którym od dziecka prawie się razem wychowywała, wierząca zresztą w każde słowo Kijasa jak w ewangelię i przejęta szczerą dla niego wdzięcznością za uratowanie jej życia i majątku, przyjęła to małżeństwo bez żadnego oporu i z głębokiego poczucia obowiązku była wzorową żoną i jak najlepszą synową. Ale czy mądrze to zrobił Kijas, łącząc tych dwoje ludzi ze sobą? Złośliwe języki różnie o tym mówiły – a byli i tacy, co Kijasowego syna uważali za niedorodka i wcale nie-

bożę stworzenie; jednak pomimo to pomiędzy żoną i mężem panowała święta zgoda, najbystrzejsze oko nigdy żadnej chmurki tam nie dostrzegło i w całym domu płynęły dnie w takiej ciszy i z taką powagą, jak msza za mszą się odprawiają w kościele.

Kundrat właśnie kończył swój raport kupiecki, a zamykając książkę, dodał te słowa:

– Oto są wszystkie towary, jakie odebrałem w Tustaniu. Ostatnie wozy oddałem przedwczoraj naszemu karawanbaszy⁶⁸, z którymi zaraz poszedł do Dniestru. Dziś nasze szkuty⁶⁹ ruszyły, o czym zapewne do jutra będziemy mieli wiadomość.

Wysłuchawszy go Kijas, milczał i myślał przez chwilę: zapewne szeregował cyfry w swej głowie, dodawał, odciągał i mnożył, układając preliminarz czystego zysku; wszakże niebawem się z tą robotą uporał, a wtedy rzekł do Kundrata:

– Dobrze. Zaciągnij wasze te rzeczy w księgi. Daszkiewiczowi poszlij dwanaście łokci sukna i chustkę turecką dla jego żony. Ramułtowi dałem dziesięć złotych węgierskich, aby miał zapas w podróży. Wilczkowi zaliczyłem cokolwiek więcej, niżeli mu się należało, o co mniejsza, wyrówna się to w jesieni; tylko że kasa baranowska się nie powiększa i jeżeli tak dalej pójdzie, to Baranowa nigdy nie wykupimy. Cóż tam wasze słyszał o Wilczku? bo imci pani Formoza zauważyła, że był jakiś nieswój tym razem i jakby mu coś brakowało.

To rzekłszy, spojrział na swoje synową, a ona odpowiedziała:

– Pan Wilczek ma jakiegoś mola, który go gryzie, ale nie mogłam go wyrozumieć, co by mu było, chociaż zazwyczaj chętnie się przede mną spowiada. Na moje pytania odpowiadał ciemno i enigmatycznie, mówiąc: Mężczyźni, tak jak i kobiety, mają swoje zgryzoty, o których nie powiadają nikomu, bo wiedzą, że im nikt nie pomoże. Nie wiem jednak, jakie by to były zgryzoty.

– Cóż ci się zdaje? – zapytał Kijas.

– Mnie się zdaje – odpowiedziała Formoza – że zgryzot nie ma, jeno mu duszno na zamku tustańskim. Jemu potrzeba powietrza. Potrzeba mu wojny, w której by się rozerwał i sfatygował cokolwiek, albo mu trzeba żony, coby rozweseliła jego zamek samotny.

Na to zaś prędko odezwał się Kundrat, bo pilno mu było wywnętrzyć się z plotek, którymi się obładował w Tustaniu.

– A ja wiem – rzecze – jaki mól gryzie naszego starostę.

I tu opowiedział dokładnie i szczegółowo całą historią o Ofce, o Biłowusie i pożarze zagrody, malując im wszystkie szczegóły jakby na dłoni, jako Biłowus rżał śmiechem końskim na dębie, jako Marucha uniosła Ofkę powietrzem i jako Włostek, porwany miłością dla Ofki, pobiegł jej na ratunek, ale nic zdziałać nie mógł, bo przyjechał za późno.

Formoza słuchała tego opowiadania z żywym zajęciem, bo i najukszałceńsze kobiety lubią powiastki o czarownicach i zakochanych młodzieńcach, ale rozumny Kijas całkiem inaczej się zapatrywał na takie rzeczy, jakoż rzekł po niejakiemu namyśle:

– Na toż to waszeć jesteście doktorem obojga prawa, ażebyś takie bajki powtarzał! Nie Biłowus tam rżał, tylko jego dziki koń w stajni, i nie Maruchę z Ofką widziano ulatujące z pożaru, tylko prawdopodobnie kłęby czarnego dymu, które się prostym ludziom wydały jakoby wydęte spódnice. Toż tak rozumiem, że te obydwie kobiety ani uleciały powietrzem, ani zgorzały w chałupie, bo sam powiadasz, że nie znaleziono z nich śladu na pogorzeliisku, lecz bez wątpienia uciekły ziemią, i jeszcze kiedyś się o nich dowiemy. Ale Wilczek mi się nie podoba w tym razie, bo najprzód, uwodzić niewinne dziewczęta, to rzecz może rycerska, ale nieuczciwa, porzucać je bez ratunku, to rzecz nieszlachetna, a kiedy się już tak stało, nie umieć sobie poradzić, to głupio. Miał przecież zakochanego Włostka pod ręką i mógł go z nią ożenić.

Na to zaś Kundrat:

– Tak mi to także powiadał Daszkiewicz, dodając, że gdyby mu był starosta tylko słówko pisnął o tym, to byłby był wziął Ofkę do siebie, Biłowusa uchodził i Włostka ożenił, a jeśliby

⁶⁸ karawanbasza (tur.) – wódz karawany

⁶⁹ szkuta (niem.) – niekryty statek jedno- lub dwumasztowy do przewożenia towarów

się w tej tkaninie była jaka dziura zjawiała, toż to nie masz takiej dziury pomiędzy ludźmi, której by nie można załatać szerokimi groszami.

– Daszkiewicz mądrze powiedział – rzekł Kijas – dobrze o tym wiedzieć, bo może on się przysłużyć Wilczkowi, jeśliby się z tego wywiązały jeszcze jakie dalsze trudności. Ale Wilczek powinien się jak najprędzej ożenić. Życzę mu tego z serca jako jego przyjaciela... a oprócz tego zależy nam na tym, ażeby na zamku tustańskim siedział człowiek porządny i cichy. Jak widzę z rachunku waszeci, produkcja tego miasteczka wzmaga się coraz więcej, a może się jeszcze znacznie pomnożyć.

Formoza patrzyła przez ten cały czas zamyślonymi oczyma przed siebie, a kiedy ją Kijas zapytał:

– A cóż na to powiada nasza najmilsza synowa? – ona odpowiedziała z westchnieniem:

– Smutno mi słuchać tych rzeczy. Całkiem inaczej sobie wyobrażałam naszych rycerzy, a rozumiałam, że Wilczek pomiędzy nimi najlepszy.

A wtedy rzekł Kijas, biorąc ją za rękę z uśmiechem zadowolenia:

– Więc może to nie tak źle, żeś poszła za mieszczanina, z którego dopiero rycerz się robi i taki się robi, jakim go właśnie mieć chcemy.

– Ja jestem z mego losu całkiem zadowolona – zawołała na to wesoło Formoza, z czego jej teść był kontent i rzekł z ojcowską dobrocią:

– Przysuńże się teraz do nas, bo mamy tu różne rzeczy, także tymczasem mieszczkańskie, ale którymi nie zwykli gardzić rycerze, a gdzie się też może coś znajdzie dla ciebie.

To mówiąc, rozwinął jedne z tych paczek, szpagatem związanych, które leżały na stole, i wysypał z niej całą garść pereł białych i czarnych niezwykłej wielkości, z których jedne były w złoto lub srebro oprawne i widocznie z jakichś naramienników lub diademów wyłamane, inne zaś luźne bez żadnej oprawy. Formoza, uderzona blaskiem tych pysznych klejnotów, pochyliła się nad stołem, oglądając je z bliska i układając w osobne szeregi według wielkości; Kijas przyłożył lupę do oka i zaczął je pojedynczo ze wszystkich stron opatrywać z cierpliwą uwagą znawcy – a Kundrat także się ze swej strony nad stołem pochylił i biegając łakomymi oczyma po wszystkich perłach, uśmiechał się i oblizywał swe usta rumiane jak smakosz, przed którym woniejącą postawiono potrawę.

Wszyscy byli tymi skarbami niezmiernie zajęci, jeszcze pod wrażeniem podziwu milczeli i właśnie chcieli sobie wzajemnych myśli udzielić, ale im przeszkodzono, bo w tym oka mgnieniu otwarto się podwoje od sieni i Wilczek wszedł do komnaty. Wilczek był w suknie codzienne ubrany bez przyborów rycerskich i wchodząc, rzekł z uśmiechem na twarzy:

– Owo gość całcie niespodziewany.

Natenczas Kijas, niepomału zdziwiony, lecz zawsze spokojny, położył lupę na stole i rzekł ze zwyczajną sobie powagą, ale zarazem i bardzo uprzejmie:

– Wszelki duch chwali Pana Boga! Licząc mile i dnie, rozumieliśmy, że wasza miłość dojeżdżasz dziś do Rzeszowa, a ty tymczasem z powrotem we Lwowie. Cóż się to stało?

Kijas, znając Wilczka od dziecka, mówił mu „ty” z przyzwyczajenia, a „wasza miłość” z grzeczności, Wilczek zaś mianował go ojcem, ale zwyczajem niemieckim, który się jeszcze utrzymał we Lwowie, także go tykał.

– Nie – rzecze Wilczek – nic się nie stało. Tylko zapomniałem tu pewną sprawę załatwić na zamku i musiałem się wrócić na chwilę.

Jednak chociaż to Wilczek powiedział swobodnie i jakby nic nigdy nie było, nikt mu nie uwierzył. Formoza była widocznie zaniepokojoną, a Kundrat, mając głowę nabitą Biłowusem rżącym jak koń i czarownicami ulatującymi w powietrze, patrzył nań prawie przestraszonymi oczyma, a nawet, jako człowiek ostrożny, pomału w kąś się zasunął. Kijas zaś rzekł dobrotliwie:

– Słowom rycerza zawsze wierzymy, ale tym razem tak nam się zdaje, że coś koloryzujesz.

A wtedy i teść, i synowa zaczęli go cisnąć, jednak na niego nigdy nie potrzeba było wielkiego nacisku, bo był prawdomównym i miał serce jakby na dłoni, więc też i teraz bez oporu

opowiedział im prędko całą historią swego spotkania się z Kergolajem i dlaczego do Lwowa powrócił.

Zaledwie skończył, Formoza, kobieta jak widać serdeczna, przystąpiła szybkim krokiem ku niemu i zawołała z uczuciem:

– Dziękujemy waszmości! Anim się spodziewała, ażeby Jagienka mogła takich plotek narobić.

A wtedy stary Kijas wstał, ścisnął go także za rękę, ale zaraz na powrót przy stole posadził, sam także usiadł i tak mówił:

– Wiemy od dawna, że jesteś nam przyjacielem w dobrych, a jeszcze pewniejszym w złych losach i zawsze ci za to wdzięczni będziemy. Uważałem ja to niejednokrotnie, że w listach Jagienki, zresztą (niechaj to między nami zostanie) nie bardzo zrozumiale pisanych, które mi pani Formoza zawsze łaskawie komunikuje, znajdują się czasem wyrazy, którym można dawać rozmaite znaczenie. Ja je tak rozumiałem, że Jagienka, córka wyniosłych Kmitów i na kmitowskim zamku żyjąca, a mająca zapewne wszystkich ludzi, co nie chodzą w pancerzach i hełmach z piórami, za podłe a zarazem półdzikie zwierzęta, lituje się nad Formozą, że takiego człowieka, a nie rycerza, wybrała sobie za męża. Ale nigdy bym nie był przypuszczał, że pod tymi wyrazami kryją się takie potwarze, że ona nam przypisuje takie niecne uczynki i że się znajdzie rycerz półwariat, który się do Lwowa wyprawi, ażeby na nas pomścić się za nie.

– On się tutaj nie wyprawił umyślnie – rzekł Wilczek rektyfikując⁷⁰ – on jedzie do Ziemi Świętej, a tu tylko mimochodem zamierzył zrobić w waszej kamienicy porządek, tak jak zapewne w swojej wyprawie do Jeruzalem niejeden inny dwór wymiecie po drodze.

Na to Kijas cokolwiek niecierpliwie poprawił czapkę na głowie i rzekł:

– Czy kto umyślnie, czy mimochodem nas powybijają i złupi, to jest rzecz dla nas obojętna, ale nieobojętna wcale, że takim rycerzom jeszcze zawsze wolno się tak samopas włóczyć po kraju. Bo tym panom pracować się nie chce, a żebrać się wstydzą, nuż jeszcze są zdania, że ludziom wojennym niewzbronno nawet w czasie pokoju używać środków wojennych. Toż sam słyszałem, jak jeden z nich, złupiwszy dwór we wsi, usprawiedliwiał się tymi słowy: „Jakże? więc chcesz, ażebym żebrał, kiedy miecz noszę u boku?” – Widujemy tu takich rycerzy dość często, a chociaż Lwów ma się kim bronić, przecież bywali tacy, co i nam się dali we znaki. A wszakże jest temu dopiero lat trzydzieści trzy, a nie więcej (sam to dobrze pamiętam, bo nawet już byłem proconsulem miasta natenczas), kiedy imć pan Szczęsny z Paniowa, którego zwano także Godziemba, niby to na wezwanie papieża Piusa II, zaczął zbrojnie włóczyć się po kraju, zaciągając ludzi pod swoje chorągwie i wkrótce nabierał ich do dwunastu tysięcy, a tę armią swoją nazwał krucjatą. Miał niby także ciągnąć na Turka, ażeby go z Ziemi Świętej wypędzić, ale tymczasem złupiwszy niemało dworów szlacheckich i wypłukawszy wszystkie ziemie dokoła, nareszcie się tak rozzuchwiał, że pod Lwów podstąpił, wychędożył wszystkie przedmieścia, aż w końcu zaczął szturmować do miasta. Mogliśmy mu się obronić: ale zważywszy, co ta obrona będzie kosztować, a widząc prócz tego, że nasz kasztelan jakoś niewiele ma ochoty zetrzeć się na ostre z panem Paniowskim (jako to zwykle kruk krukowi oka nie dzióbie), postanowiliśmy się okupić. Ot! jaka to była krucjata: kto ciekawy, ten może się doczytać w książkach Ionherii, ile nas kosztowała. Temu panu Szczęsnemu muszę zresztą oddać sprawiedliwość, bo potem poszedł rzeczywiście do Węgier, podjechał ze swoją krucjatą pod sztandary księcia Burgundii i Macieja Korwina, bił się walecznie przeciwko Turkom, a nawet, uderzywszy sam z pieśnią *Bogurodzicy* na obóz turecki, wszystkich jeńców uwolnił, za które to czyny rycerskie król Maciej później mu własną synowicę poślubił. Ojciec to był tych Paniowskich, co dzisiaj są starostami na Stryju i Zydaczowie. Rycerz bardzo waleczny, okrutny pogromca Turków, nie ma co mówić, ale kiedy Turka nie było, to swoim dwory i miasta rabował. Po nim bywali tu inni, którym także potrzeba było haracz opłacać, chociaż ich można było wybić z miasta, czego wszelako nigdy się nie robiło.

⁷⁰ rektyfikować (łac.) – poprawiać, prostować

Oto w tym właśnie wielka jest niegodność i największe bezprawie. Bo jak mi się opryszek dostanie w ręce, to go każę powiesić, a jeśli bardzo zuchwały, to nawet i poćwiertować: ale z takim paniczem, to i nie wiedzieć, co robić. Nawet i dostawszy go w garść, nieźlia go ściąć, bo gotów jeszcze jaki książe lub król za nim się ująć i za jego głowę miasto wyłupić.

– I miasto wyłupić, i panom consulom łby poucinać, bo i to już bywało – poderwał prędko Kundrat, który widocznie nie był przyjacielem rycerstwa.

Na to Wilczek się roześmiał i rzeki do Kundrata:

– A tobie by się to wcale nie podobało, gdyby ci kto twoje uczoną makówkę zdmuchnął z twego tłustego karku? he?

Tymczasem zaś Kijas kontynuował dalej:

– Więc to nie rzecz jest dla miasta, ci rycerze podróżujący niby to do Jeruzalem – a jak się rzekło, zajeżdża ich tutaj niemało, a każdy, jak wpadnie do Lwowa, to właśnie jak mucha w maź, tygodnie i miesiące tu siedzi, je, pije, hula, bałamuci kobiety i długi zaciąga, a kiedy nie ma czym płacić, co, z przeproszeniem, wszystkim rycerzom prawie zawsze się wydarza, to zaczyna turbować ludzi, aż się tak wszystkim uprzykrzy, że i z długów go się skwituje i jeszcze się mu da poczęstne na drogę, aby sobie z Panem Bogiem do którego innego miasta pojechał. Ot! i teraz, już od dwóch tygodni z okładem jest tu Olizar; sześćdziesiąt ludzi przyprowadził ze sobą i po przedmieściach rozłożył, sam zaś bankietuje po mieście i pewnie tak będzie bankietował ruski miesiąc co najmniej, a nie wiem, kto za niego zapłaci.

– Widziałem go tu przeszłego tygodnia – rzekł na to Wilczek – spotkałem go na ulicy, alem się z nim nie mógł dogadać, bo jak powiada przysłowie: *Sereda, piatnica, Olizar pijanica*. Cóż on tu robi?

– Na to ci także odpowie piosenka – odpowiedział Kijas z uśmiechem – musisz ją znać:

*A jak pidesz do Bazaru,
Pokłonyśia Olizaru,
Jordaniwka ciła skaże,
Jak Olizar diwki priaże⁷¹.*

– Ale to dobry człowiek – zauważała Formoza – ten pewnie na nas nie napadnie, raczej by stanął w naszej obronie.

Kundrat zdaje mi się nie był tego zdania, bo skrzywił się na to i rzekł:

– Na pijanicę nigdy się spuścić nie można, zaś oprócz tego od podwiki i diabeł by go nie oderwał.

Wilczek znowu rozśmiał się głośno i zawołał:

– Niby też ty wylewasz za kołnierz, a odwracasz się od podwiki!

Na to Kundrat mocno się zarumienił, bo bardzo bał się Kijasa, ale tymczasem Kijas znowu głos zabrał i tak mówił do Wilczka:

– A o twoim Kergolaju także mamy już wiadomość, bo mamy przecież jakąkolwiek policją. I on także rozłożył się na Krakowskim Przedmieściu, a dzisiaj rano był z wielkim trzaskiem u kasztelana na zamku. Przyjmowano go tam, jak słyszę, z wielkimi honorami i tytułowano hrabią. Ja zaś tymczasem słyszałem – dodał Kijas złośliwie – jakoby go także tytułowano batardem, co przy kobietach nie godzi się tłumaczyć na polskie.

– Juźci tak – rzecze Wilczek – tylko trzeba wiedzieć, że ci batardzi, których też siła jest w cudzych krajach, jeszcze dumniejsi są z swego rodu niżeli synowie ślubni, bo powiadają, że kiedy ich rodzice przed prawem sami uznali, to każdy wie, jaka krew płynie w ich żyłach,

⁷¹ *A jak pidesz...* (ukr.) – dosł.: A jak pójdziesz do Bazaru, || Pokłoń się Olizarowi, || Jordanówka cała powie, || Jak Olizar dziewczki bałamuci.

podczas kiedy u tych innych *is pater est, quem nuptiae demonstrant*⁷², a w rzeczy, kto tam wie, jak to tam było.

– Ależ to wykręt – poderwał Kundrat – bo przecież im sakramentu brakuje, a i prawa dziedziczenia nie mają.

– Wykręt albo nie wykręt – rzekł Kijas rozumnie – zawsze z ich dumą liczyć się trzeba. Bo i ja znałem takich ludzi i to wiem o nich, że będąc braku sakramentu świadomi, są daleko drażliwsi od innych i za lada co siekają dokoła siebie. Są nawet między nimi tacy, co sobie mówią: kiedy mi jednego sakramentu brakuje, to już mi na jedno grzeszyć przeciwko innym. Trzeba więc z nimi obchodzić się grzecznie. Ale ja tak rozumiem, że kiedy by Kergolaj chciał jakie burdy wyprawiać, to przeciw mu się obronimy, a do obrony zawczasu się przygotowujemy. Ja jeszcze przed wieczorem pomówię z naszym proconsulem nocnym i każę cichaczem halabardników około naszego domu postawić, a oprócz tego i Olizara każę odszukać, bo i ja też rozumiem, że mamy w nim przyjaciela.

Do tego zaś dodał Kundrat:

– A wreszcie i syn jegomości przed wieczorem przyjedzie ze swymi ludźmi, ten nam kamienicę dobrze obsadzi.

Wilczek słuchał tego wszystkiego z lekkim uśmiechem na twarzy, lecz na tę uwagę Kundrata głośno wybuchnął i rzekł:

– I zaraz Francuzowi łeb utnie, nieprawda? Ty bakałarzu, jak widzę, nie masz wcale pojęcia, jaka jest siła u takiego rycerza. Ten Kergolaj nie takie mury łamał we Włoszech i własną ręką zdobywał takie fortece, że wasza kamienica przy nich ani za kurnik by nie stanęła. On, kiedy by przyszło do tego, nie mieczem, ale packą, jak muchy wybije – a kiedy by tobie dał byka w nos, to byś do św. Jura poleciał. Jużci gdyby to był jaki chłystek, co go halabardnicy pobijają, to byłbym nie powracał do Lwowa.

– To jakiś straszny rycerz być musi – rzekła na to Formoza – pewnie wielki jak sosna i ma twarz dziobatą, a wąsy jak miotły.

– Będziecie go widzieć niebawem – odpowie jej Wilczek – bom zajechał do jego gospody i zaprosiłem go, aby przyszedł do was wieczorem.

Na to Kijas cofnął się w głąb krzesła, podparł ręką podbródek i spojrzał uważnie na Wilczka, Kundrat zaś zbladł i zaczął się koło siebie oglądać, zapewne za swoją czapkę. Co widząc Wilczek, rzekł do Kijasa:

– Zaprosiłem go do was, ażeby się waszemu domowi przypatrzył, zaczem, jak sądzę, wybije sobie z głowy te plotki.

A wtedy Kijas, zastanowiwszy się nad tym, odpowiedział mu prędko:

– Dobrze zrobiłeś. Jużci tak lepiej. A więc, pani synowo – dodał, obracając się do Formozy – każ nam z twej łaski dobrą przygotować wieczerzę, a nie zapomnij o tym, że taki rycerz pewnie lubi małmazją.

Formoza wyszła, zaś pozostali mężczyźni prowadzili dalszą ze sobą rozmowę, a Kijas tak mówił:

– Otóż to widzimy, jakie wydaje owoce to średniowieczne rycerstwo, co zasklepiwszy się w sobie samym i swoich dzisiaj już przestarzałych zasadach i obyczajach, zaczyna cuchnąć zgnilizną jako woda stojąca. A cóż dopiero powiedzieć o rycerzach bezzennych, którym ich domy wydają się pustką i którzy muszą się włóczyć po świecie, ażeby znaleźli jakąkolwiek rozrywkę. Dopóki wojna, to dobrze: biją się za swój kraj, za króla albo za wiarę, a poświęcając swe zdrowie za jakieś dobro doczesne lub wieczne, służą pewnemu celowi, ale w czasie pokoju szukają sobie rozrywki po gościńcach, po cudzych dworach, po miastach, od czego włosy trzeszczą ich bliźnich, a ich sumienie ciężkimi się obciąża grzechami. Ja tobie życzę z całego serca, mój kochany Lenardzie, ażebyś się jak najprędzej ożenił, bo i ty z czasem zbłąkasz się na bezdroża i czystą duszę twoje obrukasz. Masz urząd, to prawda, masz i własną

⁷² *is pater est ...*(łac.) – ten jest ojcem, którego małżeństwo wyznacza

siedzibę, ale twój urząd także cię tylko wtedy zatrudnia, kiedy kraju trzeba bronić od obcego najazdu, albo też z królem pociągnąć na wojnę... a w twojej siedzibie jaskółki się gnieźdzą pod dachem, a puszczyki na wieżach. A całkiem inaczej wyglądałby zamek tustański, gdyby w nim młoda starościna założyła swe gniazdo i gdyby koło niej zaświegotały dziecięta. Toż nie tak to trudno o wdzięczną żonę, a zwłaszcza kawalerowi takiego rodu i siedzącemu na tak wysokim urzędzie. Ot! i koło nas, gdzie spojrzysz, to dziewczka jest na wydaniu. Paniowscy, o których dopiero co wspomniałem, na Stryju i na Zydaczowie mają córki dorodne, starosta samborski, Melsztyński, ma aż trzy córki, a nawet i nasz kasztelan ma dziewczkę jeszcze nie zaswataną, tylko podobno cokolwiek ułomną. Trzeba więc obejrzeć się po sąsiedztwach...

Ale Wilczek mu przerwał i rzekł:

– Nie dla mnie ta dobra rada, mój ojczy. Kto żony szuka, ten jej nie znajdzie. Kogo drudzy ożenią, ten jakby załogę obcego żołnierza dostał do swego domu, pod której ciężarem wzdycha potem przez całe życie. Według mnie, żona powinna przyjść sama i niespodzianie jak deszcz albo pogoda, albo, co jeszcze lepiej, jak błyskawica, co olśni człowieka i potem wciąż jasnym świeci mu światłem do grobu.

W tej chwili weszła Formoza i z widocznym upodobaniem słyszała te słowa, spokojny Kundrat ich nie rozumiał, bo błyskawic nie lubiał, a doświadczony Kijas rzekł na to:

– Dobrze i błyskawice, bo czyszczą powietrze, a więc i duszę człowieka mogą oczyścić, ale po błyskawicach zazwyczaj następują pioruny i grzmoty, a to niedobrze, jeżeli żona po domu piorunuje i grzmoci.

Tymczasem zaś Wilczek tak mówił dalej:

– Ja tam żony szukać nie będę. Tylko jak teraz ze Lwowa wyjadę, to wstąpię na Sobień, bo najprzód muszę wypowiedać owe pannę Jagienkę, dlaczego w tym wieku (bo powiadają, że młoda) bawi się babuszerią, a potem, tak się przynajmniej spodziewam, wybije jej z głowy tego Francuza. Bo czy to rzecz jest dla panny takiego domu (choć prawdę mówiąc, boczna to linia kmitowska) przyjmować takiego pędziwiatra na służbę? Juźci to rycerz nie lada jaki, chętnie mu to przyznaję, a nawet rotmistrz królewski, ale mnie wszyscy diabli biorą, żem się nie mógł z nim zmierzyć, a mógłbym ten dzwonek podeptać nogami, co naszej bitwie przeskodził.

A Kijas na to, mówiąc powolnie i ważnie:

– Chwalebny jest taki ferwor rycerski, zwłaszcza w obronie niewinnych, ale jeżeli chcemy być sprawiedliwi, to musimy powiedzieć, że i Kergolaj także chciał bronić niewinnych, a nie jego to wina, że miał złe informacje. Co zaś do bitwy, to chwala Bogu, że nie przyszła do skutku. Nie kupiecka to rzecz sądzić sprawy rycerskie, ale ja miewam godziny, w których nie jestem kupcem, tylko człowiekiem, co trzeźwo rozmyśla nad tym światem i uważnie się rozpatruje w tym wszystkim, co się dzieje około niego. Otóż ja nigdy nie mogłem tego zrozumieć, jaką wy w tym znajdujecie uciechę, ażeby krew ludzką przelewać, a zwłaszcza za honor jakiejś damy, której czasem nawet wcale nie znacie, albo za wstążkę, którą ta dama darowała komuś innemu. Wiedźcież o tym, że czasy tych heroizmów dla jakiegoś kaprysu, a nie mających rozumnych celów, już są na schyłku, tak samo jak owe scholastyczne mądrości, o których nasz rozumny Grzegorz z Sanoka powiedział, że to są *somnia vigilantium*⁷³ jakoby sny nocne na jawie. Ej! żal się Boże zawczesnej śmierci tego niezrównanego Grzegorza z Sanoka, którego żywot Callimachus tak pięknie opisał, którego ja znałem przez tyle lat i któremu wszystko zawdzięczam, co wiem i co umiem. On to pierwszym był u nas, co greckim i rzymskim poetom a mędrcom należyłą cześć oddał, pisma ich z zapomnienia wygrzebał, mądrość ich wyrozumiał i nas nauczył ich czytać, pojmować i cenić. On całkiem inaczej się zapatrywał na te czasy, w których żyjemy, a zarazem i na te, co przyjdą niebawem. Idąc za jego śladem i ja też widzę daleko jaśniej to, co się dziś dzieje, i to, co się przygotowuje, niżeli wy wszyscy, co tylko z dnia na dzień żyjecie. Monarchowie się wyłamują spod zwierzchnictwa papieża, a

⁷³ *somnia vigilantium* (łac.) – sny czuwających

narody się wybijają spod samowolnej władzy monarchów – i odtąd już nie popuszczą, aż póki człowiek swoich praw nie odzyska, i tak nie będzie na świecie, jak było w starożytności. Wynaleziono proch, który już znacznie osłabił żelazną rękę uprzywilejowanego rycerza; odkryto sposób drukowania, a przeto i rozpowszechnienia rzeczy pisanych, zaczęło światło coraz szybciej przebijać się przez nie przedarte od tyłu wieków ciemności; nuż wreszcie Hiszpanie wydobywają z morza kraje dotychczas wcale nie znane, a tak i oddechu przybywa całej ludzkości. Zgoła, gdzie spojrzysz, wszędzie zmrok coraz niżej opada ku ziemi, po całym horyzoncie przelatują błyski świtania, światło dnia coraz więcej bieleje, rozum ludzki się budzi, rozpędza chmury przesądów i obyczajów zakrzepłych, a wzywając wszechludzi żyjących do pracy, odtąd już nie ustanie, aż póki dla nich i tych praw nie zdobędzie, które im dadzą możliwość pracowania spokojnie na chleb codzienny i na pożytek ogólny. Całe wasze rycerstwo, to już dziś ciało bez ducha, to cień czasów minionych, to nie pogrzebany umarły. Jużście się nie tylko ubogim ludziom, ale i samym królom uprzykrzyli do syta, jakoż już w wielu krajach zastąpiono was stałymi wojskami – ten czas bardzo już niedaleki, gdzie rycerz, błakający się samopas i prowadzący wojny na własną rękę, będzie jak wilk, co się zjawiał pomiędzy pastierzami pasącymi spokojnie swe trzody i którego też pasterze jak wilka kosturami zatłuką.

Wilczek go słuchał uważnie, lecz śmiał się i mówił:

– Wszystko to się odnosi nie do mnie, tylko do tego Francuza, co chciał panią Formozę z waszej niewoli wybijać. Lecz jeśli do mnie, to ja ci powiem, że ja się w te tam świtania wcale nie mieszam. Jużci i ja uważałem, włóczęc się przez parę lat po cudzych krajach, że się świat zmienia pomału. Rycerstwo się czasem ludowi uprzykrza, a nieraz i królom staje się niedogodnym. Król francuski Karol VII zaczął tworzyć stałą armią, a inni idą za jego tropem. Ale jeszcze do wytepienia rycerstwa bardzo daleko. Popatrz no, co się dzieje w Niemczech: tam, co zamek, to rycerz wojujący na własną rękę, a zamków jak drzew w lesie. Nie my to jeszcze wytepiemy rycerzy – a zresztą według mojego zdania, nawet wcale ich tępić nie trzeba, bo przecież na nich stoi cała obrona kraju.

Ażeby zaś przerwać tę rozmowę, która widocznie była mu nie do smaku, rzekł prędko do Formozy:

– A pani Formoza co na to? czy także jest za tym, ażeby wygubić rycerzy?

– Ja – odpowiedziała Formoza – ja wcale nie jestem uprzedzoną przeciwko rycerzom. Może tam czasem trochę narobią hałasu, ale życie swe ważą dla drugich ludzi, a przy tym jest to najpiękniejsza ozdoba kraju.

To wszakże zniecierpliwiło cokolwiek starego Kijasa, jakoż powtórzył jej z pewną cierpkością dawną piosenkę niemiecką:

An Rittern preisen die Frauen,
Nichts anders denn hauen,
Und Feste vorhalten⁷⁴.

Niewinna Formoza bardzo się tym zmieszała, ale Kijasa rzekł zaraz do Wilczka:

– Słuchaj, panie starosto! powiedz mi prawdę; czy wierzysz ty temu, że wszyscy ludzie się rodzą z kułbaką przyrośniętą na plecach, a tylko niektórzy z munsztukiem w rękę i ostrogami u butów, aby jeździć na tamtych? he?

Ale Wilczek był wesół i tak mówił:

– Ja nie wiem wprawdzie, z czym na świat przyszedłem, bom nie miał rozeznania natenczas, ale to pomnę, że kiedyś się koło siebie obejrzałem, tom spostrzegłem, że mam poddanych, którzy mnie bez oporu słuchają. Co tam wam mieszczanom świta po głowach przeciwko rycerstwu, to także mi nie wiadomo, bom ja człowiek królewski, mam słuchać mojego pana i na tym cały mój urząd się kończy. Ale jeżeli ci to sprawi uciechę, to ci powiem, że i naszemu

⁷⁴ *An Rittern...* (niem.) – dosł.: Kobiety nie chwala u rycerzy nic innego tylko bijatykę i biesiady.

królowi także coś świta w głowie przeciwko niepodległemu rycerstwu. Nauki Kallimacha nie poszły u niego w las, myśli on o tym naprawdę, jakim by obyczajem mógł przyjąć do armii stojącej, którą by sam dysponował, a pozbyć się tej zbrojnej szlachty, która królewskiej trąby wojennej nie usłucha, kiedy się jej nie podoba, a natomiast sama wojnę zażegnie, kiedy ma fantazją po temu. Początek ku temu już jest zrobiony, bo dwór wojskowy królewski liczy tysiąc sześćset ludzi i milczkiem się ciągle pomnaża. Ale na tym nie koniec, bo i ku temu się czynią przygotowania, ażeby szlachtę pościagać z jej zamków i dworów i uszykować w stałe chorągwie, które by leżały po miastach, a po wsiach niechby tam sobie siedzieli tenutariusze, włodarze i chłopci. Nigdy mnie król do swojej rady nie wzywa, bom na to jeszcze za młody, ale takie tam wieści chodzą po kordegardach i dosyć się ich zawsze nasłucham, kiedy jestem na służbie w Krakowie.

– Więc niechże mu Bóg błogosławi, kiedy ma takie zamiary – rzecze na to Kijas – bo na tej drodze pozbędziemy się wreszcie tej rycerskiej opresji, pod którą nieraz tak ciężko wzdychamy. Czy to jest rzecz zgodna z którąkolwiek wiarą, a choćby nawet z sumieniem, ażeby pomiędzy milionami spokojnych mieszkańców była garstka uzbrojona w ziemski przywilej grzeszenia bezkarnie przeciwko Bogu i ludziom? A przecie taki przywilej ma to rycerstwo. Król dobrze robi, jeżeli weźmie w żołnierskie ryzy tych panów, a odda ziemię tym, którzy na niej spokojnie pracują.

– To bardzo dobrze – odpowiedział mu Wilczek – ale czy mu się to uda, to inne pytanie, a nawet wątpić o tym należy. Bo widzisz przecie, jak ta szlachta wciąż rośnie w prawa i przywileje pomimo wszystkich królów, którzy, mniej albo więcej, takie same mieli zamiary. Kazimierz Wielki jeszcze ją trzymał na wodzy, ale po jego śmierci już Ludwik Węgierski musiał jej ustępować, bo tylko przywilejami mógł się utrzymać przy polskiej koronie. Jagiełło, chociaż przyzwyczajony do samowolnej władzy na Litwie, jeszcze daleko droższe musiał jej składać okupy, a Kazimierz, syn jego, jakkolwiek także dobrze rozumiał, co jego władzę osłabia, podpisał Statuty nieszawskie i spełtał swoje powagę sejmami. Czyż dziś, kiedy ta szlachta już ma swoje pisane prawa, kiedy się tak rozrodziła, a niektórzy z niej takie ogromne posiadli majątki, że są niemal bogatsi od samego króla, a nawet i własne wojska trzymają, czy dziś można przypuścić, że król ją spełta na powrót, z jej zamków i dworów pościaga i w żołnierzy obróci?

– A przecie to dzieje się w Europie – rzekł Kijas.

– Ale nie tak, jak u nas – odpowiedział mu Wilczek – bo w Europie wszystko się dzieje po europejsku, a w Polsce wszystko po polsku. Tam szlachta wyłamuje się także spod samowładzy królewskiej i różne prawa nabywa, ale razem z nimi unosi to przekonanie, że jeżeli je chce zachować, a zwłaszcza pomnożyć, to musi je ciągle ogrzewać w słońcu królewskim. A u nas przeciwnie, im więcej praw szlachta nabywa, tym więcej się oddala od tronu, tym mocniej butnieje i tym zuchwałiej nad tym rozmyśla, jak by to każdy mógł się całkiem usamowolnić i sam na swym śmieciu zostać chociażby małym królikiem. U nas całkiem inaczej, mój ojciec. Trzeba by tobie choćby mały czas pobawić na dworze królewskim, a widzieć z bliska te rzeczy; dopiero wtedy mógłbyś zrozumieć, czy u nas sprawy publiczne także tym samym torem się toczą, jak w cudzych krajach, o których tak dobre masz wiadomości.

Z tych kilku słów można było zaraz rozeznać, że Wilczek żył życiem dworskim i daleko trzeźwiej i trafniej się zapatrywał na bieżące wypadki niż stary Kijas, co lubo bardzo rozumny i widzący daleko, nie miał jednak styczności z tymi, którzy wtedy rządili krajem. Mimo to już usta otworzył, aby mu odpowiedzieć, ale wtem dał się słyszeć tętent na bruku, Wilczek wstał z krzesła, zajrzał do okna i rzekł;

– To Kergolaj przyjechał.

Kundrat zerwał się prędko i zgarnął owe perły i inne klejnoty, które leżały porozkładane na stole, ażeby je schować, na co Formoza się w głos roześmiała, a tymczasem Kergolaj wszedł do komnaty.

Kergolaj ubrał się bardzo pięknie i lekko na te odwiedziny. Miał na sobie tylko koszulkę z polerowanymi kółkami stalowymi, wyrabianą w Yorku i bardzo drogo płaconą, hełm lekki z przepyszными piórami pod pachą, bogato oprawny, lecz krótki mieczyk u boku, a na szyi ów łańcuch żelazny z kokardą u lewego ramienia, który włożył na siebie jako miłosny sługa Jagienki. Spodnie ubranie miał bardzo obcisłe, a do tego lekkie buty rycerskie ze złotymi ostrogami – a tak można go było wziąć dobrze na oko i widać było, że nie był wcale garbaty, tylko piersi i plecy miał nadzwyczajnie wypukłe i był cały nabity, silny i muskularny, jak gdyby go kto wyciosał z kamienia albo wykuł z żelaza.

Zaledwie wszedł, każdy mógł dostrzec, że był to kawaler światowy, obywały po wielkich dworach, greczny nad podziw, wesołego temperamentu, a przy tym nie próżny tej lekkiej ironii, z jaką częstokroć wielcy panowie traktują niższych od siebie. Albowiem zaraz się zbliżył do starego Kijasa i nasypał mu tyle komplementów wielkoświatowych, że trzeba się było dziwić, jak się to wszystko mogło w jego gębie pomieścić. Stary Kijas stał przed nim ze swoim biretem w ręku i uśmiechem na twarzy i widocznie był kontent z tego powitania, toż mu także odpowiedział komplementami, bo i jemu wymowy nie brakło, ale nie mógł się wstrzymać od lekkiego przycinku, dodając te słowa:

– Jak każdego sławnego rycerza stugłówna poprzedza fama, tak i przed przyjazdem waszej miłości dobiegły nas wieści o jego szlachetnych zamiarach bronięcia osób niewinnych, a karanie złoczyńców. Jako ludzi czasami grzesznych i nas też na tę wieść obleciała obawa i jużesmy widzieli naszą kamienicę szturmem zdobytą, a nas samych na sztuki pociętych. Lecz widząc teraz kawalera tak wzniosłych przymiotów umysłu i serca, a przy tym tak ujmującej postaci, ochłonęliśmy i pochlebiamy sobie, iż zasłużymy u niego na lepsze o nas rozumienie.

Więc Kergolaj protestował się bardzo wymownie i zręcznie, mówiąc, że nie masz tej potęgi na świecie, która by mogła plotkom drogę zagrozić, że zamek sobieński leży w takiej puszczy zapadłej, do której i światło dzienne z trudnością się przeciska, że już u Koniecpolskich się prawdy dowiedział, a Wilczkowi pod Wisznią już tylko półzartem te plotki powtórzyl, a wreszcie śmiał się sam z siebie, że takim niedorzecznościom mógł choćby tylko na mgnienie oka uwierzyć. Ażeby zaś na tym już skończyć, obrócił się zaraz do Formozy, a będąc widocznie pod wrażeniem jej imponującej piękności, już nie komplementami, ale całymi bukietami najwonnejszych kwiatów wymowy tak ją obsypał, że ta młoda kobieta, chociaż do kadzideł przyzwyczajona, przecież musiała się zarumienić i kilkakrotnie oczy spuścić ku ziemi. Najprzedniejsze formy grzeczności, częstokroć nawet całkiem niezrozumiałe, a wtedy właśnie najwyżej cenione, były podówczas powszechnym u całego rycerstwa zwyczajem.

Jednak Formoza odpowiedziała mu przytomnie i równie uprzejmie, lecz zaraz spytała go o Jagienkę, mówiąc z skromnością:

– Bardzo dalekie wiąże nas pokrewieństwo i nigdyśmy się nie widziały, wszelako los jej bardzo mnie żywo obchodzi, a wasza miłość mocno mnie zobowiązesz, jeżeli mi opowiesz, jak wygląda i jakie prowadzi życie na zamku sobieńskim.

Więc Kergolaj zaczął jej opowiadać. A wtedy już się zmierzchać zaczęło i w izbie jadalnej, do której drzwi były na ścieżaj otwarte, zaczęto już światła zapalać, ogromny pajak brązowy, wiszący nad stołem, już nakrytym i zastawionym, i wieloramienne srebrne lichtarze, stojące na stole. Tu były jeszcze blaski zaszłego słońca w okna, patrzące na zachód, a stamtąd płynęły fale światła od świec jarzących. Owóz w to oświecenie wpadł nagle z drzwi bocznych młodzieniec i stanął zdziwiony pomiędzy Kergolajem i Formozą z jednej a Kijasem i Wilczkiem z drugiej strony, nie wiedząc na razie, jak i do kogo ma się odezwać. Kundrat stał jeszcze wciąż w kącie za stołem, trzymając pod pachą paczki z perłami i brylantami.

Młodzieniec ten był to mały człowieczek, mniejszy od Kergolaja, szczupłej kompleksji, blondyn o bladej twarzy, z bogatą czupryną w tył zarzuconą, lecz spadającą w kędziorach, z dużymi niebieskimi oczyma, z nosem ormiańskim, lecz kształtnym, i z bardzo słodkim, chociaż może cokolwiek naiwnym wyrazem na twarzy. Pomimo lat dwudziestu trzech albo czte-

rech nie miał jeszcze ani meszku na wąsach, ani na brodzie, a oprócz nosa całe jego pochodzenie ormiańskie odbijało się w cerze bardzo żółtawej. Wdał się zapewne w matkę, która była córką polskiego szlachcica, nazwiskiem Burza, co był pierwszym Polakiem wybranym rajcą lwowskim w roku 1472. Mimo szczupłości wzrostu trzymał się jednak dość zwawo, był ubrany z rycerska w kaftan łośiowy i miał mieczyk u boku i buty wysokie z ostrogami.

Widząc jego chwilowe zakłopotanie, Kijas zwrócił się do Kergolaja i rzekł:

– Mój syn Tigranes, a mąż pani Formozy. Rycerska krew matki w nim płynie, uczy się wazszego rzemiosła, może tam kiedyś po wieloletniej służbie wysłuży sobie choć srebrne ostrogi.

Kergolaj takim niepoczesnym kandydatem na rycerza, a jeszcze więcej tym się zadziwił, że to jest mąż Formozy, ale jako grzeczny kawaler podał mu rękę i rzekł serdecznie, chociaż trochę protekcyjnie:

– Witajże, przyszedł rycerzu, a bądź przekonany, że nie tak to trudno dobić się ostrogów. Na to i łaska królewska wystarczy, boć król i przed bitwą może pasować rycerzy, *evaginato ense, creat milites ter percutiendo*⁷⁵. A jeśli by pomoc starszych rycerzy mogła ci się zdać na co, to licz na nas jak na Zawiszę.

Tymi grzecznymi słowy ujął sobie widocznie Kijasa i Formozę, którzy mu wdzięcznym dziękowali uśmiechem, a Tigranes już wcale się przykleił do niego, ściskając mu rękę po kilkakrotnie i opowiadając mu zaraz swoje historię.

Był to chłopak wymowny i śmiały, czujący wielki majątek za sobą i pragnący wyjść za stanu mieszczańskiego, a wynieść się wyżej, być może nawet, że ta żądza wejścia pomiędzy rycerstwo go całkiem opanowała. Opowiadał bowiem z pewnym zapałem, że ukończywszy niższe szkoły w Krakowie, uczył się potem rycerskiego rzemiosła w Wiedniu, był następnie pazikiem u jakiegoś niemieckiego gaugrafa, a wreszcie przejechał całą Francją, Hiszpanią i Włochy, a nawet brał udział w rozmaitych utarczkach; teraz się przygotowuje, aby wejść w służbę królewską, lecz jeszcze nie wie, czy zostanie przyjętym. Bardzo to pięknie i malowniczo opowiadał Tigranes; ale tymczasem trzeba było iść do wieczerzy.

Kergolaj zatem podał ramię Formozie, Kijas szedł z Wilczkiem, a Kundrat sam postępował za nimi, bo Tigranes szedł obok Francuza, usiłując dla niego być grzecznym i chcąc mu pokazać, że Lwów w wykwintnych formach obejścia nie pozostaje za Francją.

U Kijasa jadano kopiasto i tłusto, korzenne i pieprzne, jak wówczas było w zwyczaju, a do tego w srebrnych dzbanach było dostatkem starej małmazji, jaką i kardynał Fryderyk pijał chyba tylko we wielkie święta i kiedy miał przedniejszych gości u siebie. Kergolaj znał się na kuchni i na piwnicy, jadł więc smacznie i kubki do dna wychylał, a kiedy nareszcie podano poważny kielich trembowelski, pod owe czasy najwięcej szanowany ze wszystkich, to tak go przelał w swe gardło, że i sam wojewoda ruski, Mikołaj Tęczyński, najślawniejszy biba swego czasu, lepiej by nie potrafił. Rozmawiał przy tym z Formozą, śmiejąc się i żartując, ale zarazem wypytyjąc ją zrećźnie o rozmaite stosunki rodzinne, zadawał czasem Tigranesowi zniecka takie pytania, na które młodzieniec nie zaraz umiał mu odpowiedzieć; obok tego strzelał dowcipami do Kijasa i Wilczka, a jako to, gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą, tak nieraz i Kundratowi się coś oberwało. Kiedy zaś wodę podano do umycia wąsów i rąk, co wtedy było niezbędnym, bo jeszcze widelców nie znano, to Francuz ze wszystkimi już się tak serdecznie pobratał, jak gdyby się był rodził we Lwowie, a wychowywał w domu Kijasa.

Toż wyszedłszy razem z wszystkimi do przyległej komnaty, gdzie zapalono dwie lampy oliwne, był w doskonałym humorze, uśmiechał się, wąs kręcił, nogi daleko wyżej podnosił, a przyparłszy Wilczka do ściany, rzekł do niego półgłosem:

– Słysz Wilczek, plotki bo plotki, nie ma co mówić. Ale że w każdej plotce jest trochę prawdy, o tym już i starzy Rzymianie wiedzieli. Wydać taką Formozę za takie niebożę stworzenie i zamknąć ją w tej kamienicy, to prawie to samo, jakby ją zatrzasnęli w haremie, tylko że w tym haremie, jak mi się zdaje...

⁷⁵ *evaginato ense...* (łac.) – dosł.: wydobywszy miecz z pochwy, pasuje na rycerza trzykrotnym uderzeniem

Ale Wilczek mu przerwał mówiąc:

– Ot, co się mieszasz w nieswoje rzeczy! Przekonałeś się, miejże dość na tym. W dodatku zaś miej sobie za szczęście, żeś poznał taką kobietę, jakich niewiele widziałeś w twym życiu. Nie wiem ja, jak wygląda twoja Jagienka, ale ja, jeślibym już miał szukać róży w Jerycho, to wolałbym jej szukać dla Formozy niż dla Jagienki.

Na to Kergolaj cmoknął ustami i rzekł:

– Ba! ale to dziwnie obronna forteca. Na pierwszy rzut oka zdaje mi się, że *desinit in piscem mulier Formosa superne*⁷⁶. Około takich dużo traci się czasu, a potem człowiek spostrzeża, że gonił za wiatrem.

– A tobie smaczniejszy chleb łatwy – zawołał Wilczek, śmiejąc się głośno.

Na to Francuz wykręcił się na pięcie i właśnie się spotkał twarz w twarz z Kundratem. Zaczem palnął go po ramieniu i rzekł poufale:

– Cóż, panie Kundrat! powiedzże mi, jakim to jesteś doktorem, prawa czy teologii, medycyny czy sztuk wyzwolonych?

Kundrat, nie lubiący zetknięcia się z rycerzami, pod uderzeniem, choć bardzo lekkim, prawie się do ziemi nachylił, a wyprostowawszy się na powrót, twarz trochę na stronę przechylił, bo myślał sobie: Jak da byka w nos, to do św. Jura diable daleko. Wszelako z uprzejmym odpowiedział uśmiechem:

– Jam doktor obojga prawa, do usług waszej miłości.

– Więc, panie doktorze – rzekł na to Kergolaj – jak będę miał jaki proces z tutejszymi łyczakami, to tobie się oddam w obronę.

Tymczasem Tigranes, który słuchał tej rozmowy, śmiał się w głos i mówił:

– Z łyczakami najlepszy proces na kopie i miecze. Nigdy się nie boją; zawsze dadzą za wygraną i jeszcze się dobrze okupią.

Kundrat, korzystając zręcznie z tej sposobności, odpłynął w inny kąt izby, a Francuz wziął młodzieńca pod ramię i rzekł serdecznie do niego:

– Mój młody bracie, wiedz o tym, że we mnie masz przyjaciela, a moja przyjaźń, tak mi się zdaje, coś warta, zwłaszcza dla kandydata rycerskiego rzemiosła, bom ja jeszcze nie stary, ale już od lat dwudziestu miecz noszę u boku, nigdy żadnemu wrogowi z drogi nie ustąpił, a jeszcze włos z głowy mi nie spadł. Owo więc jako przyjaciel powiem ci, że masz żonę, co jej siedzieć na tronie, a jeszcze i tam by wszystkie damy rycerskie zaćmiła swym blaskiem. Tyś się w czepku urodził – dodał, trącając go w bok – bodajbyś tylko nie zginął na szubienicy.

Ale Tigranes wcale na to głowy nie podniósł, owszem, rzekł z lekceważącym uśmiechem, a z otwartością po dziecięcemu naiwną:

– Ot, co mi tam żona! Aniby mi na myśl nie było przyszło się żenić, gdyby mnie ojciec nie był wyswatał. U mnie kopia a miecz to najlepsze małżeństwo; gdyby tylko Pan Bóg dał wojnę jak najprędzej, abym się mógł na niej pokazać. Przeze mnie, chociażby kobiet wcale nie było na świecie!

Na to Kergolaj spojrział mu w twarz bardzo uważnie, widać, że jakaś myśl mu przeleciała przez głowę, jakoż powiedział już tylko, ażeby zakończyć rozmowę:

– Ej, znam ja was, panowie mężowie. Udajecie obojętnych, ale niechby się kto do waszej żony przybliżył, to wy go za łeb, a potem – niechże go Pan Bóg ma w swojej opiece. Wiedźże o tym, że mnie nie złapiesz, bom ja lis szczywany, a do tego... po rycersku uczciwy.

Mimo to wszakże, odwróciwszy się od niego, zaraz Formozę odszukał, która siedziała w poręczowym krześle pod ścianą, więc sobie drugie krzesło jak najbliżej do niej przysunął i zawiązał z nią długą rozmowę. Formoza miała rzeczywiście taką sławę w mieście, że jest śliska jak węgorz, najwymowniejszemu kawalerowi zawsze się zręcznie wywinie, a kiedy zręczność już nie wystarcza, jako to często się wobec owoczesnych zuchwałych natrętów zdarzało, to się na pewno obroni swoją majestatyczną powagą; ale dlatego właśnie, będąc

⁷⁶ *desinit in piscem...* (łac.) – dosł.: kończy się rybą kobieta piękna u góry (formosa – piękna, kształtna)

siebie pewna na każdy wypadek, przypuszczała do siebie bardzo blisko wszech kawalerów i pozwalała im prawie sobie wszelkie możliwe androny. Tu tedy Kergolaj, lubiący jak każdy Francuz ożywioną rozmowę, znalazł dla siebie wyborne pole popisu i był niewyczerpany w komplementach i żartach. Formoza, kochająca się także w szermierce na słowa, była wymowną i wesołą jak rzadko, a chwilami tak głośno się śmiała, że stary Kijas, chociaż był także żywą zajęty rozmową z Kundratem i Wilczkiem, której Tigranes się przysłuchiwał, po kilkakrotnie rzucał na nią okiem, może raczej ciekawym, ale prawie jakoby zaniepokojonym. Otóż wśród tej rozmowy Formoza upuściła chusteczkę na ziemię i sama się za nią schyliła, ale Kergolaj ją uprzedził i patrząc jej w oczy, rzekł chytrze:

– Niech się panna nie trudzi.

Na to Formoza uśmiechnęła się z lekka i zauważyła:

– Wasza miłość niedorzeczność powiedział.

Kergolaj zaś zapytał odważnie:

– Albo nie?

A wtedy Formoza pąsowym spłonęła rumieńcem, chciała coś odpowiedzieć, ale nie mogła, jakóż wstała natychmiast i wyszła do drugiej komnaty.

Za nią poszli jeden za drugim Wilczek, Tigranes i Kundrat; Kijas rozumiał zrazu, że się Formozie coś stało, ale się uspokoił w ten moment, bo usłyszał, że w tej drugiej komnacie żwawo rozmawiano, a nawet głośno się śmiano.

Kergolaj zaś tymczasem, kontent ze siebie, jak gdyby go na sto koni kto wsadził, zbliżył się do Kijasa i rzekł po przyjacielsku:

– Panie Epaminondas! Bóg ci zapłać za wieczerzę, a zwłaszcza też za małmazją, za którą mógłbym cię cmoknąć w sam dzióbek, bom już dawno się z taką nie spotkał. Jeny się boję, żeby mnie łeb nie rozboleł, bo to wino jak ołów.

Więc Kijas był kontent jak każdy, któremu znawca chwali piwnicę, i zaraz się z nim spofalił mówiąc:

– Ot, gadasz sobie jegomość. Jest u mnie jeszcze lepsza, co ją chowam na wielkie święta, a przecie jeszcze nikomu od niej łeb nie rozboleł. Ale gdyby tylko taka, to powiedz prawdę, przecie to weselsza u mnie gościna niżeli u księdza Chryzostoma, co podobno, jak słyszę, chciał ci na samym wstępie pięćdziesiąt dyscyplin wypalić...

– Ale Francuz niegłupi! – przerwał mu Kergolaj, śmiejąc się głośno.

– Juźci to prawda – mówił Kijas dalej – ale nie wiem, czyś waszmość mądrze to zrobił, żeś drapnął. Boć dyscypliny bolą cokolwiek, ale ksiądz byłby ci grzechy odpuścił, a jak cię widzę, tak mi się zdaje, że byłoby ci nie zawadziło ulżyć sobie cokolwiek ciężaru przed przyjazdem do Lwowa, bo tutaj, nie wiem, ale tak sobie myślę, że się znów trochę grzechów przyzbiera...

– A jegomość mnie także masz za głupiego, jak widzę – odpowiedział mu Kergolaj – a może nawet za poganina. Otóż wiedz o tym, że Kergolaj może czasem zanadto myśli o ciele, ale nigdy nie zapomina o duszy. Nie mogłem tego powiedzieć Chryzostomowi, bo czasu na to nie było, ale tobie powiem, że jadąc z Włoch do Krakowa, wstąpiłem do Inszpruku, gdzie ksiądz Tecel, dominikanin, właśnie dawał odpusty. Więc ja sobie kupiłem u niego odpust na pięć lat! A co, panie Epaminondas? Czy Kergolaj głupi? albo może mu trzeba Chryzostoma, co by mu był wsypa z jakie trzysta dyscyplin, a potem dał odpust może ledwie na miesiąc? he?

– A więc teraz, przez pięć lat... Panie Boże się zmiłuj nad tymi, co się spotkają z waszmością.

Kergolaj śmiał się, ale widocznie go chciał uspokoić, bo mu przerwał mówiąc:

– Nie bójże się mnie, panie ojczy, bom ja wcale nie taki straszny, jak mnie tu Wilczek wymalował przed wami. Kto jeno chce, to mnie koło palca obwinie, rad bym też i was o tym przekonać.

– Siadajże tu koło mnie, a pogadajmy – rzecze mu Kijas.

Więc Kergolaj siadł w rogu stołu na wskos naprzeciw Kijasa, a stary tak mówił dalej:

– Kiedy łaska waszej miłości, to chciałbym się go o mego syna poradzić. Bo oto widzisz, co jest. Według mnie, syn kupca powinien być kupcem, a zwłaszcza kiedy dziedziczy taki wielki handel po ojcu. Ale w nim gra krew jego matki: kupiectwem się brzydzi, ledwie że i mną samym już nie pogardza i koniecznie chce zostać rycerzem. Trudno się temu sprzeciwiać, bo to dziecko jedyne, a przecie szczęście człowieka w tym leży, ażeby swojej własnej woli dogodził. Co mnie to kosztuje, o to już mniejsza, bo jest z czego. Ale jako obcy temu rzemiosłu, sam nie wiem, czy będzie co z niego. Bo już całą Europę przejechał, a jakoś nigdzie się nie osiedził, nawet i nic nie przywiózł ze sobą; chyba że guzów cokolwiek, do których się wszakże nie przyznał...

– O! co guzów, to musiał się nabrać – zawołał Kergolaj, śmiejąc się głośno – bo jeszcze miękki, jak widzę. Ale to zwykła pazików i knechtów potrawa, dopóki się do bitwy nie wprawia. Cóż tedy dalej?

– Otóż chodzi mi o to – powiedział Kijas – ażebym wiedział na pewno, czy się już dobrze nauczył rycerskiego rzemiosła? a potem, czy można na to liczyć z pewnością, że się dorobi rycerstwa, a choćby tylko szlachectwa? Bo ja już Wilczka nieraz o to pytałem, ale z nim się nie mogę dogadać. Wilczek zanadto mi jest przyjacielem, aby mi prawdę powiedział.

Więc Kergolaj na to odpowiedział poważnie:

– Jak siedzi na koniu i jak bronią robi, to ja ci to powiem za kilka dni, jak się z nim spróbuję. A co do rycerstwa albo szlachectwa, to tam niewielka rzecz, pogadam o tym z kasztelanem i z wojewodą, mogę też za moim powrotem słówko pisać królowi, a potem przy łada sposobności mu się to wyrobi.

Ale w tej chwili ton zmienił, a przechyliwszy się przez róg stołu, zapytał nagle Kijasa:

– Ale powiedz no mi, mój panie ojcze, tak między nami, jesteś ty pewnym, że on jest chłopem jak trzeba? bo na pierwszy rzut oka prawie na dziewczkę wygląda.

Kijas się może tym zakłopotał cokolwiek, ale odpowiedział z uśmiechem:

– Jak przyszedł na świat, obejrzałem go na wszystkie strony i o ile się na tym znam, mogę wasze miłość zapewnić, że chłopiec.

– Hm! – rzecze na to Kergolaj sztucznie – zajechałem ja niedawno na popas do kmiecia. Zastawił on przede mną bochenek chleba i kawał mięsa i dał mi nóż. Chciałem tym nożem ukroić chleba, ale ani rusz. A przecie to był nóż jak i drugi...

A tu Kijas już oczywiście nadrobił miną, bo się roześmiał, uderzył Francuza chustką po ręce i zawołał:

– A waszeć szperka, jak widzę! – Po czym wstał i dodał: – A przecież na noże są szlifierze.

Zaczem Kergolaj położył mu rękę na ramieniu i rzekł znacząco:

– Słysz, panie bracie! jeśli ty masz szlifierza na takie noże, to zamknij twój handel i jedź z nim w Europę, do wielkich miast i na wielkie dwory, a ręczę ci za to, że on ci daleko więcej przyniesie niżeli wszystkie bakalie i płótna żaglowe.

A wtedy już tamci tu weszli z drugiej komnaty, a Kergolaj i Wilczek zaraz się żegnali; Kijas zaś ścisnął Kergolaja za rękę, zapowiadając mu, że go niebawem na bankiet zaprosi, ażeby ten poznał towarzystwo lwowskie u niego.

V

TOWARZYSTWO LWOWSKIE

Nazajutrz rano Wilczek, uspokojony zupełnie co do zamiarów Francuza, wyjechał w swą drogę, zabrawszy ze sobą listy Formozy do Jagienki, które Kijas sam swojej synowej dyktował; ale Kergolaj został we Lwowie.

Lwów, zwany z niemiecka Lemburgiemi, był podówczas miastem nadzwyczaj wesołym, jego mieszkańcy byli „bardzo mili, chociaż nad miarę lubieżni”, jak piszą o nich starzy kronikarze i zagraniczni podróżni; wielkie ich bogactwa pozwalały im ponosić nawet niezwykle koszta zabaw i zbytków, kto żył, ten był wesół, bawił się i hulał, a biesiady i tańce nie ustawały nigdy, zwłaszcza też w domach ludzi zamożnych. Kergolajowi w to graj, powiedział sobie: Jeruzalem mi nie ucieknie, a róże tymczasem nie przekwitną w Jerycho – i zaraz tak się urządził, ażeby mógł dłużej zabawić w tej stolicy.

W tym celu najął tę całą gospodę, w której się był za swoim przyjazdem na noc zatrzymał. Była to karczma bardzo obszerna, jakie jeszcze i dziś widzieć można w tych krajach. Położona tuż prawie za Bramą Krakowską, miała dwie bramy wjazdne, cztery duże izby mieszkalne, wielką szynkownię i stajnię na kilkadziesiąt koni. Żyd Nuchim był w niej gospodarzem, człek jeszcze młody, dosyć bogaty, bardzo przedsiębiorczy i chciwy, przebiegły i mądry, ale cokolwiek lękliwy. Kergolaj mu tylko jedną izbę zostawił, a trzy zabrał dla siebie i swoich żołnierzy, których miał sześciu wyglądających z rycerska, a dziewięciu w ubiorze knechtów, nie licząc tych, co byli przy wozach. Żyd zrazu był bardzo niekontent, mruzczał jakieś boruchy pod nosem, a ustąpił tylko ze strachu. Lecz kiedy bliżej obejrzał pańskie statki tego rycerza i dowiedział się potem, że Kergolaj był na zamku u kasztelana i u starosty, a wreszcie u starego Kijasa, wszędzie przyjmowany z respektem, więc całkiem się uspokoił – a nawet się pysznił swym gościem i dworował sobie ze swego współwyznawcy sąsiada, do którego pan Olizar zajechał i napełnił jego gospodę, a nawet i karczmy sąsiednie takim hultajstwem, że i murzowie tatarscy, których tu widywano dość często, jeszcze o wiele dostatniejszych ludzi miewali koło siebie. Nuż kiedy Kergolaj zapowiedział Żydowi, że jego namiestnik za żywność dla wszystkich ludzi i koni będzie płacił co tydzień, a tylko to, co on sam ze swoim pazikiem albo ze swymi gośćmi zje i wypije, będzie szło na osobny rachunek, Nuchim bardzo nisko mu się uklonił i zaczął go mieć w wielkim poszanowaniu, bo krajowi rycerze nie zachowywali takich porządków w swych pocztach, a Nuchim nieraz (Bóg tylko sam wiedział, bo i powiadać o tym nie było bezpiecznie) musiał się wcale wyrzec zapłaty, aby się tylko pozbyć tych gości z gospody.

Nuchim był tedy całkiem uspokojony, lecz w gruncie rzeczy jeszcze wcale nie wiedział, kogo właściwie gości u siebie i jakie jeszcze się stąd mogą wywiązać następstwa. Albowiem Kergolaj nie we wszystkim tak sobie poczynał, jak inni rycerze podróżni. Tak zaraz, jak tylko całkiem się rozpakował i ulokował, kazał przybić przy bramie gospody swoje tarczę herbowaną, tak wielką jak dno dużej beczki, wymalowaną i wyczłoczoną, a jego herold stanął u wjazdu, najprzód trzy razy głośno zatrąbił, a potem ogłosił wszem wobec i każdemu z osobna: „że jeśliby jaki rycerz polski albo niemiecki, ruski albo wołoski, albo jakiej bądź innej nacji po-

stronnej, chciał się bić konno lub pieszo, z kopią lub mieczem, na życie lub śmierć, na więzienie albo na zdobycz, to jego pan, Kergolaj grabią, *eques auratus* a rotmistrz jego królewskiej mości, poleca mu swoje służby”. Taki obyczaj wyzywania wszystkich, kto by miał ochotę po temu, zrodził się był przed wiekami we Francji i kwitnął dotychczas, stamtąd się przeniósł do Niemiec, a z Niemiec upowszechnił się w Polsce. Znało go całe rycerstwo, praktykowało go na turniejach, a zuchwalsi junacy ogłaszali takie odezwy wszędzie, gdzie się na jakiś czas zatrzymali; ale nie znano go wcale na Rusi, a lwowskie pospólstwo nawet o nim nie słyszało. Toż kiedy herold Kergolaja wyzwanie obwołał, zrobiło się zbiegowisko przed gospodą, mieszczanie i Żydzi, jedni sobie to tłumaczyli tak, a drudzy inaczej, ale się wreszcie rozeszli.

Lecz między tym zbiegowiskiem znalazł się człowiek, który został na placu, patrzył wciąż z ciekawością na wywieszoną tarczę, przestępował z nogi na nogę, rzucał okiem w głąb wjazdu, czasem czapki poprawiał i mówił do siebie z ruska:

– *Szo to takoje? szo to za ditko?*⁷⁷

Człowiek ten był miernie słusznego wzrostu, ale że był chudy, więc się wydawał dość słusznym. Miał na sobie dostatni kubrak sukieny, przy kołnierzu srebrem obszyty, guzy także srebrne u niego, szerokie hajdawery, buty rycerskie ze srebrnymi ostrogami, pas skórzany również srebrem nabity, czapkę pilśniową z podniesionymi uszama i z piórkiem, i krzywą szablę u boku. Krzywe szable, przejęte od Tatarów i Turków, wtenczas jeszcze tylko na Rusi noszono. Twarz także miał chudą i cokolwiek bladawą, wąs sumiasty i włosy gęste, płowego koloru, kłaczyste i poburzone, lecz tu i ówdzie białymi nitkami przesiane. Oczy miał duże siwe, krzaczystymi brwiami nakryte, brwi te się często ściągały i sprawiały wrażenie pochmurne, ale oczy się z brwiami sprzeczały, bo były wesole, jakoż i po całej twarzy był rozlany wyraz łagodny. Kto by się znał na ludziach ówczesnych, ten byłby powiedział, że jest to żołnierz hulaka, a może i zawadiaka, lecz w gruncie rzeczy człek dobry i wesóły towarzysz. W tej chwili zdało się, że go dłoń świerzbi i serce mu skacze, widzi dobrą sposobność do bitwy, a nie wie, czy bitwa się godzi, bo nie wie także, co to za rycerz i czy wyzywa na żart, czy naprawdę.

Człowiekiem tym był Ostafi Olizar Kierdejowicz. Kierdejowicze byli wówczas jedną z najznamienitszych rodzin na Rusi, używali herbu Kierdeja, przedstawiającego trzy lilie, który za zasługi rycerskie otrzymali od królów francuskich, a który im później Ludwik Andegaweński potwierdził. Posiadali wielkie majątki i bardzo wysokie urzędy. Jeden z nich, Hryćko Kierdejowicz, był kasztelanem lwowskim, później wojewodą podolskim i trembowelskim starostą. Inny Olizar Kierdejowicz był właśnie w tym czasie marszałkiem na Wołyniu i łucim starostą. Spokrewnieni byli z książętami Holszańskimi, z Buczackimi, z Dzeduszyckimi, z Fredrami i innymi znamienitymi rodzinami po całej Rusi, później licznie się rozrodzili i z nich wyszli Hosccy, Kozińscy, Dziusowie i Czaplice.

Wtedy jedną z głównych a zarazem najdawniejszą ich siedzibą były Pomorzany z bardzo rozległymi dokoła ziemiami. Na nich siedział Porfiry Olizar, mający synów bez liku. Najstarszym z nich był Ostafi, lecz kiedy wszyscy jego bracia kędyś się osiedlili, poženili się i pobrali stałe urzędy, on jakoś nigdzie się nie mógł osiedzić, bo był, jak mówiono, *neposiduszczy*. Stało się to poniekąd z winy jego dobrego serca, ile razy bowiem jego ojciec jaką posiadłość nabył albo oddzielił, ażeby na niej jednego ze swych synów osadzić, to on się za nią nigdy nie darł, a zawsze młodszemu bratu odstąpił, mówiąc: „Niechaj on siada, ja po nim”. Idąc zresztą tym trybem, powinien był za swoją poczciwość doczekać się nagrody, bo jako najstarszemu należały mu się Pomorzany. Ale tymczasem, dopóki ojciec żył, hulał sobie po świecie i jak się już wyżej wspomniało, albo usługiwał książętom i królom, albo też wojny na własną rękę prowadził.

⁷⁷ *Szo to takoje?*... (ukr.) – co to takiego? co to za diabeł?

Był on zresztą do tego niejako zmuszony, bo swoją własną drużynę mieć musiał (Olizar nie mógł z mniejszym dworem jeździć po świecie), a ojciec dał mu tylko jeden folwark przy Pomorzanach, folwark wprawdzie podolski, ale przecież nie można było tyle ludzi i koni na nim wyżywić, jak tylko przez zimę, a na przednówku trzeba było w świat ruszać.

We Lwowie bardzo często przebywał ze swymi ludźmi. Jak miał z czego, to dawał im jurgielt, a jak pieniędzy nie było, to musieli się żywić własnym przemysłem, handlując rozmaitym towarem, pośrednicząc przy targach, a zresztą jak Bóg dał. Na co się czasem przedmieszczanie skarżyli, ale się im nie bronili, bo po ich stronie stały zawsze kobiety, i to do tego stopnia, że kiedy by jakiego Olizarczyka chciano ciągnąć do sądu, to pewnie by się cała pleć piękna zbuntowała, aby go odbić. Kozacy ci wszakże (bo i tak także ich nazywano) tej sympatii nie zawdzięczali tylko swej kawalerskiej krewkości, ale zapewne i swojej hojności, kiedy bowiem z wypraw wracali, to mieli zawsze kieszenie napelnione pieniędzmi i rozmaitym cennym rupieciem, które szczerze rozsypywali pomiędzy dziewczki i mołodyce, a wtedy i kupcom, i rzemieślnikom przedmiejskim także dobrze się działo. Samego zaś Olizara znano we Lwowie jak białego kruka i znano go także z jego zalotów, ze szczodrobliwości i z dobrego serca, ale zarazem także jako hulakę na węgierski kamień, i stąd to powstała pieśń o nim;

*A jak pidesz do Bazaru,
Pokłonyśia Olizaru...*

Teraz więc stał Olizar przed gospodą Kergolaja, niecierpliwił się i mówił do siebie: – *Szo to takoje?*

A wtem przyszedł drugi żołnierz, stanął o parę kroków od niego i także zaczął ciekawie patrzeć na tarczę wywieszoną na karczmie. Ale ten całkiem inaczej wyglądał. Był to chłop duży i gruby jak słoń. Twarz miał obrzękłą, oczy ciemne, ale jakby ospałe, wasy i brodę przystrzyżone według mody ówczesnej, a włosy ciemne, długie w kędziorach, wysmarowane jajami. Pomady tej używano wtenczas w Polsce obficie; nie była ona bardzo wonną i miała tę niedogodność, że w tańcu lub innej zawierusze podobnej, ten i ów się czupryną do drugiego przylepił, ale była bardzo cenioną dlatego, że najbogatsze kędziory trzymała w kupie i dawała im blask szklący i przyjemny dla oka. Około takich elegantów wojskowych chodził każdy z daleka, bo nietrudno było się o ich kędziory zaczepić, a wtedy czasem z tego pozostawała nie tylko plama na sukni, ale nieraz i krwią trzeba było za to zapłacić, bo byli oni o swoje fryzury bardzo zazdrośni. Jeszcze w kilkanaście lat później Goetz von Berlichingen, sławny rycerz niemiecki, zaczepiwszy na dworze swojego margrabi haftami o takie wysmarowane kędziory pewnego polskiego rycerza, został pchnięty nożem od niego i musiał się potem z nim bić o obrazę honoru. Zresztą żołnierz ten miał na sobie piękny kaftan skórzany, hełmik błyszczący na głowie, miecz krótki u boku i widać było po nim na pierwszy rzut oka, że chociaż może nie bardzo wysokie stanowisko zajmuje pomiędzy rycerstwem, jednak dba o swą powierchowność i swoje powagę. Człowiek ten nazywał się Frącek Ajchinger, był niemieckiego pochodzenia, ale rodem lwowianin, z młodu służywał przez lat kilkanaście knechtem po dworach niemieckich, gdzie się zawsze odznaczał olbrzymią siłą i spokojną odwagą, ale mimo to się nie dobił rycerstwa, teraz zaś, po śmierci swojego starszego brata, wrócił do Lwowa i mianowany jest starszym nad halabardnikami na Niskim Zamku a zarazem pierwszym heroldem zamkowym.

Obaczywszy Olizara, którego znał, pozdrowił go lekkim skinieniem głowy, Olizar zaś zbliżył się do niego, trącił go łokciem i rzekł, wskazując na tarczę Kergolaja:

– *Wystupcem, wydrubcem, wywedy tuńczyk po nimečki*⁷⁸.

⁷⁸ *Szo to takoje?...* (ukr.) – co to takiego? co to za diabeł?

Frącek go zrozumiał, chociaż po rusku nie umiał, a mówił tylko łamanym językiem po polsku, ale widać, że propozycja mu się nie podobała, bo ruszył z lekka głową na prawo i na lewo na znak odpowiedzi. Wtedy Olizar uśmiechnął się drwiąco i mruknął sobie pod nosem:

– *Ne dla psa kowbasa.*

Niemiec i to zrozumiał, bo spojrzał na niego surowymi oczyma, ale Olizar się kłócić z nim nie chciał, jakoż zaraz zaczął go wypytywać po polsku, co to jest za rycerz i jaki to jest obyczaj, żeby tak wszystkich wyzywać w dzień biały i bez żadnego powodu. Więc Frącek się udobruchał i opowiedział mu, co wiedział o tym obyczaju, dodając zarazem, że widział Kergolaja na zamku i ma go za rycerza jak należy, z którym niedobrze by było wdawać się w bitwę. A Olizar na to:

– A przecież mu warto pokazać, że i na Rusi są rycerze, co się nie boją mieczów francuskich.

A wtedy nadeszły konie Kergolaja, które przeprowadzano za miastem, konie duże i doskonałe, ludzie ubrani dostatnio, Olizar im się przypatrzył i rzekł do Frącka:

– Warto by się z nim spróbować, bo byłoby co wziąć po nim.

Frącek na to pokiwał głową, a w tej chwili sam Kergolaj stanął na bramie, aby się koniom przypatrzeć. Frącek rzekł półgłosem:

– To on.

Olizar przypatrzył mu się i rzekł:

– Chłopek nie bardzo wielki, jakby było szczęście, to by się go przecie przemogło.

Ale znający się na tym daleko lepiej Frącek, odpowiedział mu na to:

– Chłopek niewielki, ale nabity. A potem, taki rycerz o złotych ostrogach nie da się przemóc tak łatwo. Taki rycerz ma siłę w rękę, a przy tym jest jako kot: widzisz go przed sobą, uderzysz mieczem na niego, a cięcie pójdzie w powietrze, bo gdzieś go widział, tam go już nie ma, a za to z drugiej strony skoczy na ciebie i brzuch ci rozporze.

– Chyba że charakternik, bo i to bywa – zauważył Olizar niby nie dowierając, ale przecie się milczkiem przeżegnał.

Na to nadjechał Tigranes, bardzo pięknie z rycerska ubrany, na pięknym koniu kasztanowatym, a za nim sługa, także w stroju żołnierskim i na koniu dostatnim. Frącek, pokłoniwszy się, poszedł w swoją drogę, a Olizar wysunął się naprzód i zawołał cokolwiek zdziwiony:

– Tigranes! a gdzie ty jedziesz? może do tego Francuza?

– Jużci do niego – rzekł dumnie Tigranes.

– Może i chcesz się z nim spróbować? – zawołał Olizar śmiejąc się.

– Właśnie po to jadę.

– To chyba żartem.

– Zacznie się żartem, a jak się skończy, to tylko Bogu wiadomo – odpowiedział mu z junacka młodzieniec.

– A ty głupi – zawołał Olizar – jeżeli się z nim bić będziesz naprawdę. On jeno raz machnie, a już będzie po tobie. Ja tobie dawno powiadam, żebyś ty zaniechał rycerstwa. U ciebie dusza piękna, rycerska, ale ty nie masz kości na żołnierza. Tobie być popem, dzieci chrzczyć, a ludziom ślub dawać; tobie kropidłem, a nie mieczem wojować. Słysz, Tigranes, ja tobie brat, toż mówię tobie jak brat – rycerzem w spokoju i ty być możesz, bo to i baba potrafi, ale kiedy byś ty chciał ich na wojnę...

Jednak Tigranesowi niezmiernie się nie podobały te braterskie przestrogi, odwracał się niespokojnie od Olizara, a kiedy spostrzegł Kergolaja w bramie, ruszył ku niemu, zostawiając mówcę samego na placu.

Olizar stał jeszcze chwilę przed karczmą w wielkim zamyśleniu, po chwili zaś zerwał się, jak gdyby powziął jakieś postanowienie; lecz zamiast iść do miasta, wrócił do swojej gospody. Przyszedłszy tam, kazał zaraz wołać malarza, posłał go, aby obaczył tarczę Kergolaja, i kazał mu swój herb wymalować tak samo na tarczy takiejże samej wielkości. W małą godzinę

tarcza była gotowa: trzy lilie andegaweńskie bardzo pięknie na niej się wydawały, nad nimi hełm ze spuszczoną przyłbicą, nad hełmem korona, a nad koroną trzy strusie pióra, zgoła herb Kierdeja w całej swojej świetności. Zaś jak tylku tarcza była gotowa, choć jeszcze mokra, kazał ją przybić na bramie swojej gospody, a Tymko Biłowus, zastępując herolda, stanął na bramie, zatrąbił głośno trzy razy, a potem obwołał wszem wobec i każdemu z osobna to samo, co Kergolaj kazał wywoływać swemu heroldowi. Olizar, schowawszy się za skrzydło bramy, sam podpowiadał Tymkowi, jak *maje kłykaty*⁷⁹.

Na odgłos trąb i wołanie Tymka mnóstwo ludzi się zbiegło, gapiąc się na to widowisko, ale im więcej ich było, tym więcej Olizar był zadowolony ze siebie i dumny ze swego konceptu. Wyszedł i Żyd gospodarz, zrazu przestraszony cokolwiek tym niesłychanym rumorem, i pytał Olizara, co by to było; Olizar mu opowiedział i dodał na końcu:

– Ja jego nie wyzywam, bo ja się tylko wtedy biję, kiedym zły na kogo, ale niech wie, że nam honor tak samo miły, jak jemu.

Żyd bardzo chwalił jego mądrość i umiarkowanie i rzekł:

– Nu, cały świat wie, że wasza miłość pan honorowy.

Olizar palnął na to Żyda płaską dłonią po plecach i przekrzywiwszy czapkę na bakier, poszedł na obiad do miasta, mrucząc sobie pod nosem:

– Jak z nim stanę na placu, to musi mi się wyprzysiąc, że nie charakternik, a jak się nie wyprzysięgnie... hm... to i tak się z nim zetnę. *Ta szczo!*

Tymczasem Kergolaj przyjmował Tigranesa u siebie, pokazując mu wszystkie swe statki i wojenne przybory. Pocziwy ten chłopak gorąco pragnął zostać rycerzem, tak pełen był uwielbienia dla tego szlachetnego rzemiosła, tak mu się każdy rycerz wydawał czymś niedoścignionym dla niego, tak wreszcie żywo, niestety! czuł niskość, a raczej, tak już naówczas mawiać zaczęto, całą podłość swojego urodzenia, że obchodził się z Kergolajem jak z świętym, patrzył na niego jak na obraz cudowny, a każde jego słowo było dla niego wyrokiem. Nigdy w swym życiu, chociaż widział tak wiele dworów rycerskich, a nawet w nich mieszkał, nie zdołał postawić się choćby z najmniejszym zagranicznym rycerzem na równi – a teraz dano mu jest zbliżyć się do prawdziwego rycerza *di gran grido* o złotych ostrogach, do potomka Kergolajów, Lanckorońskich i Kmitów, do przyjaciela królów i książąt i szczyścić się jego przyjaźnią i łaską. Próżne to dziecko nie posiadało się z radości.

I Kergolaj zrazu był z tego kontent; kto wie, jak sobie zamierzał to uwielbienie wyzyskać. Jednak niebawem doznał pewnego rozczarowania. Tigranes bowiem przyjechał do niego, aby mu pokazać, co umie. Owóz zaledwie wzięli miecze do ręki, doświadczony szermierz dostrzegł natychmiast, że ów tak gorący kandydat na rycerza, zna wprawdzie sztukę szermierską, ale nie ma ani oka, ani przytomności umysłu, ani nawet dość siły fizycznej, ażeby mógł choćby nawet partaczowi dotrzymać. Po tej próbie wyszli w dziedziniec, znajdujący się z tyłu za karczmą, tam Tigranes wsiadł na koń i wziął kopię do ręki, Kergolaj kazał mu złożyć kopię w pół głowy końskiej i skruszyć ją o stertę siana, stojącą w rogu dziedzińca; ale tu nastąpiła jeszcze daleko gorsza dekonfitura: Tigranes nie umiał przykleić się do kułbaki, nie umiał się zlać w jedne całość ze swoim koniem, nie umiał nawet kopii dotrzymać w ręku, koń wzdrachnął się pod nim, a kopia poleciała gdzie się jej podobało. Kergolaj klasnął w obydwie ręce i spuścił głowę ku ziemi, a kiedy Tigranes, zsiadłszy z kułbaki, wracał z nim do gospody, rzekł grzecznie do niego:

– Trzeba się jeszcze uczyć cokolwiek.

Kiedy znowu zasiedli w izbie, Tigranes miał prawie łzy w oczach, bo czuł to boleśnie, że mu się popis nie udał. Usprawiedliwiał się zatem, że noc miał niespokojną i dzisiaj nie jest w swym sosie. Opowiadał mu potem, że kupił wieś tylko dlatego, aby się tam mógł spokojnie przygotowywać do rycerskiego zawodu, że tam ma kilkadziesiąt koni i dużo żołnierzy, że

⁷⁹ jak *maje kłykaty* (ukr.) – jak ma wołać

tylko czeka niecierpliwie, ażeby wojna wybuchła, gdzie by się mógł pokazać. Kergolaj, widząc przed sobą człowieka słabego ciała, ale stanowczej woli, zrobił na to tylko tę uwagę:

– Ale jeżeli pójdziesz na wojnę, to podjedź pod jaką starą chorągiew, której doświadczony rotmistrz przywodzi, odprawivszy zaś pod jego bokiem jedną wojnę i drugą, z czasem się wprawisz i zahartujesz ciało, co bardzo ważną jest rzeczą.

Ale Tigranes się na to prawie oburzył:

– Ja pod cudzą komendę? – zawołał – za nic w świecie! Jak będzie wojna, ja własną wysztyfuję chorągiew i sam nią będę dowodził.

– Bywają wojny, w których giną całe chorągwie – zauważył Kergolaj.

A na to Tigranes z zadziwiającą energią:

– Wolę zginąć, niżeli być kupcem.

Kto inny byłby się tym może głęboko zasmucił, bo smutno jest widzieć człowieka, który by mógł być pożytecznym członkiem społeczeństwa w wielu innych zawodach, a chwytając się właśnie takiego rzemiosła, do którego nie jest stworzony. Od stworzenia świata próżność i nieznajomość siebie samego ubezwładnia daleko więcej sił pożytecznych, a nawet ofiar pochłania, niżeli się to zazwyczaj przypuszcza, i było to po wszystkie wieki smutną wadą ludzkości. Ale Kergolaj nie lubiał się smucić, więc uderzył Tigranesa po ramieniu i rzekł:

– Chwałę twój ferwor młodzieńczy, a na to wszystko powiem ci tylko, że tak w życiu, jak na wojnie, więcej wart łut szczęścia niżeli cały kamień rozumu.

Tigranes się tymi słowami tak uradował, że omal mu się nie rzucił w ramiona, ale w tej chwili dał się słyszeć odgłos trąby na placu publicznym. Kergolaj posłał zaraz swego wyrostka, aby obaczył, co jest. Po chwili wyrostek wrócił i opowiedział, dodając: że pan Ostafi Olizar Kierdejowicz, rycerz andegaweński, ogłasza, że kto by się chciał z nim bić, temu gotów usłużyć. Kergolaja wiadomość ta bardzo zaciekała, jakoż prędko zapytał:

– Kto to jest taki? czy znasz go?

Ale Tigranes śmiał się jak dziecko i bił się rękami po obydwóch kolanach, potem zaś mu powiedział:

– Ot, głupi! widział twoje tarczę na bramie, więc zaraz swoją wystawił na swojej gospodzie.

Dopiero wtedy się rzecz wyjaśniła. Ale Kergolaj rzekł poważnie:

– Dobrze by mi było zostawić tutaj jaki znak po sobie, ale ja jego wyzywać nie będę, bo nie chcę, aby powiedziano, że tu przyjechał, aby ludzi napadać.

Zaczem wsiedli na konie i pojechali za Olizarena do miasta, lecz kiedy Olizar swoim zwyczajem poszedł do Bazaru, oni pojechali do starego Kijasa. Zaś obydwie gospody zostały, warcząc z boku swymi tarczami na siebie, jak dwa psy, które przysiadły do ziemi i warczą, nim się rzucą na siebie, czasem, ażeby się pogryźć, a czasem tylko, aby się potłumić ze sobą.

Od tego dnia Kergolaj bywał prawie codziennie w domu Kijasa i tam przepędzał swoje wieczory. Formoza nadzwyczaj żywo go zajmowała. Był dla niej niezmiernie grzecznym, czasami nawet natrętnym. Oświadczył jej swoje miłość bez granic, używając do tego zaklęć na puszystych, a często nawet wcale dziwacznym, jak to było wówczas zwyczajem. Grywał jej na hiszpańskiej gitarze i śpiewał pieśni w prowansalskim języku o obowiązkach rycerzy:

Al en caussar premier,
Et al fugir dernier,
Car tot aiso cove,
A drut c'amor mante⁸⁰.

⁸⁰ *Al en caussar premier...* (prowansal.) – Pierwszy w pościgu, || A ostatni w ucieczce, || Gdyż wszystko to przystoi || Kochankowi, którego miłość wspiera.

Niebawem zdjął łańcuch ze szyi i odpiął kokardkę Jagienki, dając jej tym do zrozumienia, że miłość swoje na nią przeniósł. Składał jej przy tym częstokroć najdziwaczniejsze dowody swego uwielbienia, jakimi ówcześni rycerze głównie wojowali: tak jednego dnia, który razem spędzili, przysiągł jej, że na jej cześć przez cały dzień nie weźmie do ust ani kęsa stawy, ani żadnego płynu; innym razem, że będzie stał na jednej nodze przez całą godzinę, a wreszcie, że będzie czuwał przez całą noc na bruku pod jej oknami, a rano zagra jej pieśń na gitarze... i zawsze wszystkiego dotrzymał. Tak postępując, chciał ją i wszystkich przekonać o swojej idealnej dla niej miłości... i byli tacy, co temu wierzyli.

Ale były to czasy, kiedy ideały dawniejszych wieków już spełzły. Wieki wojen krzyżowych, wieki czystego zapału i uniesienia, kiedy jedna myśl wzniosła mogła poruszyć miliony, a te miliony zapłonęły duchem ofiary i poświęcenia, leżały już w grobie dziejowym, który jeszcze tylko ostatnie swe blaski rzucał na pokolenia żyjące. Zachowywały się jeszcze dawniejsze formy, ale dawnego ducha już w nich nie było. Rycerz ówczesny jeszcze się szczycił romantyczną swych przodków dewizą: „Dusza moja Bogu, życie królowi, serce kobietom, a honor mój dla mnie”, ale już jej nie przestrzegał tak bardzo surowo... i bardzo często duszę dał diabłu, życie swoje królowi bardzo drogo sprzedawał, od kobiet za swoje hołdy grzesznej wymagał zapłaty, a strzegł tylko pozorów honoru, któremu zresztą nadał także całkiem inne znaczenie. Rycerstwo europejskie było już wtedy w zupełnym upadku. We Francji i w Anglii gonilo z niepowściągniętą niczym chciwością za doczesnymi dobrami i otrzymywało ziemię, pieniądze, tytuły i urzędy, czasem burząc się przeciw swym królom, lecz jeszcze częściej oddając się duszą i ciałem na ich usługi; we Włoszech wojowało bądź pod sztandarami książąt tamtejszych albo postronnych, bądź też na własną rękę, przeciwko papieżom i municypiom miast, jeszcze wtedy bardzo potężnych; Niemcy zaś przepełnione były jak mrowiem zbrojnymi pocztami szlachciców i grafów, którzy nie tylko samowolnie nakładanymi cłami, ale także i prostym rabunkiem gnębili kupców po publicznych gościńcach, oblegali miasteczka i miasta, wymuszali na nich ciężkie częstokroć okupy, a nawet napadali na siebie samych wzajemnie, przy czym zwycięzca brał swego przeciwnika w niewolę, obdzierał go zawsze z jego ruchomego majątku, a często mu i jego zamek i ziemię zabierał. Wśród takiego rozwielmożnienia się wszelkiego rodzaju bezprawioń a rozpasania obyczajów społecznych i towarzyskich i owa miłość idealna minionych wieków, o których tak piękne pieśni pozostawiali trubadurowie i minnesingery, ulotniła się z ziemi, a jej miejsce zajęły miłosne kabały, pragnienie uciech doczesnych, częstokroć nawet łamiąca gwałtem wszelkie przeszkody żądza zadowolenia, gorączki krwi albo imaginacji. W oddalonej od tego obyczajowego rozpasania się Polsce, gdzie mimo grasującej powszechnie chętki naśladowania europejskiego zachodu, przecież katechizm chrześcijańsko-rycerski pojmano jeszcze w jego dawnym znaczeniu, miłość idealna znajdowała jeszcze dość licznych adeptów; ale nie szukać jej było pomiędzy tymi, którzy swą młodość strawili w obozach i na wielkich dworach Europy zachodniej.

Nie szukać jej także u Kergolaja. Formoza przeczuła to tym dziwnym instynktem, który strzeże wszystkie kobiety czystego serca, i nie wierzyła ani jego przysięgom, ani mającym świadczyć o jego miłości ofiarom; ale jego zaloty, pełne coraz to nowych conceptów, bawiły ją, a może i pochlebiali jej to cokolwiek, że w takim mieście, gdzie było tyle kobiet, błyszczących niezwykłą pięknnością, taki rycerz przesławny, o którym już tyle pochlebnych wieści obiegało po całym kraju, jej samej składa swe hołdy. Trudnoż ją o to obwiniać, bo któraż kobieta, choćby najniewinniejsza, nie ma troszeczkę próżności? Jednak trzeba powiedzieć na jej zaletę, że trwało to tylko tydzień albo mało co więcej. Niebawem bowiem Kergolaj stał się zanadto natarczywym – ówcześni rycerze szli do każdego szturm co koń wyskoczy – a oprócz tego obudziła się w niej bardzo słuszna obawa, ażeby się z tego jakie plotki nie wyrodziły. Zaczęła zatem z oględnością kobiety wychowanej wykwinąć ile możności chłodzić jego zapały. Ale Kergolaj jej nie rozumiał. Owszem, zaślepiony jak każdy za-

lotnik, który sobie nosa nie rozbił na samym wstępie, jeszcze zuchwałej ponawiał swoje natarczywe zapędy. Formoza już sama nie wiedziała, jak ma mu się bronić.

Zanadto dobrego serca i delikatna w swoich uczuciach, nie mogła zdobyć się na to, aby go zgromić surowo i w sposób obrażający od siebie odepchnąć, zaczęła więc nad tym rozmyślać, czy nie mogłaby mu jakiejś sztuczki wypłatać, która by mu oczy otworzyła na prawdę. Natenczas niejednokrotnie bardzo puste przychodziły jej myśli: któż nie był pustym mając lat dziewiętnaście? Pustota zresztą była jednym z głównych rysów obyczajów ówczesnych, a zwłaszcza po wielkich miastach. Młodzi i starzy, panny i wdowy, mężatki i poważne na pozór matrony, wszyscy łaknęli śmiechu, zabawy, rozrywki, a zbytki, przechodzące wszelkie granice pojęć dzisiejszych, królując w strojach, w jedzeniu i picciu, panowały także jedynowładnie w towarzyskich zwyczajach. Stary Kijas, człek tak poważny, nie gardził także figlami, Kundrat zawsze do nich był gotów, a cóż dopiero panny służebne. Wszyscy widzieli niepowściągliwe Kergolaja zaloty; nikt za nie na niego nie rzucał kamieniem, bo było to modą ówczesną, że nawet bardzo poważne mężatki miały swych kawalerów, którzy jawnie wielbili ich cnoty; ale wszyscy się nimi bawili. Jakoż bardzo być może, że wówczas uknuto spisek przeciwko niemu i tylko na dobrą sposobność czekano, która się wszakże prędko zdarzyła.

Jednego dnia, kiedy Tigranes wyjechał był na wieś, ażeby swoich żołnierzy musztrować, i miał dopiero nazajutrz powrócić, Kergolaj, obsypawszy Formozę swoimi kadzidłami tak gęsto, że ledwie jej nie udusił, zapowiedział jej, że o samej północy wlezie kominem do kamienicy, zakradnie się do jej antykamery i przed drzwiami jej sypialni zagra nową pieśń prowansalską na maleńkiej gitarze, ale tak cichuteńko, ażeby tylko ona sama mogła ją usłyszeć. Trzeba więc, aby czuwała, jeżeli chce, aby tony tej precudownej pieśni doszły jej uszu i rozweseliły jej serce. Formoza na to się w głos roześmiała, mówiąc:

– Wasza miłość chyba jaki czarownik, jeżeli umiesz się zmieścić w kominie, bo kominami tylko czarownice latają.

– Czarownice tylko w górę lecą kominem – rzekł Kergolaj – a ja spuszczę się na dół, to potrafi ten tylko, co gotów się sam spalić na stosie na cześć swej uwielbionej.

– W kominie się waszmość nie spalisz, bo teraz lato, ale się oczernisz jak diabeł, a szkoda by było tych pięknych atlasów i aksamitów.

– Mam na to sposób. A zresztą bramą wchodzić to już nie moda... a to tym bardziej, że kamienica o północy zamknięta.

– To prawda – odpowiedziała Formoza. I zapewne w tej chwili jej jakaś myśl przeleciała przez głowę, bo dodała: – Bardzo bym chciała widzieć waszmości, jak będziesz wylazł z komina. Ale to niepodobna. Jednak będę słuchać o północy, czy zagrasz...

Na te słowa Kergolaj tak się ucieszył, jak gdyby po długiej nocy promień światła błysnął na niego. Był pewnym swego tryumfu, już prawie nie dotykał się ziemi. Przez cały wieczór był wesół, że aż serce mu się rozpląwało: starego Kijasa zapewnił, że rok nie upłynie, a Tigranes otrzyma herb i szlachectwo, Kundratowi przyrzekł solennie służyć za swata, jeśliby chciał się ożenić, nawet pannom służebnym, które siadały do stołu, obiecał takich mężów dostarczyć, o jakich im się nigdy nie śniło. Ale jak tylko się dobrze ściemniło, głowa go zaboląła i wyszedł, rzuciwszy na Formozę umierające z bolesnej miłości spojrzenie.

O samej północy, kiedy światła dawno już pogaszono i wszyscy spali snem twardym, Kergolaj, znający się tak samo z odźwiernym, jak znał wszystkie kąty i drzwi w kamienicy, wylazł cichaczem na długi krużganek pierwszego piętra i dostał się nim do tyłów, gdzie były izby mieszkalne Formozy. Oglądając się poza siebie i nadśluchując, czy się co nie ruszy, wszedł najprzód do sieni, a tam otworzył drzwi do antykamery, którą znał dobrze. Była to izba nie bardzo obszerna, a nawet w dzień dosyć pochmurna, bo tylko jedno okno ją oświecało, wychodzące na mały i ciasny dziedzińczyk. Teraz było tam ciemno choć oko wykol. Ale ciemność mu wcale nie zawadzała, bo znał tę izbę i był już pewnym, że nikt go nie widział, więc szedł śmiało ku drzwiom sypialni, które się znajdowały naprzeciw. Postawił jeden krok

dobrze, ale za drugim strasznie coś zatrzeszczało pod jego nogą i noga go zaboląła. Chciał przez tę nieprzewidzianą przeszkodę przeskoczyć i podniósłszy nogę wysoko, skoczył silnie naprzód, lecz wtedy już trzask się rozległ taki ogromny, jak gdyby jakie sprzęty się druzgotały. Zarazem zaś gruntu nie mógł się domacać nogami. Co nogę wyciągnie i stąpi, to trzask się rozlega niesłychany, nogi mu się kaleczą, drą się pończochy i pludry, drzazgi się rozlatują pod jego nogami, ani sposób się domacać podłogi, nie sposób się utrzymać na nogach, pasuje się z tym diabelstwem jak opętany, nareszcie pada – i pada jakby na łożę madejowe, na jakieś piły czy noże, które go kołą, rzną, gniołą, że sobie miejsca znaleźć nie może. Kapelusz poleciał w jedną stronę, gitara w drugą, ręce pokaleczone i nogi, a tu ciemno jak w garnku i co się ruszy, to się trzask taki straszliwy rozlega, że pewnie już całą kamienicę obudził. Wstał wreszcie, głosu nie wydał ze siebie, chociaż łzy w oczach miał z bólu, nabrał jeszcze raz odwagi i jeszcze raz skoczył w kąć przeciwny, lecz znowu padł na jakieś ostre rupiecie i znowu trzask się rozległ pod jego nogami, ziemia się pod nim zachwiała i znowu upadł na jakieś piły i noże. A wtedy już jęk bolesny się z jego piersi wydobył, już się tłuki tylko na miejscu, to sycząc, to kwiląc co chwila jak człowiek, co go wzięto na męki. Ale wtedy światło błysnęło we drzwiach od sieni i pokazał się Kundrat w chałacie i białej szlafmicy z kagańcem w ręku.

Kergolaj się zerwał i przy świetle natychmiast znalazł miejsce próżne, na którym mógł stanąć pewnymi nogami. Najprzód więc rzucił okiem na antykamerę i spostrzegł, że tam na całą podłogę nakładzono owych drewnianych pudeł i pudełek, co je składają z cieniutkich jak papier deszczulek, a których Kundrat miał zawsze wielkie zapasy, bo w nich suszone owoce i rozmaite indyjskie a perskie tkaniny na jarmarki wysyłał. A nakładzono ich tyle, że nimi drzwi do sypialni Formozy założono aż do góry, gdyby Kergolaj był się aż do drzwi dołamał, to byłby stamtąd jak z sterty siana już wcale nie wylazł. Widząc to zgrzytnął zębami i zaraz piorunującym okiem spojrzął na Kundrata; Kundrat wszelako, zaledwie się mogąc powstrzymać od śmiechu, rzekł tymczasem do niego:

– A waszmość kędy Pan Bóg prowadzi? Waszmość, jak widzę, wycharatał mi wszystkie pudełka na prach...

Kundrat rozumiał zapewne, że Kergolaj będzie go prosił o sekret i przyjacielską usługę, aby go bez hałasu wyprowadził z kamienicy. Ale Kergolaj był zły, iskry mu się z oczu sypały, porwał za ów straszliwy sztylet, co to go zwano *la miséricorde*, a który zawsze nosił u boku, błysnął mu nim przed oczyma i zawołał:

– To ty, drabie, mnie tu tych pudełek naścielił? Poczekaj...

I zamachnął się, aby go w kark nim uderzyć. Ale Kundrat tak się przestraszył, że kaganek upuścił na ziemię, dusza też poszła mu w pięty i drapnął. Kergolaj słyszał tylko jego kroki: łup, łup, łup, wzdłuż krużganku. U owoczesnych rycerzy były zawsze gniew i śmiech obok siebie. Drapnięcie Kundrata zaraz go rozweseliło. Lecz zdawało mu się, że Kundrat uciekł niedaleko, bo tylko kilkanaście kroków jego dosłyszał. Szedł więc, aby go odszukać i przynajmniej na nim pomścić swoje dekonfiturę⁸¹. Jakoż w oka mgnieniu go znalazł. Kundrat mieszkał na drugim piętrze stamtąd czatował, aby Francuza w antykamerze przycupić i naśmiać się z niego. Ażeby się dostać do schodów, trzeba było przebiec cały długi krużganek; strach ma wielkie oczy i uszy, uciekając, słyszał za sobą kroki Kergolaja, choć ten się wtedy jeszcze nie ruszył; w rogu szerokiego krużganku stała beczka żelaznymi obręczami okuta, w którą w czasie deszczu woda z dachów ściekała. Kundrat dał nura w tę beczkę i w niej przycupnął. Było tam wody po kolana, rzecz nieprzyjemna, zwłaszcza że trzeba było w nią kucznać; ale jeszcze lepsza to, niżeli spotkanie się z mizerikordią. Kergolaj szedł tedy krużgankiem, napotkał beczkę, zajrzał w nią i przy blasku gwiazd poznał Kundrata.

Na to śmiech zebrał go pusty i rzekł do niego:

– Kąpiesz się? a masz tam wody dostatkim?

⁸¹ dekonfitura (fr.) – tu: hańba, klęska

Kundrat już dygotał na całym ciele od zimna, a teraz zęby mu szczękać zaczęły. Nuż da sztyłem w kark, człek ani ziewnie. Ale Kergolaj spostrzegł wiadro przy beczce, wiadro napelnione po same brzegi, podniósł je więc i wylał mu wszystką wodę na szlafmycę, a potem jeszcze próżne wiadro wsadził mu na łeb, uderzył pięścią dno i rzekł:

– Masz i tobie pudełko!

Po czym, śmiejąc się głośno, wyszedł z kamienicy tą samą drogą, którą był przyszedł.

Nazajutrz cała kamienica o tych zajściach nocnych wiedziała, ale kto wie, czy nie więcej się śmiała z Kundrata niż z Kergolaja. Osobliwie panny służebne, które zawsze dają pierwszeństwo rycerzom przed doktorami choćby obojga praw, niemało się nachichotały przy owej beczce, w której Kundrat wziął zimną kąpiel z dołu i z góry, a jeszcze i wiadro wbito mu na ramiona, z którego się ledwie wydobył. Jednak także się nad nim litowano, bo wprawdzie zacny, ale nie bardzo waleczny Kundrat, czy to ze strachu, czy też wskutek kąpieli dostał gorączki i trzeba było po balwierza posłać, który mu krwi upuścił i tak pomału go uspokoił.

O Kergolaju zaś bardzo różniły się zdania: jedni się śmieli, drudzy zaś mieli mu za złe, że się po nocy popod sypialnie kobiet zakrada. Dopiero Tigranes tę zawikłaną kwestię rozstrzygnął, bo z Kundrata się naśmiał, że aż się trzymał za boki, a Kergolaja całkiem usprawiedliwił, mówiąc: że tylko nieznamość obyczajów rycerskich może go potępiać. W całej Europie jest rzeczą powszechnie przyjętą, że rycerze przyjmują służbę miłosną u dam nawet zamężnych, walczą w ich kolorach, przynoszą im rozmaite ofiary i grają pieśni przed ich oknami i drzwiami, we dnie i w nocy i kiedy im się podoba. Trzeba być barbarzyńcą, ażeby za takie hołdy się gniewać, a jest to wcale dziką zabawką, ażeby na nich jak na wilki albo niedźwiedzie pułapki zastawiać. Stukał też za to Formozę, a nawet ojcu powiedział niegrzeczność, czego dotychczas nigdy nie robił, dodając cierpko, że jest to postępowanie chyba ormiańskie, za które on przede wszystkim musi się wstydzić i nawet sam nie wie, jak je naprawi.

Od tego dnia Tigranes był w kwaśnym humorze i z każdym dniem jeszcze więcej kwaśniał, dlatego że Kergolaj się wcale nie pokazywał. Syn w złym humorze, to dla Kijasa wielka zgryzota; wszelako znalazł sposób na to, mówiąc:

– Miałem zamiar dać bankiet dla imci Kergolaja, ażeby mu towarzystwo tutejsze pokazać, ale chciałem z tym poczekać, aż mi przyjdą pewne towary, które są w drodze; jednak w tym razie nie będziemy już czekać, a damy bankiet w przyszlą niedzielę.

Więc Tigranes się wypogodził i poszedł zaraz do Kergolaja, aby go na bankiet zaprosić. Rozmawiał z nim przy tym serdecznie i wcale po kawalersku, wyśmiewając Kundrata i dając mu z lekka do zrozumienia, że owo naścielenie pudełek to był concept doktorski, mogący wyjść z głowy tylko takiego bakalarza, który nie zna obyczajów rycerskich, a nawet ich wcale nie lubi. Kergolaj może temu nie całkiem wierzył, ale *faire bonne min*⁸², to rzecz właśnie francuska, tym zresztą sposobem spadł mu kamień z serca, bo mu otworzył wrota do domu Kijasa, gdzie dotąd zawsze tak dobrze się bawił.

W niedzielę tedy, zaraz po nieszpórach, kiedy słońce czerwcowe jeszcze dosyć wysoko świeciło na niebie, otworzyły się wszystkie Kijasowe komnaty na przyjęcie gości. Kijas miał pięć komnat obszernych na pierwszym piętrze, z których w dzień wielkich testów dwie w izby jadalne zamieniał, a trzy do zabawy i tańców przeznaczał. Wszędzie przygotowano mnóstwo świec jarzących, bo jak dziś, tak i wówczas, mnogość światła była głównym warunkiem świetności przyjęcia. W izbach jadalnych pozastawiano ogromne stoły, na których na wielkich srebrnych, glinianych i drewnianych półmiskach i misach piętrzyły się combry jelenie i sarnie, uda wołowe i baranie, pieczone indyki, gęsi i kapłony, pomiędzy nimi zaś na płytkich talerzach misterne i suto ocukrowane pieczywa (cukier był jeszcze wtedy rzadkością i tylko w bardzo zamożnych domach go miewano), pierniki toruńskie, już wtedy znane, a nade wszystko pulchne, podługowate kukielki, cienkimi listkami złota oblepione, najwykwintniejszy

⁸² *faire bonne mine* (fr.) – dosł.: robić dobrą minę

przysmak piekarski owego czasu. Wszystkie te misy i półmiski opierały się o niezliczoną ilość dzbanów, srebrnych konewek i butli, napelnionych miodem, małmazją i rozmaitymi innymi winami. Po kątach, na pięknie rzeźbionych kobylicach, stały beczki z piwem, a przy nich chłopcy sklepowi, w świąteczne szaty ubrani, z kubkami w ręku. Trzy inne komnaty były przybrane w wieńce z liści dębowych i kwiatów, w których się wtedy bardzo kochano, a na podłodze poroźcielano dywany tureckie i perskie, w tak pyszne kwiaty dziergane, że prawie żal było stąpać po nich butami. Ale Kijas dziś nie żałował niczego, bo najprzód chciał Kergolajowi pokazać, że kupiec lwowski nie gorszy od innych, a potem właśnie dnia wczorajszego nowy wojewoda ruski zjechał na Niski Zamek i przyrzekł mu jego festyn swoją zaszczyć obecnością – a Tigranes, dbający bardzo o łaskę możnych, uprosił sobie u ojca, ażeby kredkę na dzisiaj w kąć rzucono i nie rachowano, co ta feta będzie kosztować. Zaczem, czego nigdy dotąd nie czyniono, dziś nawet wschody i wjazd do bramy zaścielono suknem czerwonym, w dziedzińcu zaś zastawiono także obfite stoły dla sług i żołnierzy, którzy by przybyli ze swymi panami.

A wtedy już zaczęli goście się walić, jedni na koniach, drudzy w lektykach, przez wyłoconych bośniaków niesionych, a trzeci pieszo, pojedynkiem i gromadami. Wojewoda, kasztelan i podstarosta przyjechali konno, na wielkich ogierach rycerskich, wiodąc za sobą knechtów konnych i pieszych. Wojewodą ruskim, niedawno co mianowanym, był wtedy Mikołaj Tęczyński Toporczyk, kasztelanem Stanisław z Chodcza, herbu Poraj, a podstarosta Rusin Łopatka, herbu Łopot, dziedzic na Ostałowicach.

Wojewoda był to mąż potężny budową i wzrostem, z wielkim nosem i z dużymi siwymi oczyma, ale gołowąs, a ubrany z francuska, w kaftan z dwubarwnego atlasu z buchastymi rękawami i także krótkie hajdawery, w pończochy jedwabne i długie spiczaste trzewiki z pozłocistymi sprzączkami. Na głowie miał kapelusz z podniesioną z jednej strony kryzą i bogatymi strusimi piórami. Tak trochę z błazeńska wyglądał, wszelako płaszcz, choć nie długi, ale sobolami podbity i wyłożony, dodawał mu senatorskiej powagi. Wąsy zawiesziste, złotolite żupany i pasy, i długie delije, jak w ogólności owe poważne i piękne stroje narodowe, którymi Polska tak świetnie błyszcząca pomiędzy innymi narody, zaczęto nosić dopiero w wieku następnym.

Kasztelan, ubrany w strój tej samej mody, był nie bardzo okazały, miernego wzrostu i chudy, o bladej twarzy i rzadkiej siwawej brodzie: widać było po nim, że już na nim usycha ten ród, niegdyś znakomity i możny, panujący na Chodczu, do którego należała część znaczna Pokucia, na Lubieniu, na Chłopach i wielu innych majątkach, a idący przez długie czasy z przemożnymi Odrowążami o lepsze, których przewagi, gwałty i wojny domowe, jeszcze naterenczas, to w malowniczych, to w strasznych powieściach, obiegały wszystkie chaty na całej Rusi.

Za to Łopatka był czerstwy i zdrow, rumiany na twarzy i jędrny, nieodrodny syn owego niepożytego ruskiego szczepu, który już tyle wytrzymał niedoli, a ani na duszy, ani na ciele nie upadł – miał białą czuprynę i krótko strzyżoną brodę, kaftan aksamitny z guzami, buty rycerskie i krzywą szablę u boku. Ani półmiskiem, ani kubkiem nie gardził, od gładkiej podwinki także oka nie odwrócił, ale był bardzo szanowany przez wszystkich jako mąż sprawiedliwy, a zresztą jako potomek bardzo starożytnego rodu, który od wieków był jednym z pierwszych na Rusi, a nawet jeszcze i potem kwitnął dość długo i niejednego władcykę wydał ze siebie.

Prawie jednocześnie z senatorami przybyli biskupi: Jędrzej Boryszowski, herbowny brat kasztelana, arcybiskup lwowski, w pozłocistej karocy o jednych drzwiczkach, a biskup ormiański Kilian i ruski władcyka piechotą. Istniały już wówczas karety o dwóch drzwiczkach i oknach, ale arcybiskupi lwowscy jeszcze nie mogli sobie takich zbytków pozwalać. Hojnym był wprawdzie dla nich Władysław Jagiełło, ale jego synowie cokolwiek mniej, musieli więc sami, idąc za przykładem Grzegorza z Sanoka, oszczędzać grosz i dobra skupować, wszakże i

to szło im oporem, bo ich chorągwie, które tak dla powagi, jak dla obrony utrzymywać musieli, prawie wszystkie oszczędności im pochłaniały.

Arcybiskup był to mąż bardzo poważny, około pięćdziesięciu lat wieku, wysoki, z długą brodą, w długim jedwabnym talarze⁸³, z czerwoną uszatą piuską na głowie. Kilian był mały i chudy, ale bardzo wesoły, władca zaś prawie jeszcze młody, z czarną brodą do pasa, rubaszny, ciekawy, za pan brat ze wszystkimi, wielki przyjaciel ślubów, chrzcin i styp pogrzebowych; obydwaj zresztą lubili suto wieczerze, co też niedziwno, bo obydwaj nie opływali w dostatkach.

Za biskupami przyciągnęły kobiety: kasztelanowa, podstarościna i rozmaite bogate mieszczki, wszystkie w lektykach, koło nich ich córki pieszo. Wszystkie starsze matrony były ubrane bardzo bogato, w roby⁸⁴ z atłasów i aksamitów, ze złotogłowiów i adamaszków przetykanych srebrem, w perłowych albo w złocistych czepcach, a na tym wszystkim miały na sobie szuby, chociaż to było już w lecie, podszyte i obłożone sobolami, kunami lub innym futrem bogatym. Były przy tym obładowane złotymi kolcami, pasami, naramiennikami, klamrami i pierścieniami, że niektóra z nich wyglądała jak sklep bogatego złotnika. (Kieszonkowych zegarków jeszcze wtedy nie było). Panny ubierały się skromniej, ale także bardzo wystawnie. Dawano im suknie jedwabne, dziergane w kwiaty jak najżywszych kolorów, obwieszano je tkaninami perskimi i indyjskimi delikatności pajęczej, pozwalano im nosić trzęsidlą i naramienniki, a nóżki zaciskać w spiczaste trzewiki z tak wysokimi korkami, żeby mysz mogła przebiec pomiędzy podeszwą a korkiem, inaczej trzewik nie byłby modnym. Lektykom i pannom towarzyszyli kawalerowie, szlachecy i mieszczańscy, bo stany jeszcze się tak bardzo nie rozdzielały od siebie, niemieccy, rusińscy, ormiańscy, polscy i tatarscy, wszyscy w krótkich aksamitnych lub atłasowych kaftanach, w spodniach krótkich buchastych, a dalej całkiem obcisłych, w kolorowych trzewikach i tokach albo biretach z piórami, z wyjątkiem Tatarów, którzy nosili kubraki sukienne, srebrne pasy czerkieskie, czapki spiczaste, najczęściej białym obszyte barankiem, i krótkie szable u boku.

Za tym zgłębkiem matron, pańien i kawalerów, przyplądali powoli starsi mieszczenie, ławnicy i rajcy, właściciele sklepów, fabryk i posiadłości wiejskich, wszyscy panowie kamieniczni (bo kto nie miał kamienicy w mieście, nie był uważany za mieszczanina), wszyscy z ogolonymi twarzami na modę niemiecką, ubrani zazwyczaj czarno, w krótkie suknie pod spodem i sukienny lub aksamitny krótki płaszcz z rękawami, w birety niemieckie albo florenckie i w czarne trzewiki ze srebrnymi sprzączkami.

Jeszcze się ten tłum dopiero gromadził przed kamienicą Kijasa, kiedy w przeciwległym rogu rynku, napelnionego ciekawą gawiedzią, pokazał się rycerz na białym koniu, ubrany w kaftan atłasowy na poły żółty i fioletowy, także ubranie niższe, a dalej w spodnie obcisłe i safianowe trzewiki na wysokich czerwonych korkach, ozdobionych złotymi ostrogami. Na głowie miał kapelusz z piórami i brylantową agrafą, na sobie płaszczyk rycerski z czarnego aksamitu... a za nim jechało sześciu żołnierzy, ubranych w hełmy i stalowe koszulki. Był to Kergolaj: gawieź go sobie pokazywała palcami, bo wszyscy go już znali z imienia, a nie każdy go widział.

Kijas, równie czarno ubrany jak wszyscy mieszczenie, stał z odkrytą głową przy bramie i gości przyjmował. Za nim stali Tigranes, w pstry strój kawalerski i Kundrat w bakałarski tabard⁸⁵ przybrany. Kijas miał piękną do senatorów przemowę, dziękując za zaszczyt, jaki mu wyrządzali; wojewoda sam mu odpowiedział, wynosząc cnoty i zasługi lwowskiego mieszczaństwa. Takie same przemowy się powtarzały przy przyjęciu biskupów i matron; za biskupów odpowiedział proboszcz katedralny, sławny kaznodzieja, za matrony dworzanin rękodajny kasztelanowej. Tymczasem już wszyscy goście się zgromadzili przed kamienicą, a między

⁸³ *talaris* (łac.) – sutanna

⁸⁴ *la robe* (fr.) – suknia

⁸⁵ *tabard* (łac.) – toga, płaszcz

nimi widać było kilku mnichów, przełożonych rozmaitych klasztorów, niektórych księży świeckich, w bardzo pstre suknie poubieranych z pomadowanymi kędziorami i fryzowanymi brodami, a wreszcie rybałów z rozmaitymi muzycznymi instrumentami.

Po tych przywitaniach Kijas prowadził gości, a najprzód matrony do komnat pierwszego piętra. Tam przy drzwiach otwartych oczekiwała je Formoza. Była ona wbrew modom w ciemną aksamitną suknię bez żadnych ozdób ubrana, miała tylko na głowie złotolitą duchenkę i była ściśnięta powyżej bioder przepyszny pasem, z perłowych klamer złożonym: prostota serca wyraża się zwykle w zewnętrznym ubraniu. Matrony i panny witały Formozę jako dawną znajomą, u których miała wielkie zaufanie, tylko wojewoda stanął przed nią, jak gdyby olśniony i rzekł:

– Nie żałowałem nigdy, że się ożeniłem, ale ujrzawszy waszmość panią... obawiam się, że będę miał noc niespokojną.

Był to komplement trochę zanadto otwarty, jakoż zarumienił Formozę; ale wojewoda się zaraz poprawił, pytając:

– A gdzie szczęśliwy małżonek waszmości?

Natenczas Kijas pchnął prędko Tigranesa przed siebie i polecił go łasce wojewody. A pan Tęczyński jeszcze więcej się zdziwił i rzekł:

– Panie bracie, twoja jejmość, jak widzę, mogłaby cię wziąć pod pachę i igrać tobą jak łąką. Ale nie trzeba sądzić z pozorów. Widziałem ją ludzi jeszcze daleko podlejszej kompleksji od ciebie, a mieli duszę wspaniałą; dobrą głowę na karku. Owóż podobno tak jest u ciebie, co mi też powiadano.

Ojciec i syn byli tedy bardzo zadowoleni i prowadzili gości do dalszych komnat, co też było koniecznym, bo pierwsza komnata była już przepelniona, a jeszcze się wielkie tłumy cisnęły od wschodów. Z nimi szedł także Kergolaj, wesół jak nigdy i głowę niosąc wysoko, sypnął parę komplementów Formozie, jak gdyby nic nigdy nie było, i poszedł zaraz między biskupy i senatory, którzy jako z rotmistrzem królewskim chętnie się z nim bratali. Po chwili jednak wrócił do pierwszej komnaty i stanąwszy u okien, przypatrywał się nowym gościom przyplływającym. Już się ścisk zaczął trochę przejmować, już przychodzili tylko pomniejsi, już nawet weszli rybałci: a wtedy zjawiła się jeszcze jedna dama w otoczeniu dwóch kawalerów, jedna z tych elegantek, co zawsze na ostatku przychodzą.

Była to kobieta jeszcze bardzo młoda, może dwadzieścia cztery lat wieku, dość słusna, ale zarazem okrągła i pulchna, twarz miała białą i świeżą jak gdyby krew z mlekiem, nosk troszeczkę zadarty, usta cokolwiek pełne, świadczące o rozbudzonych uczuciach zmysłowych, a włosy ciemnoblonde, bardzo bogate, dziwnie do siebie nęcące miękkością puchu i blaskiem jedwabiu. Kobieta ta na ludzi, którzy cenią w płci pięknej okrągłą formę, świeżość cery, wesołość serca i krew życiem grającą, sprawiała niezmiernie sympatyczne wrażenie; toż w czasach tych, gdzie okazałość zewnętrzna silnie uderzała na zmysły, a zmysły panowały nad duchem, rzadko kto mógł objętnie patrzeć na jej błyszczącą urodę. Była ona w towarzystwie jak wir w wodzie bieżącej: kto się zbliżył do jego kręgów, ten musi z nim płynąć, a niezwykłej siły potrzeba na to, aby się odbić od niego. Jednak jej strój nie był w zgodzie z jej postacią zewnętrzną, miała bowiem wierzch sukni z czarnych jedwabów, a spodni z białych tkanin muszlinowych, do tego zaś żadnych na sobie świecideł. Tylko czerwone trzewiczki rozjaśniały cokolwiek tę posepność ubioru.

Kawalerowie, którzy przyszedli w jej świetle, byli to Olizar i Frąc Ajchinger, jej szwagier; Olizar w czarnym aksamitnym kubraku ze złotymi guzami, Frącek zaś w czerwonym kaftanie, białych pludrach niemieckich i safianowych butach rycerskich.

Dama ta uściskała zaraz serdecznie Formozę i rozpoczęła z nią żywą rozmowę, której nie można było dosłyszeć. Zdaje się tylko, iż się przed nią usprawiedliwiała, że właściwie nie powinna była przyjść – a Formoza rozgrzeszała ją mówiąc:

– Przecie już dawno minęło pół roku...

Zaczem obydwie wzięły się pod ramiona i poszły pomiędzy senatory i starsze matrony.

Kergolaj rzucił na nią okiem znawcy i węża poprawił. Po czym pociągnął za nią do drugich komnat i tam znowu na nią spojrzął po raz drugi, a wreszcie obejrzał się za kimś znajomym, który by go oświecił, kto jest ta ładna dama.

Tigranes mu to opowiedział.

Była to wdowa Ajchingerowa, z domu Łopatyczówna, imieniem Pachna.

Łopatowie, Łopatkowie i Łopatycze była to jedna i ta sama rodzina. Jednego syna Łopatę nazwano z polską Łopatką, a drugiego z ruską Łopatyczem i tak to zostało, bo nie królowie albo kanclerze koronni, ale głos publiczny i używanie tworzyły wówczas nazwiska. Tak było w Polsce, tak i na Rusi. Łopatkowie się prędzej spolszczyli, Łopatycze Rusinami zostali, a głos publiczny wyraził to w ich nazwiskach. Łopatycz, ojciec Pachny, przyjął prawo miejskie we Lwowie i tu się osiedlił, a prowadząc skrzętny handel z Tatarami, dorobił się znacznego majątku. I on miał także piękną kamienicę przy Halickiej ulicy, chociaż tylko o trzech oknach, ale zaopatrzoną równie bogato. Pachną, jego córka jedyna, będąc młodą dziewczyną, miała swoje ambicje. Chciała wyjść za polskiego rycerza, który by z czasem został senatorem. Jej ojciec, Rusin i demokrat, nie lubił rycerstwa, przeniósł nad nie stan kupiecki, upierał się przy tym, ażeby wyszła za kupca i z wielkim uporem wbijał w nią przekonanie, że nie masz dla dziewczki lepszego postanowienia jak w stanie kupieckim. Pachną się chwiała: obok wielkiej sympatii dla rycerzy nie pogardzała kupcami. Tymczasem los zrządził wcale inaczej. Ojciec jej umarł – a wkrótce po jego śmierci zjawił się we Lwowie rycerz niemiecki, Kunę Ajchinger, człowiek mało co więcej jak trzydziestoletni, bardzo kształtnej budowy i twarzy tak pięknej, że wszystkie kobiety nie mogły mu się napatrzeć. Pachna się w nim zakochała na umór i poszła za niego.

Ci Ajchingerowie była to stara szlachta niemiecka, mieli bieżącą wiewiórkę w herbie na tarczy i taką samą wiewiórkę siedzącą nad koroną pomiędzy dwoma rogami, byli też w Niemczech sławni i poważani. Ale jeden z nich, Zybult, zabłąkał się do Lwowa, tu się ożenił z Rusinką, tu osiadł, przyjął prawo miejskie i handel założył – i to mu przyniosło pewien uszczerbek pomiędzy rycerstwem w Niemczech, a nawet i w Polsce. Bo wtedy jeszcze pomiędzy szlachcicem a rycerzem była pewna różnica. *Le gentilhomme naïf, le chevalier se fait*⁸⁶, powiedziano niegdyś we Francji i stało się to prawem dla rycerstwa wszystkich narodów. Można było być szlachcicem, a nie być rycerzem. Wolno było szlachcicowi bawić się jakimkolwiek rzemiosłem, ale rycerz nie mógł się imać takiego zarobku bezkarnie. Jemu było wolno rozbijać kupców po drogach, ale samemu kupiectwem się bawić, to nie uchodziło. Z dwóch synów Zybulta, jeden, Kunc, człowiek rozumny, odważny i zręczny, dobił się łatwo rycerstwa w Niemczech, ale młodszemu, Frącowi, już się to nie udało, był tylko knechtem, ale rycerstwa się jeszcze nie dobił.

Kunc miał wszystkie zalety, jakie zazwyczaj zdołają rycerza, ale miał także i wady. Lubiał pić i grać w kości, a przy tym był kotem na podwiku. Z początku jeszcze jakoś dość wiernie trzymał się Pachny, ale kiedy mu żona spoważniała, a wreszcie i synka powiła, diabeł zaczął w nim palić, ledwie że rankiem wracał do domu, a za to pełno go było po gospodach, gdzie tańce się odbywały. Do tego stopnia nawet nie dbał o swój honor rycerski, że się tłukł po przedmieściach i tamtejsze dziewczęta uwodził. Owo więc przeszłej jesieni poznał był Fesię, córkę tkacza, mającego pod Wysokim Zamkiem mały folwarczek z gruntami. Fesia była najpiękniejszą ze wszystkich dziewcząt pod Zamkiem, nosiła czerwone i błękitne staniki, a w warkoczach wstążki wszystkich kolorów, które jak tęcza za nią w tańcu powiewały. Kunc wziął się na nią jak diabeł na grzeszną duszę. Uważał wprawdzie, że z Fesią zawsze Petrusz tańcował, syn kowala, chłopiek niewielki, ale nabity i gładki, „biłe łyczko, czorny wuś”, jak piosnka śpiewała. Jakoż Fesia mu się stale broniała, dając mu na wszystkie propozycje odpowiedź: „mowyła Fesi, że obyjde si”. Ale taki rycerz niemiecki mało dba o czeladników ko-

⁸⁶ *Le gentilhomme naïf...* (fr.) – szlachcicem się rodzisz, ale na rycerza musisz być pasowanym

walskich, a wytrwałością bije opór kobiety. Jakoż istotnie jednego wieczoru Fesia mu się wygadała, że przez całe lato aż do późnej jesieni sypia na brogu, co stoi pomiędzy stodołą a szopą. Kunc jej zapowiedział, że jeszcze tego wieczora przyjdzie na pacierze. I przyszedł. Obaczywszy drabinę przypartą do brogu, wskoczył na nią z radością i wylazł na górę; lecz kiedy już był na ostatnich szczeblach i zajrzał do brogu, zamiast Fesi pokazał mu się jakiś chłop wąsaty i z całej siły żelaznymi widłami wjechał mu w ślepie. Kunc, nie mogąc wytrzymać takiego ciosu, spadł po wszystkich szczeblach drabiny aż na dół i kości sobie połamał. A kiedy padł z jękiem na ziemię, ponad szczytem drabiny pokazał się ten sam diabeł wąsaty, wyszczerzył białe zęby, rozśmiał się głośno i zawołał; – *Trysta tobi mat’... otoś sia zabyw, panyczu!*⁸⁷ – Nad nim zaś, oparta obydwoma rękami na jego ramionach, pokazała się Fesia i także się śmiała. Takie to zdradliwe bywają te piękne Rusinki.

Dobrze im było śmiać się, kiedy byli na górze, ale biedny Kunc złamał sobie krzyż pacierzowy i wcale bez jęku dał ducha Bogu. Nazajutrz rano znaleziono go nieżywego pod brogiem. Pachną wpadła w rozpacz, a zarazem i w złość i chciała ciągnąć do sądu zabójców. I pobiegła z tym do starego Kijasa. Ale Kijas nie był tak gorąco kapany i odpowiedział jej najprzód: – O jednego Niemca tyle hałasu? jeszcze ich tu dosyć zostało. – To Pachnę ochłodziło cokolwiek. Jednak mu powiedziała, że sądu trzeba koniecznie, bo to hańba dla niej i jej rodziny, która spadnie na jej syna i będzie mu szkodzić. – Hańba? – rzekł na to Kijas – jeszcze to nie tak dawno, jak biskup krakowski, Zawisza, takuteńką śmiercią zginął przy brogu, a przecie to biskupom krakowskim wcale nie zaszkodziło. – Juźci to prawda – myślała Pachna; – a tymczasem rozumny Kijas uczucia jej w całkiem inną stronę odwrócił mówiąc: – A jejmość pani powinnabyś całkiem inaczej o tym rozumieć, bo mąż taki, który ma żonę tak urodziwą, a za dziewczkami łązi po brogach, jeśli kark skręcił tak gładko, to jeszcze wcale nie otrzymał tej kary, na jaką zasłużył. Daj jejmość raczej na mszę do Pana Boga, że cię od niego uwolnił, bo byłabyś się z nim na śmierć zagryzła. – Niektóre kobiety są jako organki, co same grają, potrzeba je tylko nastroić, ażeby tę pieśń zagrały, co trzeba: tak też i Pachną zaraz inaczej zrozumiała tę sprawę i napełniła się oburzeniem przeciw temu mężowi. Zaś wkrótce potem całkiem o nim zapomniała, jej z nim pożycie wydawało jej się jak sen, który znikł po przebudzeniu, tylko synek został się po nim i obowiązkowa żałoba.

Dowiedziawszy się o jego śmierci, jego brat Frąc przyjechał do Lwowa. Miał zamiar przeprowadzić tylko dział majątkowy i nazad wrócić do Niemiec; wszelako zmienił postanowienie, postarał się i z łatwością otrzymał wysoki urząd wojskowy na Niskim Zamku i został we Lwowie. Głucha wieść niosła, że się we wdzięki swojej bratowej uplatał: bardzo to było podobne, ale Olizar już przed nim stanął u niej na służbę – a z Olizarem nie każdy mógł chodzić o lepszą.

Taką to dziwną historią opowiedział Tigranes Kergolajowi, który mu za to podziękował i mówił, że jest to kobieta tym więcej zajmująca, bo godna pożałowania.

A wtem uderzono w trąby w izbach jadalnych na znak, że czas do wieczery.

Jeden był głodny, a drugi łaknął, więc wszyscy szli tłumnie za biskupami i senatorami. W tym tłumie Łopatka się za Olizarem obejrzał, a dojrawszy go, zawołał:

– Wyrypaj!

Olizar ścisnął go za rękę i rzekł:

– Czegóż ty mnie wołasz Wyrypajem? – i dodał półgłosem – tak mnie tylko młodyce po przedmieściach wołają.

– A może i ja młodyca.

– *Idy do ditczoj matery!*⁸⁸ – zawołał śmiejąc się Olizar. – Jeszcześ się nie upił, a już przystępuje do ciebie.

A wtedy Łopatka trącił go w bok i zapytał:

⁸⁷ *Trysta tobi mat’... – przekleństwo; otoś sia zabyw, panyczu!* – a toś się zabił, paniczu!

⁸⁸ *Idy do ditczoj matery!* (ukr.) – Idź w diabły!

– No, a jak tam z Pachną? kiedyż wesele?

– Jeszcze żałoba.

– Ale nim żałoba minie, miałbym ciebie za ba i bardzo, gdybyś nie dał w kark temu czerwonemu Niemcowi, bo ma plecy takie szerokie, że i Pachny spoza niego nie widać.

– Dam ja jemu w kark, że ziewnie duszą tak samo, jak Kunc. Niech jeno okazja się zdarzy.

Tu wszakże Olizar skoczył prędko ku Pachnie, aby mógł się przy niej u stołu. I Frącek także trochę przyspieszył kroku, ale powolnego Niemca zwinny Francuz uprzedził i siadł przy niej po drugiej stronie. Frąc poszedł ku beczkom i napił się piwa, jako to u Niemców piwo być musi lekarstwem na wszystko; Pachna zaś była bardzo uradowana, że koło niej usiadł rycerz francuski, o którym tak wiele w mieście mówiono, i bardzo żywo z nim rozmawiała. Olizar nie był o Francuza zazdrosnym, owszem, powziął dla niego zaraz sympatią za to, że Frąca nie dopuścił do Pachny – a zresztą, co do rozmowy, to jeszcze dla niego dosyć zostało.

Do stołów siadano wówczas, tak jak i dzisiaj, według godności i wieku. Przy głównym stole wojewoda siedział we środku, a naprzeciw niego arcybiskup lwowski, koło nich zaś po jednej stronie i drugiej dygnitarze duchowni i świeccy, alternując z poważniejszymi matronami. Za każdym dygnitarzem stał jego paż albo wyrostek, podając mu talerze i nalewając kielichy, za matronami panny służebne, a czasem własne ich córki, Kijas, Tigranes, Formoza i Kundrat wcale nie zasiedli do stołu, tylko służyli wszystkim, pilnując zarazem, ażeby służba szła gładko i sporo. Młodzi kawalerowie także się kręcili koło stołów, rozbierając indyki i kapłony, usługując starszym i prawiąc grzeczności pannom swojego serca, a wyręczając je w służbie około ich matek.

Jedzono nie żartem, a pito, co szyć strzymała: zaś po każdym daniu rybałci uderzali w instrumenty muzyczne i grali jakąś pieśń wesołą ku rozradowaniu serc biesiadników. Po każdej pieśni puszczano w kolej kielichy i pito przedzrowia starszości, wojewody i arcybiskupa, kasztelana i obydwóch władków. Tak to się powtarzało przez pierwszą połowę wieczery, ale w drugiej połowie sam wojewoda zaintonował starą pieśń rycerską i kazał do niej brząkać rybałtom. Chór ten nie bardzo był harmonijny, ale bardzo wesoły. Po pieśni znowu jedzono i pito. Potem śpiewano znów pieśni inne, polskie i ruskie, coraz weselsze, aż wreszcie ten i ów zaśpiewał jakąś piosneczkę rubaszną i tłustą, której dziś by nie można powtórzyć, ale której podówczas zawsze wtórował śmiech homeryczny. Śmieli się senatorowie, śmiały się stare matrony, śmiały się panny, że aż okna brzęczały. Tylko arcybiskup się raz i drugi pokręcił na stołku, aż wreszcie wstał i dał znak, że godzi się koniec położyć wieczery.

Wszyscy więc wstali i przeszli do drugich komnat, lecz przeto się jeszcze nie skończyła zabawa. Senatorowie duchowni i świeccy poszli do ostatniej komnaty, zabrawszy ze sobą co poważniejsze matrony, a tam zastali stoły zastawione spleśniałymi flaszami, w których się znajdowały najwyborniejsze małmazje i stare wina cypryjskie, hiszpańskie i włoskie. Towarzyszył im sam stary Kijas, a nalewając kielichy, tłumaczył im nazwę i pochodzenie każdego likworu, skąd się pokazało, że niektóre z nich miały po lat kilkadziesiąt, a innych nie można było dostać za żadną cenę. Mieli je chyba tylko Fuggerowie w Sztutgardzie albo inne, równie po książęcemu zamożne i zaopatrzone domy kupieckie w Gdańsku, w Genui albo w Wenecji. Po zamkach rycerskich bardzo rzadko tak stare i takie drogie znajdowały się wina, bo rycerze ówczesni mieli takie niepowściągliwe pragnienie, że żadnemu trunkowi nie dali się zestarzeć; tylko roztropni a zarazem umiarkowani w swoich pragnieniach kupcy takie skarby miewali. Kijas, nalawszy taką odwieczną małmazją kilka kielichów, podał jeden z nich wojewodzie i rzekł:

– Racz wasza miłość skosztować. Nie lubię się chwalić, ale w tym razie mogę ichmościów zapewnić, że takiej drugiej małmazji w całej Polsce nie znajdzie.

Zaś drugi kielich podał arcybiskupowi. Obydwa skosztowali i spojrzeli prawie ze zdziwieniem na starego Kijasa. Wojewoda pierwszy zawołał:

– Panie bracie! ledwie skosztowałem, a już mi się zdaje, że wszystkich aniołów na niebie obaczyłem.

A Kijas zatarł ręce i odpowiedział:

– Po drugim kielichu wasza miłość samego Pana Boga obaczysz.

Arcybiskup zaś, który miał się już żegnać i wychodzić, ażeby nie patrzeć na to, co się dalej dzieć będzie, skosztowawszy raz jeszcze, siadł poważnie u stołu, trzymając swój kielich w ręku i patrząc ciekawymi oczyma na starego Kijasa. Jego twarz przybrała wtedy wyraz bardzo wymowny, zdało się, jakoby mówił do siebie: – Znam tego kołtuna od lat niepamiętnych, ale nie wiedział, że ma takie nektary w swojej piwnicy.

Od nich przeszedł Kijas do matron, które w innym zebrały się kącie, i ponapełniał ich kielichy słodkim winem cypryjskim. Bardzo niebezpieczne to wino, bo się pić daje, ale rozpala krew, a potem się wspina do głowy. Nie wiedzieć dlaczego Kijas takim zdradliwym trunkiem poczęstował takie poważne kobiety. Ej, czy tylko figlarny czasami starzec nie chciał jakiej sztuczki wypłatać ich mężom. Ale być może, że zapragnął tylko, ażeby mu jego wino chwailono. Jakoż istotnie przyjęty jest przez wszystkie te damy z oklaskiem, które też zaraz około stołu zasiadły, popijając po kropelce, lecz często i zachęcając jedna drugą dopóty, aż póki się wszystkie nie rozochociły.

Po chwili około senatorskiego stołu zaczęło się robić coraz gwarniej i głośniej. Wojewoda rozprawiał o królu, wychwalając jego rycerskie zalety i przepowiadając, że za maluczko cały świat swymi czynami zadziwi i wszystkie kraje swoją sławą napełni. Chorowity kasztelan skarżył się na upadek powagi szlacheckiej na Rusi, na zuchwalstwo kmieci i mieszczan i przyszłość w czarnych malował kolorach. Łopatka przyznawał wprawdzie, że nie wszystko idzie takim porządkiem, jak trzeba, że w uzbrojeniu obydwóch zamków są szczyrby, które by trzeba jak najprędzej połatać, że drobna szlachta upada, ale jak w Krakowie zatrabia, to jeszcze Ruś świata pokaże, co warta jest w polu – arcybiskup zaś widział wszystko złe w obojętności dla wiary, w ubóstwie księży, w niedostatku kościołów i pragnął, ażeby młody król, nim wszystkie kraje swoją sławą napełni, poszedł raczej w ślad swoich przodków, w ślad Kazimierza Wielkiego, który Polskę zmurował, w ślad Władysława Jagiełły, który dbał tak gorliwie o wiarę i tak szczodroliwie wyposażał kościoły. Bardzo to tedy poważna była gawęda, ale w miarę wychyłanych kielichów coraz głośniejsza i coraz gwarliwsza, że wreszcie kilku mówiło razem i jeden drugiego nie mógł dosłyszeć.

Małmazja rozwiązała języki mężom, ale wino cypryjskie rozweseliło serca jejmościom. Tam było gwarniej, tu trochę ciszej, ale daleko serdeczniej. Poważnym matronom zrobiło się bardzo gorąco, zaczęły więc najprzód zrzucić ze siebie sobole i kuny, a potem ta i owa wzięła swoją sąsiadkę pod pachy i zaczęła z nią tańczyk wywodzić. Spostrzegli to mężczyźni, nuż do nich i dalejże w płasy. Wojewoda pierwszy kazał zawołać rybałtów i puścił się owego powolnego oberka, który Niemcy tutaj przynieśli, a Rusini przyjęli.

Arcybiskup wstał i zaczął się rozpatrywać z właściwą swojemu wysokiemu urzędowi powagą, kędy cieśla drzwi zrobił. Uważny na wszystko Kijas przybiegł mu na pomoc i podawszy mu ramię, wyprowadził go wśród rozstępujących się tłumów przez sień i schody, aż do jego karety. Dziękując mu za tę uwagę i namyśliwszy się dobrze nad tym, co mu ma powiedzieć, rzekł arcybiskup do niego:

– Dobre masz wino, panie Epaminondas, ale zdradliwe. Uważajże, aby zgorszenia nie było, bo jutro mi spowiedników nie starczy.

– *Illustrissime*⁸⁹ – odpowiedział mu Kijas – gospodarz dba o to, ażeby się goście zabawili u niego, a miarę musi zostawić ich własnemu sumieniu. Ale u mnie mój syn ma oko na mężczyzn, a pani Formoza swoją własną przyzwoitością daje przykład kobietom.

Tymczasem, jak tylko arcybiskup odjechał, w drugiej największej komnacie całkiem inaczej się roz hulano. Tańczono podówczas jakiegoś menueta, taniec poważny i bogaty w roz-

⁸⁹ *Illustrissime* (łac.) – najdostojniejszy, przewielebny

maite figury, do którego rycerze w pełnej zbroi stawali, a damy w ciężkich robronach, w których ledwie mogły się ruszać. Tym tańcem dowodził Kergolaj, idąc w pierwszą parę z Formozą i komenderując innymi. Grali mu rybałci na cymbałach, harfach i trąbkach i wszystko odbywało się przyzwoicie. Ale kiedy lepiej podpito, taniec ten nie wystarczał ochocie, zaczęto więc skakać, każdy według swego konceptu, a nawet według temperamentu, bo wyprawiano już zbytki z kobietami. Do tego jeszcze ten hukał, a drugi śpiewał, kobiety broniły się z śmiechem i krzykiem natarczywym mężczyznom – a młodzi tworzyli osobne kółka po kątach, biorąc się pod ramiona i otaczając panienki, a zmuszając je do piasów według swojej woli. Cała komnata napelniła się wtedy krzykiem i piskiem, i tak chaotycznym hałasem, że już i muzyki nie można było dosłyszeć. Tigranes, który miewał napady swawolnego panicza, co gotów szyby tłuc, ażeby tylko zabawić siebie i drugich, zamiast po myśli swojego ojca mieć oko na mężczyzn, wpadał jak raca pomiędzy skaczących, śpiewał jakąś piosenkę ormiańską, której pierwszą zwrotkę ciągle powtarzał, jednego po drugim obydwoma rękami uderzał w piersi, innego za pas pociągnął, aby go przewrócić, a nawet i kobietom różne psoty wyprawiał. Na próżno mrugała na niego, a czasem i ręką kiwała Formoza, młodzieniec tak się rozszalał jak żrebiec, co się wyrwał ze stajni w wirydarz⁹⁰ i bryka, deptąc swoimi kopytami piwonie i tulipany, fiołki i róże.

Ale był tam ktoś szaleńszy od niego – a to był Olizar. Szczery ten Rusin brał wszystko na serio, co robił, czy w kości grał, czy dziewczęta uwodził, czy pił, czy tańcował. Jutro już o tym zapomniał, ale czym właśnie się zajął, to wykonywał gruntownie i z najwyższą energią. Jemu jeszcze to wszystko było za mało, taniec zanadto powolny, a muzyka, jak gdyby kto grał na drumli. Skoczył więc do drzwi i trębaczy zawołał. Trębacze z żołnierzami i dworakami pili w dziedzińcu, zaraz więc przyszli i według komendy Olizara uderzyli w trąby, tarabany i kotły. Dopieroż wtedy zaczął się modą ówczesną taniec prawdziwie szalony: już nie chodziło o to, kto kogo przesadzi w skokach, ale kto kogo przewróci. Wśród piekielnego hałasu i strzelających wybuchów śmiechu, wśród wrzasku trąb i grzmotu bębnow i kotłów, przewracano mężczyzn i przewracano kobiety. A wszystko to wirowało pędem szalonym wokoło komnaty, jak gdyby już świat miał się skończyć, jak gdyby już ziemia zapaść się miała...

Kergolaj zrazu puścił się także w ten wir szalony. Porwał Pachnę ze sobą, objął jej kibić i pędził naprzód razem z innymi: ale mu ją odbił Olizar. Kergolaj wyskoczył z tłumu i stanął niedaleko od ściany pomiędzy oknami, ocierając pot z czoła. Olizara znowu ktoś odbił, bo bardzo się rwano o Pachnę, chcąc ją także przewrócić: ale wtedy Kundratowi także się zachciało tańcować. Namyslał się długo, ale wreszcie zebrał się na odwagę i rzucił się na przebój ku Pachnie. Już dobił się do niej, już prawie ramię wyciągnął, aby objąć jej kibić, ale wtem Olizar, oburzony zapewne tym zuchwalstwem kupczyka, podbił mu nogi. Przestraszony tym Kundrat, myśląc zapewne, że posadzka pod nim się zawaliła, a on leci gdzieś w przepaść bezdenną, chwycił się obydwoma rękami ramion Pachny, ręce mu się ześliznęły po nagich ramionach, ale się chwycił jej sukni: tymczasem suknia pod tym gwałtownym naciskiem jego pazurów puściła i to niewiele, co tam pod nią było, także się rozdarło. Olizar, chcąc bronić Pachnę, jeszcze raz podbił mu nogi – a wtedy Kundrat, lecąc na ziemię, obdarł Pachnę z jej wszystkiego odzienia jak węża ze skóry. Na swoje nieszczęście jędrna Rusinka stała twardo na nogach, zaczęła wyłuszczać się ze swoich białych muszlinów, jak Wenus Afrodytę z pian morskich, i przedstawiła się *urbi et orbi*⁹¹ tak prawie, jak ją matka na świat porodziła.

Przepyszne formy jej posagowej postaci i śnieżna białość jej ciała wszystkich olśniły: Kergolaj stanął czym prędzej na palcach, ażeby okiem znawcy objąć ten zajmujący obraz w całości – Olizar mlasnął ustami i już się zaczął rozpatrywać w jego szczegółach – Kundrat, zerwawszy się z ziemi, otworzył oczy i usta na ścieżaj, jak gdyby jakieś cudowne zjawisko obaczył – nawet muzycanci grać na chwilę przestali, trębacz z trąbą od ust odjętą, bębenista z

⁹⁰ wirydarz (łac.) – ogród

⁹¹ *urbi et orbi* (łac.) – miastu i światu

pałką podniesioną do góry, a wszyscy z wytrzeszczonymi oczyma, jak gdyby ich kto w drewniane posągi zamienił.

Jednak to widowisko trwało tylko przez mgnienie oka i jak błyskawica zniknęło. Pachna w pierwszej chwili tylko instynktowo ręce wyciągnęła przed siebie, jak gdyby chciała się bronić, aby jej nikt nie dotknął: ale przytomniejsze od niej kobiety zaraz ją otoczyły i prawie na rękach wyniosły z komnaty.

W tej chwili znowu odezwały się trąby – a że największa część gości nawet wcale nie wiedziała, że się coś stało, więc tańczono dalej z takim samym hukiem i trzaskiem, jak dotąd.

Tylko Kergolaj stał wciąż na swoim miejscu, pokręcał węża i głęboko był zamyślony. Miłość, chociaż w swojej głównej istocie jest zawsze ta sama, jednak rozmaitymi furtkami się wkrada w serce człowieka: Kergolaj ideałów nigdy nie brał na serio, natomiast zaś umiał zawsze należycie ocenić rzecz taką, która zmysłom podpada i przedstawia wartość realną. Okrągłe formy i świetne blaski, które dopiero co widział, silne na nim sprawiły wrażenie – i zapewne nad tym się tak głęboko zamyślił.

Kundrat także oszołomiony tym, co nabroił, również przybiegł w tę stronę i stanął blisko kotary u okna, rzucając niepewnymi oczyma wokoło siebie i widocznie nie wiedząc, czy może zostać, czy ma się skryć za kotarę, czy może najlepiej by drapnąć z komnaty.

Na jego nieszczęście Frąc, Niemiec obyczajów surowych, stanął tam także, spojrzął nań dziwnie gniewnymi oczyma i rzekł:

– Chociaż jesteś mój *landsmann*⁹², powinienem ci dać po czuprynie, żeś takiej zacnej damie wstydu narobił!

Na te słowa pod Kundratem się ziemia zatrzęsła: Nuż palnie! a ten *landsmann* ma łapę jak niedźwiedź, człek ani ziewnie. Frąc nawet już podniósł rękę na niego.

Ale znowu na jego szczęście przybiegł Olizar w tę stronę – a że Frąca nie cierpiał, rzekł zaraz do niego:

– Daj mu pokój. Raczej dałbyś mu buzi, że ci dał widzieć co takiego, czego, jak twego nosa, nie obaczysz nigdy w życiu.

A Niemiec odpowiedział mu z flegmą:

– W Boskich to ręku. W tych rzeczach nie zuchwały, ale cierpliwy odnosi [zwycięstwo].

Tak Olizar nie chcący obronił Kundrata, zaczęł się zwrócić do Kergolaja i rzekł wesoło:

– Cóż panie Francuz? I na Rusi jest także co widzieć. Kupisz, nie kupisz, ale jeżeli kupisz, to przynajmniej się nie poskarżysz, że ci kota w worku sprzedano.

Kergolaj chciał mu coś odpowiedzieć, ale wtem Pachna ku niemu nadbiegła. Ku zadziwieniu wszystkich jej przyjaciółki ją w oka mgnieniu na powrót ubrały, i to tak prędko, że mogłaby była nawet tym zaprzeczyć, którzy wszystko widzieli. Tak stanęła przed Kergolajem i rzekła:

– Prędkom się zwinęła. Nieprawda? nic nie widziano.

Przebiegły Kergolaj spojrzął na nią z uśmiechem i rzekł po francusku:

– *Rassurez vous damoiselle, on l'a vu*⁹³.

Pachna po francusku nie rozumiała, ale instynktem jego odpowiedź odgadła, uderzyła go więc wachlarzem po ramieniu i zawołała: – Nieprawda! – i czym prędzej zniknęła w tłumie. Ale już więcej nie tańczyła, tylko przeszła do drugiej komnaty.

A wtedy już tłum zaczął się cokolwiek przejmować.

Olizar stał jeszcze przez chwilę przy Kergolaju i bardzo żywo mu coś opowiadał, zapewne jakieś szczegóły o Pachnie, o których Francuz nie wiedział. Jednak spostrzegł niebawem, że Frąc stoi prawie tuż przy nich i kręci się w miejscu, jak gdyby go podsłuchiwał. To go zniecierpliviło, ale niesłusznie: bo Frąc tylko nie mógł się zdecydować, czy ma już wyjść, czy jeszcze zostać, i spoglądał na wielki ścienny zegar, który wisiał pomiędzy oknami, zegar najnowszej mody, który był przejściem od całego zegara do półzegara, a którego tarcza pokazy-

⁹² *Landsmann* (niem.) – rodak

⁹³ *Rassurez vous...* (fr.) – Niech się pani uspokoi, widziano ją.

wała dwanaście godzin dziennych i dwanaście nocnych. Kto się na takich zegarach nie znał, ten musiał się dobrze w skazówkach rozpatrzeć, ażeby wyczytać godzinę; Frąc sobie to kalkulował z gruntownością niemiecką, i dlatego się tak długo kręcił w tym miejscu. Spostrzegłszy to Olizar, trącił łokciem Kergolaja i rzekł:

– Patrzaj no na tego niemieckiego bałwana, ani do tańca, ani do różańca, nawet i godziny wyczytać nie umie.

Tymczasem Frąc, wyrozumiawszy na pewno, że wskazówka stoi na dziesiątej godzinie nocnej, uklonił się obydwom rycerzom i chciał już wychodzić. Ale pustego Olizara żart załaskotał, zawołał tedy na Niemca:

– A już to spać idziesz z kurami?

A na to Frąc:

– Ja idę z kurami spać, bo też z kurami wstaję.

– Kiedyż idziesz spać, a kiedy wstajesz?

– Idę spać o dziesiątej, a wstaję o piątej.

– A to śpisz jak świszcz, po piętnaście godzin na dobę.

– A jak to piętnaście? – zapytał Niemiec, zastanawiając się nad tym – ja tylko siedm rachuję.

– To chyba po niemiecku rachujesz, bo u nas dziesięć a pięć, to piętnaście.

Więc Frąc się mocno nad tym zamyślił... a kiedy Kergolaj i Olizar patrzyli ciekawymi oczyma na niego, on rzekł:

– To prawda. Nie wiedziałem, że sypiam tak długo. Pójdę więc spać dopiero o jedenastej.

– A to jeszcze gorzej – zawołał Olizar – bo jedenaście a pięć, to szesnaście.

Tu Frącek całe już zgłupiał. Jak to? im później idzie spać, tym dłużej śpi, chociaż wstaje o tej samej godzinie? A przecie przeciwko Olizara addycji⁹⁴ nic nie można powiedzieć.

W tej chwili Olizar pozyskał sympatją Kergolaja, który go też wziął zaraz pod ramię i poprowadził do drugiej komnaty, mówiąc:

– Teraz już wiem, dlaczego Frąc jeszcze nie został rycerzem, chociaż jest niemieckim szlachcicem.

W wielkiej komnacie jeszcze cokolwiek brykano, ale już trochę spokojniej, za to w tej, gdzie senatorowie bawili się z matronami, bardzo było wesoło. Tam dygnitarze otoczyli Pachnę, która się z wielkiej komnaty między nich schroniła, i dworowali sobie z niej, że takie wspaniałe widowiska wydaje, a nikogo na nie nie zaprasza. Pachna nie mogąc się żartem obronić, uciekła między matrony, gdzie Formoza ją wzięła pod swoją opiekę.

Olizar siadł między władyką, Łopatką a wojewodą i zaczął pić, drwiąc sobie ze wszystkich Niemców, jak to jest Rusinów zwyczajem, bo Rusin nie potrafiłby żyć, gdyby nie mógł sobie drwić z innych, co mu się też zawsze przewybornie udaje. Kergolaj zaś wymknął się z tego grona i przysiadł się do Pachny, gdzie Formoza z dobrego serca, a może trochę i z interesu, ażeby go za owe naścielenie pudełek trochę ugłaskać, ścieliła mu drogę kwiatami do tej pięknej, wesołej wdowy, której czas było za męża. Kergolaj mógł z tego korzystać, bo był trzeźwym zupełnie: doświadczony kawaler, starający się o względy kobiety, o które się także drudzy starają, zachęca drugich do picia, ale sam nigdy nie pije. Czy się starał o względy Pachny po myśli Formozy, tego się trudno było domyśleć, ale że się o nie starał z usilnością rycerza, gotowego zawsze poświęcić się dla szczęścia uwielbianej przez siebie kobiety, to pewna, bo mówił jej takie rzeczy do ucha, że Pachna raz rumieniła się jak piwonია, spuszczała oczy ku ziemi i zamykała oddech w swej piersi, to znowu głośno się śmiała, raz mówiła: tak, to znowu: nie, aż kiedy Kergolaj jej powiedział, że już jutro do Ziemi Świętej wyjeżdża, dziwnie tęsknymi oczyma spojrziała na niego, umilkła i bardzo się nad tym zamyśliła. I bardzo słusznie: bo puścić tak pięknego rycerza w podróż do Ziemi Świętej, gdzie się będzie musiał bić z wielkoludami, ze skrzydlatymi smokami i ze złymi duchami i może już nigdy nie wróci... zawsze to rzecz godna głębszego zastanowienia.

⁹⁴ addycja (łac.) – dodawanie

Kundrat z wielkiej komnaty zaglądał z daleka, co się tu dzieje, rzucając skrycie pożądanym okiem na Pachnę i może spodziewając się, że ona jeszcze i tutaj jakie ciekawe widowisko wystawi, ale zbliżyć się nie śmiał, bo chociażby był Kergolaja w łyżce wody utopił, przecie wielki respekt miał przed nim, mówiąc cicho do siebie: – Tych rycerzy, oczywiście, kiedyś diabli wezmą, daj Boże jak najprędzej, ale dopóki są, powiada Wilczek, że trzeba się z nimi obchodzić ostrożnie.

Olizar, wlawszy w biskupów i senatorów jeszcze po kilka kielichów małmazji, do reszty ich dobił. Ten i ów jeszcze huknął od czasu do czasu albo się roześmiał, sam nie wiedząc dlaczego, ale niebawem kucznał i usnął, a drugi się i za drzwi wytoczył. Pacholików dygnitarzy i słudzy Kijasa mieli baczość na wszystkich i wyprowadzali ich zreźnie ku schodom, będąc do takiej służby przyzwyczajeni. Łopatka i wojewoda wytrwali najdłużej, lecz w końcu i wojewoda dał ramię swojemu dworzaninowi i wyszedł. Łopatka jeszcze się trzymał, rozdziawił gębę jak wieloryb, podniósł rękę do góry, chcąc Olizarowi coś wytłumaczyć, ale już nie mógł: chwycił się stołu, ale stół mu się wypsnał, stoczył się więc pomału na ziemię i wciągnął się na kobiercu, będąc przekonany, że już leży w swym łóżku.

Olizar sam został na placu. Rozejrzał się koło siebie, a nie widząc nikogo, machnął ręką z pogardą, po czym trzymając się stołu, odwrócił się, chcąc dojrzeć Pachnę albo choć Kergolaja, co by mu teraz było na jedno, bo kochał oboje. Ale patrzył przed siebie szklanymi oczyma i nic nie mógł obaczyć. W tym drugim kącie już ani Pachny, ani Kergolaja nie było...

I nikogo już tam nie było: tylko dwie matrony, przykrywszy się swymi szubkami, spały istotnie jak świszczę w dwóch kątach kanapy.

Olizar stał jeszcze przez chwilę przy stole, ale nareszcie i jemu ciemno zrobiło się w oczach i zachwiał się – a wtedy ktoś wziął go pod ramię i oddał go sługom, ażeby go wyprowadzili w dziedziniec.

Był to sam Kijas, który w swojej pieczołowitości o swoich gości nie ustał, aż póki wszyscy nie wyszli. A potem, kiedy już bramę kamienicy zamknięto, wyszedł na krużganek zewnętrzny i patrzył przez chwilę na to, co się działo na rynku.

Na rynku także już cisza zaległa i tylko koło Bramy Krakowskiej słychać było szum, a czasem i głosy nawołujących się ludzi. Tam na czele swoich halabardników stał sam *consul nocturnus* i bramy pilnował. Nie powinien on być jej otwierać w nocy, ale tego dnia musiał zrobić wyjątek, bo trudnoż było tak znamienitych rycerzy, jak Kergolaj i Olizar, nie wypuścić do ich gospod za miastem. Jakoż Olizar przeszedł, prowadzony przez Tymka Biłowusa pod ramię, który z dwoma Kozakami czekał na niego przy bramie. Ale Kergolaja nie było: już i północ minęła, a *consul* czekał na próżno. Zamknął więc bramę, mówiąc do siebie: że rycerz francuski, jako nie znający ulic, oczywiście gdzieś zawieruszył się w mieście.

Z północy już Kijas ułożył się do snu: tylko Formoza jeszcze czuwała.

Kiedy już ostatnie matrony wyprowadzono, ona poszła obaczyć, co się dzieje z jej mężem. Tigranes, który trunków nie znosił, a chciał pić równo z innymi, rozchorował się jeszcze w czas przed północą i kazał się niespostrzeżenie zaprowadzić do siebie. Formoza stanęła w progu jego pokoju, ale znalazła go śpiącego snem dziecka, zmęczonego swawolą. Weszła więc do swojej sypialni: ale tam, zamiast iść do snu, rzuciła się w głębokie krzesło, stojące przy łóżku. Dziwnie ciężko jej było na sercu, pierś jej się podnosiła boleśnie, czasem zdawało się jak gdyby jej brakowało oddechu. Po chwili zakryła twarz obydwiema rękami i rzekła łzami zalanym głosem do siebie: – Boże mój! czyż wiecznie tak będzie? czyż nigdy mnie nie wyswobodzisz z tych więzów? – Potem łzy jej się strumieniami puściły po świeżych policzkach i długo płakała. Nareszcie rozpięła gors, zaczerpnęła głęboko powietrza i uklękła przed obrazem Matki Najświętszej do serdecznej modlitwy. I może być, że tak się modliła, aż póki pierwsze brzaski letniego słońca nie uderzyły w jej okna...

Takie to były obyczaje w tych czasach i takie romanse po miastach: ponad ten poziom wystrzeliwały czasem uczucia i myśli wyższego rzędu, ale ich trzeba szukać gdzie indziej.

VI

ZAMEK NA SOBNIU

Szlacheckie rody Tarnowskich i Kmitów sięgają bardzo odległej starożytności. Odrzuciwszy nawet na stronę, co o nich piszą herbarze, chociaż i w tym jakieś ziarnko prawdy może się znajdować, a trzymając się tylko wiarogodnych kronik współczesnych, widzimy ślady ich bytu i pierwszorzędnego znaczenia już w wiekach piastowskich. Mieli oni swoje siedziby w Krakowskiem, czyli w Małopolsce ówczesnej, i stamtąd wraz z Odrowążami, Zawiszami, Jordanami, Ligezami, Gorajskimi, Lanckorońskimi, Tęczyńskimi, Barzymi, Gniewoszami i wielu innymi, przewodniczyli sprawom publicznym. W przeciwieństwie do bardzo licznej, lecz o wiele uboższej szlachty wielkopolskiej, która była przejęta duchem zachowawczości, застоju, a nawet dążności wstecznych, oni przedstawiali zasady postępu i liberalnego rozwoju w duchu europejskim.

Oni to już za Kazimierza Wielkiego zaczęli objawiać wolnomyślniejsze poglądy na ustrój wewnętrzny polskiego państwa, a mało co później stali się twórcami owego pamiętnego zjazdu koszyckiego, na którym zbudowano pierwsze podstawy obywatelskiej wolności i który był pierwszym zarysem późniejszych sejmów. Rozwijając następnie z energią każdemu postępowemu stronnictwu właściwą swoje konstytucyjne zasady, korzystając zanadto chciwie z uległości Władysława Jagiełły i jego następców popadłszy nareszcie w nie znające rozumnej miary wyzyskiwanie swojej potęgi, wytworzyli później owe bezgraniczną na wewnątrz, a wyłączną na zewnątrz wolność i równość szlachecką, która po kilku wiekach stała się grobem Rzeczypospolitej Polskiej. Ale pod koniec XV wieku jeszcze te rody, przewodniczące postępowemu ruchowi, odznaczają się niezliczonymi zaletami i kładą niepożyte zasługi około porzucenia, zjednoczenia i podniesienia ducha narodu. Mają one zarazem pewne przywary umysłu i temperamentu, z których się wyradzają rozliczne występki i zbrodnie, ale szerokie sumienie ówczesne nie było tak czułym na krew przelaną i gwałty publiczne, jak dzisiaj – a zresztą ich świetne i wzniosłe czyny, dokonywane dla dobra i sławy całego narodu, zaćmiewały zupełnie owe drobniejsze występki, zaburzające spokój publiczny tylko na chwilę albo czyniące krzywdę tylko sąsiadom.

Jakoż pomimo tych przemijających wykroczeń, w domach ich gromadziło się przede wszystkim światło europejskiego Zachodu, przez nich gładziły i polerowały się obyczaje, u nich pielęgnowano cały katechizm wszelkich cnót chrześcijańskich i u nich także wyrabiały się w sposób sobie właściwy owe wzniosłe przymioty polskiego rycerza, które później stały się równie wybitną, jak znaną całemu światu, cechą całego narodu.

W ich to umysłach i sercach nareszcie dojrzał do idealnej doskonałości ów patriotyzm prawdziwie polski, którego za Bolesława Chrobrego widzimy dopiero pierwsze duchowe tchnienie, jakoby wszechmocne „Stań się”, wyrzeczone przez Twórcę. Patriotyzm ten zgubił się w czasie podziałów, jasnym wprawdzie wybuchnął płomieniem za Łokietka, trwał jeszcze za Kazimierza Wielkiego, ale zaczął się paczyć za Ludwika Węgierskiego, a dwoić za Władysława Jagiełły, nie zjednoczył swoich rozszczępionych promieni ani za Kazimierza Jagiełłończyka, a tym mniej jeszcze za Jana Olbrachta, ale za Zygmunta Starego pogasił cienie,

zestrzelił wszystkie światła w jedno ognisko ażeby tak płonął nad całym narodem, jak słońce przez całe trzy wieki. Zasługa stworzenia tego patriotyzmu i ogrzania nim wszystkich części zjednoczonego państwowego utworu należy się tym właśnie rodom, które całą Rzeczpospolitą aż do ostatecznych jej kresów objęły i swoim duchem polskim natchnęły – a dzieło ich było zbudowane tak silnie, że wszelkie wewnętrzne rozterki i rozdwojenia, wszelkie, a takie liczne najazdy postronne, a nawet późniejsze ich własne, rozsadzające całość i jedność zamachy, nie zdołały go zniszczyć ani nawet osłabić.

Tarnowscy, piszący się jeszcze wówczas „de Tharnow”, ale w pospolitym języku nazywani już Tarnowskimi, posiadali w samej Małopolsce bardzo znaczne majątki, należały do nich: Tarnów, Wielowieś, Rzeszów, Jarosław i Przeworsk, lecz oprócz tego zalegli już bardzo szerokie płaty ziemi na Rusi, a wszystkie te majątki obejmowały niezmiernie liczne przyległości. Kmitowie wyszli z Wiśnicza, ale za Kazimierza Wielkiego, albo może już przedtem, zalegli bardzo znaczną część ziemi sanockiej, od Dubiecka i Rymanowa aż po same Bieszczady, i zbudowali tam sobie zamek na Sobniu. Obydwa te domy były wówczas tak rozrodzono, że ich członków wcale się nie można doliczyć: widzimy tylko z aktów grodzkich i ziemskich, że było ich daleko więcej, niżeli ich znajdujemy w herbarzach. Widzimy także z procesów zapisanych w tych aktach, że byli to ludzie fizycznie zdrowi i silni, niezwykłej energii i woli, wyniosłej a bujnej fantazji, gorących temperamentów i żelaznej wytrwałości w swoich dążeniach. Mieli oni już wtedy swoje rodzinne tradycje, które tak wszechmocnie nimi władowały, że nawet ci, których, bądź z natury, bądź skutkiem jakich przypadków w życiu, opanowała pewna ospałość, parli naprzód równym krokiem z innymi, tak jak skrzypiące koło u wozu toczy się tym samym pędem, jak inne, dopóki wóz jest w ruchu. Toteż szli oni w górę natenczas niepowstrzymanie i we wszystkich kierunkach, obsiadali najwyższe urzędy, pomnażali majątki, wzmacniali się wysokimi koligacjami – a w tym swoim wzroście, w tym ustawicznym rozwoju, w tym rozpieraniu się bez odetchnienia wyglądają tak prawie jak brzemienista kobieta, która lada dzień skłęśnie, wydawszy na świat plód dawno oczekiwany. Jakoż tak było istotnie z tymi obydwoma domami – a nawet wtedy było już po porodzie, albowiem już byli na świecie dwaj wielcy ich potomkowie: Piotr Kmita, późniejszy wojewoda krakowski i marszałek koronny, i Jan Magnus Tarnowski, hetman wielki koronny; pierwszy w złym, drugi wcale w wspaniałym kierunku i duchu, ale obydwaj najwybitniejsi ludzie swojego wieku.

Na górze sobieńskiej, sterczącej wysoko nad Sanem i nad Miastem Sanokiem, czerniły się od wieków ruiny jakiegoś starego zamczyska. Kmitowie, wybrawszy to miejsce na siedlisko dla siebie, do tych skalistych ruin przylepili swe gniazdo. Stąd była to cokolwiek nieregularna budowa, jednak zmurowana wedle wzorów zamków niemieckich. Otaczały ją najprzód grube mury obronne, do których prowadziły dwa mosty zwodzone, a w których wewnątrz znajdowały się stajnie, zbrojownie i mieszkania dla zamkowej załogi. Dalej rozlegały się zewsząd bardzo obszerne dziedzińce, a dopiero w ich środku stał zamek, znów otoczony fosami i murem obronnym z mostem zwodzonym. Kiedy by mury zewnętrzne zostały wzięte, zamek sam mógł jeszcze się bronić. Wszystko to było zmurowane z cegły czerwonej, mocno wypalanej, dachy zaś były z ołowiu. W samym zamku znajdowało się kilkadziesiąt komnat, w przyziemiu, na pierwszym i drugim piętrze, porozdzielanych od siebie mniejszymi dziedzińcami, a połączonych zewnętrznymi krużgankami. Nad zamkiem wznosiła się wieża, z której widać było Sanok, Załuż, Zahutyń i mnóstwo wsi dzisiejszych, które podówczas już prawie wszystkie istniały, ku południowi zaś niedawno co założone miasteczko Lesko z kościołem, San wijący się pod nim, dalej dział Suhowacki, wyniosłą górę Łopiennik i płaskie szczyty Bieszczadów. Był to widok otwierający przed okiem widnokrąg bardzo szeroki i przysparzający piersi człowieka równie szerokiego oddechu: toż nie dziw, że ci ludzie ówcześni orle miewali myśli, jak skoro w takich orlich gniazdach siedzieli.

Na tym zamku dziedziczył podówczas Stanisław Kmita, syn Dobiesława. Dobiesław miał czterech synów, o czym Paprocki „prze szerokość tego królestwa” nie wiedział, ale których

jako *fratres germani*⁹⁵ widzimy w akcie fundacji miasteczka Leska: Piotra, który siedł na Wiśniczu i w kilka lat potem zmarł bezdzietnie wojewodą krakowskim, Jana i Andrzeja, z których jeden się przezwał Smolickim, i Stanisława, który w tej chwili jest kasztelanem przemyskim, ale ma jeszcze zostać wojewodą bełskim, a wreszcie się przesiąść na województwo ruskie. Ci *fratres germani* mieli jeszcze przyrodniego brata, kawalera de Kergolaj, któremu z posagu matki dali Niewistkę. Stanisław miał wówczas lat przeszło pięćdziesiąt, nie bardzo wielki był wzrostem, ale bardzo pleczysty, czarny jak wszyscy Kmitowie, z orlim nosem, z dużymi czarnymi oczyma, z brodą jeszcze czarną, chociaż cokolwiek już przyprószoną, ale znacznie otyły i twarzy obrzęklej, co mu dawało pozór pewnej ociężałości.

Dawnymi czasy był to człek bardzo żywy i rzutki, energiczny i zapobiegliwy. Zmuszony oddać bratu Piotrowi Wiśnicz, z Dubiecka zaś i Rymanowa wyposażyć Jana i Andrzeja, uważając się przeto za bardzo ubogiego na samym Sobniu, chociaż należało do niego wsi kilkadziesiąt, brał pieniądze, skąd mógł, a wreszcie i kredyt napręzał do najwyższego stopnia, ażeby wioski skupywać. Toż widzimy go w aktach sanockich, przemyskich, przeworskich, bełskich, a nawet bieckich, ledwie nie na każdej karcie, jak dobra kupuje, mienia, zaokrągła, bierze w zastaw, długi zaciąga, wypuszcza w dzierżawę i znów wykupuje, jak gdyby go nie ugaszona paliła gorączka podbicia całej Polski i Rusi pod swe posiadanie. Tak się rzucał i zbierał przez całą swą młodość, co mu wszakże nie przeszkadzało służyć królowi w polu i w radzie, być hojnym dla sług i przyjaciół, a nawet huczne wyprawiać festyny na Sobniu.

Ale lat temu dziesięć, albo mało co mniej, zdarzyło mu się nieszczęście. Uniósłszy się gniewem przy oglądaniu folwarku zabił chłopca obuchem. Zabójstwo to tak skruszyło jego sumienie, iż postanowił odbyć piechotą pielgrzymkę do Rzymu. Lecz w drodze, pokłóciwszy się przy karczmie, zabił drugiego. A to go całkiem już z nóg obaliło. Już wtedy nie szedł wcale do Rzymu, bo już nie miał nadziei, ażeby mu ojciec święty dał rozgrzeszenie, tylko wrócił do domu i popadł w melancholię. Zdawało mu się zrazu, że jest przeklęty, że go już odtąd bić będą wszystkie nieszczęścia, że się jego majątki rozłożą, że mu się nawet dzieci chować nie będą. Zgoła całkiem upadł na duchu i był już bliskim najczarniejszej rozpacz. Ale na swoje szczęście miał żonę, kobietę daleko wyższego umysłu i potężniejszej woli od niego, i ta go podniosła.

Zona jego była z domu Tarnowska, Katarzyna jej było na imię, a urodziła się z Gorajskiej. Była to kobieta już wtedy przeszło czterdziestoletnia, wyniosła wzrostem, o krótkiej twarzy, włos miała ciemny, po którym tu i ówdzie białe przesuwały się nitki, co jej bardzo wiele dodawało powagi, lecz za to miała oczy brunatne, pełne słodyczy i łagodności a zarazem bardzo świetnego blasku. Ubierała się zawsze bardzo poważnie i skromnie, w długie suknie ciemnego koloru, w czepce, tylko przez starsze matrony noszone, i w pas skórzany z torebką, w której zawsze nosiła pieniądze. Była bardzo dobrego serca, na jej surowość nikt się nie mógł poskarżyć, nawet kiedy musiała strofować, to czyniła to zawsze z uśmiechem na ustach, zaś dla ubogich i nieszczęśliwych była prawdziwym opiekuńczym aniołem. Nie spotkała nigdy żebraka na drodze, ażeby mu ze swej torebki nie dała jałmużny, opiekowała się wszystkimi poddanymi jak matka, jeździła konno po folwarkach i nawiedzała ich chaty, a od jej postaci biła taka dobroć cudowna, że od jej widoku chorzy powracali do zdrowia. Cudów nie robiła, ani ich nawet robić usiłowała, a przecież działała cudownie. Na kościoły i cerkwie była hojną po pańsku; Bóg widział, że gdyby była mogła, to byłaby na nie oddała połowę majątku, ale kasa zamkowa miała ogromne wydatki, a nie zawsze stykały się końce; jednak pomimo to do domów Bożych szły niezliczone ofiary, tu ornat, tam kobierzec przed ołtarz, tu kielich z patyną, a tam sprowadzona z Krakowa za oszczędzone pieniądze monstrancja.

Przez cały wiek młody była ewangelicznie uległą mężowi, chociaż uległość ta nieraz ciężkie jej sercu nakładała ofiary, bo mąż nie zawsze prowadził życie pobożne, a skutkiem swego temperamentu czasami dzikie miewał fantazje. Chciwym był ziemi, urzędów i wszelkiego

⁹⁵ *fratres germani* (łac.) – bracia rodzeni

znaczenia, a nie zawsze umiał zachowywać tę godność, która wszelkiemu znaczeniu jest niezbędnie potrzebną. Nieraz i między fraucymerem wychodziły na jaw rozmaite jego figielki, które bardzo bolesne rany zadawały jej sercu, a z których przecież tylko samemu spowiadała się Bogu. Ale po zabiciu owych dwóch chłopów wszystko się zmieniło. Kasztelan całkiem opuścił ręce, a ster wszelkich spraw rodzinnych objęła kasztelanowa. I wtedy dopiero okazało się, czego dotąd się nikt nie domyślał, że ta dotychczas tylko dobra, cnotliwa, pobożna kobieta miała także rozum niezwykły, wielki ład w głowie a zarazem taką energią, na jaką jej mąż nigdy nie umiał się zdobyć. Toż odtąd wszystkie sprawy domowe i rodzinne weszły w żelazne karby wzorowego porządku: nie kupowano już dóbr za pożyczone pieniądze, owszem, pozwracano niektóre wioski, Bóg wie jakim prawem nabyte, pozałatwiano zgodnie procesy, płacąc chętnie ówczesne „myrne” za zgodę, powyznaczano nawet fundusze i opiekunów dla jakichś synków, którzy wprawdzie nosili inne szlacheckie nazwiska, ale których matki upominały się o *emolumenta*⁹⁶ u Kmity. Jakiemuś nie znanemu bliżej Duci Jacztono dano nawet miasteczko Lesko, zapewne ażeby się od jego pretensji wykupić. W tych trudnych sprawach zastępował kasztelanową najczęściej *generosus*⁹⁷ Petrus Derszniak de *Rokythnycza*, poważny szlachcic ziemi przemyskiej a Kmitowski przyjaciel; ale najwięcej swoim przebiegłym rozumem i sprytem pomocnym był w załatwianiu takich wikłanin imć pan Smolicki.

Smolicki był to szlachcic, noszący to samo nazwisko, jakie przyjął jeden z braci Kmitowskich, z którymi go też wiązała tożsamość rodu, a posiadający maleńką wioseczkę w górach. Mimo że był sam posesjonatem, osiadł z lat młodych na zamku sobieńskim i tam się zestarzał. Zrazu był tylko dworskim jak inni, na wojny chodzić nie lubił, ale na polowaniach wielką odgrywał rolę, bo wiktuały i trunki woził za myśliwymi i wyborne bigosy gotował. Później na rezydenta postąpił i objął nadzór nad młodymi paziemi, którym zarazem przewodniczył i służył. Aż wreszcie dzięki swojemu dowcipowi, którym umiał zabawić, rozśmieszyć, odciąć się, stanąć w obronie honoru domu, a nade wszystko w każdym trudnym terminie dać dobrą radę, zajął miejsce nadwornego trefnisia, którego nie trzymano na Sobniu, trefnisia, mentora i totumfackiego zarazem, tak że dla wszystkich stał się niezbędnym.

Był to człowiek o parę lat starszy od kasztelana, bardzo małego wzrostu, szeroki jak brama zajezdna, a gruby jak beczka, siwe włosy przystrzygał, a wąs nosił zadarty, kaftan krótki, a buty rycerskie, twarz miał zawsze śmiejącą, ale sam nigdy się nie śmiał, owszem, udawał, że strasznie się sroży, chociaż inni się śmieli. Kmita bardzo go lubił i wszystko znosił od niego, pozwalał mu nawet mówić sobie „ty” i jego bury przyjmował, żołnierze zamkowi, dworzanie i paziowie nosili go na rękach, cały fraucymer za nim przepadał, a nawet sama kasztelanowa miała go w łaskach, bo kiedy już ona sama nie mogła przekonać męża, to on go przekonał – a kiedy nad czymś już wszyscy zgłupieli i cale nie widzieli sposobu, to zawsze jakiś sposób znalazł Smolicki.

Obok uporządkowania spraw majątkowych, kasztelanowa zajęła się równie troskliwie uspokojeniem umysłu męża, który co nocy we śnie zabitych chłopów widywał, czasami nawet przysięgał na to, że ich widział na jawie, sam powiadał o sobie, że jest złym duchem rodziny i aby ją uwolnić od siebie, nosił się z myślą wstąpienia do klasztoru. Przede wszystkim zatem, bez czego się wówczas obejść nie mogło, ufundowano w kilku kościołach msze wieczne za dusze zabitych chłopów i za grzechy zabójcy. Potem kasztelan ofiarował się swemu patronowi św. Stanisławowi i zbudował mu osobną kaplicę na zamku, w której mu się modlił codziennie, aby się za nim wstawił do Pana Boga. A wreszcie, nie mogąc sam odważyć się na pielgrzymkę, bo był przekonany, że kędyś w drodze jego samego zabiją zbójcy, najmował sobie pątników, którzy za niego chodzili do Ziemi Świętej i tam wota składali w jego imieniu.

⁹⁶ *emolumentum* (łac.) – dochód uboczny, zysk; tu: odszkodowanie

⁹⁷ *generosus* (łac.) – dobrze urodzony

Takich patników wysyłał wielu, ale najpierwsze miejsce pomiędzy nimi zajmował niejednokrotnie wspomniany w aktach ówczesnych „Xandz byali”. Był to po prostu ksiądz nazwiskiem Biały, który już dwakroć chodził na jego intencją do Jeruzalem, zawsze bawił rok cały, zawsze przez kilka miesięcy potem opowiadał precudowne historie ze swojej podróży i zawsze pocieszające przynosił nowiny.

Prócz tego kasztelanowa, aby go uspokoić o los jego synów, wyprawiła młodszego Piotra, na dwór cesarza Maksymiliana, starszego zaś, Stanisława, na dwór księcia Sabaudii, gdzie mu jego wuj Kergolaj szerokie wrota otworzył – i od obydwóch synów przychodziły co kilka miesięcy wiadomości, przynoszące wielkie zadowolenie rodzicom. Kiedy zaś na początku tych czasów pokutnych jeszcze się jeden synek urodził, to za mądrą radą księdza Chryzostoma ubrano go w habit franciszkański, tak go tymczasem chowano na zamku, lecz ślubowano go do stanu duchownego, ażeby kiedyś, jak zostanie biskupem, swoimi modłami przeważył szalę win swego ojca. Tak wreszcie pomału Kmita się uspokoił: zaczął już nawet pokazywać się na dworze królewskim i na zjazdach obywatelskich, gdzie, jak mówiono, dosyć wesoło się bawił; jednakże zawsze jeszcze widywał zabitych chłopów, a wieczorami w melancholią zapadał.

Dopiero teraz ksiądz Biały, wróciwszy zimą ze swojej drugiej pielgrzymki, przyniósł mu zupełnie uspokojenie. Ksiądz Biały bowiem, jak to sam opowiadał bardzo wymownie, spotkał w Jeruzalem samego św. Stanisława i miał z nim bardzo ważną rozmowę. Olśniony jego blaskiem niebieskim, którego oczy ludzkie nie znoszą, padł przed nim na ziemię – a św. Stanisław, poznawszy go, najprzód srodze go zgromił mówiąc: – A gdzie ty tak długo się bawił po drodze? czy myślisz, że ja nie wiem, żeś ty na Rzym szedł do Ziemi Świętej i w Rzymie cały rok przesiedziałeś, bo chciałeś sobie wyskrobać kanonia, którą ci też obiecywano? A tymczasem ten pocziwy Kmita cierpi męki piekielne za życia i umiera z tęsknoty za tobą? he? – Zaczem św. Stanisław się udobruchał i powiedział te słowa: – Nie baw się tutaj, bo taki klecha, jak ty, niczego tu nie wymodli. Gdybyś był przynajmniej proboszczem, to może by cię choć jednym uchem słuchano. Ale jużem ja wziął w moje ręce tę sprawę. Wracaj więc zaraz na Sobień, pokłoń się Kmicie ode mnie i powiedz mu, że już się Pan Bóg trochę nad nim zmiłował, a kiedy kogut przed północą zapieje mu w oczy, niechaj wie, że już ma absolucją. Mego czasu nie tyle chłopów nabito, a przecie nie posłano do piekła tych, co ich bili. A jak się już całkiem obaczy, to niech ci da probostwo na Lesku; chuda to fara, ale z głodu na niej nie zginiesz. – Tak mówił św. Stanisław – a trudno temu nie wierzyć, kiedy sam ksiądz Biały go widział i słyszał te słowa.

Więc tedy Kmita bardzo się tym uradował i mało że się nie rozpląkał. Przecież nareszcie znalazł skutecznego obrońcę w niebie i klątwę z niego już zdjęto, jak skoro sam św. Stanisław nazwał go pocziwym Kmitą i kazał mu się kłaniać od siebie. Trzeba było tylko jeszcze poczekać, aż kogut zapieje. Bardzo mu się to zdawało trudnym, bo tak rozumiał, że kogut przed północą nigdy nie pieje; ale w słowa powiedziane przez świętych wątpić nie wolno, więc wierzył i czekał.

Aż też jednego dnia wrócił późno w noc z polowania, nie tyle zmęczony, ile niezmiernie zgłodniały. Na zamku wszyscy już spali, ale Smolicki zbudził klucznicę i kazał jej, aby dała mu jeść nie czekając, cokolwiek ma pod ręką. Klucznica przyniosła kapłona i zastawiła go przed nim na stole. Kmita siadł, porwał nóż w rękę i zamierzył się na kapłona, ale jeszcze go nożem nie dotknął, kiedy pieczony kapłon zerwał się z misy, uderzył skrzydłami, dziób wyciągnął ku niemu i zapiał trzy razy...

Kmita się zerwał od stołu i jak światłością niebieską olśniony, podniósł obydwie ręce do góry; obaczywszy zaś Smolickiego, który stał z dala, zawołał ku niemu:

– Smolicki! słyszałeś? bądźże mi świadkiem, że już mam absolucją.

Ale Smolicki, człek sztuczny, rzekł jak by nic nigdy nie było:

– Dałbyś raczej miotelką klucznicy, że ci zastawiła koguta zamiast kapłona.

Kmita z nadmiaru radości miał noc niespokojną, zwłaszcza że we śnie przysli do niego obydwu zabici chłopi, upadli przed nim na kolana i z płaczem a jękiem błagali o przebaczenie, że mu tak wiele sprawili zmartwienia. Kmita im wspaniałomyślnie przebaczył: mając serce tak przepełnione radością, nie mógł im tej łaski odmówić – i odtąd wszystko było już dobrze.

Młodzież zamkowa, żołnierze, pacholikowie i pazie, jako to zwykle u nich puste bywają głowy, dworowali sobie z tego pieczonego kapłona, co się przedzierzga w koguta i pieje, i targali o to Smolickiego za poły; ale Smolicki minę okrutnie nasrożył, podniósł palec do góry i powiedział im: sza! a chłopcy to zrozumieli i odtąd milczeli. Kmita tedy był już całkiem uspokojony – ale mimo to i dalej tak samo spokojne prowadził życie, jak w czasie pokuty. Jadł i pił, kazał sobie grywać swoim lutnistom, bawił się ze swoim dworem, gości chętnie przyjmował, często polował, a czasem folwarki lustrował, ale poza granicę dóbr swoich rzadko wyjeżdżał: rząd w rodzinie i wszelkich sprawach domowych prowadziła kasztelanowa, on się przyzwyczaił do tego, a nawet był kontent, że nie ma nic do czynienia. Szerokie o tym chodzą wieści po świecie, jako w Polsce przed mężczyznami prym mają kobiety; ale my wiemy, że dzieje się to tylko w takich rodzinach, gdzie mąż nie ma głowy albo też woli po temu. Lepiej tak przecie, niżeli tak, jak się to dzieje w narodach innych, gdzie jeśli mąż podupadnie, ginie z nim razem cała rodzina.

Tego dnia po wieczerzy Kmita siedział w wielkiej komnacie za stołem, na którym stała ogromna lampa oliwna, i popijał wraz z swymi gośćmi z kubków złożonych stary miód lipcowy, który miał zwyczaj pić do poduszki. Miał na sobie krótki kożuszek barani, na jaki stać było i chłopa, jeno że srebrne guzy świeciły się przy nim, do tego pas prosty skórzany pod kożuchem, hajdawery z pakłaku i jałowicze buty rycerskie. Nie było dzisiaj nikogo z obcych, więc się nie wystroił, chociaż często i gościom się jawił w kożuchu, bo na stroje niewiele dawał i mawiał: Chociażbym był w chłopskiej siermiędze, tom zawsze Kmita.

Obok niego w drugim krześle szerokim siedział ksiądz Biały w długiej sukni pielgrzymskiej, obszytej muszlami i innymi zamorskimi świecidłami, a kiedy Kmita miał kucznię⁹⁸ przewieszoną na bakier na głowie, on był ubrany w kapelusz z okrągłym denkiem i szerokimi kresami. Był to człek pięćdziesięcioletni z długą już prawie białawą brodą, ze sterczącymi wąsami, z rumianą twarzą, na której się malowała pewna ciętość szlachecka, bo też i był szlachcicem i zwał się „de Wara”: dom to był znaczny i dość rozrodzony w tej ziemi, tylko jemu z niewiadomych powodów zamiast wiosek dziedzicznych dostał się kij pielgrzymi i duchowna pokora, której się wszakże poddał z potrzeby, chociaż się czasem z jego fantazją szlachecką kłóciła.

Za krzesłem Kmity stał jego paż służebny i ulubiony, nadzwyczaj wdzięcznej postaci młodzieniec. Wystrzelił w górę jak modrzew o wiosnie, chociaż był jeszcze wiotki, bo też nie miał więcej jak lat ośmnaście. Włosy miał jasne w długich spadające kędziorach, śliczne oczy niebieskie, duże, otwarte, ale jakoby jeszcze nie całkiem zbudzone, twarz białą jak mleko, świeżutkim okraszona rumieńcem, a na wąsach i brodzie dopiero jak gdyby wczoraj chuchnięty meszek, prawie jak na brzoskwini. Paziem był, ale ubrany był z pańska: miał na sobie kaftanik z granatowego atłasu i także pluderki, oboje z bladeżółtymi wypustkami, bladeżółte pończochy i szklące trzewiki z pozłacanymi sprzączkami, biały jak śnieg kołnierzyk około szyi, pas pozłocisty i bogato oprawny sztylet u boku.

Pańskie też było to dziecko: szedł bowiem ze znamienitej rodziny Pretficzów, herbu Wczele, która z Czech przysłała do Polski, a chociaż skromne miała ambicje, wkrótce wysokie posiadała urzędy, ale i pracą swoją szerokie posiadłości zdobyła. Ojciec jego był podkomorzym halickim, matka z domu Tworowskich, rodzice jego mieli dosyć rozległe ziemie, ale bardzo dużo dzieci, dlatego dali go najprzód do szkół do Pragi, potem do Krakowa, a wreszcie na dwór potężnych naówczas Kmitów, za których przemożnym wpływem mógłby sobie

⁹⁸ kuczma (węg.) – czapka futrzana

otworzyć drogę do jakiegoś znaczenia po świecie. I miał on w samej istocie wszystko po temu: albowiem oprócz rycerskiego rzemiosła, którego się już doskonale wyuczył, grał bardzo pięknie na lutni, a głos miał tak wdzięczny i tak ujmujący za serce, że kiedy czasem sam sobie śpiewał w swojej izdebce na górnym piętrze, to wszystkie panny stały przy oknach, a nawet sama kasztelanowa go nieraz słuchała, bo zawsze śpiewał najpiękniej, kiedy śpiewał sam sobie. Toż z tego powodu zwano go powszechnie zamkowym słowikiem. Ale prócz tego jeszcze był mistrzem innych sztuk wyzwolonych: pisał na pergaminie rozmaitymi inkaustami tak pięknie, jak gdyby się był uczył pisma u benedyktynów, wyrzynał z drzewa figurki świętych, że żaden snycerz lepszych by rzeźbić nie umiał, czasami nawet sam wiersze układał pięknym językiem polskim, których jednak nigdy nie można było dostać od niego, chyba że mu je wykradzono.

Tego zacnego pazika wszyscy kochali jak brata, u Kmity był okiem w głowie, a kasztelanowa miała troskliwą bacność na niego, aby go nie zepsuto, bo była zdania razem z wszystkimi, że będzie z niego kiedyś znakomity kawaler, wielka dla rodziców pociecha i świetna ozdoba dla tego królestwa. Jakby w przeczuciu, że ludzie kochać go będą, jego rodzice z Lubomira go przechrzcili na Lubka, toteż był Lubkiem dla wszystkich. Do niedawnego czasu był wesół jak ptaszek na drzewie, na zamkowych turniejach, na polowaniach i wieczorami w kordegardzie albo i na pokojach nieustające figle i psoty wyprawiał. Smolicki wtedy nieraz zazdrosnym okiem na niego spoglądał, jak gdyby się obawiał, ażeby chleba mu nie odebrał; ale od kilku miesięcy znacznie spoważniał, mówił czasem jak ksiądz i często się bardzo zamyslał. Kasztelanowa chwaliła go za tę zmianę temperamentu, inni się temu dziwili, ale Smolicki, który się nigdy niczemu nie dziwił, a wszystko umiał wytłumaczyć, powiedział: – Co się tu dziwić? to jest *pubertas*⁹⁹ Niechby się panny miały na ostrożności... – A to mówiąc, palec podnosił do góry, co zawsze czynił, kiedy chciał coś dać do zrozumienia.

Po drugiej stronie stołu siedziała kasztelanowa, a przy niej Jagienka – i obydwie były zajęte wyskubywaniem złotych nici z jakiejś starej materii, słuchając przy tym uważnie powieści pielgrzyma.

Jagienka była to bardzo piękna dziewczyna, ale takiej piękności, jaką nie co dzień widuje się w Polsce. Miała bowiem włos czarny jak heban i oczy czarne jak węgle, duże, błyszczące, a ozdobione tak długimi rzęsami, że cień rzucały na jej policzki. Twarz miała wdzięczną, ślicznie zarysowaną, a cerę porcelanową, tylko zdało się, jakby ktoś kiedyś dmuchnął na nią płomieniem i białosc jej z lekka osmalił. Gorąca z siebie krew Kmitów, podpalona południową krwią matki czy babki, zdawała się płynąć w jej żyłach. Była miernego wzrostu, ale smukła i wiotka, kiedy szła, zdało się, że wiatr nią kołysze, a jej maleńkie stopy nie dotykają się ziemi. Chociaż lubiła się bawić, jeździła konno na polowania z sokołem, strzelała z łuku, a w tańcu była niezmordowaną, a przecież nikt bliżej jej nie znał, bo była w sobie zamknięta i bardzo kapryśna: natrętnych zbywała czasem wyniosłą dumą, jak jaka królowa, a czasem śmiechem, nieraz zaś coś powiedziała, czego nikt nie mógł zrozumieć. Toż jeszcze ten się nie zdarzył, co by był mógł się z nią na rozum rozmówić. Ale dobra była dla wszystkich i bardzo nabożna; często samotnie i długo się modliła w kaplicy i wychodziła z zapłakanymi oczyma. Nieznośny czasem Smolicki i o niej mówił, że jest to *pubertas* – i bardzo być może, że zdanie to podzielała kasztelanowa, bo szły głuche wieści, że tego lata mają się odbywać turnieje i wielkie festyny, ażeby ściągnąć kawalerów na zamek.

Oparty o krzesło kasztelanowej stał ośmioletni jej synek ostatni, w franciszkański habit ubrany, i bawiąc się paciorkami, słuchał ciekawie, co starsi mówili.

Dalej siedziały jeszcze za stołem przedniejsze panny z fraucymeru i kilku znamienitszych żołnierzy, a za nimi stali paziowie, synowie zamożnych rodzin szlacheckich, którzy w rycerskim rzemiośle terminowali na zamku.

⁹⁹ *pubertas* (łac.) – męskość, dojrzałość płciowa

Smolicki chodził z kąta w kąt po miękkim kobiercu i czasem się głośno odezwał, a czasem coś mruzczał przed sobą.

Pielgrzymowi zaś całe się gęba nie zamykała. Co łyknie trochę, to jakąś nową opowie historią ze swoich podróży: o lasach złotych i srebrnych, przez które przechodził w drodze do Ziemi Świętej, o skrzydlatych rycerzach, których spotykał, o zbójcach murzyńskich, którzy go napadali, a których pobił różańcem, to wreszcie o podziemnych pałacach, napełnionych wszelkiego rodzaju bogactwy, w których Święci Pańscy jak w swych gospodach mieszkają, kiedy zstępują na ziemię.

– Nie godzi mi się naganiać świętym – powiada dalej – ale tak mi się widzi, że jeśli się spuszcza na ziemię, to czynią to raczej z nieprzebranej dobroci serca, a nie po sprawiedliwości, bo ludzie tego niewarci, całe ich nie słuchają. Ot, św. Stanisław nakazał niejakiemu kasztelanowi Kmicie, ażeby biednemu księdzu dał probostwo na Lesku, ale ów Kmita, nie wiem, czy waszmość go znacie, całe o tym nie myśli, właśnie, jak gdyby takiego wielkiego świętego miał sobie za hetkę albo też za pętelkę.

Ale Kmita tego nie słyszał, bo właśnie się zdrzymał i śniło mu się, że sam jest świętym i używa szczęśliwości niebieskiej, co mu się od czasu otrzymania absencji zawsze zdarzało, ile razy po dobrej wieczerzy starym miodem ogrzał swoje wnętrze. Więc Smolicki odpowiedział za niego mówiąc:

– Raczej byś był w onych złotych a srebrnych lasach trochę liści naskubał, to nie potrzebowałbyś wcale probostwa.

Tu Kmita się ocknął, a uśmiechnąwszy się trochę złośliwie, rzekł:

– Pono Smolicki ma rację.

Ale pielgrzym bardzo był z tego niekontent, a westchnąwszy głęboko, tak mówił dalej:

– Ot, tak to bywa na świecie. Grzesznicy podobni są chorym: dopóki choroba ich tłucze, chwytają doktora za ręce i nogi i całe go nie chcą puścić od siebie, ale kiedy się za jego pomocą obaczą, to jeno czym prędzej zaprzęgają furkę, aby go wywieźli.

A na to Kmita się wstrząsł i całkiem się zbudził, i rzekł:

– A już mi też bez litości przycinasz! Słuchaj że, Wara, rozmówmy się z sobą, a powiedz prawdę. Jesteś ty księdzem? Masz ty święcenia? bo kiedyś ci kilka razy kazał mszę prawić, toś się zawsze wykręcał.

– A jak to? jak to? – odpowiedział Wara przytomnie – przecież już byłem proboszczem, mam nawet własny kielich z patyną.

– Jeno żeś go u Żyda zastawił i za to z probostwa cię napędzono – rzekł na to Smolicki.

Więc Kmita się rozśmiał i dalej nacierał na Warę:

– Ale powiedz, bo jak ty nie chcesz, to mi biskup to powie; masz ty wszystkie święcenia?

A Wara na to się zakłopotał cokolwiek i zaczął się jękać:

– Bo to tam tych święceń jest dzisiaj bez liku... Jużci wolno komu powiedzieć, że mi jakiego święcenia brakuje... Ale co to z probostwem ma do czynienia? Można mieć przecie probostwo nie będąc księdzem, do służby kościelnej trzyma się wikariusza.

Więc Kmita zawołał na to:

– Lubek! ty człek piśmienny, powiedzże, jak tam stoi w kanonach: czy człowiek świecki może się na probostwie?

Lubek tak się był wpatrzył w Jagienkę, że nawet wcale nie słyszał, co koło niego mówiono, więc się wstrząsł, jednak się zebrał i odpowiedział dosyć przytomnie:

– Nie zrozumiałem dokładnie, co pan kasztelan chce wiedzieć.

Kasztelan powtórzył pytanie, a Lubek na to:

– Ludziom świeckim dają czasem prebendy, ale zawsze *in spe*¹⁰⁰, że się wyświęcą na księży.

– Więc widzisz – rzekł na to Kmita – a gdzie tobie się święcić, zwłaszcza że kielich u Żyda.

¹⁰⁰ *in spe* (łac.) – w nadziei

A wtedy Wara się zniecierpliwił i rzekł:

– Otóż ja ichmościom dowiodę, że mam wszystkie święcenia...

Ale w tej chwili zabrała głos kasztelanowa, ażeby nie dopuścić do sporu, i tak mówiła:

– Nie myślże, mój kochany Wara, żeśmy zapomnieli o tobie. Ani Kmitowie, ani Tarnowscy nie byli nigdy niewdzięczni: tym właśnie za łaską Bożą utrzymują się przy jakimkolwiek znaczeniu, że zawsze dbają o swoich przyjaciół. Mój mąż byłby ci dał bardzo chętnie probostwo na Lesku, ale dopóki to ksiązę węgierski tam siedzi, nie godzi mu się nim dysponować. Ale damy ci jakie inne, a poradzimy się w tym ojca Chryzostoma...

Jak tylko Wara usłyszał imię Chryzostoma, przeciągnął twarz i machnął ręką, kasztelanowa to uważała, lecz wtedy odezwała się Jagienka mówiąc:

– I ja się wstawię za księdzem Wara i nie będziemy o to w kłopotcie, bo i my mamy jakieś probostwa do rozdania, i tutaj, i w Węgrzech. Więc będziemy o tym pamiętać...

– A jak dasz ślub pannie Jagience, to i dwa probostwa dostaniesz – dorzucił Smolicki.

Jagienka brwi na to zmarszczyła, ale mówiła dalej przytomnie:

– A nim się to stanie, niech nam ksiądz Wara opowiada dalej o swoich podróżach. Takie to piękne są rzeczy. Tak bym tam chciała być w tych lasach srebrnych i złotych, zaraz bym wszystkie liście z nich oberwała...

– Cóż byś z nimi zrobiła? – zapytała z uśmiechem kasztelanowa.

– Rozdałabym je rycerzom, aby szli te złote lasy zdobywać na Turkach.

– Już tam jednego posłała – rzekł na to Smolicki – zaczekajże, nim ten powróci, jeżeli gdzie nie ugrzązł po drodze.

– Podobno ugrzązł – zauważała niby z niechcenia kasztelanowa.

– To i lepiej – rzekł na to Smolicki – bo później powróci.

Kasztelanowa uśmiechnęła się na tę uwagę z zadowoleniem, a tymczasem Jagienka mówiła dalej do pielgrzyma:

– A był ksiądz Wara na górze Graal? Ja bym tam chciała być i widzieć ten zamek cudowny z brylantów, topazów i ametystów i przypatrzeć się tej misie z jaspisu, z której Chrystus Pan ostatnią spożył wieczerzę, w którą Józef z Arymatei zebrał krew Chrystusową, a którą aniołowie przynieśli na ziemię, aby ją oddać rycerzom...

– Na cóż ci widzieć tę misę? – spytała kasztelanowa:

– Kto spojrzy na tę misę, ten zaraz uzdrowiony zostanie – odpowiedziała nauczające Jagienka.

– Aż czegoś tobie trzeba się uzdrawiać?

Jagienka się zamyśliła, może wiedziała, ale nie chciała powiedzieć; kasztelanowa zaś powiedziała sentencjonalnie:

– Zawsze chcesz czegoś, czego dostać nie można. Wiedźże o tym, dziecińko, że człowiek tylko tego pożądać powinien, co może otrzymać, bo jeśli za tym ugania, czego dostać nie może, to choćby miał siły olbrzyma, rozbije się o przeszkody i zginie.

Kasztelanowa byłaby dalej mówiła w ten sens, bo lubiła udzielać innym swego rozumu, ale wtem trąby się odezwały na pierwszej bramie zamkowej i zaraz się powtórzyły na drugiej. Był to alarm: gość albo może Tatarzy.

Na odgłos trąb wszyscy się zerwali od stołu i Kmita, który znowu był przysnął snem błogosławionych, także się ocknął i zawołał:

– Hej! biegaj no który, a popatrz, kto tam nas budzi po nocy. A niech załoga wystąpi do broni, bo diabli tam wiedzą...

Wszyscy żołnierze i pазie wybiegli, a tu tymczasem zgadywano, kto by to był. Kmita mówił:

– Wątpię, ażeby Tatarzy, bo nic o nich słyhać nie było. Chyba że Węgrzy...

– Krewni waćpanny – rzecze Smolicki do Jagienki.

A na to Kmita:

– Ale najpewniej Kergolaj. Gdzieś dostał po czubie i powraca się lizać.
– Przeszedłszy przez biczowanie, nim się dostał do drzewa Krzyża Chrystusowego – dodał Smolicki.

A wtedy Lubek wbiegł pierwszy, mówiąc:

– Jegomość pan Suchywilk, starosta tustański. Przyjeżdża ze Lwowa.

– Wilczek! Wilczek! – zawołał Kmita – przecie sobie nareszcie przypomniał, że jeszcze żyjemy na świecie.

Kasztelanowa powiedziała: – Radam go widzieć – a Jagienka dodała: – Może mi powie co o Formozie – a po tych słowach Wilczek wszedł do komnaty.

Wilczek wystroił się pysznie na te odwiedziny; widocznie chodziło mu o to, ażeby się kasztelaństwu, w których służbie był niegdyś, przedstawił stosownie do swoich dzisiejszych godności.

Wdział zatem lekki srebrzysty pancerz ze swoim herbem na sobie, bramowany złotem na wszystkich zawiasach, hełm lśniący z bogatymi piórami, skórnice¹⁰¹ jak gdyby dopiero z igły i pyszne buty rycerskie ze srebrnymi ostrogami. Przystojny i zgrabny ten młodzian w tym stroju tak paradnie wyglądał, że i ci templariusze¹⁰², co strzegą św. Graala, nie mogą świetniej wyglądać od niego. Toż wszystkich olśnił swoją postacią – a niemało uroku i wdzięku dodawała mu jeszcze ta okoliczność, że w tak młodym wieku był już starostą i rotmistrzem królewskim.

Wszyscy też ze serdecznym uściskiem się rzucili ku niemu; Kmita, kasztelanowa, a nawet Smolicki: jak wyrósł, jak zmężniał, jaki wspaniałe rycerz jest z niego! Książd Wara, chociaż niemało widywał rycerzy, patrzył nań z wielkim respektem – a Jagienka ze zdziwieniem, bo znając go z imienia, nieraz wprowadzie o nim myślała, lecz słysząc, że jest starostą, a do tego rotmistrzem, wyobrażała go sobie mężem już siwiejącym, z ogromnym wąsem i głosem chropawym. Takież to jest ten Wilczek?...

Kasztelan i kasztelanowa posadzili go więc między sobą, a zapewniwszy się, że nie jest głodny, zaczęli go wypytywać, kędy bywał przez te wszystkie lata, kogo tam poznał, co widział, kiedy był na zamku krakowskim, jak jest zapisany u króla i co o nim rozumie?

Wilczek odpowiadał, jak umiał, trwało to długo, wszyscy go ciekawie słuchali, a najciekawiej Jagienka. W klasztorze panien klarysek nigdy obcych ludzi nie widywała, na zamku sobieńskim mało kto bywał, prawie sama szlachta sanocka, ludzie poczciwi, lecz prości, „do korda, a nie do prawa”, jak mówiło późniejsze przysłowie, a jeśli się kiedy zjawił jakiś kasztelan lub wojewoda, to był to człek stary i niezajmujący: teraz dopiero po pierwszy raz obaczyła prawdziwego rycerza. Tacyż to młodzi, tak piękni, tak grzeczni są ci rycerze? Słuchając go, myślała nad tym i dziwnie ją to rozmarzyło. A jakiś głos, schowany w głębi jej duszy, którego dotąd jeszcze nigdy nie słyszała, szeptał jej cicho: Takiego rycerza mieć dla siebie samej, mieszkać z nim na jego zamku, móc się do jego piersi przytulić i wiedzieć, że się nie jest samą na świecie i że się ma rycerską przy sobie obronę – czyż może być większe szczęście dla biednej sieroty?

Wilczek, chociaż targany przez wszystkich zapytaniem, na które musiał wciąż odpowiadać, także z wielkim zajęciem przypatrywał się Jagience – i nie dziw, była to bowiem dziewczyna niezwykłej urody i taki wzrok miała palący i tak czuć było, że pod jej cerą smagłą palą się jakieś ognie dziewicze, oświecające i ogrzewające a nieugaszone, że musiała zając każdego, w młodym zaś a chwytnym człowieku mogła obudzić wulkaniczne uczucia.

Nareszcie Wilczek nie mógł się wstrzymać, a obróciwszy się do niej, rzekł grzecznie:

– A z panną Jagienka będziemy mieć kłótnię.

– Kłótnię? – rzekła Jagienka – nie chciałabym się kłócić z waszmością.

¹⁰¹ skórnice – ozdobne wyłogi przy wysokich butach

¹⁰² templariusz – członek zakonu rycerskiego, założonego w 1118 roku przez rycerzy francuskich do walki z niewiernymi

– Nie kłótnia to będzie – powiedział Wilczek – lecz *eksplikacja*¹⁰³.

I tu opowiedział całą historią o Kergolaju, jako był przekonany, że Formoza jęczy u jakiegoś starszego Ormianina w niewoli i jako ją chciał wyrąbywać. Odmalowawszy zaś cały dom starego Kijasa i Formozę, królującą w tym przybytku bogactwa i wszelkich dostatków, dodał na końcu z uśmiechem:

– Otóż to jaka jest ta rzekoma niewola pani Formozy.

Ale Jagienka na tym nie poprzestała, tylko wypytywała go szczegółowo, jaki jest jej mąż, jak wygląda, czym się zajmuje i jak się z żoną obchodzi. Wilczek jej opowiedział. A wtedy Jagienka go zapytała:

– I waszmość także jesteś zdania, że Formoza jest zupełnie szczęśliwą?

– Tak mi się zdaje.

– A ja bym nie chciała być w jej położeniu! – zawołała Jagienka – i nie wiem, czym się tak bardzo omyliła, mówiąc panu Kergolajowi, że jest u Ormian w niewoli.

Wilczkowi po raz pierwszy na te dziwne stosunki w domu Kijasa otworzyły się oczy. Innym razem może byłby go bronił, co czynił zawsze i wobec wszystkich, ale teraz był pod takim wrażeniem, że nie mógłby być słów znaleźć na tę obronę. Bo teraz nie Formoza stanęła mu przed oczyma, ale Jagienka. I myślał sobie: co by też na to powiedział, gdyby tak Jagienkę wydano gwałtem za jakiegoś Tigranesa? Na samą myśl o tym krew mu się zburzyła – i milczał.

Inni także milczeli. A że Kmita już znowu usnął snem błogosławionych i mały franciszkanin także oczy przecierał, więc kasztelanowa wstała i rzekła do Wilczka:

– Mój Wilczku kochany, wywczasujże się po podróży. Spodziewam się, że Smolicki, twój dawny protektor, wygodną ci przysposobił kwaterę.

Więc tedy wszyscy już szli na spoczynek. Wilczek pocałował kasztelanową w rękę, a ona położyła rękę na jego głowie. Serdeczny Kmita palnął go płaską dłonią po pancerzu i rzekł:

– Gniewałem się na ciebie, żeś o nas zapomniał, ale kiedyś nareszcie przyjechał, to wiedzże o tym, że tu ruski miesiąc posiedzisz.

Jagienka podała mu rękę na dobranoc, ale milcząc i oczy spuściwszy ku ziemi: Wilczek, jako grzeczny kawaler, chciał coś przemówić, ale mu także słowa zamarły na ustach.

Książd Biały kłaniał mu się z daleka i uśmiechnął się do niego uprzejmie, jak gdyby się chciał jego łasce polecić; Smolicki trzymał kaganiec w rękę i niecierpliwił się, aby mu jak najprędzej jego kwaterę pokazać; zgoła wszyscy byli ożywieni i zadowoleni: tylko Pretficz jakoś posmutniał i z ciężkim sercem szedł za kasztelanem do jego sypialni.

I on także przyznawał w głębi swej myśli, że Wilczek jest bardzo pięknym rycerzem, każdy ruch jego jest składny, a nawet wykwintny, ma głos dźwięczny i oko wesołe, zdaje się nawet być dobrym człowiekiem i zapewne serdecznym jest towarzyszem – a przecież przyjazd jego nie był mu wcale przyjemnym, a jakieś głuche przeczucie mówiło mu, że owe spokojne dni szczęścia, których dotychczas używał, już dla niego minęły, a może odtąd na jasnym niebie czarne zaczną gromadzić się chmury i może jego słońce się zaćmi, i może straszne zahuczą burze.

Lubek się kochał w Jagience na umór. Kochał ją tą czystą, idealną miłością, do jakiej są zdolne tylko serca niewinne, a której różowe promienie z czasów świetności średniowiecznego rycerstwa padały jeszcze natenczas na dusze szlachetnych młodzieńców i odrywając ich wyobraźnię od warunków ziemskiego życia, dawały jej siłę tworzenia całkiem eterycznych obrazów. Obrazy te, strojące się tylko zewnątrznie w szaty ziemskich postaci, a istniejące tylko w powietrznych krainach ducha, zastępowały im często całą treść życia. Lubek się kochał w Jagience, ale o jakimkolwiek celu swojej miłości wcale nie myślał. Całe jego pragnienie ograniczało się na tym, aby ją widział, aby się mógł spokojnie w twarz jej wpatrywać, ażeby czasem zaczerpnął orzeźwiającej siły z jej oczu, ażeby wiedział, że jest szczęśliwą,

¹⁰³ *eksplikacja* (łac.) – wyjaśnienie, tłumaczenie

ażebym się bez przeszkody domyślał, że nie jest jej wstrętnym: zresztą niczego nie pragnął. Spowiadać się jej ze swojej miłości, dotknąć się jej ręki, przycisnąć do jej twarzy swe usta, nigdy mu nawet na myśl nie przyszło – a gdyby się to stało, to zdało mu się, że byłby umarł z radości. To idealne uczucie dla niej, którym nappełnił swe serce, zupełnie mu wystarczało do szczęścia, jakoż czuł się tak szczęśliwym, że, według niego, nawet aniołowie w niebie nie mogli być szczęśliwsi od niego. Czego pragnął, to tylko ażebym mu tego szczęścia nikt nie zamaćił; jeżeli zaś czasem, kiedy długo myślał samotnie, obudziło się w nim jeszcze jakie pragnienie, to chciałby być się dla niej poświęcić, chciałby być wylać dla niej krew swoją lub umrzeć dla niej.

Czy Jagienka wiedziała o tej jego miłości? Bardzo być może, bo takie uczucia nigdy się nie ukryją przed okiem kobiety. Bardzo być może, bo czasem unikała jego wzroku, a bardzo rzadko go o co prosiła. Choć sama dopiero co z dziecka wyrosła na pannę, uważała go zapewne za dziecko i wcale tego nieokreślonego lęku przed nim nie miała, który się zawsze odzywa w sercu dziewczyny właśnie wobec takiego młodzieńca, dla którego miłość powzięła. Ale być może, że w swoim wrażliwym sercu miała wdzięczność dla niego: bo często późnym wieczorem, kiedy wszyscy spali, a Lubek przy oknie otwartym swojej górnej izdebki grywał na lutni i śpiewał piosnki półgłosem, ona otwierała swe okno na dolnym piętrze, siadała przy nim i pilnie go słuchała. Była to rzecz niewinna, lecz nieroztropna z jej strony, bo Lubek ją widział, grywał wtedy i śpiewał do późnej nocy – a kiedy spać się położył, to go aniołowie na tęczach kołysali do rana, a nazajutrz bywał tak roztargnionym i nieprzytomnym, jak jaki hulaka, co całą noc przepił i przehałasował, za co też sobie gorzkie robił wyrzuty i zawsze się potem spowiadał.

Owo więc teraz to błogie, anielskie szczęście miało być zamaćonym. Lubek miał takie przecucie i przecucie to się sprawdziło. Przybycie Wilczka stało się hasłem do ożywienia i rozruszania zamku na Sobniu. Potrzeba było tego kasztelanowi, który po otrzymaniu absoliucji zaczął już całe zasypiać w szczęśliwości doczesnej, zanim miała się dla niego otworzyć szczęśliwość wieczna; potrzeba było tego jeszcze daleko więcej kasztelanowej, albowiem gorliwie dbała o blask i znaczenie swojej rodziny, nie chciała dopuścić, ażebym jej mąż zapełniał na kasztelanii niższego rzędu, i uważała za rzecz konieczną przypomnieć go znowu szlachcie sanockiej, która od czasu jego pokuty zaczęła już wcale zapominać o zamku sobieńskim. Poczęły się zatem obiady, bale, festyny, turnieje i wszelkie igry ówczesne, wśród których zamek zawrzał jak w ulu, a czasem się nawet pod nimi rozpierał.

Ziemia sanocka musiała zapewne od wieków mieć jakiś czarujący urok dla ludzi, bo już pod owe czasy była dobrze osiadłą i bardzo gęsto zaludnioną. Niemal wszystkie wsie dziś istniejące, bo tylko z wyjątkiem bardzo niewielu, a i to tylko w głębokich górach, już wówczas istniały; tylko niektóre z nich nosiły wtenczas inne nazwiska, drugie zaś z powodu nie dla każdego czytelnej ówczesnej pisowni stały się trudne do zdcyfrowania. Tylko oswojony z pismem ówczesnym, a zarazem znający całą tę ziemię od wioski do wioski, może się doczytać, że tamtoczesny „Ulyechowecz” – to dzisiejsze Olchowce, „Schynycza” – to Zmiennica, „Coschthirowcze” – to Kostarowce, a „Vlicz” – to Ulucz. Bardzo wiele wiosek, noszących dziś nazwy ruskie, jak Sukowate, Serednie, Bereska, nazywały się wówczas po polsku: Sękowate, Średnie i Brzoska, co namacalnie dowodzi, że pierwaj tu byli Polacy, a Rusini napłynęli dopiero później. Wszystkie te wioski były gęsto osiadłe przez szlachtę, która tylko w małej części się tu osiedziła, drudzy wygaśli albo poprzenosili się w inne powiaty. Wówczas siedzieli tutaj Kmitowie na Sobniu i na Dubiecku, Balowie na Nowymtańcu i Średni, Chrzastowscy, znakomita wówczas rodzina, na Hoczwi, Fredrowie mieli Tyrawę Wołoską, Herburtowie Mchawę, dalej kwitnęli Jaćmierscy, Wzdowscy, Tarnawscy na wsi, od której wzięli nazwiska, Andrzejowicze na Szczawnem, Stankowie na Olchowcach, a wreszcie Pieniążkowie, Smoliccy, Konarscy, Ostrowscy, Mieroszowscy, Laskowscy, Smogorzewscy, Żmigrodzcy będący linią Stadnickich, Pakoszowscy, Czeszykowicze, Oziembłowscy, Krzesimowscy,

Niedźwiedzy, Krzywiecy, Mleczkowie, Czarnoocy, Derszniakowie, Bierzeccy i bardzo wielu innych, którzy jeszcze nie mieli nazwisk zrobionych, a pisali się tylko imieniem chrzestnym, do którego dodawali nazwisko swej posiadłości. Byli to ludzie prości, mieszkający w drewnianych dworach, zazwyczaj cokolwiek obronnych, chodzący w domu w kozuchach, drelichach i samodziałach, umiejący zaledwie czytać, a pisać z trudnością, lepiej po łacinie niżeli po polsku, pracujący skrzętnie na swojej roli i przestający na małym – ale chowający wszelkie przymioty rycerskie u siebie, dbający o honor swego imienia, występujący z błyszczącą wystawnością za domem, bogaci w cnoty, ale zarazem ambitni, a często pnący się nawet do wysokich urzędów. Jeszcze równość braterska nie dojrzała wtedy w Małopolsce do tego stopnia, jak później, ale już na wzór Wielkopolski silnie kiełkowała pomiędzy szlachtą, a liczba jej stawała już często za prawa i obyczaje. Kto ją chciał mieć po sobie, musiał jej schlebiać tak samo, jak w wieku następnym.

Kasztelanem sanockim był do niedawna Henryk Kamieniecki, herbu Piława, rezydujący na zamku w bliskim Kamieńcu, który się dzisiaj zwie Odrzykoniem, ale gdy zginął pod Wiśniowcem przed dwoma laty i kasztelania zawakowała, zaczęli się o nią starać Maciej Bał, herbu Gozdawa, i Jędrzej, brat Kmita. Pomędzy Bałami i Kmitami były o to spory i niestrudzone u dworu kabały, kasztelania wciąż wakowała – a tymczasem Kmita sobieński, będący kasztelanem przemyskim, niejako uzurpował ten urząd, który miał pewną wartość, bo dawał mu pierwsze znaczenie w powiecie i w razie pospolitego ruszenia mógł go postawić na czele całej siły zbrojnej tej ziemi. Zdaje się, że za przewodem kasztelanowej właśnie to miano na oku i dlatego skorzystano z pierwszej sposobności, ażeby szlachtę zgarnąć ku sobie. Toż teraz ta szlachta roiała się wcale na zamku sobieńskim, co dzień po kilkunastu sąsiadów zasiadało do stołu, wino się lało strumieniami, muzyka grała przy ucztach, a wieczorem wyprawiały się tańce, śmiechy i różne swawole do późnej nocy.

Po kilku tygodniach takiej zabawy zapowiedziano turnieje na zamku. Wilczek, jako bywały na wielkich dworach i w cudzych krajach, zajął się ich urządzeniem. Kasztelanowa była za tym, ażeby nie goniono na ostre, ażeby się raczej ograniczono do biegania za pierścieniem i ścinania głów papierowych. Pretficz wziął na siebie fabrykacją takich głów, przedstawiających Turków i Wołochów, a ksiądz Biały z zamkowymi chłopięty mu w tej robocie pomagał. Niebawem też przyozdobiono główny dziedziniec zamkowy kilkudziesięcią głów w turbalach i kuczmach, z ogromnymi brodami i błyszczącymi oczyma, pozawieszano pierścienie, przybrano mury w choiny, kolumny w wieńce zielone, a na krużgankach porozwieszano matki, gdzie urządzono siedzenia dla dam, mających przyznawać nagrody.

Przyszła nareszcie dzień upragniony, zjechało się paręset szlachty znajomej i nieznajomej, niektórzy z nich byli tylko w sukniach świątecznych, uzbrojeni wystawnie, a nie do boju, lecz wielu przybyło w pancierzach od stóp do głowy, na koniach zakutych także w żelazo, a nawet ze spuszczoneymi przyłbicami. Nikt nie mógł poznać, kto oni byli. Ci stanęli poza szrankami – a jak tylko otrąbiono otwarcie turnieju, ten i ów kazał wystąpić swojemu heroldowi i ogłosić przy trąbie, że jego pan, rycerz taki a taki, prosi każdego, kto łaskaw, ażeby raczył z nim skruszyć kopią. I zaraz kilku się starło ze sobą ku powszechnemu zdziwieniu dam, a przy rozgłośnych okrzykach gęsto poza szrankami zgromadzonego rozmaitego ludu. Który zaś rycerz zwyciężył, podnosił przyłbicę i wśród odgłosu kotłów i trąb szedł na krużganek, gdzie wszystkie damy go przyjmowały z oklaskiem i przypinały mu do pancerza bukiety kwiatów i wstążek, zaczęło się spijano wiwat dla niego.

Wilczek patrzył zrazu spokojnie na te gonitwy, stojąc na krużganku obok Jagienki i tłumacząc jej każde uderzenie i każde cięcie, zgolał każdy ruch potykających się z sobą rycerzy. Ale po drugim i trzecim spotkaniu zaczęło mu brakować oddechu, nareszcie ziemia zaczęła go parzyć w podeszwy... tak że już nie mógł wytrzymać i zniknął milczkiem z krużganku. Jednak prawie z nim razem Lubek także nie mógł dostać na galerii i ścisnąwszy cichaczem kasztelana za nogi, prosił go ze łzą w oku i drżeniem w głosie, aby mu pozwolił wsiąść na

koń i choć jedne kopią skruszyć z jakim rycerzem. A kasztelan, podcięty cokolwiek, bo ciągle spijał wiwaty, położył mu rękę na głowie i rzekł po ojcowsku:

– Idź, moje dziecko, i pobaw się trochę. Weź tam i drugich ze sobą, ale nie bawcie się długo, a wymiećcie to tałajstwo z dziedzińca, bo już czas do wieczery.

Lubek polecał, jak gdyby mu kto skrzydła przyczepił. Szczęściem, że go nie spostrzegła kasztelanowa, bo pewnie by nie była dopuściła, aby taki wiotki młodzieńczyk potykał się z takimi starymi wygami, pomiędzy którymi był pewnie niejeden taki, co i niedźwiedzia byłby zdusił jak kota.

W mały czas potem wyjechał z jednej masztarni Wilczek cały zakuty w żelazo, na swoim karym ogierze, a z drugiej Pretficz także w zupełnej zbroi na wielkim masłowatym koniu, jeszcze cokolwiek smukłym jak jego pan, ale zadziwiającej piękności. Obydwa trzymali w rękę kopie na dwanaście stóp długie, a na lewym ramieniu mieli kokardy z wstążek niebieskich i białych. Były to kolory Jagienki; spostrzegli więc zaraz, że obydwaj walczą za honor tej samej damy, ale nie robili sobie o to wyrzutów, bo było to wówczas uważanym za dowód bardzo gminnego smaku, jeżeli ktoś się zdradził z uczuciem zazdrości. Owszem, im więcej która z dam miała rycerzy, co w jej kolorach walczyli, tym wyżej była ceniona przez swych wielbicieli. Jednakże Lubek miał nieposkromioną, choć może nie całkiem siebie świadomą ochotę zetrzeć się z Wilczkiem, jakoż podjechał ku niemu, uklonił mu się uprzejmie i rzekł:

– Proszę waszej miłości wyrządzić mi honor i skruszyć ze mną kopią choćby raz tylko.

Ale Wilczek rozśmiał się na to i odpowiedział mu dobrodusznie:

– Słysz, Pretficz! Ja nie odmawiam przysługi nikomu i sam to uważam za honor, jeżeli kto raczy ze mną się zmierzyć. Ale jam ciebie pokochał jak brata. Więc powiem to otwarcie: u mnie ręka żelazna, a tyś jeszcze wiotki młodzieńczyk. Wyrządziłbym tobie szkodę, a sam bym za to nie zasłużył na wieniec. Ale, jeśli chcesz, to dam ci przodek przede mną, wyjedź i ogłoś się pierwszy – a jeśli twój przeciwnik zwali cię z konia, to ja mu za to zapłacę.

Przykro było Lubkowi, że mu Wilczek odmówił, ale upierać się nie mógł, bo nie był jeszcze rycerzem – a zresztą Wilczek tak po bratersku do niego przemówił, że nie mógł mu takiej odmowy brać za złe.

Lubek więc ogłosił się pierwszy przez zamkowego herolda i w szranki wyjechał. Na galeiach taki był hałas, że wcale nie dosłyszano jego nazwiska. Widziano tylko, że nowy rycerz wyjeżdża, ale go nie poznano, bo miał spuszczoną przyłbicę. Po drugiej stronie odpowiedziano na jego wyzwanie i zaraz obaczono wyjeżdżającego stamtąd rycerza na niewielkim bachmacie i w lada jakim pancerzu. Wilczek, że się cokolwiek bał o Pretficza swobodnie odechnął. Tymczasem obydwaj rycerze wypuścili pędem konie ku sobie i Pretficz tak zdmuchnął swego przeciwnika z kulbaki, jak gdyby świecę kto zgasił. Wilczek w głos się roześmiał, bo przeciwnik Lubka tak spadł z konia, jak worek z wozu, a jego koń dał drapakę ku bramie, zadarłszy ogon i obudziwszy śmiech homeryczny na wszystkich krużgankach. Dopiero wtedy poznano, że zwycięzcą był Lubek, i zaczęto wołać na niego z krużganków; ale on tego wołania nie słyszał, tylko skoczył czym prędzej po drugą kopią. W bitwie prędko krew się rozgrzewa, a zwłaszcza w radosnym sercu zwycięzcy.

Ledwie pierwszy rycerz spadł z konia, kiedy już drugi się z tamtej strony ogłosił. Ku temu Wilczek wyjechał, ogłosiwszy się wprzód, wypuścił konia pędem ku niemu, ale tak go zwałił z kulbaki, jak gdyby piorun w niego uderzył, nawet kopia mu nie pękła w rękę, a jego Wrony, koń dziwnie ognisty i silny jak lew, ale jeszcze niedoświadczony w boju, przeskoczył przez powalonego konia i uniósł się w kącie przeciwniegi dziedzińca. Wilczka zaraz poznano, więc hałas ogromny się podniósł na wszystkich krużgankach, uderzono w trąby i kotły, podniesiono kielichy – a Smolicki, stojący za plecyma Jagienki, rzekł jako znawca:

– Tam była zręczność, a tutaj jest zręczność i siła, tylko i pana, i jeźdźca młoda krew jeszcze unosi.

Jagienka go zapewne słyszała, ale tak była zajęta tą bitwą, tak oczu nie mogła oderwać od Wilczka, że go nie słuchała; nie potrzebowała ona zresztą niczyjej rady, ażeby wiedzieć, do którego rycerza rwie się jej serce.

Tymczasem Wilczek i Pretficz już stali przy szrankach z kopiami, czekając, kto się tam znowu ogłosi. Ale niedługo czekali. Zaledwie bowiem rozbity przez Wilczka rycerz zszedł z pola, zaraz z tamtej strony dwóch wyjechało, obydwu daleko lepiej uzbrojeni i umontowani niż pierwsi.

Wilczkowi się to podobało, jako rzekł do Lubka:

– Pretficz! na tych dwóch razem uderzymy.

– Razem – rzekł Lubek radośnie.

Ale w tej chwili Wilczek, mając oko żołnierskie, dostrzegł, że za tymi dwoma, stoją dwaj inni, już także z kopiami w rękach, a za nimi jeszcze inni, tak że nawet nie można było ich zliczyć. A dotąd jeszcze nikt nie wiedział, jacy to ludzie, szła tylko wieść głucha po zamku, że mają to być szlachcice węgierscy, co zasłyszawszy, że na Sobniu będą się wyprawiać turnieje, przyjechali całą chorągwią, aby się tu zabawić. Ba, dobrze: ale dlaczego zbijają się w kupę między szrankami, kiedy na turnieju nie godzi się kupą uderzać, jeno trzeba się bić pojedynkiem. Ostrożny Wilczek obejrzał się więc poza siebie i zawołał:

– Ramułt, czuj duch! każ naszym ludziom wsiąść na koń, a nas z oka nie spuszczać. Kiedy by zaś oprócz tych dwóch tylko jeszcze jeden na nas uderzył, natenczas druzgotaj szranki, a wal w to cygaństwo, choćby i jeden z nich żyw się nie ostał.

A Ramułt, jeszcze o wiele ostrożniejszy od niego, już dawno siedział na koniu, a za nim i jego sześciu żołnierzy w pełnej zbroi i z długimi mieczami u boku.

A wtedy już obydwu rycerze węgierscy zaczęli się naprzód posuwać, więc Wilczek krzyknął:

– Pretficz! dierz dobrze kopią, a miecz w same piersi!

I obydwu puścili się pędem na Węgrów.

W tym starciu jeden Węgier zwałił się z konia, lecz drugi tylko się zachwiał i zaraz się wyprostował w kulbace, jakoż w tym oka mgnienu drzewcem skruszonej kopii dał po łbie Wilczkowi tak silnie, że grzebień hełmu mu strzaskał; toż i tamten zwalony wyskoczył jak małpa na konia i zaraz na Lubka najechał. Zaczem teraz zaczęła się bitwa; jednak nie trwała długo, bo Lubek, dobywszy miecza, za jednym pchnięciem zwałił znów swego przeciwnika z kulbaki, Wilczek zaś widząc, że ma do czynienia z jakimś dzikim rycerstwem, ciął konia swojego przeciwnika w łeb mieczem, a tak i koń, i jeździec się razem zwalili na ziemię. Ale jeszcze ci ludzie nie dolecieli do ziemi, kiedy z tamtej strony przyskoczyło dwóch drugich rycerzy swoim na pomoc, co widząc Ramułt, wyjechał pędem ze swymi żołnierzami na plac, z tamtej strony znów kilkunastu przybiegło, i zaczęto się tłumić ze sobą całkiem jak na wojnie. A wtedy Wilczek pot poczuł, zawołał swoich, o kilkanaście kroków z nimi odskoczył, sprawił ich – i z wielkimi mieczami w ręku, jak w bitwie porządnej, w kupę tych Węgrów uderzył.

Krzyk zgrozy i trwogi się podniósł na wszystkich krążgankach i rozległ się jak grom potwarzający się po wszystkich dziedzińcach, bo już krew zaczęła się toczyć, ten i ów leżał na ziemi jak długi i konie jeźdźców pobitych zaczęły się rozlatywać pomiędzy tłumy, a tłumy zaczęły uciekać. Tu i ówdzie wołano z krążganków: – Stój! na miłość Boga! idźcie rozbrajać! – Kasztelanowa, blada i przestraszona, składała ręce przed Smolickim i księdzem Wara, aby biegli w dziedziniec i bitwę wstrzymali; Jagienka przyciskała obydwie ręce do serca i szeroko rozwartymi oczyma patrzyła na bijących się, śledząc każdy ruch pióropusza, który jej tak dobrze był znanym; inne kobiety mdlały, a dzieci płakały: tylko Kmita przegiął się lekko przez balustradę, uśmiechał się i wołał na dół:

– Wal, Wilczek, a powyrzucaj tych drabów z dziedzińca!

Toż Wilczek odpowiedział sumiennie życzeniu Kmity. Jak bowiem z Ramułtem i Lubkiem zakasał rękawy do tej roboty, tak i wytłukł Węgrów na miazgę, pozwalał ich z koni, pobił, potrzaskał i wyparował za bramę. Ten i ów, co się wymknął z tej siekaniny, a bramy nie mógł namacać, w krąg dziedzińca uciekał, a żołnierze za nim gonili – i to rozweseliło widzów tak, że mimo rozlanej krwi i trupów leżących na placu śmiano się w głos na wszystkich krążgankach.

Kiedy się policzono po bitwie, okazało się, że dwóch szlachciców zabito na śmierć, jednemu łeb rozwalono, że jeszcze ledwie co dychał, drugiemu wypruto jelita, trzem innym poprzetrącano ręce i nogi – a co się Wilczkowi ludzie nabrali guzów, o tym wcale już nie mówiono. Ale była to wyśmienita i wcale rycerska zabawa. Zabitych kazano zaraz pogrzebać, rannych oddano w opiekę balwierzom, potłuczeni kazali się wysmarować olejem – i na tym koniec. A że pomiędzy tymi rzekomymi Węgrami znaleźli się także i polscy junacy, to powiedziano sobie: Dobrze im tak, po co tam leżli. Wilczek i Lubek, wyszedłszy cało z tej bitwy, choć pierwszy z nich miał oko czarno podbite, a drugi tak był potłuczony, że ledwie się mógł utrzymać na nogach, zostali na krążganku przyjęci przy odgłosie kotłów i trąb, i powszechnych okrzykach. Wszyscy się do nich cisnęli. Kasztelan pierwszy rzucił się Wilczkowi na szyję i pocałował go w jeden policzek i w drugi, zawołał z zapalem:

– Słysz, Wilczek! tak się tobą dziś cieszę, jak gdyby mi kto wieś w pszennej glebie darował – a gdybym miał córkę, to bym ci ją sam zaniósł do łóża.

Lubka zaś ścisnął za głowę i kazał mu nalać starego wina, ażeby swe siły pokrzepił.

Zaczem wszyscy obecni rwali Wilczka, każdy w swą stronę, każdy go ścisnął i każdy mu jakiś komplement powiedział; tylko Jagienka stała oparta plecyma o balustradę, z bijącym sercem i spuszczonej oczyma: ona by była wymowniej od wszystkich wypowiedziała swe uwielbienie dla niego, ale w tej chwili głosu w gardle nie miała.

A wtedy wszyscy szli do wieczerzy, bo już się zmierzchać zaczęło, a niejednemu wnętrzości skrzypiały. Tego dnia było ze trzysta osób na zamku, nakryto więc stoły w kilku komnatkach. Kasztelan gospodarował w pierwszej, kasztelanowa w drugiej, a już tam dalej komenderował Smolicki. W dziedzińcach zaś pozapalano beczki smolne, powywieszano kagańce z łuczywem, powytaczano beczki z miodem i piwem i pieczono przy stosach ogromnych uda wołowe, podświnki, barany i skopy. Do tego bito w bębny i kotły, odzywały się trąby i rogi, a w górnych komnatkach grano na lutniach, cymbałach i arfach. Zgoła gwar, brzęk, szcęk i hałas jak w przedsionku do piekła, bo bez tego nie byłoby zabawy.

Kasztelan, siadając do stołu, Wilczka obok Jagienki posadził i rzekł:

– Co mam najpiękniejszego w domu, to sadzam przy tobie, jako dank za to, żeś walczył w jej kolorach.

Wilczek był mocno uradowany. Jagience zaś zrazu całkiem zaćmiło się w oczach, bo jej się zdało, że już się niebo przed nią otwiera i pełnią się jej najgorętsze życzenia, z którymi kryła się dotąd przed całym światem – i kryła się nawet przed sobą: bo Wilczka ceniła tak wysoko, a siebie tak nisko, bo była przekonana, że choćby wszystko było po temu, to nigdy na to nie zezwoli kasztelanowa, bo wreszcie miała jakieś ciemne przecucie, chociaż sama nie wiedziała dlaczego, że nie masz dla niej szczęścia na ziemi.

Matka jej nie wiadomo kiedy umarła, ojciec zginął na jakiejś wojnie za młodu, po swoich rodzicach nie miała żadnych pamiątek, żadnych wspomnień dziecinnych, żadnej duchowej spuścizny; zaś panny klaryski uczyły ją tylko modlić się, modlić i modlić, umartwiać ciało, nie myśleć o żadnej ziemskiej rozkoszy, a całe doczesne życie tylko temu poświęcić, ażeby pozyskać zbawienie wieczne. Jej wrodzone uczucia, jej myśli, które sobie sama wyrobiła i w jakąś całość usnuła, jej żywa wyobraźnia, jej czułość na wrażenia zewnętrzne, a wreszcie jej temperament, przekonały nawet same panny klaryski, że nie jest stworzoną do sukni klasztornej. Odebrano ją stamtąd i przywieziono na zamek kmitowski: tu odetchnęła całkiem innym powietrzem, tu obaczyła ten świat, potępiony przez zakonnice, a przecie taki żywy, taki we-

soły, tak piękny, tu zrozumiała, że nie dla tamtego, ale dla tego świata Pan Bóg ją stworzył, tutaj uczyła, że na tym świecie mogłaby znaleźć to szczęście, o jakim tylko za przewodem swego instynktu, tylko z głuchych, dalekich wieści, tylko z urywanych wzmianek, słyszanych przypadkiem, marzyła niegdyś w klasztorze. Tu mogły się ziścić wszystkie jej ideały i nie widziała swoim rozumem, jakie przeszkody mogłyby ich ziszczeniu stanąć na drodze. A gdyby nawet jakie stanęły, to zdało jej się, że ma dosyć energii, aby je wszystkie przełamać. A jednak zazwyczaj bardzo nieufnym okiem patrzyła w swą przyszłość, a często nawet czarnym się poddawała przecuciom. Lecz dziś... sam Kmita ją koło Wilczka posadził; dziś całe niebo otworzyło się przed nią i słyszała już weselne pienia aniołów.

Wilczek był w niej tak rozkochany, że żył tylko dźwiękiem jej głosu i cały świat widział tylko w jej oczach. On nawet dotychczas nie wiedział, że taka miłość istnieje na świecie. Jakiegokolwiek dotąd porobił doświadczenia na drodze miłości, a raczej może na jej bezdrożach, ta miłość go z nich otrzęsała i oczyściła – i wobec Jagienki był jakby nowo narodzonym człowiekiem. O swojej miłości dla niej mówił jej już nieraz dotychczas, sposobności mu do tego nie brakło, a z każdej korzystał; Jagienka mu dotąd nigdy nie dawała nadziei, bo sama jej w sobie obudzić nie mogła, jednak zawsze go wysłuchiwała, a nigdy go nie odtrąciła od siebie. Teraz dla nich obojga wybiła godzina na tym nieczytelnym dotychczas zegarze: Wilczek ścisnął jej rękę, a ona go także ścisnęła, ale tak silnie, tak gorączkowo, tak konwulsyjnie, że w tym uściśleniu wyraziły się jej wszystkie uczucia, cała ich siła płomienia, żelazna wola, wytrzymałość skały, opór w razie potrzeby, gotowość do wszelkich ofiar, poświęceń i cierpień, na całe życie, na zawsze, do grobu... Tak rozumieją się dusze sobie pokrewne – a takie zrozumienie jest daleko wymowniejsze niżeli najczulsze dźwięki żywego słowa. Wilczek przez długą chwilę nie wypuścił jej ręki z swojej gorącej dłoni – a kiedy z obawy, aby ich nie spostrzeżono, zabrał się do jedzenia, to był wesół jak dziecko, świadomy i pewien siebie jak nigdy, bo był przekonany, że jest stworzony do szczęścia i że to szczęście pozyska.

Tymczasem przy stole jedzono łakomie, a pito ochotnie. Kmita miał oko na wszystkich i nie szczędził „prynuki”¹⁰⁴. Po każdym daniu kazał grać pieśni wesole, a po każdej przygrywce podnosił puchar, wychylał duszkiem i puszczał go wkoło. Pod koniec wieczerzy kazał sobie wieniec włożyć na głowę – a odtąd i puchary gościom krążyły, i zaczęto muzyce wtórować chóralnym śpiewem przy stole. A kiedy nareszcie znak dano, że koniec wieczerzy, to nie każdy mógł wstać o własnych siłach, niektórego komornika lub chorążego musieli popod ramiona podnosić paziowie, drugi zaś kazał się zaprowadzić do szopy na siano, ażeby się mógł przespać cokolwiek. Lecz było wielu, którzy by byli mogli pić jeszcze drugie tyle, a ci się dobrze trzymali na nogach. Do tych ostatnich należał Kmita, tylko był wesół nad miarę, śmiał się wciąż śmiechem szalonym i ciskał żartami na wszystkie strony. Jednak przezorny i dbały o to, ażeby nie uchybił swojej powadze, nie ufając zupełnie swym nogom, kazał się zaprowadzić paziowi do drugich komnat, a dopiero tam, usadowiwszy się wygodnie w poręczowym krześle, był siebie pewnym. Za nim przewaliły się tłumy gości do tychże komnat, gdzie miały teraz rozpocząć się tańce.

W największej komnacie, gdzie Kmita się usadowił, zaczęła grać muzyka przy trąbach i rozmaitych brzękadłach, a starsi poszli najprzód w tan z matronami, za nimi młodzi korowodem bez końca. Każdy skakał, jak umiał, ten i ów huknął, drugi zaśpiewał, ale się nie przewracano, bo w tych domach rycerskich surowsze chowano obyczaje niż w miastach, a zresztą tutaj nie byłaby na to nigdy pozwoliła kasztelanowa.

Kiedy zaczęto tańcować, Kmita huknął ze swego krzesła po raz i drugi i klasnął w dłonie, ale później się uspokoił, przechylił głowę na plecy krzesła i przysnął swoim zwyczajem. We śnie był w niebie i rozmawiał w wielkiej ciszy z świętymi. Tak spał z godzinę: ale kiedy jakaś para dała sobą o ziemię tuż przy nim, a rycerz upadający swoją stalową koszulką okrutnego narobił hałasu, Kmita się zbudził i rozwarł oczy szeroko przed siebie. Z początku mu się

¹⁰⁴ „prynuka” (ukr.) – natarczywa zachęta, wmuszanie

zdało, że kiedy spał, to musi być w łóżku, więc nie mógł zrozumieć, dlaczego ci ludzie tańczą około niego; ale po chwili całkiem otrzeźwiał i był wesół i kontent, że jego goście tak wesoło się bawią.

Wilczek tańczył jeden taniec i drugi z Jagienką i wciąż z nią rozmawiał, lecz przy tym ciągle rzucał okiem na Kmitę, jak gdyby czatował na tę chwilę, kiedy się zbudzi. Skoro zaś Kmita się zbudził, zaraz sobie krzesło przysunął do niego, siadł przy nim i zaczął z nim rozmawiać. Ale niecierpliwy młodzieniec nie lubił preludów, jakoż zaraz po pierwszych słowach rzekł do niego:

– Panie kasztelanie, pilno mi jegomości powiedzieć, że mi się Jagienką podoba lepiej niż wszystkie inne, a nie chciałbym nigdy piękniejszej za żonę.

– To żeń się – odpowiedział mu Kmita – dziewce czas za męża, a powiem tobie w sekrecie, że i moja żona rada by ją postanowić, bo zawsze to wielka odpowiedzialność trzymać taką ognistą dziewczynę w domu.

Więc Wilczek był bardzo uradowany, położył mu rękę na kolanie i spytał:

– A będzie pan kasztelan mnie protegować?

– Ja? – rzecze Kmita – nawet sam ciebie zaswatam. Daj rękę.

Zaczem Wilczek dał jemu rękę i zaraz wstał, bo mu się zdało, że mu się ziemia spod nóg usuwa, a coś go unosi w powietrze. Ale i Kmita wstał także raźnie i zaraz kiwnął na Jagienkę, a kiedy przyszła, wziął ją za rękę, przetańczył z nią wkoło komnaty, a potem stanął z nią przed muzyką i zaśpiewał starą weselną piosenkę:

Co skocznego graj muzyka,
Póki się drą złote łyka,
Mam ja jeszcze wsi niemało,
Nie chcę, by dziś co zostało.

Widząc Kmitę z wieńcem na głowie tańczącego z Jagienką i słysząc go śpiewającego taką piosenkę weselną, ci i owi przestali tańczyć, inni zaczęli tam i sam biegać, mówiąc: Dlaboga, co się to dzieje? pono się tu kroi na jakieś wesele. A byli wreszcie i tacy, którzy się już kłaniali Wilczkowi, a zajeżdżając z daleka, próbowali życzyć mu szczęścia. Zasapany kasztelan siadł na powrót w swym krześle, a patrząc w komnatę, gdzie tłumy gości zaczęły się grupować a szeptać ze sobą, bardzo był rad, że im taką łamigłówkę zadał do rozwiązania.

Ale kasztelanowa, której baczemu oku nie uszedł żaden ruch w żadnej komnacie, zaraz spostrzegła i zrozumiała, co się stało, jakoż siadła przy mężu i zapytała go z uśmiechem na ustach:

– A jegomość komu chcesz wioski rozdawać?

A Kmita się głośno na to roześmiał i zawołał:

– Ja?! ja nikomu nie dam ani jednego klina, raczej chyba drugiemu jego wieś wezmę.

– A cóżeś to śpiewał?

– Bom chciał Wilczkowi drogę do Jagienki uścielić. Przecież i ty nie będziesz mieć nic przeciw temu.

Więc kasztelanowa zastanowiła się nad tym i rzekła poważnie:

– I ja to uważam, że Wilczek się ma ku Jagience. Ale nie zdaje mi się, żeby to był stosowny mąż dla niej...

– Dlaczegoż to, moja królowo?

– Jej trzeba męża, który by ją żelazną ręką prowadził. A Wilczek zdaje mi się człek lekki. Nie mówię ani za, ani przeciw, lecz jestem zdania, że trzeba to czasowi zostawić, aż póki go bliżej nie poznamy. Rozumiesz jegomość?

– Więc jak chcesz, moja królowo – odpowiedział jej Kmita, a kasztelanowa odeszła.

Goście się jeszcze jakiś czas bawili tańcem, muzyką i śpiewami, ale jak północ wybiła, wszyscy się zaczęli rozchodzić.

A wtedy Smolicki się zbliżył do Wilczka i palec podniósłszy do góry, rzekł tajemniczo:

– *Festina lente*¹⁰⁵.

– Dlaczegoż to? – zapytał Wilczek.

– Bo kasztelanowa nie jest po twojej stronie.

– Cóż ona ma do mnie?

– Może nie do ciebie, ale ona królewskich rotmistrzów nie lubi.

– Śmiej się z tego, Smolicki – rzekł Wilczek, kładąc mu rękę na ramieniu – mam kasztelanę, a w razie potrzeby będą miał i króla za sobą. Jeżeli przyszło do wojny, chciałbym też wiedzieć, jakim sposobem dama pobije króla.

A na to Smolicki z uśmiechem:

– To jest dama kozerna¹⁰⁶, a wobec takiej damy i król czasem jest młódką.

Na to Wilczek znowu się głośno roześmiał i rzekł:

– Nie znasz ty króla, a przeto nie wiesz, jak każdy człowiek jest mały przed majestatem.

Jednak Smolicki w tym razie jakoś nie bardzo w to wierzył, bo rzekł ważne:

– Słysz, Wilczek! A wiesz ty, co to jest rozum? Rozum, to jest dysymulacja¹⁰⁷.

Z tymi słowami tłum gości ich wymiótł do sieni, zaczem i oni poszli spać razem z innymi.

Wilczek, zmęczony bitwą i tańcem, a upojony swoją miłością, spał jak zabity noc całą – a nazajutrz ani pomyślał o tym, co mu dnia wczorajszego powiedział Smolicki. Dopiero jak kasztelanową obaczył, przypomniały mu się wczorajsze słowa tego trefnisia i mędrca zarazem i uważał pilnie, jak się względem niego zachowa ta dama kozerna. Jednak kasztelanowa, dama kozerna, ale zarazem; światowa, była dla niego tak samo uprzejmą dzisiaj, jak wczoraj, jak przed tygodniem i przed miesiącem. Wilczek zatem drwił sobie w duszy ze Smolickiego. Mimo to jednak, jako to każdy zakochany, a jeszcze swej rzeczy niepewny, jest zwykle niezmiernie lękliwy, powiedział o tym słówko Jagience. I znalazł u niej jakoby potwierdzenie tego ostrzeżenia, jakie mu dał Smolicki, bo Jagienka mu powiedziała:

– Ja się jej boję.

– Dlaczegoż się jej boisz? czy dała ci co do zrozumienia?

– Nie, nic zgoła – odpowiedziała Jagienka – ona jest dla mnie zawsze jak matka i życzy mi jak najlepiej. Ale ja jej się boję...

– To jest respekt, należny matce – rzekł na to Wilczek i więcej już o tym nie myślał.

Tymczasem festyny wciąż trwały na zamku. Szlachta się ciągle zjeżdżała, co dwa lub trzy dni wyprawiano turnieje, a co dzień biesiady i tańce. Wilczek brał czynny udział w tych wszystkich zabawach, z Jagienką często na osobności rozmawiał, co dzień był pewniejszym, że mu jest całą duszą oddana, porozumiał się z nią zupełnie, wziął od niej słowo i już nad tym rozmyślał, kiedy by miał kasztelaństwu paść do nóg i jak by to zrobić. I był już prawie zdecydowany prosić o rękę panny bez swata, kiedy tego samego dnia Kmita, podpisawszy sobie jak zwykle, wziął go pod ramię, zaprowadził do kąta i rzekł mu na ucho:

– Słysz, Wilczek, jeżeli mnie nie zdradzisz, to ci co powiem. Jeżeli chcesz dostać Jagienkę, to wiedz o tym, że baby jej ciebie nie życzą, wszystkie są przeciw tobie. Bądź zatem ostrożnym i nie puszczaj się samopas w drogę. Weź sobie jakiego statecznego senatora na swata, któremu by nie mogli odmówić. Może by ci Mikołaj Kamieniecki usłużył, tego tu bardzo nawidzą i respektują...

Gdyby Wilczek był tylko swoją gorącą krwią pożądał Jagienki, to byłby się zapewne uniósł niecierpliwością, dobrą radą pogardził i jej los od razu postawił na kartę; ale on ją kochał wznioślejszą miłością, miał szczerą cześć dla niej i pragnął jej szczęścia – a przeto przy-

¹⁰⁵ *Festina lente* (łac.) – Śpiesz się powoli

¹⁰⁶ dama kozerna – dama atutowa

¹⁰⁷ dysymulacja (łac.) – ukrywanie, udawanie

jął radę kasztelana z wdzięcznością i jeszcze tego dnia z jednym tylko żołnierzem do Kamiénca wyjechał.

Wszelako być może, że jakiś zły duch już wtenczas mu tego szczęścia zawidił, a nie mogąc sam stanąć mu w drodze, babę posłał za siebie.

Albowiem tego samego dnia po południu zjechała pani Gniewoszowa na zamek. Przyjechała z wielkim dworem jak druga królowa, sama na koniu ogromnym rycerskim, nakrytym siatką, spadającą prawie do ziemi, a ubrana w kapelusz z piórami i w suknię długą sukienną, spuszcającą się koniowi do kolan. Przy niej szły dwa ogromne charty kudłate, a obok niej jechał dworzaniek na dereszowatym bachmacie, z kołczanem i łukiem na plecach. Za nią jechało sześciu żołnierzy na koniach wyniosłych i pięknych, w barwie czarnej i żółtej, i w półpancerzach na piersiach, na hełmach mieli pióra czarne i żółte, a na pancierzach szmelcowany herb Rawicz. Były to barwy herbowe, bo Rawicz przedstawia pannę na czarnym niedźwiedziu w polu żółtym. Za żołnierzami uzbrojonymi w łuki, toporki i miecze, jechały dwa wozy do połowy od tyłu woskowanym płótnem nakryte, a na ich przedzie ponad woźnicą siedziały panny służebne, pilnując naładowanej na wozach pościeli i strojów swej pani. Za wozami postępowało jeszcze dwóch łuczników na małych koniach węgierskich, którzy tworzyli straż tylną. Tak podróżowały naówczas damy rodzin rycerskich – i tak pani Gniewoszowa wjechała przed wielką kolumnadę zamkową.

Jak tylko ją ogłosili trębacze, kasztelan, kasztelanowa i wszyscy goście wybiegli na dół na jej spotkanie i witali ją okrzykami radości, ale zarazem z wielkim respektem. Sam kasztelan z Pretficzem przystąpili do jej konia i zsadzili ją na swych rękach z kułbaki.

Pani Gniewoszowa była to kobieta olbrzymich rozmiarów, o całe pół głowy słuszniejsza od mężczyzn dobrego wzrostu, istny kolos kobiecy; była chuda, ale bardzo koścista i mało co pochylona. Miała już wtedy lat blisko sześćdziesiąt, włos siwy bogaty, a oczy zielone, twarz cokolwiek chropawą i głos gruby, surowy, prawie męski. Toż w całej jej postaci przebijała się męska stanowczość, a we wszystkim, co powiedziała, rozum dojrzały, świadomy siebie, a często zadziwiającej przenikliwości.

Z domu była Magierówna. Magierowie, także herbu Rawicz, był to aż do owego czasu ród bardzo możny i znakomity, ale jego główna linia właśnie się na niej kończyła. Dojrzałą panną wyszła za Stanisława Gniewosza z Oleksowa, potomka bardzo starożytnego i niegdyś świetnego rodu, człowieka rycerskiego, cnót wyśmienitych, który jednakże nie mógł się dobić wysokich zaszczytów i był tylko podkomorzym sądeckim. Później został starostą czorsztynskim, ale to ona mu wniosła to starostwo, bo jak to i dziś jeszcze można czytać w metrykach koronnych, gdzie *Casimirus Rex anno 1485 felici Mogiero de Pniewo centum marcas in oppido Czorsztyn inscribit*¹⁰⁸, rozrzutny król nie mógł spłacić tych grzywien i za jej przewodem dał jej mężowi to starostwo. Z tym mężem, od lat ośmiu spoczywającym w Bogu, miała trzech synów; Daniela, który siadł na Magierowie, majątku matki, Gabriela, ożenionego z Tarłówną, a osadzonego na Sarnowie, i Cherubina, co mając ledwie lat dwadzieścia, został starostą na Czorsztynie po ojcu, tak samo, jak Wilczek wziął starostwo tustańskie, a teraz także tak samo, jak Wilczek, był rotmistrzem królewskim. Ten Cherubin był jej najulubieńszym, na niego chciała złać wszystkie splendory Magierów i Gniewoszków i zrobić z niego poważny i świetny filar ojczyzny. I powszechnie tak rozumiano, że jej się to uda, bo była to kobieta rozumna, wymowna i energiczna, gdzie ją kto nie posiał, tam wzeszła, u króla, u kardynała, u wszystkich biskupów i senatorów była jak w własnym domu, umiała każdego przekonać, a w razie potrzeby i przeproczyć, toteż zawsze wszystko przeparała, co zamierzyła. Nieoceniona, kiedy komu sprzyjała, niezmiernie zaś niebezpieczna, kiedy wypowiedziała wojnę, była przez wszystkich nadzwyczajnie respektowaną. Miała też zresztą wszystko po temu, ażeby ludzi przywiązywać do siebie: jadła i piła z mężczyznami zarówno, a głowę miała tak mocną, że

¹⁰⁸ *Casimirus Rex...* (łac.) – Król Kazimierz w 1485 roku życliwemu Magierze z Pniewa wpisał 100 grzywien na miasto Czorsztyn

nigdy jej sobie nie zawróciła, znała się na koniach, na broni, na łowach, na gospodarstwie, tak że każdy mógł się od niej czegoś nauczyć, mówiła po łacinie jak ksiądz, znała na palcach wszystkie kanony, statuty i prawa, wiedziała o wszystkim, co się działo na całym świecie i w kraju, znała nawet wszystkie ploteczki i zawsze pierwsza się dowiedziała o każdym sekrecie: zgoła kobieta jak trzeba, ażeby utrzymać przewagę płci słabej nad silną, za co też wszystkie niewiasty i panny ją nadzwyczajnie wysoko ceniły.

Rozgospodarowawszy się na zamku sobieńskim, przez pierwszych dni kilka była bardzo wstrzeźliwą i zagadkową, a nadzwyczajnie grzeczną dla wszystkich. Szukała z każdym rozmowy na osobności, z kasztelanem, z kasztelanową, z Smolickim i z księdzem Wara, z Jagienką, z Pretficzem i ze wszystkimi celniejszymi dworzany; nie jedne godzinkę strawiła pomiędzy służebnymi pannami, była w kuchni i w stajni, żartowała łaskawie z żołnierzami i z trębaczami, tu dała jakiś prezencik, tam kilka szerokich groszy, temu nawet talara, a owemu przyrzekła protekcją. Była oczywiście na rekonesansie, ale nikt na to nie zwracał uwagi, bo tak się zawsze zachowywała; tylko jeden Smolicki mruknął sobie pod nosem:

– Starościna nabija jakąś armatę i pewno wystrzeli, ano nie wiedzieć do kogo. Trzeba się mieć na baczności a dysymulować. Głupi Wilczek, że właśnie teraz wyjechał...

Aż jednego dnia rankiem, kiedy jeszcze gości nie było, poszła odwiedzić kasztelanową w jej osobnym apartamencie, siadła wygodnie w krzesle poręczowym – a pochwaliwszy jej wszystko, co na zamku widziała, spytała ją poufale:

– Cóż, moja Kasiu kochana, cóż myślicie z Jagienką? Podobno czas pannie za męża.

Kasztelanowa, znając starościny prawie od swoich lat niemowlęcych i mając do niej zaufanie, odpowiedziała jej otwarcie:

– I mnie się zdaje, że czas. Ale dotąd nic jeszcze. Czekamy.

Na to zaś Gniewoszowa:

– Imci pan Kergolaj pojechał dla niej do Jerycho po różę, przypiąwszy sobie jej wstążki do ramienia, ale podobno po drodze ugrzązł przy jakiejś mieszczance we Lwowie, a nie wie-dzieć, kiedy w dalszą drogę go puszcza z tego popasu...

Kasztelanowa na to machnęła ręką, z czego widać było, że niewiele ma sympatii dla brata swojego męża, a starościna mówiła dalej:

– Tu zdaje mi się temu małemu Pretficzowi białościem oczy zachodzą, kiedy na nią ukradkiem spoziera, więc trzeba by na to mieć oko...

Ale kasztelanowa odpowiedziała:

– Taki ośmnastoletni paż zakochany nigdy nie jest niebezpieczny. Owszem, gdybym potrzebowała Jagienkę pilnować, to właśnie jego bym postawiła na straży.

– Ty go znasz lepiej. No, ale podobno i Wilczek drepce koło niej. Cóż myślicie o Wilczku?

Na to kasztelanowa, mimo całego zaufania, odpowiedziała ostrożnie:

– Jeszcze się nie oświadczył, jak się oświadczy, to pogadamy.

Ale Gniewoszowa, nie tak bardzo dyplomatyczna, wyjechała jak gdyby z rozpalonym żelazem, mówiąc podstępnie:

– Może by lepiej oświadczenia nie czekać, bo zawsze to przykro odmawiać. Może by raczej wprzód się zainformować, bo mnie słuchy dochodzą, że Wilczek jest zaręczony z córeczką jakiegoś putnego bojara...

Na to kasztelanowa się uśmiechnęła i rada, że może przecież raz zrzucić ten ciężar z serca, odpowiedziała znacząco:

– Jeżeli się chcesz bliższych szczegółów dowiedzieć o tym zaręczeniu, to jest tu między jego żołnierzami niejaki Włostek, rywal pana starosty...

– Jużem z nim rozmawiała – przerwała jej Gniewoszowa.

– Więc tedy wiesz...

– Wiem. No, tak, więc nie ma co myśleć o Wilczku. Gdzie indziej wprawdzie przymrużają oczy na takie rzeczy...

– Ale nie u nas – odpowiedziała dumnie kasztelanowa.

– Więc trzeba było mu oczy otworzyć zawczasu – zauważyła starościna – nie godziło się tobie brać na siebie tej roli, ale mogłaś to zrobić przez męża...

– Och! mój mąż! – zawołała ironicznie kasztelanowa – u niego to raczej zaleta niż wada. Wiesz przecie, że i on sam... Ale co tam o tym powiadać!

Tu starościna z głębi piersi westchnęła i rzekła:

– Masz rację. Wszyscy oni jednacy. Miałam i ja z moim perepałek niemało. A przecież taka kobieta, jak ja, mogłaby wystarczyć jednemu chłopu...

Tu trwało przez kilka minut milczenie, jak zwykle po zgodnej wzajemnych uczuć wymianie, po czym starościna zabrała głos i tak mówiła:

– Otóż powiem ci, moja kochana kasztelanowo, po sumiennym zastanowieniu, ale nie przesądając wcale twojego rozumnego zdania, że memu Cherubinowi także już czas, i tak mi się zdaje, że byłaby to przystojna para z waszą Jagienką. Cherubin ma teraz lat dwadzieścia i osiem, zdrow jak orzech, powiadają ludzie, że nawet bardzo przystojny, chłopiec złotego serca, nieposzlakowanej zacności, bardzo roztropny, a do tego ma wolę żelazną i wcale stworzony na to, ażeby dobrze poprowadzić choćby i najkapryśniejszą kobietę. Takiego męża właśnie potrzeba Jagience; bo ja ją znałam jeszcze u panien klarysek: bardzo pocziwe to dziecko, ale w tej pięknej główce gra bujna fantazja. Co się zaś tyczy pozycji mojego syna, to znasz jego ród, spowinowacony nawet z Kmitami, pasowany jest na rycerza przez cesarza Maksymiliana, jest starostą czorsztyńskim, w wielkich łaskach u króla i między nami mówiąc, obiecaną już ma kasztelanią. Majątku jest dosyć, ja mu go jeszcze przysporzę, Jagienką ma go także niemało, więc jedno z drugim złączywszy, byłoby chleba i znaczenia dostatkami, a z czasem stanęliby łatwo na wysokim świeczniku.

Więc kasztelanowa się nad tym zastanowiła i rzekła uprzejmie:

– O twoim synu bardzo wiele dobrego słyszałam... – Jednak dodała z uśmiechem: – Ale on jest także rotmistrzem królewskim i powiadają mi go bardzo przywiązany do króla: a król jegomość, przyznam ci się otwarcie, zaczyna mnie niecierpliwić.

Tu Gniewoszowa spojrzała na nią świdrowatymi oczyma i zatrzymała oddech w piersi na chwilę; widać było z wyrazu jej twarzy, że chciałaby była jej myśli odgadnąć, a nie powiedzieć czegoś, co by było jej całą grę skrzyżowało. Po chwili zaś powiedziała ostrożnie:

– Mój syn służy królowi wiernie, bo jest człowiekiem rycerskiego honoru. Gdzież ma młodzieniec służbę zaczynać, jeśli nie na dworze swojego króla? A co tam do tych rozmaitych projektów królewskich, to przynasz sama, że nie młodzieńców to sprawa w nie wchodzić...

Tu wszakże kasztelanowa zabrała głos i mówiła z pewną niecierpliwością:

– Nie mówię o twoim synu i chętnie ci to przyznaję, że młody człowiek dobrze robi, przyjmując służbę na dworze królewskim, a skoro ją przyjął, powinien służyć mu wiernie. Ale ten król, ten król... co to tam się roi w tej główce? Czy on rozumie, że my tego nie wiemy? czy mu się zdaje, że my nie znamy tych rad, jakie mu ten przeklęty Włoch kładzie do uszu? a może nawet w swym lekkim duchu wcale jest przekonany, że te rady wykona? A my, jak drzewa w lesie, jak chłopci, jak woły, damy się z pni naszych obalać, w kajdany kować i do królewskiego jarzma zaprzęgać? – Znamy my bardzo dobrze te rady Kallimachowe, znamy na palcach ten włoski polityczny katechizm, którym ci zbawcy ojczyzny chcą zastąpić naszych dziesięcioro przykazań. Z całej możniejszej szlachty porobić królewskich rotmistrzów (jeszcze to łaska pańska, jeżeli nie knechtów), całą szlachtę zamienić w żołnierzy, wyłamać się spod władzy papieża, biskupów przestroić w urzędników królewskich, mieszczan porównać ze szlachtą, chłopów dopuścić do funkcji koronnych, do ław poselskich, do krzesła senatorskich i stolców biskupich – a w razie potrzeby postawić jeszcze armią najętą z Niemców i Czechów, aby stanęła na straży tego nowego państwa z armatą i mieczem: oto jest, co się tam dzisiaj smaży na zamku krakowskim! A my, Kmitowie, Zawiszowie, Tarnowscy, Melsztyńscy i całe setki, i całe tysiące innych, my, którzyśmy tę Polskę stworzyli za Bolesława Chro-

brego, którzyśmy ją obronili od chłopskiej przewagi za Bolesława Śmiałego, którzyśmy ją rozdartą na szmaty, krwią naszą znowu w całość skleili za Łokietka, którzyśmy ją ciałami naszymi zasłonili od andegaweńskiej niewoli za króla Ludwika, którzyśmy wreszcie wiekowymi ofiarami krwi i majątków wywalczyli wszystkie te wolności i prawa, na których dziś stoi: my teraz mamy karki nasze dać w jarzmo wielkich kniaziów litewskich? Och! ja nie-szczęśliwa! ja nie mam męża!...

Tu kasztelanowa ręce złożyła przed sobą i głowę opuściła na piersi, starościna zaś rzekła, wchodząc w jej uczucia i myśli:

– Twój mąż się trochę przezostał...

A kasztelanowa tak dalej mówiła:

– Mój mąż, jak wiesz, miał nieszczęścia, które go na jakiś czas do ziemi przygniotły. Teraz rozgrzeszenie otrzymał, mógłby się podnieść: ale cóż jego głos może zaważyć w kasztelanii przemyskiej? Gdybyż przynajmniej był wojewodą, co mu się od dawna należy! Ale o tym podobno już nie ma co myśleć. Potrzeba będzie poczekać, aż synowie podrosną i znowu splendor naszego domu podniosą. On, bardzo się o to obawiam, zapewne umrze na kasztelanii drązkowej¹⁰⁹. Niechżeby przynajmniej na niej zachował konsyderacją¹¹⁰ swojego stanu. Ale i o to mam pewne obawy, bo dochodzą mnie słuchy, że nie jest w łaskach u króla. Czy nie zdarzyło ci się słyszeć coś o tym?

Tu Gniewoszowa, uchwyciwszy z ręcznicę tę nitkę, która jej właśnie była potrzebna, a którą kasztelanowa jej sama podała, zabrała głos i tak mówiła:

– Muszę ci najprzód powiedzieć, moja Kasiu kochana, że i ja znam te królewskie projekty, o których od niejakiego czasu ludzie tak wiele gadają. Znam przecież samego Kallimacha i bardzo często o tym z nim rozmawiałam. Nie takie to straszne są te zamiary, jak niektórzy ludzie je przedstawiają. Są tam rzeczy rozumne, są i fantazje. Ale, moim zdaniem, nie masz się tym co tak bardzo kłopotać. Wszystkie możniejsze domy zdjął strach wielkooki, mają się na baczności, opór ich będzie gwałtowny, król zmięknie... Ważniejszą jest sprawa twojego męża. Kochany mój Kmita sam się zaniedbał, przez cały dziesięć lat prawie nigdzie go nie widziano. Żeby tam koło korony były ku niemu jakieś niechęci, nigdy o tym nic nie słyszałam, a byłabym przecie spostrzegła. Tylko, jak z oczu, tak z myśli, i w tym cała szkoda. Ale jakoś my to naprawimy. Przypomnę ja go kardynałowi i królowi wyłożę, że nie jest to rzecz, ażeby osiwały już Kmita pleśniał na kasztelanii przemyskiej. Ja króla obaczę niebawem, bo zapewne w przyszłym miesiącu do Krakowa pojedę, a skoro z nim się rozmówię, zaraz gońca do ciebie wyprawię.

Więc kasztelanowa ścisnęła starościna za rękę, lecz rzekła dumnie:

– Ani ja, ani nikt z naszych... o nic go prosić nie będziemy, bośmy mu tego nie darowali, że o nas zapomniał. Ale jeżeli mu trzecia osoba tę niesprawiedliwość przypomni, to nam wyrzędzi przysługę, za którą będziemy wdzięczni.

Więc tedy starościna, bardzo z tego obrotu sprawy zadowolona, zaczęła znów mówić o swoim synu i o Jagience z wielką oględnością, aby się kasztelanowej nie zdawało, ani że sobie chce kupić jej łaskę, ani też że Jagienka to tak bardzo świetna partia dla jej Cherubina. Mimo to jednak, a raczej właśnie dlatego trafiła jej do serca i do przekonania, tak że kasztelanowa na koniec powiedziała jej bardzo uprzejmie:

– To niechże twój syn kiedyś do nas przyjedzie, może być pewnym jak najlepszego przyjęcia.

Gniewoszowej tylko tego było potrzeba, reszta, według jej przekonania, musiała się wywinąć jak z płotka.

¹⁰⁹ kasztelanii drązkowa – w Polsce od XVI w. dzielono kasztelanów na *krzesłowych* (zasiadających w senacie na krzesłach), ważniejszych, i *drązkowych* (zasiadających tylko na ławach), powiatowych, mających mniejsze znaczenie

¹¹⁰ konsyderacją (łac.) – poważanie, szacunek

VII

KRÓL WE LWOWIE

Są ludzie mający taki sam rozum, takie same zalety i takie wady, a nawet postępujący zupełnie tak samo, jak wszyscy inni – a przecież postęпки ich całkiem odmienne pociągają za sobą skutki niżeli u innych. Jakaż jest tego przyczyna? Nie zawsze, lecz bardzo często, przyczyna ta leży w ich własnym sumieniu. Albowiem człowiek w swym życiu codziennym daleko więcej się rządzi nierozmyślającym instynktem, niżeli rozważającym rozumem – a trafność instynktu zależy głównie od mniejszej albo większej czystości i swobody sumienia. Sumienie, obciążone jakimś grzechem niepokojącym, traci jasną świadomość siebie, mąci się i zamącą zarazem ten instynkt, który jak świeca w ciemności nasze kroki prowadzi. Instynkt natenczas, pozbawiony jednostajnego, stałego światła przed sobą, zapomina się chwilami i czasem przeoczą rzeczy najzupełniej widoczne, czasem zaś otwiera widoki, gdy ich nie masz w rzeczywistości. Obrazowe pojęcie takiego spaczzonego instynktu u Greków nazywało się *fatum*; my znamy dokładniej jego właściwą istotę, ale rzecz pozostaje ta sama. Wilczek, jak wiemy, miał nieczyste sumienie, a stąd i instynkt zamglony. Pod fatalnym wpływem tej mgły, zaciemniającej nawet jego rozsądek, zaniedbał załatwić zgodnie nieszczęsną sprawę uwiedzionej przez siebie dziewczyny, uniesiony niesłusznym gniewem wcale niepotrzebnie działając wcale bezmyślnie, wziął jeszcze Włostka w podróż ze sobą. W tym Włostku oczywiście duch mściciel założył sobie siedzibę, już ciężką karą go dotknął na zamku sobieńskim i bardzo być może, że go tak samo prześladować będzie przez całe życie. Daj mu Boże, ażeby się otrząsł z tej zmy, ażeby przywrócił równowagę w swoim sumieniu i wszedł na tę drogę, z której człowiek zdrowym wiedziony instynktem w żadnym wypadku nie zbacza.

Wilczek nie zastał Kamienieckiego w Kamieńcu, bo właśnie dniem przedtem do Krakowa wyjechał, dokąd go król umyślnym gońcem powołał. Wilczek nie lubiał zasypiać sprawy, nie leżało to w jego energicznej naturze; zaczęł, niewiele myśląc, pośpieszył się za nim na zamek królewski. Zdało się to bardzo rozumnym, bo miał łaskę u króla i mógł się spodziewać, że w razie potrzeby, zwłaszcza jeżeli mu tak Kamieniecki poradzi, będzie mógł nawet królowi swoje miłosną sprawę przedłożyć i pozyskać jego protekcją. W swojej bujnej fantazji widział już nawet króla, jak kanclerzowi każe pisać list do Kmitów, wstawiając się za nim o rękę Jagienki.

Albo te wszystkie rachuby całkiem go omyliły. Albowiem król był właśnie wtenczas ważnymi publicznymi sprawami tak mocno zajęty, jak jeszcze dotąd nigdy w swym życiu. Zdało się nawet, jakoby pod poważnym ciężarem tych zajęć zmienił zupełnie swoje uczucia, swój temperament i swój dotychczasowy sposób obchodzenia się z ludźmi: dotychczas zawsze wesoły, lubiący się bawić, bardzo często swawolny, niekiedy nawet rozpustny, niezmiennie zaś łatwy w obejściu i przystępny dla wszystkich, teraz stał się poważnym, zamyślonym, pochmurnym, surowym w obejściu, a często nawet i opryskliwym. Skąd taka zmiana? Różne były o tym domysły, ale przyczynę jej znali tylko najbliżsi.

W górnych komnatach zamkowych siedział ukryty zgrzybiały starzec, dogorywający fizycznie, ale zachowujący jeszcze w swoich szerokich barkach i czarnych, niezwykłym

ogniem błyszczących oczach zupełnie siebie świadomą energią i wolę. Już tylko duch prawie zamknięty w wychudłym ludzkim szkielecie, ale duch twórczy, ożywczy i działający – i z tej to górnej tego konającego starca siedziby spływała na króla ta siła duchowa, która żywotnymi myślami rozjaśniła mu głowę, jego chwiejną dotychczas wolę w organiczne uzbroiła zasady, a jego młodą krew zapaliła do czynów.

Tym duchem w ludzkim kościotrupie żyjącym był Włoch Buonacorsi, nazywający się Kallimachem, mędrzec znany i wysoko ceniony we Włoszech i w Grecji, od kilku lat Polak z swej własnej woli, jedyny ówczesny mąż stanu znający Polskę w jej najskrytszych wnętrznościach, widzący jasno wszystkie jej zalety i wady, zgadujący swym bystrym rozumem, jakimi środkami można z niej stworzyć najpotężniejsze państwo północy, a pragnący dziś tym goręcej tego wielkiego dzieła dokonać, ile że czuł, że upada na siłach, że jego energia omdlewa, że za rok, za dwa lata, już nie potrafi takiego wpływu wywierać na króla, jakim jeszcze dziś rozporządza.

Toż teraz właśnie jak najsilniejszy wywierał nacisk na niego, zachęcał, prosił, naglił i groził, ażeby król wszelkimi siłami pomnażał, wzmacniał i organizował dworskie stronnictwo, ażeby coraz więcej uzbrajał dworskich chorągwi, ażeby pułki zaciężne stawiał na nogi, zwoływał sejm i przystępował do czynu. Toż z tych górnych komnat zamkowych przez kancelarie i antykamery królewskie, przez ulice Krakowa, przez zamki rycerskie, aż do ubogich dworów szlacheckich, coraz żywsze rozchodziły się wieści, że król wielkie w swej głowie rozważa zamiary, że niebawem już może nastąpią głębokie polityczne przewroty, że może nawet wojny wybuchną, które rozszerzą granice królestwa, blask jego sławy nowymi promieniami oświecą i dadzą mu niebywałą dotychczas moc i potęgę. Jednak potęga ta miała być zbudowaną na gruzach dotychczasowych praw i wolności – i dlatego nie króla, ale tego wyschłego starca, możni tego królestwa, używający wyłącznie dla siebie tych praw i wolności, nienawidzili jak wcielonego szatana, jak ducha niszczyciela, jak smoka z Apokalipsy.

I nieraz wtedy, późnym wieczorem, pod murami zamku, można było widzieć zatrzymujących się ludzi zbrojnych, w bogate szaty przybranych, jak wskazywali palcem na pewne okno pod szczytem dachów zamkowych, gdzie późno w noc jasna gorzała lampa i mówili do siebie: – Tam smaży sobie mózg nad naszą zgubą ten Włoch przeklęty! Dopóki ta lampa nie zgaśnie, dopóty szczęścia w Polsce nie będzie.

Król przyjął Wilczka uprzejmie, ale nie tak łaskawie, jak zwykle. Owszem, zburczał go za to, że tak późno przyjeżdża, dawszy pierwszeństwo włóczędze po zamkach kmitowskich przed służbą. Być może nawet, że królowi najwięcej to się nie podobało, że Wilczek tak długo się bawił na zamku sobieńskim, król bowiem ze wszystkich Kmitów tylko jednego Piotra nawidził, który był wtedy marszałkiem w. koronnym, a niebawem miał zostać wojewodą krakowskim, Stanisława zaś już za to samo miał w wielkiej niechęci, że prawie nigdy się nie pokazywał u dworu. Jakoż rzekł przy tym szorstko:

– Lepiej byłbyś zrobił, gdybyś był ten czas przesiedział u twego króla niżeli u tego tam sarnockiego królika, co mi się śmiać chce z jego królestwa! Odtąd tu pozostaniesz na służbie.

Dziwnie gorzko Wilczkowi zrobiło się w ustach, a ciężko na sercu, widział, że sam wpadł w pułapkę, z której niełatwo mu się będzie wydobyć; ale nie godziło mu się tego nawet dać poznać po sobie, bo służba wolność traci, a z tym młodym królem nie można było żartować, zwłaszcza kiedy był zachmurzony. Skłonił mu się zatem pokornie mówiąc: – Sługa waszej królewskiej mości – i wyszedł.

Nazajutrz rano poszedł odszukać Kamienieckiego. Znalazł go bardzo przyjaźnie usposobionym dla siebie, ale w jakimś wielkim roztargnieniu.

Mikołaj Kamieniecki, mąż jeszcze młody, wyniosły wzrostem, ciemny blondyn, z długą w pas brodą i dziwnie pogodnymi niebieskimi oczyma, najświetniejszy i najzuchwalszy rycerz swojego czasu, lecz przy tym równie głośno wsławiony z dobroci serca i kawalerskiej grzeczności, był wtedy dopiero kasztelanem sandomierskim; ale cały świat wiedział i on sam miał to

uczucie, że jeszcze bardzo daleką ma drogę przed sobą. Jakoż niebawem potem został wojewodą lubelskim, później sandomierskim i krakowskim, a wreszcie pierwszym w Polsce hetmanem w. koronnym. Był w wielkich łaskach u króla, król sam go do siebie powołał, powinien był zatem być wcale uszczęśliwionym – a przecie obok uśmiechu niesmak było widać na jego twarzy i jakby jakieś wielkie zakłopotanie. Przyjął Wilczka wprawdzie serdecznie jak towarzysza i brata, ale zamiast mu zaraz odpowiedzieć na jego prośbę, zaczął raczej jemu się zwierzać mówiąc:

– Nie wiem zaprawdę, czy to dobra pora na swaty. Tutaj przygotowują się takie rzeczy, że nawet trudno je krótkimi słowy określić. Zapewne wiesz o nich, więc nie mam ci co powiadać. Ale to powiem, że się bardzo obawiam, ażeby się z tego nie wywiązały wielkie zaburzenia w ojczyźnie. Włoch, człowiek mądry, tego nie zaprzeczam; w tym, co radzi królowi, jest bardzo wiele projektów rozumnych, które by przyniosły pożytek naszemu królestwu, które nawet może *mutatis mutandis*¹¹¹ dałyby się przeprowadzić. Ale Włoch nie zna kraju, a król gorący, obydwa nie liczą się z tą potęgą, w jaką nasza szlachta do dziś dnia urosła. Wywołają opór, to pewna, a nie wiem i bardzo wątpię, ażeby potrafili go złamać. Toż i ja pragnę z całego serca, ażeby król miał potężną armią stojącą, którą by można mieć zawsze pod ręką, a nie zebrać dopiero o łaskę pospolitego ruszenia, kiedy nieprzyjaciół już wkroczył w granice królestwa. I ja też uważam, że nasza szlachta ma już dosyć wolności, których też nieraz używa na uszczerbek władzy królewskiej, że czasem nawet trudno królowi rządzić tym państwem, a zawsze musi sztucznych używać sposobów, ażeby utrzymał swoje powagę wobec królestw ościennych. A nareszcie i tych nie chwalebę, co chcą krępować i do ziemi przygniatać miasta, bo miasta swoją skrętnością i swymi bogactwami wiele się przyczyniają do znaczenia i wzrostu królestwa, jako to widzimy w krajach postronnych, a kraj bez miast, to chyba step dziki, prawie jak Tatarszczyzna. Nie Kallimach te wszystkie rzeczy wymyślił, któremu też nie wiem dlaczego głupi ludzie je przypisują, jeno Ostroróg, dzisiejszy wielkopolski starosta, z którym też nie raz i nie dwa o tym mówiłem i od którego wiele się nauczyłem. Wszystko to prawda, do tego dążyć potrzeba. Ale chcieć na szlachcie dzisiejszej te zmiany, te ustępstwa, te ofiary wygwałcić, to jest istne szaleństwo; taką myśl powziąć może tylko pan tak gorąco kąpany, jak nasz król jegomość, a do tego doradzać może tylko taki człek obcy, co Polskę zna tylko po szerści, a nie wie nawet, jaka skóra jest na niej. Ja mam jeszcze nadzieję, że ta gorączka tak sobie odejdzie, jak przyszła, lecz nie daj Boże! aby się wzięli do eksperymentów; bo ani im się śni, jaką straszną burzę by wywołali, po której może by w całej Polsce ani kamień na kamieniu nie został... a może by i na grób dla samego króla piędzi ziemi nie stało. Bo i to jużesmy tu widywali... a nie każdemu dano, jak Łokietkowi, po takich burzach do ojczyzny powrócić. Robię ja z mojej strony, co mogę, ażeby królowi otworzyć oczy, narażam się nawet na wszystkie niełaski; ale tymczasem tak jestem zafrasowany, że sobie miejsca znaleźć nie mogę... A co tam do owych swatów, o które mnie prosisz, toż ja nie odmawiam. Owszem, dziękuję za zaufanie, twój wybór pochwalam, bo dziewczka to składna i dobra, wielkiego rodu i piękne idą na nią majątki: ale teraz nie mogę, bo się ziemia pali pode mną. Toć proszę cię, jakieś mi przyjacielem, pocierp jeszcze mało niewiele; jak się ta zawierucha uspokoi cokolwiek, pojedziemy razem na Sobień... a tak rozumiem, że komu by odmówili, to mnie nie odmówią.

Był to cios bardzo ciężki dla Wilczka. Sam się ruszyć nie może, bo król go trzyma, ale i jego swat się ruszyć nie może, bo i jego król trzyma. W pierwszej chwili Wilczkowi zaćmiło się w głowie; jako był bardzo wrażliwy, a do tego niezmiernie bujnej fantazji, już mu się zdało, że wszystko przepadło. Jagienkę tymczasem porwie kto inny, a on już nigdy jej nie obaczy. Oddech mu zapał się w piersiach i już mu się łyzy cisnęły do oczu. Jakże chętnie byłby się wypowiedział przed Kamienieckim, z jaką rozkoszą a ulgą dla siebie byłby wylał przed nim wszystkie swoje uczucia, które mu rozpięrały wezbrane serce i wszystkie myśli mąciły w

¹¹¹ *mutatis mutandis* (łac.) – ze zmianą tego, co zmienić należy

głowie, jakże by rad był mu się rzucił w ramiona i zawołał: Miej litość nade mną! Ale jego umysł rycerski nie pozwolił mu przyznać się do takiej miękkości serca, choćby nawet przed przyjacielem. Przemógł się zatem, łez do oczu nie puścił, stłumił nawet westchnienie w piersi, a przybrawszy twarz męską, ścisnął go tylko za rękę i rzekł:

– Jak być nie może, to trudno. Przyrzekłeś mi, że jak tylko będziesz mógł się uwolnić, to pojedziesz ze mną na Sobień, i na tym mi dosyć.

Po czym, płacąc grzecznością za grzeczność, odpowiedział mu na jego troski o sprawę publiczną i tak mówił:

– Dobrze robisz, że niecierpliwość naszego pana łagodzisz. Ale wy wszyscy króla nie znacie. Widziałem ja go już nieraz, jak takie czarne chmury gromadził nad swoją głową, okrutnie w nich wtedy grzmiało i błyskawice latały: a zawsze potem puścił się z nich kapuśniaczek. A moim zdaniem, szkoda to wielka, że nie trwa w swych przedsięwzięciach. O wolnościach szlacheckich nie mówię, bo materie *status*¹¹² nie należą do mego rzemiosła. Widzi to zresztą, kto nie chce, że już zaczynają chodzić po głowach i jeśli sobie tych wolności jeszcze trochę przysporzą, to i niebawem to królestwo rozsada, że tyle będzie małych państewek, ile starostów i wojewodów, a król będzie nad nimi tak samo panował, jak papież z Rzymu panuje nad monarchiami. Niechżeby przynajmniej nie zawidzili siły zbrojnej królowi, bo jeśli tak nadal zostanie, jak jest, że do obrony granic i do utrzymania swojej powagi na równi z innymi królami będzie miał tylko pospolite ruszenie, to i granice pękną niezadługo i jemu królestwa nie stanie. A wtedy nie wiem, jak ci wojewodowie swoich zamków i starostw obronią, że o całości królestwa już całe nie wspomnę. Jam żołnierz i regalista i tego pragnę przede wszystkim, ażeby król miał swój dwór wojskowy w takiej potędze, jak inni królowie, i tak rozumiem, żeście mu w tym nie powinni przeszkadzać.

Więc Kamieniecki jeszcze raz się protestował, że także pragnie, ażeby król miał siłę zbrojną równą innym monarchom, zaczem się w dobrej przyjaźni rozeszli.

Jednakże Wilczek wyszedł znacznie uspokojony, bo sobie przypomniał, jako mu Kamieniecki powiedział, że jeśli on w swaty pojedzie, to jemu Jagienki nie odmówią. Zgadzało się to zupełnie z tym, o czym go Kmita zapewnił. Puszczając dalej swe myśli tym torem, powiedział sobie, że Kamieniecki zapewne za kilka dni się z królem rozmówi, po czym będzie mógł prosto na Sobień pojechać. Więc wszystko dobrze.

Ale tymczasem król kazał nazajutrz zatrąbić w podróż do Lwowa i już we trzy dni miał jechać.

Król wybrał się z małym dworem, bo miał bawić niedługo, ale Kamieniecki otrzymał rozkaz, aby mu towarzyszył. Wilczek też zaraz swego żołnierza pędem na Sobień wyprawił, ażeby Ramuł z całym jego taborem jechał bez zwłoki do Lwowa, do Jagienki zaś list sekretny napisał, w którym jej jeszcze raz przysiągł, że jej nie opuści aż do śmierci, błagał o miłość wzajemną i o cierpliwość, a zarazem doniósł pocieszającą wiadomość, że Kamieniecki z wielką chęcią podjął się swatów i prosto ze Lwowa na Sobień pojedzie.

We Lwowie król stanął na Niskim Zamku jak zwykle. Obok mieszkań dla kasztelana i podstarosty znajdowały się tam bardzo obszerne komnaty królewskie, zajmujące połowę ogromnego pierwszego piętra, w skrzydłach zaś było aż nadto pomieszczenia dla królewskiego dworu, dla kuchni, dla żołnierzy i koni. Małemu dworowi marszałkował Cherubin Gniewosz, starosta czorsztyński, pierwszy rotmistrz królewski, człowiek wielkiego ładu w głowie, a ręki żelaznej, którą dworzany w twardym wodził munsztunku, więc wszystko tam szło takim porządkiem właśnie jakby w zegarze.

Gniewosz był to człowiek olbrzymi wzrostem, jeszcze o wiele słuszniejszy od swojej matki, zbudowany potężnie, o plecach szerokich i piersi wypukłej, a taką miał siłę w rękach i w nogach, że podjechawszy na koniu pod bramę i chwyciwszy się rękami łuku nad bramą, podnosił ściśniętymi kolanami konia do góry jak kota. Jednak mimo tej kolosalnej budowy był

¹¹² *status* (łac.) – prawo

składny i zgrabny, twarz miał rysów męskich i pięknych, nos cokolwiek wydatny, lecz kształtny, oczy szafirowe swojego rodzaju bardzo świetnego blasku, ale zarazem łagodne, do tego włosy ciemne, krótko przystryżone, i wąs zakręcony do góry, śmiało, lecz skromnie. Miał zwyczaj głowę nosić wysoko i stąd mogła się zdawać na pierwszy rzut oka, że wielka duma w nim mieszka, wszelako to tylko jego uczucie godności i rycerskiego honoru się w tym wyrażało, bo zresztą był znany na całym dworze jako człowiek wprawdzie twardy w wykonywaniu swych obowiązków, ale bardzo czułego serca i dobry dla wszystkich. Swoją herkulesową siłą mógłby być wszystkim zaciężyć, mogąc każdego utłuc na miazgę – a przecież nikt nigdy nie słyszał, ażeby komu najmniejszą krzywdę wyrządził. Na wojnach, w których służywał, dwakroć przeciwko Węgrom i dwakroć przeciw Tatarom, nieraz po kolana w ludzkiej krwi brodził, gołą ręką ściągał żołnierzy z koni i trzaskał jednymi drugich jak lekką bronią, wiele już wieści chodziło pomiędzy ludźmi o jego wojennych przewagach: ale w spokoju nigdy muchy nie zabił i zawsze prawie dziecienny uśmiech grał na jego twarzy. Król go kochał jak brata i ślepe do niego miał zaufanie; Wilczek, Kergolaj i wszyscy inni rotmistrze w serdecznej z nim żyli przyjaźni. Pod laską takiego marszałka dwór królewski, choć mały, wielkiej używał powagi.

Niespodziewany przyjazd króla bez wiadomego powodu obudził ciekawość publiczną we Lwowie. Ten i ów zakradł się do zamku, drugi potrafił się wśliznąć do królewskiej antykamery, każdy rad by się czegoś dowiedzieć; ale wszystkim odpowiadano uprzejmie, że król jego mość, mając kilka tygodni wolnego czasu przed sobą, przyjechał na Ruś, ażeby panom tutejszym pokazać swoje oblicze a zarazem i mieszczan lwowskich zapewnić o swojej łasce królewskiej. Taką samą wieść zaniósł Wilczek do starego Kijasa, która też zaraz się po całym mieście rozbiegła i wszystkich wielką nappełniła radością.

Jednym z pierwszych, co przybiegli do antykamery, był Kergolaj. Obaczywszy Gniewosza, siedzącego z rozłożonymi nogami przy stole, przybliżył się prędkim krokiem do niego, wołając z francuska:

– Niewosz! Niewosz! jakież to wiatr was tu tak nagle przypędził?

Więc Gniewosz wziął niewielkiego Francuza w ręce jak lalkę, posadził go na kolanach, pocałował go w twarz, a popatrzawszy mu w oczy, zapytał nawzajem:

– A ty, *cavaliere di gran grido*, cóż tu ciebie przykuło do bruku? Słyszeliśmy, żeś pojechał do Jeruzalem po różę dla jakiejś Kmitównej cyganki, ale potem doszły nas wieści, żeś tutaj ugrzązł u jakiejś podwiki i że ci tutaj coś „pachnie”.

A Kergolaj roześmiał się na to i zeskoczywszy z kolan, zawołał:

– Słysz, Niewosz! Tu takie kobiety, że mnie to wcale dziwić nie będzie, jeżeli i tobie która zapachnie. Ale to potem. Powiedzże mi, po coście tu przyjechali, bo przecie przede mną nie będziecie robić sekretów.

Więc Gniewosz odpowiedział mu na to na poły poważnie, a na poły z uśmiechem:

– Może król ci to powie. Mnie się zdaje, żeśmy się nudzili w Krakowie, bo do sejmu jeszcze daleko. Ale Kamieniecki, który tu jest, tak rozumie, że król chce tutejszych panów pogłaskać pod brodę, aby mu co postąpili na pomnożenie jego wojskowego dworu, a może, aby się na rzecz siły zbrojnej jakich tam swobód wyrzekli. Za jednym zaś zamachem może i poklepie po ramieniu mieszczan tutejszych, ażeby miasto w razie wojny było jego ludziom powolne.

– No, to my jemu do tego pomożem – rzekł prędko Kergolaj. – A wojna będzie? Bo powiem ci prawdę, że wolałbym wojnę niżeli tę tam pielgrzymkę do Jeruzalem...

– Do pielgrzymki po różę dla innej – rzekł Gniewosz, śmiejąc się głośno – jakoś jechać nie wypada, na wojnę zaś jechać się musi; a może dobrze by było wypocząć trochę po tych zapachach.

Kergolaj się protestował półzartem – a wtem dał się słyszeć dzwonek z komnat królewskich. Gniewosz się zerwał i pobiegł do króla. Bawił tam wszakże nie dłużej, jak jedno *Ave*, po czym otworzył drzwi antykamery i zawołał z progu:

– Mości panie Kergolaj, król prosi.

Kergolaj poszedł do króla – a tymczasem weszli do antykamery Wilczek, Łopatka, Olizar, arcybiskup lwowski, sędzia i podkomorzy, i wielu innych, którzy na wieść o podróży króla do Lwowa już pozbiegali się ze wsi.

Odtąd falowały już ciągle po Niskim Zamku tłumy możniejszej szlachty z bliższych i dalszych okolic, bo chociaż i ci, i owi byli w opozycji, a nawet burzyli się przeciw królowi, to działało się to tylko natenczas, kiedy byli w kupie pomiędzy sobą, gdzie ten i ów burzy, a żaden nie chce za drugimi pozostać, aby nie stracił popularności; pojedynkiem zaś każdy rad się ogrzać cokolwiek przy gronostajach królewskich i oświecić blaskiem korony. A szlachty tej było już wtenczas jak mrowia na Rusi. Na ich czele błyszczeli najprzód: księżęta Holszańscy przez Sonkę, żonę Władysława Jagiełły, krewni królewscy, księżęta Hurkonowie na Łysiatyczach i Hurku, Koszerscy Litwini na Stroniatynie, Buczaccy na Buczaczu, Jazłowcu i Monasterzyskach, Chodorowscy na Chodorostawie, Kuropatnikach, Bortnikach i Dźwinogrodzie, Tarłowie ze Szczekarzewic na Podhajcach, Dzieduszyccy na Dzieduszykach i Pustomytach, Fredrowie na Pleszewicach i Niżniowie, Herburtowie na Fulsztynie i Chyrowie, Kierdejowicze na Przemyślanach, Pomorzanach, Tenetnikach i Oreninie, Sienieńscy na Olesku, Muzyłowie na Śniatynie i Kołomyi, dalej panowie na Humniskach i Zubowie, na Czartoryi i Dawidowie, na Podkamieniu i Zelechowie, Piotr z Branie i Jan z Niesłuchowa, których nazwiska się jeszcze nie ustaliły, a wreszcie Sępowie, Kajowie, Wyprotkowie, Cebrowscy, Hoszowscy, Czerkawscy, Czołhańscy, Różniatowscy, Swaryczewscy, Danko i Mynka z Balic, a Fedko i Stecko z Młyniszcza.

Gniewosz także do tej ruskiej szlachty należał, bo jego przodkowie siedzieli niegdyś na Wiszni, gdzie byli sędziami, i jeszcze dotąd chowano po wielu domach ich intromisje¹¹³ w języku ruskim z nadpisem, jako „My, Pan Hniwosz, Starosta ruskiej Ziemi to i owo obwieszczamy. Szlachta więc uderzała jak w dym do Gniewosza, jako do swego, prosząc go o introdukcją¹¹⁴ do króla. On byłby rad każdemu dogodzić, ale nie zawsze mógł, bo król tylko znaczniejszych uprzejmie przyjmował, a i tym jeszcze nieraz dał uczuć, że z majestatem gadają. Nic w tym dziwnego, bo wszyscy monarchowie poznają zazwyczaj ludzi z ich stron najślabszych, z próżności, chciwości i uległości, gotowej nieraz zaprzec się nawet godności człowieczej, a przeto niewiele mają dla nich szacunku i poważania. Prócz tego Jan Olbracht już bardzo zmiennych losów doświadczał w swym życiu, bywał bardzo wysoko na górze i bardzo nisko na dole, świetne odnosił zwycięstwa i walne bitwy fatalnie przegrywał, był przecież nawet niedawno u Węgrów w niewoli; miał przy tym niektóre wady temperamentu, a wielkie niedostatki w swych obyczajach, o których głośno w całej Polsce mówiono: więc nie każdego przypuszczał do swojej poufałości i zawsze się miał na baczeniu, ażeby mu kto nie ubliżył. Najukochańczy zresztą synek swej matki, chociaż ta matka była jedną z najrozumniejszych kobiet swojego czasu, przecież cokolwiek zepsuty, zarazem zaś dumny jako potomek świetnego wówczas i potężnego Jagiellońskiego rodu, bywał często dziwnie kapryśny, a zawsze tak nieodgadniony, że nigdy nie można było wiedzieć, czy kogo pogłaska, czy ukłuje, czy w górę podniesie, czy przygniecie do ziemi.

Dotąd jeszcze bezżenny, miał lat trzydzieści pięć, słusznego był wzrostu, zbudowany kościste, lecz kształtnie, twarz miał całkiem ogoloną i mocno smagłą, oczy czarne, otwarte, pod którymi widocznie niezwykle ognie gorzały, kości nad policzkami cokolwiek wydatne, nos chrząstkowaty, wargi mięsiste, które wziął w austriackim po matce dziedzictwie, a do tego bogaty włos kruczy, spadający w kędziorach na plecy. Ubierał się najczęściej czarno, lecz krótko, według mody ówczesnej, na ubiór ten zarzucał równie krótką suknię aksamitną z rękawami, zawsze miecz nosił u boku, zamiast zaś kapelusza z piórami nosił kołpaczek litewski, którego nie zdejmował ani gdy gości przyjmował, ani gdy sam był w gościnie. Na pierwszy rzut oka było w nim widać pana wyższego nad swe otoczenie: miał bowiem bardzo sze-

¹¹³ intromisja (łac.) – objęcie w posiadanie nieruchomości w drodze sądowej

rokie manieri, mówił głośno, siadał twardo, rozpierał się szeroko, i takim był zawsze i wszędzie. Rozmowa z nim nie była łatwa, był bowiem swojego czasu bardzo pilnym uczniem Długosza i Kallimacha, a głowę miał doskonałą, bardzo wiele nauk gruntownie posiadał, nadzwyczajnie był biegłym w obcych językach, wymowę zaś miał niezrównaną. Gdyby był chciał, mógłby był każdego przekonać, lecz czasem nie chciał, a nikt nie mógł wiedzieć dlaczego; często zaś, może nawet zanadto często, kiedy właśnie się chciał zabawić, szły w kąt u niego najważniejsze sprawy publiczne.

Najwyżsi dygnitarze duchowni i świeccy chodzili na palcach około niego, bo z wyjątkiem starego Ostroroga wszystkich nie lubił, rady ich lekcewazył i często się na którego ofuknął; młodszy mieli łatwiejszy przystęp do niego, poufalił się z nimi i często ich czynił uczestnikami swoich rozrywek: lecz byli i tacy, którzy długo po antykamerach deptać musieli, nim na małą chwilę pokazał im swoje oblicze.

Do takich, którzy jak zbawienia pragnęli, ażeby się mogli przedstawić królowi, należał przed wszystkimi innymi Tigranes. Zaraz pierwszego dnia zabrał przez Wilczka znajomość z Gniewoszem i z Kamienieckim i modlił się do nich jak do ołtarzy, ażeby się przez nich dostał do króla. Kamieniecki i Gniewosz, dla jego niewinnego umysłu i prawie dziecięcej dobroci serca, bardzo go polubili, a serdecznie się bawili tą sprzecznością, jaką w nim widzieli, gdzie w ciele tak wątłym taka gorąca dusza rycerska mieszkała. Ogromny Gniewosz sadzał go jak łątkę na wyciągniętej dłoni i mówił żartując do niego:

– Chyba jak pasztet będą nieść na stół królewski, to cię wsadzę we środek, zaczem na stole wyskoczysz z pasztetu i tak się pokłonisz królowi.

Tigranes płakał z żalu, że go natura tak upośledziła, i wszystkich rozczulał. Ale ich zaraz rozśmieszał, bo stawał twardo na swoich małych nóżkach i wołał:

– Więc cóż? więc mi nawet nie wolno zginąć za króla? Cóżkolwiek bądź, teraz kiedy wojny nie było, trudno było nawet jaki pretekst wymyśleć, pod którym by go można było przemyć do królewskiej komnaty.

Wszakże widząc tę trudność, a nie mogąc zapewne wytrzymać żalów swojego syna, sam stary Kijas się włączył w tę sprawę, a wtedy się sztuka udała.

Już od dnia królewskiego przyjazdu czynni konsulowie miasta pukali do antykamery, pytając, kiedy by się mogli królowi pokłonić. Ale Gniewosz im grzecznie powiedział, że król najprzód panów przyjmuje, a jak czas będzie, to i na nich zatrąbią. Owo więc Kijas poszedł pomiędzy konsulów i przede wszystkim ich przekonał, że takiemu miastu, jak Lwów, nie godzi się iść do króla z gołymi rękami, bo też to nigdy jeszcze nie bywało. Była opozycja przeciwko temu z tej racji, że król nie wjeżdżał solennie do miasta, ano milczkiem przyjechał, więc i prezentów nie trzeba. Ale Kijas zbił opozycją swoją wymową i postanowiono prezenty: dla króla łańcuch złoty i srebrną misę z nalewką, dla Gniewosza piękną skórę lamparcia i perski kobierzec, dla Kamienieckiego skórę tygrysią i dywan turecki, a że był żonaty, więc jeszcze kamień pieprzu do tego; innym dary pomniejszych, przy czym Wilczkowi i Kergolajowi także się coś oberwało. A wtedy Kijas deputacją wyznaczył i stanąwszy sam na jej czele, zaraz nazajutrz otrzymał audiencję u króla. Do deputacji zaś Tigranesa i Kundrata przyczepił, czym obydwaj byli bardzo uradowani.

Król przyjął deputacją na czele swojego małego dworu bardzo uprzejmie i zaraz na samym wstępie rzekł do nich z dobrego serca:

– Nie miejcie mi za złe, że was dotąd nie przyjął, ale na teraz jeszcze się nie mogę od panów szlachty opędzić. Jednak przeto nie byłbym o was zapomniał, zwłaszcza że wasze miasto jest perłą w mojej koronie, perłą o tyle droższą, że bisurmaństwo prawie wciąż do niej szturmuje, a ona przecież się broni.

Więc tedy mieszczanom pod tymi łaskawymi słowami zaraz serce urosło – a wtedy Kijas, w przepyszne atłasy i aksamity ubrany, ze złotym łańcuchem na szyi, a trzymając swój aksamitny biret w prawicy, miał do niego łańcuską przemowę. Mówił jak Cicero; król go słuchał z

wielką uwagą i widać było po jego twarzy, że się nie spodziewał znaleźć takiego mówcę pomiędzy mieszczanami. Zaczem po przemowie Kijasa zabrał sam głos w tym samym języku i mówił jak Demostenes, czym wprawdzie w kąt zapędził Kijasa, ale wszystkich niezmiernie ucieszył, bo niezwykajna to łaska monarchy, zamiast im odpowiedzieć ni to ni owo przez swego marszałka, własnymi ustami uraczyć ich taką świetną przemową. A król także był wesół, że zaimponował mieszczanom, bardzo na nich był łaskaw, rozmawiał z Kijasem po łacinie i rzucił słów kilka po grecku, na co mu Kijas także odpowiedział po grecku, po czym przemawiał do wszystkich przedniejszych mieszczan z osobna, mówiąc do nich wedle ich nacji po polsku, po rusku, po włosku i po niemiecku. Spozrzegł nawet Kundrata, który się sam naprzód wysuwał, ale obejrzawszy go, uśmiechnął się i zapytał:

– A który to jest, co mu się baki tak świecą?

Powiedziano mu, że to jest imci pan Kundrat, notariusz lonherii. A król na to bardzo łaskawie:

– Lonheria dobrze cię karmi, jak widzę. Pilnujże, aby było co w kasie, jak moi żołnierze przyjdą bronić was od Tatarów, bo ty podobno niewiele Tatarstwa nasieciesz.

Tigranes biedaczek nie miał tego czoła, co Kundrat, stał w tłumie i nie pchał się naprzód; król go wcale nie spozrzegł, co go niezmiernie zmartwiło, nawet już łzy mu się zaczęły cisnąć do oczu. Ale jak usłyszał słowa królewskie powiedziane do Kundrata, zaraz się rozweselił i ledwie że nie puknął od śmiechu. Toż i we dworze królewskim, kędyś pomiędzy Wilczkiem a Kergolajem, szmer wesóły się rozległ, zaczem król w łasce swojej mieszczan pożegnał, powiedziawszy jeszcze do Kijasa te słowa:

– Spodziewam się, że nim wyjadę, jeszcze się z wami obaczę, a jeśli macie jakie dolegliwości, to ty, panie Kijas, czy jak tam ciebie wołają, możesz mi je przedłożyć.

Mieszczanie tedy wyszli uszczęśliwieni i jeszcze w antykamerze przed królewskimi dworzany dobroć tego pana chwalili, mówiąc:

– Wszyscy królowie polscy byli na nas bardzo łaskawi, jak świadczą przywileje, które nam po kolei nadali, ale ten nam najlepiej przypadł do serca i radzi byśmy mu to jako wywdzięczyć.

Ale Kijas ich jak najprędzej wyprawił, zostawszy zaś sam z dworem królewskim, rozpoczął z Gniewoszem i Kamienieckim bardzo zacząć rozmowę. Na kogo król łaskaw, temu i jego słudzy nie krzywi, więc Gniewosz bardzo był grzeczny dla niego, a Kamieniecki jeszcze daleko więcej; bo niech tam kto mówi, co chce, podarunki zawsze otwierają serce człowieka, skóra tygrysia i dywan turecki, to także nie do pogardzenia, ale kamień pieprzu, to dla całego zamku w Kamieńcu nieopłacona pociecha. Wszelako mądry Kijas wiedział dobrze, dlaczego to robił, bo pogadawszy i tak, i owak, przymówił im się nareszcie, azaliby nie byli łaskawi, przyjść choćby dziś jeszcze na wieczerek do niego i wypić z nim po kubku małmazji. Dlaczego nie? Obiecali chętnie i przyszli.

Kijas więc przyjmował ich wieczorem u siebie: lecz razem z nimi zaprosił tylko Kergolaja i Wilczka, ażeby byli pomiędzy sobą. Tigranes był mocno uradowany i całował Formozę po rękach, aby była bardzo grzeczną dla tych senatorów, którzy są jedyni, co by mu mogli drogę uścielić do króla. Formoza nie była próżną, ale i jej by to wstrętnym nie było, aby jej mąż, któremu tyle innych rzeczy brakowało, został przynajmniej szlachcicem: zaczem ubrała się pięknie, przyjmowała gości w pierwszej komnacie u progu i była dzisiaj uprzejmą jak nigdy, a wymowniejszą niż kiedykolwiek.

Ale tym razem stała się ta rzecz dziwna, że tylko zrazu była wymowną; potem zaś, spojrzawszy na Gniewosza po raz i drugi, jakoś jej wymowa przestała służyć, przerywała sama sobie i oczy spuszczała ku ziemi, jak gdyby szukała wyrazów, a znaleźć nie mogła.

Gniewosz zaś, jak ją obaczył, pokręcił wężą, a kiedy ją lepiej obejrzał, to oczy mu zasłyły taką słodyczą, jak gdyby mu się z czułości serce rozlało. Ale on, jako człowiek bardzo świa-

towy, zamiast stracić wymowę, jeszcze się tym więcej ożywił, miodowe słowa same mu z ust płynęły i mówił za wszystkich. Był to człowiek spokojnego temperamentu, ostrzelany z wszelkiego rodzaju niebezpieczeństw, wyszlifowany na wielkich dworach i w towarzystwach najwykwintniejszych, pewien przy tym uczucia własnej godności i powagi wewnętrznej, a tacy ludzie nigdy przytomności nie tracą i zawsze umieją panować nad sobą.

Ale Kergolaj, choć mniej poważny, jednak jeszcze więcej wyszlifowany od niego, zaraz spostrzegł kto komu wpadł w oko, zatarł więc ręce złośliwie i rzekł w duchu do siebie:

– Ten pomści się za mnie, a ja mu do tego pomogę.

Gniewosz siadł do stołu obok Formozy i przez całą wieczerzę jej służył, opowiadając jej niektóre wypadki z swojego życia i wypytyując ją zrećnie o jej rodzinę. A wtedy i Formozie, jak pierwsze wrażenie minęło, rozwiązały się usta. Sama nie wiedziała, dlaczego to robi, wszakże opowiadała mu wszystko, o co ją pytał, z taką szczerością i otwartością, jakiej dotychczas, czując potrzebę niedowierzania ludziom, którzy by może nad nią się litowali, a czego ona nigdy by była nie zniosła, sama nie czuła się zdolną. Ale też po raz pierwszy w swym życiu obaczyła człowieka, do którego w jej sercu ufność się obudziła; po raz pierwszy uczuła, że ten człowiek, to mąż taki, który ją potrafi zrozumieć, któremu można każdą tajemnicę powierzyć, przed którym można by nawet i z grzechów się wyspowiadać: wysłucha, zrozumie, ukoi, utuli, pocieszy – a pewnie nie zdradzi. Kto kiedy odgadł, dlaczego pomiędzy ludźmi tworzy się strumień harmonii, zaufania, wzajemnej wiary i silniejszej nad wszystkie rozumowania sympatii? Tworzy się i jest. Taki strumień się teraz przed nią otworzył, porwał ją z sobą, a ona popłynęła nim pełnymi żaglami.

Przy wieczerzy jedzono i pito jak zwykle, a każdy się bawił według swego humoru. Gniewosz z Formozą, Wilczek i Kergolaj dworowali sobie z Kandrata, a pusty Tigranes im z całego serca wtórował, Kijas zaś służył Kamienieckiemu, bo tak rozumiał, że przez niego potrafi sobie najpewniej zaskarbić łaskę królewską dla syna. Ale Kamieniecki, człek zacny a prosty, wyprowadził go z błędu, zapewniając go, że ze swojej strony zrobi z pewnością, co może, wszakże jego protekcja niczym jest w porównaniu z Gniewoszem, który z królem je, pije i mieszka, i może mu to sto razy powtórzyć, co drugi, choćby najwyższy dygnitarz, ledwie raz się ośmieli wybąknąć. Więc kiedy wstawali od stołu, Kijas milczkiem zbliżył się do Formozy i rzekł jej do ucha:

– Instynkt kobiety zawsze więcej wart niżeli wyrachowanie najrozumniejszego człowieka. Waszmość bardzo mądrze zrobiłaś, żeś wzięła Gniewosza w takie serdeczne objęcia.

Na to Formoza się mocno zarumieniła, bo nie rozumiała od razu, co jej teść chciał powiedzieć; tymczasem zaś Kijas, przeprowadzając gości do drugiej komnaty, tak rzecz urządził, że sam zasiadł w kącie z Gniewoszem. A mówiąc rozumnie i zrećnie, w niedługiej chwili włożył mu do zrozumienia, o co mu właściwie chodziło.

Gniewosz, siedząc wygodnie z wyciągniętymi przed sobą nogami i kręcąc wąs, odpowiedział mu z dobrego serca, ale nie całkiem ku jego zadowoleniu:

– Ba, jużci ja bym nie był od tego. Ale to z naszym panem niełatwa sprawa. Biskup łucki już trzy dni czeka, a jeszcze się nie mógł dostać do niego. A tu dla syna jegomości niełatwo nawet jaki pretekst wymyśleć.

Jednakże Kijas rzekł na to z świadomą sobie pewnością:

– Mój syn chce tylko jego królewskiej mości oświadczyć, iż gotów jest w razie wojny własną wyszyftować chorągiew.

Ale Gniewosz rozśmiał się na to, mówiąc:

– Na taką chorągiewkę mieszczzańską ty króla nie złapiesz! Nie tacy ludzie i nie takie chorągwie mu obiecują z tej strony i z owej, a przecie się z nim nie mogą dogadać...

Tu Kijas uczuł głęboko całą swą małość mieszczzańską i bardzo się tym zasmucił. Ale tymczasem Gniewosz wąs kręcił i myślał, a wreszcie rzekł jak by z niechcenia:

– Prędzej by mi się może udało króla namówić, aby sam przyszedł do was w gościnę...

A wtedy Kijas, właśnie jak gdyby promień słońca jego rozum oświecił, przysunął się do Gniewosza i zaczął jemu wyklądać, jacy to potentaci już jego dom nawiedzali i jak by mu za to był wdzięcznym, gdyby jego zaproszenie przedłożył królowi. Gniewosz wstał i powiedział mu grzecznie:

– Zaproszenie wasze przedłożę królowi, jak się zdarzy po temu sposobność... a jak się uda, to was zawiadomię zawczasu, jak go macie przyjmować.

Zaczem goście się jeszcze mały czas bawili kielichem i przystojną rozmową, a potem, gwarząc wesoło, porozchodzili się na swoje kwatery.

Ale i w domu Kijasa zostawili po sobie wesołość i radość, i szczęście. Albowiem stary niepomału się tym rozweselił, że mu się przecież udało utorować synowi drogę do laski królewskiej, która już teraz, czy tak, czy owak, ale go nie mogła omylić, bo miał takich dwóch potentatów, jak Kamieniecki i Gniewosz po swojej stronie. Tigranes się wcale nie posiadał z radości, albowiem jak wszyscy, u których imaginacja góruje nad wolą i rzeczywistością, był tego pewnym, że jak tylko będzie się mógł z królem rozmówić, zaraz zostanie rycerzem. Nawet Kundrat był kontent, bo chociaż król raczył sobie zeń zażartować, ale to król: a ileż to jest mieszczan, nawet stokroć znaczniejszych od niego, o których król wcale nie wie, że żyją. Formozę zaś przepelniało takie uczucie szczęścia, jakiego dotąd nigdy nie znała: sama nie wiedziała dlaczego, ale tak jej było swobodnie, tak lekko, tak powiewnie na sercu i duszy, jak gdyby ziemia jej spod nóg ustąpiła i żywa uleciała do nieba. W tym szczęściu wszyscy się stali tak gadatliwi, że byliby do północy gwarzyli ze sobą, bo każdy miał coś do powiedzenia; ale Formoza nie czuła wcale potrzeby udzielania się drugim. W tej chwili wołała być sama ze sobą.

Jakoż niebawem usunęła się i poszła do swojej sypialni. I dzisiaj także miała serce tak przepelnione nawałą uczuć nieodgadnionych, jak niegdyś po owym dzikim festynie: ale dziś nie klękała przed obrazem Matki Najświętszej. Dziś nawet zapomniała o swoich zwykłych pacierzach i jak najprędzej utonęła w swojej puchowej pościeli. Niebawem też słodki sen skleił jej powieki, a we śnie urocze mgły różowe i białe zaczęły wieszać się nad nią, a w tych mgłach jakiś anioł się nad jej łóżem kołysał. Tyle jest w niebie aniołów, a wszyscy tak do siebie podobni, że trudno jednych od drugich rozeznąć: ale ten, bodaj czy to nie był Cherubin, najogromniejszy ze wszystkich, z bardzo pięknymi wąsami i szafirowymi oczyma.

Król, któremu świątek bardzo smakował, a który hałaśliwymi festynami był już przesycony, natomiast zaś bardzo lubił nocne a tajne wycieczki, jak tylko mu Gniewosz powiedział, jaka tam kuchnia i jaka piwnica jest u Kijasa, a jaka synowica do tego, że już świat kończy się na niej, zaraz przyjął zaproszenie mówiąc:

– To idźmy dzisiaj na wieczerzę do niego. Ale powiedz mu, aby nie było nikogo, tylko ty, Kamieniecki, Wilczek, Kergolaj i Łopatka. Łopatkę trzeba wziąć z sobą, abyśmy mieli tutejszą jurysdykcją przy sobie, jak będziemy w nocy powracać. Jeśliby zaś zaprosił jakie grzeczne kobiety, to nie zawadzi, będzie też trochę weselej.

Gniewosz więc chciał zaraz wysłać gońca do Kijasa, ale Kergolaj sam się nastęrczył i pobiegnął sam, ażeby dał zarazem Kijasowi instrukcją, jak ma króla do stołu posadzić, jakie przed nim zastawiać potrawy i jakich win mu nalewać. Wypełniwszy to poselstwo ze znanstwem dworaka, natchnął go zarazem tą myślą, że mieszczanek zapraszać nie trzeba, bo to nudne są babska, które też króla nie rozwesela, ale Pachnę trzeba zaprosić, bo to kobietka wesoła i pewnie króla zabawi. Kijas, który nie miał bardzo wielkiego respektu dla Pachny, spojrzął na to zamyślonymi oczyma na Kergolaja i pomyślał sobie w duchu: Dlaczego on mi każe Pachnę zapraszać? Jeżeli jest jeszcze zawsze w niej rozmiłowany, to oczywiście rad by jej nieba przychylić: a jeżeli się nią już przesycił, to może chce ją puścić w kurs między królewskie dworzany... Ale co mi tam na tym! – On byliby i samego diabła zaprosił, ażeby tylko królowi dogodzić. Więc wszystko wykonał według instrukcji Francuza i już wcześniej przed wieczorem był gotów.

Jeszcze słońce nie zaszło, kazał już wszystkie sklepy pozamykać, kupczyków swoich porzucił na cztery wiatry, aby się nie gapili, sześciu rybaków, śpiewaków i lutnistów schował w dziedzińcu, aby ich miał na zawołanie, jeśli król sobie grać kaze, Tigranes dał swoich giermków do usługi, aby dom przecie wyglądał z rycerska – a jak tylko się zmierzchać zaczęło, ojciec i syn, a Kundrat za nimi, stanęli w bramie, oczekując z bijącym sercem przybycia króla.

Czekali długo. Aż kiedy całkiem się zmierzchno, z przeciwległego na wskos rogu rynku, spoza ratusza, błysnęło światło. Zamkowi halabardnicy z Frącem Ajchingierem na czele nieśli zapalone pochodnie, a za nimi postępowała grupa czarno ubranych panów. Król idzie. Obaczywszy zapalone pochodnie, Kijas jeszcze więcej się uradował w swym sercu, bo tak przecie całe miasto się dowie, że król był u niego.

Kiedy król się zbliżył do bramy, Kijas zaczął znowu go witać łacińską przemową, ale król jemu przerwał mówiąc:

– Daj tam pokój łacinie. Przychodzimy do ciebie, abyśmy się zabawili po polsku, jeśliś więc łaskaw, to prowadź nas do twojej siedziby.

Więc Kijas skłonił się panu, a wzięwszy od sługi woniejący kaganiec do ręki, sam szedł naprzód po schodach, przyświecając swym gościom.

Przy drzwiach pierwszej komnaty, zapelnionej subtelną wonią najwykwintniejszych kadzideł tureckich, stały Formoza i Pachna w przepysznych strojach z bogatych tkanin indyjskich i perskich i pochyliwszy głowy, witały króla milczącym ukłonem, nie mając odwagi popatrzeć w oczy majestatowi monarchy. Śmielsza cokolwiek Pachna, zerknęła spod oka, aby obaczyć, jak też ten król wygląda, ale ogromny Gniewosz pierwej uderzył ją w oczy; Formoza byłaby rada spotkać się z szafirowymi oczyma Gniewosza, ale jej serce biło tak mocno, że ziemi nie czuła pod sobą. Król bardzo był łaskaw, a patrząc na Formozę, rzekł do Kijasa, zapomniawszy zapewne, że to jego synowica:

– Winszuję waści córki tak pięknej, nie wątpię też wcale, że znajdziesz dla niej męża równie wspaniałej postaci.

Po czym spoczął wzrokiem na Pachnie i spytał, kto jest ta dama. Powiedziano mu, że to jest Pachna, Rusinka, wdowa po rycerzu niemieckim, jeszcze dotąd w żałobie.

Więc król się wdzięcznie do niej uśmiechnął i rzekł:

– Jeżeli wszystkie lwowianki są takiej urody, to podobno mi trzeba będzie omijać to miasto, jak kiedy pociągnę na Turka, boby mi tu wszyscy żołnierze ugrzęźli.

Pachną na to dziwnie uroczym spłonęła rumieńcem, na który król patrzył z zadowoleniem, ale zaraz zapytał:

– A mąż jejmości pani zapewne bohaterską śmiercią zginął na wojnie?

Tu Pachną już wcale ognistym spłonęła pąsem, Formoza zmieszana okrutnie, odwróciła się trochę na stronę, Tigranes, Kergolaj, Wilczek chwycili się za brzuchy, aby nie puknąć od śmiechu, król spostrzegł, że w jakąś łaskotliwą stronę uderzył, Pachna błagalnym wzrokiem rzuciła na starego Kijasa, ale na szczęście Kijas ją zrozumiał i odpowiedział przytomnie:

– Nie bardzo bohaterską... ale zasłużoną rzetelnie... dał ducha Bogu po chrześcijańsku.

Król się zaraz domyślił, że coś tam musi być niezupełnie w porządku, ale zaraz wszystko naprawił mówiąc:

– Niechże sobie spoczywa w Bogu, my go wskrzeszać nie będziemy.

W tej chwili Gniewosz trącił Kijasa w łokieć i szepnął mu do ucha:

– Król głodny.

Więc Kijas zaraz się uklonił królowi i idąc naprzód, prowadził gości do komnaty jadalnej. Król skłonił się lekko kobietom, chcąc je puścić przed sobą. Rezolutna Pachna mimo wszystkiego gotowa już była iść naprzód, a nawet podać ramię królowi, ale lepiej obeznana z obyczajami dworskimi Formoza, ścisnęła ją za rękę, ukloniła się nisko monarsze i puściła go naprzód, co też król przyjął wdzięcznie i poszedł do komnaty jadalnej. Tam wedle instrukcji

Kergolaja zostawiono jedno połać stołu dla króla samego, ale król prosił, ażeby damy siadły koło niego, co się też stało, tak że Pachna siadła po jego prawej, a Formoza po lewej. Królewscy rycerze siedli po obydwóch stronach bocznych, Kamieniecki z Wilczkiem po jednej, Gniewosz z Kergolajem po drugiej, tak że Gniewosz siedział przez róg obok Formozy. Łopatka siadł naprzeciwko króla, Kijas, Tigranes i Kundrat służyli gościom.

Co najlepszego miał Kijas w swej kuchni i w swojej piwnicy, to swemu panu zastawił. Król jadł rzetelnie, a pił sumiennie – i bardzo chwalił mięsiwa, a zwłaszcza małmazją. Kamieniecki, który już wczoraj zabrał z nią dobrą znajomość, podniósł szklany kielich nią napełniony do światła i rzekł do króla:

– U nas w Polsce w niektórych dworach o dobre wino nietrudno, ale takiej małmazji. Bogiem a prawdą, to i u Kmitów nie znajdzie.

A król na to:

– Już też ty, Kamieniecki, cały świat widzisz tylko przez Kmitów! Gdyby ci do nich dodać jeszcze Tarnowskich, to już by ci może niczego nie brakło. Jużci Tarnowskim a Kmitom niewielka sztuka mieć stare wina, jak skoro od dwóchset lat albo i lepiej wszystkie starostwa nam zabierają, ba, już im i starostw nie dosyć, bo i po całej Rusi już tak się rozsiedli, że im i boków nie dojrzyć. A łatwo to temu zrozumieć, kto wie, że jak królowi przyjdzie im nadać kawałek ziemi w tych krajach, to mu nie dadzą go mierzyć na łany, oni tej miary nie znają; jeno co człek na dobrym koniu od świtu do nocy objedzie, to ich najmniejsza miara. A konie mają ręce jak charty i wstają przed wschodem słońca, a wracają po zmroku. Z tych tedy starostw a nadań można sobie niemało antałków wina nakupić. Toteż u Kmitów dawnymi czasy dobre wina bywały. Ale teraz nie wiem, czy długo ich stanie, a zwłaszcza na Sobniu. Bo pan Stanisław, odkąd zabił dwóch chłopów, pił ze zgryzoty i niepomału tych tam win starych nadpoczął, a odkąd pieczony kapłon zapał mu absolucją z tych grzechów, pije w dwójnasób na cześć swego rozgrzeszyciela. Jeszcze od niejakiego czasu i turnieje wyprawia, aby szlachtę hołubić do siebie...

Kiedy to mówił król, Formoza się widocznie niecierpliwiła na swoim krześle, teraz zaś mu przerwała, mówiąc z godnością:

– Kmitowie to moi krewni.

Kamieniecki i Gniewosz, a nawet i Wilczek, mogliby byli jej rzucić się do nóg za tę odwagę, tak wspaniale wymówiła te słowa i sama była taka wspaniała; jakoż i król spojrzał na nią z uwagą, troszkę się zachmurzył, ale spytał ją grzecznie:

– Krewni? Jakaż to jest parentela?

Formoza mu to opowiedziała. Król przyjął wdzięcznie to wyjaśnienie i chciał coś na pochwałę Murysonów powiedzieć; ale właśnie w tej chwili Kergolaj, chcąc rozmowę od sztorcowatych przedmiotów odwrócić, a na gładszą drogę wprowadzić, rzekł głośno:

– Taka małmazja może się jeszcze gdzie znajdzie, ale imć Epaminondas ma inną, którą tylko sam Wulkan pijał, kiedy do Afrodyty szedł w konkur, a nie wiem, dlaczego jej skąpi żołnierzom.

Król spojrzał z uśmiechem na Kergolaja i pogroził mu palcem, Pachna rzuciła nań z lekka tryumfujące spojrzenie, Gniewosz, który wciąż bardzo żywo rozmawiał z Formozą, popatrzył na nią, jak gdyby chciał spytać: Czy nie do nas to piją? – ale tymczasem Kijas stanął z faszą przy królu, a nalewając mu kielich, protestował się mówiąc:

– Wierny poddany nawet i krwi nie skąpi swojemu panu, jeno to jest małmazja, którą się pije przy wetach.

– A więc skosztujmy – rzekł król i pijąc małymi haustami, cały kielich wypróżnił, zaczęł skinał ręką ku gospodarzowi i dodał, jak gdyby na złość Formozie:

– Winszuję ci takiej piwnicy. Jeno Kmitów do niej nie wpuszczaj, bo niebawem twoje beczki by ci tak zadzwoniły, że i u św. Jura tak pięknie nie dzwonią.

Tu Gniewosz ścisnął Formozę za rękę, jak gdyby ją chciał za króla przeprosić, ona go zrozumiała i spojrzała wdzięcznymi oczyma na niego – a wtedy już pić zaczęto, co szyja strzymała. Tigranes wziął flaszkę małmazji do ręki i pilnie dolewał królowi. Zarazem mały gwar się zaczął robić przy stole, król się coraz więcej od Formozy odsuwał, a przysuwał do Pachny, już ją kilka razy tak silnie ścisnął za rękę, że musiała zęby zacisnąć, aby nie krzyknąć, ale nie krzyknęła, królowi oczy zaczęły się świecić jak węgle, rozparł się szeroko, przysunął się do Pachny tak blisko, że się ich krzesła stykały, i tak patrząc przed siebie, chwilami nie wiedział już, co ma powiedzieć. Zdawało się, że byłby wolał najlepiej, gdyby to tałałajstwo precz sobie poszło od stołu. Nareszcie widząc, iż Tigranes wciąż jego kielicha pilnuje, zapytał Wilczka dość głośno:

– Któryż to jest ten jakiś wyporek, co mi tak ciągle dolewa?

Na te słowa Pachna cofnęła się w krzesło i chustkę do ust przycisnęła, Wilczek przechylił się przez róg stołu i odpowiadał królowi: ale i inni te nierozumne słowa słyszeli i Formoza je także słyszała. Usłyszał je także i Gniewosz i zaraz wstał, dając przez to znak biesiadnikom, ażeby także wstawali. Zaczem podał sam rękę Formozie i przeprowadził ją do drugich komnat, a inni także za nimi ruszyli.

Widać, że Gniewosz miał wielkie znaczenie u króla i wiedział, co robi, bo król wprawdzie nie wstał, ale się za to nie rozgniewał, że inni wstali, owszem, trzymając Pachnę za rękę, jeszcze kilka chwil z Wilczkiem rozmawiał. A rozmówiwszy się skinął na Tigranesa, aby przystąpił do niego. Spojrzawszy zaś na niego, choć nie wiadomo, czy przez małmazję dobrze go widział, rzekł do niego łaskawie:

– Powiada mi Wilczek, że chociaż jesteś synem kupieckim, chciałbyś służyć wojskowo, a nawet masz swoich żołnierzy.

A na to Tigranes odpowiedział mu bardzo wymownie i pięknie:

– Najjaśniejszy panie! Ja jestem synem kupieckim, ale moi ojcowie bawili się dawniej także rzemiosłem rycerskim i z bronią w rękę przyszli do Polski, a tylko dlatego, że w kraju, wtenczas obcym dla siebie, nie mogli być między rycerzy przyjęci, musieli się zająć rolnictwem, przemysłem i handlem. Wszyscy pragną jak najgoręcej, ażeby mogli do swego dawnego stanu powrócić i służyć swojemu nowemu królestwu krwią swoją i zdrowiem. Zaszczytu tego nie każdemu dostąpić, bo i do herbu dziś przystęp niełatwy, i zawód rycerski wielkich wymaga nakładów. Ja tego rzemiosła uczyłem się przez lat kilka po cudzych krajach i dworach, a z łaski mojego ojca majątku mi także nie braknie: czego mi brak, to łaski mego najjaśniejszego króla i pana, ażeby mi pozwolił własną wyszyftować chorągiew i stanąć u niego na służbę, choćby i w rzędzie ostatnim.

Więc król go wdzięcznie wysłuchał i rzekł najprzód do Wilczka:

– Mizerny chłopak na pozór, ale mu wymowy nie braknie i poczciwe ma sentymenty.

A potem powiedział Tigranesowi:

– Dziękując za dobre chęci, a to tym bardziej, ile zem nie czułem w tobie żołnierza. Aleć to i Łokietek nie był większym od ciebie, a przecie daj nam Boże każdemu oddać temu królestwu takie przysługi. Więc przygotuj sobie, co trzeba, a jak zaczną gadać o wojnie, co pono niebawem nastąpi, to zgłoś się do nas, pomieścimy cię wedle naszej możności.

Tigranes padł do nóg królowi jak długi i zalał się łzami wdzięczności, toż i Kijas uściskał pańskie kolana, król im się obronił; zaczem Kijas objął swojego syna w ramiona i spłakał się nad nim. Ale zaraz go zaprowadził do najbliższej komnaty, gdzie Kamieniecki, Wilczek i Kergolaj wzięli go między siebie, winszując mu łaski królewskiej i nauczając go, jak ma teraz sobie poczynać.

Król został sam z Pachną przy stole. Nikt na nich nie zwracał uwagi, takie podobno hasło dał Gniewosz; tylko Kundrat, chociaż się bawił z innymi w przyległej komnacie, co chwila rzucał ukradkiem swój wzrok ciekawy do izby jadalnej, spodziewając się może, że ujrzy tam jakie niezwykle widowisko, a może i gryząc wargi z niecierpliwości.

Gniewosz, chcąc uwolnić Formozę od słuchania niemiłych jej rozmów, a które teraz, jako znał króla, mogły się stać i śliskie cokolwiek, zaszedł z nią aż do trzeciej komnaty. Formoza dała mu się chętnie prowadzić, bo serce jej było przepełnione wdzięcznością dla niego, którą rada by była jak najprędzej mu wypowiedzieć. Jakoż jak tylko znaleźli się w trzeciej komnacie, sama go ścisnęła za rękę i rzekła głosem dźwięcznym i całkiem swobodnym:

– Dziękuję waszej miłości z całego serca, żeś mnie od tej niemiłej kompanii uwolnił. Jaki mój mąż jest, taki jest, zawsze to mój mąż, a kto ludzkie ma serce, ten nie powinien go poniewierać w mej obecności. Ile razy kto o tym zapomni, zawsze sama stoję w jego obronie, ale tym razem ubliżył jemu ktoś taki, który ma przywilej poniewierania ludzi bezkarnie. Wasza miłość pierwszy spostrzegłeś, że chociaż krew zakipiła we mnie, byłam bezbronną i z szlachetnością rycerską zlitowałeś się nade mną: winnam mu wdzięczność i rada to wyznaje, że będę mu ją winna przez całe życie.

Przemowa ta sprawiła na Gniewosza przejmujące wrażenie: jeżeli dotąd widok pięknej Formozy tylko zaproszył mu serce, to teraz w tym sercu obudziło się uwielbienie dla wspańskiego i wcale rycerskiego umysłu tej wyniosłej kobiety, która z takim zręczeniem się siebie dopełnia swojego obowiązku względem swojego męża. Pod tym wrażeniem Gniewosz już nie wypuścił jej ręki z swojej gorącej dłoni i rzekł z zapalem:

– W tej najszczęśliwszej chwili mojego życia jestem najnieszczęśliwszym z ludzi! Bo kiedy bym rad życie moje waszmość pani poświęcić, nie wiem, azali będę przyjętym...

Na to Formoza wysunęła swą rękę z jego dłoni i powiedziała głosem drżącym od żalu:

– Na tym świecie są dusze sobie pokrewne, które muszą spotkać się ze sobą. Ale kiedy los jest im zawistnym, spotykają się z sobą za późno. Jestem sakramentem związaną z innym i przysięgi mojej złamać nie mogę.

– Jeśliby była wola po temu – zawołał Gniewosz – to sakrament nie będzie przeszkodą. Są przecie rozwody...

Formoza nigdy nie myślała o rozwodzie, nie miała do tego żadnego powodu. Teraz ta myśl oświeciła jej umysł jak błyskawica i całym jej wnętrzem zatrzęsała. Umiała jednak zapanować nad sobą i rzekła spokojnie:

– Nie wiem, czy w tym wypadku, gdzie mnie nikt do zameścia nie zmuszał i gdzie nie mam żadnej winy do zarzucenia mojemu mężowi, rozwód byłby możebny.

Tu Gniewoszowi błysnęła myśl, którą zrazu odrzucił, potem walczył ze sobą przez okamgnienie, aż wreszcie zwyciężył się, zdobył się na odwagę i rzekł:

– Jeżeli prawdą jest, co ludzie mówią, to rozwód jest pewny.

Na te słowa Formozie krew uderzyła do twarzy, że się stała prawie paśową, ziemia się pod nią zachwiała; ale i jej nie brakło odwagi, więc chociaż oczy spuściła ku ziemi, odpowiedziała:

– Prawda.

Natenczas Gniewosz nie umiał już zapanować nad sobą, porwał jej rękę i zawołał głosem pełnym radości:

– Więc jesteście moją!

A porwany najwyższym szaleńcem, tym szaleńcem wszechmocnym, co jak orkan na morzu porywa okręt olbrzymi i jak łupinę orzecha unosi ze sobą, porwał krucyfiks, który stał na małej szafce pod ścianą, i podniósłszy go w górę, zawołał:

– Przysięgam tobie na ten krzyż Pański i na mój honor rycerski, że poty na żadną kobietę nie spojrzę, dopóki kapłan tego Chrystusa Pana nie połączy nas ze sobą na wieki! Resztę zaś mnie pozostaw: będę umiał uszanować twoje zacne uczucia i wszystko sam zrobię.

Więc Formoza ścisnęła go z całej siły za rękę i rzekła:

– Moje gorące modły towarzyszyć ci będą, niechaj ci Pan Bóg pomaga.

Tak się odprawił ten ślub cywilny ówczesny – jakże niepodobny do ślubów cywilnych dzisiejszych! – pomiędzy szlachetnym młodzieńcem i szlachetną kobietą; zaczęli uszczęśliwieni

oboje i pełni wiary w swą przyszłość szczęśliwą, przeszli do pierwszej komnaty, gdzie Tigranes opowiadał swoim słuchaczom, jak uzbroi i jak ubierze swoją chorągiew, i jak będzie nią gromił Wołochów, Tatarów i Turków.

Jak obaczył Formozę, przypomniał sobie nareszcie, że ma żonę, którą by jego szczęście mogło obchodzić, przyskoczył więc do niej i zaczął jej opowiadać, jaką miał mowę do króla i co mu król odpowiedział.

Jednak Formoza tym razem słuchała go z miernym zajęciem, cieszyła się jego szczęściem, ale z umiarkowaniem.

Gniewosz zaś zajął przez próg do izby jadalnej. Tam waleczna Pachna już całkiem króla zdobyła, poddał jej się widocznie na łaskę i niełaskę; jedną ręką obejmował jej ramiona, a drugą trzymał jej rękę w swej dłoni, a spieczonymi gorączką ustami szeptał jej jakieś tajemnice do ucha. Tak szeptał jej jeszcze przez chwilę, po czym usłyszawszy zapewne kroki Gniewosza, obejrzał się, wstał, spróbował nogami, czy ziemia kupy się trzyma, i zawołał:

– Gniewosz! czas pono do domu.

Zaczem wszyscy żegnali się z gospodarzami, dziękując im za gościnę, i wyszli. Formoza wcale nie żegnała się z królem, natomiast Pachna wyszła razem z wszystkimi, licząc zapewne na to, że który z mężczyzn ją odprowadzi. Kiedy stanęli przed kamienicą, obaczyli kwoczkę na niebie, jako już stała z północy, ale na ziemi niewiele widzieli, bo noc była ciemna. Przy bramie stał Frącek Ajchingier z halabardnikami, ale pochodni jeszcze nie zapalił, bo go nie uprzedzono. Gniewosz dał mu znak ręką, aby stał cicho, sam zaś się oglądał za królem. Ale obaczył Kamienieckiego, Kergolaja i Wilczka koło siebie; Łopatka był także, ale nalany małmazją nad miarę, trzymał dzielnie kamienicę Kijasa w obydwóch rękach, aby mu się nie wysnęła, bo pewnie by gruchnęła na ziemię, i co by król na to powiedział? ale króla nie było. Natenczas Gniewosz wyteżył wzrok naokoło i dostrzegł o kilkanaście kroków dwa cienie, jeden kobiecy, a drugi męski, jak przytuliwszy się do siebie, oddalały się szybkim krokiem ku Halickiej ulicy. I sztuczny Kergolaj dojrzał je także, a spojrzawszy mieniącymi się oczyma na Gniewosza, klasnął w ręce i zawołał:

– Wierz tu kobiecie!

Ale Gniewoszowi nie było do śmiechu, bo przecież na nim spoczywało bezpieczeństwo osoby królewskiej. Spojrzał więc na Łopatkę, jako na miejscowego starostę, lecz obaczywszy go w takich miłosnych z kamienicą Kijasa objęciach, machnął ręką i rzucił okiem na Ajchingiera. Zaczem go wziął za guzik od jego czerwonego kaftana i rzekł:

– Umiesz ty milczeć?

– Podług rozkazu – rzekł Frącek.

– Idźże więc, kędy król poszedł, i tam stań, ale tak, aby nikt cię nie widział, zaś twoich halabardników porozstawiaj o kilkanaście kroków jeden od drugiego od tego domu, gdzie król jest, aż do samego zamku. I tak stać będziesz, aż póki król do zamku nie wróci.

Taki mu Gniewosz dał rozkaz; rozkaz nielitościwy dla wielbiciela Pachny, jeśli miał serce. O tym wszakże trudno się było od niego dowiedzieć, bo był zawsze milczący i w sobie zamknięty. Cóżkolwiek bądź, rozkaz z sumiennością niemiecką wykonał. Gniewosz zaś poszedł na zamek, ale nie kładł się do snu, tylko siedł na kamieniu przy bramie zamkowej i tak dosiedział do rana.

Jeszcze dopiero mało co świtać zaczęło, kiedy król przyszedł. Był lekki i kontent, i wesół jak rzadko, wziął Gniewosza za rękę i zaprowadził go do swojej sypialni. Tam zaś rzekł śmiejąc się do niego:

– To cały diablik ta wasza Pachna. Niechże ich piorun trzaśnie tych lwowskich Rusinów, jakie mają kobiety. Niewiem, jakim się to stało sposobem, zem dotąd o tym nie wiedział; byłbym ich częściej nawiedzał.

Gniewosz milczał.

– A ty? – mówił król dalej – bo i tyś tam nie próżnował w tej ormiańskiej fortecy. Kobieta to jak wieża z słoniowej kości i patrzy z góry na człeka, jak wieża. Ale co się komu podoba. Nie dziwię ci się zresztą, żeś sobie w niej upodobał, bo wcale wspaniała, a pono i w korcu maku by takich drugich dwoje nie dobrał. Cóż tam zrobił?

– Najjaśniejszy panie! – rzekł Gniewosz poważnie – jeśli mam prawdę powiedzieć, to jestem z nią po słowie.

– Po słowie? – zawołał król, śmiejąc się głośno – jak to? a przecież sameś mi powiedział, że to kobieta zamężna, chyba żeś skłamał.

– Juźci zamężna – rzekł Gniewosz – ale mam w Bogu nadzieję, że ją rozwiodę. Są kano-niczne powody, a przede wszystkim rachuję na łaskę mojego króla i pana.

– Siadaj no – powie mu król, któremu wcale spać się nie chciało, a sprawa ta bardzo go za-ciekawiła – siadaj no, a powiadaj, jak to tam jest.

Gniewosz nie chciał go wtajemniczać we wszystko, a przeto starał się tylko przekonać go, że jeżeli on zechce, to władze kościelne mu nie odmówią rozwodu. Król kochający go szcze-rze, słuchał go bardzo uważnie i pilnie nad tym rozmyślał, po czym jako człowiek uczony i znający na palcach historią swojego kraju, zawołał najprzód:

– Co tam władze kościelne! My tu jesteśmy na Rusi, a tutaj wszystkie prawa inaczej się praktykują. Ona jest katoliczka, a mąż jej jest prawosławny, pewnie nie w katolickim kościele ślub brali, więc już to samo wystarczy – a nawet i biskupa do tego nie trzeba. Jeśli mnie pa-mięć nie myli, to temu lat właśnie czterdzieści Odrowąż, wojewoda ruski natenczas, rozwią-zał z własnej swej mocy ślub taki pomiędzy Protaszem z Chodorostawu a Fedką Rusinką, podobno nawet z domu Łopatyczówną jak Pachna. Gdzie jest Łopatka? wołaj go tutaj, on nam to dokładniej opowie.

Tu Gniewosz musiał chcąc nie chcąc powiedzieć królowi, że Łopatka się właśnie z kamie-nicą Kijasa ożenił i pewnie się jeszcze dotąd nie rozwiodł, więc król się śmiał do rozpuku, a potem zawołał:

– Ot, co tam! bądź dobrej myśli, już ja to biorę na siebie. A zresztą, kiedy by już cał in-aczaj nie można, to ci żonę kupimy. To naród kupiecki, handluje wszystkim, nawet towarem kosmatym. Więc my jej męża zrobimy szlachcicem, a choćby nawet rycerzem, a on ci za to żonę odstąpi.

Więc Gniewosz niezmiernie się rozradował, otworzył swe serce przed królem i opowiadał mu wszystkie swe tajemnice.

A wtedy całkiem już rozedniało i słońce już wzeszło – a razem ze słońcem wszedł giermek i oddał list Gniewoszowi, mówiąc, że z tym listem goniec od jego matki w nocy przyjechał, powiada, że rzecz bardzo pilna, i chciał się sam do komnat dobijać. Gniewosz list prędko przeczytał i jakoś mu się twarz przeciągnęła. Król spytał, co stoi w liście.

– Moja matka jest na zamku sobieńskim – rzekł Gniewosz – i prosi, ażeby, nie czekając, zaraz do niej przyjeżdżał, dla jakichś pilnych spraw familijnych. Jestem pewnym, że nie masz tam nic tak pilnego, jeno że stąd bliżej na Sobień niż do Czorsztyna, więc chciałaby z tej oka-zji skorzystać i zobaczyć się ze mną.

– To jedź – rzecze król łaskawie – zawsze lepiej, że ty tam pojedziesz, niżeli żeby ona tu przyjechała. Usłyszałbyś niejedno kazanie, a jeszcze i mnie by się przy tym co oberwało. Jedź, mam przecie Wilczka, który ciebie zastąpi. Słuchajże, Gniewosz, ja tutaj co najmniej z jakie dwa tygodnie zabawię, ten tedy czas możesz sobie na Sobniu przesiedzieć, ale potem już wracaj, albo tu, albo też do Krakowa, gdzie właśnie będę. Kiedyż wyjeżdżasz?

– Zaraz – rzekł Gniewosz – ażebym jutro stanął na Sobniu.

Więc król położył rękę na jego ramieniu i rzekł:

– Jedźże zdrów, a wracaj nam prędko.

Gniewosz pokłonił się królowi i wyszedł do antykamery, ażeby dworzanom królewskim i paziom wydać instrukcją, a zarazem zdać służbę Wilczkowi. Zastał tam wszystkich, a z nimi

Wilczka i Kergolaja, którzy codziennie rano musieli się stawić w antykamerze, ażeby się dowiedzieć, jakie są na ten dzień królewskie rozkazy. Gniewosz opowiedział im, że wyjeżdża, i zdał swój urząd Wilczkowi. Wilczek na to westchnął głęboko i rzekł:

– Wolałbym ja jechać na Sobień za ciebie! Myślałem już, że się wyrwę i co najpóźniej razem z Kamienieckim odjadę, a ono, jak widzę, całą wieczność mi tu przyjdzie przesiedzieć.

Wszelako prawie jednocześnie z Wilczkiem zawołał Kergolaj:

– Ty jedziesz na Sobień? Słysz, Niewosz, nie poróbże tam jakich plotek na mnie przed panną Jagienką. Bom ja po różę dla niej pojechał, a tymczasem się tutaj zabawiam. Powiedzże jej co rozumnego, powiedz jej, że mi król kazał zaczekać na siebie we Lwowie...

Na to Wilczek spojrział z pogardą na Francuza i rzekł szyderczo:

– Już tam Jagienka usycha za twoją różą!

Jednak Gniewosz nie zważał wcale na słowa Francuza, a odpowiedział Wilczkowi:

– I ja bym się chętnie z tobą pomieniał. Ale to nie długo się będziesz męczyć tą służbą. Za dwa tygodnie powrócę i zdejmę z ciebie ten ciężar...

To rzekłszy, pożegnał się z nimi, a kazawszy swoim żołnierzom nagotować się w lot do podróży, pobiegł do kamienicy Kijasa, aby się i tam jeszcze pożegnać. Formoza przyjęła tę smutną wiadomość z żalem, ale ze zwykłym sobie spokojem. Gniewosz znalazł sposobność szepnąć jej kilka słów pocieszających do ucha, z których powzięła, że jego wczorajsza przysięga nie wypłynęła z dymów małmazji, lecz z głębi serca, a jego umysł rycerski jej służył za świadka i będzie służyć za stróża. Formoza o tym nie wątpiła ani na chwilę, ale usłyszeć te same słowa nazajutrz w dzień biały było dla niej nieocenioną pociechą. Żegnać się, zawsze to smutno: ale dwa tygodnie, to dla cierpliwych mgnienie oka. Pożegnali się zatem prawie wesoło – i Gniewosz jeszcze przed południem odjechał.

Wilczek został się na służbie przy królu jak pies na obroży. Każdy inny na jego miejscu, a zwłaszcza tak młody, byłby się czuł uszczęśliwionym, otrzymawszy urząd marszałka przy królu a zarazem zwierzchnictwo nad jego paziami, pomiędzy którymi znajdowali się Melsztyńscy, Koniecpolscy, Zbarascy, Herburtowie, Górkowie i inni synowie najświetniejszych rodzin królestwa: ale jemu ścisłało się serce z tęsknoty i jak śmiertelna rana go to bolało, że tak wyjechał z zamku na Sobniu prawie bez pożegnania, na dzień lub dwa dni, a wpadł w taką długą niewolę, która nawet nie wiedzieć, kiedy się skończy. Wprawdzie Jagienka kazała go przez Ramułta bardzo uprzejmie pozdrowić i o ile to mogła, dać mu do zrozumienia, że tęskni za nim i wie bardzo dobrze, co to jest rozkaz królewski; Wilczek kazał sobie przez Ramułta jej słowa po dwa i trzy razy na dzień powtarzać, bo zawsze w nich wielką znajdował pociechę; ale gdzież jest pociecha na tę miłosną tęsknicę, która dopiero wtedy znika, kiedy się ukochaną osobę żywymi oczyma obaczy? Wilczek był chmurny, milczący, szorstki w obejściu, a nawet cierpki dla swoich podwładnych. Zanadto dumny, ażeby się komu zwierzył ze swoich boleści, cierpiał z godnością, nie pozwalając nikomu ani się nawet domyślać, jaki nielitościwy robak serce mu gryzie. Przewycięzał się mężnie wobec obcych, ale kiedy był sam, to czasem taka brała go niecierpliwość, że byłby był wszystko wytrząsał, co miał koło siebie, byłby był gotów samego króla znieważać, nieraz nawet wśród nocy bezsennych przychodziła mu myśl wcale szalona, wszystko porzucić, uciec z Niskiego Zamku i polecieć na Sobień. Rano te rozpaczliwe uczucia znowu go porzuciły i znowu swe bole w sobie zamykał, pełniąc swą służbę z chmurą na czole, ale jak gdyby nic nigdy nie było.

Kamieniecki, który wiedział o wszystkim, mógłby był go pocieszyć; ale Kamieniecki był znacznie starszy od niego, żonaty i ojciec dzieciom, nie miał dla takich bólów i tęsknot dosyć żywego współczucia, natomiast zaś był pełen osobistych ambicji i pełen troski o sprawy publiczne, po całych dniach zatem był zajęty politycznymi dyskursami ze szlachtą nawiedzającą króla, a nawet po całych nocach śnił tylko o politycznych i wojskowych projektach. Kamieniecki zresztą jeszcze mu kilka razy powtórzył, że jak tylko się od służby uwolni, pojedzie w

swaty na Sobień. Kamieniecki człek słowny, więc było w tym właśnie tyle pociechy, ile Wilczek mógł słusznie od niego wymagać.

Tymczasem w mieście zaczął się coraz żywiej objawiać ruch bardzo przyjazny dla króla. O jego nocnych wycieczkach nikt nic nie wiedział – gdyby nawet były jakie plotki o tym chodziły, to nie byłyby mu żadnej ujmy przyniosły: ówcześni mieszkańcy miast bardzo liberalnie zapatrywali się na obyczaje. Natomiast zaś wszyscy byli zdania, że król jest bardzo rozumny, uprzejmy, uczynny, dobry dla wszystkich – i bodajby Bóg zawsze karał Polskę takimi królami. Do rozniesienia takich sentymentów dla króla najczęściej przyczynił się Kijas, który się uniósł uczuciem wdzięczności dla niego za jego łaskawość dla Tigranesa, ciągle przedniejszych mieszczan odwiedzał i przyjmował u siebie, wszędzie wychwalał wspaniałość i dobroć królewską i ustawicznie podnosił myśl, że należałoby uczcić tego dobrego pana jakimś świetnym festynem, ażeby się przecie przekonał, jakich wiernych poddanych ma w mieście Lemburgu – a co się im także bez wątpienia nagrodzi, bo to pan szlachetny i hojny i zawsze oddaje dobre za nadobne. Jakoż już w parę dni po wieczerzy Kijasa myśl ta się powszechnie przyjęła i chodziło już tylko o to, jak by ten festyn urządzić.

Tu wszakże Francuz, któremu nigdy konceptów nie brakło, przyszedł mieszczanom z pomocą. Zdaje się, że Kergolaj miał także w tym jakiś interes, ażeby króla jak najlepiej zabawić. Nie miał on już zamiaru powracać ani do Włoch, ani do Francji, pragnął w Polsce pozostać, ale tu jeszcze odpowiedniej pozycji nie znalazł. Był wprawdzie królewskim rotmistrzem, ale bez chorągwi, a takie rotmistrzostwo *in partibus*¹¹⁴ nie mogło mu odpowiadać. O dwie rzeczy mógł się pokusić: albo o pełną chorągiew przy boku królewskim, albo o kasztelanią, z którą razem otrzymałby, przynajmniej w razie wojny, dowództwo nad pospolitym ruszeniem całego powiatu. Ale i jedno, i drugie zależało od łaski królewskiej, którą potrzeba było sobie zaskarbić. W tym celu przemyślny Francuz już królowi Pachnę odstąpił, a może tylko na czas jego lwowskiego pobytu pożyczył, ale to jeszcze niewielka usługa, trzeba oddawać mu inne. Zaczem, jak tylko się dowiedział, że miasto chce festyn wyprawić dla króla, poddał Kijasowi myśl przedstawienia na ratuszu misterium i ofiarował sam tekstu dostarczyć i urządzić całą scenerią. Myśl ta została przyjęta przez całą miejską starszyczkę z jednogłośnym oklaskiem: król lubi igrzyska, mówiono, będzie nam wdzięczny za taką grzeczną rozrywkę, a przy tym też i miasto się przystojnie zabawi. I już się chciano z tą myślą udawać do księży dominikanów... Ale Kergolaj przeciw temu zaprotestował mówiąc:

– Niechże Bóg broni! Dominikanie mają same stare misterie, co już się naszym pradziadom znudziły, chyba że chcecie, ażeby król na nich poziewał. Ja mam najnowsze misterie francuskie, które tej zimy, kiedym chorował w Krakowie, przetłumaczyłem na język polski, a które chciałem grać na zamku królewskim, jeno że mi tego królewicz Fryderyk zakazał. On sam byłby pozwolił, bo się zna na tym, ale jego kanonicy go na mnie naszczuli, mówiąc, że człowiek świecki nie ma misteriami się parać, bo to jest przywilejem osób duchownych. Otóż ja z tych misteriów co najpiękniejsze wybiorę i całe przedstawienie sam wam urządzę.

Więc mieszczanie z Kijasem na czele, wysłuchawszy go i wyrozumiawszy gruntownie, kiwali jeden za drugim głowami i z wielkim respektem mu dziękowali za łaskę, prosząc go przy tym, aby nie szczędził wydatków, byle tylko miasto się pokazało przed królem.

Kergolaj tedy zaraz się wziął do roboty i przez noc bardzo piękne ułożył misterium, w które objął trochę rzeczy dawniejszych, ale dodał także i nowszych, jakie dla ożywienia takich przedstawień scenicznych niedawno pomyślano we Francji. Misterium to zaczynało się starym zwyczajem od tego, że Bóg Ojciec siedzi na tronie, kiedy Chrystusa Pana krzyżują za sceną i bardzo budujący prowadzi dialog z aniołami. Potem występują na scenę cztery główne cnoty chrześcijańskie i trzy cnoty teologiczne, z drugiej zaś strony występuje siedm innych postaci, które przedstawiają siedm grzechów głównych; pomiędzy tymi dwoma zastępami wywiązują się dialogi, w które Kergolaj włożył bardzo wiele rzeczy dowcipnych, ażeby się

¹¹⁴ *in partibus* (łac.) – w części

król nimi zabawił; potem wprawdzie między cnotami a grzechami wszczyną się bitwa, w której chwilami ten i ów grzech jest niby górą i o mało że cnoty nie pobił, z czego się wyradzają sceny nadzwyczajnie komiczne, ale na koniec cnoty tłuką wszystkie grzechy na miazgę, spędzają je z teatrum i otrębują zwycięstwo.

Kergolaj czytał główniejsze sceny Kijasowi, Kijas, niektóre zanadto pieprzne wyrażenia grzechów osłodził, ale całość pochwalił i pod przewodnictwem Kundrata oddał mu wszystkie swoje magazyny i wszystkich swoich kupczyków do dyspozycji, ażeby mu zwłaszcza aniołów nie brakło, których młodzież sklepowa mogła doskonale udawać. Kergolaj zatem dał Kundratowi jak najdokładniejsze instrukcje, poruczył mu zbudowanie sceny przed ratuszem, sporządzenie ubiorów i dekoracji, a nawet i co do wyboru osób, mających przedstawiać rozmaite figury, całkiem się spuścił na niego. Tak postępując, dał mu dowód swojego zaufania i zachęcił go do roboty: ale nie wiedzieć, czy dobrze to zrobił, że Kundratowi taką ważną rolę w tym przedsiębiorstwie wyznaczył i czy nie przyniesie to jakiej ujmy samej reprezentacji.

Cóżkolwiek bądź, w tydzień potem albo mało co więcej, kiedy już wszystkie ubiory były uszyte, dekoracje wymalowane i wszystkie inne przybory gotowe, a aktorowie dobrze swe role umieli i już się miano zabierać do budowania teatru, Kijas na czele przedniejszych mieszczan udał się w deputacji do króla, aby go na to misterium zaprosić. Król już był o tym uprzedzony sekretnie, więc przyjął deputacją bardzo uprzejmie, przyrzekł, że na misterium przyjedzie, a nawet zapowiedział jej, że tego dnia po południu da wielki obiad na Niskim Zamku i zaprosił nań zaraz miejską starszyznę. Radość więc była wielka pomiędzy mieszczanymi i w całym mieście oczekiwano z niecierpliwością dnia tego, który się miał na wieczne czasy upamiętnić w annałach miasta.

Nareszcie nadeszła owa tak niecierpliwie oczekiwana niedziela. Już zaraz z południa niezliczone tłumy ludności napełniły cały rynek tak gęsto, że ledwie się można było przez nie przecisnąć. Wszyscy podziwiali misterną strukturę sceny, która przed główną bramą ratusza była zbudowana z desek na wysokości prawie pół sążnia nad brukiem; scena była wysoko płótnem żaglowym nakryta, po bokach zaś zasłonięta czerwonymi firankami, gdzie były schody, przez które aktorowie mieli wstępować na scenę. Po jednej i drugiej stronie sceny, która była otoczona drewnianymi balustradami, powbijano w ziemię drewniane słupy, większe i mniejsze, na większych powiewały chorągwie z herbami króla, miasta Lwowa i Ziemi Ruskich, na mniejszych były przymocowane kosze żelazne, napełnione łuczywem. Po obydwóch rogach sceny stały beczki ze smołą, które miano zapalić podczas reprezentacji. W głębi sceny stał tron wyłożony, otoczony ze wszystkich stron białymi chmurami, zrobionymi bardzo zmyślnie z cieniutko rozczesanej bawełny. Takież chmury, poprzyczepiane do płóciennego dachu, spuszczały się z góry na tron, za którego plecyma było jeszcze jedno wyjście przez schody w bramę i w dziedzińce ratusza. Zgoła było to wszystko tak piękne i tak zrobione misternie, że publiczność nie mogła się dosyć nadziwić i bardzo żywo o tym gwarzyła na rynku.

Ale jeszcze się ten nie urodził, co by wszystkim dogodził: były więc i krytyki. Ten ganił to, drugi owo, a byli i tacy, co same myśl naganiali, mówiąc: że świeckim ludziom misterium grać się nie godzi, że to jest przeciwko dawnym obyczajom, a nawet przeciw kanonom. Takiego zdania jest arcybiskup, bo chociaż go zaproszono, przecie odmówił. Jakiś ksiądz albo pielgrzym, znajdujący się między gminem, powiadał, że arcybiskup nawet rybałtom zakazał mieszać się do tego misterium, ale ktoś drugi, lepiej rzeczy świadomy, zaprzeczył temu, utrzymując na pewno, że właśnie rybałci grać będą trzy cnoty teologiczne i niektórych aniołów. Inni opowiadali, że księża dominikanie zanieśli prośbę do króla, ażeby tego misterium zakazał. a ich teolog jemu jak na dłoni wyłożył, że przedstawienie świętych tajemnic przez ludzi świeckich jest świętokradztwem, a nawet infrakcją¹¹⁵ w przywileje duchowne; ale król pono im powiedział: „że on także jakieś ma przywileje, w które dominikanie swojego nosa

¹¹⁵ infrakcją (łac.) – naruszenie

wtykać nie mają”. Zaczem kiedy i franciszkanie przyszli z tym samym do niego, już ich wcale przed siebie nie puścił. W innych grupach widziano mnichów, jako coś wykładali ludowi, i uważano, że po takim wykładzie lud się rozchodził; ale i Kundrat szył także jak raca pomiędzy ludem, a gdzie on się pokazał, tam lud się znowu gromadził i wracał na rynek. Rzecz oczywista, że Kundrat, jako reżyser, musiał dbać o to, żeby publiczność jak najliczniej gromadziła się na to widowisko, które tyle pracy go kosztowało.

Dzień ten zdawał się wszystkim niezmiernie długi, ale przecież na koniec się zmierzchać zaczęło. O zmroku pozapalano kagańce, luczywa i beczki ze smołą i oświecono cały rynek jak we dzień. Ten sposób oświetlania teatru kopcił cokolwiek, ale wcale nie psuł efektu, owszem, przeciwnie czarne chmury dymu, otaczające scenę z zewnątrz doskonale harmoniowały z białymi chmurami porozwieszanymi na scenie, zwłaszcza że rzecz dzieje się w niebie znajdującym się w chmurach. Na widok światła otworzyły się okna wszystkich kamienic otaczających rynek i napełniły widzami, toż i cały rynek napełnił się ludem, który gęsto jak zbożem na łanie otoczył scenę i trzy fronty ratusza. Uliczne hultajstwo powyłaziło na słupy, na balustrady i na dach samegoż teatru, ażeby z bliska przypatrzeć się widowisku. Na żądanie niecierplivej publiki musiano nawet przed rozpoczęciem widowiska porozsuwać boczne firanki, ażeby otworzyć widok sceny na wszystkie strony.

Niebawem przybył król konno, z całym swym dworem, i stanął naprzeciw sceny. Z konia mógł lepiej widzieć całe teatrum – stawiania ławek piętrzących się jedna na drugą lub zgola trybun dzisiejszych jeszcze wtedy nie znano. Po lewej stronie króla stali na koniach kasztelan i Łopatka, po prawej Kamieniecki i Wilczek, dalej kilkunastu szlachty, zaproszonej przez króla, a wreszcie żołnierze królewscy, dworzanie i młodzi paziowie, bardzo ciekawi tej tragedii francuskiej napisanej przez Kergolaja, którego dla jego dowcipu mieli w wielkim respekcie. Przyjechał także Olizar, ale jako nie należący do królewskiego dworu, a przeto muszący mieć swój dwór własny, przybył na czele dwunastu kozaków, w bardzo piękne mundury pobieranych. Lud, widowiska ciekawy, chciał mu bronić przystępu, ale Olizar zrobił sobie rum koniem, a jego kozacy bardzo wygodne uczynili mu miejsce, wymiatając lud nahajkami, które jako broń narodową zawsze mieli za pasem. Dla konsulów miasta i innych mieszczan przedniejszych poustawiano stołki przy balustradach oddzielających scenę od publiczności, pomiędzy nimi mieściły się, jak mogły, ich zacne matrony i córki – a zresztą ten i ów także przyniósł stołek dla swojej żony, niektórzy nawet poprzynosili stoły i powysadzali na nie swoje żony i dzieci. Frącek Ajchingier i *consul nocturnus*, lubiący porządek, bardzo kiwali głowami na tę swawolę, ale się odzywać nie mogli, bo król zakazał wszystkim drabom, tak zamkowym, jak też i miejskim (tak niegrzecznie nazywano wówczas policję) przeszkadzać widzom, bo chciał, aby dnia tego lud się bawił swobodnie.

Lud też przez wdzięczność powitał króla przeciągłym okrzykiem i ruchem bałwanowatym, jako fale na morzu, bo każdy chciał go zobaczyć; ale zaledwie się te bałwany uspokoiły, odezwał się dzwon za sceną wewnątrz ratusza – i zaczęło się widowisko.

Tu zaraz na samym wstępie stał się cud cale dziwny, którego nikt sobie nie umiał wytłumaczyć, bo kiedy publiczność na odgłos dzwonu odwróciła oczy od króla na scenę, to tam na owym próżnym dotychczas tronie między bawelnianymi chmurami już siedział Bóg Ojciec – a nikt nie wiedział, jak się tam dostał. A że Boga Ojca, boć rolę tak ważną trudno miał komu innemu powierzyć, grał sam Kergolaj, o czym już wszyscy wiedzieli, więc obok szmeru zdziwienia odezwały się także różne uwagi pomiędzy ludem. Jedni mówili: – Diabeł nie Francuz – drudzy zaś dodawali: – Pewno że charakternik, jak wszyscy Francuzi. – Trzeci zaś, mniej ukształceni, pytali: – Jestli to sam Bóg Ojciec czy jaki święty? – na co odpowiadali uczeńsi: – Może być Bóg Ojciec albo też *Jupiter tonans*¹¹⁶, bo trzyma piorun w swych rękach.

Tymczasem Kergolaj był wcale imponująco ubrany: miał długą białą brodę z bawełny i złotą koronę na głowie, suknię białą, fałdzistą z szerokimi rękawami i cały pęk błyskawic przy

¹¹⁶ *Jupiter tonans* (łac.) – Jowisz grzmiący

sobie, bardzo misternie wyciętych z pozłocistego papieru. Oparty wygodnie o tył czerwono wyścielonego tronu, tymczasem spał sobie.

Jednak niebawem schodami z obydwóch stron zaczęli wchodzić na scenę aniołowie rozmaitego wieku i wzrostu. Były pomiędzy nimi wyrostki, inni mniejsi, a wreszcie i małe chłopięta, wszyscy biało ubrani, ci ze skrzydłami, a drudzy bez skrzydeł, jeden niósł lutnię, drugi harfę, a trzeci trąbę mosiężną. Pomędzy widzami szeptano sobie, że są to poprzebierani rybale, którzy grać będą hejnał przed Bogiem Ojcem. Jakoż istotnie teraz odezwała się muzyka, ale za tronem, muzyka bardzo cichutka, jak gdyby tylko wiatr przebiegał po harfach, ale tym głębsze czyniąca wrażenie: publiczność przycichła, jak mak siał, a nastrój jej podniósł się bardzo wysoko.

A wtedy wyszedł wielki anioł na scenę z długimi skrzydłami u ramion i długim wężykowatym mieczem w prawicy, pokłonił się nisko przed Bogiem Ojcem i rzekł

– Boże Ojcze! Żydzi twojego syna krzyżują!

Na to Bóg Ojciec się zbudził, ale oczy tylko przez połowę otworzył, tymi na wpeł przy-mrużonymi oczyma spojrzął chmurnie na anioła i zawołał:

– Czego mnie budzisz, gałganie! Idź sobie do diabła i daj mi spokój.

Anioł zeszedł ze sceny. Król się głośno roześmiał, a za nim jego wszyscy dworzanie; ale pomiędzy publicznością zaczęto szemrać i sarkać. Dwóch mieszczan, przy samej balustradzie stojących, zaczęło się nawet spierać ze sobą, a jeden z nich, w dużym birecie niemieckim, rzekł głośno:

– Nie godzi się przecie, ażeby jakiś Francuz, co nawet Bóg wie, kto on tam jest, tak poniewierał aniołów Pańskich.

Ale drugi odpowiedział mu na to:

– Jaki z waści symplicjusz!¹¹⁷ Przecie to nie Francuz mówi, jeno Bóg Ojciec, a przecie panu wolno wytuzać swojego sługę, kiedy co zbroi.

Więc pierwszy zrozumiał i rzekł:

– A! to Bóg Ojciec obruszył się na anioła, więc tedy nie ma co mówić.

Mimo tej eksplikacji szemranie wciąż trwało, czym jednak Bóg Ojciec nie dał się wcale zbić z tropu i grał dalej wybornie swą rolę. Jakoż kiedy anioł zeszedł ze sceny, on się znów oparł o tył swojego tronu, zamrużył oczy i zasnął, a we śnie tak mówił:

– Już mi tu św. Piotr tyle nawpuszczał tych aniołów, że przez nich ani się nawet wyspać nie mogę. Zmyję ja jemu za to łysinę, jak go obaczę; jeno że się kryje przede mną, pewno znów co przeszkobał. Albo może Żydów nawraca, jako to jego jest pasja. Diabli mnie tam po Żydach wychrzczonych, jeszcze ani jeden z nich się tutaj nie dostał...

Kergolaj bardzo pięknie odegrał ten ustęp, bo zrazu mówił głośnie, potem zaś jako człowiek usypiający głos zniżał, a ostatnie słowa już tylko wyszeptał, że ledwie je można było dosłyszeć. Znaczący też bardzo admiirowali tę grę wyborną i kiwali głowami; ale pomiędzy publicznością, na nieszczęście aktorów, znaczący bardzo niewiele, więc znowu szmer poszedł po niej i głośno sarkanie. Mieszczanin w birecie znów się oburzył i zaczął wołać:

– A co to? mówić o św. Piotrze z takim lekceważeniem! myć jemu łysinę? a jakie to prawo ma Francuz do tego?

Na próżno jego sąsiad znowu go zrobił uważnym na to, że to nie Francuz mówi, tylko Bóg Ojciec, mieszczanin wszakże trwał ciągle przy swoim i mruczał dalej:

– A potem, dlaczego Żydom przygarają? my z nimi żyjemy w zgodzie: bodajby wszyscy się nawrócili...

Taki rozgovor odbywał się także po innych miejscach, z czego już było widocznym, że to misterium publiczności się nie podoba, a bardzo wielu nawet oburza. Nuż wtedy krzyknął ktoś z tłumu ogromnym głosem:

¹¹⁷ symplicjusz (łac.) – prostak, człowiek prymitywny

– Ej! panie Francuz! trzymaj ty lepiej twój język na smyczy, a nie powiadaj bluźnierstwa! bo my ci tu prędko zaswedzimy pod nosem, a jeszcze i tobie się co dostanie, choć Boga Ojca udajesz!

Nie można było dociec kto to tak wołał, choć wszyscy za nim się obejrzeni; niektórzy tylko się domyślali po głosie, że miał to być kaznodzieja księży dominikanów. Kergolaj jednak mało dbał o dominikanów i grał dalej bez przerwy.

A wtedy ów anioł z wężykowatym mieczem znów wszedł na scenę, teraz się jeszcze niżej Bogu Ojcu pokłonił, ale zaraz się wyprostował i wielkim głosem zawołał:

– Boże Ojcie! twój syna już Żydzi ukrzyżowali!

Natenczas Bóg Ojciec zerwał się z tronu jak oparzony i krzyknął:

– Jak to? mego syna już ukrzyżowano? Niechże mnie wszyscy diabli wezmą... a jam nic o tym nie wiedział!

Kergolaj miał zapewne dalej coś deklamować, ale już nie dokończył. W tej chwili bowiem hałas taki się wznosił między publiką, jak gdyby pod nią samo piekło zawrzało. Ów mieszczanin w birecie (powiadano potem, jakoby to miał być szwagier Kunderata) pierwszy na stół wyskoczył, a zaperzywszy się jak indyk i grożąc pięścią Kergolajowi, ogromnym głosem zawrzeszczał:

– To herezja! a co to! nie potrzebujemy tu takich misteriów! to *contra fidem!*...¹¹⁸

Ale już dalej trudno i jego było dosłyszeć, bo w tej chwili lud cały od tej strony ratusza przewalił się jak fala ku scenie, pod jego naciskiem balustrada pękła z traskiem jak szkło, przewracano kobiety i dzieci, wśród ogromnego hałasu wylatującego z tysiącznych gąrdzieli dał się słyszeć krzyk, jęk, pisk pokaleczonych ludzi – a jednocześnie kilkudziesięciu hultajów wpadło na scenę i rzuciło się z pięściami i maczugami na tron Boga Ojca. Pod ciężarem tej masy zaczęły deski trzeszczeć na scenie – a tymczasem ktoś rzucił zapalone łuczywo na chmury, bawełniane chmury się zapaliły, płomienie rzuciły się na dach płócienny, który także się zajął, a tak śród tego pożaru hultaje ci przewrócili tron z Kergolajem i wszystko to przewaliło się w bramę ratusza. A wtedy nikt już nie wiedział, co się tam działo: słyhać tylko było hałas i trzask ogromny i razy pałek, które tam tak gęsto jak grad na kogoś leciały. Bóg Ojciec już tam pewnie leżał na ziemi, lecz może być, że i aniołom Pańskim się trochę tych pałek dostało.

Król patrzył na tę ubijatykę i śmiał się, że aż się trzymał za boki, a jego dworacy także się śmieli. Ale był tam ktoś między widzami, któremu szemrania i wykrzykiwania publiki już z samego początku się nie podobały, bo przeszkadzały mu patrzeć i słuchać spokojnie tak pięknego misterium, zaś jak tylko obaczył Kergolaja w niebezpieczeństwie, zaraz mu przyszedł z sukursem. Tym zacnym człowiekiem był Olizar. Olizar, czy to w poczuciu, że sam był rycerzem francuskim, czyli też szczerą dla Kergolaja uniesiony przyjaźnią, jak tylko usłyszał trzask balustrady i obaczył publikę walącą się na scenę, zaraz zeskoczył z konia i dziesięciu swoim kozakom zsiąć kazał i na ich czele, z nahajkami w prawicy, rzucił się na przebój ku scenie. Waląc na prawo i na lewo i nie zważając wcale kogo wytnie nahajką, konsul nie konsul, a choćby nawet i pielgrzym z muszlami, porozbijał to tałajstwo, zrobił rum sobie i wdarł się z kozakami na scenę. Wtedy to właśnie scena się zawałiła i chmury się zapaliły, kozacy padali na ziemię, a tu się iskry im sypią na głowy, tron już się zwalił wraz z Kergolajem w bramę ratusza, palki się sypią na Boga Ojca i na aniołów, ale Olizar przecie się przebił, całą masę hultajstwa zamiótł przed sobą i zniknął w bramie za sceną. Przez palące się rusztowania i dachy nie można było dojrzeć, co się tam dalej stało w bramie i w dziedzińcu ratusza.

Król widząc, że bójka trwa ciągle za sceną, zawołał na Wilczka:

– Wilczek! weź no trochę żołnierzy i paziów i uspokój te nieporządki.

Zaczem Wilczek konno się rzucił w płomienie, za nim żołnierze i pазie wymietli resztę publiki, a niebawem i sami zniknęli w szerokiej bramie ratusza.

¹¹⁸ *contra fidem* (łac.) – przeciwko wierze

Po czym król ruszył się także i odjechał markotny na Niski Zamek, rozmawiając po drodze z Kamienieckim i z kasztelanem.

Wypadek ten wprawdzie wielu zabawił, a wszystkich rozerwał, ale przecie nieprzyjemne zostawił po sobie wrażenie. Cóżkolwiek bądź, zawsze to nie było zaszczytnym dla miasta, taką burdę wyprawić w obliczu króla. Zaczem przede wszystkim władze, starościńska i miejska, zakazały wszelkich z tego powodu procesów i zaniechały wszelkich dochodzeń, kto temu był winien, ażeby o tym nie gadano i nic nie pisano. Tak uduszono tę sprawę i nigdzie po niej żaden ślad nie został. Jakoż i dzisiaj nikt by o niej nie wiedział, gdyby nie to, że w aktach sądowych miejskich znalazł się pozew z późniejszej cokolwiek daty, w którym czytamy w języku łacińskim: „jako Żyd Nuchim pozywa Jana Feliksa de Kergolaj, *ex stirpe Kmytharum*, który przy reprezentacji misteriów został poturbowany i leczył się z guzów w jego gospodarstwie, o zapłacenie dziewięciu złotych węgierskich”. Jednak pomimo przygłuszenia tej sprawy dalszy pobyt we Lwowie już króla nie cieszył, jakoż w parę dni potem zabrał się z całym dworem i do Krakowa powrócił.

Ale kto tymi wypadkami był najwięcej zdziwiony, to Kijas. Mądry ten człowiek, który zawsze wszystkiego chciał rozumem dochodzić, nie mógł żadnym sposobem dociec, dlaczego się ta spokojna a tak dobroduszna publiczność lwowska tym razem tak nagle zburzyła.

– Ktoś te ekscesy nastroił i ktoś je wywołał – mówił on sam do siebie – bo przecież umysły nie mogły się zburzyć takim misterium, które, jak sam to widziałem, prawie dosłownie jest przetłumaczone z francuskiego konceptu, a które we Francji ciągle reprezentują i zawsze ku wielkiemu zadowoleniu króla, panów tamtejszych i wszystkich spektatorów...

Kijas spodziewał się, że mu Kergolaj to wytłumaczy, ale Kergolaj, na teraz przynajmniej, nie miał wcale ochoty wdawać się w konwersacje.

Albowiem kiedy Olizar, rozbiwszy publikę, dotarł do niego, to zastał go leżącego w bardzo opłakanym stanie na ziemi. Broda, mocnymi sznurkami przywiązana do uszów, jeszcze się wprawdzie trzymała, ale była osmalona do niepoznania, korona zdarta z głowy, a na głowie guzów bez liku, ta piękna suknia faldzista na strzępie na nim podarta, a pioruny nawet i diabli wiedzą, gdzie się podziały. Olizar kazał swoim kozakom zebrać go z ziemi, ale kipiał na jego widok ze złości – i słusznie, bo czy to słychana rzecz, ażeby taka miejska hołota śmiała tak fatalnie sturbować takiego walecznego rycerza. Olizar nigdy niczego nie dowodził rozumem, ale miał ów przedziwny instynkt kozacki, który często prawdę wykrywa daleko prędzej; niż rozum; więc i on także, tak jak i Kijas, miał to uczucie, że te ekscesy ktoś musiał sztucznie nastroić.

Ale kto taki?

Kiedy omdlałego Kergolaja zbierano z ziemi, Kundrat był przy tym i sam kozakom pomagał. Tak, bardzo chytrze sobie postąpił, bo tym sposobem od siebie podejrzenie odsuwał, jakoby on to nastroił.

A przy takiej chytrności trzeba umieć zupełnie nad sobą panować, a Kundrat tego nie umiał. Pochyliwszy się nad Kergolajem i pomagając go podnieść, kiedy Kergolaj jęknął, on, nie mogąc powstrzymać swojej z tego uciechy, rozśmiał się szyderczo. Na jego nieszczęście Olizar ten śmiech dosłyszał i wyraz jego twarzy obaczył – a wtedy zaraz żelazną ręką chwycił go za łeb i krzyknął:

– *To ty, psiawiro, nawaryw toho barszczu!*

A jako prędki był z niego kawaler, razem z tym wykrzyknikiem ściągnął go nahajką po jego różowych policzkach. Kundrat z bólu aż przysiadł do ziemi, ale przytomności nie stracił, wypsnął mu się z ręki i zaczął w kącie dziedzińca uciekać. A wtedy Olizar za nim i jak długo starczyło dziedzińca, prażył go swoją nahajką; ile mu ich wyspał, nie można się było dokładnie dowiedzieć, jedni mówili, że tylko pięćdziesiąt, ale drudzy utrzymywali, że się cała kopa zmieściła.

Kergolajowi, który choć stał już na nogach, jeszcze nie był całkiem przytomny, chciano nalać w nos okowity, co jest najskuteczniejszym środkiem na omdlenie; ale on, jak tylko obaczył, z jaką energią i sumiennością Olizar Kundratowi plecy garbuje, zaraz otrzeźwiał, a nawet się rozśmiał.

I bardzo słusznie, bo tym sposobem, chociaż cnota cierpiała niewinnie, jednak występек został ukarany.

Kundrat to może cokolwiek za drogo okupił, bo kopa nahajek, choćby nawet niespełna, zawsze to cena wysoka; ale za tę cenę uwolnił się od podejrzenia, jakoby to on wywołał te ekscesy. Albowiem potem nikt o tym nie wiedział, a nawet i Olizar się nie przyznawał do tego, że to on go pobił w dziedzińcu, powiadano tylko, że razem z Kergolajem został pobity – a kiedy pobity, to oczywiście niewinny.

Kergolaja przyniesiono na płaszczach do jego gospody i położono na łóżku, pocziwy Kijas przysłał mu pierzyn a zarazem i butel prawdziwej greckiej oliwy, aby się nią wysmarował: Olizar zaś już wcale go nie odstąpił i po bratersku pilnował, póki się nie wyliże. Choroba jego trwała z jakie dwa tygodnie albo więcej, ale nareszcie rycerska natura zwyciężyła te guzy, które zresztą byłyby daleko mniej bolały, gdyby był je otrzymał w turnieju od równego sobie rycerza, niżeli w tym razie, gdzie podły gmin się poważyl podnieść rękę na niego. Ale i na to się znalazło lekarstwo, nim bowiem jeszcze zupełnie wyzdrowiał, przyniesiono mu list z kancelarii królewskiej, w którym król mu wyraża swą kondolencją i zaprasza go, ażeby zaraz do Krakowa przyjechał, jak tylko stanie na nogach. Miał jeszcze jedną troskę niemałą, bo wydał wszystkie pieniądze, którymi miał odbyć swą podróż do Jeruzalem, a jeszcze i długów narobił w gospodzie i w mieście, ale na to mu znowu Kijas poradził, pożyczając mu dostateczną sumę pieniędzy na owe pięćdziesiąt grzywien, które mu Kmita był winien.

Tak więc jednego dnia mógł spokojnie i z czystym sumieniem kazać zatrąbić na odwrót ze Lwowa. Już jego namiestnik rozplacił się z Żydem, już jego żołnierze siedzieli na koniach, już jego biały ogier stał osiodłany przed bramą, już nawet pożegnał się z Olizarem, ściskając mu rękę powyżej kostki, przysięgając mu przyjaźń dozgonną i polecając mu Pachnę jego czulej opiece – a Nuchim stał jeszcze przy nim, patrzył mu w oczy i przestępował ciągle z nogi na nogę, jak gdyby mu chciał coś powiedzieć, a nie śmiał.

– Czegóż ty tak patrzysz na mnie spode łba? – rzekł Kergolaj do niego, niecierpliwiąc się także, że go podsłuchuje – możeś niekontent, że wyjeżdżam spokojnie, a nie zostawiam ci parę guzów na pamiątkę po sobie?

Na to Żyd, uśmiechnąwszy się, powiedział grzecznie:

– Jeszcze mi się coś za osobisty rachunek od jegomości należy.

– Patrz! byłbym zapomniał w tym roztargnieniu – zawołał Kergolaj do Olizara, a potem do Żyda – ileż ci się należy?

– Dziewięć czerwonych złotych – powiedział Nuchim.

– Zaraz ci to zapłacę! – zawołał Kergolaj, a to mówiąc, chwycił za rękojeść swojego miecza, aby go z pochwy wyciągnąć.

Żyd zbladł jak ściana, a chwyciwszy Kergolaja za rękę, zawołał ze strachem:

– A co jegomość chce robić? gwałt! to niekoniecznie zaraz płacić, to można i innym razem, to ja mogę poczekać...

– Ale ja twego czekania nie potrzebuję! ja ci zaraz zapłacę! – krzyknął Kergolaj i znowu chwycił za miecz.

Ale teraz już Nuchim porwał go obydwoma rękami za rękę i trzęsąc się cały, a udając, że niby się śmieje, zaczął niezrozumiale bełkotać:

– Gwałt! na co to? Jegomość mnie nie zrozumiał. Ja tylko tak żartem powiedział, że kto inny byłby jegomości narachował... Ale ja, chowaj Boże! Mnie już namiestnik zapłacił... Ja kontent, że jegomość u mnie nocował... Niech Pan Bóg szczęśliwie prowadzi.

– Jak nie chcesz, to ja cię gwałcić nie będę – rzekł Kergolaj – miejże mnie w dobrej pamięci.

Nuchim jeszcze go podprowadził, a zginając się przed nim we dwoje, rzekł jeszcze w branie cokolwiek złośliwie:

– Niech Pan Bóg da wielkie szczęście po drodze.

Kergolaj zatem wsiadł na koń i Olizar już miał wsiadać, ale przecie nie mógł wytrzymać, ażeby sobie z Żyda nie zadrwił, przyskoczył więc do niego, trącił go w bok i zapytał:

– A ty głupi Żydzie, czego ty nie brał zapłaty?

– Nu – rzecze Żyd dumnie, widząc już Kergolaja na koniu – dziękuję za taką zapłatę, miłsza mi moja szyja niżeli dziewięć dukatów.

– Ale ty głupi, Żydzie! przecie on nosi dukaty w pochwie od miecza! – zawołał Olizar i śmiejąc się z Żyda, wsiadł na koń i z Kergolajem odjechał.

Żyd zbladł znowu jak ściana, ale tym razem z żalu i targał sobie pejsy ze złości, a potem Kergolajowi proces wytoczył.

Olizar odprowadził Kergolaja aż do św. Jura i gwarzył z nim wesoło przez drogę, chwając Lwów, jako jest zabawny i wyrażając nadzieję, że Kergolaj znowu niebawem tutaj zawita. Ale Kergolaj jakoś był chmurny, nie przeczył mu przez grzeczność, ale przecież mruknął przez zęby: – „Lwów nie każdemu zdrów”, a jam tu o mało duszą nie beknął... – Jednak to mu przypomniało przysługę, jaką mu oddał Olizar, zaczem jeszcze raz mu dziękował i pożegnali się bardzo serdecznie.

Po odjeździe Olizara Kergolaj puścił swoich żołnierzy naprzód, a sam jechał z tyłu, zwiesiwszy głowę i bardzo jakoś zamyślony. Jednak wyjechawszy na wzgórze za św. Jurem, skąd całe miasto widać jakby na dłoni, ocknął się, obrócił się z koniem ku miastu, podniósł ku niemu pięść zaciśnięną i zawołał:

– Bodajże cię piorun trząśł, panie Lemburg! dałeś mi się dobrze we znaki. Daj Boże ci to odplacić!

Dobrze, że Lwów nic o tym nie wiedział, bo byłby się pewnie okrutnie przestraszył.

VIII

ŚREDNIOWIECZNA TRAGEDIA

Na zamku kmitowskim od czasu wyjazdu Wilczka już niedługo trwały festyny. Wilczek był jedynym rycerzem pomiędzy gośćmi, co się znał na swoim rzemiośle i był duszą turniejów, wszyscy inni byli to sami szlachcice wiejscy, bardzo waleczni w bitwach, gdzie chodziło o życie, ale mało obeznani z obyczajami i zabawami wykwintniejszego rycerstwa, w których szło o popisanie się zręcznością i siłą i gdzie się zwykle kończyło tylko na guzach. Zaś bez rycerskich zapasów nie było wówczas prawdziwie rycerskiej zabawy. Prócz tego kasztelanowa rozumiała, że dosyć już nakarmiono i napojono panów sąsiadów, ażeby zadość uczynić potrzebom popularności – a sam kasztelan nigdy nie przywiązywał zbyt wiele wagi do wykarmiania sobie stronników, bo był przekonany, że jeśli się zjawi na sejmiku w Sanoku i krzyknie: – Górą ziemia sanocka, a Kmita na czele! – to szlachta kolek w kolek podjedzie pod jego chorągiew i ani jednego nie braknie. Kiedy więc ostatni goście się porożjeżdżali do domów, już nowych nie zapraszano. Ale pani Gniewoszowa się jeszcze została.

Gniewoszowa prowadziła swą sprawę nadzwyczaj rozumnie i zręcznie. Kasztelanową pozyskała zupełnie dla siebie, co jej się udało tym łatwiej, ile że wyrozumiała jak najdokładniej jej żale, jej smutki i obawy i potrafiła wpoić w nią wiarę, że ona jedna ma na to wszystko pewne i niezawodne lekarstwa. Z Kmitą miała sprawę jeszcze daleko łatwiejszą, bo on, prócz pomnażania i utrzymania swoich majątków, na wszystkie inne interesa, choćby nawet swej własnej rodziny, niewiele zwracał uwagi. Wilczka miłował szczerze i rad by go był ożenił z Jagienką, uważał go bowiem za zacnego człowieka, mającego wszystko po temu, aby pójść bardzo wysoko, a przeto mogącego przynieść i szczęście, i zaszczyt Kmitównie; prócz tego byłoby go to zabawilo, gdyby był figla wypłatał żonie, dlatego też dał radę Wilczkowi, aby wziął sobie Kamienieckiego za swata; ale zresztą... świat na tym nie stał u niego. W gruncie zaś jego przekonania wydanie panny za męża babska to sprawa, jeżeli się Wilczkowi nie uda, a Jego żona postanowi inaczej, to niech sobie tak będzie. Gniewoszowa go pod tym względem doskonale wyrozumiała i była z niego zupełnie zadowolona.

Z Jagienką postępowała także rozumnie, ale zarazem bardzo oględnie, bo w swoich rozmowach z gadatliwymi pannami fraucymeru łatwo się dowiedziała, że Wilczek jej się podobał, ale tego nie mogła z nich wyrozumieć, do jakiego stopnia dojrzały jej sympatie dla niego – a była tego przekonania, że z miłosnymi uczuciami młodych panienek, chociaż według niej były to tylko kaprysy, trzeba się obchodzić bardzo ostrożnie. Miała wprawdzie nieomylny środek oburzenia jej przeciw Wilczkowi: potrzebowała rzucić jej tylko słoweczko o jego stosunkach z córką tego tam jakiegoś putnego bojara i byłaby zaraz wywołała rewolucję w jej głowie. Ale na to była ona zanadto głęboką znawczynią ludzkiego serca. Wiedziała dobrze, że tym Jagienkę na Wilczka oburzy, ale ją i na siebie oburzy, zwłaszcza jeżeli się już w nim zakochała: bo kochająca kobieta rozgniewa się na swego ulubionego, jeśli się dowie o nim coś złego, ale zazwyczaj mu prędko przebaczy, temu wszelako nigdy nie przebaczy, który jej to złe o nim powiedział, albowiem czy tylko ją upokorzył przed sobą, czy wcale rozwiązał jej ukochane złudzenia, zawsze zostanie wstrętnym jej sercu.

Gniewoszowa zatem bardzo rozumnie wzgardziła tym środkiem, a natomiast tylko jak mogła najzręczniejsz wybadywała Jagienkę o jej sentymenty dla Wilczka. Ale tutaj jej zręczność ją całkiem zawiodła. Albowiem Jagienka wychowywała się w klasztorze i wychowywano ją do klasztoru, do którego wcale nie była stworzoną. Zakonnice, chcąc jej temperament i jej charakter do reguł zakonnych przerobić, strofowały ją zawsze bardzo surowo za górny polot jej myśli, za jej światowe uczucia, nawet za jej otwartość i szczerość – a tak już zawsze nauczyła się ukrywać swe myśli przed ludźmi i przed nikim swych uczuć nie zdradzać.

Gniewoszowa więc nie odkryła w niej ani śladu jej miłości dla Wilczka – a zrozumiawszy tym trybem, że Jagienka nie pomyślała jeszcze wcale o żadnym młodzieńcu, powzięła przekonanie u siebie, że cel swój osiągnie bez żadnej trudności.

Co by się było stało, gdyby Jagienka, wychowana inaczej, była powzięła zaufanie do Gniewoszowej i wypowiedała się przed nią otwarcie, że Wilczek już się stał gorącym pragnieniem jej serca, ideałem jej myśli, jej Bogiem? Być może, że wtedy ta rozumna i wszystko przewidująca kobieta byłaby tę sprawę puściła w odwłokę, a tymczasem byłyby się zmieniły okoliczności i zaszły inne wypadki.

Ale to stać się nie mogło – i nie był to także fatalizm tylko konieczność, wpływająca z nieubłaganą logiką z natury rzeczy.

Gniewoszowa zwróciła także baczną uwagę na Smolickiego, bo nie mogła nie spostrzec, że człowiek ten, chociaż jakąś nieokreśloną rolę odgrywał na zamku, bo był niby to krewnym, niby gospodarzem a zarazem niby trefnisiem, miał możność wywierania pewnego wpływu na wszystkich. Jakoż istotnie wpływ jego był rzeczywistym, a nawet polegał na dwóch bardzo silnych podstawach: najprzód na tym, że ten opasły, a czasem pozornie niby zaspasły szlachcic odgadywał niezmiernie trafnie każde położenie i zawsze o wszystkim swoje własne miał zdanie, co mu dawało pewną wyższość nad innymi; a po wtóre, że sobie wyrobił przywilej wypowiedania swoich zdań bez ogródki i często bardzo ciętych do tego używał wyrazów. Tacy ludzie bywają niebezpieczni, bo nieraz jednym słowem zmieniają usposobienie umysłów. Starościna czorsztyńska to wszystko wiedziała, a nawet zauważała, że kasztelanowa miała szczególniejsze względy dla niego, w codziennych sprawach często go się radziła, a te narady tak się wciąż powtarzały, iż się zdawało, jakoby pomiędzy nimi trwała ciągła wymiana myśli. Ale zarazem i to było widocznym, że Smolicki był nadzwyczajnie przywiązany do domu Kmitów, a kasztelanowę tak kochał, jak własną córkę. Z tej też ostatniej okoliczności Gniewoszowa wywnioskowała sobie, że Smolicki może tam ma jakie dawne sympatie dla Wilczka, z którymi się zresztą nie taił, ale dlatego że Jagienkę wydadzą za tego lub owego rycerza, przecie rewolucji nie robi. I tu zapewne trafnie osądziła rzecz i człowieka.

Z księdzem Białym wcale się nie liczyła. Rozmówiwszy się z nim kilka razy, chociaż zaraz spostrzegła w nim awanturnika, lubiącego kabały, przyszła do przekonania, że w razie potrzeby będzie mogła go kupić za kilkanaście złotych węgierskich. Ale go nie kupiła – a to było może błędem z jej strony.

Tak rozum ludzki, choćby najbystrzejszy i najrozleglejszy, nigdy nie może liczyć na swą nieomylność. W świecie teorii jest zawsze w stanie tworzyć prawdy i osadzać je na granitowych podstawach, których żadna potęga nie wzruszy; ale w życiu praktycznym, w wykonaniu teorii, jego rachuby bardzo często go mylą – a ilekroć znajdzie się wobec zagadki skomplikowanej, na której rozwiązanie inni ludzie przeciwnie mogą wywierać wpływy, jeden jedyny z tych ludzi, zamknąwszy przed nim swój umysł i serce, bardzo często wystarcza, ażeby go w błąd wprowadzić i pokrzyżować jego przewidywania. Wszelako ten świat jest tak urządony, że ludzie i takim niedostatecznym rozumem osięgają swoje zamiary – a osięgają je nawet wbrew przeciwnym okolicznościom, jeżeli tylko odpowiednią swemu zadaniu rozwiną energią.

Cóżkolwiek bądź, Gniewoszowa, uścieliwszy drogę swoim zamiarom wedle swego rozumu, pchnęła bez zwłoki gońca do syna, ażeby zaraz przyjeżdżał na Sobień.

Gniewosz po otrzymanym wezwaniu przyjechał we dwa dni – i przyjechał tak samo pod wieczór, jak niegdyś Wilczek. I tak samo, jak Wilczek, sprawił na wszystkich bardzo przychylnie dla siebie wrażenie. Gniewosz, jak go już znamy, nie mógł nawet na pierwszym wstępie nie obudzić dla siebie sympatii, albowiem jego postać zewnętrzna imponowała swoją męską pięknnością, każdym swym ruchem znamionował uczucie swojej godności, był nadzwyczajnie grzecznym dla wszystkich, a przy tym w każdym jego słowie przebijała się dobroć serca i skromność. Ta dobroć serca była w nim czymś nadspodziewanym, bo nie licowała z jego kolosalną budową, znamionującą na pierwszy rzut oka olbrzymią siłą fizyczną; ale właśnie ta sprzeczność, jaka leżała pomiędzy jego tytaniczną postacią a dziecięcą słodyczą temperamentu, podnosiła jeszcze obudzoną dla niego sympatią tym uczuciem szacunku, jakie mamy zazwyczaj dla tych, którzy widocznie mogliby nam dać uczuć swoje przewagę, a nie chcą. Tak w małą godzinę Gniewosz zniewolił wszystkich dla siebie – a idąc do wieczerzy, miał to uczucie, że między tymi ludźmi, których dopiero co poznał, jest jakby w swej własnej rodzinie. Jego matka nie spuściła żadnego szczegółu z oka i była z tego bardzo zadowolona.

Ale na tym świecie tylko miłość może być bezwzględna, bezwarunkowa i płynąć jednolitym strumieniem bez żadnych w swym wnętrzu odcieni. Wszelkie inne uczucia ludzkie są zawsze względne, mieniające się w sobie i zmienne. Do sympatii dla siebie można ludzi na samym wstępie zniewolić, lecz przeto się jej jeszcze nie pozyskało na zawsze, bo trwałą sympatią można sobie tylko wysłużyć. Przeciwno wyniewolonej sympatii bardzo prędko podnosi się opozycja, bo każdy człowiek ma to w swojej naturze, że nie lubi być zniewalanym, choćby nawet do czegoś takiego, co sam uznaje za słuszne. Poddaje się łatwo pierwszemu wrażeniu, ale jak tylko uczuł, że mu się dał opanować znienacka, zaraz przeciwko niemu się burzy. Tak było także z Gniewoszem. Wszyscy ulegli pierwszemu wrażeniu, ale jak tylko zeń ochłonęli, każdy zaczął szukać, co by mu mógł zarzucić. Pierwszy w ton taki niestrojony uderzył Kmita. Pan małopolski, mający od wieków ducha opozycyjnego we krwi, zaczął się z lekceważeniem wyrażać o królu, co Gniewoszewi nie mogło być miłym, a jak się przy gęstych kielichach rozgadał, to i królewskim dworakom niejedną łatkę przyczepił. Smolicki, czy to chcąc kasztelanowi wtórować, czyli też przeczuwając w Gniewoszu współzawodnika Wilczka, przyciął kilka razy dosyć dotkliwie tym kawalerom, co to są w łaskach u króla i niby to pomagają mu rządzić, ale jeszcze daleko lepiej mu służą w jego miłostkach.

– Rządzą, bo rządzą – powiedział Smolicki – ale o tych rządach podobno daleko więcej wiedzą mieszczyki krakowskie niżeli całe królestwo. Mało niewiele, a dowiemy się nagle, że się król z jaką Gretą na lewą rękę ożenił, a potem już chyba i jego kawalerowie, ażeby nie pozostać za panem, także się z niemieckimi mieszczykami pożenią.

Ośmielony takimi przycinkami, nawet skromny zazwyczaj ksiądz Wara przepił także po kilka razy do tej szlacheckiej młodzieży, co zamiast siedzieć na wsi i sprawować obywatelskie urzędy, wieszają się przy królu i uczy się spełniać jego rozkazy.

– Bodajby im tylko kiedyś – mówił ksiądz Wara – nie przyszło na własnych ojców i braci uderzać i brać ich w łyka, aby ich zamieniać w poddanych króla.

Jagienka, obok której posadzono Gniewosza, dotychczas tylko bardzo ciekawie mu się przypatrywała. Już jak tylko go obaczyła, jej żartka wyobraźnia zaczęła grać i przedstawiać jej nie widziane dotąd obrazy. Zdawało jej się, że widzi żywego przed sobą jednego z tych bajecznych rycerzy, co piją z rogu kąpiącego się w morzu, co mają głos taki, jak Stentor Homera, którym pięćdziesięciu wołających mężów przekrzyczą, co w gniewie ogromne skały rozdzierają na dwoje, co w bitwie porywają w żelazo okute konie w swe ręce i nimi swych nieprzyjaciół druzgocą, co ranni słyszą głos sławy, wołający ich z nieba, i umierają w zachwycie, z niebiańskim uśmiechem na ustach. Gniewosz zdawał jej się być jednym z takich rycerzy, więc patrzyła nań z ciekawością, ale zarazem i z grozą. Gniewosz trzymający się zawsze tej starej rycerskiej zasady, „że rycerz powinien głośno bić, a cicho mówić”, odpowiadał tak słodkim głosem na jej pytania i towarzyszył swym słowom tak m pogodnym

uśmiechem, jak gdyby ją ze słonecznego rogu obsypywał kwiatami. Bardzo ją to bawiło jako rzecz ciekawa i nowa, ale przecież słuchała go z niepokojem, ile razy spojrzała mu w oczy, zawsze zadrżała jak gdyby ze strachu, a ile razy on ręką ruszył, nagle się odsuwała od niego, bo ją opanowywało takie uczucie, że jeżeli się tylko jej sukni dotknie, to ją stłucze jak miszkę glinianą. Bardzo ją zajmował ten człowiek, byłaby go chętnie wypytywała o różne sprawy rycerskie i pilnie słuchała, ale byłaby chciała, żeby gdzieś siedział daleko i żeby na nią nie patrzył...

Starościna czorsztyńska to uważała i wyprowadziła stąd wniosek, podobno nie całkiem trafny, że Jagienka nie ma wstrętu do jej syna. To było bardzo dobrze. Ale nie usłyszy także jej uwagi owe rozmaite uszczypliwości Kmity, Smolickiego i księdza Wary – a to ją zniecierpliwilo. Wprawdzie kasztelanowa była nadzwyczajnie uprzejmą dla jej syna, sama wyznaczyła mu miejsce obok Jagienki i wśród rozmowy nie szczędziła grzeczności, co w tym położeniu miało pewne znaczenie; ale kasztelanowa słuchała także bez wstrętu owych przycinków do króla i jego dworaków, a to znów było niedobrze. Gniewoszowa tedy powiedziała sobie: Tu nie masz czasu do stracenia, bo za parę dni mogą się zacząć kabały... I wstała pierwsza od stołu, aby przerwać te konwersacje.

Po wieczery mało już rozmawiano i niebawem zaczęto rozchodzić się na spoczynek. Wszyscy szli jednym wielkim korytarzem, z którego do wszystkich skrzydeł rozchodziły się drogi. Gniewosz podprowadził matkę do jej apartamentu, a kiedy jej powiedział: – Dobranoc – ona mu rzekła półgłosem:

– Jeżeli nie jesteś bardzo sfatygowany, to przyjdź jeszcze do mnie na pogadankę; mam wiele rzeczy, o których bym się chciała z tobą rozmówić.

W tej samej chwili Smolnicki, podprowadzając Jagienkę wraz z fraucymerem, rzeki do niej na osobności:

– Waćpanna nie masz szczęścia do tych królewskich rycerzy. O tamtym powiedziano, że lekki, a ten mi się zdaje trochę za ciężki.

A na to Jagienka:

– Pan Smolicki zawsze jest krotochwilny. Przecież pan Gniewosz nie przyjechał do mnie w konkury.

A Smolicki jej odpowiedział z naciskiem:

– On zapewne o tym nie myślał, ale po to go tu powołano. Trzeba zawczasu przygotować się na to, aby ten szturm mężnie wytrzymać.

Na te słowa Jagienka zbladła jak chusta i serce jej mocno bić zaczęło, a myśli jej tak się zaćmiły, że sama nie wiedziała, któredy i jak się dostała do swojej sypialni. Znalazłszy się sama, była przez chwilę prawie bez przytomności. Wiedziała bowiem dobrze, jak absolutną i jak zazwyczaj bezwzględną jest władza rodziców i opiekunów nad dziećmi. Jak postanowią, tak się stać musi, dziecko przeciwko ich wyrokowi protestować nie może i nawet mu się nań skarżyć nie wolno... Na tę samą myśl zimny dreszcz przejął wszystkie jej członki i odjął jej władzę myślenia. Nieokreślony lęk, który ją opanował, bezdenna przepaść, która przed nią się otworzyła, widok uciekającego raję szczęścia, który sobie z Wilczkiem marzyła, i wiecznej śmierci duchowej, która ją czekała z Gniewoszem, zamąciła jej zmysły do tego stopnia, że ziemia jej zniknęła sprzed oczu i nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje.

Kiedy znowu oprzytomniała i myśleć zaczęła, to znenawidziła Gniewosza, jak piekielnego wysłańca, a całą duszą i na wiek wieków przyłgnęła do Wilczka, jak do zbawczego anioła.

Myśląc potem spokojniej, zapytywała się siebie: Może to być, ażeby ten zacny kasztelan, najlepszy człowiek pod słońcem, co mnie tak kocha serdecznie, jak własną córkę... może to być, aby kasztelanowa, taka poczciwa, taka szlachetna, taka dobra dla wszystkich... może to być, aby ci ludzie gwałtem mnie oderwali od tego, który mi szczęście przynosi, a któremu nic nie mają do zarzucenia, i przykuwali mnie gwałtem do tego, który mi jest obcy jak ta turma zamkowa, którego się boję jak zwierza, dla którego mam tylko wstręt i pogardę... A po namy-

śle, któremu przyświecała bujna jej wyobraźnia i jeszcze z klasztoru wyniesiona skłonność do czarnego zapatrywania się na świat i ludzi, odpowiadała sobie z boleścią: Że to być może... że tak jest pewnie... Smolicki powiedział, on wszystko wie. Wszyscy się na mnie sprzysięgli...

Po takim rozmyślaniu zapadła w ciężką i bolesną zadumę, a jej wszystkie uczucia snuły się około tej myśli czarnej i rozpaczliwej: że jest sama jedna, opuszczona, porzucona przez wszystkich, i na całym zamku nie masz jednej duszy ludzkiej, która by miała dla niej choć jedno tchnienie litości.

W tej chwili, wśród ciszy grobowej pomiędzy zamkowymi murami, doszły jej uszu tony lutni grającej. Te dźwięczne tony, spływające gdzieś z góry, sprawiły na niej zachwycające wrażenie. Wstała i przystąpiła do okna. To Pretficz siedział na górnym piętrze w otwartym oknie swojej izdebki i grał na lutni dźwięczne piosenki. Jagience, kiedy go obaczyła, zdało się, jak gdyby od niego bił promień światła do jej ciemnicy. Przecież jest jedna poczciwa dusza, która ma dla niej współczucie! Uczucie wdzięczności tak ją opanowało w tej chwili, że porwała bukiet róż, który miała pod ręką i rzuciła mu go w jego otwarte okno. Pretficz go pochwycił w powietrzu i coś jej powiedział: ale słów jego nie można było zrozumieć, słychać tylko było, że mówił przez lzy... Jagienka się cofnęła w głąb izby.

Po chwili milczenia Pretficz zaczął grać znowu i grał jeszcze długo. Ta cicha i wdzięczna muzyka uspokoiła ją i nareszcie uśpiła. Po tych silnych wzruszeniach spała snem twardym, dopiero nad ranem zaczęły się jej jakieś sny pokazywać. A wtedy, jak niedawno Formozie, i jej także śnił się Cherubin, ale ten był straszny jak syn Erebu, cały w czarne zakuty żelazo siedział na wspinającym się koniu skrzydlatym i przeszywał kopią pierś leżącego na ziemi białego rycerza – a rycerz ten zwyciężony miał anielską twarz Wilczka.

Staroście dano pokoje gościnne obok tej małej kaplicy, którą niedawno zbudowano na cześć św. Stanisława. Sama o nie prosiła, miała bowiem zwyczaj także na zamku czorsztęńskim odprawiać swoje modlitwy w kaplicy. Kaplica tutejsza była bardzo mała, raczej dosyć szeroka, lecz płytka alkowa, w której na wysokości trzech schodów zbudowano ołtarz z obrazem patrona Kmity, przed którym we dnie i w nocy palił się zawieszony u stropu kaganiec i gdzie się tylko sam ksiądz mógł pomieścić z ministrantami. Podczas nabożeństwa otwierano na ścieżaj szerokie drzwi, które wychodziły do dużej, wysokiej i rzeźbionymi z drzewa figurami poważnie przystrojonej komnaty, a w tej komnacie gromadzili się pobożni dla wysłuchania mszy świętej. Za tą komnatą znajdowały się dwa gościnne pokoje, w których zazwyczaj mieszczono biskupów i innych dygnitarzy kościelnych, odwiedzających zamek sobieński, teraz dano je Gniewoszowej.

Wróciwszy do swoich pokojów, starościna, jak miała zwyczaj, zaraz się do modlitwy przebrała. Zrzuciła więc najprzód, co miała na sobie ze złota i drogich kamieni, bo nie godziło się wówczas z takimi świecidłami pokazywać się Bogu, potem wdziała na siebie suknię ciemną, z grubego sukna krojem zakonnym uszytą, na głowę włożyła czarny czepiec ze spuszczonego uszama, jakie w fioletowym kolorze nosili wówczas biskupi, zawiesiła na pierśsiach duży krzyż ze słoniowej kości, który był poświęcony w Rzymie, a dłużej niżeli od wieku chował się w jej rodzinie, do ręki wzięła różaniec, który jej przyniósł pielgrzym pobożny ze Ziemi Świętej, potarłszy go wprzód o grób Chrystusa Pana – a tak przystrojona i uzbrojona, uklękła przed ołtarzem otwartej kaplicy do swoich modłów wieczornych.

Modliła się długo i szczerze, prosząc zapewne Boga, ażeby pobłogosławił jej zacnym zamiarom, które właśnie zabierała się spełnić w celu podniesienia i uświetnienia rodziny Gniewosów, rodziny nie jej własnej, bo w nią weszła z domu Magierów, ale której tradycją, ducha i wszystkie uczucia wzięła w siebie zupełnie i obyczajem chrześcijańskiego świata zrosła się z nią, jak z swoją własną.

Gniewosz, wszedłszy do tej komnaty, będącej w tej chwili jakoby nawą kościoła, i obaczywszy matkę zatopioną w modlitwach, przybliżył się na palcach do kaplicy, a ukląkłszy w

jej progę, zaczął także się modlić. Albowiem Gniewosz był także nabożnym: ale sposobem ówczesnych rycerzy, którzy mieli się za żołnierzy, obowiązanych bronić powagi korony, której blask oświecał ich pancerze i hełmy, i całości królestwa, które ich chlebem karmiło, lecz zarazem czuli się zbrojnymi kapłanami tej świętej wiary, która im otwierała królestwo niebieskie, a za którą zawsze byli gotowi przelać krew swoją. Pod owe czasy te dwa urzędy były nierozdzielne w rozumieniu chrześcijańsko-katolickich narodów: biskupi w złociste ubierali się zbroje, pasowali szlachecką młodzież na rycerzy i prowadzili wojny w obronie Kościoła i swoich episkopatów – a świeccy rycerze zostawali niejednokrotnie proboszczami, prałatami i biskupami, chociaż kapłańskich święceń nie mieli. Obyczajem te przejęliśmy w części od Europy zachodniej, w części zaś od Krzyżaków, o którychśmy się od lat tak wielu wciąż ocierali; ale Gniewosz miał je głębiej wpojone niż inni, bo przez lat kilka uczył się wojennego rzemiosła u królów i książąt niemieckich i tam pasowan był na rycerza. Religijne pojęcia tych kapłanów-rycerzy nie były bardzo głębokie. Wiara ich była wprawdzie na pozór bardzo gorąca, ale nie całkiem ślepa: modlili się przed bitwą, nosili amulety, czynili śluby, ofiarowali się swoim patronom, ale przede wszystkim wierzyli w pięść swoją, byli przekonani, że tylko temu Pan Bóg pomaga, kto sam sobie pomaga, a Kergolaja dewiza: *Ayde toi et Dieu t'aydera* była ich wszystkich dewizą. Ale wiara ich, utopiona w religijnych obrządkach, była niezmiernie przesadną: obok swej pięści wierzyli w działanie sił nadprzyrodzonych, w istnienie duchów, cudów i czarów, lada gra wyobraźni wywierała na nich rewolucyjne wrażenie – a te żelazne postacie, nie tylko przed rozumnym rozkazaniem, ale przed jakimkolwiek kaprysem ojca lub matki, przed groźbą fanatycznego księdza z ambony, przed lada zaklęciem na karę Boską lub duszy zbawienie, ugięły się jak lalki woskowe i dawały się prowadzić jak dzieci.

Kiedy starościna skończyła swoje pacierze i wstała z klęczek, to miała twarz wypogodzoną i głowę podniosła do góry, jak gdyby modlitwa ulżyła jej sercu i rozjaśniła jej umysł – a kiedy i syn jej skończył swój pacierz wieczorny, siadła w głębokim krześle obok kaplicy, posadziła go naprzeciw siebie i zawiązała z nim długą rozmowę.

– Jakże ci się powodzi od czasu, jakem cię nie widziała? – spytała go z wielką powagą.

– Mnie się powodzi jak zwykle – odpowiedział jej Gniewosz – czasem muszę pracować za innych, bo król na mnie łaskaw, ale nie skarzę się na to, boć to mój obowiązek.

– Na pracę nigdy się skarżyć nie trzeba, idzie tylko o to, ażeby znalazła nagrodę. Jakież tam masz teraz widoki?

– Na teraz żadnych. Sądzę, że jeśliby jaka mniejsza kasztelania zawakowała, to król by mi jej nie odmówił, ale dotychczas nie masz wakansu.

– Przecież wakuje kasztelania sanocka.

– Och! o tej nie ma co myśleć – rzekł Gniewosz – wodzą się o nią za łby Balowie z Kmitami, chociaż ja tak rozumiem, że i z nich żaden jej nie dostanie.

– Dlaczegoż tak rozumiesz?

– Bo król oprócz Piotra wszystkich Kmitów nie lubi, a Balowi jej nie da, bo Kmitowie nie cierpią Balów, więc znowu król nie chciałby Kmitów do żywego urazić.

– Więc może by właśnie teraz o nią uderzyć?

– Myślałem o tym aż do lwowskiej podróży. Ale teraz się rozmyśliłem, bo mi się zdaje, że król wziął we Lwowie kogoś na oko i temu ją przypnie.

– Któż to jest taki?

– Kergolaj.

Tu Gniewoszowa się przez oka mgnienie zastanowiła, widać było, że ta nowina była dla niej niespodziewana, ale nie dała tego poznać po sobie, owszem, powiedziała przeciwnie:

– Chociaż Kergolaj nie jest całym Polakiem i bardzo wielu jest lepszych od niego, jednak by mnie to wcale nie zadziwiło, bo ma koligacje. Kmitowie i Lanckorońscy, a do tego ci wszyscy, co z nimi są spokrewnieni, to jest potęga, z którą i królowie liczyć się muszą, choć

czasem nie chcą. I myśmy mieli koligacje i jeszcze nam coś z nich zostało, ale wszystko to zaprzepaścił pan Gniewosz z Dalewic...

Gniewosz milczał, a jego matka tak dalej mówiła:

– Przez tyle wieków przodkowie nasi krwią swoją i zdrowiem zarabiali na sławę, a ich potomkowie ją pomnażali, on wszystkich zaćmił – i odtąd cała nasza wiekowa sława się zapomniała, a my żyjemy jego niesławą. Sto lat od tego czasu minęło, twoi ojcowie oddzielili się od: jego szczepu, zmienili herb, zaczęli pisać się z Olexowa, ale i to się na nic nie zdało. W tych wszystkich powiastkach o jego oszczerstwach przeciw królowej Jadwidze nie masz ani jednego słowa prawdy, owe hańbiące sądy i wyroki na niego były haniebnym jego wrogów wymysłem, nigdy go nikt nie oskarżał, nikt go nigdy nie sądził, został przecież jeszcze potem starostą ruskim i podkomorzym krakowskim, a i na grunwaldzkiej sam swojej własnej hetmanił chorągwi... Ale cóż z tego, kiedy ludzie, jak skoro jaką plotkę ukochają, to nie tylko prawdy nie widzą, ale nawet widzieć jej nie chcą. Co więcej, ktokolwiek chce z nimi żyć w zgodzie, musi im tę plotkę powtarzać, bo prawdą jeszcze by ich oburzył na siebie. Ot, jeszcze niedawnym czasem ksiądz Długosz, chociaż człek taki rozumny i mógł się prawdy od ludzi współczesnych dowiedzieć, także tę plotkę, jak słyszę, w swoje kroniki włożył, a nawet jeszcze ją przyozdobił. Niech mu Bóg nie pamięta: nam wielką krzywdę wyrządził, a nie wiem zaprawdę, komu tym dogodził...

Na to zaś rzecze Gniewosz, chcąc to cierpkie uczucie swej matki ile możności osłodzić:

– Juźci i mnie ta plotka o naszym stryjecznym pradziadzie daje się czasem uczuwać i gdybym nie miał ręki tak silnej, że z nią nie każdy chciałby się mierzyć, to może już nie raz byłoby mi przyszło bronić jego dobrej sławy żelazem. Ale ja tam tymi plotkami nie bardzo się gryzę, bo tak rozumiem, że dobre są koligacje, ale przecież najwięcej waży własna zasługa. Toż ja na protekcje, jakie by z koligacjami na mnie spływały, wcale się nie oglądam, jeno służę mojemu panu uczciwie i wiernie i tak się spodziewam, że mi to swego czasu policzonym zostanie. Nie równam się z Kergolajem, ani go sobie biorę za przykład, bo to tam inny umysł jest u tego człowieka, ale to muszę powiedzieć, że i on nie przez protekcje zakradł się w łaskę królewską, jeno tym, że knuje tam po Włoszech i Francji jakieś polityczne kabały dla króla, a może mu jeszcze i inne oddaje przysługi...

Jednak to zapatrywanie się zapewne nie całkiem odpowiadało starościnie w tej chwili, bo na to tak mu odpowiedziała:

– Mój drogi, nikt mocniej ode mnie na tym nie stoi, ażeby człowiek swoich zaszczytów dorabiał się własną zasługą. A przecież dlatego, ażebyś mógł służyć skutecznie, pilnowałam ciebie z taką troskliwością, a nawet i z surowością w naukach w Krakowie, dlatego także, kiedyś już podrósł, wyprawiłam cię z takim sumptem, może nawet nad moje siły, a może także z małą krzywdą dla twoich braci, na dwory książąt i królów niemieckich, gdzieś się też służby rycerskiej tak dobrze wyuczył, że ją znasz lepiej od wszystkich innych. Niełatwo to było otrzymać dla ciebie zaszczytną funkcję u dworu, ale moim usilnym staraniem i to się udało. Wielką to było dla mnie pociechą, żeś umiał naszemu dzisiejszemu królowi przypaść do serca, a dumną byłam z tego i jestem, żeś się walecznością u jego boku odznaczył nad innych, żeś go w potrzebie własną pierśią zasłaniał, żeś nawet z nim dobrowolnie poszedł w niewolę, chociaż, jak wielu innych, mogłeś się od niej ochronić... Tak, jeszcze raz to powtarzam, dumną jestem z tych twoich uczynków i wdzięczną ci jestem, żeś moje trudy i poświęcenia tak sownie nagroził.

Tu Gniewoszowi, człowiekowi czułego serca, łzy zakręciły się w oczach, zerwał się z krzesła, ukląkł przed matką, a całując obydwie jej ręce, zawołał wzruszony:

– Nie syn, moja matko, ale Bóg tylko potrafi waszej miłości te wszystkie trudy nagrodzić. Nieraz to rozważałem u siebie, dlaczego mi się cokolwiek więcej macierzyńskiej miłości dostało niż moim braciom – i było to zawsze i będzie potężną dla mnie ostrogą, ażeby tę miłość wdzięcznie odsłużyć. Czy dojdę kiedyś do tego, w Boskich to ręku. Mnie wszakże pewnie ani

woli, ani wytrwania nie braknie – a jeśli o co się najgoręcej modłę do Pana Boga, to o to, ażebym mógł każdym moim postępkim rozradować serce mojej najukochańszej matki.

Gniewosz to mówił głosem głęboko wzruszonym, ale na staroście nie widać było prawie żadnego wzruszenia: wyglądała ona jak mistrz grający na lutni, z której wydobywa płacz, jęki i tony radosne, pod jego palcami drżą wszystkie struny po jego woli, ale on sam jest zimny i tylko patrzy, aby mu która struna nie wydała rozdzwięku. Starościna ścisnęła swojego syna za głowę i rzekła:

– Dziękuję ci za tę miłość synowską, o której wszakże nie miałam nigdy powątpiewania, ale usiądź sobie na powrót i mówmy dalej spokojnie. Ty masz wszystkie zalety, jakich można wymagać po szlachetnym młodzieńcu, ale jeszcze ci brak doświadczenia. Ty lekceważysz koligacje, protekcje i wpływy rodzinne – a przeto nie znasz tej Polski, której jesteś obywatelem. Ty nie znasz nawet i króla, chociaż go codziennie widzisz i szcycisz się jego ufnością. O tym królu i o tym królestwie najwierutniejsze bajki chodzą po kraju i wszyscy je powtarzają: bo wszyscy się ślizgają po wierzchu, a nikt się nie stara dno zmacać, bo też i nie każdemu do niego się dostać. Grzegorzów z Sanoka, Kallimachów i Ostrorogów niewielu jest między nami – a jeśli są, to ich głosy się nie rozchodzą po kraju, bo ledwie się z ich ust wydobędą, wrzaskliwa szlachta je zaraz przekrzyczy. O królu najrozmaitsze i najsprzeczniesze obiegają powieści. Powiadają o nim, że panów chce podbić pod swoje władzę, że szlachtę chce obrócić w żołnierzy, że dąży do *absolutum dominium*¹¹⁹. Azaliż był jaki król na tym świecie, który by nie pragnął w swym sercu wzmocnienia i rozszerzenia swej władzy? Ale nie o to idzie, tylko o to, co rzeczywiście zrobić chce i co zrobić może. A nad tym się nikt nie zastanawia rozumnie; ale ja ci to powiem. Król wie bardzo dobrze, czego tej naszej Polsce potrzeba, ażeby się wewnątrz wzmocniła i stanęła na równi w drugimi królestwy, i także wie dobrze, czego jemu potrzeba, ażeby tą Polską mógł rządzić bez wstretów, a ku pożytkowi korony i kraju. Nikt temu panu, kto go zna bliżej, nie odmówi doskonałego rozumienia celów, do których dążyć powinien; ale do osiągnięcia tych celów stoją mu dwie przeszkody na drodze. Jedna w tym leży, że zanadto lubi swawolę, zaczem idzie, że bardzo często od takiej roboty, którą sam mądrze rozpoczął, która może się udać, tylko by nad nią trzeba posiedzieć, oderwie go jakaś pustota, o której nawet nie godzi się mówić. Pustota by mu nie uciekła, ale robota uciekła, a potem niepodobna już do niej powrócić. Czy nie tak?

– Czasem i to się wydarza – powiedział Gniewosz, a starościna mówiła dalej:

– Nie czasem, lecz bardzo często. Druga zaś przeszkoda jest w tym, o czym Kallimachowie i Ostrorogowie nie wiedzą, że każdemu królowi najprzód na tym zależy, ażeby się przy swojej koronie utrzymał i aby ją swoim przekazał następcom, co też jest jego obowiązkiem względem jego ojczyzny, bo nie masz państwa bez króla, jakeśmy to już w czasach przedłokietkowych widzieli – a dopiero potem ma o to się starać, ażeby królestwo swoje wzmocnić i naprawić. Owóż ta naprawa nie taka to rzecz łatwa, jak się królewskim doradcom wydaje, bo aby rząd wzmocnić, potrzeba by szlachtę wziąć w kluby – a ta szlachta już tak się rozrosła i przysła do takiej potęgi, że aby ją zmniejszyć, potrzeba ją łamać, a jakby się łamać zaczęło, to kto wie, co by tam pękło, czy prawa szlachty, czy prawa korony. Łatwo to Kallimachowi mieć do tego odwagę, bo on nie ma nic do stracenia: co by to jemu szkodziło, gdyby król zaburzenie wywołał, gdyby musiał uciekać z kraju i gdyby tymczasem obcy rozdrapali królestwo, cośmy już także widzieli? Ale król takiej odwagi mieć nie może i mieć nie powinien. I ja tobie powiadam, że głupi są ci, co się boją królewskich zamachów na prawa szlacheckie: on zawsze będzie miał rozmaite rozumne zamiary i zawsze będzie się zapędzał, aby je wykonać, ale nigdy ich nie wykona, bo szlachta z prawdziwym strachem albo z udanym zawsze przeciwko tym zamiarom postawi się jeżem, a król zawsze się cofnie, bo nie zechce wystawić na szwank swojej korony. Jest w tym mądrość, jest głupstwo, jest obojga po trosze, jak zwykle we wszystkim, z czego rozum ludzki się składa.

¹¹⁹ *absolutum dominium* (łac.) – rządy państwem w sposób samowładny, bez żadnych ograniczeń

Tu starościna odetchnęła cokolwiek, a potem taki zwrot nadała swej mowie:

– Król nie rozumie panów, stojących na czele szlachty, a panowie nie rozumieją króla – i w tym leży klucz do tej zagadki, nad którą sobie nieraz głowy łamiemy. Jeżeli bowiem panowie naprawdę obawiają się królewskich zamachów, to jest to strach urojony, bo przecież mają swoje miecze przeciw tym zamachom i wiedzą dobrze, że król, mający tylko półtora tysiąca ludzi swojego zbrojnego dworu, musi koniecznie się liczyć z ich mieczami. Jeżeli zaś król się obawia, ażeby mu panowie nie przewrócili tronu i nie rzucili Polski w nowe podziały, to także się boi upiora, którego sam tylko widuje: bo dzisiejsi panowie nie tacy próżni, ażeby ten tron przewracali, z którego spływają na nich starostwa, urzędy i wszelkie zaszczyty, a którego promienie są jedynym światłem, w którym ich maleństwo wyrasta w oczach ludzkich do jakiejś wielkości. Najmożniejsi panowie zmaleliby w karły, gdyby przestali być filarami tego tronu, na którym pomazaniec Boży siedzi w swym majestacie, a nawet prędko by swoje majątki potracili, gdyby nie stanowili wspólnymi interesami spojonego ze sobą stanu i gdyby ten stan nie miał w królu pewnej obrony. Tak obydwie strony boją się stracha, którego sobie same zmyśliły: jakoż tak rozumiem, że z obojej strony ten strach jest udany. Ale jeżeli która z tych stron ma słuszne powody do pewnych obaw, a przeto do ostrożności w postępowaniu, to król, a nie panowie. Bo panowie ze szlachtą stanowią tłum wielki – a tłumy to mają do siebie, że trudno im o rozwagę, zaczem często dają się porywać namiętnościom i zaślepieniu. Dlatego król, który wie o tym, zawsze będzie się liczył z panami i zawsze będzie ulegał ich wpływowi. Cóż tedy stąd dla ciebie wynika? Oto, że dobrze mieć króla za sobą, ale że nie należy na tym przestawać, bo pańska łaska na pstrym koniu jeździ, dziś jest, jutro jej nie ma, a często nawet i wiedzieć nie można, dlaczego nas opuściła. Król ma swoje humory, ktoś mu jakąś plotkę powiedział, ktoś inny oddał mu miłszą przysługę: wczoraj mu Gniewosz przyrósł do serca, a dzisiaj zakochał się w Kergolaju. Obok łaski królewskiej trzeba mieć koligacje, bo przez nie ma się protekcje i wpływy; kiedy łaska pańska się odwróciła, to one i tylko one mogą ją nazad przywrócić... Przywrócić, a w razie potrzeby nawet do niej zniewolić. Koligacje, to ważna rzecz wszędzie, a w naszej Polsce niezbędna, bo u nas są one potęgą, która o losie każdego człowieka stanowi, a której nawet sam król się oprzeć nie może. Kmitowie i Tarnowscy najpierwsze dziś miejsca zajmują w tym naszym królestwie, są spokrewnieni ze wszystkimi najmożniejszymi rodami, kto ich ma, ma wszystkich za sobą. Ja bym to uważała za największe szczęście dla ciebie, gdybyś się z nimi spokrewnił. Powiedźże mi, jak ci się podobała Jagienka?

Gniewosz zrazu wcale się nie domyślał, do czego ta przemowa jego matki zmierzała. I teraz jeszcze jej nie całkiem zrozumiał, wszelako te ostatnie słowa bardzo go niemile piknęły. Jednak odpowiedział ze zwykłym sobie spokojem:

– Jagienka bardzo wdzięczna dziewczyna. Zdarzą się tacy, którym się może nawet bardzo podoba, ale mnie wcale nie przypadła do serca.

– Co tam serce! – zawołała na to przytomnie starościna – największe głupstwo ten robi, kto w sprawie postanowienia radzi się serca. Widziałam ja już takich małżeństw niemało: gorące szczęście na razie zawsze tam potem w gorących łzach utonęło. Po jednej słonecznej wiosnie na wszystkie późniejsze pory roku dżdżyste mgły się pokładły i w takich mgłach potem całe życie minęło. Szczęście to jeszcze, jeżeli serdeczna miłość nie zamienia się w serdeczną nienawiść, bo wtedy i występków, a czasem i zbrodni nie brakło. Mogłabym ci całe setki takich zaliczyć przykładów. Kiedy tymczasem wszystkie małżeństwa zawarte z rozwagą, wszystkie, jakie znam, a znam ich daleko więcej, trwają w niezamąconym szczęściu. Szczęście to zresztą łatwo daje się wytłumaczyć: albowiem takie małżeństwa zawierają się zwykle z wyboru rodziców, temu wyborowi przyświeca jako gwiazda przewodnia szczerza i żadnymi ubocznymi względami niezamącona miłość dla ich dziecka, wola ich wypływa zatem z Bożego natchnienia i dlatego też takim małżeństwom towarzyszy błogosławieństwo Boże...

Gniewosz miał temperament nadzwyczajnie spokojny. Najwięcej niespodziewane zdarzenia przyjmował zazwyczaj tak zimno, że ani jedna żyłka mu nie drgnęła na twarzy, owszem, im więcej nieprzewidziane go spotkało nieszczęście (bo i to już mu się nieraz zdarzało), z tym zimniejszą krwią patrzył mu w oczy, a zawsze z uśmiechem na ustach. Prócz w bitwie, gdzie krew unosi człowieka i gdzie żaden rycerz jej w sobie nie chłodzi, bo ona go niesie do sławy, raz tylko go serce uniosło, a to przed trzema dniami, kiedy porwany miłosnym szałem przysiągł wierność Formozie. Ale teraz tak mu się duszno zrobiło, że musiał rozpiąć swój kaftan pod szyją, a zarazem tak mu się w głowie zaćmiło, że nawet swojej matki nie widział przed sobą. Wszakże ile możliwości nie dał poznać tego wzruszenia po sobie; tymczasem zaś starościna przychyliła się cokolwiek ku niemu i z nieprzebraną dobrocią w sercu a żywą radością w głosie tak dalej mówiła:

– Kiedy ty słyszysz twemu królowi we dnie i w nocy i nawet nie masz czasu pomyśleć o sobie, ja upatrzyłam żonę dla ciebie, a Pan Bóg tak mi pobłogosławił, że gdybym była przedeptała całe królestwo, to nie byłabym znalazła nic wspanialszego. A nie myśl, żebym sobie postępowała lekko w tym ważnym terminie, bom bardzo skrzętnie wszystkie informacje zebrała i nie zapomniałam o niczym. Wiedźże o tym najpierwej, że matka Jagienki szła z rodu Hunyadów, w którego żyłach królewska krew płynie i że tam w całym królestwie węgierskim mało jest domów książęcych, którym przez matkę nie byłaby krewną. Z ojca zaś jest Kmitówna, a przeto jej parenteli w Polsce nikt nie przewyższy. Majątek ma trzy: jeden w Węgrzech, drugi pod Bieczem, a trzeci na Szląsku, podobno wszystkie trzy średniej wartości, ale majątek da się łatwo pomnożyć i zaokrąglić. Natomiast zaś ma przedziwne zalety umysłu i serca. Widywałam ją, kiedy jeszcze była u panien klarysek, poczciwe i śliczne było to dziecko, panny chciały ją do klasztoru sposobić, nie udała im się ta sztuka, bo umysł zanadto górny i dumny był w tej dziewczynie, co też inaczej nie mogło być, jak skoro z ojca i z matki urodzoną jest do książęcych splendorów, a nie do klasztornej pokory. Ale panny dały mi o niej jak najlepsze świadectwo. Tutaj mam ją od kilku tygodni wciąż przed oczyma, wybadywałam ją jak inkwizytor o wszystkie jej sentymenty i wszystkie opinie, a wiesz, że znam się na ludziach: otóż ci powiem, że jest zacna do gruntu, nigdy żadna myśl nieszlachetna nie powstała w jej głowie, nigdy żadne niechrześcijańskie uczucie się nie odezwie w jej sercu, umysł ma wzniosły i wie, że nieostatnie miejsce jej się należy pomiędzy ludźmi, ale tego nam właśnie potrzeba. Wstań zatem – skończyła starościna z lekko tryumfującym uśmiechem – i nie mnie, ale tu przed ołtarzem podziękuj Bogu, że takie szczęście zesłał na ciebie.

Ale Gniewosz nie ruszył się z miejsca. Może jeszcze nie zmierzył przepaści, nad którą jego matka go postawiła, bo jeszcze nie wiedział, jak daleko posunęła tę sprawę, ale trafnym wiedzionym instynktem, zajął od razu stanowisko obronne.

– Dziękuję z całego serca waszej miłości – odpowiedział jej z wdzięcznym uśmiechem – żeście się tak szczerze moim losem zajęli. Nie masz wątplenia, że Jagienka przyniesie swemu mężowi znaczny majątek, wysokie koligacje i wpływy. Ale gdybyśmy się z naszej strony już na to zdecydowali, to jeszcze nie wiemy, jak tam te rzeczy stoją z jej strony. Pannie podobno konkurentów nie braknie. Powiadano mi o tym różne historie we Lwowie. Kergolaj stanął jawnie u niej na służbę i pewnie go nie odprawiono, bo inaczej, jako jest człowiek rycerski, sam by o tym nie gadał. A oprócz niego jest jeszcze i Wilczek, o którym mi Kamieniecki wspominał...

Starościna, jako kobieta rozumna, umiała podleźć, gdzie nie mogła przeskoczyć, ale jak co postanowiła, to trwała z męskim uporem przy swoim postanowieniu, a gdzie czuła władzę przy sobie, tam nie zniosła oporu. Jakoż przerwała synowi i zawołała z niecierpliwością:

– Kergolaj! Wilczek! a co waść gadasz? Przecież ci już powiedziała, że się pierwej zainformowała jak najdokładniej, nimem powzięła decyzję. Nie po tom ci tu kazała przyjeżdżać, ażebyś sobie nos rozbił o jaką przeszkodę. Kergolaj, to tam żarty niewczesne, a nawet i nieuczciwe. Przecież to człowiek czterdziestoletni, a do tego jeszcze jest stryjem Jagience.

Zresztą wiedzą to już i tutaj, że w drodze po różę do Jerycho uszczknął jakąś piwonię we Lwowie... Wilczek tu był, to prawda, przysiadł się często do panny, różne tu supozycje obudził; ale Wilczek, może ty o tym nie wiesz, tu jednak wróble o tym świstają, jest zaręczony z córką jakiegoś putnego bojara, a jeśli jego gadatliwego sługę dobrze wyrozumiała, to nawet więcej niż zaręczony... Mimo to byłam przecież przezorną jak matka, która niezamącone szczęście pragnie sporządzić swojemu dziecku i bardzo pilnie wybadałam Jagienkę o Wilczka. I mogę ci na to przysiąc, że Wilczek tak jest jej obojętnym, jak Smolicki albo ksiądz Wara. Przeciwnie zaś uważałam, że na ciebie z upodobaniem patrzyła i jestem pewną, że za dzień albo dwa dni będziecie z sobą, jak gdybyście się znali od dziecka.

Ta energiczna przemowa sprawiła ckliwe na Gniewoszu wrażenie, bo widział, że matka się upiera przy swoim, jednak bronił się dalej jak mógł, mówiąc spokojnie:

– Jam tego wcale po Jagience nie spostrzegł. Owszem, zdawało mi się, że się jej ani kęs nie podobał. Ale choćby tam może, z czasem... to mi i to jakoś nie bardzo się zdaje, aby mnie kasztelaństwo tak zaraz przyjęli, zwłaszcza że panna jeszcze bardzo młodziutka i nie potrzebuje się śpieszyć. Gniewoszowie tam wprowadzić nie ustępują Tarnowskim i Kmitom w starożytności, ale im do nich dosyć daleko w świetności i wszelakim znaczeniu. A ja tam znowu tak bardzo wiele nie rozumiem o sobie. Rotmistrz królewski i starosta czorsztyński, takich dygnitarzy jest w Polsce jak mrowia, a Kmitowie wcale nie potrzebują schylać się do nich po zięcia...

Ale starościna mu znów niecierpliwie przerwała, mówiąc z ironią:

– A już mi znowu usiłujesz dowodzić, że jestem głupia. Przecież dopiero co powiedziałam ci dość zrozumiale, że cię nie po to tu zawazałam, ażebyś się na przeszkodach potykał. Wszystko to już jest ułożone. Kasztelan się w takie sprawy nie miesza, jeno je zdaje na żonę, a z kasztelanową mówiłam o tym nie raz, ale dziesięć razy, i co dzień o tym mówimy. Jesteś przyjęty, choćby i jutro się deklarować.

Dopiero te ostatnie słowa uderzyły jakby piorunem w flegmatyczny temperament Gniewosza. Na te słowa jasno mu się zrobiło w głowie i wszystka krew mu uderzyła do twarzy. Jak to? dopiero przed trzema dniami przysiągł Formozie miłość i wierność do grobu – a tu już jutro ma się deklarować o inną? Jego miłość dla Formozy może w tej chwili umilkła, ale za to tym raźniej stanęła mu przed oczyma przysięga na krzyż Pański i na honor rycerski. On miałby złamać taką przysięgę? Nigdy, za żadną cenę. Jakoż gdyby kto inny mu był myśl taką podsunął, to już by go był pochwycił w swoje żelazne ręce i rozdarł na ćwierci, a ćwierci porzucił na cztery wiatry.

Ale tę myśl poddawała mu matka. Matki rozdzierać nie można, co więcej, matki słuchać potrzeba, bo tak nakazuje dziecięcioro Bożych przykazań, a te przykazania są ewangelią dla każdego rycerza. Matki nawet obrażać nie można, bo temu sprzeciwia się już nie tylko Boże przykazanie, ale nawet wrodzone uczucie ludzkie. Ale czy matka wie o tym, jaką myśl mu poddaje? Oczywiście nie wie. Więc trzeba jej to powiedzieć.

Gniewosz wstał i przeszedł się dwa albo trzy razy wzdłuż komnaty, ażeby się namyślić, jakimi słowami ma przed nią się wypowiedzieć z tej tajemnicy swojego serca – a tymczasem starościna, spojrzawszy z niemałym zdziwieniem po raz i drugi na niego, spuściła głowę na piersi, złożyła ręce przed sobą i mówiła jakby do siebie:

– Jakżeż niewdzięczna jest rola rodziców na świecie! Jam tyle trudów, często wcale nieznośnych, tyle prac, nieraz z upokorzeniem mojej godności, tyle wysień niejednokrotnie nadludzkich, nałożyła na swoje barki kobiece, ażeby ci drogę uścielić do szczęścia; ja teraz, także z trudem niezwykłym, otrzymałam dla ciebie panienkę, której związku rodzinne postawią cię od razu pomiędzy najpierwszymi panami królestwa – a ty to przyjmujesz tak zimno i obojętnie, jak gdyby wszystkie wojewodzianki się darły o ciebie. Cóż to jest? – spytała budząc się i patrząc ciekawie na niego – czyś tam tak zbutniał na dworze królewskim, a tylko

skromnego udajesz? czy może inni cię kędy indziej swatają? Przecież przed matką nie będziesz chował tajemnic.

Zaczem Gniewosz siadł na powrót naprzeciw matki, przegiął się ku niej, a nabrawszy odwagi, rzekł głosem pełnym szczerości:

– Moja matko kochana, do czegoś się miał przyznać dopiero po czasie, to już teraz muszę powiedzieć. Nie może to być, abym się żenił z Jagienką, bom właśnie teraz poznał inną dziewczynę we Lwowie i tę chciałbym pojąć za żonę.

– Inną? – zapytała starościna, odsuwając się w głąb krzesła od niego – któż to jest taki?

– Jest to panna Murysonówna, herbu Mora, daleko wspanialsza od Jagienki, a idą też na nią daleko znaczniejsze majątki.

– Nie słyszałam nigdy o Murysonach – rzekła na to cierpko Gniewoszowa – musi to być jakaś szlachta z wielkopolskich chodaczków, co się zbogacili na Rusi. Nigdy też na to nie pozwolę, abys się umorysał Murysonami.

– Ale to bardzo słuszna jest szlachta – powiedział jej Gniewosz – ojciec panny Formozy był trembowelskim starostą, a matka jej była właśnie Kmitówna.

– Kmitówna? – zawołała starościna zgrzyliwie – musiała to być jakaś Kmitówna z bardzo szarego końca, kiedy poszła za Murysona! – Po czym dodała sucho, ale jeszcze nie bardzo stanowczo: – Ja na takie małżeństwo mojego pozwolenia ci nie dam. Podobała ci się, więc o niej zapomnisz – a z tą się ożenisz.

Tu Gniewosz rozumiał, że zamach ten teraz jednym słowem odeprze, bo zaczerpnąwszy oddechu, powiedział głosem pogodnym i dźwięcznym:

– Juźci bym ja rad pójść za wolą mojej kochanej matki, ale nie mogę, bo z tamtą jestem po słowie.

– Jak to? – zawołała starościna, przechylając się ku niemu i patrząc mu w oczy – po słowie? po deklaracji? i po zaręczynach? i to wszystko bez opowiedzenia się matce? Ach! takiego despektu przecieżem się nie spodziewała po tobie!

Na te słowa, nie będąc na nie przygotowany, Gniewosz się zmieszał i odpowiedział głosem niepewnym:

– Dałem słowo od siebie i wziąłem od niej, zaręczyn jeszcze nie było...

– Więc cóż? – zawołała starościna z niecierpliwością i z gniewem – bo ze mną trzeba gadać na rozum. Panna chce iść za ciebie, ale panu Murysonowi pan Gniewosz za mały? he? i nie chce zezwolić? Albo są jakie inne przeszkody?

Na to pytanie Gniewosz uczył, że jego broń, którą się spodziewał zwyciężyć, zaczyna się kruszyć, jakoż już prawie jękając się odpowiedział:

– Jest jedna przeszkoda, bo panna jest tymczasem zameżna...

– Zameżna! – zawołała starościna z niecierpliwym zdziwieniem – cóż to ma znaczyć? Coś mi tu bredzisz. Panna... zameżna tymczasem... niechże to kto zrozumie. Cóż to jest? Wytłumacz się jasno.

Tu Gniewosz już dobrze zrozumiał, że tymi argumentami nie obroni swej sprawy przeciwko trzeźwemu rozumowi swej matki, mówił jednak jak mógł:

– Moja matko kochana, sprawa to bardzo prosta i jasna. Panna Murysonówna, po zamordowaniu jej rodziców przez Tatarów, dostała się sierotą w dom zacny ormiański, ale tam ze zbytycznej troskliwości o jej los przyszły wydano ją przeciw jej woli za ormiańskiego młodzieńca, z którym ona żyć nie chce, a nawet nie może. Ta kobieta mi bardzo przypadła do serca, zmówiłem się z nią...

Ale w tej chwili starościna zerwała się jak oparzona z krzesła, chwyciła się obydwoma rękami za głowę, potem obydwie ręce podniosła do góry, a chodząc wielkimi krokami po komnacie, wołała do siebie:

– Ach! ach! ach! otóż to jest historia! Murysony! Ormiany! Panna, kobieta, mężatka! Tam szuka się żony!

Po czym przystąpiła do syna, który wstał także, i z wielką niecierpliwością, a głosem bliskim rozpaczy tak do niego mówiła:

– Ależ ty, panie bracie, jak widzę, na czysto zwariował! Ciebie Pan Bóg, ciebie już nawet i rozum odstąpił! Gniewosz, pan z panów, najstarszy szlachcic w królestwie, pasowany na rycerza przez niemieckiego cesarza, rotmistrz królewski i jeden z najpierwszych starostów... ty włączysz w domy ormiańskie, ty się do mężatki zakradasz, ty się z nią zmawiasz – i to tam ślub ma być z tego? Komuż ty takie brednie wyplatasz?... Jeżeliś już upadł tak nisko, że się nie wahasz kumać z kupiecką hołotą, jeżeliś twe obyczaje tak oplugawił, że się nie wzdrygasz uwodzić kobiety zameżne, jeżeliś tak zgłupiał, że przy wszeteczeństwach roją ci się śluby małżeńskie po głowie, toż przynajmniej mnie nie miej za taką głupią, ażeby takim powieściom wierzyła!

Zaczem znów ręce łamiąc i mocno sapiąc od gniewu i oburzenia, zaczęła chodzić wielkimi krokami po izbie.

Natenczas Gniewosz już zwiądnął zupełnie. Był wprawdzie tego świadomy, że miał czyste sumienie, lecz widział zarazem jasno, że tego kroku, jaki zrobił we Lwowie, nie zdoła obronić przed matką. Jej rozum, zgodny z duchem obyczajów ówczesnych, jej silna wola, jej temperament gwałtowny, wzmocnione i podniesione macierzyńską powagą, która pod owe czasy była władzą istotną, wzięły nad nim górę jak najzupełniej. Gniewosz czuł, że siła oporu całym go opuściła. Bronił się jeszcze, aby się przynajmniej usprawiedliwił, i zaczął mówić:

– Ale, moja matko kochana, takich tam ciężkich grzechów nie masz na moim sumieniu. Murysonowie to naprawdę ród starożytny i zacny. Córka ich błyszczą najwspanialszymi cnotami i w całym mieście w wielkim jest poważaniu. Ten dom ormiański zasypałby swymi bogactwami niejednego wojewodę lub kasztelana: przecież sam król był tam z nami w gościnie. Panna jest wprawdzie zameżna, ale przeciwko swej woli – a na to są przecież rozwody. Sam król mi obiecał...

– Głupiś! – zawołała na to starościna, nie umiając już wcale opanować swojego oburzenia – rozwody! głupiś jak but, kiedy takie rzeczy powiadasz. A przecież my jesteśmy członkami katolickiego Kościoła – a w naszym Kościele nie masz rozwodów! Trzeba być poganinem, ażeby o tyra nie wiedzieć. Król! właśnie też król może coś Kościołowi rozkazać! Jak podłą gadzinę rozdeptałby papież takiego króla, co by mu się chciał wtykać w jego sprawy kościelne. Głupstwo i głupstwo jedno na drugim, że człowiek własnym uszom nie wierzy. Albo i to? mężatka, a panna – czy słyszał kto kiedy co podobnego?!

– Ależ, moja matko – wybąknął znów Gniewosz – ja tylko to mówię, co wszyscy wiedzą we Lwowie, i co ona sama mi potwierdziła. Jest od roku zameżną, ale...

– Ale co? – krzyknęła na to starościna, przyskakując do niego i prawie już pieniać się od gniewu – od roku z młodzieńcem zameżna i panna? A toś ty już zgłupiał, jak chłop, co mu kołtuny mózg ze łba wyssały! Ona sama ci się do tego przyznała? A toż to musi być baba bezczelna, co jeszcze samego diabła by w pole wywiodła!... I takie rzeczy się tam dzieją w tym Lwowie, co go też słusznie zwą drugą Gomorą! I sam król swoich młodzików w takie spelunki prowadzi! Nie, mój kochany, dosyć już tego. Wiem ja już dobrze, kogo tu widzę przed sobą. Dziękuję Bogu, że mnie natchnął tą myślą, ażebym zawczasu pomyślała o tobie. Zmówiłam ci pannę, chciałam cię teraz tylko zaswatać, a ślub odłożyć do zapust, ażeby się też odprawił z odpowiednią naszemu imieniu godnością. Ale kiedy tak, kiedy ty z mężatkami miłosne stroisz kabały i takiemu plugastwu rozwodami przyświecasz, i króla w to mieszasz, i diabli tam wiedzą co jeszcze: to tu ani jednego dnia czekać nie można, bo tu już piekło wisi nad tobą. Patrz! – zawołała starościna i wskazała mu ręką ołtarz w otwartej kaplicy – tu klęknij i módl się, aby ci Pan Bóg przepuścił twe bezceństwa. Jest tu ksiądz jakiś na zamku, podobno niecały, ale lepszy taki niż żaden. Jutro o świcie przed nim się wypowiadasz, jutro cię deklaruję i jutro ślub! Jutro! zrozumiałeś mnie? Ani jednej doby nie dam ci stać nad tą piekielną przepaścią, nad której brzegiem cię chyba sam diabeł postawił!

To rzekłszy, odwróciła się i chciała prędkim krokiem wyjść do swojej sypialni. Gniewosz właśnie dopiero w tej chwili całą przepaść zmierzył oczyma, nad którą postawiła go matka: a przecież przysiągł Formozie! Wstrząsł się więc i zawołał:

– Ależ jam przysiągł tamtej!

– Przysiągłeś? – zawołała starościna, zatrzymując się w biegu i odwracając się z podniesioną prawą ręką ku niemu – przysięga! a komu to przysiągłeś? kobiecie, która ma męża. A cóż to jej przysięgałeś? że ją uwiedziesz, jej, która ciebie uwiodła! Jeżeli to nie jest zbrodnia, toż to wierutne błżeństwo! Za złamanie takiej przysięgi jeszcze ci Pan Bóg wszystkie inne grzechy odpuści. Złamanie tej przysięgi ja biorę na moje sumienie i ja za nie odpowiem przed Bogiem. Jutro ślub! bez oporu i bez apelacji.

Z tymi słowami zniknęła we drzwiach i drzwi zatrzasnęła za sobą.

Gniewosz został sam w tej komnacie, pustej i głuchoj, i wyglądającej teraz już wcale jak kościół zamknięty. Matka kazała mu się modlić, kaplica stała otworem, ołtarz zwykł ńęcić do siebie ludzi pobożnych, zwłaszcza w chwilach takich, kiedy ich jakie nieszczęście uciska; ale on nie czuł się wcale usposobionym do modłów, bo chociaż był niemniej nabożnym od innych, był przede wszystkim człowiekiem czynu. Był przy tym i fatalistą cokolwiek, jak wszyscy ludzie owego czasu. W każdym przeciwieństwie i w każdym nieszczęściu miał zwyczaj wyczerpać najprzód wszystkie środki ratunku, a dopiero potem spuszczał się na wolę Bożą. I zawsze jakoś mu się to udawało – i wychodził szczęśliwie ze wszystkich trudności. Ale teraz w sposób wcale niezwykły mu się serce ścisnęło, bo na razie nie widział żadnego środka ratunku. Sprzeciwić się tak stanowczej woli swej matki, o tym nie mógł ani pomyśleć: znał on dobrze jej zapamiętałość, dopiero co widział ją własnymi oczyma, w razie oporu matka by go przeklęła – a na to nie mógł się w żaden sposób narazić. Rozpatrzywszy się głębiej w swym położeniu, musiał nawet przyznać, że matka ze swego punktu widzenia ma słuszość, bo jużci popełnił on krok lekkomyślny, który nawet dość głupio wygląda, a którego przeto ani bronić nie można: zapłonać miłością dla kobiety zamężnej, a jeszcze do tego przysiąc jej wierność. Uwaga ta zaciążyła mocno na jego nieskazitelnym sumieniu i może przygłuszyła do pewnego stopnia jego uczucie miłości; ale przysięgę wykonał na krzyż Pański i honor rycerski i tak samo nie mógł jej złamać, jak się narazić na przekleństwo swej matki.

Pod nieznośnym ciężarem tej matni, z której wyjścia nie widział, siadł w krzesło, zaczął wąs kręcić i uśmiechać się swoim zwyczajem, chociaż tym razem bardzo boleśnie, i rozmyślał nad środkami ratunku. Pierwsza myśl, która mu przyszła, była czysto ludzka: wybiec w dziedziniec, kazać konie kułbaczyć i uciec ze zamku. Rzecz się odwlecze i prawdopodobnie uciecze. Ale była to myśl nie rycerska, rycerz nie ucieka, więc ją odrzucił. Potem mu przyszła myśl inna, równie ludzka, ale wypływająca z wpojonych weń uczuć religijnych: upokorzyć się przed matką, wytłumaczyć jej swe położenie krytyczne, prosić o przebaczenie, błagać o łaskę. Ale temu sprzeciwiło się także uczucie godności rycerza, trzymające przodek przed wszystkimi innymi. Rycerz nie upokarza się przed nikim, chyba przed pomazańcem Bożym – a i to jeszcze. Zresztą na nic by to się nie zdało, matka by go nawet nie wysłuchała. Myślał więc dalej – a tak pomału mu świtać zaczęło w skolatanym umyśle. Przysięgi dotrzymać musi: ale czy nie mógłby jej dotrzymać, choćby się nawet ożenił? Dlaczegoż nie? Tigraneseem wprawdzie nie jest, ale każdy nim być może, gdy zechce. Są rzeczy, do których mężczyznę żadna moc ludzka zniewolić nie zdoła. Więc tak; ożeni się, jeżeli go matka zmusi do tego, ale przysięgi nie złamie.

Rozumowanie to było może scholastyczne cokolwiek: ale scholastyka panowała jeszcze na dworach i w całej dyplomacji ówczesnej i całe rycerstwo sobie nią pomagało w potrzebie. Właśnie podczas pobytu Gniewosza w Niemczech jeden z tamtejszych rycerzy, zadłużywszy się u Żyda w gospodzie i nie mając go czym zapłacić, aby nie umarł z głodu ze swymi ludźmi, musiał dać słowo rycerskie Żydowi, że nie przestąpi progę gospody, póki go nie zaspoko; progę nie przestąpił, ale kazał przejście wykopać pod progiem, przez które jego ludzie go

przeciagnęli, a sami, nie będąc słowem związani, gwałtem się za nim wydarli z gospody – i dowcip ten został po całych Niemczech przyjęty z jednogłośnym oklaskiem, a filut ten pozostał nadal wzorem słownego rycerza, jak nim był dotąd. On nie chce przecież oszukać Formozy, owszem, przysięgi święcie dotrzyma, a nawet w trudniejszych okolicznościach. Prócz tego jeszcze położenie ich obojga całkiem się zrówna: ona zamężna i jemu wierna, on żonaty i jej wierny – a zresztą, niech tam Bóg radzi o swojej czeladzi. Ale i o to nie należy rozpaczać. Dotąd ażeby się mógł ożenić z Formozą, potrzeba było rozwodu, odtąd potrzeba będzie dwóch rozwodów; jeżeli król jeden rozwód wyrobi; to i dwa także wyrobi, kanoniczna przeszkoda będzie w obydwóch wypadkach ta sama. Więc co tam! – powiedział sobie Gniewosz – postępujmy zawsze uczciwie, a resztę zostawmy losowi... I z tym poszedł spać – i spał jak kamień do rana.

Starościna przespała tę noc także bardzo spokojnie. Była ona przekonana, że zmuszając syna do tego małżeństwa, dopełniła obowiązku troskliwej i przewidującej matki jak najsuwniej. Co więcej, była nawet wysoce z siebie zadowolona, bo nikt by był jej nie odebrał tego uczucia, że spełniła czyn heroiczny a zarazem bardzo pobożny, bo ochroniła potomka świętego rodu i chrześcijańskiego rycerza od zaprzepaszczenia swej duszy i sponiewierania swego imienia w niskich warstwach kupieckich. Nazajutrz rano z umysłem pogodnym, jaki się zawsze miewa po osiągnięciu zamierzonego celu, z uśmiechem na twarzy i z głową podniesioną do góry, poszła odwiedzić kasztelanową.

Kasztelanowa już ją oczekiwała, zdaje się nawet, że z pewną niecierpliwością, bo nim jej jeszcze krzesło podała, zapytała ją żywo:

– Cóż tedy? miałaś podobno już wczoraj wieczorem długą z twym synem rozmowę, jakież rezultat?

– Rezultat nie mógł być inny – odpowiedziała jej starościna, siadając spokojnie na krześle – jak tylko ten, którego oczekiwała. Mój syn jest uszczęśliwiony nad wszelki wyraz... Ale muszę tobie powiedzieć, że i ja jestem tym małżeństwem daleko więcej uradowana, niżelim się spodziewała, a raduję się dla mnie i dla ciebie. Bo jużci to sama przyznasz, że Jagienka była w wielkim niebezpieczeństwie. Z takim Wilczkiem, co jest taki rozpustny, a do tego jeszcze ma tę tam jakąś bojarównę na karku, nie mogłaby być nigdy szczęśliwą – i byłaby z nim zapewne dożyła wielkich zgryzot i fatalności. Ty byś się zapewne była sprzeciwiała temu małżeństwu, ale mów tam sobie, co chcesz! gdyby się Kamieniecki, gdyby się król w to wmieszał... my kobiety jesteśmy słabe stworzenia, opieramy się jakiś czas, ale w końcu zawsze ustępujemy. Jagienkę tedy ochroniliśmy od wielkiego nieszczęścia, a ciebie od wielkich nieprzyjemności. Ale wyobraź sobie, że i mój syn także był w pewnym niebezpieczeństwie. Już go tam teraz we Lwowie o mało co nie uwikłano w jakieś kabały z tą tam Murysonówną, co to ją gwałtem wydano w jakiś dom ormiański. Ma to podobno być bardzo piękna kobieta, ale... pożał się Boże!

– Pożał się Boże! – odpowiedziała kasztelanowa z litościwym westchnieniem.

– Tak tym wszystkim niebezpieczeństwom łeb utniemy od razu – rzekła Gniewoszowa z zadowoleniem i zaraz spytała: – Więc może by teraz zawołać Jagienkę?

– Zawołajmy ją – rzekła kasztelanowa i zaraz po nią posłała.

Jednak w tej chwili wymalował się pewien niepokój na jej twarzy. Wstała, spojrziała przez okno w dziedziniec, jak gdyby tam kogoś dojrzyć pragnęła, po czym zwróciła się do starościny i powiedziała jej głosem cokolwiek zmienionym:

– Ale wiesz, moja droga, muszę cię z góry uprzedzić, że ja wszystko zrobię, co mogę, aby Jagienkę przekonać, aby ją zresztą namówić. Ale gdyby się opierała, gdyby ją zmuszać potrzeba, to przyznam ci się...

– Zmuszać! zmuszać! – zawołała starościna – któż o tym mówi? Przecież jej nikt za kark brać nie będzie, aby ją gwałtem prowadzić do ślubu. Wola rodziców i opiekunów jest tylko

prawem, nie trzeba jej nazywać niewolą – a prawu każdy poddać się musi, inaczej by się świat wyrócił do góry nogami. My przecież wszyscy żyjemy pod pewnymi prawami, a chociaż niektóre z nich nam się zdają uciążliwymi, przecież się im poddajemy. Dzieciom dyktują prawa rodzice – a kiedy dzieci same zostają rodzicami, to znowu one dyktują prawa swym dzieciom. Takim porządkiem rzeczy stoją i utrzymują się rodziny w tym znaczeniu i w tym duchu, w jakim istniały od wieków – a na rodzinach stoi całe królestwo i zresztą cały ród ludzki. Czy mogłyby się po wiek wieków utrzymywać rodziny w swojej własnej istocie, gdyby dzieciom wolno było się żenić i iść za mąż według ich chwilowych kaprysów? Nigdy, przenigdy. Gdyby małżeństwa się kojarzyły według miłosnych zachcianek, gdyby następujące po sobie rodziny tworzyły się z obcych sobie żywiołów, niedobranym ze sobą według rodzinnych tradycji, tylko według wybryków krwi lub fantazji, to już syn nie byłby podobny do ojca, a wnuk już by wcale nie wiedział, jakiemu Bogu modlił się jego dziadek. Ale że u nas jest chwała Bogu inaczej, że u nas rodzice wybierają zięciów dla swoich córek, a żony dla swoich synów, że tylko rodem, znaczeniem, wiarą, tradycją i sposobem myślenia pokrewne łączą się z sobą żywioły, więc też mamy rodziny, które niezmiennie trwają od niepamięci, a trzymając się z sobą jak sieć nieprzedarta, niosą na swoich barkach to nasze królestwo, już je przez bardzo wiele burz i powodzi w całości przeniosły i tak je na sobie w całości doniosą aż po dzień ostateczny. Wobec takiego celu, cóż tam znaczy jakiś kwaśny humorek, co opanuje panią w dzień deklaracji, a choćby nawet i jakaś łezka, którą uroni w dzień ślubu? A zresztą, pomnijmy na siebie samych. Ja mego męża pierwszy raz obaczyłam, kiedy z wielkim dworem do Magierowa przyjechał, aby mnie poprowadzić przed ołtarz. A ty, zaliż sama wybrałaś sobie twojego męża? A przecież pomimo drobnych, przemijających zgryzotek, bez których nigdy się nie obchodzi w małżeństwach, nie możemy się skarżyć, bo dobrze nam było na świecie. Toż jeszcze za naszą przyczyną Kmitowie znacznie podrośli, a Gniewoszowie przynajmniej nie podupadli – a ja ci powiadam, że obydwie te rody jeszcze pójdą bardzo wysoko, jeżeli postępować będziemy z naszymi dziećmi tak samo, jak niegdyś z nami postępowali nasi ojcowie.

– Wszystko to dobrze – rzekła na to kasztelanowa, pochwalając zupełnie zapatrywania się swej przyjaciółki – ja ci tylko chciałam powiedzieć, że Jagienki zmuszać nie mogę, nie mam nawet do tego prawa, bo my nie jesteśmy jej opiekunami...

Na te słowa Gniewoszowa spojrzała niezmiernie zdziwionymi oczyma na kasztelanową. Widać było po jej przeciągniętej twarzy i ustach wpółotwartych, że o tym szczególnie nie wiedziała: ale w tej chwili weszła Jagienka.

Jagienka miała twarz bladą jak ściana, na jej cerze przebijał się odcień zielony, widocznie całą noc strawiła bezsenność, w strasznej grozie, w najstraszliwszej walce przeciwko przemocy, na którą żadnego nie znalazła ratunku. Jeszcze teraz drżały w niej wszystkie wnętrzości, była podobną temu nieszczęśliwemu, któremu mają ogłaszać wyrok na śmierć: ale widać było po niej zarazem, że wszystkie swe siły zebrała, że była sobie najzupełniej przytomną i powzięła bohaterskie postanowienie, cios ten wytrzymać z odwagą. Tak weszła, nie z głową podniesioną do góry, nie z dumą w swojej postawie, owszem, pokornie schylona, i tak stanęła przed ciotką.

Kasztelanowa, która już przedtem przeczuła, że Jagienka nie przyjmie z dobrą chęcią deklaracji Gniewosza, jednym rzutem oka odgadła jej obecny stan duszy i dlatego z bardzo łagodnym wyrazem na twarzy i wielką słodyczą w głosie prosiła ją, aby usiadła, zapowiadając jej, że chce z nią o bardzo ważnych rzeczach pomówić.

Ale Jagienka nie siadła, mówiąc sucho:

– Wysłucham stojąc, jakem powinna, rozkazu mojej ciotki.

Kasztelanowa zaprotestowała przeciwko tym słowom natychmiast, mówiąc z dobrocią serca:

– Ale, moja droga Jagienko, tu nie masz żadnego rozkazu. Chcę tylko, co też moim jest obowiązkiem, powiedzieć ci, co mi właśnie oświadczyła pani starościna.

Tu zabrawszy głos, wyłożyła jej z wielką łagodnością, jako przeznaczeniem każdej dziewczyny jest wyjść za mąż, a im wcześniej, tym lepiej, jako ród Gniewoszków należy do najświetniejszych w królestwie, a Cherubin, chociaż tak młody, pasowan jest na rycerza przez niemieckiego cesarza, zajmuje wysoki urząd w Polsce, cieszy się łaską królewską i niezawodnie wielką ma przyszłość przed sobą, jako nareszcie jest człowiekiem wspaniałego umysłu i tak dobrego serca, jakiego na próżno by szukać pomiędzy dzisiejszym rycerstwem, o czym też wczoraj w rozmowie z nim zapewne sama się przekonała. Kasztelanowa byłaby swoje przemowę zapewne zakończyła w tym samym łagodnym tonie, ale Gniewoszowa patrzyła na nią wzrokiem tak surowym i tak imponującym, że się przed nim ugięła i powiedziała z rodzicielską powagą i stanowczością:

– Naradziwszy się tedy z moim mężem, ile że cię jak własne dziecko kochamy i prawdziwego szczęścia dla ciebie pragniemy, postanowiliśmy przyjąć pana Gniewosza i dać tobie za męża.

W tej chwili obydwie matrony wpatrzyły się w nią jak w posąg wydający wyrocznie, zaparły oddech w piersiach i czekały jej odpowiedzi.

Jagienka, ścierpięta z bólu, a przekonana, że opór jej na nic się nie zda i tylko sceny wywoła, w których ją ból całkiem rozbierze i nie dozwoli jej utrzymać się w swojej godności, odpowiedziała sucho jak pierwej, ale z przerażającą cierpkością w głosie:

– Jak skoro już takie postanowienie zapadło, to mnie nie pozostaje nic, jak tylko przed nim się skłonić.

Na to Gniewoszowa wstała raźniej niż zwykle z siedzenia i otwierając ku niej ramiona, rzekła z wzruszeniem:

– Przyjmujesz więc, moja najdroższa...

Ale Jagienka cofnęła się od niej i odpowiedziała głosem ciętym:

– Przyjmuję, bo tak chcą ci, którzy mną dysponują, ale nie z mojej woli.

Zaczem zaraz ukłoniła się ciotce i starościnie, zginając się przed nimi prawie we dwoje, i wyszła z komnaty.

Wyszędłszy w korytarz i idąc do swego mieszkania, miała krew skrzeplą w żyłach i wszystkie myśli zmacone: jednak była jeszcze o tyle sobie przytomną, że rzekła do siebie z zaciśniętymi zębami: – Jeśli mi gwałt zadają, to niechże choć wiedzą, że to jest gwałt i że się dzieje przeciw mej woli! – Lecz powiedziawszy te słowa, straciła całkiem przytomność, była jak człowiek znajdujący się w ciemnicy i nic nie widząc przed sobą, doszła prawie jak po omacku do drzwi swego apartamentu.

Wszakże przy samych drzwiach ktoś ją chwycił za rękę. Spojrzała nań, był to Smolicki.

– Cóż tam? – zapytał Smolicki, patrząc na nią z współczuciem – czy już dzisiaj deklaruwano?

– Wydają mnie gwałtem za Gniewosza! – zawołała Jagienka. I w tej chwili serce jej skrzeplę, dotychczas silną wolą na uwięzi trzymane, rozplynęło się w żalu: rzuciła się Smolickiemu w ramiona i głośnym płaczem wybuchła.

Szydzący nieraz cierpko ze wszystkich, Smolicki miał przecież serce i przycisnął ją do swej szerokiej piersi: ale miał także przytomność umysłu, która go nigdy nie opuszczała. Badać zaś niezmiernie ostrożnym z obawy, aby nie stracił łaski swych panów, otworzył drzwi, wepchnął ją do jej apartamentu i sam wszedł za nią.

– Nieszczęście! nieszczęście! – rzekł do niej półgłosem, zamknawszy drzwi za sobą – kasztelan duda, całe już zapomniał o Wilczku. A potem, co to, kiedy się przy czym uprą kobiety! Ale nie trzeba jeszcze rozpaczać. Przecie to nie kasztelaństwo są twoimi opiekunami, tylko twój stryj ojciec Chryzostom. Bez niego nie mogą stanowić o tobie...

Na te słowa Jagienkę jakby błyskawica olśniła. Chwyciła Smolickiego konwulsyjnie za rękę i zawołała:

– Ojciec Chryzostom! to prawda, ani mi to na myśl nie przyszło, bo też się nie znam na prawach. Ojciec Chryzostom taki dobry, on mnie tak kocha, on nie da mnie zgwałcić. Ale cóż zrobić?

– Trzeba w lot posłać po niego – rzecze Smolicki.

– Kogóż ja poszlę – zawołała rozpaczliwie Jagienka. – Prócz ciebie na całym zamku nie mam żywej duszy, która by miała litość nade mną...

– Ksiądz Wara pojedzie.

– Pojedzie!? – krzyknęła Jagienka z radością – to bądźże łaskaw, przyszlizże mi go natychmiast.

– Zaraz go przyszlę – rzekł Smolicki, a biorąc za kłamkę, dodał te słowa: – Ale słuchaj, waćpanna, trzeba mieć rozum we wszystkim. Niech Wara nie jedzie wprost od waćpanny do o. Chryzostoma, bo mogłoby się to potem wydać, a za to tutaj by się pogniewano na nas oboje. Wilczek jest we Lwowie, niechaj więc jedzie do Wilczka, a Wilczek niechaj sam skoczy do Wiszni. Niedaleka to droga, na jednym dniu nic nie zależy; przecież tu jeszcze się ziemia nie pali pod nami, a kiedy zechcesz, to małej odwłoki ci nie odmówią.

Smolicki z tym wyszedł. Jagienka była jakby na węglach, łamała ręce z niecierpliwości, łzy jej się toczyły po licach: czy Wara przyjdzie, czy zechce się podjąć tego poselstwa? czy nie będzie się obawiał kasztelanowej? – Jednak za jakie kilka pacierzy Wara przyszedł.

– Mój drogi Wara – zawołała do niego Jagienka, kładąc mu obydwie ręce na ramionach – Smolicki już ci powiedział... Pojedziesz?

– Dlaczegoż nie? – odpowiedział jej Wara – ja pannę Jagienkę tak kocham, że i do piekła bym dla niej pojechał. Byłaś przecież tak dla mnie łaskawa, żeś mi obiecała probostwo...

– Nie obawiasz się kasztelanowej?

– Ja o ten cały zamek dbam tyle, co o źdźbło słomy, które leży na drodze. Pięknie mnie nagrodzili! Kiedy kasztelan jęczał pod grzechem śmiertelnym zabójstwa...

Ale Jagienka mu przerwała, mówiąc:

– To jedźże. Ale jedź prędko. Jedź prosto do pana Wilczka i powiedz mu... przecież już wiesz, już ci powiedział Smolicki.

– Wiem wszystko – rzekł Wara – i dobrze się sprawię. Nie nowina mi jeszcze daleko trudniejsze sprawać poselstwa. Jutro w nocy, a najdalej pojutrze będę we Lwowie. Tylko ja biedny...

– Ach – zawołała Jagienka – jestem dziedziczką trzech kluczków, a nie mam ani grosza przy sobie! Ale tu masz...

To mówiąc pobiegła prędko do szkatułki, co stała na stole, wyjęła z niej złoty łańcuch i dając mu go, zawołała:

– Masz! Ktoś ci tam na to pożyczczy pieniędzy. Jedźże już jak najprędzej...

Ale Wara stał jeszcze, spojrział na nią, a potem rzekł:

– Wiem ja, że pannie Jagience to nie bardzo wypada. Ale przecież, gdybym miał jaki listek do pana Wilczka...

– Nie wypada? – zawołała Jagienka – co mnie nie wypada! Tu śmierć wisi nade mną! Ja umrę, jeżeli mnie za Gniewosza wydadzą! Ja gwałtu nie zniosę i pierwej się w łóżku własną ręką zadławię! Ja przed żadnym środkiem ratunku się nie ulęknę... Zaraz ci list napiszę.

To rzekłszy, siadła natychmiast do stołu, porwała papier i pióro i wzięła się do pisania. Ale pisanie nie było wówczas rzeczą tak łatwą, jak dzisiaj. Zaczęła jeden list i podarła, podarła drugi i trzeci. Zaczem obróciła się z krzesła do Wary i rzekła: – Jakoś mi nie idzie. Może ty za mnie napiszesz. Ja ci powiem, co trzeba w liście położyć, a potem podpiszę.

Ale te słowa niezmiernie zakłopotaly Warę. On nie miał także wprawy do pisania, tylko wiele czytywał, zwłaszcza gdy nie miał weselszej rozrywki. Zaczął się jąkać mówiąc, że przecież lepiej by było, gdyby listek był własnoręczny...

Więc Jagienka, decydując się prędko, odpowiedziała mu:

– Nie masz tu czasu na długie pisanie, ale dam ci mój podpis.

Po czym na małej kartce papieru napisała te słowa:

W smyennych lossach nyesmyenna Yagienka.

– Masz! – zawołała, oddając mu kartkę – to ci wystarczy. Reszty sam mu dopowiesz. Jedźże więc. A jedź prędko, na dzień i noc. I powiedz Wilczkowi, niech zaraz po odebraniu tej kartki jedzie do Wiszni. Niech prosi króla o pozwolenie, a jeśli król nie pozwoli, to niech jedzie bez pozwolenia, choćby miał stracić łaskę królewską. Choćby i urząd miał stracić! Co tam! mamy dóbr dosyć, będziemy żyć szczęśliwie bez urzędów królewskich. Jedźże, jedź zaraz...

– Za godzinę będę już siedział na koniu – rzekł Wara i ucałował rękę Jagienki, wyszedł z komnaty.

Po jego wyjściu Jagienka, chociaż jeszcze głęboko wzruszona, przecież się uspokoiła cokolwiek. Do ciemnej kaźni więźnia skazanego na śmierć promyczek światła uderzył przez kraty – i świeci.

Po wyjściu Jagienki z komnaty kasztelanowej obydwie matrony spojrzały po sobie, lecz żadna z nich nie wiedziała, co by miała powiedzieć. Starościna przybrała taki wyraz twarzy, jak gdyby kasztelanowa coś przeciw niej zawiniła i powinna się przed nią usprawiedliwić. Kasztelanowa to zrozumiała i rzekła:

– Moja droga, cóżem ja temu winna? To jest dziewczyna dumna z natury i opozycją ma we krwi. Zakonnice nie potrafiły sobie z nią dać rady, pokora, której ją nauczyły, jest u niej tylko zewnętrzna, a wewnątrz, kto tam wie, jakie ma myśli. Ja to wiem z dawna, że się czuje Kmitówną i chciałaby sama dysponować swym losem. Czy i o ile myśli o Wilczku, to trudno wiedzieć; według mnie już to samo, że ktoś inny dla niej wybiera męża...

Tu wszakże przerwała jej Gniewoszowa, mówiąc sucho:

– To mniejsza. Każdej z nas się takie myśli roiły za młodu. Ale dlaczegożeś mi nie powiedziała zawczasu, że nie przy was jest nad nią opieka? Któż to jest jej „opiekadnikiem”?

– Jej stryj, ojciec Chryzostom.

Tu Gniewoszowa podniosła głowę do góry, oczy otworzyła szeroko i usta do połowy rozwarła: widać było, że ta wiadomość była dla niej całkiem niespodziewaną. Jednak po chwili namysłu ocuciła się i spytała:

– Tenże to jest Jan Chryzostom Kmita, co jako rycerz długo się błąkał po świecie, a potem wstąpił do franciszkanów?

– Ten sam – rzekła kasztelanowa – a teraz siedzi w swoim własnym eremie¹²⁰ koło Wiszni.

– To ja go znam – odpowiedziała jej Gniewoszowa żywo i prawie z wyrazem zadowolenia na twarzy. – Znałam go dobrze za młodu. Był to rycerz przedziwnej piękności, ale duch niespokojny i zapamiętały wielbiciel kobiet. Kochał się w Salomei Rytwiańskiej, nie dano mu jej, bo ojca obraził, a kiedy potem poszła za Lanckorońskiego, został jej wiernym i dziwy za nią wyprawiał. Chodził podobno dwa razy do Ziemi Świętej, zawsze na jej intencję. Aż wreszcie przyjął święcenia kapłańskie i przywdział habit zakonny. Nie wiedziałam o tym, że koło Wiszni erem założył...

– To człowiek święty – rzekła kasztelanowa – ten pewnie się nie pomylił...

– Za młodu zdawał mi się być sowizdrzałem – mówiła dalej starościna – ale wielkiego ducha i bardzo dobrego serca. I mnie się tam swego czasu niejeden komplement dostał od niego. Być jednak może i bardzo chętnie w to wierzę, że za pomocą pokuty łaski Bożej dostąpił. Więc cóż teraz zrobić? Kiedy on jest „opiekadnikiem” Jagienki, to bez niego się obejść nie można. Czy sądzisz, że przyjechałby tutaj, gdybyśmy go zaprosiły? czy trzeba jechać do niego?

Na to zaś rzekła kasztelanowa z uczuciem zadowolenia:

¹²⁰ erem (gr.) – pustelnia

– Właśnie go oczekuję. Bo muszę ci się przyznać nareszcie, że jakem się tylko dowiedziała, żeś posłała po twego syna, zaraz pchnęłam zaufanego cichaczem do niego, napisawszy mu, co jest, i prosząc go, ażeby bez zwłoki przyjeżdżał. Ja moich praw bronie, jak mogę, ale w cudze prawa się nigdy nie wdzieram. A potem, nie miałabym przez całe życie spokojnego sumienia, gdybym Jagienkę do małżeństwa namówiła i gdyby później... przepraszam cię, że ci to powiadam otwarcie... i gdyby później w tym małżeństwie nie była szczęśliwą. Przeciwno Wilczkowi byłam i jestem, bo jakem się dowiedziała o tej tam bojarównie, nabrałam przekonania, że jej nie godzien. Ale jej męża narzucać, którego nie znam, to znów co innego. Niech o tym stanowi ten, przy którym jest prawo...

Starościna mogłaby była za tę wiadomość rzucić się kasztelanowej w ramiona, bo czuła to dobrze, że każda zwłoka mogła się dla niej stać niebezpieczna: Cherubin nie chce i Jagienka widocznie nie chce, jedno słowo wymienione pomiędzy nimi mogłoby ich do wspólnej rewolucji pobudzić, zwłoka dni kilku mogła zatem jej plantę¹²¹ przewrócić i zniszczyć. Ostatnie słowa kasztelanowej, wyrażające brak zaufania do jej syna, wprawdzie ją ochłodziły cokolwiek, ale zawsze była jej głęboko wdzięczną za zawezwanie o. Chryzostoma na Sobień, jakoż odpowiedziała jej na to z zapalem:

– Zawsze jesteś rozumna a sumienna i zacna nad podziw! Więc tedy tak dobrze, więc będziemy czekać na o. Chryzostoma. Ale powiedzże mi z twej łaski o nim coś więcej, bo chciałabym wiedzieć, jak mam z nim mówić...

Stąd wywiązała się pomiędzy obydwoma matronami bardzo długa rozmowa, która trwała aż do samego obiadu.

Od czasu jak istniał zamek sobieński, jeszcze na nim takiego ponurego obiadu nie było. Izba jadalna zamieniła się jakby w klasztorny reflektarz, ba, nawet gorzej, bo nie tylko że nikt prawie nic nie jadł, nie tylko że żadna nie mogła się zawiązać rozmowa, ale nad stołem biesiadnym wisiała chmura gradowa, która przyciskała powietrze i ukrócała oddech jedzącym. Wszyscy to czuli, że chmura ta pęknie może dziś jeszcze, ale co z niej wyleci, czy deszcz ulewny, czy gradobicie, czy pioruny i błyskawice, nie wiedzieli nawet ci, którzy sami ją sprowadzili nad głowy mieszkańców zamku. Gniewosz, najspokojniejszy i najwięcej dworski ze wszystkich, na próżno się silił opowiadaniem różnych historii rycerskich zgromadzenie cokolwiek ożywić, nikt go nie słuchał. Jagienka, przejęta uczuciem dumy, a może nawet pogardy dla swych gwałcicieli, udawała pogodę myśli, ale ponieważ musiała unikać spotkania się ze wzrokiem kasztelanowej, starościny i jej syna, więc widać było po niej aż nadto, że siedzi jakby na szpilkach. Starościna była milcząca i zamyślona: widocznie się uzbrajała w argumenty i wszelką inną broń oratorską, którą by mogła skaptować dla siebie opiekuna Jagienki. Kmita wiedział zapewne, co się przygotowuje, i było mu dość obojętnym, ale był chmurny, że mu te babskie historie psują apetyt. Nawet Smolicki, zawsze taki wymowny, nie umiał ani jednego słowa wydobyć ze siebie. Do tego jeszcze cały fraucymer był jak zwarzony: wszystkie kobiety i panny wiedziały dobrze, że się toczy kabała, ażeby wydać Jagienkę za niemilego jej kawalera, i wszystkie serdecznie się litowały nad tą nieszczęśliwą. Tylko jeden niewinny Pretficz, przyciskając od czasu do czasu do serca ów mały bukiet kwiatów, który wczoraj od Jagienki otrzymał, a teraz miał pod kaftanem, stał z twarzą wesołą i uszczęśliwioną za krzesłem kasztelana, pilnował służby daleko zwawiej niż zwykle i rzucał od chwili do chwili ukradkiem radosny wzrok na Jagienkę, która jeżeli była dziś roztargnioną, to oczywiście dlatego, że o nim myślała.

Wszakże pod koniec tego mniszego obiadu dały się słyszeć trąby na bramach zamku, zapowiadające przyjazd nowych gości. Odgłos tych trąb wstrząsł Jagienkę radośnie: odezwało się w niej przecucie, że to Wilczek przyjechał. Przecucie ją omyliło, niebawem bowiem wszedł bronny i zapowiedział z otwartych drzwi, że ksiądz Chryzostom właśnie zsiada z kułbaki w dziedzińcu. Natenczas jej radość nie ustąpiła, ale jej się w oczach ściemniło: zdało jej

¹²¹ planta – plan

się bowiem, że Wara, o którego kunsztach nieswojskich różnie gadano, a który czasem i świętych widywał, o czym nikt nie śmiał wątpić, Chryzostoma przez chmury z Wiszni na Sobień zczarował. Pod tym wrażeniem pierwsza zerwała się z krzesła, co zresztą było jej obowiązkiem, i ku drzwiom pobiegła – a kiedy o. Chryzostom pokazał się w przyległej komnacie, pobiegła pędem ku niemu i rzuciła mu się do kolan, jak wtenczas dzieci zazwyczaj swoich rodziców i opiekunów witały. O. Chryzostom podniósł ją z ziemi, po ojcowsku przycisnął do piersi i przyprowadził za rękę do izby jadalnej.

A wtenczas już wszyscy wstali od stołu oprócz kasztelana, który uważał siebie jako głowę nad całym narodem Kmitów, a podobno ich wszystkich nie bardzo nawidził, owszem, naciśnął jeszcze kuczmę na głowie, poprawił się w krzesle i czekał, póki Chryzostom do niego nie przyjdzie, Tymczasem Chryzostom witał się najprzód z kasztelanową, potem poznał starościny i przypomniał jej wspólne czasy młodości, a dalej się wcale do Kmity nie śpieszył, tylko spojrzał wdzięcznie na Gniewosza, którego starościna zaraz mu przedstawiła i rzekł uprzejmie:

– Bardzo grzecznego jejmość wychowałaś nam kawalera, wszystkich nas głową przenosi, nie wątpię o tym, że i w służbie około tego królestwa nas wszystkich wyprzedza.

Dopiero potem do Kmity przystąpił, ścisnął pana brata za rękę, a zaproszony przezeń, zaraz obok niego usiadł do stołu. Z drugiej strony, tuż przy nim, siadł Gniewosz – a ks. Chryzostom, wymieniwszy kilka słów z kasztelanem, jedząc przy tym i pijąc pod miarę, zaczął zaraz wypytywać Gniewosza o jego służbę za granicą i w kraju i o jego dzisiejsze stanowisko u dworu. Starego rycerza, chociaż już to rzemiosło porzucił, niezmiernie zajmowały myśli i czyny jego dzisiejszych następców, a przy tym zapewne chciał wyrozumieć, który jest ten, co mu go zalecają na męża dla Jagienki. Jakoż Gniewosz musiał dobre sprawić na nim wrażenie, bo kiedy wstano od stołu, rzekł do starościny:

– Trudno tego nie przyznać, że nasze rycerstwo robi progresy. Syn jejmości bardzo słuszny kawaler. Nie taki to pędziwiater, jakimi, panie Boże nam odpuść, myśmy byli za młodu. Zna on swoje rzemiosło ledwie nie lepiej, niż myśmy je znali, ale ma przy tym rozumienie swych obowiązków i obywatelskie uczucia, których myśmy w tym Etopniu nie mieli, dlatego też szukaliśmy Bóg nie wie czego po cudzych krajach, zamiast po prostu służyć własnej ojczyźnie.

Więc starościna była tym bardzo uradowana, dziękowała Chryzostomowi za jego opinią o jej synu i rozmawiając z nim dalej, prowadziła go wolnym krokiem do drugiej komnaty.

Ale Jagienka te słowa także słyszała, a na nią sprawiły one niemal przerażające wrażenie. Już się Gniewosz jej stryjowi podobał, to bardzo złe omen. Do tego jeszcze starościna go wzięła zaraz w swoje obroty i pewnie go już nie wypuści, dopóki go nie przerobi dla siebie. Jagienka weszła także do drugiej komnaty i kręciła się tam przez chwilę; lecz widząc, że obydwie matrony posadziły Chryzostoma pomiędzy sobą i bardzo ożywioną z nim rozpoczęły rozmowę, zniecierpliwiona i gniewna, z ściśnionym sercem i prawie ze łzami w oczach, nie patrząc już na nikogo, poszła do swego apartamentu.

Gniewosz także nie spuścił oka z tego wszystkiego, co się działo przed jego oczyma. Nie miał on już żadnej nadziei wyłamania się spod wyroku, jaki jego matka rzuciła na niego. Poddał mu się bez stanowczego oporu, bo został przychwycony znienacka i jako wzorowy syn nie mógł postąpić inaczej; lecz przeto nie pozostał bezczynnym. Od rana starał się wszelkimi środkami dowiedzieć, jakie są tutaj na zamku stosunki rodzinne, i szukał pilnie sposobów, za pomocą których mógłby ten ślub ukartowany podkopać i pomału przewrócić albo przynajmniej odwlec. Rozmawiał zaraz rano ostrożnie z kasztelanem, ale znalazł go tylko niechętnym dla siebie, a zresztą niczego nie mógł się od niego dowiedzieć. Mówił z starszymi żołnierzami i z pannami z fraucymeru, ale żołnierze nic nie wiedzieli, a panny dawały mu odpowiedzi wymijające. Mówił nareszcie ze Smolickim. Ale miał z nim bardzo trudną rozmowę, bo Smolicki, nie wiedząc nic o tym, w jakim on znajduje się położeniu, domyślając się

wcale przeciwnie, że on sam pragnie poślubić Jagienkę, a licząc przy tym także cokolwiek na to, że Chryzostom tę kabałę potarga, zamiast go o wszystkim oświecić, był tylko pełen przyćmienie dla niego i dawał mu złośliwie do zrozumienia, że podobno nic z tego nie będzie. Gniewosz, na nieszczęście, jako przed obcym człowiekiem, nie mógł się przed nim rozpiąć zupełnie; ale jednak z tych jego przyćmienie dowiedział się, że Chryzostom jest opiekunem Jagienki i tylko on sam nią dysponuje, a z niektórych jego półsłówek wyciągnął wniosek, że Jagienka mu wcale nie jest przychylną, a może nawet myśli o Wilczku. Złożywszy sobie te wiadomości, powziął zamiar rozpocząć jakieś działanie: gdyby tylko miał choć dwa lub trzy dni przed sobą!

Gdyby był w swojej rozmowie przy obiedzie przedstawił się Chryzostomowi choćby tylko jako człek lekki a wierny achates¹²² króla we wszystkich jego swawolnych rozrywkach, to byłby tą sztuczką niezawodnie zwłokę uzyskaj bo Chryzostom byłby się nad tym zastanowił i co najmniej zapragnął przez kilka dni mu się bliżej przypatrzeć – a wtedy mógłby się być otwarcie przyznać do przysięgi ślubowanej Formozie, mógłby być nawet przed nim się wyświadczać i wyznać mu to na spowiedzi. Ale takich chytrych nie był on zdolny, nie zgadzało się to z jego umysłem szlachetnym i zawsze czystym sumieniem.

Jednak kiedy starościna i kasztelanowa zaprowadziły Chryzostoma do przyległej komnaty i tam z nim zasiadły do długiej rozmowy, oczywiście, ażeby wziąć słowo od niego, zdjął go lęk przed zbliżającą się stanowczą chwilą i powziął myśl heroiczną: postanowił się zbliżyć do Jagienki i przyznać się, że jej nie kocha i że go do tego małżeństwa zmuszają. Ale ludzie najznamienitszej odwagi wojskowej nie zawsze mają odwagę moralną, postanowienie uderzenia na nieprzyjacielskie szeregi jak iskra się w nich zapala i jak błyskawica w czyn się zamienia, ale nieraz długo się nad tym zastanawiają, nim zrobią jakie wyznanie kobiecie.

Tak się stało i Gniewoszowi: kiedy się zdecydował i ruszył z miejsca, aby do Jagienki przemówić, Jagienki już w tych komnatach nie było. Iść zaś z tym do jej apartamentu, to by już był krok otwarcie buntowniczy przeciwko matce, na to nie mógł się zdobyć. Wszelako wyszedł i zaczął się błąkać po wszystkich komnatach i korytarzach, ażali gdzie Jagienki nie spotka – ale jej nigdzie nie spotkał.

Tymczasem obydwie matrony już uchodziły o Chryzostoma. Kasztelanowa, jako kobieta wprawdzie silnego charakteru, ale bardzo delikatnego sumienia, niewiele się do tej rozmowy mieszała; ale tego nawet nie było potrzeba, bo Gniewoszowa nie miała zwyczaju liczyć na cudzą pomoc, gdzie o to chodziło, ażeby komuś rzecz jakąś zręcznie i jasno wyłożyć. Toż ks. Chryzostom ją doskonale zrozumiał, a zastanowiwszy się nad tym wszystkim w swoim rozumie, obrócił się do kasztelanowej i rzekł z łagodnym uśmiechem na twarzy:

– Więc tedy ofertę tę można by przyjąć. Ale przecież pozostaje mi jeszcze jedna kwestia do wyjaśnienia. Był tutaj u was Wilczek w takich samych zamiarach, wiem o tym pewnie, bom go sam tutaj posłał w tej myśli. Cóż on tu zrobił?

– Wilczek? – rzekła kasztelanowa, ważąc starannie swe słowa – Wilczek tu bawił przez cały miesiąc albo i dłużej. Jagience się trochę przymilał. Ale potem nagle wyjechał na parę dni – i dotąd nie dał żadnej wiadomości o sobie. Zdaje się zatem, że jeśli o Jagience myślał, to się rozmyślił...

– Ale ja bym to chciał wiedzieć na pewno – rzekł o Chryzostom – bom go sam tutaj posłał, a więc to dotyka mojego sumienia.

Tu wszakże zabrała głos starościna i tak zaczęła:

– Mój ojciec kochany, nie mamy my tej łaski Bożej, jaka na ciebie spłynęła, dlatego we wszystkim poddajemy się twojej woli, ale ile sił naszych strzeżemy także czystości naszego sumienia. Jam się tu zaraz dowiedziała, że imię pan Wilczek smalił cholewki do panny, i dlatego starałam się o nim zainformować, bo mój syn zdaje mi się być dobrym, ale mogą być lepsi od niego – a nigdy bym sobie tego nie darowała, gdybym się komukolwiek stała prze-

¹²² achates (gr.) – zwolennik, wierny towarzysz

szkodą do osiągnięcia lepszego losu. Otóż na podstawie tych informacji mogę ci z czystym sumieniem powiedzieć, że Wilczek Jagienki niegodzien i nawet całe o nim nie powinno być mowy.

A tu opowiedziała całą historię o bojarównie, przedstawiając Wilczka jako człowieka, którego dusza się piekła należy.

Wiadomość ta nie sprawiła na Chryzostomie tak głębokiego wrażenia, jakiego Gniewoszowa się spodziewała: być może, że o tym wiedział, boć przecie Wilczek się przed nim spowiadał. Cóżkolwiek bądź, zdaje się, że udzielenie mu tej wiadomości nie pozostało bez skutku, bo na to tak odpowiedział:

– Ja na tego rodzaju wybryki muszę się zapatrywać inaczej. Młodzież, co ich się dopuszcza, odpowie za nie swego czasu przed Bogiem, ale my ludzie i my kapłani nie powinniśmy ich za nie zaraz ze społeczeństwa wyklinać, bo tym sposobem zamknęlibyśmy im drogę do poprawy. Przed chwilą byłbym ten jego postępek położył na inną wagę, ale kiedy wy o nim wiecie, to znowu rzecz inna. Porównawszy go z imię Cherubinem, oczywiście, że trzeba się przechylić na stronę syna jejmości. Tak każe rozum: ale pozwólcie mi, abym się Panu Bogu pomodlił – a dopiero potem ogłoszę wam moje postanowienie.

Zaczem wstał zaraz i szedł do wielkiej kaplicy na modły.

Obydwie matrony rozmawiały jeszcze przez chwilę ze sobą, ale starościna nie mogła oprzeć się ciekawości, która ją piekła. Jakoż rzekła do kasztelanowej:

– Pójdę chyba i ja się pomodlić, trzeba mi łaski Boskiej, abym wiedziała, jak mam postępować w każdym wypadku.

A to rzekłszy, zaraz odeszła; ale nie poszła do tej małej kapliczki, która się znajdowała przy jej mieszkaniu. i w której się zawsze modliła, tylko do owej wielkiej kaplicy, która była prawie jak kościół, a do której poszedł Chryzostom. Tam siadła w ostatniej ławce przy samym konfesjonale i uklękawszy, zaczęła się modlić. Kiedy weszła, o. Chryzostom klęczał na najniższym schodzie przed ołtarzem i modlił się ze złożonymi rękami. Potem wstał i położył się krzyżem na posadzce – i tak leżał z jakie dziesięć pacierzy. Gniewoszowej się zdało, jakoby przez ten czas głośno z sobą rozmawiał albo może z kim innym, którego widział lub przywoływał do siebie; ale zapewne jej się to tylko zdawało, a on tylko głośno odmawiał pacierze. Nareszcie wstał, przeżegnał się, skłonił się przede ołtarzem ku ziemi, a obróciwszy się, szedł krokiem prawie żołnierskim i z głową podniesioną do góry ku drzwiom kaplicy.

Na jego widok Gniewoszowę wziął taki lęk przed nim, że chciała się ukryć; być może, że jego surowa a zarazem wspaniała w tej chwili postać przejęła ją zgrozą, być może także, że wśród modlitwy zachwiało się jej własne sumienie: ale przed jego orlim wzrokiem nigdy się nic nie ukryło. Spozrzegł ją zaraz, skinął ku niej głową, a wyprowadziwszy ją za próg kaplicy, rzekł do niej z pogodnym uśmiechem na twarzy:

– Podziękujże Bogu. Miałem takie natchnienie, że trzeba dać Jagienkę twemu synowi.

Na to starościna pochyliła się nad nim, pocałowała go w ramię i rzekła:

– Niechże się dzieje Jego wola. Ale zwracam twoje uwagę na to, że ze strony Jagienki może być opozycja.

Na to o. Chryzostom wyprostował się i rzekł głosem stanowczym a zarazem wyniosłym:

– Przeciwno mnie opozycji nie będzie. Kiedy ja idę z rozkazem Pana, to idę jak burza, żadna potęga ludzka mi się sprzeciwić nie może, kamienie się w proch rozsypują pod moimi stopami, a dęby stuletnie gną się przede mną jak trzciny.

W tej chwili o. Chryzostom tak wyrósł w jej oczach, że zdawał się głową dosięgać pułapu. Gdyby jej kto był teraz powiedział, że z swojej puszczy czasem głowę wystawia ponad wierzchołki lasu, to byłaby uwierzyła na ślepo. Ale zarazem napełnił ją wiarą i zaufaniem do siebie. Zaczem powiedziała mu jeszcze:

– Więc kiedyś już tak łaskaw na twoje sługę, mój ojciec, to jeszcze cię o coś poproszę. Oto ażeby ślub odbył się jutro. Bo widzisz, mój syn jest na służbie przy osobie królewskiej, wy-

rwał się tutaj za pozwoleniem swojego pana i lada chwila może być odwołany. Gdybyż go odwołano, to wiesz, co to jest służba i jak król czasem jest nieużyty... Kto tam wie, co by się mogło wywiązać z takiej zwłoki.

Ojciec Chryzostom się nad tym przez chwilę namyślił, a potem rzekł:

– Najwłaściwiej by było, gdyby im dał ślub biskup przemyski. Ale biskupa tam teraz nie ma, katedrę tę trzyma tymczasem arcybiskup lwowski... a do Lwowa daleko. Ale ja także nie mam czasu tu wysiadywać. Więc masz jejmość racją, więc jutro ślub.

To rzekłszy, odszedł prędkim krokiem, jak gdyby istotnie mu się bardzo śpieszyło. Starościna, uradowana nadspodziewana, pobiegła czym prędzej do kasztelanowej, aby się z nią tą radosną nowiną podzielić. O Jagience tam ani mowy nie było. Dziecko, skutkiem przeciwnego naturze urządzenia rodziny, datującego się jeszcze z czasów pogańskich, skutkiem niewłaściwego zastosowania do niej ustaw chrześcijańskiej religii, która ile możności tolerowała obyczaje znalezione pomiędzy nawróconymi ludami, skutkiem nareszcie tradycji, która się z tych dwóch pierwiastków wyrobiła i z wiekami stężała, dziecko było naówczas rzeczą martwą w rękach rodziców i opiekunów, którzy też nim rozporządzali całkiem według swej woli. Synowie i córki, dopiero gdy utworzyli własną rodzinę, wyzwali się spod tego żelaznego prawa – a i wtedy jeszcze wola ojcowska dawała się często uczuwać żonatemu synowi, tylko córki podlegały już odtąd wyłącznie woli swych mężów.

Jagienka strawiła te parę godzin w wrzącej, ale zarazem głęboko bolesnej niecierpliwości. Tam stanowiono o przyszłości całego jej życia – a ona nawet odezwać się nie mogła. Hardy jej umysł burzył się przeciw tej barbarzyńskiej niewoli: postanawiała sobie chwilami podnieść bunt jawny, powiedzieć wszystko, niechaj się dzieje, co chce, rzucić się wreszcie na ziemię i dać się wlec jak zarżnięte bydło do ślubu. Może się jej stryj nad nią zlituje, może i Gniewosz takiej żony nie zechce. Ale dusza jej upadała po każdym takim postanowieniu. Jej czarne zapatrywanie się zabijało jej wolę. Stryj nie zlituje się nad nią, bo jest zakonnikiem i wobec zasady obojętności¹²³ wszystko zniknie u niego; Gniewosza nic wzruszyć nie zdoła, bo idzie mu o majątek i koligację; ona sama nareszcie nie będzie miała siły po temu – jest sama jedna, nie ma nikogo po swojej stronie i nikt się za nią nie ujmie. Tak chwiejącą się między ożywczą pochucią buntu a odbierającą jej resztę sił rezygnacją zastał ją o. Chryzostom.

Obaczywszy go wchodzącego Jagienka się wstrząsała, objęło ją jakieś nieświadome uczucie, nad którym ból tylko górował świadomie, i rzuciła mu się do kolan, a dwa strumienie łez potoczyły się po jej twarzy. Chryzostom, nie wiedząc wcale, co się w niej dzieje, a rozumiejąc, że jest to zwykle wszystkim dziewczętom wzruszenie w chwili tak ważnej, podniósł ją z sercem ojcowskim z ziemi, objął lewym ramieniem, pocałował w czoło, pogłaskał po twarzy i rzekł:

– Uspokój się, moje dziecko, ja z dobrą przychodzę nowiną. Nie dam ja ciebie pierwszemu lepszemu, boś też ze wszystkich względów warta doskonałego męża. Wiem całkiem dokładnie, kto jest imię pan Gniewosz, jaki jest jego ród i jakie ma łaski u króla, prócz tego wy badałem go jak na spowiedzi, ma umysł wyniosły, a serce wyborne: jego tobie przynoszę i jestem pewny, że będziesz za nim szczęśliwą.

Na te słowa, potwierdzające jej czarne przeczucia, Jagience ciemno zrobiło się przed oczyma, wszystkie siły ją opuściły, tylko tyle przytomności jej jeszcze zostało, że się po sukni Chryzostoma zsunęła, upadła mu do nóg i zawołała łzami zalanym głosem:

– Mój ojczu!

Tu Chryzostom przypomniał sobie, o czym go starościna ostrzegła, podniósł ją z kolan, posadził przy sobie i zapytał głosem łagodnym, ale oczywiście z myślą podstępą:

– Powiedzże mi otwarcie, moje dzieciątko, Gniewosz nie bardzo ci się podoba, może byś wolała którego innego?

¹²³ obojętność (łac.) – posłuszeństwo

To niespodziewane pytanie ocuciło Jagienkę i dodało jej cokolwiek odwagi, przechyliła się na piersi swojego stryja i rzekła półgłosem:

– Wolałabym Wilczka.

Więc Chryzostom posadził ją znów z dobrocią koło siebie i rzekł:

– Dobrze, żeś mi to powiedziała. Słuchajże, moja dziecińko, a wiedz najprzód o tym, że ja sam pierwszy pomyślałem o Wilczku dla ciebie. Ale tak samo sumienne wziąłem o nim informacje, jak o Gniewoszu, i muszę ci powiedzieć, że Wilczek ciebie niegodzien. Wilczek ma występki na swoim sumieniu, występki takie, który by ci zatrzał całe twoje życie...

Przy tych słowach Jagienka, cała łzami zalana, cofnęła się od niego i podniosła rękę do góry, jak gdyby chciała stanowczo temu zaprzeczyć, ale Chryzostom, wyborny znawca serc ludzkich, widząc już dobrze, że Jagienka jest Wilczkiem zajęta, że każda zwłoka jest niebezpieczną, że powinien działać raźnie i użyć w ten moment całej swojej powagi, wstał i dodał głosem stanowczym i uroczystym:

– Każdy inny, tylko nie Wilczek. Na Wilczka nigdy ci nie pozwolę. A żebyś o nim zapomniała tym prędzej, wybrałem dla ciebie Gniewosza. Jutro sam was pobłogosławię. Przygotuj się więc do tego aktu – a wiedz o tym, że za maluczko tak samo padniesz mi do nóg za to, żem tobą tak rozporządził.

I z tymi strasznymi słowami wyszedł prędkim krokiem z pokoju.

Jagienka była tym ostatecznym wyrokiem jak odurzona. Jednak w pierwszej chwili ból i lęk przed Gniewoszem ustąpiły z jej serca, a natomiast zdjęło ją oburzenie, że ktoś śmie taką potwarz rzucać na Wilczka. Załamała ręce przed sobą, oczy podniosła ku niebu i zawołała do siebie:

– Wilczek! występki!... O Boże! takich ohydnych środków używają ci ludzie, ażeby swemu gwałtowi drogę do mnie uścielić!...

Potem to oburzenie ją opuściło. Natomiast zaś cała groza jej położenia przed nią się ujawniła.

Stało się. Nie było już dla niej żadnego ratunku. Zniknęły ostatnie promienie nadziei. To śmierć. Czarna otchłań napelniła jej izbę – a na pragu kat stoi...

Niebawem potem kasztelanowa i starościna weszły do jej pokoju.

Obaczywszy te dwie matrony, Jagienka zupełną odzyskała przytomność. Uczucie dumy ją ożywiło i powróciło jej władzę nad sobą. Jeśli mam zginąć – mówiła sobie w głębi swej duszy – to niechże zginę z godnością niewinnej ofiary i z pogardą dla tych, którzy mnie gubią. I zacięła się tak, jak dziś rano. Nie wypuściła ani jednej łzy z oka, ani jednego z piersi westchnienia – a wszystkich grzeczności, perswazyj i powinszowań słuchała w milczeniu, a nawet z udaną obojętnością. Kasztelanowa i starościna, przekonane najgłębiej, że humory rozpierzchną się po weselu, były z niej dosyć zadowolone i tak ją poprowadziły do wieczerzy.

Przy wieczerzy obydwie matrony, a nawet sam Kmita usiłowali rozbudzić wesołość. Jagienka temu wcale nie przeszkadzała. Chociaż nie rozgłoszono jeszcze, że deklaracja już się odbyła, a ślub ma się jutro odprawić, posadzono ją przy Gniewoszu; ona była bardzo grzeczną dla niego, a nawet kiedy on się zamyślił, po kilka razy sama z nim rozpoczynała rozmowę. Ale wesołość się nie da narzucić. O. Chryzostom, widząc tę niestrojność humorów, zabrał głos i opowiadał o swoich podróżach do Ziemi Świętej – a tak uwolnił wszystkich od wymuszonych uśmiechów. W czas przed północą wszyscy udali się na spoczynek.

Nazajutrz rano odbył się ślub w zamkowej kaplicy – a po południu wesele.

Na tym naszym świecie, odkąd ludzie na nim poukładali się w społeczeństwa, gdzie nad uczuciem i wolą człowieka muszą koniecznie górować prawa i obyczaje, bo inaczej by społeczeństwa nie było, częstokroć w najważniejszych pomiędzy ludźmi układach zupełnie inną jest właściwa treść aktu, a inne pozory. Bywają pogrzeby, które dla ich uczestników są prawdziwym weselem – i bywają wesela, które dla łączących się ślubem dożgonnym są prawdziwym pogrzebem. To pamiętne w dziejach sobieńskiego zamku wesele, z którego poezja

gminna stworzyła powieść ludową, a którą tradycja aż do naszych czasów doniosła, grzebało także szczęście tych dwojga ludzi, jeżeli nie na zawsze, to pewnie na długo. Czuli to oni oboje i szli przed ołtarz jak na rusztowanie: Jagienka błada jak śmierć, pochylona cokolwiek naprzód, jak gdyby się ugiwała pod przenoszącym jej siły ciężarem niedoli, patrząca przed siebie i unikająca wzroku swych gnębieli – Gniewosz z uśmiechem na twarzy i niby całkiem siebie świadomy, lecz widać było po nim, że krew w nim zastygła i idzie naprzód nie własną siłą, ale moralną przemocą wleczonej, której się oprzeć nie może.

Na to wesele zbębiono cokolwiek szlachty z bliższych okolic – i wyprawiono sowitą biesiadę z muzyką i tańcami. Jagienka wyteżyła wszystkie swe siły i trzymała się, jak mogła, ażeby nikt nie dostrzegł, co się w niej dzieje; tańcowała nawet zarówno z wszystkimi, choć jej się serce krajało. Gniewosz także tańczył i pił ze szlachtą ochotnie, odpowiadając wesoło i głośno na jej szumne wiwaty.

Już sama załoga zamkowa stanowiła tłum bardzo liczny – pomnożona okolicznymi gośćmi przepełniła wszystkie komnaty; nie żalowano trunków, hałaśliwej muzyki i wszelkiej ochoty: wszczęły się więc hałas, tarłaś i wrzawa, tak że trudno było siebie samego dosłyszeć. Jagience dobrze było w tej wrzawie; mówiła sobie: Gdyby to wesele trwało tak wciąż, choćby do grobu...

Ale obyczaj ówczesne chciały, ażeby wśród trwającego wesela odbyły się pokładziny. Zaczem o samej północy pozapalano wieloramienne lichtarze, po jednej stronie stanęły matrony i družki, po drugiej starostowie i družbowie, we środku zaś państwo młodzi – i tak ten tłum różnobarwny przy świecach jarzących doprowadził ich do łożnicy.

Była to chwila najstraszniejszej grozy i najwyższej boleści dla Jagienki. Natenczas krew całkiem się ścięła w jej żyłach, czuła obiegające po całym ciele jak gdyby lodowate strumienie, zimna dreszcz ją objęła od stóp do głowy, trzymała się już tylko bezwiednie na nogach, w głowie czuła próżnię, jak gdyby w niej już żadnej myśli nie było. A przecież jeszcze się tam jakieś myśli błąkały, ostatnie wysiłki jej woli. Bo mówiła sobie: Rzucę się przed nim na kolana i będę go błagać, jest przecie szlachetnym rycerzem, może się nade mną zlituje – a jeśli nie, to niech mnie rozedrze; tak lepiej.

Na tymczasowe mieszkanie dla państwa młodych Gniewoszowa odstąpiła swojego apartamentu. Przeprowadzono ich więc przez tę wielką komnatę, w której była kaplica, potem jeszcze przez jedną izbę, przepelnioną sprzętami, i zatrzymano się u progu sypialni, w której środku, nagłowieni o jedne ścianę oparte, stało szerokie łoże pod baldachimem z otwartymi ze wszystkich stron firankami. Tam jeszcze jakiś starosta miał dosyć długą przemowę, oddając Gniewoszowi pannę młodą, potem starościna i kasztelanowa uścisnęły Jagienkę, a wreszcie wprowadzono ich oboje do sypialni i drzwi za nimi zamknięto. Teraz ma się jej los zdecydować: życie lub śmierć.

Jagienka stanęła przy nogach łoża, oczy spuściwszy ku ziemi i ręce opuściwszy ściśnięte przed sobą, gotowa jednak podnieść je w swojej obronie.

Gniewosz stał przed nią, ale wcale tak nie wyglądał, jak gdyby ją chciał atakować. Owszem, przeciwnie, sam niezmiernie zakłopotany, milczał przez chwilę. A kiedy uczył, że to milczenie już jest za długie, rzekł do niej grzecznie:

– Waćpanna zdajesz się być wzruszoną i mocno zmęczoną, może byś chciała w samotności odpocząć.

Te słowa ożywiły Jagienkę, złożyła przed nim ręce i zawołała z pokorą:

– Jeżeli mam tylko cokolwiek łaski u mego męża i pana, to proszę o to.

Natenczas Gniewosz rad bardzo, że mu się ta wymówka udała, ukłonił jej się i wyszedł – a w zbytku radości zapomniał nawet drzwi przymknąć za sobą.

Jagienka odetchnęła z głębi piersi i rzekła do siebie: Być może, że jeszcze nie dzisiaj!

Ale niebawem dostrzegła, że drzwi nie zamknięte, więc znowu ją przejął lęk niewymowny: Nie zamknął drzwi, zapewne powróci. Siadła więc w głowach łożka, schowała się za fi-

rankę i oddech w piersi zaparła, mówiąc sobie: On pewno siedzi w pierwszej izbie i czeka, jak usłyszy, że nie śpię, to gotów wrócić. – Tak w niewysłowionej trwodze czuwała dobrą godzinę.

Tymczasem zaczęło ją morzyć zmęczenie, powieki ciężły jej ołowiem na oczach, wysiłała się, aby sen od siebie odpędzić, lecz czuła zarazem, że ciało jej mdleje. Zebrała więc znowu wszystkie swe siły i przystąpiwszy na palcach do drzwi otwartych, nie miała odwagi do pierwszej izby zaglądnąć, ale drzwi lekko zamknęła i zasunęła zasuwkę. Czuwała jeszcze przez chwilę, ale nic w pierwszej izbie się nie ruszyło; Gniewosz nie wrócił. Po czym, nie rozbierając się, jak żołnierz na czatach, chociaż w nieustających dreszczach i trwode, siadła na krześle przy łóżku, oparła głowę o poduszki i zasnęła.

Bóg tylko wiedział, jakie piekielne przez tę noc przeszła męczarnie. Jeszcze w tym śnie dorywczym najstraszliwsze mary pastwiły się nad nią, którym chciała się bronić, ale siły po temu nie miała. Tak męczyła się z sobą i z tymi marami, aż póki światło w oknach nie zabiełało. Ze świtem uspokoiła się cokolwiek, bo jej się zdało, że teraz już Gniewosz nie przyjdzie. Dopiero promienie słońca, uderzając w jej szyby, obudziły ją z tego snu, który ją zmorzył, ale nie mógł pokrzepić.

Gniewosz przemrzał noc całą w tym samym krześle obok kaplicy, w którym usłyszał wyrok swej matki, skazujący go z macierzyńskiej miłości na małżeńską niewolę na całe życie.

Nazajutrz rano panny służebne niepomalu były zdziwione, że zastały Jagienkę nierozebrałą i w wczorajszej sukni weselnej – i różnie o tym pomiędzy sobą gadały; ale ubrały ją milcząc wedle jej woli. Po czym Gniewosz przyszedł także przebrany i poprowadził ją pod ramię do komnat, gdzie na nich czekano z obiadem.

Oboje byli na teraz zadowoleni ze siebie, chociaż tego po nich widać nie było. Jagienka miała cerę jakby zwarzoną, powypiekane rumieńce na twarzy i oczy podbite niebieskimi łukami; Gniewosz zaś miał twarz obrzękłą i był cały jak z krzyża zdjęty: dowcipni ludzie, mrużąc na siebie, robili sobie o tym rozmaite uwagi – ci mądry ludzie, co rozumieją, że nic przed nimi się nie ukryje, rzadko kiedy co wiedzą, zawsze sądzą z pozorów, lecz mimo to tworzą opinią.

Jednak cały ten dzień przeszedł na przystojnej zabawie, wszystko się rozwijało na pozór jak najpomyślniej i obiecywało ziszczenie wszystkich nadziei: jakoż istotnie dotychczas zdarzył się tylko jeden niespodziewany wypadek.

Oto dnia wczorajszego, właśnie w tej samej chwili kiedy ogłoszono całemu dworowi, że pan Gniewosz żeni się z panną Jagienką i że wszyscy dworzanie mają w wielkiej gali wystąpić do asystencji przy ślubie, młody Pretficz został porażony jakąś niesamowitą niemocą: padł jakby piorunem zabity bez zmysłów na ziemię i długo nie można go było docucić. Wszyscy już rozumieli, że umarł. Jednak nareszcie go docucono, balwierz zamkowy upuścił mu krwi, położył do łóżka i dał mu pić jakieś zioła – ale nie ręczył za to, że go wyleczy, bo go objęła mózgową gorączką, która teraz mu zmysły odjęła. Biedny Lubek, z bukietem Jagienki na sercu, oczywiście bujał po niebie; na wieść o jej ślubie spadł nagle w piekło i tam się teraz borykał ze złymi duchami. Tak trzeba było domyślać się z tego, co teraz w gorączce bredził. Tak się domyślał Smolicki – i dlatego wczoraj wieść o jego ciężkiej chorobie udusił, a nawet samemu kasztelanowi tylko powiedział, że Lubek lekko zaniemógł: dopiero dziś się to jakoś rozniosło, wszyscy go żalowali, ale więcej się tym nie zajmowano. Tylko starościna, której bacznemu oku żaden szczegół nie uszedł, powiedziała kasztelanowej na stronie:

– Widzisz, moja kochana niebogo, jakie niebezpieczeństwa tu was otaczały. Ten chłopiec oczywiście się rozchorował z miłości. Tam Wilczek, tu Pretficz... a jeszcze do tego i Kergolaj, który nie ku pomnożeniu jej dobrej sławy hałasuje po świecie. Przyznasz mi sama, żeśmy w sam czas tym kabałom głowę ucięli.

Kasztelanowa ścisnęła jej rękę w milczeniu – i więcej o tym już nie mówiono.

Odtąd Gniewoszowie jeszcze trzy dni bawili na zamku. Wszystkie te dni były zupełnie do siebie podobne. Co wieczór Gniewosz odprowadzał swoje żonę do sypialni, powiedział jej kilka słów obojętnych, oddał dobranoc i wychodził, ażeby całą noc przespać w krześle obok kaplicy.

Jagienka nie umiała sobie wytłumaczyć tego postępowania i przypisywała je jego delikatnym uczuciom rycerskim, które mu nakazywały mieć wzgląd na jej zdrowie, na które ciągle się sama skarżyła. Nie oddawała się wszakże żadnym złudzeniom, albowiem w swoim ciężko zbolełym sercu miała to przekonanie, że chwila gwałtu, a zatem i chwila śmierci, na którą była stanowczo przygotowaną, tylko się z dnia na dzień odwleka, lecz przyjdzie niechybnie. Ale zawsze ta zwłoka przynosiła jej pewną ulgę, która skołatany jej umysł cokolwiek krzepiała. Prócz tego, skutkiem wypływającym z natury ludzkiego serca, za względy doznane dotąd od męża, odezwało się w niej uczucie wdzięczności i szacunku dla niego – a po tym uczuciu, zakradł się do jej serca promyczek nadziei, że w chwili stanowczej, rzuciwszy mu się do nóg, a choćby nawet przyznając się do swojej miłości dla Wilczka, może potrafi sobie wybłagać litość u niego. Tak wśród najczarniejszej rozpaczki, gdzie rozum ludzki nie może dojrzeć żadnego środka ratunku, serce człowieka, pragnące życia, dopatrzy jeszcze jakiś blask szary, w którym jego wyobraźnia wymaluje nęcącą postać nadziei...

Dla Gniewosza te noce przespane w twardym, skórzanym krześle były równie nieznośne. Już nie czuł kości w sobie – a tylko jego młodość i nadzwyczajna siła fizyczna trzymały go jakokolwiek na nogach. Jakże się uradował, kiedy mu matka nareszcie zapowiedziała, że intercyza jest już spisana i że jutro mogą wyjechać. Podróż go uwolniła od tych nieznośnych męczarni.

Podróż tę urządził on według swego rozumu. Matka i żona jechały w landarze, za nimi wozy z fraucymerem i pakunkami, a on z żołnierzami na koniu, czasem na przedzie, a czasem za kobietami. Noclegi porozkładał po gospodarach, gdzie nigdy dostatkiem miejsca nie było, ledwie jedna izba jakokolwiek wygodna, którą zawsze dawał matce i żonie; sam zaś sypiał gdzie bądź, byle nie w jednej izbie z Jagienką – a o to mu głównie chodziło. Podróż ta trwała cały tydzień, bo drogi ówczesne były bardzo nie sposobne dla ciężkiej landary, a często nawet dopiero ich trzeba było szukać, objeżdżając pagóry i puszcze; aż dopiero ósmego dnia wieczorem pokazał się im na zachodnim tle nieba wspaniała zamek czorsztyński.

Zamek na Czorsztynie, jeden z najstarszych w Polsce, jeszcze rzymskie czasy pamiętał i wtedy nazywał się Carrodunum. Położony na samej granicy Węgier, nad brzegiem Dunajca, na wyniosłych czerwonych skałach, był wielokrotnie przebudowywany i powiększany: przez Bolesława Wstydliviego, który się tutaj chronił przed najazdem Mongołów, przez św. Kingę, księżnę ziemi sądeckiej, przez Kazimierza Wielkiego, przez Władysława Jagiełłę, a wreszcie przez Zawiszę Czarnego, który, będąc starostą spiskim, tu rezydował. Teraz była to wprawdzie nieregularna, ale ogromna budowa, z trzema zębatymi wieżami, sterczącymi tylko cokolwiek wyżej nad dachy miedziane, a z czwartą o wiele wyższą od wschodu, opatrzoną kilkoma krużgankami i dachem spiczastym. Ściana wschodnia była też ze wszystkich najszerszą i najokazalszą i widać było w niej cały szereg ogromnych okien gotyckich. Czarne lasy otaczały z trzech stron to zamczysko, tylko od południa w rozległej dolinie błyszczał niebieską wstęgą szeroki Dunajec, odgradzający Polskę od Węgier.

Noc już zapadła, niebo było zasiane mdlejącymi gwiazdami, których słabe światło wcale nie zmniejszało ciemności; tylko zachodni kres widnokregu jeszcze szarzał cokolwiek i pozwalał ludzkiemu oku dojrzeć poważną i surową postać zamczyska, rysującą się ostro na tle puszczy lesistej. Jednak w tej chwili wszystkie okna zamku były rześcisto oświetlone i rzucały wstęgi żółtawego światła na czerwone skały i gęste drzewa liściaste, skupione grupami u stóp murów zamkowych.

Widok tej zatopionej w nieprzebytych lasach rycerskiej siedziby, w której wnętrzu płomienne ognie gorzały, sprawił na zbolełą ogromem swojego nieszczęścia Jagienkę przeraża-

jące wrażenie; cała jej przyszłość straszliwa stanęła jej przed oczyma, westchnęła z głębi ściśnionej piersi i rzekła do siebie: Jeśli to nie jest mój grób, to będzie to moje wieczne więzienie...

Tymczasem Gniewosz, jak tylko stanął na zamku, prawie do niepoznania się zmienił. Był on tu panem samowładnym i panem nie lada, bo do jego starostwa należało wsi kilkanaście i ogromne przestrzenie, a prócz tego, na zamku stała załoga z kilkudziesięciu zbrojnych ludzi złożona, nad którymi miał komendę namiestnik, człowiek poważny, szlachcic herbowny i mający swe własne dobra w sąsiedztwie. Namiestnik ten rządził w jego imieniu całym starostwem i zamkiem i nikt nie mógł się mieszać do jego rządów, bo on był za nie odpowiedzialny przed królem. Jego matka miała tu tylko mieszkanie, wszelki respekt i wszelkie wygody, ale żadnej władzy nad nikim, bo przecie obrona granic, rządy i sądy nad całym tak znacznym kraikiem, nie mogą być rzeczą kobiety. Kiedy więc tutaj całkiem inny duch w niego wstąpił, jego matka dziwnie przed nim zmalęła. Pod wpływem tego uczucia nie mógł sam tego zrozumieć, jak nisko upadł na duchu na zamku sobieńskim. Rozmyślał nad tym i znalazł, że niepotrzebnie się ugiął tak prędko: głupstwo zrobił, że przyznał się matce do nedorzecznej na pozór przysięgi danej Formozie, przez co odkrył jej słabą stronę swoich zamiarów i wykonanie przymusu ułatwił, ale zawsze mógł jeszcze się oprzeć i odwlec wesele. Dlaczego tego nie zrobił, sam dzisiaj nie wiedział. Podchwyciono go w słabej chwili i w takim miejscu, gdzie nie czuł ziemi pod swymi stopami. Ale stało się: trzeba się teraz obejrzeć, jak by się z tej matni wydobyć, a na teraz ulżyć sobie istnieniu.

Jakoż przede wszystkim tak urządził mieszkanie dla siebie i dla Jagienki, aby nikt nie mógł wiedzieć, co się dzieje pomiędzy nimi. Potem zaś zajął się musztrą żołnierzy, rewizją zbrojowni, rynsztunków, rachunków i objeżdżaniem folwarków tak skrzętnie, że zwykle dopiero późno w nocy powracał, kiedy wszyscy już spali.

Zarazem zajął się napisaniem listu do Formozy. Bardzo to trudne było zadanie: najprzód z powodu niesformości pióra, które bardzo było nieposłusznym ówczesnym rycerzom, a po wtóre dlatego, że sam zwątpiwszy o tym, czy musiał się poddać swej matce, czy mógł się oprzeć, nie mógł znaleźć argumentacji, którą by swój postępek mógł usprawiedliwić. Ale jego otwarty charakter mu pomógł: powiedział jej całą prawdę, jak to nieszczęście się stało, ponowił jej swoje przysięgę, ją od wszystkich przyrzeczeń uwolnił, resztę oddał na wolę Bożą – i wyprawił z tym listem zaufanego człowieka do Lwowa.

Tak minął mu jaki tydzień w Czorszynie – a po tygodniu przybiegł goniec z Krakowa z listami, ażeby natychmiast przyjeżdżał do króla.

Natenczas Gniewosz, uradowany niezmiernie, że choć na jakiś czas może się wyrwać z tej matni, jeszcze tego samego dnia do Krakowa wyjechał – a jeśli był kto na zamku, który z szczerego serca mu życzył szczęśliwej podróży, choć sam zostawał w więzieniu, to była nim pewnie Jagienka.

IX

ŚREDNIOWIECZNA IMAGINACJA

Wara, pobożny pielgrzym po zamkach i dworach, będący w łaskach u św. Stanisława, znający jak własną kieszeń Rzym, Palestynę i górę św. Graala, w istocie rzeczy nigdy nosa nie wytknął poza granice Polski, a żył z przesyconej zabobonami łatwowierności szlachty. *Mundus vult decipi*¹²⁴, to było jego zasadą a zarazem środkiem do życia. Pełen żywej imaginacji i nieprzebranej w pomysłach, umiejący kłamać z zuchwalstwem swojemu wiekowi właściwym, a do tego odgrywać z wielką zręcznością każdą rolę, jaka mu właśnie była potrzebna, przywłaszczywszy sobie charakter sługi Bożego w tych czasach, gdzie Kościół jeszcze nie mógł się otrząść z niezliczonej ilości pasożytów najrozmaitszego rodzaju, mógł być sobie istotnie wyklamać jakie intratne probostwo: ale, na swoje nieszczęście, fatalną miał konduite¹²⁵.

Wyrwawszy się z zamku na Sobniu, gdzie mu widoki na jakąś tłustą prebendę już całkiem się zachmurzyły, i schwyciwszy na drogę łańcuch złoty wielkiej wartości, najpierw ten łańcuch zastawił u Żydów w Sanoku i pił sobie przez całą noc w tym wesołym miasteczku. Kiedy nazajutrz rano doszła go głucha wieść, jakoby już dziś miało się na zamku odbyć wesele, chociaż tej wieści nie wierzył, zerwał się i czym prędzej w dalszą podróż pośpieszył. Ale mimo to jechał rzemiennym dyszlem¹²⁶. Albowiem tutaj, zajechawszy do szlachcica na popas, zagadał się z nim przy dzbanie, wieczorem przyjechali sąsiedzi, ani podobna było im się wymówić, przepił więc z nimi dzień jeden i drugi; tam znowu wpadł między bogatych kmieci, którzy właśnie wyprawiali wesele i przenosiny i zabawił się z nimi cokolwiek – a kiedy wyrwał się spomiędzy kmieci, to znowu mu szlachta zajechała drogę przy samej gospodzie. Spieszył się bardzo: ale cóż, kiedy go wszędzie na rękach noszono, a jak wziął opowiadać, to mu i konia w stajni zamknięto i nie wypuszczono, aż póki nie skończył opowiadania. Tak przemarudził cały tydzień i ani się spostrzegł, że zamiast jechać prosto na Przemyśl, zajechał aż gdzieś koło Komarna i dopiero stamtąd się puścił wielkim gościńcem do Lwowa. Przyjechał nareszcie: ale gdy zsiadł z kułbaki przy bramie Niskiego Zamku, dowiedział się ku swemu zdziwieniu, że Wilczek właśnie przed dwoma dniami odjechał z królem do Krakowa.

Na tę wiadomość naprawdę mu się cokolwiek ckliwo zrobiło, bo spostrzegł, że przecież to nie jest rzecz, wzięwszy poselstwo w sprawie tak nagłej, tak wiele dni przemarudzić w podróży. I Jagienka gotowa się na niego pogniewać, i chociaż pójdzie za Wilczka, nie dać mu w swoich dobrach probostwa, i Wilczek gotów go sfukać – aż takim rycerzem nie dobrze żartować, bo czasem, jak się rozfuka, to zaraz i kości połamie. Trzeba się będzie z tej zwłoki jakoś zręcznie wyklamać. Jednak teraz już wziął rzecz na serio, sprzedał Kmitowskiego konia we Lwowie razem z kułbaką – a zajmując sobie furki od miasta do miasta i nakładając nocą w podróży, czwartego dnia w nocy stanął w Krakowie. Przespawszy się w bursie rybałtów,

¹²⁴ *Mundus vult decipi* (łac.) – Świat chce być oszukiwany

¹²⁵ konduita (fr.) – prowadzenie, zachowanie się

¹²⁶ jechać rzemiennym dyszlem – zabierając się okazjami na spotykane wozy

gdzie jako między wesołą gawiedzią jest po bratersku przyjęty, nazajutrz rano poszedł na zamek i kazał się zamkowym rycerzom zameldować u Wilczka.

Wilczek od czasu swego wyjazdu ze Lwowa popadł w bardzo pochmurne usposobienie umysłu. Już podczas jego pobytu w tym mieście, zwłaszcza od chwili wyjazdu Gniewosza na Sobień, kiedy już widział, że nie tak łatwo się wyrwie od króla, gorąca niecierpliwość żarła mu serce, a czasem nawet w chwilach samotnych w czarną zamieniała się rozpacz. Zaciął się, jego uczucie rycerskiej godności, podsycane słuszną obawą, ażeby obojętni na cudze cierpienia dworacy, zamiast mu ulżyć współczuciem, nie naigrawali się z jego miłości, nie pozwalało mu przyznać się komukolwiek do tych piekielnych boleści, które mu duszę targały. Nie przyznał się do nich nawet przyjaciółom tak szczerym, jakich miał w domu Kijasa. Zaciął się więc, zamknął się w sobie i stał się nieprzystępnym dla wszystkich.

Tak nawet zachował się względem Kamienieckiego, bo nie mógł mu tego przebaczyć, że mu nie przychodzi z pomocą, chociaż wie dobrze, jak by mu ulżył, gdyby tylko od czasu do czasu mu się usprawiedliwił, że jeszcze wyjechać nie może. Kiedy król kazał zatrąbić na odwrót we Lwowie, przemógł swoje zaciętość i dał Kamienieckiemu do zrozumienia, że teraz król by mu zapewne pozwolił skoczyć na Sobień; przyśpieszywszy cokolwiek podróży, mógłby deklaracją odprawić na Sobniu i prawie razem z królem zdążyć na zamek krakowski, boć niedaleka droga. Ale Kamieniecki wyściskał go i wyczałował i zapewnił słowem rycerskim, że tego zrobić nie może: król waży teraz w swej głowie bardzo doniosłe projekty na sejm niedaleki, więc jego obowiązek obywatelski nie pozwala mu go ani na chwilę odstąpić. Tej jego sprawie małżeńskiej nie grozi przecież żadne, a zwłaszcza tak nagle niebezpieczeństwo; jak tylko będzie można najprędzej, obydwaj razem na Sobień pojedają... Taka była odpowiedź Kamienieckiego.

– Niechże was jasne pioruny zatrzasną z waszą przyjaźnią! – pomyślał sobie Wilczek w swojej piekającej niecierpliwości, ścisnął swą boleść pomiędzy żebrami jak w kleszczach żelaznych, zamilkł jak mnich, czoło pokrył pochmurnymi zmarszczkami, dumę swą jeszcze wyżej napiętrzył i rzekł do siebie: Pierwej samemu diabłu się oddam w opiekę, niżeli którego z was o pomoc poproszę!

W takim usposobieniu zastał go Wara.

Jak tylko Wilczek tego Kmitowskiego dworaka obaczył, zerwał się z krzesła, przystąpił żwawo ku niemu i zawołał:

– Wara! Wara w Krakowie! jakież zły duch ciebie tutaj przynosi? skądże ty jedziesz? ze Sobnia?

– Dobry duch mnie przynosi – odpowiedział Wara z uśmiechem – przyjeżdżam w sekretnym poselstwie od panny Jagienki do pana starosty.

– Więc cóż? z czymże cię przysyła Jagienka? czy tam się co stało?

– Nic, wszystko dobrze – powie mu Wara – panna Jagienka sercem miłuje pana starostę i bardzo tęskni za waszą miłością, ale się boi, aby jej nie zaswatano z kim innym.

– Z kimże to? – zawołał Wilczek, błędniejąc jak ściana – przecie tam nie było nikogo.

– Nie było dotąd, ale teraz jest tam pan Gniewosz i jego matka jest także, prawdę mówiąc z piekła rodem... matrona i oboje myszkują około panny.

– Gniewosz! – zawołał Wilczek, zamyślając się na oka mgnienie – Gniewosz? nie może to być. Nigdy by Gniewosz nie zajeżdżał do panny, którą ja zmówiłem dla siebie.

Na to zaś rzecze Wara:

– Ale być może, że pan Gniewosz nic o tym nie wie...

– Nie wie? – rzekł Wilczek jakby do siebie – jużci nie wie, bom mu nic nie powiedział. Więc gadajże prędko, co się tam dzieje?

Tu opowiedział mu Wara ze szczegółami, jako Gniewoszowa tego samego dnia zajechała na Sobień, kiedy on do Kamieńca wyjechał, jak tam cały miesiąc przesiedziała widocznie w

tym celu, ażeby swemu synowi drogę do Jagienki uścielić, jak potem swojego syna na Sobień wezwała – i owóż rzecz.

Wilczek go słuchał z taką ciekawością, że prawie jego słowa połykał, tu wszakże porwał go drżącą ręką za rękaw i spytał:

– Więc cóż się stało? nic jeszcze?

– Już się coś stało – rzekł Wara – i właśnie dlatego za jegomością tak gonię na dzień i noc. Zdaje się, ba, i rzecz pewna, że kasztelaństwo stanęli po stronie Gniewosza, bo właśnie pani kasztelanowa zaprosiła pannę Jagienkę do swojej komnaty i zapowiedziała jej, że postanowili ją dać Gniewoszowi.

– Już postanowili? – zawołał Wilczek ustami drżącymi od gniewu i oburzenia – więc z tym do mnie przyjeżdżasz? z tym cię Jagienka do mnie przysłała? Czegóż więc ona chce ode mnie? Niechże ją Bóg błogosławi, oto moja odpowiedź.

– Panie starosto! – powie mu na to Wara ze spokojnym uśmiechem – nie potrzeba rozpaczać. Gdyby tak było, to Wara by tu nie przyjeżdżał. Można jeszcze temu zapobiec...

– Cóż ty mi gadasz! – zawołał Wilczek, porwany w tej chwili zupełnie uczuciem rozpaczony – kiedy kasztelaństwo stanęli po stronie Gniewosza, to wszystko przepadło. Nigdy u nas dziewczka nie oprze się woli swych opiekunów. A potem, co tam! Widzę ją dobrze, jak się to stało. Gniewoszowa, co by wszystkie krakowskie przekupki potrafiła przegadać, ich wszystkich opanowała. Kasztelanowa sobie do mnie coś upatrzyła, wiem o tym, dlatego też do Kamieńca pojechał: zawzięła się na mnie, nawinał się Gniewosz, więc jemu dać Jagienkę; komukolwiek, byle nie mnie. Kasztelan, duda jak zawsze, najniższy sługa jejmości, jejmość tak postanowiła, więc i on za tym. Jak Zawisza podpisze, to i Pakosz także. A Jagienka... Panie Boże jej odpuść. Prędko się zapomniało, co się sto razy przysięgło!

Te ostatnie słowa powiedział Wilczek głosem zalanym łzami, widać było, że obok uczucia rozpaczony, głęboki żal go porywa: ale Wara mu nie dał dokończyć, mówiąc prędko:

– Nie tak, panie starosto. Co Wara mówi, to prawda. Można jeszcze temu zapobiec, bo kasztelaństwo nie mają nad panną Jagienką opieki. Jej opiekunem jest stryj, O. Chryzostom – i właśnie z tym mnie panna do jegomości przysłała. A tu jest znaczek, napisany jej własną ręką, abyś mi jegomościę uwierzył.

To mówiąc, podał mu kartkę Jagienki.

Wilczek, wyrwawszy mu kartkę z ręki i przeczytawszy na niej te słowa: „W zmiennych losach niezmienna Jagienka” jak gdyby nagłym światłem olśniony, całkiem się zmienił. Jego twarz się rozpromieniła, oczy błysnęły blaskiem nadziei, w całą jego postać nowe wpłynęło życie; tak spojrział w twarz Warze i rzekł:

– Więc cóż ci Jagienka powiedziała? powiedz mi jeszcze raz, chciałbym wiedzieć każde jej słowo.

Zaczem Wara opowiedział mu szczegółowo, ażeby widział to wszystko jak na dłoni, jako Jagienka na tę zapowiedź kasztelanowej rozplynęła się we łzach, jako już zrozpaczyła o wszystkim, jako ją Smolicki nauczył, że to wszystko nie ma żadnego znaczenia, bo tylko sam o. Chryzostom dysponuje jej losem, jako jej zaraz poradził wysłać zaufanego człowieka do Lwowa, jako Smolicki jego na tego posła nastęrczył, jako Jagienka sama mu to poselstwo zleciła, jako mu powiedziała wyraźnie, że to jej śmierć, jeśliby ją za Gniewosza zmusili – a wreszcie jako mu nakazała pędzić na dzień i noc i Wilczka ubłagać, ażeby bez odetchnienia jechał do o. Chryzostoma i za jego pomocą ją wyratował.

Wilczek słuchał go z rozczuleniem, pożerając chciwie jego wszystkie wyrazy, ale widocznie już sobie układał w głowie, co i jak ma przedsięwziąć, bo wysłuchawszy go, zawołał:

– Juźci mnie o to błagać nie trzeba! Mnie nie żyć bez niej. Ja cały świat przewrócę do góry nogami, abym ją dostał – a jeśliby mi się sprzeciwiali Kmitowie, to im zamek najadę i w proch go zetnę, że kamień na kamieniu tam nie zostanie! Jeszcze ja zbiorę taką chorągiew, jak trzeba – a choćbym miał diabłu duszę zapisać, to podruzgocę tę budę Kmitowską na miazgę,

a jego ciurów jak podle psy podepcę! Dla Jagienki żadna mi cena nie będzie za droga... Ale Chryzostom mnie przecie nie zdradzi. Byłem się tylko stąd wyrwał! Bywajże zdrów. Panie Boże ci zapłać za tę usługę – a jeżeli czego będziesz potrzebować ode mnie, to licz na mnie jak na Zawiszę.

To rzekłszy, szedł zaraz do króla.

Chociaż to było jeszcze bardzo rano, król siedział już z Kamienieckim w swym gabinecie i ważną był z nim zajęty rozmową.

Kamieniecki prawdę powiedział Wilczkowi, że nie może opuścić króla ani na chwilę, ale niecałą, bo cała prawda w sprawach publicznych objawia się dopiero w czynach. We wszelkich o nich dyskusjach wychodzi na jaw tylko jej częśćka, ta częśćka, jaką każdy z dyskutujących objawić musi w swym interesie, bo dobro publiczne każdy zawsze pojmuje ze swego własnego punktu widzenia, a rzeczpospolita – bardzo rzadkie są od tego wyjątki – była po wszystkie czasy i we wszystkich narodach tym polem, na którym człowiek goni za podniesieniem siebie samego, zaś tylko to uważa za korzyść publiczną, co zadowalnia zarazem jego własne ambicje. Ci wielcy ludzie duszy anielskiej, co wszystkie swe interesa i całą swą miłość własną, nic zgola nie wymagając dla siebie, złożyli na ołtarzu ojczyzny, są bardzo rzadko posiani w dziejach wszystkich ludzkich pokoleń...

Co król istotnie zamierzał w głębi swojego skrytego umysłu, co było prawdą z tego, co mówił, a co mówił dlatego, ażeby osłonić swoje zamiary, co przedsiębrał w celu rzeczywistego przeprowadzenia, a które jego postęпки służyły mu tylko do odwrócenia uwagi publicznej od jego rzeczywistych zamysłów, to było jego wyłączną tajemnicą, z którą się nie wydawał przed nikim: albowiem prawdą jest, co sam powiedział o sobie: „że gdyby jego koszula wiedziała o jego zamiarach, to by ją zrzucił ze siebie i spalił”. Ze wszystkich królów, którzy rządili Polską, on był najskrytszym, a mimo przystępności dla wszystkich i bardzo łatwego obejścia najwięcej w sobie zamkniętym. Żaden z jego braci, ani król węgierski i czeski, z którym niedawno zbrojnie się spierał, ani Aleksander, który mu zawadzał na Litwie, ani Fryderyk kardynał, któremu dla jego bystrego rozumu nie ufał, ani Zygmunt, którego kochał, ani nawet Kallimach, któremu się zdało, że jest jego jedynym inspiratorem, żaden z nich nigdy jego tajemnych myśli nie wiedział; toż tym mniej mogli go przejrzyć jego dworzanie, z którymi wprowadzicie w swoich swawolnych rozrywkach jak najpoufalej się bratał, ale których zawsze tylko jako swoje narzędzia uważał i tak się z nimi obchodził.

Kamieniecki się silił na próżno, aby odgadnąć jego zamiary względem przyszłego sejmu. Chociaż codziennie po kilka godzin z nim trawił i nieraz mu się zdawało, że go przejrzał do gruntu, przecież na koniec musiał sobie powiedzieć, że w gruncie rzeczy nic nie wie. To tylko miał za rzecz pewną, że król usiłuje tak przez niego, jak i przez wielu innych, kaptować średnią i drobną szlachtę dla siebie, ażeby przez nią opanować sejmiki, a w nich znaleźć przewagę przeciwko możnowładcom, których wprowadzicie nie podejrzewał o to, ażeby kiedykolwiek go chcieli korony pozbawić, ale którzy, wzrastając ciągle w majątki i samoistne znaczenie, coraz więcej mu się narzucali na protektorów i kontrolerów jego politycznych zamiarów i coraz nieznośniej mu we wszystkim ciążyli. Z jego dążnością przywiązania tłumów szlacheckich do siebie łączyła się myśl utworzenia armii stojącej ze szlachty, myśl w głowie absolutnego i niedostatecznie kraj znającego Kallimacha może całkiem dojrzała, ale w jego subtelnym a ostrożnym rozumie jeszcze bardzo chwiejna co do sposobu przeprowadzenia. Jednak ta myśl zajmowała Kamienieckiego daleko więcej niż wszystkie inne: albowiem będąc żołnierzem może najznamienitszym w tym czasie a zarazem nadzwyczaj popularnym u szlachty, miał dosyć ugruntowaną nadzieję, że jakkolwiek król armią postawi na nogi, jemu powinna się dostać nad nią buława. Ta więc nadzieja go trzymała przy królu i nad jej ziszczeniem głównie pracował.

Toż i teraz o tym z królem rozmawiał, wykładając mu swoje zapatrywania w ten sposób, że należy przed wszystkim królewski dwór pomnażać i wzmacniać, częścią ochotnikami ze

szlachty, a częścią żołnierzem zacieźnym; tak z wolna utworzy się armia – a im więcej ta armia będzie wzrastać i im do większego będzie przychodzić znaczenia, tym więcej młodzież szlachecka będzie się do niej garnać, a tym mniej będą znaczyć pańskie załogi po zamkach i zwoływane przez nich pospolite ruszenia. Takim sposobem przyszedł do armii cesarz niemiecki i król francuski, i księżę sabaudzki, a wreszcie i papież, droga to zatem ubita i na nią wejść trzeba.

Król temu rozumowaniu nie przeczył, ale miał zdanie odmienne, które tymi słowami wyraził:

– Droga to wprawdzie ubita, lecz długa. U nas nie można się opierać na takich robotach, które pożywne owoce przynoszą dopiero po czasie, bo u nas co rok, co dwa lata, to Tatarzy, to Turcy, to Wołosi, to Moskwa włamuje się w nasze granice, toż my nie mamy czasu do sztyftowania armii, która by dopiero w lat kilka mogła coś znaczyć.

– Jedno drugiemu nie powinno by wadzić – rzekł Kamieniecki – armie się składa w pokoju, ale także i w wojnie, mając zaś tę myśl dobrze na oku, można by nawet z wojny z większą armią powrócić, niżeli się na nią wyprowadziło, boć to po wojnie niemało zostaje rozbitków, które tym łatwiej wcisnąć w szeregi.

A król na to, idąc wciąż swoim torem:

– U nas też inni są ludzie i inne stosunki. Skarb teraz wprawdzie nie bardzo ubogi, chociaż nam wykup Zatora niemało pożarł pieniędzy i jeszcze co roku pożera. Jeszcze by się trochę grosza znalazło na wystawienie kilku dworskich chorągwi, aleć to ziarnko piasku wobec tych tłumów rycerstwa, którym hetmanią kasztelani i wojewodowie. Te tłumy wziąć w rękę, w tym sztuka...

– Juźci to byłoby pewnie najlepiej – rzecze mu Kamieniecki – aleć prawdę mówiąc, to te tłumy są w rękę waszej królewskiej mości, jeno by trzeba nad nimi postawić hetmana...

Na te słowa król spojrział na niego, a Kamieniecki zaraz się spostrzegł, że się za daleko zapędził. Albowiem urzędu w. hetmana jeszcze wtedy nie było, a chociaż myśl utworzenia wielkiej buławy już nieraz podnoszono, popierając ją niektórymi dziejowymi wspomnieniami z epok dawniejszych, opór przeciw niej, zwłaszcza pomiędzy wojewodami, był tak stanowczy, że ani myśleć nie można było o jej przeprowadzeniu. Hetman w. koronny zjawił się dopiero we dwanaście lat potem, przeparty wielką powagą Zygmunta Starego, a został nim tenże sam Kamieniecki; ale wtedy, kto nie chciał wszystkich senatorów oburzyć przeciwko sobie, nie mógł nawet wymówić tego nazwiska. Kamieniecki się zaraz poprawił i dodał prędko:

– Albo jakiegoś takiego urzędnika, który by z ramienia króla przynajmniej w czasie pokoju miał nadzór nad chorągwiami...

Ale król na to machnął ręką i rzekł:

– Na nic by się to nie zdało. Inaczej trzeba się brać do tej sprawy. Słysz, Kamieniecki, ja tobie powiem, czegom jeszcze nie powiedział nikomu. Juźci ja i z wojewodami niemało mam wstrętu, bo mi się na te urzędy wciskają ludzie, którzy nie tak są przywiązani do tronu, jak być powinni. Urzędy te są u nas jeszcze prawie dziedziczne. Czyj ojciec a dziad albo pradziad był wojewodą, to i on sobie rości prawo do województwa. A jak to się wychowują ci młodzi panicze? Najprzód juź w domu przy niańce nabiją mu głowę tym, że urodził się senatorem, potem go z wielkim sumptem wyprawiają na dwory postronne i każą go tam czcić jak udzielne książątko, więc kiedy wróci do Polski, ani mu gadaj, że powinien się służbą a pracą doraabiać zaszczytów, jeno zaraz dawaj mu krzesło przy samym królu. Ot, masz tam zaraz w twoim sąsiedztwie imci pana Kmity, co ma dwóch synów dorosłych, cóż z nimi zrobił? oto jednego wysłał na dwór cesarza, a drugiego do księcia Sabaudii – a swemu królowi jeszcze żaden z nich nawet się nie pokłonił. Skręcę ja z czasem łeb tym obyczajom – i tak tobie powiadam, że do wszystkich urzędów tylko tych będę przypuszczał, którzy tu u mnie, na moim dworze, odbędą terminowanie. Wszelako i o tych wojewodów, jacy tam są, jeszcze mnie głowa nie boli. Obronię się im, bo ich nie wielu, mam zresztą na nich starostwa. Ale na kasz-

telanów pilne muszą mieć oko, bo oni wodzą chorągwie powiatów i mają szlachę w swych rękach, a jest ich dużo w tej Polsce. Przede wszystkim więc trzeba kasztelanie pewnymi ludźmi obsadzać – a za ich przewodem daleko prędzej armia królewska się złoży, choćby nawet wbrew wojewodom. Kallimach mówi, że armia królewska stać powinna po wielkich miastach, ale to nic do rzeczy dla Polski; jak będzie jedna chorągiew królewska w każdym powiecie, to lepiej. Reszty tam sobie dopełnij swoim własnym rozumem...

Więc Kamieniecki się nad tym zamyślił, a potem rzekł:

– Miłościwy królu! myśl to wyborna. Gdzie kasztelania *vacat*¹²⁷, tam ją można wedle woli obsadzić. Ale co zrobić z takim, co na swojej kasztelanii siedzi, a ani do tańca, ani do różańca?

– Jak właśnie Kmita – rzecze mu król – ale ja tobie powiem. Takiemu kasztelanowi, jak się wojna zakurzy, doda się rotmistrza – a po wojnie już my w tym będziemy, ażeby rotmistrz pozostał przy swojej buławie. Tak z wolna możemy doprowadzić do tego, że kasztelani tylko przy tytule pozostaną, a chorągiewami w powiatach będą rządzić nasi rotmistrze: lepsza to rada niżeli Kallimachowa, do której wykonania prawie gwałtu potrzeba...

A w tej chwili wszedł Wilczek i z mocno bijącym sercem stanął o kilka kroków przed królem.

Wilczek, chociaż do jego posępnego humoru już się w ostatnich czasach przyzwyczajono, dziś jeszcze daleko pochmurniej wyglądał niż dotąd. Na jego wybladłej twarzy przebijał się ból bardzo głęboki, ale zarazem powaga i rezygnacja: widać było po nim na pierwszy rzut oka, że cierpi, ale zarazem, że w ważnej przychodzi sprawie i że jest zdecydowany na wszystko. Nastrój ten stąd pochodził, iż mu się zdało, co zresztą każdemu dworakowi zawsze się zdaje, że jest królowi niezbędnym i że go król niełatwo puści od siebie. Karmieniecki, obaczywszy taki surowy wyraz na jego twarzy, a mając go przy tym do pewnego stopnia na swoim sumieniu, przestraszył się go, obawiając się jakiejś sceny niemiłej, a może nawet gwałtownej: ale król zwrócił się ku Wilczkowi łaskawie i spytał go bardzo uprzejmie:

– Cóż nam przynosisz, mój Wilczek?

– Miłościwy królu – rzekł Wilczek głosem przerywanym, w którym odbijał się cały jego nastrój bolesny – przychodzę z pokorną prośbą, którą bym rad waszej królewskiej mości przedłożyć. Od stu lat przeszło służą Wilczkowie swym panom a przodkom waszej królewskiej mości pilnie i wiernie i żaden z nich jeszcze nigdy swym obowiązkom nie chybił. I ja też, ile mam siły, służę memu miłościwemu panu od mojej rannej młodości bez odetchnienia. Stawałem w ogniu razem, a nieraz i przed innymi, nie żałowałem krwi mojej, nie żałowałem niewoli, za honor mojego króla – i nigdy nie prosiłem o wypoczynek. Ale teraz ciężkie przyszły na mnie terminy. Sprawa to nagła, może na jednym dniu stoi, a może na jednej godzinie. Potrzeba mi za nią pobiec koniecznie a bez odwłoki. Proszę zatem waszej królewskiej mości a mego miłościwego pana, aby mi łaskawie pozwolił jeszcze dzisiaj wyjechać. Za parę tygodni powrócę albo też waszej królewskiej mości doniosą, że nie żyję.

A na to król mu odpowiedział z ojcowską dobrocią:

– Jeśli tylko o to ci chodzi, toż się nie frasuj – a wiedz o tym, że choćbym się już całkiem nie mógł obejść bez ciebie, to jeszcze bym ci nie odmówił. Jednak tak nie jest, albowiem jest tu Kergolaj, a potem zaraz każę zawołać Gniewosza. Ale powiedzże nam, jakie to ciężkie terminy przyszły na ciebie? może będziemy mogli ci pomóc, co byśmy też z wielką chęcią zrobili.

Na te łaskawe słowa, a zwłaszcza też na wiadomość, że król Gniewosza odwoła, Wilczek z głębi piersi odetchnął i tak odpowiedział:

– Miłościwy królu! nie omieszkać mi ja upaść do nóg waszej królewskiej mości, jak będę potrzebował łaski mojego króla i pana. Ale na teraz tylko jeden człowiek może mi pomóc, a to ksiądz Kmita, co siedzi na swoim eremie około Wiszni, albowiem o jego synowicę tu chodzi, którą chowają na Sobniu. On sam mnie wysłał z wiosną do Kmitów, abym ją sobie obej-

¹²⁷ *vacat* (łac.) – jest nie zajęta, wolna

rzał. Pojechałem – a dziewczeczka mnie chwyciła za serce, właśnie jak gdyby rozpalonymi kleszczami. Chciałem zaraz się zdeklarować, ale przyjaciele mi powiedzieli, że pani Kmicina będzie wstręty mi czynić, zaczęłam za ich dobrą radą skoczyłem za swatem, którego mi naraili. Za tym swatem zapędziłem się aż do Krakowa – i musiałem już zostać na służbie przy moim panu. Tymczasem dzisiaj dziewczeczka przysłała mi gońca z nowiną, że tam do niej forytują Gniewosza na gwałt, żebym więc zaraz jechał do księdza Kmity, który jest jej opiekunem i sam jeden może na to poradzić. Muszę więc popędzić do niego, choćbym miał skrzydła sobie przyprawić...

Tu król się obrócił do Kamienieckiego i rzekł:

– Przyznam ci się, że nie rozumiem Gniewosza. Dopiero co przysiągł tej tam Ormiance we Lwowie wierność i czystość do grobu – a jeszcze kur nie zapał trzy razy, już poszedł w konkur do innej. Nie wiem też, jakimi kunsztami go tam uchodziły te kury czubate na Sobniu...

Zaczem rzekł znowu bardzo łaskawie do Wilczka:

– Jedźże więc, kiedy tak chcesz, zabaw się tam wedle potrzeby, ale wracaj nam w czas, bobyśmy radzi mieć ciebie przy naszej osobie na sejmie.

Więc Wilczek ze łzami wdzięczności w oczach rzucił się do nóg królowi, Kamienieckiemu ledwie że głową kiwnął z daleka i wybiegł prędko z komnaty.

A kiedy już był za drzwiami, król się znowu obrócił do Kamienieckiego i rzekł:

– Gniewosz już się z tą dziewczką ożenił. Jego matka przysłała mi z tą nowiną gońca z drogi na zamek czorsztyński, ekskuzując się, że dla nagłości nie mogła mnie prosić o błogosławieństwo przed ślubem. Wilczkowi już żaden ksiądz nie pomoże. Ale wolę, ażeby wyparskał się na świeżym powietrzu, niżeli żeby mi tu kwilił pod nosem.

Kamieniecki zbladł trochę na tę wiadomość, ale król na to nie zważał, tylko prowadził z nim dalej dyskurs o rzeczach publicznych.

W godzinę potem Wilczek wyjechał z Krakowa tylko z jednym żołnierzem i z jednym koniem podwodnym – a wziął ze sobą lekkie bachmaty i ubrał się lekko, aby mógł dobrze pospieszać. Jakoż śpieszył się bardzo, gdzieniegdzie tylko przystanął na parę godzin, raczej we dnie dla wielkich upałów niżeli w nocy, a nie żałował ani siebie, ani swych koni. W gruncie rzeczy był dobrej myśli; bo o Chryzostom oczywiście nie może go zdradzić, sam go przecież niejako zaswatał i opiekuńczą ma władzę, gdyby zaś Kmitowie z jakich tam familijnych powodów lub kabał robili trudności, to przecież król mu swą pomoc obiecał. A jednak wrzący niepokój go męczył przez całą drogę. Chwilami czuł jakąś boleść nieokreśloną, która mu serce targiła i głębokie z zbolącej piersi wydobywała westchnienia; tęskno mu było, że od tak dawna nie widział Jagienki, a nawet nie wie, co się z nią dzieje? Czy jeszcze ją kiedyś obaczy? czy wolno mu będzie ją przycisnąć do serca? – To znowu czarne myśli się nad nim wieszały i zdawało mu się, że Chryzostom go zdradził, Kmitowie bardzo dumny to naród, patrzą wysoko, on dla nich za mały, jeśli się uprą przeciwko niemu, to może i sam Chryzostom ich nie przemoże, oprą się nawet samemu królowi. Jedyną pociechę w tym jeszcze znajdował, że Jagienka go kocha i pewnie go nie porzuci. Jeśli ona się oprze, to przecież jej gwałtu zadawać nie będą. Ale czy zdoła się oprzeć? czy będzie miała do tego odwagę? czy wytrwa w oporze? czy nie da się ugiąć? czy nie upadnie na siłach? – Tak się chwiejąc w swoich przewidywaniach, dręczony na przemian to chwiejącą się przed nim nadzieją, to nieodstępłą obawą, z gorączką w głowie, ze spieczonymi ustami, z ognistym krwiogorzem w piersi, trzeciego dnia o samym zachodzie słońca wjechał w tę puszcę, w której stał Chryzostoma franciszkański klasztor.

Były to dnie bardzo gorące sierpniowe. Niebo było pogodne bez chmurki, od kilkunastu dni ani jedna kropla deszczu nie padła, ziemia była spalona na popiół, trawy pożółkły, liście na drzewach pozwijają się w trąbki, powietrze było rozpalone jak w piecu, a złoty pył się po nim unosił, który, jak gęsta a sucha mgła, widok nieba zasłaniał. Duszno było na ziemi, jak

gdyby była szklaną banią nakryta, i ani z puszczy, ani od stawu najlżejszy chłód nie zawiewał. Na stawie, który wąskim klinem się wbijał pomiędzy klasztor stojący po lewej a przerzedzoną puszczy po prawej, woda pozołkła, nad nią sterczały po brzegach powysychane szuwarzy i trzciny, po jej powierzchni powyzdychane ryby pływały, a od niej zawiewał przejmujący odór zgnilizny i śmierci. W dali, gdzie staw rozszerzony łączył się z widnokretem, otwierała się próżnia bez dna i bez końca, jakoby przejście z tej ziemi w nieskończoną otchłań nicości. Wilczek spojrział w tę otchłań i westchnął: może by teraz najchętniej wjechał w tę nicość bezdenną i zostawił za sobą na wieki tę ziemię, gdzie wśród tak gwarne ludzkiego mrowiska nie miał ani jednego człowieka, który by mu był bratem, co by uczuł ból jego i podał mu rękę pomocną...

Chryzostom siedział na przyzbie przy drzwiach klasztoru i patrzył zamyślonymi oczyma w żółte a nieruchome w swojej zgniliznie zwierciadło stawu. Miał twarz spokojną i uśmiechnioną: może na wód powierzchni widział dusze tych zmarłych, którym odpuścił grzechy w godzinie śmierci i przeprowadził je w wybielonej postaci w krainę wiecznego szczęścia i spokoju – a może tylko się lubował w tej ciszy, jako w obrazie swojej własnej przyszłości za grobem, do której starcy, zmęczeni ciężarem życia, nieraz tak tęsknie wzdychają. Jednak kiedy obaczył Wilczka, wjeżdżającego w obejście klasztoru, wzdrygnął się i twarz niemile przeciągnął; wstał i powitał go grzecznym skinieniem ręki, ale widać było po nim, że tego niespodziewanego gościa nierad widzi u siebie.

– Wilczek! – zawołał ku niemu – nie spodziewałem się widzieć ciebie w tych czasach. Skądże to Pan Bóg prowadzi?

Tymczasem Wilczek zeskoczył z konia, pocałował go w ramię, a jako był niecierpliwy, wpadł zaraz *in medias res*¹²⁸, mówiąc:

– Jadę z Krakowa. Jadę na dzień i noc, bo mnie wieść doszła, że tam na zamku sobieńskim knują się przeciw mnie i przeciw Jagience jakieś kabały.

Z tych kilku słów Chryzostom zaraz zrozumiał, że Wilczek jeszcze nic nie wie o ślubie Jagienki z Gniewoszem, zebrał więc w ten moment całą swoje przytomność umysłu, a widząc zarazem, że Wilczek jest rozgorączkowany, postanowił obejść się z nim po ludzku i po chrześcijańsku i nie podać mu od razu całego kielicha goryczy. Rzekł więc do niego łagodnie:

– Siadaj no sobie przy mnie, a spocznij. O jakichże to kabałach słyszałeś?

– Zajechała tam Gniewoszowa i swego syna do siebie zwołała, a teraz tam chodzi około tego, aby kasztelaństwo dla siebie pozyskać i syna zaswatać z Jagienką.

– Powiedzże mi, ale spokojnie – zapytał go Chryzostom – a cóż ty zrobiłeś na zamku sobieńskim?

– Com zrobił? – rzekł Wilczek spokojnie – zrobiłem to, coś mi wasza wielebność z swego własnego natchnienia rozkazała. Pojechałem na Sobień, upodobałem sobie Jagienkę i ona mnie także, zmówiliśmy się; ale że mi dopowiedziano, że kasztelanowa mi wstręty robi, a że Kamieniecki ma tam wpływ wielki, więc skoczyłem do Kamienieckiego, nie zastałem go, pojechałem za nim do Krakowa – a tam mnie król zatrzymał do dziś dnia.

– Któż to tobie dał taką radę, ażebyś jechał do Kamienieckiego.

– Sam Kmita – rzekł Wilczek z naciskiem.

– Sam Kmita – powtórzył Chryzostom, mówiąc powoli i ważąc każde słowo – toż Stanisław o tym nie wiedział, że nie Kamieniecki, tylko ja jestem „opiekadnikiem” Jagienki?

– Może on wiedział – rzekł Wilczek – toż i nie wiem, dlaczego mi taką dał radę. Ale jam nie wiedział, boś mi wasza wielebność tego nie powiedział. Żałuję teraz, że zamiast na Kamieniec, tu nie przyjechał...

Tu Chryzostom zastanowił się chwilę, a potem rzekł z wolna:

– Nie żałuj. Nie my sami, ale Bóg rządzi naszymi losami. Gdyby wola Boża była po twojej stronie, to byłby cię tak natchnął, ażebyś tutaj przyjechał...

¹²⁸ *in medias res* (łac.) – w sedno sprawy

– Nie przyjechałem, żałuję – rzekł Wilczek – nie miałem się też za to nacierpiać. Żałuję i przepraszam, jeżeli wasze wielbność tym obraził. Ale naprawiam złe i teraz przyjeżdżam.

A na to Chryzostom:

– Każde złe da się przebaczyć, ale nie każde naprawić.

– Jakże to, mój ojczu? – zawołał Wilczek niecierpliwie – przecież nie będziesz mnie za to karał, żem czegoś nie wiedział.

– Ja nikogo nie karzę, mój miły, ale Bóg karze.

Na to Wilczek spojrział z bolesnym uśmiechem na niego i rzekł z lekkim wyrzutem:

– Wy wszędzie zastawiacie się Bogiem, jak gdybyście zawsze wiedzieli, czego On chce, a czego nie chce. Za cóż by Pan Bóg mnie karał?

– Wiesz ty to lepiej ode mnie.

– Nic nie wiem.

– Nic nie wiesz? – zapytał Chryzostom – a któż to uwiódł niewinną dziewczeczkę bojara?

Tu Wilczkowi twarz mocno się zmieniła, jednak powiedział przytomnie:

– To za to mnie Pan Bóg ma karać? A przecieżem się z tego spowiadał i waszmość sameś mi grzech ten odpuścił.

– Jam odpuścił, ale Bóg nie odpuścił.

– A już mi znowu wyjeżdżasz z Bogiem! – zawołał Wilczek z niecierpliwością i chciał dalej coś mówić, ale zgorszony takim wyrzutem Chryzostom, przerwał mu i powiedział stanowczo:

– Myśl ty sobie o tym, co chcesz, i grzesz dalej myślą i czynem. A tymczasem tak będzie, jak jest. Ja tobie Jagienki dać nie mogę i nie dam.

Tu Wilczek zbladł i wargi mu zaczęły dygotać, ale jeszcze się opanował i spytał głosem drżącym, ale spokojnym:

– Nie dasz? i to już jest wasze postanowienie niezmiennie?

– Niezmiennie – rzekł sucho Chryzostom.

Usłyszawszy ten wyrok zabójczy, Wilczek zerwał się z przyzby, stanął z zaciśniętą pięścią przed księdzem i zawołał głosem pełnym wrzącego bólu, ale zarazem i złości:

– Nie dasz? i dlatego mi nie dasz, żem uwiódł córkę bojara? A skąd to waszmość wiesz o tym grzechu mojej młodości? Z mojej spowiedzi. To księdzu wolno używać sekretu konfesjonału, ażeby ludziom szczęście zagrażać?

Ciężki to był zarzut, ale Chryzostom nie czuł nim się wcale dotkniętym. Albowiem z tym sekretem konfesjonału postąpił sobie sumiennie: nie użył go wcale przeciw Wilczkowi, dopóki rozumiał, że o nim wie tylko ze spowiedzi – a dopiero wtenczas wziął go w rachubę, kiedy się dowiedział, że o nim skądinąd wiedziano na Sobniu. Odpowiedział mu więc spokojnie:

– Nie bluźnij przeciwko mojemu kapłańskiemu sumieniu. Jam przeciw tobie nie użył żadnego sekretu. Opiekun Jagienki głuche uszy ma na to, o czym jako ksiądz dowiaduje się przy spowiedzi. Zresztą idź, rozejrzyj się po świecie, popytaj ludzi, a dowiesz się prędko, że taki to sekret, o którym wróble świstają po całej Polsce.

Ale Wilczek tych słów ostatnich nie słyszał. Miał przed oczyma tylko postępek kapłana, który mu się zdawał ohydny. Siadł twardo na przyzbie, załamał zaciśnione pięście przed swoją twarzą i zawołał:

– Taki to Kościół mamy nad sobą! takich duchownych! Spowiadajże się tutaj przed księdzem – a on ci w obliczu całego świata twój grzech rzuci pod nogi, ażeby na ciebie sprowadzić nieszczęście! Ej! pono lepszy rozum mają ci, co złego ducha biorą na pomoc, niżeli wasze ołtarze i konfesjonały...

Tu wszakże Chryzostom się zniecierpliwił, wstał i powiedział z wielkim naciskiem:

– Pleciesz jak opętany – a może on cię naprawdę opętał! Jakimże sumieniem możesz ty mi zarzucać, żem użył sekretu konfesjonału przeciwko tobie, kiedym ja ciebie już po spowiedzi

na Sobień wyprawił? Ciebie już rozum opuszcza. Na ciebie zstępują złe duchy i diabelskie myśli tobie poddają. Wstań, oto kościół otwarty, idziemy właśnie na wieczorne modlitwy, chodź, połóż się krzyżem, po modlitwie ulży ci się na sercu i w głowie wyjaśni. Miłość ziem-ska walcząca z przeszkodami na zabój, to upór cielesny, to bunt podniesiony przez zmysły – a zmysły ludzkie to arsenał diabelski, napelnięny wszelką bronią przeciwko duszy człowieka. Chodź ze mną, w modlitwie znajdziesz klucz, którym zamkniesz drzwi tego arsenału, wzbrosisz złym duchom przystępu, a sam z niej wyjdiesz pokrzepiony na duszy – i własnymi oczyma obaczysz diabła wijącego się w prochu ze złości, a uśmiechy strzegących ciebie aniołów w niebiosach.

A wtedy słońce już zaszło. Na wieżyczce kościelnej odezwał się dzwonek i mnichy zaczęli wychodzić z klasztoru, idąc jeden za drugim do kościoła. Chryzostom rzekł raz jeszcze do niego: Chodź! – lecz widząc, że on wcale nie patrzy na niego, poszedł także do kościoła.

Wilczek sam został na przyzbie. On ostatnich słów Chryzostoma nawet wcale nie słyszał. W jego uszach brzmiała jeszcze nielitościwego opiekuna rekuza. W głowie mu się pusto zrobiło, żadna myśl w niej nie wstawała, widział bezdeń przed sobą pełną nicości, może nawet nie wiedział, gdzie jest: tylko tętna mocno mu biły, usta paliła gorączka i czuł jakby kurecz w rękach, pragnących pomścić się na kimś tej krzywdy. Wszystka krew się w nim burzyła przeciwko temu srogiemu losowi, chciałby był go złamać przemocą, jaką bądź bronią, choćby nawet diabelską, byle zwyciężył, byle posiadał Jagienkę: ale nie wiedział, co począć.

W tej chwili przystąpił do niego braciszek, mówiąc, że ks. Chryzostom prosi go, aby szedł do kościoła. Wilczek spojrział na niego szklanymi oczyma, lecz zaraz błyskawice się zapaliły w tych oczach i rzekł głosem pełnym szyderstwa i gniewu:

– Przed wami się będę spowiadać! abyście mnie znowu zdradzili? Idź sobie.

Braciszek odszedł. Po chwili przyszedł drugi z tym samym wezwaniem; ale na tego już ani spojrział, tylko wstał, odsunął go ręką od siebie i odszedł, aby się od dalszych posłów uwolnić.

Nie wiedząc sam, dokąd ma iść, szedł tą samą drogą, którą przyjechał, po lewym brzegu wody. Tak doszedł z wolna aż do końca stawu, ale chociaż żywego ducha nie było na drodze, przecież droga zdawała mu się zanadto ludną: zapewne jego wyobraźnia zapełniała ją po-dróżnymi – a on chciałby być sam, sam jeden, gdziekolwiek bądź, choćby pod ziemią. W tym miejscu spostrzegł ścieżkę ubitą, wiodącą w puszcę po prawym brzegu stawu, poszedł więc nią pomiędzy drzewa.

Idąc dalej tą ścieżką, doszedł niebawem do miejsca, na którym znowu się zbliżył do klasztoru, tylko był przedzielony od niego klinem stawu. Tu stanął, oparł się o drzewo i wśród zapadającej nocy patrzył bezwiednie na klasztor, na ten grób jego wszystkich nadziei.

Patrzył także na kościół, z którego drzwi szeroko otwartych teraz jasne światło uderzało żółtym strumieniem w dziedziniec. Razem ze światłem wypływały z tych drzwi przeciągłe tony organów. Była to wstępna muzyka do nowej pieśni nabożnej. Jakoż niebawem zabrzmiał chór mnichów stentorowymi głosami i dały się słyszeć wyraźnie te słowa:

*Te, lucis ante terminum, rerum Creator ...*¹²⁹

Wilczek słuchał uważnie; tak bowiem zaczynał się hymn, który w owych czasach śpiewano, aby Bóg wiernych ochronił od nocnych duchów i wizyj, hymn wszystkim rycerzom do-brze znany. Po chwili jeszcze daleko głośniejąca dała się słyszeć strofa następna:

*Procul recedant somnia et noctium phantasmata,
Hostemque nostrum comprime, ne pollutantur corpora...*¹³⁰

Ten chór poważny z towarzyszeniem organów, wypływający śród ciemnej nocy z oświeconych drzwi kościoła, jakby z odwiecznej krynicy światła, sprawiał przejmujące wrażenie.

¹²⁹ *Te lucis...* (łac.) – Ciebie, zanim noc nastanie, Stwórco wszechświata [prosimy]

¹³⁰ ¹³¹ *Procul recedant...* (łac.) – Niech odejdą daleko sny i nocne widziadła, || Wroga naszego powstrzymaj, aby nie zostały splamione ciała... (Hymn kościelny, ułożony przez chrześcijańskiego poetę w III wieku; benedyktyni, układając brewiarz w VIII w., włączyli go do komplety wieczornej.)

Pobożni ludzie zasylali tam z szczerą miłości bliźniego hymn serdeczny do Boga, ażeby złe myśli, złe duchy i wszelkie pokusy odegnał od grzesznego człowieka. Zachwiany w wierze mógł się w tej chwili nawrócić. Ale Wilczek przestał już wierzyć. Doświadczywszy takiego strasznego pogromu właśnie od sługi Kościoła, przekonany przy tym najgłębiej, że ten sługa Boży ukuł z sekretu spowiedzi zabójczą broń przeciw niemu, zbuntował się przeciw Kościołowi i zburzył przeciwko samemu Bogu.

Na ten hymn śmiech go porwał, zaczęł zawołał szydlerczo:

– Hostemque nostrum!... Mocniejszy on od was. Gdybym go tylko gdzie znalazł!...

Ledwie wymówił te słowa, kiedy coś zaszeleściło o kilka kroków od niego.

Spojrzał na ścieżkę: Marucha tam stała – i patrzyła jak gdyby zdziwionymi oczyma na niego.

Byłali to istotnie Marucha? czy tylko skutkiem bezwiednego rodzenia się myśli, skutkiem przypomnienia mu Ofki przez Chryzostoma, która zniknęła z Marucha, a teraz go pozbawiała Jagienki, skutkiem nareszcie głęboko rozdrażnionego sumienia, ta czarownica wymalowała się teraz tak żywo w jego pamięci? Sam tego nie wiedział. Bardzo ciemno już było, trzeba było wzrok mocno nateżyć, ażeby przy szarym odbłasku zamarych światel zachodnich przedmioty rozeznąć. Ale jeżeli to była Marucha, to się strasznie zmieniała. Była bowiem prawie w łachmanach, całą twarz miała zmarszczkami pokrytą, jej oczy zielone już tylko jak próchna świeciły, przy tym plecy jej się wydeły, zgarbiła się, jak gdyby jej od kilku miesięcy lat dwadzieścia przybyło. Musiała przez ten czas bardzo wiele wycierpieć.

Wilczek wiedział wprawdzie, że Marucha ma kędyś w tych stronach swój futór, podobno nawet na gruntach klasztornych, ale przecież go jej zjawienie się w tej puszczy śród nocy, niepomału zdziwiło, a zarazem wstrętne dotknęło. Wolałby był jej nie widzieć, więc milczał.

Ale ona nie ustąpiła, a przypatrzwszy mu się raz jeszcze, rzekła do niego:

– Jegomość tutaj? pewnie nocuje w klasztorze.

– W klasztorze – rzekł Wilczek – a ty skąd wracasz tak późno?

– Wracam z Wiszni, gdzie trochę szmatek nakupiła dla dziecka.

Na wspomnienie dziecka Wilczkowi wargi się przekrzywiły, chciał to czym prędzej zagaść i spytał:

– Ale tak idziesz sama po ciemku?

– Nie sama – rzekła Marucha – mam towarzysza, co się czasem w naszej chałupie przytula. A dalej będą mi przyświecać moje światełka...

Tu Wilczek spojrzał koło niej i zdało mu się, że jakiś cień dojrzał. Wyteżał wzrok i spostrzegł człowieka średniego wzrostu w zgrzebnym kubraku i skórzanym hełmiku na głowie, miał twarz bez zarostu, nos spiczasty, oczy rybie i włos ryży, krótko strzyżony przy samej głowie. Ale lepiej dojrzeć go nie mógł, bo kiedy mu się chciał bliżej przypatrzeć, ten cień czy człowiek jakby się rozplynął w ciemnościach. Zaczem powie jej Wilczek:

– Dobrze robisz, że nie sama idziesz tą puszcza. Niesamowito tutaj wygląda, właśnie jak gdyby diabłów siedziba, jeno żem jeszcze z nich żadnego nie spotkał.

– Jest ich tu dosyć – odpowiedziała mu Marucha – czasem tak się tu tłumią, a takie kozły wywracają po ścieżce, że trudno się przez nich przecisnąć.

A na to Wilczek:

– Widziałem złe duchy po zamkach i innych starych murzyskach, nawet i u mnie niektóre mieszkają, ale nie wiem, co by tutaj robiły w takiej odludnej pustyni.

– Jest ich tu dosyć – powtórzyła raz jeszcze Marucha – jak wszędzie koło klasztorów. Wiedz bowiem jegomość o tym, że gdzie ksiądz mieszka, co diabłów wypędza z ciał ludzkich, tam oni się najwięcej gromadzą. Wypędzić go z człowieka, do tego księża moc mają, ale mieszkania mu zabronić nie mogą, choćby nawet u progu samego klasztoru. Tutaj też oni najlepszy targ mają, bo kto na swoje biedę nie znalazł pomocy u księdza, to do nich się udaje

o pomoc. Czasem i sami księża nieszczęsnych do nich odsyłają, odpędzając ich od konfesjonału albo i wyklinając z ambony...

Wilczek ją słuchał z wielkim zajęciem, jej słowa zaczęły rozbudzać jego wyobraźnię, która już nieraz duchy widywała, lecz chcąc się czegoś więcej od niej dowiedzieć, rzekł niby nieufnie:

– Małe to jakieś diabła muszą tędy się chować; on sam, co ma moc człowiekowi statecznie usłużyć, nigdy by w takim dzikim ostępie nie siedział.

A na to Marucha:

– I on tutaj bywa: przecież o. Chryzostom sam nieraz powiada, że go widuje i jest odeń kuszonym. Jenó że niełatwo go poznać, bo coraz to inną postać na siebie przybiera. To dziad, to żołnierz – a czasem i kutę¹³¹ zarzuci na siebie...

– Żołnierz – rzekł Wilczek do siebie i rzucił okiem koło Maruchy, ale nic nie obaczył. Tymczasem Marucha mówiła dalej:

– A jegomość zabawi jakiś czas w tym klasztorze? stąd do nas niedaleko. Za tą puszcza moczary, a za moczarami zaraz nasza chałupa. Ofka już ozdrowiała – a i chłopczysko zdrów, jakby go kto wykuł z żelaza. Widać zaraz dziecko rycerskie. Mógłby też jegomość i do nas zaglądnąć.

Wilczek znowu się skrzywił i spytał prędko:

– Macieź żyć z czego?

– Dopóki mój stary żyje, nie umrzemy z głodu. A potem, to już jak łaska klasztoru. Jenó tak mi się widzi, że ja mego starego pono nie przeżyję – a na Ofkę się tam oglądać nie będą. Jegomość by powinien o tym pamiętać...

Na te słowa Wilczek się trochę zamyślił. Najlepsze miał chęci, Marucha oczywiście ma rację, po jej śmierci mnichy bez wątpienia wyrzucą Ofkę z futuru, on będzie o niej pamiętać. Chciał to starej powiedzieć: ale kiedy spojrział w to miejsce, gdzie stała, już jej tam nie było.

Słuchał potem jeszcze przez chwilę i zdawało mu się, jakoby słyszał dwa głosy rozmawiające ze sobą, zatrzymujące się w miejscu, a potem znowu oddalające się ku moczaram. Raz nawet obily się o jego uszy te słowa: – Starosta, pan z panów, ma na swym zamku załogę... Ale potem znów to przycichło. A po chwili sam już nie wiedział, czy kogo widział, czyli z kim innym, czy z samym sobą rozmawiał. W głowie mu się coraz gorzej paliło, skronie go piekły jak ogniem, nic nie widział przed sobą, cały zamknął się w sobie – a tam rozpacz i niecierpliwość targaly mu wszystkie wnętrzości.

– Gniewoszowa mi wojnę wydała... Gniewoszowi się uśmiechają trzy klucze i koligacja z Kmitami... Kmitowie się przeciw mnie obrócili... Kamieniecki mnie opuścił! Chryzostom mnie zdradził! Tylko Jagienka mi wierna. Jagienka! Jagienka! Życie moje dam za to, abym ją mógł choć raz do piersi przycisnąć – a potem niech się cały świat na mnie zawali! – Ale co począć?

Natenczas już noc zupełna pokryła ziemię czarnym jak węgiel całunem. Nieba wcale widać nie było, albowiem między niebem a ziemią porozkładały się grubymi warstwami gęste mgły kurzu. Przez te mgły tu i owdzie przebijały się gwiazdy, ale tylko jak iskry mlecznego koloru, świadcząc o tym, że są, ale nie posyłając żadnego blasku na ziemię. Na ziemi parno było jak w łaźni. Wysuszone dziennymi upałami powietrze rozdymało płuca, nie orzeźwiająć piersi, a wypędzając krople potu na czoło. Od rozpalonej ziemi biło gorąco, jak gdyby się ogień pod nią paliły. Nad zgniłą powierzchnią wody unosiły się rzadkie szarawe mgły i zdawały się płynąć w dal – a w dali, gdzie staw zlewał się z widnokrzem, od czasu do czasu powietrze się zapalało pożarem i zaraz gasło jak błyskawica, rozszerzając jeszcze czarniejszą noc po całej ziemi. W puszczy olbrzymie drzewa, obrośnięte dzikim chmielem i powojami, stały nieruchomie jak przedstworzone skały opodal od siebie, opierając swoje gałęzie o młodsze drzewiny i tonąc głęboko w nieprzebrodzonych chaszczach leszczyny i głogów. Tu

¹³¹ kuta (niem.) – habit, kaptur mnisi

leży spróchniały tułów jakiegoś wiekowego starca tej puszczy, cały gęstymi mchami zarosły, na próżno czekając pogrzebu; tam świerk wyniosły, przeżywszy półtora wieku, zwałił się z nóg, lecz nie doleciał do ziemi, tylko padł na dąb rozłożysty, a dąb go objął w swoje ramiona i będzie tego trupa w nich trzymać, aż póki sam z nim nie runie. Ucichły śpiewy w kościele, pogasły światła w klasztorze, sen zamknął powieki wszelkiemu stworzeniu, co żywie. Cisza zaległa powietrze i całą puszcę, że ani jeden listek się nie ruszy na drzewie. Cisza w całej naturze; tylko w piersi człowieka wyją nieokiełzane orkany, namiętności i żądze kłębią się z sobą jak rozhukane bałwany na morzu i miotają jego sumieniem jak małym okrętem z potrząskanymi masztami i podartymi żaglami; raz go widać na wierzchu spienionej fali, to znów spada jak strzała w przepaść sycząc; ale czy jest tam jeszcze sternik na jego pokładzie? czy okręt się dobieje do brzegu? czy zginie w bezdennej głębi cyklonów? nikt nie wie. Wilczek stał nieruchomy i chciał myśleć nad sobą. Ale gdzie człowiekiem gwałtowne miotają uczucia, kiedy wściekające się namiętności go porywają ze sobą, tam wszelkie myślenie ustaje. Wilczek nie był sobie przytomnym, tylko żądze się w nim odzywały, unosząc cały jego umysł za sobą. Chwilami tak gwałtowna wstrząsała nim niecierpliwość, że chciałby był skały rozdzierać na dwoje i tłuc je na miazgę. To znów żałował, że nie ma swoich żołnierzy ze sobą: byłby był napadł na klasztor i spalił, a upiekł w jego płomieniach tego mnicha-rycerza, który jak mur niewziętej fortecy zagroził mu drogę do szczęścia. Lecz potem opanowywała go zupełna bezwładność woli i mówił do siebie: Najnędniesze stworzenie na świecie, to człowiek. Stoi na własnych nogach, dopóki może się bronić, ale kiedy go przemoc obali, a nie chce się poddać, jak najsłabsze zwierzątko musi szukać pomocy u obcych. A i tak jeszcze zginie, bo człowiek zwierzątko przytuli do siebie, ale swemu bliźniemu nigdy nie pomoże...

Tak mówiąc, czuł, że jakaś bezwiedna siła go ciągnie w tę stronę, kędy zniknęła Marucha. Miał wstręt od tej baby – a przecież go za nią ciągnęło. Już raz mu pomogła na jego zgubę, niechby go zgubiła na wieki, byle i teraz pomogła. Pochany tą żądzą, szedł dalej za ścieżką – i uszedł z jakie pięćdziesiąt kroków. Tam puszcza już się zaczęła przeredzać, stare drzewa już stały z dala od siebie, krzaczyska jeszcze się leżyły gęstwiną, lecz przez nie już było widać szarzące moczary.

Tu Wilczek stanął nagle niezmiernie zdziwiony, bo całe niespodziewany widok się przed nim otworzył. Za puszcza, po całym moczarze biegały jasne płomyki, jedne nisko nad ziemią, drugie w miarę wysokości człowieka, niektóre goniły za sobą i ulatywały w powietrze, inne uderzały o puszcę i gasły. Wilczek, zrodzony w górach, nigdy takiego widowiska nie widział. Oczy mu się otworzyły szeroko, patrzył ciekawie i widział, że to są duchy z płomieniami twarzami, igrające ze sobą po powierzchni moczaru. Widział jak najwyraźniej ich szaty szarawe, ich ręce, ich nogi, ich twarze, czasem dziecięce, a czasem szkaradne jak maskary. Nareszcie jeden większy płomyk rozpedził się prosto ku niemu, uderzył o kierz i zgasł, zostawiwszy czarną ciemnicę po sobie. Wilczek wpatrzył się w ten kierz – i ujrzał między liśćmi twarz ludzką, tę samą twarz z rybimi oczyma, którą dopiero co widział obok Maruchy. Tylko teraz hełmu nad nią nie było, a na jego miejscu jeżyła się ryza czupryna. Była to twarz przejmująca brzydota, ale teraz uśmiechała się ku niemu wyszczerzonymi zębami, kłaniając mu uniżenie.

Wilczek tak był chciwy znalezienia jakiejś nadludzkiej pomocy, że się wcale nie przestraszył, tylko przeciwnie, rad, że mu się zjawia, rzekł do siebie: To on! Zaczem zapytał z niecierpliwością:

– Kto tu jest?

– Biedny diabeł – odpowiedziała mu ta twarz z niemiecka – Marucha przysłała mnie do jęgości...

Wilczek pomyślał w duchu: Mówi po niemiecku, to on. Wszystkie diabły przychodzą z Niemiec do Polski. To on. – Zaczem wpatrzył się w niego i widział wyraźnie, jako mu się uszy przedłużyły powyżej głowy, rogi się pokazały na głowie, a oczy wielkie jak dwa talary

kręciły się między powiekami jak koła we młynie. Widok ten zaparł mu oddech w piersi na chwilę, ale zebrał w ten moment wszystkie swe siły, ochłódł zupełnie i rzekł:

– Któż jesteś? jak się nazywasz?

– Ludzie mnie wołają Kostruban.

– Kostruban! – zawołał Wilczek, rozśmiawszy się zimno – gdziez twoje kumpany?

– Nie ma wojny, moje kumpany się także rozeszli po świecie.

– Ale Węglík i Smółka? co zawsze się kupy trzymacie.

– Ja sam umieram z głodu, głupi bym był, gdybym jeszcze drugich wodził ze sobą.

– Ciężkie czasy i na was przyszły, jak widzę! – zawołał Wilczek – Księża wam chleb odebrali, a jeszcze i święconą wodą was kropią i napędzają w lasy i puszcze. Czegóż ty chcesz ode mnie?

– Szukam służby. Jestem żołnierzem z regimentów niemieckich, co je porozpuszczano. Umiem dobrze narabiać wszelaką broń, czy człowieka, czy konia, czy wóz z wołkami, obsłużę jak trzeba, a w bitwie mało kto mi wyrówna, bom też już dosyć się nawojowałem, a jeszcze nigdy nie byłem raniiony...

Na to Wilczek w głos się roześmiał, mówiąc:

– Już by też chyba świat się przewrócił do góry nogami, gdyby diabła kto ranił. Bywają charakternicy, co nie są diabłami, a przecież ich żadną bronią zmacać nie można. Więc szukasz służby?

– Marucha mnie powiedziała, że jegomość mnie przyjmie. Ja jegomości do wszystkiego się nadam, a służę wiernie...

– Ba! – rzecze Wilczek – ale u mnie będzie służba ciężka dla ciebie, bo wszystkie ziemskie potęgi się na mnie przysięgły. Kiedyś tu przyszedł, to wiesz, czego mnie trzeba. Namyślże się więc dobrze, a powiedz prawdę: dostaniesz ją dla mnie czy nie? Mów prędko, dostaniesz?

Tu diabeł jakoś się skręcił i myślał przez oka mgnienie, lecz odpowiedział przytomnie:

– Ja dla jegomości wszystkiego dostanę. Ja wszystkim moim panom zawsze przynosiłem szczęście, wszystkim się przy mnie zawsze wiodło po myśli...

Na te słowa Wilczkowi się serce podniosło; więc rzekł radośnie:

– Dostaniesz? Jak zechcesz, to pewnie dostaniesz. Więc cóż chcesz za to?

To zapytanie jakoś diabła skonfundowało, skręcił się znowu i odpowiedział:

– Co łaska. Ja się z moimi panami nigdy nie targowałem, a zawsze mnie nagrodzili przy stojnie.

– Co łaska! – zawołał Wilczek – toś głupio powiedział. A nie myśl, abyś mnie złapał na głupstwo. Ty za nią chcesz wziąć duszę moją. A najlepiej byś ją wziął, choćby i zaraz, a nie dał Jagienki. Ale ze mną w to nie potrafisz. Duszę weźmiesz, ale musimy pakt zawrzeć, o to, kiedy ją weźmiesz?

Diabeł milczał.

Wilczkowi milczenie to było wcale na rękę, bo sam chciał się nad tym namyśleć. A myśląc, przypomniał sobie owe starożytne powieści, które o dawnych panach tustańskiego zamku krążyły pomiędzy okolicznym ludem, a według których we wszystkich ważnych wypadkach tamtejszych główną rolę odgrywała muzyka. Wspomnienie to podsunęło mu myśl, której szukał w swej głowie, zerwał się więc i rzekł raźnie:

– Wiesz co, niechaj tak będzie, jak za moich poprzedników bywało. Jak muzyka zagra na moim zamku, to wtedy wolno ci jest wziąć duszę moją. Rozumiesz? Ale słuchaj mnie dobrze, abyś nie zapomniał: Jeżeli nie dostanę Jagienki, to duszy mojej nigdy nie weźmiesz. A jeżeli muzyka nie zagra do mojej śmierci, to jej także nie weźmiesz. Taki mój pakt. Czy zgoda?

A diabeł na to:

– Ja z jegomością na wszystko się zgadzam.

– Więc zgoda – zawołał Wilczek – więc odtąd jesteś u mnie na służbie i możesz się wziąć choćby dzisiaj do roboty.

Diabeł wyszczerzył zęby ku niemu, pokłonił mu się i zniknął.

W tej chwili jakiś łopot rozgłośny dał się słyszeć na wierzchołku drzewa, pod którym stał Wilczek, zdało się, jak gdyby tam puchacz uderzył skrzydłami i zleciał na niższe gałęzie: ale Wilczek widział własnymi oczyma, że to diabeł się w puchacza zamienił i ponad staw poleciał w tę stronę, gdzie leżał zamek sobieński. Zaczem rozśmiał się śmiechem serdecznym i zawołał:

– Las nie las, wieś nie wieś! Biesie nieś, a bywaj w czas!

Po tym pakcie zawartym Wilczkowi daleko lżej się zrobiło na sercu. Uśmiechnął się sam do siebie i myślał głośno. Teraz już pewnie Jagienkę dostanie: przecież diabeł mocniejszy niżeli cały ród Gniewoszków razem ze wszystkimi Kmitami. A oprócz tego i z diabłem zawarł pakt taki, że choćby całe piekło stanęło po jego stronie, to duszy jego nie dostanie. Bo już ciż to w jego własnej jest mocy: na jego zamku muzyka nigdy nie zagra.

Tak myśląc, wrócił powolnym krokiem w to miejsce, gdzie z początkiem nocy dostrzegł był Maruchę. Tam stanął i myślał dalej. Myślał o Jagience. Chociaż cieleśnie był bardzo zmęczony, usta miał spieczone gorączką, a oczy mu się pomimo woli co chwila do snu sklecały, był rzeźwy na duchu i teraz jakieś więcej ludzkie się w nim odzywały uczucia. Nad nimi wszystkimi wszakże górowała tęsknota za Jagienką. Dlaczegoż tak chciało nieszczęście, że z Sobnia wyjechał właśnie w tej chwili, kiedy matka Gniewosza miała tam przyjechać? Dlaczego mu przyszła myśl nieszczęśliwa gonić za Kamienieckim do Krakowa? Dlaczego jest w służbie królewskiej i nie mógł się od tej służby oderwać? Biedna, nieszczęśliwa Jagienką, przez jakie ona tam teraz musi przechodzić serca i duszy męczarnie? Kto wie, jak się to skończy. Ale niechaj się dzieje, co chce, gdyby ją przynajmniej mógł widzieć! Gdyby ją mógł ujrzeć choćby tylko na chwilę, choćby tylko jej obraz, chociażby tylko jak senne widzenie... On chce ją widzieć koniecznie – i musi ją widzieć, choćby miał zaraz pojechać na Sobień.

Tak wysilając gorączkowymi myślami swą wolę, patrzył bezwiednymi oczyma na klasztor przez staw, ale nic przed sobą nie widział. Jeszcze noc czarna okrywała ziemię: jednak od wschodu niebo już szarzeć zaczęło. Tam gdzieś daleko za wschodem słońce toczyło się z grzmiotem po niebieskim sklepieniu i jeszcze daleką drogę miało przed sobą do ziemi, ale parte naprzód jego rydwanem zimne pokłady powietrza już dolatywały ku ziemskim przestrzeniom. Od wschodu chłód zaczął zawiewać. Nad stawem zaczęły się kurzyć białawe mgły, które najprzód się rozlegały nad wodą, a potem w wielkich okrągłych kłębach unosiły się w górę i odpływały ku szerszym przestrzeniom stawu.

Te mgły, przybierające w ciągłym ruchu rozmaite postacie, uwięziły całą uwagę Wilczka przy sobie: wpatrzył się w nie i zdawało mu się, że ludzkie twarze się na nich rysują i kłębi się w nich tłum ludzi. Wyteżył wzrok tak silnie, że wszystkie władze jego zbolącej duszy się w nim skupiły – a wtedy ujrzał wyraźnie Jagienkę, jako z tych mgieł wypływała ku niemu...

Miała długą białą suknię na sobie, białe kwiatki we włosach, za jej plecyma powiewały długie warkocze, anielski wyraz na twarzy, promiennymi oczyma patrzyła na niego i ręce wyciągała ku niemu, jak gdyby chciała ten brzeg stawu przepłynąć i rzucić się mu w ramiona. Za nią o kilka kroków stał Gniewosz, cały w szarą żelazną zbroję zakuty, w hełmie z długim końskim ogonem i z piórami na głowie, z podniesioną przyłbicą, twarz miał spokojną i uśmiechnioną jak zwykle, stał nieruchomy na mgłach, ale prawą rękę podniósł ku Jagience, jak gdyby ją żegnał i rad był, że od niego odpływa. Za nimi w głębi rysowały się jeszcze jakieś twarze, jakoby Kmita śmiejącego się tryumfalnie, Gniewoszowej i kasztelanowej załamujących ręce, ale ich postacie rozpląwały się w mgłach. Z głębi tych mgieł odzywały się tony cichej muzyki, które porywały za serce, właśnie jak gdyby Pretficz tam grał na lutni swoje pieśni anielskie...

Wilczek się wpatrzył w ten obraz zachwyconymi oczyma, usta na wpół otworzył i stał tak nieruchomy przez oka mgnienie, jak gdyby własnym oczom nie wierzył. A przecie widział – i

widział istotnie, bo nie tylko na ziemskim świecie, ale i w świecie ducha pokazują się fata morgana.

Objąwszy wreszcie całą postać Jagienki szeroko rozwartymi oczyma, wyciągnął ku niej ramiona, chcąc ją pochwycić w swoje objęcia – a wtedy muzyka odezwała się głośniejsz, promień jasnego światła się przebił przez mgły – i obraz mu zniknął sprzed oczu.

Wilczek spojrział przed siebie i ujrzał to samo światło, wypływające szerokim strumieniem z otwartych drzwi kościoła w dziedziniec, które widział wieczorem. Zarazem usłyszał poważne tony organów i stentorowy chór mnichów, śpiewający pieśń:

*Stabat Mater dolorosa
Juxta crucem lacrimosa,
Dum pendebat Filius...*¹³²

O. Chryzostom, mający szczególniejsze nabożeństwo do Matki Najświętszej, zawsze tą pieśnią swoje poranne modły zaczynał.

Chłód ranny coraz mocniej zawiąwał od wschodu. Wilczek zaczął się cokolwiek otrzeźwiać i myśleć nad tym, co czuł i widział tej nocy, ale jego umysł wzburzony przynosił mu tylko bałamutne wspomnienia. Był w tej chwili, jak człowiek, który się upił do bezprzytomności, a wytrzeźwiwszy się, niektóre rzeczy sobie przypomina, a innych wcale sobie przypomnieć nie może.

Tymczasem w kościele ciągle śpiewano, przeplatając strofy chóralne akordami organów. Zaczem patrząc na kościół, przypomniał sobie, że jest w gościnie u tego nielitościwego mnicha, który świadomie i własnowolnie zniszczył szczęście jego całego życia na zawsze. Przecież u niego nie może zostać w gościnie. Powinien nawet wyjechać jak najprędzej, bo czuje to, że gdyby go spotkał, to mógłby go zabić jak każdego innego człowieka – a takiego zabójstwa nie dopuszczało jego uczucie poszanowania dla Kościoła, które mu od dziecka wpojono. Zabójca św. Stanisława, chociaż królewską odziany purpurą, miał tak jednogłośnie przekłętą sławę w narodzie, że nikt jej nie mógł zaprzagnąć. Rzucił więc jeszcze raz okiem wzdłuż wody, azali Jagienka znów mu się nie pokaże, a nie mogąc nic dojrzeć, obszedł szybkim krokiem klin stawu i szedł do pasieki, gdzie jego żołnierz z końmi nocował. Przechodząc obok kościoła, usłyszał ostatnią zwrotkę powyższej pieśni, którą właśnie śpiewano:

*Quando corpus morietur,
Fac, ut animae donetur
Paradisi gloria...*¹³³

Pierwsza msza dopiero się miała zaczynać, zaczem miał jeszcze czas wyjechać tak, aby go nikt nie zatrzymał.

Stanąwszy u wrót pasieki, spostrzegł, że jego konie właśnie pojono u studni, a jego żołnierz, jakieś pocziwe chłopczyśko, podbiegł ku niemu i powitał go bardzo radośnie.

– Chwałaż Bogu, że jegomość przecie przychodzi! Ja przez całą noc ażem dygotał od strachu za jegomością, bo mi powiedzieli w kuchni, że jegomość poszedł w puszcę... a tu niesamowicie koło tego klasztoru, tutaj więcej złych duchów niżeli ludzi, a niektórego z nich nawet i od człowieka rozpoznać nie można. Przecież że się jegomości nic złego nie stało.

– Co by mi się tam stało! – rzekł Wilczek – kułbacz w lot konie, bo zaraz jedziemy.

¹³² *Stabat Mater...* (łac.) – Bolejąca Matka stała || Obok krzyża we łzach cała, || Gdy na krzyżu wisiał Syn...

¹³³ *Quando corpus...* (łac.) – Kiedy ciało śmierć pokruszy, || Spraw, by w niebie mojej duszy || Triumf był Twej chwały dan... (Hymn kościelny ułożony prawdopodobnie przez franciszkanina Jacopone da Todi, ur. ok. 1230–1306)

– Konie już nakarmione i pokuśbaczone – odpowie chłopak – jeno popręgi przeciągnąć a pokiełznać. Właśnie je poją.

– Przecież zwinąłeś się dziś prędzej niż zwykle.

– Bo proszę jegomości, jakiś żołnierz się do nas przyplątał. Przyszedł jeszcze na czas przed świtem i powiedział mi, że jegomość go przyjął na służbę, i zaraz się wziął do roboty. Wszystkie trzy konie sam w lot obrobił, a zgrzebło i szczotka tak mu w rękach latały, jak gdyby się pod nim paliło, zaraz też konie nakarmił, a teraz je poi. Trudno się z nim zrozumieć, bo mówi z niemiecka, ale że zna służbę stajenną, to i nie ma co gadać.

– Gdzież jest ten żołnierz?

– Owo wraca z końmi od studni.

Na to Wilczek postąpił o kilkanaście kroków ku wrotom stajennym i stanął jak wryty. Albowiem właśnie wchodził w te wrota wraz z końmi ten sam niby to żołnierz, którego tej nocy widział w puszczy i z którym miał długą rozmowę. Ten sam nos spiczasty, te same rybie oczy, ta sama ryża czupryna. Tak samo nawet zęby wyszczerzył ku niemu, kłaniając mu się do ziemi. Wilczkowi się jakoś dziwnie zrobiło, prawie tak samo, jak gdyby miał sen jakiś w nocy, a teraz ten sen mu się sprawdził na jawie.

– To ja, proszę jegomości – rzecze mu żołnierz – Kostruban, co mnie Marucha przysłała.

Wilczek patrzył jeszcze na niego przez oka mgnienie, sam nie wiedząc, co myśleć, ale nie chcąc dać tego poznać po sobie, rzekł prędko:

– Wiem. Siadaj na podwodnego konia i jedź ze mną.

Zaraz więc wszyscy trzej wsiedli na konie i wyjechali milczkiem z klasztoru. Przez puszcę puścili konie kłusem i niebawem stanęli na gościńcu, prawie w tym samym miejscu, gdzie o wiosnie Wilczek spotkał się z Kergolajem. Tu Wilczek się zatrzymał, namyślając się nad tym, dokąd ma jechać. Do Krakowa jeszcze mu niepilno, król mu dał pozwolenie na parę tygodni; dobrze by spocząć trochę we Lwowie, może by nieźle z mądrym Kijasem o swoich zgryzotach pogadać: zwrócił więc w lewo i pojechał do Lwowa.

Niedaleka to droga: ale Wilczek, zmęczony fizycznie do tego stopnia, że nie czuł swych kości, stargany na duszy boleścią, a prawie całkiem rozbity rozpaczą, dwa razy w tej drodze popasał, Kostruban na każdym popasie okazał się niezmiernie usłużnym i zapobiegliwym: wszędzie rum robił dla swego statku, powyrzucał chłopskie konie ze stajni, a swoje jak najlepiej umieścił, wszędzie osobną izbę znalazł dla swego pana, naznosił mu poduszek i betów, aby mógł przysnąć cokolwiek, postarał się o jedzenie i napój, pilnował, aby nikt go nie budził, zgoła jak gdyby myśli jego zgadywał, a pielęgnował go jak matka swoje najukochańsze niemowlę. Widząc to Wilczek, powiedział sobie; Diabeł nie diabeł, ale człowiek usłużny i sprytny, widać, że u wielkich panów służywał. – I był rad z tego nabytku – i tak nad wieczorem zajechał przed kamienicę Kijasa.

U Kijasa płynęło codzienne życie spokojnie i tym samym trybem, jak zawsze. Toż i teraz siedział on w pierwszej komnacie za stołem i na zakończenie dnia przed samym wieczorem słuchał raportów Kundrata o towarach wyprawionych i sprzedanych, o zakupionych i sprowadzonych i o wpływach pieniędzy do kasy. Formoza siedziała opodal od niego i przysłuchiwała się pilnie rozmowie w tej myśli rozumnej i zacnej, ażeby kiedyś, po najdłuższym życiu teścia, mogła zastąpić swojego męża, który nie cierpiał kupiectwa. Kto by się jej pilnie przypatrzył, byłby dostrzegł, że twarz jej cokolwiek przybladła i jakaś chmurka osiadła na jej czole, ale nie było tego widać w jej rozmowie, bo głos jej był dźwięczny i jasny, a właściwy jej spokój nie opuszczał jej ani na chwilę. Tigranes całe dni na wsi przepędzał, zajęty sztyftowaniem swojej chorągwi.

– Więc tak – rzecze Kijasa, oddając Kundratowi książkę wąską a długą z notatkami bieżących rachunków – dobrze to wasze prowadzisz, jak zawsze. Gdyby cię czasem bzik nie napał, to mógłbyś sam taki handel prowadzić. Ale te bziki mieszania się w nieswoje rzeczy

osłabiają moje zaufanie w rozum waszeci. Gdzie kto nahajkę podniesie, to ty musisz mu zaraz swoich pleców nadstawić. Kergolaj sprawił ci kąpiel, że ci aż bańki trzeba było przystawiać, ażeby cię z niej wylizać. Teraz znów cała beczułka oliwy wyszła, aby cię wysmarować z batów Olizarowych. A to i boli, i nie przysparza respektu, zwłaszcza dla notariusza Ionherii. A grosza nie dałbym za to, że mimo to wszystko jeszcze skóra cię swędzi.

– Skóra mnie wcale nie swędzi – odpowiedział mu Kundrat – a nawet prawdę mówiąc, to się na Olizara nie gniewam i jużem się z nim przeprosił. To swój, dzisiaj on mnie da po łbie, jutro ja jemu.

– Tylko że to jutro jakoś nigdy nie przychodzi – przerwał mu Kijas – bo co chwila się dowiaduję, że ci ktoś skórę wyłoił, ale jeszcze nigdy nie słyszał, żebyś ty kogo wyczubił.

– Przyjdzie to, przyjdzie – powie mu Kundrat – a pierwszy, co weźmie ode mnie trzepanie, to będzie ten Francuz przeklęty, co tutaj wszędzie tyle narobił zgorszenia. Człowiek to jak kot, co zawsze pada na nogi, alem ja sobie go nakarbował jak trzeba i pewnie go złapię, a wtedy dam mu za swoje...

– Goń wiatra w polu! – zawołał Kijas – gdzie ty go złapiesz? A jeszcze tak mi się zdaje, że jak go złapiesz, to dopiero wtedy przed nim uciekniesz. Nie nam to mieszczanom próbować się z rycerzami na miecze, a choćby też na batogi, mocniejsi oni są od nas w tym rzemiośle. Jeśli ich kiedy pobić możemy, to chyba rozumem a sztuką. Zresztą nietrudno mi się domyśleć, za coś się tak zagniewał na niego, zaczem mogę ci dać dobrą radę. Dlaczegoż się już nie deklarujesz? Kobieta majątna i piękna, cokolwiek lekka, ale dobre ma serce, dostawszy rozumnego męża, może dobrą być żoną...

Na to Kundratowi zaświeciły się oczy i zarumieniły policzki, liznął się językiem po swoich ustach wiśniowych i rzekł:

– Doskonale to piwko, ale jeszcze nie wyszumiało. Jak z czasem wyszumi...

Ale Kijas mu przerwał, mówiąc:

– Jak jeszcze jaki czas tak poszumi, to ledwie drożdże dla ciebie zostaną. Ty głupi. Raczej ci się dziś deklarować niżeli jutro.

Więc Kundrat westchnął i rzekł:

– Jeszcze tam trochę pstro w głowie, jeszcze by mnie nie przyjęła. Trzeba z tym mieć cierpliwość. Kto najcierpliwszy, ten ją dostanie. A potem, nie mieszczkańska to rzecz, jak się obaczy kobietę zaraz się żenić, ot, właśnie jak pan Gniewosz teraz zrobił na Sobniu. Jeno rycerze tak hazardownie grają o los całego życia, prawie tak samo, jak na wojnie. Co to tam może być z takiego małżeństwa!

Na te słowa Formoza się zarumieniła i oczy spuściła ku ziemi, a Kijas powiedział:

– Trudno to wiedzieć w małżeństwie, kto lepiej robi, czy ten, co się śpieszy, czy ten, co się namyśla. Zawsze to gra w ciuciubabkę. Wilczek się namyślał, a tymczasem Gniewosz zdmuchnął mu pannę – a który z nich lepiej na tym wyjdzie, to dopiero przyszłość pokaże.

– Tymczasem obydwaj źle na tym wyszli — rzekła na to Formoza; zaczem zaczęto rozmawiać o kabałach, jakie się miały odegrać na zamku sobieńskim, a o których już cokolwiek wiedziano na Niskim Zamku we Lwowie.

Wśród tej rozmowy wszedł Wilczek.

Formoza pierwsza się zerwała ku niemu – i kiedy Kijas witał go spokojnymi słowy jak zwykle, ona mu rękę ścisnęła, mówiąc żywo:

– Cieszymy się bardzo, żeś waszmość do nas przyjechał. Smuciliśmy się jeszcze jego zmartwieniem. Chcieliśmy pisać, aleśmy nie wiedzieli, dokąd listy posyłać.

Wilczkowi się bardzo błogo zrobiło na sercu, że ma jeszcze na tym świecie przyjaciół, ale zarazem go to zdziwiło, że już tutaj o nim coś wiedzą, jakoż uśmiechnąwszy się spytał:

– Moim zmartwieniem? cóż wy o tym wiedzieć możecie?

– Jużci wiemy wszystko, bo tu był pokojowiec pana Gniewosza na Niskim Zamku, był też i u nas i opowiedział nam bardzo dokładnie o tym weselu.

– O jakim weselu? – zawołał Wilczek niecierpliwie, a strach niewymowny wymalował się na jego twarzy i usta drżeć mu zaczęły.

– O weselu Gniewosza z Jagienką – rzekł Kijas – podobno nie bardzo się tam weselono...

– Gniewosza z Jagienką! – zawołał Wilczek głosem mocno zmienionym, chociaż widocznie usiłował się opanować – Gniewosz już się ożenił? Któż to wam taką bajkę powiedział?

– Jak to? – rzekł Kijas – to waszmość jeszcze nic o tym nie wiesz? to nie jest bajka. Powiadam przecież waszmości, że nam jego własny pokojowiec, który tam był, a którego on tu przysłał z Czorsztyna, wszystkie szczegóły opowiedział, jakoż wiedzą już o tym wszyscy na Niskim Zamku. Już temu dwa tygodnie albo i więcej, jak Gniewosz wziął ślub z Jagienką na Sobniu, o Chryzostom sam mu go dawał, po czym państwo młodzi wyjechali natychmiast na zamek czorsztyński, gdzie też dotychczas się bawią.

Na te słowa Wilczek skostniał cały jak posąg drewniany, piekielna boleść mu całą twarz straszliwie wykrzywiła, oczy się w ślup obróciły, a z ust ścierpniętych wyrwały mu się tylko te słowa:

– Sam Chryzostom ślub jemu dawał...

Kiedy w klasztorze dowiedział się tylko o tym, że mu Chryzostom Jagienki dać nie chce, co jeszcze mogło się zmienić, to boleść targała duszę jego na wszystkie strony, a umysł wzburzony przeciwnościami szukał ratunku choćby w siłach nadprzyrodzonych; teraz kiedy weń cios stanowczy uderzył, ciało jego całkiem zakrzepło, wszystkie władze umysłu stanęły i umilkł.

Miał tylko tyle instynktownej przytomności, że odszedł machinalnie od stołu, ażeby ci ludzie nie patrzali na niego, chwiejącym się krokiem poszedł w przeciwną stronę tej wielkiej komnaty i tam stanął przy oknie, oparłszy czoło o szyby.

Formoza z głębokim wzruszeniem patrzyła na niego, bo sercem swoim wszystko odgadła. Jakoż zaraz poszła za nim, stanęła obok niego, wzięła go za rękę i rzekła do niego półgłosem:

– Uspokój się waszmość. Powróć do siebie. Na nic się nie zdało tracić przytomność w zmartwieniu. Inni ludzie mają także zmartwienia, a przecie nie poddają się rozpacz.

Wilczek patrzył na nią przez chwilę oczyma bez blasku, jak gdyby jej zrazu nie poznał, a potem rzekł na pozór spokojnie:

– To nie jest zmartwienie, to śmierć, na którą nie masz ratunku.

W tej chwili przyszli mieszczanie do Kijasa w gościnę, a zarazem dano znać do wieczerzy. Formoza rzekła do Wilczka:

– Jak długo człowiek żyje, nie powinien mówić o śmierci. Wielkie to dla waszmości nieszczęście, ale nie masz takiego nieszczęścia, którego by Bóg nie odwrócił, jak zechce...

– Ale kiedy się już stało – rzekł sucho Wilczek.

– Coś się stało, a coś się nie stało – odpowiedziała mu Formoza – chodź waszmość do wieczerzy. Zachowaj się tak, ażebyś nie dał poznać po sobie, co cierpisz. Nie wszyscy ludzie godni są wiedzieć, co się dzieje w skrytościach naszego serca. A po wieczerzy może ci co powiem, co cię pocieszy...

Przy wieczerzy Wilczek siadł obok Formozy i usiłował panować nad sobą. Udawał, że je i pije, i rozmawiał z nią o Krakowie i królu. Kijas z pomocą Kundrata układał jakieś sprawy handlowe z mieszczanami, a tak nikt na niego nie zwracał uwagi. Po wieczerzy zaś, kiedy Kijas dopiero naprawdę zajął się mieszczanami, Formoza zaciągnęła Wilczka do tej samej odległej komnaty, gdzie kilka tygodni temu odebrała ślub od Gniewosza, posadziła go w wygodnym krześle koło siebie i rzekła:

– Wielka to ulga naszemu sercu, jeżeli z naszych frasunków możemy się wypowiedzieć komuś takiemu, co nas przyjaźnie wysłucha i naszym smutkiem miłośnie się z nami podzieli. Waszmość nie masz żywej istoty na całej ziemi, która by ci lepiej życzyła ode mnie. Powiedz mi, jak to tam było na Sobniu i jak się to stało, żeś właśnie wtedy wyjechał, kiedy postanowiono Gniewosza gwałtem ożenić z Jagienką?

– Gwałtem! – zawołał Wilczek – jużci Jagienkę zgwałcono, tak się przynajmniej spodziewam, bo jej nie mogę posądzić o zdradę, a zresztą przysłała mi karteczkę przed ślubem; ale któż mógł zgwałcić Gniewosza?

– Może go przecie zgwałcono – odrzekła Formoza – mam i ja także o tym karteczkę. Powiedź mi waszmość najpierwej, jak Jagienką wygląda, bo podczas twojej ostatniej bytności we Lwowie tak byleś zamknięty przede mną, że nawet i tegoś mi nie powiedział.

To pytanie rozwiązało usta Wilczkowi, jakoż zaczął jej najprzód opisywać Jagienkę, a zabrawszy raz głos i rozegrzawszy się swoją własną wymową, opowiedział jej wszystkie wypadki ze szczegółami, aż do swego przybycia do eremu Chryzostoma i otrzymanej od niego rekuzy, Wśród tego opowiadania Wilczek się niejednokrotnie unosił, to zapalem, to gniewem, to znowu żalem i oburzeniem, a jego głos obejmował kolejno bardzo szerokie oktawy, czasem szepcząc żal cichy i kwiląc przez łyzy, to znowu się wznosząc jak organ kościelny i grząc potężnie jak tarcza miedziana, uderzana mieczem rycerskim.

Formoza słuchała go z pochłaniającą każde jego słowo uwagą, kilkakrotnie łyzy jej się puściły strumieniem po wzruszonych policzkach, aż wreszcie się w głos rozplakała, przyciskając chustkę do oczu i szlochając jak dziecko.

Wilczek tak samo był przywiązany do Formozy, jak ona do niego: znali się przecież od lat dziecięcych ze sobą, wyrosli oboje w bardzo bliskich stosunkach rodzinnych, ich myśli opierały się na tych samych zasadach, ich uczucia najczęściej do tego samego nastrajały się tonu, z biegiem lat i wypadków niejednokrotnie już sobie robili zwierzenia, nawet mówili sobie ty, kiedy nikt obcy nie słuchał ich rozmowy. Te łyzy zatem Wilczka wzruszyły, ale zarazem niepomąłu zdziwiły, więc wziął ją za rękę i rzekł z uczuciem wdzięczności:

– Dlaczegoż ty płaczesz nade mną? twoje łyzy tobie sprawiają ból, a mnie nic nie pomogą.

A wtedy Formoza nie mogła się już opanować i rzekła z pełnego serca:

– Ja płaczę nad sobą.

Po czym otarła łyzy, chustkę odjęła od twarzy i dodała spokojnie:

– Płaczę nad sobą, chociaż wiem dobrze, że i mnie łyzy nie pomogą.

Wilczek patrzył na nią przez chwilę i myślał, jak gdyby sobie przypomniał jakieś ubiegłe wypadki, a zarazem chciał ich potwierdzenie wyczytać z jej twarzy, a potem tak mówił:

– Kiedym tu był z królem we Lwowie, zdawało mi się po kilka razy, że ci się Gniewosz podobał. Podobno nawet i Kamieniecki raz mi coś o tym nadmienił. Ale byłem wtedy tak roztargniony, a samym sobą zajęty, że na to wcale nie zwracał uwagi. Nie wiedziałem zresztą, a nawet byłbym na sam domysł w to nie uwierzył, że ci tak bardzo przypadł do serca. Nad to zaś wszystko, masz męża... a tak mi się te rzeczy przedstawiały całkiem inaczej.

– Przecież nie z uszczerbkiem mojego honoru? – zawołała Formoza, prostując się w krzesło.

– To pewnie nie – rzekł Wilczek z uspokajającym uśmiechem – przecież cię znam i wiem, jak mężnie stoisz na straży swej godności. Dlatego też właśnie miałem to twoje upodobanie za niewinną i przelotną rozrywkę, bo jeśliby to miała być miłość, to nie byłbym zrozumiał i dziś nie rozumiem, jakie by mogła mieć widoki na przyszłość.

Uwaga ta zakłopotwała cokolwiek Formozę, jednak po chwili odpowiedziała mu głosem przytomnym:

– Bywają położenia w tym życiu, które wobec rozumu zdają się niedorzeczne, a przecie się rozwiązują po myśli, jeżeli je wiara prowadzi, bo wiara jest mocniejszą od wszystkich rozumów i stwarza takie środki działania, jakich żaden rozum nie znajdzie. Ja wierzę – a jeśli mnie moja wiara nie zbawi, to zginę za nią, ale jej nie porzucę. Gniewosz mi przysiągł wierność do grobu. Nie zaniedba pewnie niczego, co by mu mogło dopomóc do spełnienia przysięgi: resztę trzeba zostawić Bogu...

Stanowczość, z jaką Formoza powiedziała te słowa, wpoły w Wilczka taką cześć dla niej, że przez chwilę się nie śmiał odezwać, dopiero po jakimś namyśle rzekł z oględnością:

– Niechaj cię to nie boli, co powiem, ale przecież muszę powiedzieć, że Gniewosz ci przysiągł, ale już w kilka dni potem ślub wziął z Jagienką. Powiadasz, że go zgwałcono, zapewne tak było, ale ja niewielki mam respekt przed taką wiernością, co tak łatwo zgwałcić się dała.

– Ależ wierność się zgwałcić nie dała! – zawołała z żywością Formoza – tylko go do ślubu zgwałcono. Mam list od niego, list obejmujący kilka arkuszy, tam wszystko jest opisane ze szczegółami. Matka go zgwałciła w kaplicy – a właśnie ta przysięga, którą tutaj wykonał, a do której nierozważnie się przyznał, dostarczyła jej najsilniejszej broni, którą mu wreszcie cios stanowczy zadała. Stało się. Byłabym pewnie wołała, gdyby się był oparł na razie, sprawę odroczył, a potem do króla się udał o pomoc; ale rozważywszy dobrze, jak się to stało, nie mogę go o to obwiniać, że się matce nie oparł, która by go pewnie była zaraz przeklęła.

Wilczek zamyślił się nad tym, układając sobie zapewne wszystkie szczegóły w głowie, lecz nagle otwartą dłonią uderzył się w czoło i zawołał:

– To prawda. Król wie o tym. Teraz sobie dopiero przypominam, jako powiedział w mojej obecności do Kamienieckiego, że Gniewosz tobie wykonał przysięgę. Król więc wie o tym...

– Wie, bo mu to Gniewosz zaraz nazajutrz powiedział, i król mu obiecał, że mu dla mnie rozwód wyrobi.

To słowo: rozwód – otworzyło Wilczkowi cały horyzont widoków, którego dotąd nie mógł nawet przeczuwać. Myślał więc nad tym mozolnie, kręcąc się niespokojnie na krześle i spoglądając od czasu do czasu na Formozę. Ale po chwili zapadł na powrót w ciężką zadumę i rzekł:

– Ślubował ci wierność i czystość, to prawda, ale niełatwo to uwierzyć, że tego ślubu dotrzyma. Jagienką taka piękna, że takiej drugiej nie masz na całym świecie. Zamieszkał z nią pod jednym dachem, ma prawo, ma krew gorącą jak drugi...

– Nie tylko ślubował, lecz przysiągł na rany Chrystusa Pana – przerwała mu głosem stanowczym Formoza – a kiedy przysiągł, to dotrzyma. Wątpić się o tym nie godzi.

To rzekłszy, wstała i zrobiła kilka kroków ku ścianie komnaty, jakoby jej duszno było od słów Wilczka, który nie wierzył. Jakoż i teraz rzekł jeszcze:

– Być to może, ale ja w to nie wierzę...

Na te słowa Formoza porwała ze szafy ten sam krucyfiks w rękę, na który Gniewosz jej niegdyś przysięgał, a podniósłszy go w górę, zawołała z zapałem:

– Czy chcesz, ażeby ci przysięgła za niego?

Formoza była wspaniałą w tej chwili: można było przed nią uklęknąć, jak przed posągiem wiary w zacność człowieka:

Wilczek się upokorzył przed tym widokiem, umysł mu się rozjaśnił cokolwiek, serce się ożywiło, wiary w siebie obudzić nie mógł, ale zapragnął, aby ją kto inny w nim zbudził.

– Chodź – rzekł do Formozy głosem zbolalym, ale spokojnym – siadaj tu przy mnie i mówmy dalej. Twój głos jest jak balsam, co bole uśmierza.

Kiedy zaś siadła przy nim, ujął jej rękę w swoje ręce i mówił dalej:

– Twoja ręka tak ciepła, taka żywa krew w niej obiega, tak czuć w niej zdrowie twojego serca, tak bije od niej wiara i nadzieja: jam skrzepły jak rzeka zmarznięta, a lodowata krew płynie w mych żyłach. Chciałbym wierzyć, kiedy ty wierzysz, ale nic nie widzę przed sobą, czego by się mój rozum mógł chwycić: cóż teraz mam począć? dajże mi radę.

– Nic – rzekła Formoza – nic, czekać cierpliwie, aż póki Bóg się nie zlituje nad nami.

– Czekać – odpowiedział jej Wilczek – otóż to właśnie nie moja robota. Mnie niecierpliwość piersi rozpiera, a rozpacz mną miota na wszystkie strony. Prędzej bym gołą ręką na Czorsztyń uderzył, niżelibym miał czekać beczynn timer. Wczoraj, nocując w eremie, całą noc brodziłem po puszczy, gdzie same wiedźmy a duchy mieszkają. Widziałem ich też niemało, a zwłaszcza tych, co mają twarze płomienne. I on sam mi się pokazał i rozmawiałem z nim właśnie tak samo, jak z tobą rozmawiam. Powiedziałem mu, że mu oddam duszę moje, jeżeli to zrobi, żebym dostał Jagienkę. Obiecał mi i zaraz stanął u mnie na służbę. Ale jeżeli to był

on w samej rzeczy – dodał Wilczek z bolesnym uśmiechem – to musi to być jakiś diabeł piekielnie głupi, kiedy się podjął mnie z taką dziewczką ożenić, która już poszła za męż...

Formoza go słuchała bez zdziwienia, było to bowiem wówczas rzeczą bardzo zwyczajną słyszeć ludzi opowiadających, jako widzieli duchów i miewali z nimi rozmowy. Ona sama jednak tylko w połowie w duchy wierzyła, jakoż odpowiedziała mu na to:

– Pleciesz coś sobie, właśnie jak gdybyś leżał w gorączce. Diabeł nie chodzi po ziemi, a gdyby chodził, to chyba na to, ażeby ludzi kusił do złego, ale nie na to, ażeby ich żenił pomiędzy sobą. Jużci człowiek nie wie wszystkiego, co się dzieje około niego, a czego nie widzi, ale mnie się tak zdaje, że te wszystkie duchy, co je ludzie widują, strach płodzi, bo też i wielkie ma oczy. I tyś tam pewnie żadnego ducha nie widział, jeno tak ci się zdawało. Ale jeżeliś ty tam w tej puszczy tak gadał, jak tutaj mówisz, choćby do siebie samego, toś ciężkim grzechem obładował sumienie, bo i myślą człek grzeszy.

– Zgrzeszyłem myślą – rzekł Wilczek, zatopiony w swoich nocnych wspomnieniach.

– Zgrzeszyłeś myślą – powtórzyła Formoza – i powinieneś się z tego spowiadać a uczynić pokutę. Inaczej trudno się masz spodziewać, że Pan Bóg pobłogosławi twoim zamiarom.

– A potem – mówił Wilczek, wciąż zatopiony w swoich nocnych wspomnieniach – kiedy złe duchy się rozpierchnęły, pokazała mi się Jagienka. Przyplęnęła do mnie na mgłach i wyciągnęła ku mnie obydwie ręce, jak to nieraz czyniła, kiedy mnie samego spotykała na Sobniu. Za nią stał Gniewosz, cały w zbroi żelaznej, jak gdyby miał iść na wojnę, i odtrącał ją ręką od siebie, jak gdyby jej się chciał pozbyć. I inni także tam byli, jedni się śmiali, a drudzy ręce załamywali jakby w rozpacz, jak gdyby już tylko ulatującą duszę Jagienki widzieli...

– Gniewosz tam był? – zawołała Formoza, przysuwając się bliżej do niego, bo w to widzenie uwierzyła – odtrącał ją ręką od siebie? sam to widziałeś?

– Tak widziałem, jak ciebie tu widzę.

– Bo tak jest – rzekła głosem stanowczym Formoza – oni się z sobą rozejdą. Bądź dobrej myśli. Jeszcze nam może przyjdzie przez ciężkie przechodzić terminy, ale je przebrodzimy i wypłyniemy na sucho.

– Ty może wypłyniesz – rzekł Wilczek – ale ja?...

– Jakiś ty dziwny – powiedziała mu na to Formoza – jeżeli ja wypłynę, toż i ty musisz wypłynąć. Jeżeli Jagienka się od Gniewosza uwolni, to się uwolni dla ciebie.

Ale Wilczek był wciąż w rozpaczliwym usposobieniu i rzekł smutno:

– Czasem się mąż uwalnia od żony przez rozwód, a czasem przez śmierć...

Na te słowa Formoza się niecierpliwie rzuciła na krzesło, ale wtem wbiegł do komnaty Tigranes i na tym się ich rozmowa urwała.

Wilczek bawił jeszcze przez cały tydzień we Lwowie – a potem, wedle rozkazu, wrócił na służbę do króla.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO